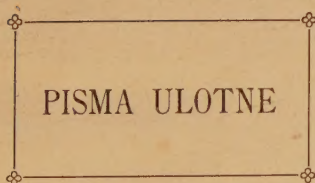


PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM LXXX.

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM LXXX



WARSZAWA
NAKLAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY).

1906

Osady polskie w Stanach Zjednoczonych.

Ogólna cyfra ludności polskiej. Cyfry, podawane przez gazety. Ludność wiejska i miejska. Główne ogniska. Towarzystwa, szkoły i kościoły. Znaczniejsze osady. „Parafie“. Nowo-wznoszone kolonie. Waren Hoino i Nowy Poznań. Barzyńscy i Dyniewicz. Charakter ogólny emigracyi. Przewaga duchowieństwa. Dobre i złe strony wpływu. Połączenie ogólne niemożliwe. Gazety. Wydawnictwa. Księgarnie.

Niedokładne i pobieżne wiadomości, jakie zdołałem zebrać o Polakach, zamieszkałych w Ameryce, powinny zająć polskich czytelników. Mała tylko liczba Polaków tutejszych składa się z byłych poddanych państwa rosyjskiego, daleko zaś znaczniejszą część stanowią wychodźcy z Wielkiego Księstwa Poznańskiego, ze Śląska, Prus Wschodnich i Galicyi. Dokładny spis wszystkich osad, rozproszonych w Ameryce, oraz ludności tak miejskiej, jak wiejskiej, byłby rzeczą nader potrzebną i pożądaną. Podobną pracę rozpoczęło już nawet pismo „Orzeł“, wychodzące swego czasu w Missouri,

ale z powodu obojętności i opieszałości Polaków z nadsyłaniem materyałów, skończyło się na paru numerach. Później też „Orzeł” przestał wychodzić. Niedokończoną pracę podjął Kalendarz Polski, ukazujący się corocznie w Chicago, Illinois, z którego głównie korzystam. Ogólną liczbę Polaków podają gazety polskie, wychodzące w Chicago, na 200—300 tysięcy, a nawet jedna z nich utrzymuje, że jest ich do pół miliona. Cyfry te jednak są nieprawdziwe i powiększane umyślnie. Pismom polskim, z których wyjątki, tłómaczone na angielski, pomieszczane są dosyć często w dziennikach amerykańskich (o co starają się sami Polacy redaktorowie), pismom tym, powtarzam, chodzi o to, aby przedstawiać się, jako organa wielkich partyi i poczytne. Z jednej strony ściąga im to płatne ogłoszenia kupców, stanowiące główny zysk dzienników tutejszych, z drugiej—nadaje pewne znaczenie polityczne w czasie wyborów. Istotnie, w takim Chicago lub Milwaukee, gdzie ludność słowiańsko-polska gęsto jest osiadła, na każdego kandydata niemalą rzeczą jest mieć za sobą głosy, które nie mogą wprowadzić same jedne na urząd go posadzić, ale, jeśli chodzi np. o rozstrzygnięcie między kandydatem republikańskim a demokratycznym, mogą szale na jedną lub drugą stronę przeważać. Oczywiście, kandydat, chcąc mieć głosy jakiejś narodowości, nie udaje się do pojedynczych osób, ale do

ch dziennika, wyświadczać mu rozmaite usługi lub obiecując korzyści odpowiednie do liczby głosów, i stąd owa przesada wszystkich dzienników w podawaniu liczby swych abonentów i wogóle współrodaków.

Z powyższych powodów cyfry, trafiające się w gazetach polskich tutejszych, oznaczające ludność polską na 200, 300 do 500 tysięcy osób, nie zasługują na żadną wiarę. Mogą one być prawdziwe w stosunku do wszystkich ludzi słowiańskiego pochodzenia, jest tu bowiem dużo Polaków, Serbów, a zwłaszcza Czechów, ludność jednak czysto-polska nie wynosi według prawdopodobieństwa, więcej, jak 70—90 tysięcy osób razem.

Na pytanie, gdzie i w których stanach ludność ta głównie przemieszkuje, trudno jest odpowiedzieć. W kraju tak prawie wielkim, jak cała Europa, obfitującym w miasta, a przytem posiadającym ludność niezmiernie ruchliwą, wszelkie skupienie inne, jak polityczne lub moralne, jest rzeczą niemożliwą. Polacy więc żyją rozproszeni od oceanu Atlantyckiego aż do granic Kalifornii i od Kanady do Rio-Grande. Nie ma ani jednego miasta lub miasteczka, w którymby ich nie było, w pewnych jednak miejscowościach skupieni są liczniej, w innych to w ludności ogólnej i, pozbawieni wszelkiej organizacji z ogółem, wynaradawiają się łatwo, bądź

to przez wpływ amerykański, bądź przez niemiecki.

Ludność polska dzieli się na wiejską i miejską. Pierwsza, złożona prawie wyłącznie z emigrantów, chłopów, zajmuje się rolą, albo w charakterze farmerów-właścicieli, albo najemników. Jest ona, po większej części, skupiona w mniejsze lub większe grupy, albowiem chłopi poznańscy, śląscy i galicyjscy, przybywający tu, zwykle pod wodzą księży, trzymają się ich stale, powierzając im wybór gruntu na osadę, prowadzenie spraw, kościół i szkołę. Stąd powstają osady wiejskie czysto-polskie, których ognisko stanowi kościół. Nowo lub pojedynczo przybyli włościanie przyłączają się do osad, już założonych, przez co parafie, a zarazem znaczenie i dochody ich przewodników coraz się powiększają. Ludność miejska, rozproszona po miastach, trudni się w mniejszej części handlem i przemysłem, a w daleko znaczniejszej—wyrobkami. Spójnie jej stanowią „towarzystwa”, noszące charakter przeważnie kościelny, albowiem i ona, a zwłaszcza najniższe i najmniej oświecone jej warstwy zostają w rękach duchownych. Głównem ogniskiem Polaków jest Chicago, położone w Illinois (czyt. Illinois nie Illinua), nad brzegami olbrzymiego jeziora Michigan. W mieście tem, liczącem przeszło pół miliona mieszkańców, ma się znajdować około 20,000 Polaków. Sądząc z przestrzeni mia-

sta, jaką zamieszkują, a jaką Niemcy tamtejsi szyderczo zowią „Polakaj”, cyfra ta nie wydaje się przesadzoną. Najwięcej Polaków osiadło, nabywszy nieruchomości, w północno-zachodniej stronie miasta, przy ulicy Milwaukee Avenue. Ci wynajmują mieszkania innym, biedniejszym, po największej części robotnikom, między którymi wielu jest chłopów poznańskich, śląskich i galicyjskich. Tu też wznosi się przy narożniku Noble i Bradley, kościół ś. Stan. Kost., wraz ze szkołą, pozostającą w ręku duchownych. Kiedy z czasem liczba Polaków zaczęła wzrastać, wzniesiono między Milwaukee Avenue a Division Street drugi kościół, o który jednak natychmiast poczęły się wielce gorszące między duchownymi spory, albowiem przewodniczący dawnego chcieli uważać nowy za kaplicę tylko, nowy zaś zapragnął utworzyć odrębną parafię. Wojnę, jaka stąd powstała, zakończyło dopiero zabranie nowej budowli za długie, które od początku nie były pokryte i prawdopodobnie nigdy nie będą.

W przeciwnej stronie miasta, południowo-zachodniej, osiadła także dość znaczna liczba Polaków, ci jednak pomieszani są z cudzoziemcami. Spójnią dla wszystkich są, jak wspomniałem, towarzystwa. Celem ich ma być także obrona swych członków przed obcymi, wynaradawiającymi wpływami. Jest tych towarzystw

dziewięć, ale siedm z nich nosi charakter czy-
sto kościelny, mając na czele księży. Świeckich,
na gruncie czysto narodowościowym opartych,
jest dwa: Gmina Polska i Tow. Kościuszki,
ale że i kościelne pragną nosić także charakter
narodowościowy, przysyłają zatem dla wię-
kszej części niewykształconych umysłów potrze-
bę jednego, ogólnego stowarzyszenia. wszyst-
kie zaś, razem wzięte, częstokroć nie idąc zgo-
dnie, przeszkadzają sobie wzajemnie.

Drugiem ogniskiem, w którem licznie sku-
piła się ludność polska, jest Milwaukee. poło-
żona w stanie Wisconsin, nad brzegiem tegoż
samego jeziora Michigan. Liczba Polaków, tu
zamieszkałych, ma dorównywać tejże w Chi-
cago, wogóle zaś Polacy tamtejsi są zamożniej-
si od zamieszkałych w innych miastach. Istnie-
ją tu dwie szkoły, z których jedna 3 klasowa,
druga elementarna, stowarzyszenia wszystkie
podobnie noszą charakter kościelny.

W tymże stanie Wisconsin leży Northelm,
jedna z najzamożniejszych i najstarszych kolo-
nii, założona od lat siedmnastu, wśród ogrom-
nych lasów. Ziemia, zajęta przez kolonię, naby-
ta była bardzo tanio albo zajęta na prawach
osadniczych (klemowych), z obowiązkiem spla-
cania rządowi w ciągu lat dziesięciu. Później,
gdy okolica zaczęła się ożywiać tak pod wzglę-
dem przemysłowo-handlowym jak i rolniczym,
ceny gruntu podskoczyły szybko w górę, skut-

kiem czego dawni osiedleńcy stali się właścicielami dość znacznych majątków. Istnieje tu szkoła, do której uczęszcza około 90 słuchaczy, dająca starszym chłopcom przygotowanie do wyższych zakładów naukowych. Ludność chłopska zostaje tak tu, jak i wszędzie, pod zarządem duchownego. Stowarzyszenie jednak tutejsze ma charakter bardziej świecki.

W New-Yorku, wedle przybliżonych obliczeń, ma się znajdować około ośmiu tysięcy Polaków, połączonych po większej części w stowarzyszenia świeckie. Mieli oni tu swój organ, Kuryer Nowoyorski, który niedawno przestał wychodzić. Prócz tego w każdym ze znakovitszych miast mieszka większa lub mniejsza liczba Polaków, połączonych albo w towarzystwa świeckie, jeżeli członkowie stanowią poważnie tak zwaną inteligencję, albo w kościelno-parafialne, jeśli składają się z włościan i wyrobników. Cytowanie tych miast, każdemu znanych z geografii, uważam za zbyteczne. W niektórych liczba Polaków może dochodzić do tysiąca lub więcej; nie zamieszkują jednak osobnych dzielnic i w stosunku do ogółu ludności zbyt są nieliczni, aby stanowić pewną, narodowościową jednostkę, mającą znaczenie, socyalne lub polityczne. Natomiast pozwolę sobie wymienić wszystkie osady i „parafie”, albo czysto polskie, albo takie, w których ludność polska w stosunku do ogólnej gra jakąkolwiek

rolę. Będzie to materiał informacyjny i wykazowy, który z czasem przydać się może. Miasta te, osady i „parafie”, przedstawiają się jak następuje. Detroit (Michigan), Pittsburg (Pensylw.), Lemont (Illin.), Kalument (Mich.), Lykens (Pens.), St. Paul (Minnesota), Shamotin (Pens.) Berca (Ohio), Polonia (Wisconsin). Stevenspoint (Wisc.), North Creek (Wisc.). Plane Creek (Wisc.), Beaverdam (Wisc.). Teresa (Wisc.), Northport (Wisc.), Oshkosh (Wisc.). Princetown (Wisc.), Grenbay (Wisc.). Kraków (Minn.), Radom (Illin.), Dunkirn (N. Y.), La Salle (Ill.), Dellano (Mich.), Farribould (Minn.), Winona (Minn.), Shenahdoah (Pen.), Nauticoke (Pens.), Toledo (Ohio), Cleveland (Ohio), Cedar Rapids (Mich.), Bay-City (Mich.), Jefersonville (Indyana pod ks. Moezygębą), Otis (Ind.), Lauesville (Indyana), Panna Marya (Teksas). San Antonio (Teksas), Cottage Hill (Teks.), Mulberry (Teks.), Bluff (Teks.), Bandera (Teks.), Platonía (Teks.), Plantersville (Teksas), a na koniec dwie jeszcze świeżo założone Waren-Hoino przez Choińskiego w Arkansas i Nowy Poznań w Nebrasce.

Spis ten może być niedokładnym i nie obejmować wielu miejscowości i osad, bądź wyłącznie, bądź w znacznej części przez Polaków zamieszkanych. I tak wiele miasteczek, położonych w rozmaitych stanach, nosi nazwę „Warsaw”, godziłoby się więc przypuszczać, że War-

szawy te przez Polaków założone i zamieszkałe. Tymczasem w Kronice Polonii, zamieszczonej w kalendarzu Przyjaciela ludu, żadna z nich nie jest podana. Być może jednak, że nie mają one znaczenia. Mapy tutejsze, przedstawiające terytorya mało zamieszkane, notują bardzo małe nawet osady, choćby złożone z jednego tylko domu i przez jedną rodzinę zajęte. Następnie, powtarzam jeszcze raz, że spisy te nie obejmują wszystkich miast dobrze znanych (jak np. Washington, Boston, Filadelfia, St. Louis, N. Orleans, Baltimore, St. Francisco etc.), w których ludność polska, mniej lub więcej liczna, nie gra jednak, w stosunku do ogólnej, żadnej roli i albo słabo, albo wcale nie jest uorganizowana. Niektóre z osad, powyżej wymienionych, są to, jak same nazwy ich wskazują, wielkie wsie lub małe miasteczka handlowo-rolnicze, czysto polskie, inne mają ludność mieszaną, przeważnie jednak polską. Organizacya parafialna jest prawie powszechną. W niektórych miejscowościach, jak np. w Lemont Illinois, koloniści polscy stanowią jedną parafię z Czechami, w innych, jak z Kalument, nawet z Irlandczykami.

Ze spisu powyższego widzimy także, że najwięcej Polaków zamieszkuje w stanie Wisconsin, graniczącym na południe z Illinois, na północ z częścią stanu Michigan i jeziorem Wyższem (Superior), na zachód z Minnesotą, na wschód nakoniec z jeziorem Michigan. Stan ten

leży pomiędzy 42 a 44 stopniem szerokości północnej. Jest to kraj lesisty, obfitujący w rzeki, strumienie i mniejsze lub większe jeziora. Klimat, podobny do polskiego lub może nawet ostrzejszy, a przynajmniej przedstawiający bardziej wybitne różnice między porami roku, pozwolił odrazu zrozumieć polskim osadnikom warunki rolnicze. Przedstawiały się one podobnie do tych, do których przesiedleńcy byli przyzwyczajeni w domu. Ziemia, wogóle urodzajna, wydawała też same zboża. Skąd ułatwienie pracy, i większy stosunkowo, niż gdzieindziej, dobrobyt osadników. Przytem osady te, jak np. w Northheim, były założone dawniej od innych, a zatem ziemie, tanio nabyte, podwoiły lub potroiły się od kilkunastu lat w cenie, ludność zżyła się z krajem, opanowała językiem, obeznała się z handlem, przemysłem i t. d. Po Wisconsin najwięcej ludności polskiej posiada Illinois, ludność jednak tutejsza przeważnie jest miejską. Czysto rolnicza zamieszkuje Teksas, gdzie leżą czysto polskie osady Panna Marya i Częstochowa. O stanie jednak tych osad brak mi dokładnych wiadomości. Koloniści musieli tu zwalczać daleko większe przeszkody, niż gdzieindziej. Główną przeszkodę stanowił klimat, do którego nowo-przybyli koniecznie przyzwyczajać się muszą, a nim się przyzwyczajają, przechodzić rozliczne dolegliwości. Dalej rolnictwo musi w kraju tak południowym być zupełnie odmienne. Główny

produkt stanowi tu bawełna, dalej trzcina cukrowa, drzewa pomarańczowe, palmowe it. d. Nowoprzybyli rolnicy musieli zaczynać naukę rolnictwa od a, b, c, z tem wszystkiem, położenie osadników, oddawna już przybyłych, ma być dosyć znośne, spójność zaś ich zadawała jąca. Co do dwóch, nowo założonych kolonii: Waren-Hoino w Arkansas i Nowego Poznania w Nebrasce, zdołały już one zgromadzić po kilkadziesiąt famili, przyszłość ich jednak arcy jeszcze niepewna. Rzecz była taka. W ostatnich czasach między Polakami, zamieszkałymi w Chicago, pojawiła się dążność do zamienienia życia wyrobniczego w mieście na pług i siekiere pionierską. Czy dążność ta sama przez się pojawiła się w niższych warstwach tantejszych, czy została im podsunęta przez redakcyę pism, Gazety Polskiej katolickiej i Gazety Polskiej Chicagowskiej Dyniewiczza, nie umiem tego objaśnić. Bądź co bądź, sama w sobie była pożyteczną. W miastach amerykańskich, a zwłaszcza w miastach silnie zaludnionych, robotnicy, jeżeli „business” idzie dobrze, mają dość znaczne zarobki i wogóle żyją lepiej i dostatniej, niż w Europie. Ale zdarza się często, że, bądź to z powodu przyczyn miejscowych, bądź to z powodów politycznych, wyborów, bezroboci, zaburzeń, etc. pojawia się chwilowy zastój w interesach. Wówczas w mieście bardzo ludnem większa część robotników traci robotę i zostaje

bez kawałka chleba. Życie więc wyrobnicze zawsze jest niepewne, rzadko sprzyjające zebraniu jakiego takiego grosza. Tymczasem osadnik rolniczy w Ameryce, zajmwszy ziemię rządową na prawach klemowych, z wypłatą na lat dziesięć, po dolarze i pół od akra (morg), lub nabywszy takową, również na częściową spłatę, od kolei żelaznej, przy pracy i wytrwałości dochodzi niezawodnie do posiadania własności i spokojnego kawałka chleba. Inaczej nie może być. Początkowo osadnicy prowadzą życie nad wszelki wyraz ciężkie. Trzeba mieszkać w ladajako skleconych domach, karczować lasy, opędzać się febrze w niezdrowych okolicach, wężom, mustykom i tam dalej. Kwitnący jednak stan wielu osad niemieckich, szwedzkich, duńskich dowodzi, że praca i trudy oplacają się w końcu. Przytem, jak dla wszystkich narodowości, tak i dla Polaków, owo łączenie się i zakładanie osad miało jeszcze inne znaczenie. Pracując zosobna po rękodzielniach lub warsztatach rzemieślniczych, ocierając się ciągle o żywioły obce, niepodobna nie wynarodowić się zwolna; tymczasem w osadach, gdzie ludność jednolitą siada masą, podobne niebezpieczeństwo mniej grozi. Ze swojej strony rząd Stanów i Amerykanie wogóle nie tylko nie objawiają najmniejszej dążności do wynaradawiania kogokolwiek, ale przeciwnie: zapewniają wszystkim wszelkie prawa, żądane

i nieżądane. Jest to poprostu zarówno praktyczna, jak i rozumna polityka; rząd washingtonski bowiem pojmuje doskonale tę prawdę, że Niemcy, Francuzi, Włosi i t. d., nie przestając być sobą, będą jednak wybornymi obywatelami amerykańskimi, jeśli im w Ameryce będzie dobrze. Zachowają oni wprawdzie przez długi czas swój język, ale ponieważ narodowości i języków jest mnóstwo, wszystkie więc razem muszą przyjąć, chcąc nie chcąc, język angielski, jako wspólny, handlowy, urzędowy i społeczny. Jak więc powiadam, zakładanie osad nie spotyka tu z żadnych stron trudności; potrzeba tylko człowieka, któryby się sprawą zajął, grunta odpowiednie odszukał, nabył i podzielił. Podobny przewódca znalazł się w Chicago w osobie niejakiego pana Choińskiego; ten zakupił grunta w Arkansas, nazwał mającą się założyć kolonię, niezbyt zresztą szczęśliwie, Waren-Hoino i, odmałowywując ją w barwach istotnie może przesadzonych, zdołał zgromadzić, prócz stu kilkudziesięciu rodzin, które z góry się zapisały, wielu nowych jeszcze kandydatów. Popierała całe to przedsięwzięcie bardzo usilnie Gazeta Polska Chicagowska Dyniewiczza, rywalizująca i prowadząca z Polsko-Katolicką bardzo zaciętą, a poprostu powiedziawszy, bardzo haniebną dla obu stron wojnę. W tem miejscu, jakkolwiek o wydawnictwach powiem później obszerniej, wypada mi

poświęcić kilka słów ogólnemu ich charakterowi. Obie te gazety stoją na gruncie religijno-katolickim. Pierwsza z nich, Polsko-Katolicka, redagowana jest przez księży, musi więc być taką, jak jest; druga, Dyniewiczowska, byłaby może inną, gdyby wydawcy nie chodziło o niezrażanie sobie włościan i robotników, z włościan złożonych. I Dyniewicz więc grywa na religijnym organie, z towarzyszeniem jednak pewnej liberalnej nuty. Zarzuca on przeciwnikom poświęcanie interesów ogólnych ultramontanizmowi, obalamucanie ludu, przeżywa ich „Zmartwychwstańcami” lub „szajką Zmartwychwstańców”, zdrajcami i tym podobnie. Oczywiście Barzyńscy (wydawcy Polsko-Katolickiej) oddają mu pięknem za nadobne, w całej zaś sprawie po obu stronach większą zdaje się grać rolę ambicją, chęć wyniesienia się, ściągnięcia abonentów, a zatem i zysków, niż zamilowanie dobra ogólnego. Okazało się to przy sprawie kolonii. Gdy gazeta Dyniewicza zaczęła popierać Choińskiego i stać się organem sprawy istotnie ważnej, w której nie szło o puste krzyki i deklamacye, ale o coś istotnego, przeciwnicy jej i całego stronnictwa „Dyniewicza-Choińskiego” spostrzegli się, że tamci mogli pociągnąć większość za sobą i postanowili przeciwdziałać. Z początkowania więc Gazety Polsko-Katolickiej powstała myśl założenia jednocześnie drugiej osady polskiej

w Nebrasce, pod nazwiskiem Nowy Poznań. Ponieważ kandydatów nie brakło, zakupiono wkrótce grunta, i Nowy Poznań przeszedł także z dziedziny zamysłów w dziedzinę rzeczywistości. Obie gazety poczęły teraz wysławiać, każda swoją osadę, nie znajdując słów na potępienie przeciwnej. Nowemu Poznaniowi zarzucano, że położony jest w stepach, z których rzeczywiście składa się cała Nebraska, w krainie bezdrzewnej, gdzie nie będzie z czego pobudować domów, a na koniec w okolicach, pustoszonech od czasu do czasu przez szarańczę. Barzyńscy odpowiadali natomiast, że grunta w Arkansas pokryte są dębami, których karczunek tak długo może się przeciągnąć, iż osadnicy z głodu pierwszej pounierają; dalej mówiono, że okolica zakupiona, ma płytko tylko wastwę czarnoziem, pod którą znajduje się nieurodzajny żwir, a na koniec, iż okolica rok rocznie zatapiana bywa przez wody rzeki Arkansas, z czego powstają zabójcze febry i inne choroby, dziesiątkujące ludność. Obie strony wysyłały komisye, mające sprawdzić istotny stan rzeczy, ale komisye te, składając się z ludzi, należących do stronnictw, a zatem stronnych, powtarzały za i przeciw, wedle widoków stronnictw, a prawda zginęła ostatecznie pośród tego zamętu.

Wobec takiego stanu rzeczy, z największymi tylko zastrzeżeniami można wydać sąd

w tej sprawie. Faktem jest jednak, że Waren-Hoino zrobiło ostatecznie pewne „fiasco”. Arkansas słynie wprawdzie z urodzajności ziemi, obfitość lasów jest jedną dodatnią stroną więcej dla wszelkiej kolonii; наконец o klimacie Arkansasu nie słyszałem, aby miał być niezdrowy, jak np. w Teksas. Ale być może, że kupno było prowadzone lekkomyślnie, ziemia wybrana nieopatrznie, działki przeprowadzane z uwzględnieniem różnych cząstkowych widoków, wreszcie zarząd funduszami naganny; większa część osadników, którzy się już byli do Waren-Hoina wybrali, powrócili stamtąd bardzo śpiesznie, podnosząc w niebogłosy krzyk, że została omamiona najhaniebniej. Niektórzy, wydawszy wszystkie pieniądze na drogę, a nie chcąc osiąść w osadzie, znaleźli się istotnie w bardzo przykrem położeniu. Gazeta Barzyńskich zatryumfowała. Nazwano wyprawę do Hoina „wyprawą na Sybir”. Wezwano Choińskiego i Dyniewicza, aby złożyli rachunki z powierzonych im funduszy, czego istotnie dotąd nie uczynili, krótko mówiąc, pokazuje się ze wszystkiego, że Dyniewiczowi i Choińskiemu wiele jest w całej sprawie do zarzucenia, czego dowodem jeszcze i to, że ich gazeta, powoławszy się na Platona, czy na innego mędrca, polecającego „głupim” nie odpowiadać, zamilkła i ostatecznie o sprawie Waren-Hoina więcej się nie odzywa. To przerwanie gorszącej polemiki bardzo

byłoby pożądanem, ale zauważyć należy, że co innego jest prowadzić polemikę o nic i obrzucać się obelgami, a co innego przedstawić dowody, jeśli takowe są, że się funduszków, powierzonych sobie, nie zmarnowało, i całą sprawę, na której istotnie ludziom zależy, prowadziło uczciwie i sumiennie. Nie znając Dyniewicza ani Choińskiego osobiście, ale tylko z odgłosów nader przeciwnych, nie pozwalam sobie przypuszczać, aby prowadzili ludzi „na zgubę”, w widokach osobistego zysku. Ale z całego toku sprawy i z tego, jak sami siebie w swoich oświadczeniach przedstawiali, wnioskuje, że są to ludzie ambitni, rodzaj demagogów, nie bardzo przebiegających w środkach, które mogą posłużyć im do wyniesienia się i zagarnięcia przewództwa. Zgubić swoich osadników, zapewne, nie chcieli, ponieważ byłoby to wprost przeciwne i dobru Choińskiego, który osobiście ma mieszkać w swoim Waren-Hoinie, i Dyniewicza, jako redaktora gazety. Być może jednak, że, zaślepieni nienawiścią do przeciwnego stronnictwa i ambicyą, zapędzili się zbyt daleko, robili rzeczy zbyt pośpiesznie i... przez to sprawę zachwiali.

Obecnie w Waren-Hoinie pozostał podobno ten tylko, kto, wydawszy pieniądze na drogę, nie miał za co powrócić. Być jednak może, że ci, co zostali, dojdą z czasem do kawałka chleba. Kto zna nasz, łatwo zrażający się trudnościami

mi, charakter, i łatwość, z jaką niczem nie-usprawiedliwione nadzieje zmieniają się w zupełne zniechęcenie, ten przypuści zapewne, że te wady wzięły także niemalże udział w owym pośpiechu, w jakim osadnicy Waren-Hoino opuścili.

Bądź co bądź, sprawa ta nie przynosi zaszczytu Dyniewiczowi i Choińskiemu, ale nie przynosi go także ich przeciwnikom. Jakkolwiek z Nowego Poznania nie dochodzą tak alarmujące wieści, jak z Waren-Hoina, jakkolwiek rzeczy te mogły być robione ostrożniej, jednakże, biorąc na ogół, żyzny, ciepły i lesisty Arkansas posiada więcej warunków, zapewniających rozwój wszelkiej kolonizacyi, niż stepowa, zimna i bezdrzewna Nebraska. Ale cóż robić! gdy przedewszystkiem każdej gazecie chodziło o to, by miała swoją kolonię. Sprawa ogólna poszła wobec tej prywatnej w ponieniewierkę. Gdyby, zamiast przeszkadzać sobie wzajemnie, wzięto się wspólnymi siłami do dzieła, rzeczy ułożyłyby się z pewnością inaczej. Przedewszystkiem, im więcej osadników, by się zebrało, tem osada byłaby żywotniejszą, potężniejszą i bezpieczniejszą. Dalej, im większe kupionoby obszary gruntu, temby je można nabyć taniej. Byłoby możliwem założenie szkół, rozmaitych instytucyi pomocniczych, i t. d., ale wszystko to wymagało zgody, a zgoda między ludźmi, patrzącymi nawet na kupno kawałka

gruntu ze stanowiska religijnego, jest rzeczą poprostu niemożliwą.

Stoją więc, a raczej wegetują: Waren-Hoino i Nowy Poznań. Na nich kończą się moje wiadomości, dotyczące się osad polskich, rozproszonych w Ameryce; wyliczanie ich wydałoby się czytającym może zbyt suche, dlatego przechodzę teraz do uwag ogólniejszej natury.

Z tego, com już powiedział, że wzmianek o „parafiach” i towarzystwach kościelnych czytelnik może wyrobić sobie pojęcie, że wychodźstwo tutejsze jest czemś zupełnie innem, niż europejskie. „Emigrantami”, w zwykłym znaczeniu tego wyrazu, nazywamy u nas ludzi, którzy z powodów politycznych po czasach powstania lub zaburzeń zmuszeni byli kraj opuścić. Tu, w Ameryce, żywioł ten stanowi niezmiernie małą część i nie odgrywa żadnej roli. „Emigracya” tutejsza opuściła kraj nie dla urzeczywistnienia ideałów politycznych, ale dla chleba. Po większej części są to chłopci, pozostający w rękach księży. Dlatego pojęcia radykalności, związanego z imieniem emigracyi, do tutejszej bynajmniej zastosować się nie da. Mówię, oczywiście, o ogóle, nie o szczegółach. Ogół ten jest arcykonserwatywnym, arcyreligijnym i zupełnie w rękach duchowieństwa. Stan taki rzeczy da się łatwo wytłómaczyć. Chłopci, z natury religijni, przybywają tu bez znajomości kraju, języ-

ka, stosunków, widzą w duchownym nie tylko pasterza dusz, ale swego pełnomocnika, rządcę i sędziego. Kościół jest ogniskiem, około którego się grupują nicią, wiążącą ich z krajem czemś swojskiem, własnem, czemś ochronnem. „Parafia” staje się jednostką, nie tylko w znaczeniu duchowem, ale i socyalnem. Oczywiście, duchowni, zająwszy raz tak przodujące stanowisko, nie chcą z niego ustąpić; przeciwnie, roszczą prawo do przewodnictwa nad tymi nawet, którzy bynajmniej nie są usposobieni ich słuchać, uważając się za jedynych prawych przedstawicieli interesów nie tylko dusznych, parafialnych, ale i ogólnych, za naturalnych rządców narodowości. Jakoż, posiadając za sobą większość, przeprowadzają wszystko, co chcą. Inteligencya świecka, o ile idzie jej o sprawy ogólne, musi się temu wpływowi poddawać, w przeciwnym razie bowiem bywa przegłosowana. Gdyby to, co mówię, potrzebowało dowodów, mógłbym ich znaleźć dowoli. Przy poruszanej kilkakrotnie myśli powiązania jednym organizmem wszystkich przesiedleńców, gazeta Barzyńskich podała myśl wytworzenia pewnego ciała rządzącego, złożonego z dwóch izb. Izba niższa miała się składać z delegatów wybieralnych, wyższa, czyli „senat” (?), z duchownych (!!). Przypuszczam, że niejednen z czytelników dwa razy przeczyta te słowa, nim uwierzy własnym oczom. Niemniej tak jest.

Dziwnym zbiegiem okoliczności na tej ziemi, najwolniejszej i najbardziej postępowej, wracają pod pewnym względem czasy średniowieczne, w których władza świecka spoczywała w rękach duchownych. Do jakiego stopnia wpływ ten opanował tu wszystko, dowodem także są i pisma tutejsze, wychodzące w języku polskim. Wszystkie one, nie wyłączając „Gazety Polskiej Chicagowskiej”, mają charakter nie tylko narodowościowy, ale narodowościowo-religijny. Ponieważ nic mnie nie krępuje w wypowiedaniu mego zdania, powiem więc otwarcie, iż wszystko nakazuje mi sądzić, że na przykład we wspomnianej Gazecie Dyniewicza nuta owa religijna nie idzie wcale z serca. Jestem nawet prawie pewny, że gazeta owa weszłaby chętnie na drogi wprost przeciwnie, gdyby nie obawiała się utracić wszelkiego wpływu i większej części swych abonentów. Z pism innych jeden tylko „Kuryer Nowyorski” stał na stanowisku ogólnem, ale też upadł. Zabiły go nie tylko ustawicznie zmieniające się redakcye, które po wyjeździe Horaina do San Franc. go przechodziły w coraz inne, a prawdę rzekłszy, w coraz nieudolniejsze ręce, ale i brak poparcia ze strony duchownych. Co do Dyniewicza, walczy on wprawdzie zaciekle z partją Barzyńskich i dotychczas utrzymuje się jeszcze, ale dzięki jedynie temu, że naprzód ma poparcie pewnej liczby księży, nie idących z rozmaitych

powodów z Barzyńskimi, a powtóre, że w każdym numerze zapewnia czytelników swoich, jakoby on właśnie i on jedynie był prawdziwie, nie „zmartwychwstańczo-jezuickim”, ale czysto katolickim wydawcą.

Ten to pierwiastek religijny, tak zamieszany w interesa ogólne, że żadną miarą odczepić się od nich nie daje, i wyjątkowa przewaga duchowieństwa, stanowi główną cechę emigracyi tutejszej. Wprawdzie duchowieństwu niepodobna odmówić pewnej zasługi: ono bowiem, skupiając rozproszonych włościan, ogniskując ich w duchowne i socyalne „parafie”, broni ich poniekąd przed wpływem niemieckim, przed rozproszeniem się zupełnem i zatonięciem bez echa w pierwiastkach obcych. Z drugiej jednak strony, każdy bezstronny i poważnie patrzący na rzeczy, człowiek przyzna, że owo pomieszczenie interesów ogólnych z duchownymi może także wychodzić na szkodę pierwszych. Czasem te interesa bywają zgodne, a czasem wzajem sobie obojętne lub nawet przeciwne. W tym ostatnim razie, gdy wszystko spoczywa w rękach duchowieństwa, ogólne muszą ustępować religijnym. Gdyby powody np. miejscowo-polityczne nakazywały Polakom głosować przeciw Irlandczykom, a religijne za nimi, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że duchowni skłaniałiby swoich „parafian” do głosowania za Irlandczykami. Powie ktoś, że to jest wypadek

niemożliwy ; ale w gruncie rzeczy jest możliwy. Przypuśćmy, np. wojnę, St. Zjednoczonych z Anglią. Wprawdzie tu sprawy pokoju i wojny nie przechodzą ludzie, którzy o pokoju i wojnie stanowią.

Są jednak sprawy, nie tylko przypuszczalne, możliwe i pośrednie, ale bezpośrednie, w których przewaga duchowieństwa i pomieszanie zupełne żywiołu religijnego z narodowościowym nie wychodzi na korzyść tego ostatniego. Pomi- jam już zarzut, czyniony duchowieństwu przez wielu ludzi, należących do inteligencji, że wy- zyskuje lud prosty na własną korzyść. Jedni duchowni wyzyskują, i mógłbym takich wymie- nić, gdyby komu coś na tem zależało, drudzy nie, ale jest inny wzgląd. Oto przewaga du- chowieństwa odstręcza od brania udziału w in- teresach ogólnych inteligencję świecką. Trzy- ma się też ona, powszechnie, osobno. Dokto- rom, inżynierom, adwokatom i innym przedsta- wicielom nielicznej zresztą inteligencji tru- dno wbrew własnym zasadom służyć prawom kościelnym, które przedewszystkiem bywają u- względniane. Można dla interesów ogólnych po- święcać miłość własną, można zgodzić się na „senat”, złożony z księdza Moczygęby i wie- lu innych duchownych, którzy zresztą mogą być zacnymi ludźmi, ale niepodobieństwem jest służyć kierunkom, uwzględniającym te interesa ogólne o tyle tylko, o ile nie stoją one na prze-

szkodzie wyłącznie religijnym lub wyłącznie duchownym. Wiem, że jest wielu ludzi przekonanych, że te ostatnie nigdy nie sprzeciwiają się pierwszym, postaram się więc jeszcze o dowody, że bywa przeciwnie. I tak na przykład: wszelka narodowość do tem większego w Ameryce dochodzi znaczenia, tem większy wpływ może wywierać na wewnętrzną politykę Stanów Zjednoczonych, zatem na ustawy i urządzenia z własnem dobrem zgodne, im jest liczniejszą, bogatszą i bardziej zorganizowaną. Irlandczycy i Niemcy mają wpływ podobny, Polacy—nie! Zbyt mało są liczni, zbyt ubodzy ogólnie, zbyt mało znaczący. Ale położenie rzeczy zmieniloby się niezawodnie, gdyby w ogólny ustrój, mający wprowadzić jedność wewnętrzną między Polakami, weszli i Żydzi. Nie mówię tu o poznańskich i galicyjskich, ci bowiem trzymają z Niemcami, ale o Żydach z Królestwa, których w całych Stanach na sto tysięcy można rachować, a którzy przedstawiają nie tylko taką ilość głosów, ale i kapitał. Są to bowiem po największej części ludzie zaможni. Nędzne i zasługujące na wszelką pogardę przesady rasowe, odgrywające tak wielką rolę w Europie, tu nie istnieją; nicby więc nie przeszkadzało przyłączeniu się Żydów do rozlicznych towarzystw polskich, gdyby nie to, że towarzystwa te noszą charakter kościelno-religijny, uwzględniający tylko Polaków wy-

znania katolickiego. Samym Żydom nie brakłoby ochoty. Słyszałem to z ust wielu z nich. Nie potrzebuję zaś dodawać, że przyniosłoby to nieobliczone korzyści. Wszystkie zamiary organizacyjne rozbijają się tu wiecznie o brak funduszków. Otóż Żydzi mają fundusze. Inne narodowości posiadają własne wyższe szkoły, biblioteki, własne szpitale, instytucje, zapewniające pomoc w wyszukaniu zarobku nowo przybywającym, własną ogólną kasę, przeznaczoną do wspierania nie tylko pojedynczych osób, ale i całych kolonii w razie klęsk pożaru, nieurodzaju, powodzi i szarańczy. Polacy mogliby to mieć wszystko, gdyby byli bogatsi i liczniejsi po złączeniu się z Żydami polskiego pochodzenia, które to połączenie nie nastąpiło i nigdy nie nastąpi, ze względu na przeszkody, jakie stawiać mu będą duchowni.

Nakoniec połączenie wszystkich ludzi polskiego pochodzenia w jeden organizm wymagałoby pewnych kosztów na administrację i inne instytucje, o których wyżej wspomniałem. Koszta te opłaciłyby się niezawodnie niezmierzonymi korzyściami całemu ogółowi, ale przyniosłyby pewien uszczerbek dochodom parafialnym. Jest to także wzgląd, który stanowi nie małą przeszkodę wprowadzeniu połączenia.

Sprawozdanie to moje zupełnie jest przedmiotowe. Nie mam zamiaru prowadzenia z ni-

kim dziennikarskiego sporu, ani też torowania drogi dla zmian, choćby z tej prostej przyczyny, że pismo wasze tu nie dochodzi. Wezwaliście mnie do odmalowania wam stanu stosunków tutejszych, przedstawiłem je zatem tak, jak same się przedstawiają. Wyliczyłem wszystkie ich złe i dobre strony, wszystkie pro i contra; pozostaje mi tylko dodać parę jeszcze uwag, ogólniejszej natury. Według mego zdania. Polakom tutejszym grozi niechybnie wcześniejsze lub późniejsze wynarodowienie się i całkowite rozplynięcie w żywiole amerykańskim lub niemieckim. Połączenie ich w jeden organizm, powstanie instytucyi własnych ochronnych mogłoby owo wynaradawianie się opóźnić, ale ponieważ te tarcze nie istnieją, niema więc o czem mówić. W niektórych miejscowościach, zamieszkałych przez Polaków i Niemców wspólnie, nacisk żywiołu germańskiego nie jest tu mniejszy, niż w Poznańskim lub na Śląsku, a lubo nie urzędowy, również prawie jest skuteczny, ze względu na to, że działa na ludność, od pnia macierzystego oderwaną, a posiadającą mało daru organizacyjnego. Uwzględnić tu także należy, że znakomita część wychodźców składa się z Kaszubów, Mazurów pruskich, Ślązaków i Poznańczyków, do zniemczenia już niejako przygotowanych. Świeży napływ wychodźców mógłby być pewną tamą w tym względzie, ale, pominawszy już, że nie należy go so-

bie życzyć, faktem jest, że napływ ten się zmniejsza. Gorączka wychodźstwa, również jak i warunki, które ją powodują, są to rzeczy przemijające, które, doszedłszy do swego „maximum”, następnie słabieją. Mówiąc nawiasem, dla kraju macierzystego jest to okoliczność arcypomyślna. Ale nie o to mi chodzi. Z mniejszym napływem nowych przesiedleńców wynaradawianie dawniejszych będzie postępowało coraz szybciej. Przytem wszelkie wychodźstwo składa się przeważnie z mężczyzn, którzy, nie znajdując dość kobiet swojej narodowości, biorą za żony miejscowe. Otóż nie znam ani jednego Polaka, żonatego z Niemką lub Amerykanką, któregoby dzieci umiały po polsku. Nie wyłączam nawet i inteligencji. Jest to nieuniknione. Dzieci takie nie mogą już czytać pism ani książek polskich, nie mogą chodzić do szkół parafialnych, a choćby nawet chciały i nauczyły się po polsku, nie będzie to już ich język domowy. Osady czysto polskie, jak: Radom, Częstochowa i t. p., będą zapewne trzymały się dłużej, ale i te, prędzej czy później, czeka los jednaki. Rzeczą jest niezaprzeczoną, że ludność uboższa dostaje się pod wpływ bogatszej, a tak Niemcy, jak i Amerykanie, bogatsi są od Polaków i oświeceńsi. Jedynym środkiem ratunku byłoby zjednoczenie się organiczne, takowe zaś jest niemożliwe. Zresztą, nikt się obecnie myślał tą nie zajmuje. Bębnia czasami w ten bę-

ben pisma tutejsze, ale to tylko dla własnej powagi, a potrochu dlatego, aby się przypomnieć abonentom.

Dla uzupełnienia obrazu muszę powiedzieć jeszcze parę słów o pismach tutejszych. Wspomniałem już o zaciętych sporach, jakie ze sobą prowadzą, i o charakterze ich ultramontańskim; nie poruszając już więc tego przedmiotu, zatrzymam się przez chwilę nad ich stroną literacką. Najlepiej stosunkowo redagowana jest gazeta Barzyńskich, najgorszy był w ostatnich czasach „Kuryer Nowoyorski”. Miał i on swe lepsze chwile, gdy go, jako jeszcze „Gazetę Nowoyorską”, redagował Julian Horain. Potem trzymał się jako tako pod Kulikowskim, gdy jednak ten ostatni odebrał sobie życie, „Kuryer” począł przechodzić z rąk do rąk, pod opiekę ludzi, albo pozbawionych wykształcenia, albo nie władających językiem. Drukowano też w nim artykuły w takim języku, że, chcąc go uczynić polskim, należało go polskim całkowicie zastąpić. Nie było to jednak pismo stronnictwa. Przestało wychodzić przed paru tygodniami dla braku prenumeratorów i z powodu zajęcia drukarni za długi.

Co do gazety Barzyńskich, język jej, jakkolwiek daleki od doskonałości, jest jednak najpoprawniejszym. Treść sama, zwłaszcza naukowa, przed niedawnym jeszcze czasem pozostawiała wiele do życzenia. Czytałem np. arty-

kuł, przetłómaczony wprawdzie z jakiejś amerykańskiej gazety, ale opowiadający, że, gdy Krysztof Kolumb odkrywał Amerykę, Jan Sobieski tegoż samego roku zwyciężył Turków pod Wiedniem. Artykuł był tłómaczony, ale redakcyja, która podobnych nonsensów nie poprawia, zasługuje co najmniej na zarzut niedbalości. Zresztą, od niejakiego czasu widać w gazecie tej widoczną pod literackim i naukowym względem poprawę. Artykuły jej wstępne i przeglądy polityczne bywają często zupełnie zadawalające. Na nieszczęście środkowe, ogromne jej lamy (jest to największa ze wszystkich polskich gazet, nie wyłączając galicyjskich i naszych), zapelnione bywają prawie zawsze opisami cudów, objawień, cudownych uzdrowień itp. Obecnie ciągnie się tam od kilku tygodni historia cudu w Gietrzwaldzie i w Marpingen, bardzo mało ze zdrowym rozsądkiem zgodna. Sama ostrożność nakazywała oczekiwać, co o tem nowem objawieniu się orzeknie wyższa władza duchowna. Z tem wszystkiem, prawdopodobnie jest to jedna z poczytniejszych rubryk tego pisma.

Zasługę jego stanowią jednak obszerne nieraz artykuły z historyi polskiej, które, podawane w języku prostym, przystępnym, zresztą, brane nieraz żywcem skądinąd bez pretensyi do oryginalności, odpowiadają zupełnie swemu przeznaczeniu. Podaje je także i „Gazeta Polska”

Dyniewiczza. Przeglądy polityczne i korespondencye z kraju czerpią obiedwie z gazet lwowskich, głównie zaś z „Gazety Narodowej”, skutkiem czego zdarza się często, że tenże sam artykuł podają obie jednego dnia. Wogóle, gazeta Dyniewiczza (któremu zresztą niepodobna odmówić pewnego sprytu wydawniczego) niżej nieco stoi pod względem czysto literackim od gazety Barzyńskich.

Największą wadą obydwóch jest brak korespondencyi z esad polskich, rozproszonych po całej Ameryce. Tak jedna, jak druga redakcyja mogłaby bez trudności zobowiązać księży do nadsyłania choćby krótkich wiadomości o swych parafiach, o ich rozległości, stanie rolniczym i ludności. Byłaby to jedna z najważniejszych rubryk; służyłaby bowiem za łącznik między pojedynczemi osadami, ułatwiałaby zakładanie nowych w miejscowościach najodpowiedniejszych, a nakoniec dostarczałaby wykazów statystycznych, których brak tak dotkliwie czuć się daje.

Wychodzi tu jeszcze i trzecie pismo, pod tytułem: „Przyjaciel ludu”. Jest to najmniejsze z wydawnictw amerykańskich; wielką zasługą jego jest trzymanie się na stanowisku obojętnem względem gorszących sporów dwóch pierwszych, które psują lud, zamiast go umoralniać, dając przykład niezgody i nieszanowania osobistości, posuwającego się poza wszelką miarę. Celem wszystkich tych pism jest

obrona narodowości przed wpływami obcymi i podtrzymanie języka. Na nieszczęście, pod tym ostatnim względem same one nie mogły uchronić się od licznych skażeń. Rzekłbym: pod wpływem angielszczyzny wytwarza się tu osobny, polsko-amerykański język, którego wyrazy potoczne są polskie, wszystkie zaś inne angielskie. Ograniczę się na przytoczeniu kilkunastu tylko przykładów. I tak: w każdym piśmie, zamiast: kolej żelazna—znajdziesz: rajlrod, zamiast bilet — tykiet, zamiast dzień dziękczynny — thanksgiwingday, zamiast kancelarya — ofis (office), zamiast statek parowy — styner, zamiast mniejszy żaglowiec — bot, zamiast hipoteka — morgedi lub ded, zamiast deska—lumber, zamiast plot — fens, zamiast wagon—kar, zamiast dziennik — papier, zamiast skład papieru — stationery, zamiast pokój bawialny — parlor, zamiast szynkownia — salon, zamiast sklep —stor, zamiast sąd (dom sądowniczy)—kurt (court), zamiast sprawa, przedsięwzięcie handlowe, interes — biznes (business), zamiast Boże Narodzenie — Chrystmas, zamiast maly powóz — buggy, zamiast wóz — tim, zamiast woźnica — timoter lub drajwer, zamiast umyślny posłaniec —ekspres, zamiast dziecko, mające tyle a tyle lat: dziecko tyle a tyle lat stare, zamiast zarabiać na życie — robić życie, zamiast ma lub posiada tyle a tyle — wart tyle a tyle, zamiast sąd przysięgłych — dżury,

zamiast ubranie, złożone z surduta, spodni i kamizelki — siut (suit), zamiast wołowina solona — kornbif, zamiast zmuszasz mnie do śmiechu — robisz mnie śmiać się, zamiast nie słyszałem nikogo mówiącego — nie słyszałem nikogo mówić, zamiast jęczmień — barlej i t. d.

Oczywiście, w mowie potocznej używa się jeszcze więcej wyrazów, jak np.: „well” przy początku każdego zdania; zamiast z pewnością — certainly i t. d.

Prócz pism, ruch umysłowy osiedleńców podtrzymują także księgarnie, których jest trzy: dwie w Chicago (Ill): Barzyńskiego i Dyniewiczza, jedna w Detroit (Mich.) Piotrowskiego. Wszystkie trzy mają podobno niezłe zyski, płynące głównie z rozprzedaży książek do nabożeństwa i elementarzy.

Na tem zakończę moje sprawozdanie. Wyda się ono zapewne niejednemu zbyt niedokładne i gorzkie. Co do niedokładności, sam chętnie się zgadzam; nie mogło być dokładne z powodu braku źródeł, że zaś miejscami jest posępne, to przypisać należy temu, iż przede wszystkim chciałem je uczynić prawdziwem.

Przegląd Tygodniowy, r. 1878, № 3, 4, 5, 6.

Szkice Amerykańskie.

I.

Wyoming. Zamierzona wyprawa. Góry skaliste. Przygotowania. Trochę geografii. Góry i rzeki Wyomingu. Droga do Omaka. Różnica między górami Skalistemi a Sierra Newada. Kraina skał i kamieni. Cheyenne. Charakter i zajęcia mieszkańców. Pierwsze wrażenia. Mała ludność kraju. Forty środkowe. Klimat Wyomingu. Caniony. Pokolenia indyjskie. Bawoły, jako warunek istnienia Indyan. Wędrówki bawolów. Polowania. Zmniejszenie się ilości bawolów. Wielka przeszkoda wędrówek. Schronienia. Caniony, jako zwierzyńce.

Nie pisałem do was dawno, ponieważ długi czas spędziłem w Wyomingu, na wyprawie myśliwskiej, która trwała przeszło miesiąc. Towarzystwo sportsmenów w San Francisco, złożone z bogatych ludzi, często nie wiedzących, co zrobić z pieniędzmi, przesłało mi zaproszenie do owej wyprawy, wraz z biletem na podróż do lasu i napowrót. Zrozumiecie łatwo, że nie namyślałem się długo. Na drugi dzień po odebraniu zaproszenia udałem się do naczelnika

przyszłej wyprawy, pana Woothrup, którego poznałem na parę miesięcy przedtem. Chciałem dowiedzieć się czegoś i o samej wyprawie i o przygotowaniach, jakich wymagała. Objaśnienia jego zwiększyły tylko moją ochotę wzięcia w niej udziału. Miała się składać ze dwudziestu przeszło ludzi wraz z końmi, wozami, krytymi płótnem, z zapasami żywności, amunicyi i tak dalej. Koszt jej obliczał się zapewne na setki dolarów, ten jednak wzgląd mnie, jako zaproszonego gościa, nie dotyczył. Co do przygotowań moich osobistych, to, nie licząc broni, której nie potrzebowałem kupować, koszt ich ograniczał się na zakupieniu dwóch kolder flanelowych i futrzanej czapki. Miałem za to perspektywę przepędzenia miesiąca czasu w górach Skalistych (Rocky Mountains), wśród zapóźnionej już pory roku i wśród wojowniczych pokoleń indyjskich, a wreszeie, wśród rozmaitego rodzaju niebezpieczeństw, na jakie narażają się polujący na bawoly.

Dla mnie, który mam pociąg do takiego życia, a potrochu już i do niego przywykłem, była to perspektywa powabna; kupiłem więc jak najspieszniej dwie kołdry, opatrzyłem broń, rdzewiejącą nad łóżkiem w mieszkaniu Horaina, nabyłem jeszcze nowy nóż, stary bowiem złamałem w Maripozie, i byłem gotów. W dwa dni później wyruszyliśmy na wschód. Drogi tej nie

będę opisywał, ponieważ opisywałem ją już poprzednio. Przez całą długość Wyomingu przechodzi na południowej granicy linia kolei dwóch Oceanów. Licząc od zachodu, nim się do niego dojedzie, przejeżdża się przez trzy stany: Kalifornię, Newadę, Utah-Sam. Wyoming stanowi obszerne płaskowzgórze, przecięte z północno-zachodu na południo-wschód pasmem gór Skalistych i rozmaitymi odrzutami tegoż pasma, noszącymi nazwy gór Czarnych, gór Słodkiej wody, i t. d. Północna część terytorium przybiera charakter bardziej stepowy, a raczej jest częścią olbrzymich łąk (preryi), zalegających wschód Montany, zachód Dakoty, całą Nebraskę, Jowę i t. d. W tej części wznosi się tylko jedna, samotna grupa gór Wielkorożnych (Big Horn Mts.), leżących na samej granicy Wyomingu i Montany. Pomiedzy wspomnianemi pasmami, a dalej, między głównym grzbieciem gór Skalistych a pomniejszych odrzutami, ciągną się tak zwane caniony, to jest płaszczyzny, zawierające ziemię urodzajną, pokryte trawą i gdzieniegdzie drzewami. Środkiem canionów, rozszerzających się czasem na setki mil, czasem zwężających się w proste gardła górskie, płyną strumienie, rzeczki i rzeki, wogóle jednak wód tych jest skąpo, i kraj cały nie ma ani jednej znakomitszej drogi wodnej. Większa część rzek i dorzeczy, bierze początek w Wyomingu, nie może się więc należycie rozwinać, skutkiem

czego też same rzeki, które w sąsiednich stanach odznaczają się już znaczną obfitością wód, w Wyomingu tworzą niezbyt godne uwagi koryta. Najznakomitszą rzeką jest Platte River, a raczej jedna jej odnoga, nosząca nazwę: Północnych widel rzeki Platty, jest bowiem i druga odnoga (Południowe widły), która nie leży już w Wyomingu. Inne, jako to: Big Horn R. na północy, Powder R. również na północy, Cheyenne na północo-wschodzie i źródła Zielonej rzeki na południu, tworzą początki koryt, skąpo zasilanych strumieniami, a żyjących głównie śniegiem, topniejącym w górach Skalistych w czasie letnich upałów. Ten brak wielkich wód, skalistość gruntu lub jednostajność stepowa cañionów nadają całemu krajowi charakter groźny, ponury i demoniczny. Gdy pociąg kolei, idącej na wschód, wpadnie między owe kamienne złomy, mury, korytarze i wąwozy gór Skalistych, podróżnemu zdaje się, że nie wyjedzie z nich nigdy, i że niema wcale wyjścia z tego chaosu przepaści, szczytów i skal. Droga tu skręca się ustawicznie. Gdym stał na platformie wagonu, widziałem nieraz lokomotywę, to ginącą za jakąś kamienną ścianą wraz z częścią blizkich wagonów, to znów skręcającą po wklęsłym boku góry, tak, że wydało mi się, iż zawraca napowrót do Kalifornii. Nigdzie droga nie opisuje tak wielu i tak pogiętych łuków. Czasem pociąg idzie po boku góry, jakoby po

wrebie niezmiernie spadzistej pochyłości, mając po lewej stronie niebotyczny szczyt, po prawej niezgłębioną przepaść. Nieprzywykłego do podobnych dróg podróżnika ogarnia wówczas po prostu przerażenie. Dach wagonu z jednej strony zdaje się ocierać o skałę, a z drugiej dolny jego zrab wisi nad przepaścią, nie oddzielony od niej żadną poręczą. Co chwila zdaje się, iż droga urwie się nagle pod kołami pociągu, że musi się urwać, i wszystko runie w przepaść, na jakie tysiąc stóp głęboką. Innym razem myślisz znów, że pociąg pędzi, jak rozwścieczony zwierz, wprost na skałę, że chce przebić sobie drogę przez górę. Już, już zdaje się, że lokomotywa ma się uderzyć i rozbić na setne części, gdy nagle otwiera się na prawo lub na lewo jaka niewidzialna zdaleka paszcza, i pociąg wpada w nią nagle, ginie na chwilę w ciemnościach, a potem znów wypada na światło dzienne, bijąc w dzwon, świszcząc, hucząc.

W Sierra Newada wszystko składa się na to, aby widza oczarować, w górach Skalistych, aby go przerazić. W Sierra Newada nie brak także skał i przepaści, nieraz i tam pociąg zdaje się jakoby zawieszony w powietrzu, ale z tych wysokości widzisz tarasy górskie, pokryte lasem sosnowym; ciemna zielen boru cudnie odbija od czerwonych skał; po bokach drogi bluszcz i powoje pną się gdzie mogą, nad pociągiem krążą ptaki. W dolinach, głębokich na tysiąc stóp, ro-

ślinność rozwija się z cudowną siłą: wszędzie widać życie i ożywienie, widać ludzi: widać chaty drwali, stopy zrąbanego drzewa, tartaki, bydło, chodzące po zielonych łąkach—tu niema żywej duszy; ani człowieka, ani drzewa: kamień, chmury, deszcz, śnieg, wieher—oto wszystko. Kamień zapada się w otchłań, kamień rozdziera chmury w górze, miesza się ze mgłą i tumanem, kamień wisi, ciąży, ugniata, przebiega miarę wielkości, staje się potwornym, staje się czemś gniewnem, złem i rozsza'a'em nie przestając być czemś mi'czacem i umar'em. Kto nawalił tak bezmyślnie, a tak strasznie tych skał, jedno na drugie, że wzrok nie może sięgnąć ich szczytu? Kto kazał im tak wisieć? Dlaczego potrzebowano tyle siły na stworzenie tego kamiennego kraju, nie—tej pustki, tej śmierci, tych kamiennych żeber, szkieletów, murów, wież, kościołów? Po co to wszystko? Dlaczego? Umysł ludzki tak jest zorganizowany, że zawsze pyta: dlaczego? zawsze chce wiedzieć przyczynę, zawsze szuka celu. A ta kamienna kraina olbrzymiej bezmyślności nie zaspakaia tych pytań, nie odpowiada nie, milczy—śpi. Stąd powstaje pewien rozbrat między nią a ludzkim umysłem i zmysłami. Rozbrat ten to coś, równie ugniatającego człowieka, jak kamień. To nowa przepaść, w którą się zapuszcza oczy, a nie widzi się jej dna. Ot! rozum poprostu mówi, że tą siłą, która wzniosła owe góry,

możnaby stworzyć cały świat żywy, żyjący, kochający, szczęśliwy, że więc ta siła mogłaby być błogosławioną i dobrą, gdyby nie była... ślepą.

Indianie mówią, że te góry stworzył zły duch. Amerykanie zdają się to potwierdzać, przyczepiając nazwę: „Devil” do większej części owych bram kamiennych, schodów i wąwozów. Ale dyabeł rzadko bywa bezmyślny, okolica zaś ta wygląda tak, jakby demon, który ją stworzył, stworzył ją w chwili pomieszanego zmysłu.

Kraina też to, której ludzie, jeżeli nie odkryją jakich bogactw mineralnych, długo unikać będą. W owe góry, nad rzeki, dorzecza i w caniony zapuszczają się tylko strzelcy, najmowani przez kompanie, handlujące futrami, lub samotni traperowie. Wyoming jest dotąd terytorjum, nie stanem, i zapewne nie prędko stanem zostanie. Główne miasto, Cheyenne, leżące niedaleko granicy Nebraska, jest poprostu znacniejszą stacją kolei żelaznej, koło której skupiło się nieco ludności, trudniące się cokolwiek rolnictwem, cokolwiek handlem, a głównie polowaniem i wymianą skór z Indianami. Naturę kraju i główne zajęcie mieszkańców podróżnik może odgadnąć na pierwszy rzut oka. Pamiętam, że, gdym, jadąc do Kalifornii, przybył do Cheyenne, pierwszym przedmiotem, jaki uderzył oczy moje na dworcu kolei żelaznej,

był szary niedźwiedź wypchany, ustawiony we drzwiach kolejowego dworca. tak wielki, że, lubo siedzący na tylnych nogach, przenosił o głowę mężczyzn wysokiego wzrostu. Drugi, mało co mniejszy, ale żywy, zamknięty w drewnianej budzie, opatrzonej żelazną kratą, kręcąc się po ciasnem więzieniu, przysiadł za zbliżeniem się ludzi i, przymknawszy oczy, otwierał paszczę, w którą podróżnicy wrzucali jabłka, orzechy, a nawet i kawałki cygar. Kudłate, olbrzymie lby bawolów, poprzybijane nad każdymi drzwiami, dopełniały charakterystyki kraju. Mieszkańcy miejscowi, którzy przybyli widzieć pociąg, ubrani w futrzane czapki i podarte kołdry flanelowe, często znaczone: U. S. (United states), a zbrojni w długie karabiny, zdradzali ludzi, dla których myśliwstwo jest głównym sposobem życia. Jakoż tak jest i tak być musi w każdym kraju dzikim i niezamieszkałym.

Prócz Cheyenne i prócz stacyi kolei nie ma w Wyomingu żadnych innych miast. Niektóre stacje tworzą czasem osady, liczące po kilka i kilkanaście domów, inne są tylko samotnymi domami, stojącymi na pustyni. Wzdłuż całej linii nie widziałem ani jednej fermy, ani jednej osady. Między jedną stacją a drugą daleko jest łatwiej ujrzeć antylopę lub niedźwiedzia, niż człowieka. Jest to kraj, całkowicie jeszcze przez białych ludzi nie zamieszkały. W głębi jednak znajduje się kilka fortów, poło-

zonych w pobliżu rezerwacyi indyjskich, jako to: najniżej na południu fort Laramie, w środku fort Casper, wyżej nieco fort Reno, a najdalej na północ posunięty Kearny. Forty te zamieszkałe są przez nieliczne oddziały żołnierzy, zostające pod dowództwem kapitana, w którego kwaterze przemieszkują zwykle razem komisarz do spraw indyjskich, pośredniczący między rządem Stanów a pokoleniami. Zresztą, tylko w Czarnych górach roją się już biali ludzie, zwabieni odkrytymi tam kopalniami, resztę zaś kraju zajmują dzikie zwierzęta i Indyanie.

Przyczyną małego zaludnienia się Wyomingu jest także i jego zimny klimat. Wyoming stanowi szczyt olbrzymiego płaskowzgórza, zalegającego cały środek Stanów Zjednoczonych. Jadąc do Wyomingu, bądź to od strony zachodniej z Kalifornii bądź od wschodniej z Chicago, jedzie się ciągle pod górę. Cheyenne, stolica kraju, leży na 6,041 stóp nad poziomem morza. Niedaleko Cheyenne, licząc od Missouri, zaczynają się pierwsze domy śnieżne (snow-houses), to jest: długie galerie drewniane, ciągnące się czasem na kilkanaście mil, broniące pociągi od zasp śnieżnych. Najwyższa stacja Shyrman leży na 8,242 stóp. Okolica Shyrman słynie z mnóstwa niedźwiedzi, które nie lękają się ustawicznej zimy. Na Shyrman pada śnieg latem i zimą, przyczem powietrze tak jest rozrzedzone, że z trudnością można oddychać. Od

tego punktu grunt poczyna się zniżać lekko w stronę Utah, zawsze jednak wznosi się na kilka tysięcy stóp nad poziom morza. Mogę powiedzieć, że, wyjechawszy w końcu października z Kalifornii, widziałem w ciągu kilku dni cztery pory roku; lato w Kalifornii, wiosnę na zachodnich stokach Sierra Nevada, jesień w posępnej Newadzie i Utah, a zimę w Wyomingu. Dyabła droga i Dyabła brama, przez które przejeżdżać trzeba, chcąc się dostać do środka tego kraju, wydały mi się drogą i bramą zimy. Poglądając na okolice z ciepłego sleepingkaru (wagony z łózkami), urządzonego jak salon, ogrzanego, oglądając na moich towarzyszy wyprawy, gentlemanów pierwszej wody, porozpieranych na aksamitnych fotelach lub zasiadających przed wykwintnie zastawionymi stolami, gawędząc z nimi, jedząc i pijąc, nie mogłem zrozumieć, jak może udać się nasza wyprawa w takim kraju, w takich warunkach i z takimi ludźmi. Trzebaż będzie, myślałem sobie, spędzać nocę wśród jesiennej pory pod gołym niebem, na wozach czasem, a czasem i bez wozów, przy ogniskach, znosić mróz, wicher, przebywać zaspę śniegowe, trzymać nocą straż za majdanem od Indyan i dzikich zwierząt, a wreszcie dążyć naprzód w kraju bezludnym, bezdrożnym i przepelnionym trudnościami.

Ale przedewszystkiem strach mój przed zimą okazał się w daleko większej części płon-

nym. Zimny klimat Wyomingu tłumaczy się nie szerokością geograficzną jego położenia, ale tylko wyniesieniem nad poziom morza. Południowa część terytorium, ta właśnie, którą mieliśmy zamiar splądrować, nie jest dalej położona na północ, jak Hiszpania, Włochy, Turcja i t. d. Wprawdzie różnica klimatyczna między tymi krajami jest niezmierna, raz dlatego, że wogóle Ameryka, w porównaniu z Europą, jest pod tymiż samymi stopniami zimniejsza, powtóre że, jak już wspomniałem, znaczna część środkowego płaskowzgórza amerykańskiego dosięga linii śnieżnej. W głębokich jednak canionach, wyniesionych niezbyt znacznie nad poziom morza i osłoniętych ze wszystkich stron górami, zima nie bywa tak surową, jesień zaś zdarza się nawet piękna i pogodna. Te to właśnie caniony służą za schronienie dość licznyim pokoleniom indyjskim, należącym częścią do plemienia Utes, częścią do Poncas i do Siuxów. Prócz tego są to prawdziwe zwierzyńce, rojące się mnóstwem najrozmaitszych zwierząt. Szary i cynamonowy niedźwiedź, kuguar, wilk są głównymi przedstawicielami drapieżników. Z mniejszych mięsożernych znajdują się obficie rysie, koty dzikie i wszędobyle kujoty, których żalosne skomlenie napelnia nocami, tak tu, jak i w Kalifornii, wąwozy górskie. W dorzeczach północnych Widel Platty, w jeziorach i strumieniach, których brzegi pokryte są lasem, w

źródłach Green River, w Medicina River i Powder R. gnieżdżą się jeszcze gdzieś osady bobrów, wiodące pracowity i mało dotychczas niepokojony przez białych strzelców żywot. Trawa, rosnąca w canionach, i mchy w górach dostarczają pokarmu licznym stadom antylop, jeleni, sarn, gemz. Z okien wagonu można dostrzedz całe kolonie piesków ziemnych i wieiórek (squirrelles); które Indianie, a nawet i biali uważają za najcenniejszy przysmak.

Głównym jednak przedstawicielem świata zwierzęcego jest bawół (buffalo). Istnienie Indian w Montanie, Idaho (Ajdak), Dallocie i Wyomingu, oraz w wielu innych terytoryach, gdyby nie bawoły, byłoby niemożliwe. Całe pokolenia i plemiona indyjskie żyją mięsem bawołem. Ze skóry bawolej robi sobie Indianin swój wigwam; sypia na skórze bawolej, okrywa się nią, wyrabia z niej odzież, siodła, postronki, słowem: wszystkie rzeczy codziennego użytku i niezbędnej potrzeby. Bardzo często przyczyną rozruchów indyjskich i wojen czerwono-skórych ze Stanami bywają pośrednio bawoły; gdy bowiem ilość ich zmniejszy się w jakiej okolicy, Indianie z głodu mrą, a nie mając innego środka, puszczają się na mordy lub rabunki, albo wymagają od rządu St. Zjednoczonych rozszerzenia swego terytoryum, co często, ze względu na inne plemiona, bywa rzeczą niemożliwą. W Wyomingu jednak bawoły znajdują się je-

szcze w wielkiej obfitości. Żyją bądź to w stadach mniej lub więcej licznych, bądź po kilka sztuk, bądź nawet pojedynczo. Te ostatnie zowią się „odłączonymi” i bywają najłatwiejsze do upolowania. Zwierzęta te mają peryody swych wędrówek. Przed zimą łączą się zwykle w wielkie stada i udają się ku południowi, szukając nie zasypanych śniegiem pastwisk. Dla Indian też, czas ten nazywa się czasem „wielkich łowów”. Za stadem ciągną Indianie, kuguary, niedźwiedzie, wilki, tocząc często krwawe walki o łup. Czerwonoskórni strzelcy, zapędziwszy się za zdobyczą, nieraz przekraczają granice swoich terytoryów, gwałcąc w ten sposób terytorya obcych pokoleń. Jest to właśnie główny, a niemal jedyny powód owej wojny wytopienia, jaką Indianie prowadzą między sobą; każde bowiem pokolenie broni swych granic z tem większą wściekłością, że idzie o bawoły, czyli poprostu o byt myśliwców, a również każde pokolenie własne granice przekracza.

Jednakże, prócz wędrówek jesiennych, bywają i inne. Zdarzają się wiosenne na północ i letnie, w rozmaite strony. Te ostatnie powoduje głównie susza, pociągająca za sobą wyniszczenie paszy i brak wody. Nigdy jednak zwierzęta nie opuszczają całkowicie danej okolicy. Zostaje ich zawsze dosyć w pojedynczych mniejszych stadkach lub odłączonych, które w tak zmniejszonej ilości łatwiej znajdują pokarm.

Polowanie na nie przedstawia wiele niebezpieczeństw. Gdy zwierzęta uciekają przed myśliwymi, ci ostatni zabijają je z łatwością, bądź ze strzelb, bądź lancami, bądź wreszcie chwytając pojedyncze sztuki na lasso. Czasem jednak, zwłaszcza starym samcom, gdy niema innego ocalenia, przychodzi do głowy bronić się. Wówczas scena się zmienia. Strzelcy zmykają konno na wszystkie strony, bawoly zaś gonią ich z zakrwawionemi oczyma i z głuchym rykiem. Na wiosnę, w czasie rui, polowania bywają niebezpieczniejsze, niż jesienią. Niezmierne upały letnie i brak wody rozdrażniają także te zwierzęta. Samee, zebrawszy się w łózysku rzeki, bodą mul, nalepiając przeto na kudły głowy taką ilość gliny, że po wyschnięciu żadna kula jej nie przebije; rozkopują racieami grunt, ryczą i rzucają się częstokroć wzajemnie na siebie. Wówczas to niebezpiecznie jest okazywać się nagle stadu, nie spłoszywszy go wprzód wyciem, krzykiem i strzelaniną. jak to zwykle czynią Indianie.

Obecnie jednak wędrówki te, o których wspomniałem, zostały w znacznej części ograniczone. Dawniej, według tego, com słyszał, bawoly z północnych terytoryów wędrowały aż do Colorado, Nowego Meksyku, Indian-Terytory i Texas; teraz zaś linia kolei żelaznej stanowi dla nich zaporę. Bawoly lękają się jej przestępować. W początkach nie tylko podobno

się nie lękały, ale nieraz musiano wstrzymywać pociąg z powodu stad, pasących się koło drogi lub leżących na samej linii. Mówiono mi, że potężne samce, poczytując zapewne lokomotywę za jakieś zwierzę pokrewnego sobie rodzaju, pochylały potężne łby za jej zbliżeniem się, jakoby wyzywając ją do walki. Oczywiście, walka taka kończyła się zgnieceniem w mgnieniu oka zwierzęcia i wyrzuceniem jego niekształtnego trupa na odległość kilkunastu kroków. Otóż może tego rodzaju nauki, a może krwawe rzezie, jakie wyprawiali podróżnicy z okien wagonów, ustawiczny nakoniec ruch na linii kolejowej, dzwony i świst maszyny, wszystko to sprawiło, że zwierzęta te nie tylko nie zbliżają się do pociągów, ale boją się nawet przechodzić przez szyny, choćby w miejscach najbardziej pustych.

Dziś więc, kto chce szukać bawołów, musi ich szukać nieco dalej, w głębi kraju bezludnego jeszcze. Nieliczne pokolenia indyjskie, zamieszkujące rezerwacye, nie pokrywają nawet w setnej części całego terytorium; tam więc zwierz chroni się przeważnie, i tam mieliśmy go też szukać pod przewodnictwem doświadczonych stepowych strzelców.

Szkice Amerykańskie.

II.

Przybycie do Percy. Wybrany canion. Wozy, konie i muly. Karawana. Przewodnicy. Pierwsi Indianie i Indyanki. Przybycie komisarza indyjskiego. Obietnice ze strony Utów. Regulamin wyprawy. Naczelnik obozowy i jego obowiązki. Naczelnik myśliwski. „Lewa Ręka“. Mówka „Lewej Ręki“. Wieczera u Irlandczyka. Pierwszy nocleg na wozie. Przyjaciel Ward. Ciągłe kłótnie. Naczelnik Woothrup. Inni towarzysze. Ranek. Zaprzęganie mulów. Sposób ruszania z miejsca. Metysowie: Smith i Bull. Góry słodkiej wody (Sweet water Mts.). Północne widły Platty. Czarne góry (Black Hills). Pośpny widok Czarnych gór. Kierunek Północnych Widel. Sąsiedztwo wody. Zarosła. Pierwszy strumień. Antylopy. Pierwszy strzał. Launch. Nocleg na stepie. Wybór miejsca. Muly. Chwile trwogi. Straże. „Stampedy“ indyjskie. Jak kradną muly i konie. Obozowisko, widziane w ciemności. Myśli o Europie. Nawoływania straży. Sen ze zmęczenia. Przebudzenie. Jednostajne dnie. Boczne caniony. Nieobecność ptaków. Caniony kalifornijskie. Wyoming. Zniechęcenie. Zły humor „Lewej Ręki“. Rys. Drugi rys i ruch lassa. Unikam walki noży. „Bowie Knife“ i sposoby używania go. Zwierz „fixed“. Placówka indyjska. Ślady Indian. Alarm w obozie.

Obawa „stampedu“. Rady starego strzelca. Noc na straży. Późna trwoga. Ślady bawolów. Pierwszy bawół. Wypadek naczelnika karawany z niedźwiedzią. „Falszywy koniec“ drzewa. Pochwytywany niedźwiadek.

Zamiarem naszym było spłować obszerny canion, ciągnący się między dwoma równoległymi pasmami gór Słodkiej wody (Sweet water Mts.). Canion ten nosi nazwę canionu Północnych Widel Platty, środkiem jego bowiem płynie rzeka tegóż nazwiska (North Fork of Platte R.). Improwizowany naczelnik naszej wyprawy, M. Woothrup (Uutropp) wysłał poprzednio list polecający go do p. Mac Lell, komisarza rządowego rezerwacyi indyjskiej Utów, do których należy canion wspomniany, pan Mac Lell zaś miał porozumieć się z naczelnikami tutejszych wojowników i wyrobić nam nie tylko prawo bezpiecznego pobytu, ale i wszelką pomoc z ich strony. Przy pieniądzach, jakie rozrzucali na wszystkie strony moi towarzysze, wszystko, z początku przynajmniej, szło i łatwo i składnie. Przybywszy do Percy, stacyi, leżącej nad North Fork of Platte R., zastaliśmy już wszystko przygotowane. Wozy dla nas, wraz z mułami i końmi wierzchowymi, nadeszły z Cheyenne. Do każdego wozu przydany był mulnik, razem więc sześciu mulników do sześciu wozów, nie licząc dwóch przewodników, metysów: Smitha i Bulla, oraz sta-

rego strzelca, zwanego „Left Hand” (Lewa ręka, mańkut), którego prawdziwego nazwiska nie mogłem się dopytać, ale z którym zaprzyjaźniłem się wielce odrazu. Gdym. wyszedłszy z wagonu, przypatrzył się wozom i całemu stadu mułów, przeznaczonych do ich ciągnięcia (po ośm do wozu, prócz zapasowych). sądziłem, że jedziemy zakładać jakie nowe miasto na pustyni. Wozy te, ogromne, na ciężkich kołach, wyrobionych z niezmiernie twardego drzewa „nicoro”, są to prawdziwe domy. Dachy ich kryte matami i grubym pasiastem płótnem pitsburskiem, stanowią wyborną ochronę od deszczu, śniegu i wichru. Wnętrza mogą pomieścić do dziesięciu osób. Zapasy żywności, składające się z suszonego mięsa, sucharów, ryżu, puddingów, wina i wszelkiego rodzaju konserwów, były wystarczające na kilka miesięcy, zwłaszcza, że mogliśmy je odnawiać świeżą zawsze zwierzyną. Mieliliśmy także potężną ilość wódki i tytoniu, dwóch artykułów najwięcej cenionych przez Indyan. Siedzenia wozów, przeznaczonych nie na zapasy, ale na noclegi, wysłane były skórami bawolemi, z których jedna miała służyć za materac, druga za koldrę. Niepodobna też wymyśleć przykrycia bardziej ciepłego i bardziej ochraniającego od wszelkich zmian atmosferycznych. Wybieraliśmy się, w całym znaczeniu tego słowa, dostatnio i wygodnie. Wozy były ustawione już na stepie w dobrym po-

rzędu. Dla Percy przybycie wozów, mulów, koni i nasze wreszcie było wypadkiem wielkiej wagi. Indianie, których kilka obdartych wigwamów stoi koło stacyi, okoliczni mieszkańcy, a raczej mieszkańcy sąsiednich stacyi, poschodzili się i pojeżdżali oglądać gentelmanów z San Francisco. Pusta zwykle stacya zaroiła się ludźmi i gwarem ludzkim. Indianie, poubierani w derki z literami U. S., umalowani na nosach i policzkach na czarno, przytem brudni i obdarci, przyglądali się nam i naszej bronii, jakby czemuś, czego nie oglądali nigdy jeszcze; nadeszły i ich skwewy z dziećmi na plecach, zamkniętymi w lubianych kobiałkach; pochylone, brzydkie, zwiedle, stare, z włosami, spadającymi na oczy, podobne, jak dwie krople wody do cyganek. Poczęły wyciągać ręce i zbierać, z początku lękliwie, potem, zachęcane obfitymi datkami, natarczywie i głośno. Za ich przykładem poszli i mężowie. Zrobił się hałas i wrzawa nie do opisania, psy szczekały, muły w ogrodzeniu poczęły kwiczeć, mulnicy kłąć. Powiedziałem Woothrupowi, abyśmy ruszyli natychmiast; on jednak pragnął naprzód ułożyć regulamin podróży, a powtórze doczekać się wiadomości od Mac-Lell, które miały nadejść wieczorem. Jakoż wieczorem przyjechał z Cheyenne sam Mac-Lell, człowiek niezmiernie ugrzeczniony, o twarzy najbardziej złodziejskiej, jaką sobie można tylko wyobrazić. Oświadczył, że

robił wszystko, co było w jego mocy, że Utanie obiecali mu także wszystko, co będzie w ich mocy, że mają nam dodać eskortę przy Mediciną R., słowem, że możemy być zupełnie bezpieczni. Mówiąc to, podchlebiał się i umizgał do moich towarzyszków, nie dlatego, żeby mu na nich coś zależało, ale ponieważ wiedział, że większość z nich należy do bogatszych ludzi w San Francisco. Tegoż dnia wieczorem ułożony został dzienny porządek wyprawy. Naczelnikiem jej miał pozostać, jak dotąd, Woothrup. Do niego należało doglądać porządku w pochodzie, wyznaczać godziny spoczynku i miejsca na przystanki, urządzać obozowiska, rozstawiać strażę, godzić sprzeczki, jeśliby takowe między towarzyszami wynikły, czuwać nad zapasami żywności, wydzielać z nich odpowiednią ilość za każdym razem, a na koniec wyznaczyć kierunek wyprawy, w czem mógł zasięgnąć rady swego Mańki i dwóch metysów przewodników, jako najlepiej z krajem obznajmionych. Stowarzyszonym zostawiona była wszelka swoboda. W czasie pochodu, gdy nie zachodziła potrzeba trzymania się razem, mogli konno albo pieszo odłączać się od karawany i przetrząsać okolice, nie pojedynczo jednak, ze względu na bezdroża, Indian i niedźwiedzi, ale po dwóch najmniej. Postanowiliśmy także nie oddalać się od karawany dalej niż dwie lub trzy mile, aby w potrzebie mogła nadejść śpieszna pomoc. Prócz te-

go, w razie, gdyby przewodnicy odkryli stada bawolów, antylop lub szarego niedźwiedzia, mielibyśmy działać wspólnie pod wodzą osobnego naczelnika, którego specjalnym obowiązkiem było kierować myśliwskimi obławami. Grzeczni Amerykanie chcieli mi ofiarować ten ostatni urząd; ja jednak, nie mając znajomości kraju i uczestnicząc po raz pierwszy w wyprawie na bawoły, wymówilem się od niego, przedstawiając na moje miejsce starego Lewą Rękę, który, jakkolwiek człowiek prosty i nieokrzesany, miał pod tym względem najwięcej doświadczenia. Propozycja moja była przyjęta jednomyślnie, co wielce pochlebilo staremu i zyskało mi szczególną jego przyjaźń. Powiedział nam przy tej okoliczności, „speech” dość zabawny: „Gentelmeni! — rzekł, poprawiając swoją futrzaną czapkę i splunawszy potężną ilość żutego tytoniu — ludzie mówią, że dość często używam „a little whisky” (potrochu wódki), ale zaręczam wam, że nikomu nie do tego, i przysięgam na tę rękę, że nie upijam się więcej nad dwa albo trzy razy do roku. Prócz tego, chcę być powieszonym, jeśli nie znam tak dobrze gór, jak każdy chrześcijanin, chodzący na dwóch nogach w Wyomingu. Co się tyczy Indyan (stary wymawiał indżus)—I don’t care (nie dbam o nich)—i to wszystko jest bardzo dobrze. Dziękuję wam, gentelmeni i goddam! mój język, że nie umiem lepiej podziękować!”

Po tej, zarówno rozczulającej, jak trafiającej do serca przemowie stary strzelec włożył nowy zwitek tytoniu do ust i odszedł do mulników, poczem wszyscy razem udaliśmy się na wieczerzę do szynku, a zarazem i piekarni. stojącej koło stacyi. Wieczerza składała się z sardynek, jaj, szynki i japońskiej herbaty z wódką, którą piliśmy w blaszankach. w jakie każdy zaopatrzył się jeszcze w San Francisco. Po wieczerzy i pomyciu naczyń przyszedł czas na spoczynek. Gospodarz jednak, Irlandczyk z twarzą obrzękłą od pijaństwa, ofiarował nam nocleg w szopie, gdzie, jak mówił, było kilka tonn słomy jęczmiennej, ale my, chcąc przyzwyczaić się do naszego przyszłego życia, postanowiliśmy spać na wozach, na których zresztą było może wygodniej, niż w szopie. Na dworze było ciemno, a przytem wiatr z pustyni z północy przejmował do żywego. Obwinawszy się jednak w skórę bawolą i mając takąż drugą pod sobą, wkrótce uczulem błogie ciepło, rozechodzące się po kościach. Ale kwik mulów, gryzących się w ogrodzeniu, i kłatwy mulników, którzy nadeszli, aby je uspokoić, nie pozwalały nam zasnąć. Zapaliliśmy więc fajki i poczęli gawędzić. Na wozie było nas czterech. Woothrup, Thompson, Ward i ja; Ward, którego znałem z Bohemian-Clubu blisko od roku, a z którym sprzeczałem się od pierwszego poznania, począł ze mną zwykłą dysputę o Kalifornię. Urodzo-

ny i wychowany w Kalifornii, z ojca Ameryk-
nina, a matki Hiszpanki, nie chce przyznać,
aby istniał jakikolwiek kraj, pod jakimkolwiek
względem od Kalifornii doskonalszy.

Nieraz sprzecza się ze mną o rzeczy tak
blahe, że inni śmieją się z niego i przezywają
go „Crazy Ward” (szalony Ward). Dość, abym
przy śniadaniu lub obiedzie zrobił uwagę, zre-
szta prawdziwą, że owoce i kartofle kalifor-
nijskie, lubo większe od europejskich, nie są tak
smaczne, a Ward zrywa się i wykrzyknawszy:
„by God!”, poczyną ze mną kłótnię. Pierwszego
noclegu na wozie posprzeczaliśmy się o wy-
ścigi. Kwik mułów i koni sprowadził rozmowę
na te zwierzęta, a następnie wyścigi konne,
które w Kalifornii odbywają się wozami. Gdym
powiedział, że wyścigi takie nie mają sensu,
Ward odrzucił skórę bawoła, którą był nakryty,
zerwał się, uderzył głową o pulap wozu, prze-
wrócił się, upadł na flegmatycznego Thompso-
na, i rozpoczęła się zwykła wojna, którą prze-
walało dopiero chrapanie Woothrupa. Mimo te-
go jednak Ward trzymał się ze mną najbliżej
i oddał mi potem w ciągu wyprawy niemałe u-
sługi, pilnując mię, gdym zasłabł, jak brat. Co
do dwóch innych moich towarzyszków, Thompson
jest to flegmatyczny Anglik, długi, chudy, z
oczyma i ustami, których końce spuszczaają się
na dół, co wszystko robi go podobnym do kary-
katury, wyciętej z papieru. Sympatyczniejsze

wrażenie robił na mnie Woothrup, człowiek niemłody już, ale światowy, bogaty, mający tylko tę wadę, że lubi opowiadać anegdoty, które pod wszystkimi szerokościami geograficznymi sły-
szałem opowiadane, jako miejscowe, po tysiąc razy. Z innych towarzyszków podróży, znałem tylko poprzednio jednego O'Leary, bogatego właściciela browaru w San Jose, na którego kosztowne wyprawy myśliwskie i żeglarskie pracowały dzień i noc beczki piwne we wspomnianem mieście. Z pozostałymi zaznajomilem się dopiero w czasie wyprawy. Nazajutrz rano wyruszyliśmy świtem w drogę. Czytałem czy też słyszałem, nie pamiętam, gdzie i od kogo, że zaprzęganie mulów do wozów odbywa się z wielkimi trudnościami, że potrzeba je chwytac na lassa, zaprzęgać jednocześnie do wszystkich wozów, że mulica, ubrana w dzwonki, musi iść naprzód, aby karawana mogła wyruszyć, i tak dalej. Wszystkiego tego nie widziałem. Być może, że podobne ceremonie potrzebne są z mulami, które poprzednio nie były zaprzęgane, które, chodząc po stepie w stadach, większą część życia spędzają w stanie półdzikim. Ale nasze łatwo poddawały się ludziom, pozwalały zakładać na siebie szleje i prowadzić się do wozów. Prawda, że są to zwierzęta dosyć niezgodne, i gdy je ustawiono, parami, przed każdym wozem po cztery, zdarzyło się, że stojący w tyle sięgał zębami po ogon

stojącego na przodzie, ten znów wierzgał w zęby tylnemu, z czego robiło się zamieszanie. Ale gniewne wykrzyki: „goddam!” mulników położyły wkrótce koniec tym nieporozumieniom. Potem, gdy cztery pary w lejce są już szczipione i zaprzęgnięte, cała trudność polega tylko na tem, aby ruszyły naprzód wszystkie jednocześnie; jeśli się zdarzy bowiem, że jedna lub dwie pary porwą się ciągnąć pierwszej, wówczas, nie mogąc poruszyć wozu, narowią się i cofają lub przysiadają na miejscu, upierając się do tego stopnia, że trzeba nieraz godziny czasu, aby je uspokoić i do nowej próby zachęcić. Sprawia to ogromne zamieszanie; wóz bowiem, który szedł naprzód, nie może czekać, aby między swoje muły nie wprowadzić nieporządku, wozy, zaś, idące z tyłu, muszą się zatrzymywać, skutkiem czego cała karawana rozrywa się i rozprasza, tak że, zwłaszcza w miejscach nierównych, wozy giną sobie z oczu. Zdarzyło się to nam później kilkakrotnie, ale pierwszego rana wyruszyliśmy szczęśliwie. Zresztą nie siedzieliśmy na wozach, tylko na koniach. Metysowie przewodnicy: Smith i Bull, ruszyli naprzód, a że jeszcze niezupełnie było widno, wkrótce więc ujrzeliśmy ich zaledwie migających wśród szarego światła poranku, a potem znikli nam zupełnie z oczu. Gdy się rozwidniło, począłem przyglądać się okolicy, Jechaliśmy środkiem obszernego canionu, który, jakby olbrzymia, na

kilkanaście mil szeroka ulica, szedł na północ. Dwa boki, a raczej dwie ściany jego boczne, stanowiły pasma gór Sweet water Mts. (Słodkiej wody); przez przerwy zaś pasma, leżącego po prawej stronie, widać było południową grupę Black Hills (Czarnych gór). Nazywano ją południową, jest bowiem dalej na północ druga, nie mająca z tą łączności, leżąca częścią tylko w północno-wschodnim Wyomingu. Co do tej właśnie grupy, którą mieliśmy po prawej ręce, zauważyłem, że żadne chyba góry nie nazywają się z większą słusnością Czarnemi. W bladym świetle poranku i na sinawem tle wschodu, te groźne, posępne masy wydawały mi się tak głęboko, tajemniczo i strasznie czarne, jak gdyby powleczone kirem. Niektóre tylko szczyty ubielone były śniegiem, jakby białym szlakiem na całunie. Na świecie robiło się coraz widniej, dał stepowa, odległe zarośla, grupy drzew, stoki Sweet water Mts. wychylały się coraz bardziej i coraz wypuklejsz na światło dzienne, wreszcie niebo na wschodzie stało się błękitne, złote i różowe, a owe wzgórza nie utraciły nie i nie ze swojej złowrogiej barwy.

Posuwaliśmy się naprzód zwolna wzdłuż koryta Północnych Wideli (North fork) rzeki Platty, płynącej środkiem canionu wprost na północ i dopiero znacznie wyżej skręcającej się na wschód, w kierunku Missouri, do której, przebiegłszy całą Nebraskę, wpada pod Omakę. O-

ba brzegi rzeki porosłe są wierzbina, która, nie dochodząc po większej części wielkości drzew, miejscami stanowi nieprzebyte gąszcze, miejscami zaś otwiera się w polanki, pokryte wysoką a cienką trawą, zwaną „buffalo grass”, czyli „trawą bawolów”. Dla mułów i koni jest to najprzedniejsza w świecie pasza. W miejscach, w których znajduje się obficie, zwierzęta w półtorej godziny zaspakajają głód, obracając resztę nocy na wypoczynek. Sąsiedztwo rzeki było dla nas ze wszech miar koniecznem, raz dla wody, drugi raz dla trawy, która na stepach, spalona przez letnie upały, tylko koło rzek znajduje się w każdej porze, a na koniec jeszcze i dlatego, że z tychże samych przyczyn wszelki zwierz trzyma się głównie pobraży. Z tem wszystkiem jednak, pierwszy ten dzień poczynął nam się dość jednostajnie. Ja i Ward, nie trzymając się karawany, jechaliśmy tuż nad brzegiem zarośli, błędząc oczyma w tym labiryncie poplątanych prętów i na próżno upatrując jakiegokolwiek żywego stworzenia. Wiatr wzmagał się i przejmował nas zimnem, które staraliśmy się rozpędzić częstem pociąganiem brandy z gumowych flaszek i paleniem fajek. Okolica zdawała się być zupełnie pustą i jednostajną. Przed nami zawsze też sama rzeka, i ten sam canion, ciągnący się do nieskończoności, dwie też same sylwetki naszych konnych przewodników, to ukazujące się, to niknące we

wgłębieńiach gruntu, po bokach też same pasma gór, zresztą cisza, zakłócana tylko szelestem wierzby, uchylającej się pod wiatrem. Większość towarzystwa, idąc za radą starego Mańki, trzymała się karawany. O'Leary i Winson którzy zapuszczali się w step z drugiej strony, również nie widzieli nic; nareszcie, koło godziny dziesiątej zrana, ujrzelśmy pasemko zarośli, ciągnące się prostopadle do rzeki, a napoprzek naszej drogi. Przewodnicy nasi, którzy znikli w tych zaroślach, po chwili ukazali się napowrót, pędząc galopem do karawany. Sądziłem, że odkryli może Indyan albo bawoly, ale omyliłem się, oświadczyli tylko, że napotkali strumień, który będziemy musieli przebyć. Jakoż przebyliśmy go w pół godziny zupełnie bez wypadku, była to bowiem tylko struga wody o brzegach płaskich, zaledwie wijąca się po twardym stepowym gruncie. Po przebyciu zarośli, leżących na drugim brzegu, ujrzelśmy ślady stada wielkich antylop, złożonego z sześciu sztuk. Zwierzęta te wysokie, o sierści płowej, jaśniejszej pod brzuchem, uciekały w kierunku gór z taką szybkością, że ani było myśleć o ściganiu ich konno. Jednakże stary Mańkut kazał nam teraz rozproszyć się po stepie, tak, abyśmy, nie tracąc się z oczu, zajęli przestrzeń na milę przynajmniej. Grunt z tej strony strumienia pokryty był krzakami nieznanego mi pochodzenia, dość gęstymi; łatwo więc było się

spodziewać, że lada chwila zwierz jaki podniesie się z legowiska. Jakoż po niejakiem czasie dany był pierwszy strzał. Ponieważ krzaki były niskie, widziałem więc doskonale flegmatycznego Thompsona, jak, zatrzymawszy konia, zmierzał się z karabinem, po chwili z końca lufy wybuchnął biały dymek, rozległ się strzał, po którym Thompson począł galopować naprzód. Przebiegłszy odległość około 300 kroków, przestrzeń, dzielącą mnie od niego, dostrzegłem małe szare zwierzę, które, to skacząc, to zapadając pyszczkiem w trawę, usiłowało, jakkolwiek ranne, ratować się ucieczką. Dogoniliśmy je jednak w momencie. Była to antylopa ciemnego koloru z żółtymi centkami na grzbiecie, młoda jeszcze, na nóżkach tak cienkich, jak badyłki. Thompson postrzelił ją kulą między łopatki. Gdyśmy dopadli do niej, przewróciła się na bok z głową odrzuconą i wywieszonym językiem, żyła jeszcze, ale Thompson dobijał ją nożem, poczem powrócił z nią do wozów, ja zaś pojechałem dalej.

W samo południe zatrzymaliśmy się dla zjedzenia lunchu. Mulnicy, zajechawszy wożami w półkole, wyprzęgli muly, które popędzili na trawę, a następnie do wody. Poczem, naciąwszy siekierkami zarośli, nanieciliśmy ognia i zabraliśmy się do przygotowania lunchu. „Lewa ręka” sprawił w mgnieniu oka antylopę, którą upiekliśmy w popiele i zjedli aż do ko-

ści, popijając herbatę z rumem. Prócz tego, mieliśmy pieczone kartofle, wędliny, konserwy z ryb, z owoców, a nawet i z zielonego groszku, słowem, lunch, jakiegoby się nie powstydziła niejedna restauracya w San Francisco. Po lunchu powyciągaliśmy się przy ogniu na naszych koldrach i, pookrywawszy się skórami, pokrzepialiśmy spoczynkiem kości, strudzone trwającą od świtu konną jazdą.

Koło godziny trzeciej ruszyliśmy dalej. Kraj nie zmieniał się ani na jotę; aż do noclegu nie zaszło nic godnego uwagi, nie padł ani jeden więcej strzał. Stepy nie są menażeryą ani zwierzyńcem, można podróżować po nich całymi dniami, nie spotkawszy żywego stworzenia, czasem za to, gdy szczęście posłuży, spotyka się zwierzyny aż zanadto. Droga stawiała się coraz trudniejszą. Miejscami przewodnicy napotykali dość znaczne wgłębienia na stepie, które trzeba było objeżdżać, co zabierało sporo czasu. Na nocleg stanęliśmy w wierzchołku kęta, utworzonym przez ujście strumienia do rzeki. Jakkolwiek według zaręczeń Mac-Lella, ze strony Indyan nie mieliśmy się czego obawiać, a według prawdopodobieństwa nie mogliśmy ich jeszcze spotkać, ostrożność jednak jest rzeczą, której na pustyni przestrzega się zawsze. Dlatego obozowisko nasze było wybrane w ten sposób, abyśmy, w razie niebezpieczeństwa, mogli się bronić skutecznie. Rzeka i strumień za-

bezpieczały nas z dwóch stron, wozy zaś, stanowiące podstawę trójkąta, z trzeciej. Muły, które nie mogły znaleźć pomieszczenia w trójkącie, wyprowadziliśmy na trawę. Na stepach nie puszcza się ich jednak na wolę. Każdy muł przywiązany jest do długiego lasso, na którego przeciwnym końcu znajduje się długi na półtorej stopy żelazny kolek. Kolek ten zatyka się w ziemię, zwierzę więc może obchodzić w promieniu lassa i paść się trawą, nie mogąc jednak uciec w step. Ostrożność ta jest konieczną, albowiem na pustyni, zwłaszcza wśród nocy, tak muły, jak konie, opanowują chwilaми paniczna trwoga. Czasem przyczyną trwogi bywają niedźwiedzie lub wilki, czasem Indyanie, a czasem i niema żadnej widocznej przyczyny. Zdarza się wówczas, że muły wyrwają z ziemi kołki i rozbiegają się na cztery wiatry. Dlatego, pomimo kołków, czuwa zawsze nad nimi straż z kilku ludzi; obecność bowiem człowieka dodaje im odwagi. Straży tej głównym obowiązkiem jest: strzedz stada od Indian. Obecnie, gdy większa część pokoleń indyjskich umieszczona jest w rezerwacyach, nad którymi czuwają forty, zdarza się dość rzadko, żeby Indyanie godzili na życie i skalpy białych, zwłaszcza nie podróżujących samotnie. Z tem wszystkiem, włóczą się jednak większe lub mniejsze ich oddziały po stepach, które, jeśli zdarzy im się sposobność ukradzenia kilkuna-

stu mulów lub koni, nigdy nie pomijają takowej. Dla Indian konie lub muły stanowią największe bogactwo, największą pomyślność i posługę, dlatego kradną je zawsze, kradną je w czasie pokoju i wojny, nie tylko obcym podróżnikom, ale nawet takim, z którymi palili fajkę przy jednych ogniskach.

Oczywiście, kradzież taka nie uważa się w ich pojęciach za żaden występki, przeciwnie, za rzemiosło, w którym każdy wojownik ćwiczyć się powinien. Jakoż doprowadzają je do doskonałości. Gdy oddział, blakający się po stepach, upatrzy stado, stojące na noclegu, najzręczniejsi z pomiędzy wojowników czolgają się nocą na brzuchach, starając się ująć oczom straży i dostać się w środek stada. Gdy im się to uda, wyciągają ze ichta kolki z ziemi, a powyciągawszy je, podnoszą piekielny wrzask i wycie. Straszliwa trwoga opanowuje wówczas zwierzęta, oślepienie strachem muły i konie biegną naoslep w step, gdzie wpadają w ręce pozostałych wojowników. Ci zaś, którzy dostali się w środek stada, dosiadają, w chwili podniesienia krzyku, najbliższych wierzchowców i ratują się na nich ucieczką. Nazywa się to wszystko razem „stamped”. Dla zapobieżenia podobnemu wypadkowi, gdy tylko muły były już ustawione na noclegu, dwóch mulników, uzbrojonych od stóp do głów w rewolwery i czternaścio-strzałowe Henry-rajfle, udało się na straż,

która miała być zmieniana co dwie godziny. Prócz tego, ponieważ stado nie mogło być z powodu braku strawy ustawionem blisko wozów, osobno strażę miały czuwać nad obozem. Być może, że nie zachodziła tego potrzeba, ale postanowiliśmy stróżować, choćby dlatego, że, pierwszego dnia przynajmniej, obowiązek ten nie wydawał się nikomu ciężkim, a przytem chcieliśmy wszyscy rozpocząć jak najprędzej życie stepowe ze wszystkimi jego zwyczajami.

Prosiłem Woothrupa, abym ja należał do tych pierwszych wartowników, na co się chętnie zgodził. Odjechawszy na jakie trzysta kroków w ciemność, zatrzymałem konia. Na tę samą, mniej więcej, odległość, miałem po prawej ręce Le Clerca, a po lewej Warda. Noc zaczęła się spokojnie. W obozowisku zdala buzował się wielki ogień, podsycany wierzbina, około którego widziałem czerwone sylwetki ludzi; przede mną był step głuchy, pusty, ciemny, nade mną—gwiazdy. Puściłem po nim myśl, jakby rozuzdanego konia. Jakież to przestrzenie leżą tu jeszcze—myślałem sobie— prawie sto-pą ludzką nie dotknięte, ile milionów ludzi mogłoby tu się zmieścić, dojść do posiadania swojej własności, swego kawalka ziemi. A tam, w starej Europie, toczą się wojny; jedne państwa wzrastają kosztem drugich, walczą o posiadanie prowincyi, o rozszerzenie granic, i... czy choć jeden, np. Niemiec, wyjąwszy kilkudzie-

sięciu urzędników, może się nazwać szczęśliwym z tego powodu, że dziś Alzacya należy do Prus, a nie do Francyi, czyż choć jednemu przybył stąd marny grosz do kieszeni, czy głodnemu jest teraz jednym kawałkiem chleba więcej? I przyszło mi na myśl, że ta szeroka od oceanu do oceanu Ameryka ma jeszcze i tę wyższość, że w niej idea państwowa nie pochłania, tak jak naprzykład w Prusach, jakby Moloch, indywiduów, że tu państwo istnieje dla ludzi, dla nich prawa, dla nich urzędy, nie oni dla praw i urzędów, a nakoniec, że te tu-tejsze, tak niby luźne związki państwowe trwalsze są od wielu innych, bo ugruntowane na korzyści ludzkiej, na szczęściu ludzkim i na poczuciu tego dobra w indywiduach.

Z tych marzeń i myśli wyrwało mię przeciągle „all right!” Odkrzyknąłem owe „all right” Le Clercowi, które je powtórzył z kolei, i znów cisza zapanowała na stepie. Ogień w obozowisku palił się jeszcze, ale już słabiej; widać większa część ich tam poszła już do wozów spać. Podniósł się chłodny wiatr, który chwiał w prawo i w lewo kiściami dymu i płomienia, tak, że ognisko przestało się buzować, a poczęło migotać. Ogarniał mię sen i znużenie, a przytem było czuć zimno w nogi. Zajrzałem raz i drugi do mojej gumowej flaszki z brandą; potem, jak mówi Słowacki, „z gwiazd zrobiła mi się w oczach kasza”. Napróżno obwinałem

sobie lejce koło dłoni i ściągnąłem krócej konia, aby kiwaniem głowy szarpał mię za ręce i obudził; sen mocniejszy był od wszystkiego, wkrótce też usnąłem, nie gorzej jak Konrad Wallenrod po swej uczcie, na której uraczył się w tak dziko-bajroniczny sposób, że aż stół przewrócił i zasnął.

Obudził mię dopiero Woothrup, który, jako bosmen obozowy, objeżdżał strażę.—Morning, sir — rzekł mi — szczęśliwy obóz, który śpi pod taką strażą. Mógłbym pana oskalpować i oddać mu jego skalp dopiero jutro, ale, przy tej sposobności, powiem panu jedną anegdotkę...

— Panie — przerwałem zawstydzony — z równą rozkoszą wysłucham jej jutro, co tam robią Ward i Le Clerc? — Właśnie jadę ich pobudzić — odpowiada Woothrup. Jakoż nie omyliłem się, bo spali obaj, jak zarżnięci, z czego byłem bardzo szczęśliwy, bo nie mogli wyśmiewać się ze mnie nazajutrz. W pół godziny też potem zlurowano nas innymi; my zaś, wynagradzając sobie tak długie i sumienne czuwanie, udaliśmy się prosto pod skóry bawole do naszego wozu.

Drugi i trzeci dzień gorsze były jeszcze od pierwszego. Strzelaliśmy tylko do pieków ziemnych, więcej dla wprawy, niż pożytku. Jedy-
nym wypadkiem była sprzeczka Warda z Thompsonem, zagodzona z wielkim taktem przez Woothrupa, jedyną zaś pociechą to, że

droga stawała się coraz lepszą. Zagłębienia na stepie znikły, mogliśmy więc posuwać się prędzej i w kierunku zupełnie prostym. Szczyty Sweet water Mts., ciągnące się po lewej stronie rzeki, zmniejszały się coraz bardziej. Były to już tylko wzgórza, których przerwy, jak nas o tem przekonały nasze lunchy, pokryte były drzewami. Przebywszy w płytkim miejscu Północne Widły, dotarliśmy w kilku aż do owych bocznych canionów; wydały się nam one jednak jeszcze pustsze, niż główny. Uderzyła mnie szczególnie nieobecność wielkich ptaków. Cóż za różnica między tymi canionami a kalifornijskimi, zaludnionymi przez tysiące błękitniaków, kuropatw, drozdów, barwistych dzięciołów, kolibrów i biegunów (volking-bied), tu ani nawet wrony jednej. Ale cóż za różnica i klimatyczna, tam wszystko zieleni się, kwitnie, śpiewa, mieni, jak tęcza, i uśmiecha — tu wszystko nosi jakiś charakter posępny i złowrogi. Grunt pod drzewami nie pokryty runią, same drzewa rozkładają gałęzie, jakgdyby bały się rosnąć swobodnie w górę, a pod drzewami wieczna cisza, przerywana czasem tylko rykiem dzikiego zwierzęcia.

Pewne zniechęcenie poczęło ogarniać nasze grono. Trzy dni konnej jazdy nuży, zwłaszcza, gdy nie nie zajdzie takiego, coby dozwoliło zapomnieć o zmęczeniu. Zatrzymywaliśmy się często dla przetrząśnięcia okolicy. Rozbiegłszy

się na wszystkie strony, tak daleko, że jeden tracił drugiego z oczu, zataczaliśmy wielkie koła, przepatrując wszystkie krzaki, zarośla, rozpadliny stepowe, zawsze napróżno. Towarzysze moi zaczęli coraz częściej zsiadać z koni, aby szukać wypoczynku na wozach; ja, przyzwyczajony już do ciągłych konnych wycieczek w południowej Kalifornii, męczyłem się mniej od innych i przepatrywałem okolicę staranniej. Towarzyszył mi zwykle Ward, który od czasu sprzeczki z Thompsonem zaczął się mniej ze mną sprzeczać. Zapraszaliśmy z sobą i „Lewą rękę”; ten jednak mało oddalał się od karawany, zachowując się widocznie na później i nie ukrywając złego humoru z przyczyny niespodziewanego braku zwierzyny na stepie.

Czwarty dzień przeznaczony był na wypoczynek; karawana miała wyruszyć dopiero nazajutrz o świcie; tymczasem, ponieważ nic nie zdradzało obecności Indian, każdy mógł robić, co mu się podoba, pozostać przy wozach lub jechać na polowanie, gdzieby chciał. Przyłączyłem się do metysów Smitha i Bulla, i ruszyliśmy razem w kierunku wschodnim. Tym razem los nam sprzyjał; zaledwie bowiem oddaliliśmy się na parę mil (angielskich) od karawany, z krzaku, rosnącego opodal, wysunął się duży ryś, szary, centkowany, nie dalej, jak o trzydzieści kroków od nas. Wstrzymawszy natychmiast konia, strzeliłem doń tak szczę-

śliwie, że zabiłem go na miejscu. Kula strza-
skała mu wierzchnią część karku wraz z krę-
gami szyjnymi. Ale, gdym dla pewności, ze-
skoczywszy na ziemię, dobijał go jeszcze kilku
pchnięciami noża, z poblizkiego krzaku ruszył
się drugi, który utaił się po strzale i. zaślepio-
ny wściekłością lub trwogą, ruszył wprost na
mnie. Zaledwie jednak miałem czas przykle-
knąć, przysłoniwszy jedną ręką oczy, drugą
trzymając straszliwy „bowie-knife”, gdy w po-
wietrzu świsnęło łąso, rozległo się jakby u-
derzenie biczem; schwytany za szyję zwierz, be-
knął chrapliwie, zwinął się w kłębek i, odbijając
się, jak piłka, od kamieni i gruntu stepowego,
porwany został jakby wichrem w step przez
metysa Smitha. Drugi przewodnik, Bull, schwy-
tał tymczasem mego konia, z którego zsiadłem
dla dobicia mojej ofiary, a który, w chwili gdym
przyklęknął, uciekł i galopował w kierunku ka-
rawany. Ten najpiękniejszy rzut łąsa, jaki kie-
dykolwiek widziałem, uchronił mnie co najmniej
od licznych pokąsań i zadrapań ręki, które zre-
szta raz już musiałem przecierpieć w górach
kalifornijskich. Życiu myśliwca, uzbrojonego w
nóż, właściwie mówiąc, rzadko zagraża niebez-
pieczeństwo, chyba w razie zupełnej utraty
przytomności. Rys, dziki kot i jaguar rzuca się
zwykle na oczy, że zaś te przysłania się w ta-
kim razie ręką, zwierz chwyta się pazurami
i zębami, a zanim poprzedziera ubranie, kilka

pchnięć trójkątnego i tęgiego noża w brzuch i w piersi uspakaja go zwykle. Na południu zuchwali myśliwi uderzają nawet w ten sposób na jaguara, obwiązawszy poprzednio lewą rękę grubem „puncho”. W zimnym jednak klimacie, w którym i tak nosi się grubsze ubranie, ręka, zwłaszcza gdy się ma do czynienia z mniejszem zwierzęciem, wychodzi zwykle bez szkód znaczniejszych. Na szarego niedźwiedzia jednak ten sposób nie przydał się na nic; ten bowiem nie tylko umie parować nóż, jak najprzedniejszy fehmistrz, ale jednym uderzeniem łapy zdziera skórę z głowy i gruchoce czaszkę.

Smith powrócił wkrótce ze swoim łupem, uduszonym i porozbijanym o kamienie. Pytałem go, czy nie potrzeba jeszcze kilku pchnięć noża, ale on, pokazując mi swoje białe zęby, odpowiedział, że zwierz jest „fixed”, jakby po polsku powiedzieć „ustalony”. Jakoż i był ustalony raz na zawsze, bo po owej przejażdżce myślę, że nie miał ani jednej całej kości. Indyane i metysowie chwytają na lassa nawet niedźwiedzie i bawoły, ale w takim razie jeden koń i jeździec nie wystarcza; za to wszelkie inne zwierzęta, nie wyłączając i jaguara, wleczone przez kwadrans po stepie, tracą stanowczo życie, bądź to skutkiem uderzenia, bądź skutkiem pogruchotania kości pacierzowej.

Założywszy naszą zwierzynę na konie, które zachowały się przytem dziwnie spokojnie,

ruszyliśmy w kierunku karawany. Zaledwie jednak jechaliśmy z kwadrans, metys Bull, obdarzony nadzwyczajnie bystrym wzrokiem, przysunął się do mnie i szepnął mi, abym, udając, że się nie oglądam, spojrzał na prawo w krzaki, pokrywające niewielką wyniosłość, odległą na tysiąc może yardów. Poszedłem za jego radą i, zwróciwszy nieco konia, wyteżyłem wzrok we wskazanym kierunku. Krzaki były wysokie i dość gęste, na próżno jednak badałem je oczyma. „What is the matter?” (coż to jest) spytałem metysa:—„Buffalo?”—„No”, odpowiedział. — „Niedźwiedź?”—„No”. „Cóż na koniec?” „Patrz teraz między te dwa krzaki.” Spojrzałem jeszcze raz i po chwili ujrzałem jakoby dwa końce skrzydeł ptasich, chwiejące się lekko między gałęziami.—„To ptak?”, spytałem.—„No, sir! to „indzun”, który nas śledzi”. Przez krótką chwilę naradzaliśmy się, co mamy robić, czy dać poznać wojownikowi indyjskiemu, żeśmy go dostrzegli, czy też, udając, że nie widzimy, wrócić do karawany i ostrzedz ją, aby miała się nocą na baczności. Metysowie, którzy mieli może ochotę odeprzeć nocny „stamped” (rozgon mulów), a przez to zasłużyć się nam i mieć potem prawo domagania się wyższej zapłaty, chcieli, żeby wracać, ja jednak uparłem się, aby jechać wprost na Indyanina: „He will kill you” (on cię zabije), rzekł mi Smith. — „All right!” odpowiedziałem, zwracając konia wprost na

wzgórze. Nie tylko wiedziałem, że równa droga była tak mnie, jak i jemu być zabitym. ale byłem przekonany, że nie będzie nawet strzelał do mnie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, wojownik ten musiał należeć do pokolenia Utów, które było uprzedzone przez Mac Lella o naszym przybyciu; powtórę. we własnym interesie nie porwałby się na mnie, wiedząc i widząc, że mam dwóch towarzyszków, a nakoniec Indyanin w czasie pokoju rzadko godzi na życie białego, którego śmierć nie może pozostać w ukryciu.

Początkowo kłusując, następnie jadąc, co koń wyskoczy, przez zapadłe dosyć wgłębienie, oddzielające nas od wzgórza, wkrótce znaleźliśmy się na jego szczycie. Jakież było moje zdziwienie, gdym, obejrzawszy się dookoła, nie ujrzał żywej duszy. Napróżno oglądałem się, napróżno przepatrywałem krzaki i zarośla: nigdzie żadnego żywego stworzenia. Pomyślałem, że metysowie zwiedli mnie; zwróciwszy się więc do Bulla, powiedziałem mu ostro, że, jeśli miał zamiar żartować sobie ze mnie, może źle wyjść na tem. Ale Bull przysięgał się na wszystko, że widział Indyanina, Smith zaś potwierdzał jego słowa. Wkrótce też wynaleźli ślady i pokazali mi je dotykalnie, następnie zaś, obejrzawszy grunt, odgadliśmy łatwo, co się stało. Druga strona wzgórza była pęknięta na dwoje. Pęknięcie owo stanowiło głęboką wyrwę, idącą

daleko w step w kierunku wschodnim i ginącą w dali u stóp gór. Dno jej pokryte było nieprzebitą gęstwiną wierzb i innych krzaków, w które Indyanin łatwo mógł się ukryć i uciec.

Ścigać go było niepodobieństwem. To jednak pojawienie się czerwonego wojownika i zagadkowe jego zniknięcie zaniepokoiło mnie, a przynajmniej dało mi do myślenia. Indyanie wiedzieli już o nas, było to pewnem, ale skądże to dziwaczne ich postępowanie? Wszakże, wedle upewnień Mac Lella, mieli nam dać przewodników przy Medicine Rivier i polować na bawoły razem z nami. Przepelniony temi myślami, wróciłem do karawany. Zastałem obóz już zaalarmowany. „Lewa ręka”, który chodził na polowanie na drugi brzeg Północnych Wideł, i który, mówiąc nawiasem, zabił ogromną antylopę, widział także dwóch konnych wojowników, którzy, tak samo jak nasz, pojawili się i znikli. Woothrup złożył radę wojenną przy ognisku, do której i mnie zaprosił. Pogląd starego Mańkuta wydał mi się najtrafniejszy. Nie wątpił on, że Mac Lell ostrzegł Indyan, nie miał bowiem żadnego powodu tego nie czynić. Nie wątpił również, że obozowi nie zagraża zbrojny napad, ale zachodziła następująca okoliczność: jakkolwiek najprawdopodobniej wojownicy, których widzieliśmy, należeli do Utów, na stepie jednak mogły także znajdować się za-

bląkane oddziały innych pokoleń. „Prawdopodobnie ich niema — mówił stary strzelec — ale Utowie będą się starali wyciągnąć z tego korzyść. Jeżeli w nocy wykonają „stamped” i pokradną nam nasze muły, drugiego dnia, udając, że o niczem nie wiedzą, przyślą nam eskortę, będą nawet nam pomagali w odszukiwaniu straty, przed Mac Lellem zaś wytłomaczą się tem, że to nie oni, ale wojownicy innego jakiegoś pokolenia, dopuścili się grabieży”. Krótko mówiąc: podług widzenia rzeczy starego strzelca, mogliśmy być pewni, że nasi przyszli sprzymierzeńcy, jeśli będą nas mogli okraść bezkarnie, to, pomimo wszelkich rekomendacyi komisarskich, okradną nas niezawodnie. Skutkiem tego postanowiliśmy się mieć na baczności. Straże obozowe i przy stadzie miały być zdwojone i czuwać staranniej, niż to czyniliśmy pierwszej nocy. Przytem, ruszyliśmy natychmiast naprzód, aby na nocleg wybrać miejsce, na któremby postój stada mógł się odbywać, o ile można, blisko wozów. Niezwykle ożywienie opanowało teraz cały obóz. Towarzysze nasi, którzy drugiego i trzeciego dnia poczęli się już zniechęcać i nużyć, opatrywali teraz broń, kręcili się na wszystkie strony, pokrzykując na siebie wzajemnie lub straszac się żartobliwie czerwonymi. Byli tacy, którzy utrzymywali, że cały ten alarm jest to „humbug”, ale ci właśnie, a między inny-

mi i Ward, idąc śladem naszych metysów, życzyli sobie, lubo z innych powodów, „stampedu”, jako dobrej sposobności do rozrywki i nocej na wiatr strzelaniny.

We cztery godziny potem stanęliśmy na nocleg; przedtem jednak jeszcze straciliśmy jednego muła, który upadł przy przeprawie przez strumień tak nieszczęśliwie, że złamał nogę. Trzeba go było wyprządz i zastąpić innym, tym czasem, ponieważ wśród nocy i tak stałby się pastwą zwierząt, mulnik zabił go, wyładowawszy mu cały rewolwer w ucho. Na nocleg stanęliśmy opodal od przybrzeżnych zarosli, muły zaś poprzywiązywaliśmy niedaleko od wozów, gdzie trawa nie rosła wprawdzie zbyt obficie, ale gdzie były zabezpieczone przed „stampedem”. Z polecenia Woothrupa, miałem czuwać nad strażami, pilnującemi stada, przejeżdżilem więc na koniu całą noc. Co pół godziny jeździłem od placówki do placówki, pytając, czy wszystko idzie dobrze, i zawsze odbierałem stałą odpowiedź: „all right!” O północy zluzowałem strażę, a następnie zmieniłem je jeszcze raz o wpół do czwartej, ponieważ zimno mocno dawało się we znaki. Strażnikom przykrzyła się widocznie moja zbyt gorliwość w nawoływaniu, zauważyłem bowiem, że, gdym zbliżył się do jednego z nich i zawolałem: „All right?”, rozbudzony może z drzemki, która poczyniała go ogarniać, odkrzyknął

głosem: „All right!” ciszej zaś dodał: „God-dam you!” Udałem, że tego nie słyszę, inaczej bowiem, wypadaloby mi wyzwać nazajutrz strażnika na pięście i, albo go obić, albo zostać przez niego obitym. Czasami oddalałem się w step i o pół mili i więcej, i w tym promieniu objeżdżałem cały obóz. Wszędzie było spokojnie i cicho; słyszałem tylko wilki, wyjące na drodze, którą przejechaliśmy przed noclegiem, zebrane zapewne nad trupem naszego muła; raz jednak w ciemnościach dostrzegłem zbliżającego się konia i jeźdźca. Chwyciłem natychmiast za karabin, chcąc strzelić na alarm, ale był to Woothrup, który także wyjechał był na zwiady. Noc cała przeszła bez wypadku. Świtaniem, gdy większa część towarzyszków wyszła już z obozu z blaszankami po wodę, zsiadłem z konia i położyłem się spać. Przespałem się aż do lunchu. Gdym się obudził, towarzysze powiedzieli mi, że ani przewodnicy, ani „Lewa ręka”, nie odkryli nigdzie śladu Indyan, że wszystko idzie po dawnemu, że nad ranem, wyruszywszy w drogę, zabili wilka, a widzieli stado antylop i ślady bawołów nad rzeką, niebardzo jeszcze stare. Jechaliśmy dalej spokojnie. Nad wieczorem znów znaleziono ślady bawołów, które tym razem sam oglądałem. Wytłoczenie potężnych racic w mule nadbrzeżnym przechowało się doskonale, zwłaszcza, że woda na rzece była niska, i muł stwardniał. Ale

właśnie z twardości mułu wnosilem, iż nie były tak świeże, jak sądzono. Wjeżdżaliśmy jednak widocznie w okolicę, obfitującą w zwierzyinę. co można było poznać z wielkiej ilości antylop. Następnej nocy zachowaliśmy też same ostrożności, jak poprzedniej; nie jednak nie zaszło godnego uwagi. Nazajutrz, około godziny ósmej rano, stary strzelec, który świtaniem wyszedł był na zwiady i dopiero co powrócił, zbliżywszy się do mnie, szepnął zeicha, abym udał się za nim. Wyjechaliśmy obaj z obozu konno. Kanion, który od kilku dni zwężał się coraz bardziej, nie był w tem miejscu szerszy, niż na sześć do ośmiu mil angielskich; wkrótce więc dojechaliśmy do gór. Przez drogę wypytywałem starego, dlaczego mnie wezwał, ale nie chciał mi dać żadnych objaśnień. Zatrzymaliśmy się u wejścia do jednego z bocznych kanionów. Tu stary strzelec zsiadł z konia i mnie kazał to uczynić, a następnie, odprowadziwszy konie, ukrył je w rozpadlinie gruntu, porośniętej krzewiną. — Teraz musimy pójść piechotą—rzekł do mnie.— A konie?— spytałem.—Nie im się tu nie stanie. Poszliśmy. Wąskie gardło bocznego kanionu prowadziło nas w głąb gór. Gardło to jednak rozszerzało się stopniowo coraz więcej. Przy samem wyjściu stary zatrzymał mnie:— I will show you something —(Chcę panu coś pokazać)—rzekł.—Co? —Buffalo! Serce zabiło mi z radości.—Teraz musimy się rozłączyć—

rzekł.—Idź pan na lewo, ja pójdę w prawo. Wyszedszy na polankę, czołgnij się w zaroślach, póki się nie doczołgniesz, potem strzelaj, ale nie pokazuj się po strzale. Rozstaliśmy się. Po kilkudziesięciu jeszcze krokach, kanion rozszerzył się nagle w polankę, której brzegi pokryte były zaroślami, środkiem zaś ciągnęła się łąka, przez którą przepływał mały strumień.

Czytelnik wyobrazi sobie moje wzruszenie, gdy na środku łąki ujrzałem potężnego bawołu, stojącego spokojnie opodal strumienia. Zasnawszy się jeszcze głębiej w zarośla, począłem się czołgać. Upłynęła może z godzina czasu, zanim zmieniłem kierunek w stronę brzegów polanki. Poruszałem się z największą ostrożnością, aby nie potrącić nawet gałązki. Przez cały ten czas nie widziałem zwierzęcia, ale zato, gdym się doczołgnał do brzegu, ujrzałem je w całej okazałości. Wyznaję, iż ponieważ były to pierwsze moje łowy na bawołu, serce biło mi nietylko ciekawością, myśliwskim zapalem, ale i pewnem wzruszeniem, nieco do strachu podobnem. Ten bawół, stojący teraz ode mnie nie dalej, jak na sześćdziesiąt jardów, wydawał mi się nietylko wielkim, ale po prostu potwornym. Był to istotnie potężny zwierz z ogromnym łbem, szerokim, może na półtrzeciej pędzi, z rogami tak czarnymi, jak heban, zaledwie widocznymi wśród kudłów, pokrywających głowę, garb i wogóle przednią

część ciała. Kudły te były prawie zupełnie czarne, reszta zaś sierści jednostajnego brązowego koloru. Zierz, nie podejrzewając niebezpieczeństwa, stał spokojnie, nie pasąc się trawą, ale poruszając zwolna żuchwami, z których zwieszała się ślina. Od czasu do czasu uderzał silnie przednią nogą w murawę, zresztą zdawał się być zupełnie zajęty przeżuwaniem. Opanowawszy wzruszenie, wymierzyłem doń spokojnie, ponieważ zaś stał obrócony do mnie lewą stroną, starałem się trafić go w serce. Strzał był niedaleki i do tak wielkiego zwierzęcia łatwy, po chwili więc pociągnąłem za cyngiel. Po moim strzale rozległ się drugi, tak jednocześnie, że prawie nie mogłem go odróżnić. Według polecenia „Lewej ręki”, zamiast wyskoczyć z zarośli, przysiadłem spokojnie, czekając, co się stanie, łatwo więc wyobrazić sobie moje zdziwienie, gdym ujrzał, że bawół nie drgnął nawet, zupełnie tak, jakby nie słyszał naszych strzałów. Po chwili jednak zwierz poruszył się, zachwiał i, nie wydawszy najmniejszego głosu, klęknął na przednie nogi, a następnie zwałił się całą masą olbrzymiego swego cielska. Wyszliśmy wówczas obaj, trzymając w pogotowiu karabiny, ale, gdyśmy zbliżyli się do niego, nie poruszył się wcale, po kilku zaś minutach nie żył. Oba strzały były trafne i oba śmiertelne. Z tem wszystkiem, „Lewa ręka” teraz wytłumaczył mi, dlaczego zabronił mi pokazywać się

po strzale. Bawół po strzale nie ucieka nigdy, jeśli nie zobaczy człowieka; spłoszony jednak jego widokiem, umyka i często, choć ranny śmiertelnie, potrafi ubiedz kilka mil, zanim padnie. Oczywiście, wówczas odszukanie go, albo całkiem jest niepodobne, albo, przynajmniej, niezmiernie trudne i kłopotliwe. Bawół, któregośmy zabili, był tak wielki, że, jakkolwiek leżał na brzuchu, gdym stanął przy nim, garb jego dochodził wysokości mojej głowy. Nie wierząc własnemu szczęściu, dotykałem rogów i sierści zwierzęcia, w której moja ręka tonęła całkowicie, a następnie, siadłszy obaj z „Lewą ręką” na trupie, zapaliliśmy fajki. Oczywiście, o zabraniu takiej zwierzyny, ważącej pewno koło tysiąca pięciuset funtów, ani mogliśmy marzyć; wypocząwszy więc trochę po trudzającym czołganiu się w krzakach, wróciliśmy do koni. Wsiadłszy na nie, udaliśmy się z powrotem do karawany, którą w godzinę dogoniliśmy z łatwością. Wiadomość o naszym powodzeniu wzbudziła ogólną ciekawość, a nawet zazdrość. Wszyscy chcieli jechać oglądać naszą ofiarę. Karawana musiała zatrzymać się na czas pewien, którego potrzeba było do zdjęcia skóry ze zwierza. Mięso jego porąbaliśmy z pomocą toporów na sztuki i, ułożywszy na muły co przedniejsze części, odwieźliśmy je do obozu, resztę pozostawiliśmy dla wilków.

Tegoż samego dnia wieczorem, pierwszy

raz w życiu, jadłem garb bawoli, pieczony w popiele. Utrzymywałem dla własnego honoru, żem nigdy nie jadł smakowitszej pieczeni, sądzę jednak, że sposób, w jaki ją przyrządzają, pozostawia wiele do życzenia.

Stary strzelec i przewodnicy utrzymywali, że, póki nie wyjedziemy z kanionu, a przynajmniej, póki nie dotrzemy do skrzyżowania Północnych Wiosek na wschód, wypadkiem tylko możemy spotkać stado bawołów—częście zaś „odłączone”. Jakoż przyszłość pokazała, że się nie mylili; pierwsze bowiem znaczniejsze stado spotkaliśmy dopiero tuż przy wyjściu z kanionu. Tymczasem jednak posuwaliśmy się naprzód, wolniej wprawdzie, niż poprzednio, droga bowiem, skutkiem zwięźnia się odległości między górami, stawała się coraz trudniejszą, ale wytrwale. Główną trudność stanowiły zarośla, które rozszerzały się coraz bardziej po obu stronach rzeki. Ze strony Indian mieliśmy teraz zupełną spokojność. Ani jeden nie pokazywał się po ostatniem pojawieniu. Zato w kilka dni później zaszedł wypadek, który mógł skończyć się tragicznie. Zdarzyło się, że Woothrup, oddalwszy się z góry z Bennetem i z jednym z przewodników, zostali napadnięci przez niedźwiedzie, idącą z dwoma małemi. Woothrup, który szedł naprzód o jakie dwieście jardów (konie zostawili u wejścia do bocznego kanionu), strzelił do niej naprzód i postrzelił ją, ale lek-

ko. Rozwścieczona niedźwiedzica rzuciła się natychmiast na niego. Woothrup do tego stopnia stracił przytomność, że, zamiast strzelić do niej drugi raz, a nawet trzeci i czwarty, co mógł łatwo uczynić, będąc uzbrojonym w karabin, systemu Henry, rzucił broń na ziemię i począł uciekać w kierunku najbliższego drzewa. Dopadłszy do drzewa, zamiast wleźć na nie, objął je tylko ze strachu rękami i nogami u dołu i pozostał. Byłby zginał niechybnie, pomimo, iż towarzysze nadbiegali mu co sił z pomocą, gdyby nie to, że, szczęściem, młode niedźwiadki rzuciły się wraz z matką naprzód, jeden zaś z nich wyprzedził ją i, zaplątawszy się jej pod nogi w chwili, gdy powstawała na zadnie łapy, przewrócił ją na ziemię. Oślepiąca wściekłością niedźwiedzica poczęła przewracać się po ziemi z własnymi dziećmi, bić je i szarpać, wydając przytem przeraźliwe ryki. Ta zwłoka ocaliła Woothrupa, w tejże bowiem chwili nadbiegł Bennet z przewodnikiem, i obaj, przyłożywszy prawie lufy do łba zwierzęcia, zabili je na miejscu. Co do dwóch młodych, jednego poszarpała na śmierć matka, drugiego przewodnik schwytał na lasso i przyprowadził żywcem do obozu. Woothrup przez cały dzień nie mógł przyjść do siebie po tym wypadku, a może i wstydził się trochę, bo, jakkolwiek, prawdę mówiąc, bardzo wielu z nas straciłoby tak samo przytomność, przecież zawsze podobne zdarze-

nia rzucają pewien odcień śmieszności na tych, którym się trafiają. Dla Woothrupa było to tem dotkliwsze, że był naszym naczelnikiem. Wstydział się i mnie, jako cudzoziemca, a to tembardziej, że w gruncie rzeczy wcale tchórzem nie był, czego później nieraz złożył dowody. Żaden z nas wprawdzie nie pozwolił sobie nigdy żartów w tym przedmiocie, stary jednak strzelec nie mógł się wstrzymać od dobroduszej, a złośliwej uwagi, że chronić się przed niedźwiedziem na drzewo jest rzeczą roztropną, nie należy brać jednak za fałszywy koniec drzewa.

Co do młodego niedźwiadka, mieliśmy potem z niego źródło nieustającej zabawy. Przywiązano go na dość długim łańcuchu do ostatniego wozu, na który wdrapywał się na każdym przystanku. Było to stworzenie może trzy lub czteromiesięczne, dosyć że już duże, ale jeszcze nie niebezpieczne. Z początku dziczył się strasznie; gdy ktoś zbliżał się do niego, powstawał na tylne łapy i mruczał groźnie. Słopniowo jednakże zaczął się przyzwyczajać, zwłaszcza, że karmiono go obficie, i nikt nie robił mu krzywdy. Dawaliśmy mu wszystkie resztki od brekfastów i lunchów, rozprowadzone ciepłą wodą. Gdy przyniesiono mu dużą miskę blaszaną, przedewszystkiem kładł w nią łapę, obróconą podszwą do góry, i dopiero jadł z łapy, jakoby ssąc z niej i mruczając przytem bardzo głośno. Z psami, których wlokło się kilku za obozem,

żył w ustawicznej wojnie. Z początku bał się ich i zmykał przed nimi na dach wozu, potem, gdy który się do niego zbliżał, powstawał i, rozłożywszy przednie łapy, czekał w bardzo zabawnej postawie, jakoby pragnąc przyjąć psa w objęcia. Gdy go opadło kilku, zmykał na wóz, i siadłszy na dachu, drażnił się z psami, wysadzając głowę, wodząc za nimi swemi skośnymi oczkami i poglądając na nie z góry z bardzo pogardliwą miną, jakby chciał mówić: „a teraz, dajcie mi buzi!” W czasie pochodu, szedł zwykle truchcikiem za wozem, czasem jednak opierał się bez żadnej widocznej przyczyny i poczynął beczeć w niebogłosy. Gdy ktoś z jadących w tyle zbliżył się i poganiał go lassem, wówczas, beknąwszy gniewnie, zasuwiał się pod wóz i szedł dalej spokojnie. Beczał także przeraźliwie później, gdy zbliżała się godzina, w której dostawał jeść, lub na widok człowieka, idącego z miską.

Szkice Amerykańskie.

III.

Widoki kraju. Okolice lesistsze. Piękność natury. Koniec października. Lato indyjskie. Parki na pustyni. Poranki i wieczory. Mgły poranne. Jak Amerykanie pojmują piękność przyrody. Czarne Góry. Trochę z niedawnej przeszłości. Wyprawa Cusbra. Wyprawa Gordona. Pierwszy fort w Czarnych Górach. Skargi Sionxów. Początek emigracyi. Podeptane traktaty. Sprawa wytacza się w gazetach. Rząd nie wie co robić. Ekspedycya wojenno-naukowa. Sprawozdanie profesora Jenny. Nowe układy i wojna. Bohater indyjski. Sitting-Bull między Anglikami. Nienawiść do Amerykanów. Popularność Sitting-Bulla w Stanach Zjednoczonych. Wyjeżdżamy z kauionu. Widok tarasu. Stado bawołów na stepie. Gonitwa. Wspaniała zdobycz. Zmęczenie. Kłopoty przewódzcy. Tajemniczość Indyan. Odpowiedzialność. Goniec od komisarza. Niebezpieczne położenie. Wracamy. Stosunki z Uta-mi. Ostrożność. Do broni! Poselstwo indyjskie. Układy. Zręczność przewódzcy. Eskorta indyjska. Przybycie do Percy. Rozjeżdżamy się. Powrót do San-Francisco. Smutek. Wstrzymany wyjazd.

Nie mając zamiaru nudzić was czemś podobnem do „Anabasis”, ani zaczynać peryodów od ksenofontowskich: „Entausen”, nad którymi

dość namęczyłem i nanudziłem się w swoim czasie, nie będę opisywał dzień po dniu naszych wypadków i polowań, dość zwykle do siebie podobnych. Dam wam raczej opis kraju, tak odrębnego od naszych okolic, a tak ciekawego.

W miarę, jak posuwaliśmy się naprzód, szczyty Sweet Water Mts. stawały się znów wyższe i wyższe; kanion zaś, jakkolwiek coraz węższy, ale i coraz lesistszy. Szczególniej boczne kaniony i przerwy między pojedynczemi szczytami obfitowały w bujną roślinność. Trafialiśmy często na wąwozy, pokryte krzakami czarnego agrestu, którego owocem nieopadłym jeszcze, a smacznym i zdrowym raczyliśmy się obficie. W rozpadlinach skał znajdывaliśmy maliny, pozbawione już owocu, ale rosnące nadzwyczaj bujnie. Czasem trafiały się drzewa dzikich śliw, które przewodnicy nazywali „czerwonemi śliwami”. Co do innych drzew, stanowiły one teraz miejscami prawdziwe i trudne do przebycia lasy, nie widziałem jednak nigdzie lasów, złożonych z drzew jednogatunkowych. Najczęściej stanowiły one wspaniałą mieszaninę norweskich sosen, zwanych także „ciężkimi”, albo „żelaznemi” sosnami, dalej: jodeł, bukszpanów, dębów, wiązów, jesionów, dzikiej morwy i białej brzeziny, której rozplecione warstwy przypominały mi polskie lasy. Niektóre z kanionów pięknnością dorównywały kalifornijskim, mniej były tylko ożywione, albowiem

ptaków brakło zawsze. Czasem jednak, pod sklepieniem niebieskiem, ważyły się na rozpostartych, nieruchomych skrzydłach wielkie orły, upatrujące zapewne piesków ziemnych, albo małych antylop. Wszystko to było dzikie, romantyczne, szczere, zdrowe i piękne, jak tylko pierwotna natura piękną być może. Na koniu, z karabinem pod ręką, czasem samotny w stepie i w górach, czasem w gwarnem i wesołem towarzystwie, czułem się, jak owe wielkie ptaki na niebie—swobodnym. Pogoda stawała się coraz piękniejszą. Był to ostatni, ale pełen niewypowiedzianej słodyczy uśmiech jesieni. Porę tę nazywają u nas babiem latem, a tu: latem indyjskiem — „indian-summer”. Gdym czasem zabłądził w jakim dzikim parku, w którym piramidy drzew grupowały się, jakby ręką ludzką ułożone, zdawało mi się, że jestem w polskim ogrodzie. Tak samo i tu, wielkie rozczapierzone liście, odrywając się bez szelestu od drzew i kołysząc się lekko, spływały na ziemię; ten sam tu jakiś smutek i łagodna rzewność, rozlane w powietrzu, toż samo jakieś: „pamiętaj”, szepotane smutno przez drzewa, przez zbladłe promienie słoneczne i więdnące kwiaty. Brakło tylko jeszcze owej piosenki, którą czytałem, czym słyszał—nie wiem—jeżeli nie chłopskiej, to na chłopską śpiewanej nutę:

„Oj jesienią, jesienią — oj! nigdzie liść na drzewie, —
„Oj i z sercem się tak dzieje-oj! choć człek o tem nie wie“.

Rankiem bywało zwykle trochę mgły, która około godziny dziesiątej opadała na ziemię, wlokła się po krzakach, rozczesując białe jej zwoje, kryła się w wąwozy i nikła. Potem pogoda stawiała się niezamąconą, a powietrze tak czyste, że wzrok nabierał dwa razy większej, niż zwyczajnie, siły. Pasma gór, oddalone na kilka mil, zdawały się leżeć tuż obok. Mogliśmy okiem rozróżniać wierzchołki drzew, pokrywających ich szczyty. Przedmioty widziane, zwłaszcza na wyniosłościach, powiększały się w trójnasób. Zdarzało się, że pieski ziemne braliśmy za stada wielkich jakich zwierząt. Rozmarzony i upojony temi wszystkimi pięknościami, po całych dniach nie zsiadałem z konia, posuwałem się nieraz na kilka mil przed karawaną, zostawiałem umyślnie w tyle, zwiedzałem boczne kanyon, zapuszczałem się w ciemne wąwozy, nie dbając o Indyan i o dzikie zwierzęta, a pragnąc przede wszystkim widzieć jak najwięcej. Zauważyłem przytem, jak mało poczucia piękności natury mają rodowici Amerykanie. Zdarzyło się raz, żeśmy, błędząc we dwóch, z Woothrupem, zajęchali na szczyt niezbyt stromej góry, z której jednak otwierał się niezmiernie obszerny krajobraz. Lasy, wąwozy, mniejsze wzgórza, smugi stepu, ginące w oddaleniu, strumyki, płynące od Północnych Widel,—wszystko to leżało pod naszymi stopami, odziane jeszcze leciuchną mgłą, niby zasłoną, i oświecone pro-

mieniami rannego słońca. Rozmarzony więcej niż zwykle, zwróciłem się do mego towarzysza i, ukazując mu krajobraz, rzekłem:

— Patrz pan, co tu za cuda, i czem jest natura sama w sobie!

Woothrup patrzył przez chwilę na okolicę. Oczy jego bląkały się po górach, lasach i strumieniach, potem odetchnął głęboko i rzekł:

— O yes! Ci, co tu z czasem osiadają, zrobią dobry „business”.

I nie było żadnego sposobu porozumienia się między nim a mną. My, dzieci Europy, pojmujemy naturę nerwami, uczuciem, wrażeniami estetycznemi, jakie w nas budzi, marzeniem, jakim nas kołysze; patrzymy na nią przez zachwyt i upojenie, zapominamy powszedniość, nastrajamy się na jakiś wyższy ton, i radzibyśmy śpiewać pieśń o zapomnieniu życia. Dusz nasze są jak harfy, natura potraça ich struny wrażliwe, więc grają. Czasem te pieśni bywają bardzo ładne. Do twarzy z niemi młodym pannom, emancypantkom i poetom. W Amerykaninie, jeśli chce być sobą, jeśli nie był w Europie i nie małpuje uniesień, które o uszy jego obily się w Szwajcaryi, — natura porusza myśl, nie uczucie. On patrzy na nią, jakby rzec: oczyma pluga i siekiery. Kraj dziki przedstawia mu się przedewszystkiem, jako odpowiedni lub nieodpowiedni do zajęcia, osadzenia, ucywizowania. I nie jest to poza, jaką przybierają nie-

które nasze: „trzeźwe” umysły, ale właśnie pierwsze, szczere i naturalne wrażenie.

Co za różnica usposobień! Z jednej strony rozmaite: ach! och! z drugiej: „good business!” Tę różnicę tylko notuję, a nie wysławiam jednej lub drugiej strony. Być może, że obie patrzą zbyt jednostronnie, ale każdy musi tem być, czem jest. Pozostawmy więc Amerykanom ich praktyczny pogląd, musimy wszystko brać na szopenowską nutę! Cóż robić!

Te okolice Wyomingu zaludnią się zapewne wkrótce, a nawet Czarne Góry już teraz się zaludniają. Odkryto w nich złoto, skutkiem czego w północnej ich części, leżącej między Wyomingiem a Dakotą, pracuje już dziś około trzydziestu tysięcy ludzi. Po ekspedycyi generała Custera, odbytej w roku 1874 -pomimo, iż całe to terytoryum było odstąpione i uroczystymi traktatami poręczone znakomitemu narodowi Siouxów, ludność górnicza, chciwa złota, nie zważając na wszelkie traktaty, zaczęła się ciśnąć do Czarnych Gór. Z początku jednak ochotnicy nie byli zbyt liczni. Pierwsza wyprawa składała się z dwudziestu pięciu mężczyzn, jednej kobiety i jednego malego chłopczyka. Ludzie ci wyruszyli pod wodzą śmiałego awanturnika, Johna Gordona, o którym mówią niektórzy, że był Polakiem. Wyruszyli z Joney z Sioux-city na pięciu wozach, mając ze sobą około trzydziestu mułów i kilka koni. Była to jesień 1874 ro-

ku. Karawana szła przez całą długość Dakoty, wśród niesłychanych trudów. Trzeba było przechodzić wielkie wyniosłości, jako to: „Table Lands”, rzeki, strumienie, wąwozy i bezbrzeżne stepy. Prócz tego, Dakota zamieszкана jest przez liczne i bardzo wojownicze narody Indyan: Siouxów, Ponków, Czarnonogich, Arikanów, Dakotów, Płaskich głów, i innych. Po przejściu Missouri, awanturnicy codziennie musieli odpierać zbrojne napady i nocne „stampedy”. Posuwano się bardzo powoli naprzód; mężczyźni dniem i nocą nie wypuszczali z rąk karabinów. Żywiono się mięsem bawołów i antylop nawpół surowem, albowiem nocami nie podobna było palić ognia. Ale energia Gordona, którego imię było już przedtem znane czerwonoskórym wojownikom, przezwyciężyła wszystkie te trudności. Wyprawa podobna byłaby przyniosła zaszczyt niejednemu z amerykańskich generałów. Rzecz prawie niepodobna do uwierzenia, że, podczas całej podróży, siedemdziesiąt dni trwającej, nikt z towarzyszków Gordona nie zginął, ani nie postradał skalpu. Odparto siedemnaście napadów—nakoniec Gordon potrafił drogą układow zjednać sobie Ponków, nieprzyjaciół Siouxów—co mu pozwoliło dokończyć szczęśliwie podróż. Po sześćdziesięciu dziewięciu dniami, awanturnicy ujrzeni nakoniec czarne, tajemnicze szczyty gór pożądaných; siedemdziesiątego zaś dnia 23 października stanęli u brzegów Fran-

cuskiego strumienia (French Creek), gdzie postanowili się usadowić. Pierwszą ich pracą było zbudowanie sobie obronnego fortu. Naścinawszy ogromnych drzew, któremi pokryte są Czarne Góry, wzniesli małą, ale silną twierdzę w podkowinie „French Creek”, opatrzoną narożnikami, z których śledzili Indyan, i z których, na przypadek napaści, strzelali. Zabezpieczywszy się w ten sposób, zajęli się wypłukiwaniem złota. Przez jakiś czas, zapomnieni od całego świata i poczytywani za przepadłych, żyli spokojnie. Złoto znajdowało się w nadspodziewanej ilości. Kolonia wzbogacała się codziennie, ale nie długo miało trwać jej szczęście. Siouxowie, nie mogąc wyprzeć ich siłą, pojechali ze skargą do rządu, powołując się na traktaty, mocą których Czarne Góry miały wyłącznie do nich należeć. Wskutek tej skargi, zresztą zupełnie usprawiedliwionej, rząd już w miesiącu kwietniu wysłał wojsko przeciw naszym bohaterom, jako przeciw nieprawym wdziercom w ziemie indyjskie. Fort został zburzony, mieszkańcy zaś wypędzeni poza granice Wyomingu i Dakoty.

Ale radość Siouxów krótsza jeszcze była, niż pobyt awanturników w ich górach. Awanturnicy, wypędzeni przez wojsko, popowracali do domów, przywieźli jednak ze sobą dwadzieścia siedem języków, opowiadających o cudach Czarnych Gór—i dotykalsze jeszcze dowody, to jest: mnóstwo piór napęczniałych piaskiem

złotym. Prawdziwy szal ogarnął teraz mieszkań-
ców terytoryów sąsiednich. Nie zważając na
Siouxów, na traktaty, na zakazy rządowe, na
wojska zresztą bardzo nieliczne, awanturnicy
poczęli ciągnąć w Czarne Góry, już nie dziesiąt-
kami, ale setkami. W maju 1875 było już pięć ty-
sięcy ludzi, pracujących nad Francuskim stru-
mieniem. Rząd wówczas zawahał się, co czynić.
Traktaty były napisane czarno na białem, ale
fakta po wszystkie czasy silniejsze były od trak-
tatów. Zresztą, można było wypędzić dwudzie-
stu siedmiu ludzi, ale z pięciu tysiącami potrze-
baby było chyba wieść otwartą wojnę. Rząd był
pewny, że nowi osiedleńcy będą odpierać siłę—
siłą. Osiedleńcy składali się prawie wyłącznie
z mężczyzn, ludzi zuchwałych, gotowych na
wszystko i zahartowanych w boju. Cóż było ro-
bić? Rząd w Stanach Zjednoczonych posiada
tak mało wojska, że czasem na cały stan wypa-
da po kilkudziesięciu ludzi zaledwie. Tak np. w
Kalifornii, w czasie ostatnich rozruchów robot-
niczych przeciw Chińczykom, — w San-Franci-
sco, licząc w to forty broniące zatoki, było 41,
wyraźnie czterdziestu jeden żołnierzy. A przy-
tem, co do Czarnych Gór, nastęczało się jesz-
cze jedno pytanie: oto, jeśli te góry istotnie za-
wierały skarby, które dotąd leżały bezużytecz-
nie, a których wydobyć na jaw wzbogaciłoby
kraj, jeżeli bogactwem swych zasobów natural-
nych przedstawiały okolice zdatną do koloni-

zowania, w której mogłoby zakwitnąć rolnictwo, przemysł, handel—czy w takim razie nie godziłoby się, bądź drogą kupna, bądź zamiany, bądź układów, odzyskać tego kraju od Indyan? Gdy kwestya ta została poruszona przez gazety, emigracya w te błogosławione okolice wzrosła jeszcze bardziej. Ludzie ciągnęli tam teraz, już nietylko dla szukania złota, ale dla zajmowania ziemi, aby, w chwili przejścia ziem na własność Stanów, wystąpić, jako osadnicy, na prawach klemowych. Spekulacyi otwierało się bardzo szerokie pole; zdarza się bowiem, że w okolicach, nagle się zaludniających, ziemia, brana na prawach klemowych, sprzedaje się potem już nie na akry, ale na „loty”, to jest na małe cząstki przeznaczone pod budowę domów mających się wznosić miast. Oczywiście, cena ziemi dochodzi wówczas do tysięcy dolarów za „lot”, ludzie zaś, którzy ją zajęli, robią miliony.

Tak tedy stały rzeczy, a tymczasem rząd postanowił wysłać drugą ekspedycję, złożoną, prócz wojska, z ludzi uczonych, którzy mieli zbadać zasoby naturalne Czarnych Gór. Ekspedycja wyruszyła z fortu Laramie w maju 1875. Dowodził nią major Richard Irwin Dodge. Ciało jej naukowe stanowili: profesor Waller, geolog Jenney, astronom Tuttle, topografista Gillendy i przyrodnik Henry Newton, nie licząc doświadczonych kalifornijskich górników, znających praktycznie swoje rzemiosło, lepiej od niejed-

nego profesora. Po kilkumiesięcznym pobycie i wszechstronnych badaniach naukowych, ekspedycja wróciła w październiku do Laramie, a następnie profesor Jenney złożył ministrowi spraw wewnętrznych urzędowe sprawozdanie, które mam pod ręką, i którego ciekawsze wyjątki pozwolę sobie przytoczyć:

„Sam zauważyłem, że yard sześcienny (trochę więcej niż lokcieć) piasku, najmniej wydającego, wydaje jednak 1 dolar 87 centów; przy czem trzeba wiedzieć, że piasek leży na kilka stóp wysoko. Powróciwszy we dwa tygodnie do tejże miejscowości, przekonałem się, że postęp wydajności wzrasta nadzwyczajnie, albowiem troje ludzi wypłukiwało złota, przecięciowo, na dwadzieścia siedem dolarów dziennie.

„Niemniej, nad źródłem Spring i nad Rapid, oddalonem o 30 mil na północ od Harneys Peak, znalazłem dużo złota. Złotodajnie (placery) te są najwydatniejsze. Jedno wiadro przynosi do 15 centów, nie licząc pojedynczych grudek (nuggetów), mających czasem znakomitą wartość. Nadto trzeba zauważyć, że badania, jakieśmy czynili, nie mogły być jeszcze dokładne; jednakże twierdzę stanowczo, że złotodajnego piasku jest tu wszędzie pod dostatkiem. Być może, że wydajność tutejszych kopalni nie dorówna nigdy dawniejszej obfitości kalifornijskich, lecz zawsze jest tu złota dosyć, a wydobywanie go

w krótkim czasie zaludni tę ziemię i sprowadzi wszechstronny rozwój”.

Przytoczyłem tu niektóre tylko wyjątki z obszernego sprawozdania, poświęconego nie tylko bogactwom mineralnym, ale florze, faunie i klimatowi okolicy. Ogólna jego treść bardzo była pomyślna, co powiększyło jeszcze emigracyę, i skłoniło rząd do układów z Indyanami. Ale rozporządzenie ministra, aby, do czasu zawarcia układów, wydalić białych ludzi z całej okolicy, pozostało bez skutku. Zuchwali górnicy odpowiedzieli spartańskiem: „przyjdźcie i spróbujcie!” Tymczasem układy ze Siouxami szły ciężko. Część ich zgodziła się wprowadzić na odstąpienie terytoryum, ale większa część, pod wodzą wslawionych wojowników „Crazy Horse” (Szalonego Konia) i „Sitting Bulla” (Siedzącego Buhaja) nie chciała słyszeć o niczem. Wybuchła wojna, która nadspodziewanie przybrała początkowo nader niepomyślny dla Stanów obrót. „Siedzący Buhaj” zadawał klęskę po klęsce regularnym wojskom Stanów, a w końcu stoczył walną bitwę z generałem Custem, w której ten ostatni z całym wojskiem poległ. Długowłosey skalp nieszczęśliwego generała powiewa dotąd u pasa indyjskiego wojownika, ale wojna oddawna już jest skończona. Siły Czerwonoskórych wyczerpały się; Siedzący Buhaj zaś schronił się do Brytańskich posiadłości. Nie potrzebuje mówić, że Anglicy przyjęli bohatera

Siouxów z otwartemi rękoma. Wyznaczono mu obszerne terytorya, obfitujące w paszę i zwierzynę. Napróżno rząd amerykański ofiarował mu amnestyę, zgodę, a nawet i wynagrodzenia. Gdy zawiadomiono go o tem ze strony rządu angielskiego, uniósł się nadzwyczajną zapalczywością. „Chcę być posłuszny Wielkiej Królowej — rzekł — i serce moje otwarte będzie dla Anglików, którzy są dzielnymi wojownikami. Nigdy topór mój nie ubroczy się we krwi Anglika, ale poprzysięgam wieczystą zemstę Amerykanom, których języki są dwoiste, którzy łamią traktaty, odbierają dziś, co wczoraj przyrzekli, i tępią, jak zwierzęta, moich braci. Będę za nimi chodził do ostatka dni mych po ścieżkach wojennych, będę brał skalpy z nich, z ich skwaw i dzieci, a ogniem niszczył ich wigwamy”. Po takiej przemowie, komisarze amerykańscy wrócili, nie nie wskórawszy; Siedzący Buhaj pozostał zaś na ziemi angielskiej, przeżywając swą zemstę i nienawiść.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że Amerykanie płacą mu równą nienawiścią. Ograbiwszy jego naród, zająwszy Czarne Góry, zrobili z niego teraz bohatera, który czeka tylko na jakiego Coopera lub Washingtona Irwinga, aby, odziany legendowym urokiem, przeszedł do nieśmiertelności. Obecnie Sitting Bull jest to jedna z najpopularniejszych osobistości w Ameryce. Ilustracye podają jego portrety, dzienniki zwy-

czajnie drukują jego mowy — i sądzę, że niejedna romansowa miss zgodziłaby się poświęcić dni swoje na osłodzenie wygnania tak wsławionemu wojownikowi.

Rozpisałem się o tych rzeczach nieco szerzej, bo zdaje mi się, iż nie bardzo one są nam znane. Teraz zato mogę powrócić, jeśli wola, do mego „Anabasis”. Przez parę następnych dni odbywaliśmy drogę spokojnie. Indyan, którzy pojawili się po to tylko, aby zniknąć, polizyliśmy do mitów i, nie myśląc o tem więcej, prowadziliśmy życie po staremu, polując i zwiedzając okolicę. Nakoniec dotarliśmy do miejsca, w którem Północne Widły skrecają na wschód. Pasma Sweet Water Mts. kończyły się po obu stronach, a kanion rozpływał się na północ w step, prawie nieskończony. Stojąc u wejścia kanionu, patrzyliśmy, jakby z olbrzymiego tarasu, na płaszczyznę, ciągnącą się u stóp naszych i pochylającą się coraz niżej w stronę gór wielkoróżnych. Wiły się po niej długie smugi zarośli, których końce ginęły na skraju widnokregu, ale któż opisze ogólną radość i uniesienie, gdyśmy, między temi smugami na stepie, ujrzeni kilkadziesiąt czarnych punkcików, zaledwie widocznych dla oka, ale widocznie ruchomych. „Lewa ręka” przyłożył swoją imienniczkę, lewą rękę, do czoła, wyteżył wzrok, popatrzył chwilę, potem zwracając się ku nam, rzekł:

— Buffalo.

W tej chwili nadbiegli także przewodnicy. Obaj: Smith i Bull, osadzili konie tuż przed nami — oczy ich błyszczały, usta śmiały się, nozdrza były rozszerzone, i znowu usłyszeliśmy z ich ust tenże sam radosny na stepach wyraz:

— Buffalo!

Po krótkiej chwili „Lewa ręka” objął nad nami dowództwo, i poczęliśmy spuszczać się z tarasu. Pochyłość tak była stroma, że ani myśleć było o zjechaniu z niej wozami bez hamulców, ale konno spuściliśmy się łatwo. Zbliżywszy się do jednej ze smug zarośli, ustawiliśmy się gęsto i poczęli posuwać się zwolna samym brzegiem, tak, abyśmy w żadnym wypadku nie mogli być przez zwierzęta dostrzeżeni. Dość silny wiatr, wiejący z północy, był także szczęśliwą dla nas okolicznością, albowiem utrudniał bawołom pochwycenie słuchem naszych kroków, które przytem głuszone były szelestem krzaków. Im bliżej byliśmy zwierząt, tem jechaliśmy wolniej: głowy spuszczone, w jednej ręce cugle ściągnięte krótko, aby uchronić konie od potykania się, w drugiej ręce karabin. Po godzinie takiej drogi, wiatr począł przynosić nam głuche ryki zwierząt, a po półgodzinie jeszcze, mogliśmy je widzieć przez przerzedzone zarośla. Dzielila nas od nich odległość może pięciuset yardów — zbyt wielka dla karabinów systemu Henry. „Lewa ręka” odwracał od czasu do czasu głowę i ciskał piorunujące

spojrzenia temu, kto sprawił najmniejszy szmer. Ale konie, jak gdyby wiedziały, o co rzecz idzie, stapały cicho i ostrożnie. Każdy z nich zdawał się stawiać nogi z namysłem, aby nie nadepnąć jakiej gałązki, któraby mogła pęknięciem spłoszyć zwierzęta, lub nie uderzyć kopytem o kamień. Po chwili, ciche: „stop”, wymówione przez „Lewą rękę”, raczej poruszeniem ust, niż głosem, zatrzymało nas na miejscu. Bawoły poczuły nas. Byliśmy na trzystu jardów mniej więcej, przysłonięci jeszcze zaroślami. Na szczęście, są to zwierzęta równie ciekawe, jak płochliwe. W niespokojności, która ogarniała całe stado, zdawała się walczyć trwoga z zaciekawieniem. Krowy i młode bawolaki poczęły się zbijać w wielką kupę. Samce pochylały straszne kudłate lby, wydając głębokie a krótkie ryki i uderzając silnie racicami o ziemię. Nakoniec całe stado, jakby popchnięte niewidzialną siłą, ruszyło nagle, ale, zamiast uciekać, ruszyło wprost na nas. Niejedno tam serce zabiło wówczas niespokojnie, ruch ten bardzo był bowiem podobny do ataku. Z tem wszystkim kilkanaście łuf pochyliło się jednocześnie w stronę zarośli, i, na dany znak przez „Lewą rękę”, daliśmy ognia; poczem, wyjąc po indyjsku, puściliśmy konie przez zarośla, aby, objechawszy ich koniec, uderzyć na stado. Po pierwszej salwie nie padł ani jeden bawół, natomiast wszystkie w mgnieniu oka zwróciły się do ucie-

czki. Przez chwilę widziałem te olbrzymie zwierzęta, z pochylonymi na przednie nogi łbami i z wypukłymi garbami, uciekające tak szybko, że sądziłem, iż nigdy ich nie dościgniemy. Ścigaliśmy, wyjąc w niebogłosy, strzelając, jak kto mógł, i bodąc konie ostrogami. Wkrótce kilka sztuk, rannych zapewne przy pierwszej salwie, padło na ziemię. Inne, przeskakując, a często i przewracając się przez nie, pędziły dalej, a my za nimi. Szybkość koni zaczęła brać jednak górę nad szybkością bawolów. Byliśmy bliżej i bliżej. Nasze wycia, tentent koni, ryk bawolów, beczenie przeraźliwe cieląt, wszystko to składało przeraźliwą, prawdziwie piekielną harmonię. Nakoniec, stado, oślepięne trwogą, rozproszyło się po stepie. Każdy zwierz uciekał teraz w innym kierunku. Nastąpiło zamieszanie. Pognawszy za wielkim samcem, strzelałem doń z karabinu jedną ręką, drugą prowadząc konia. Strzały nie mogły być celne, dlatego uciekał ciągle. Prócz tego, po każdym strzale, potrzebowałem dwóch rąk do poruszenia sprężyny, wyrzucającej wystrzelony ładunek, a przez ten czas koń szedł, gdzie chciał, i odległość, dzieląca mnie od mojej ofiary, zwiększała się. Wystrzeliłem nakoniec czternaście strzałów, a nie mając czasu nabijać, ani zapinać karabina w pasy, cisnąłem go na ziemię, chwyciwszy na to miejsce rewolwer Colta, wielkiego

kalibru, który miałem u pasa. Mając teraz rękę swobodną od kierowania koniem, wkrótce zbliżyłem się do zwierzęcia, a po chwili pędziłem za nim tuż, tuż, tak, iż słyszałem zziębnięty jego oddech. Nakoniec byłem tak blisko, że mógłbym być ręką prawie dosięgnąć jego sierści. Wówczas to począłem wyładowywać węń rewolwer, nie wybierając miejsc, ale też i nie chybiając z powodu żadnej prawie odległości. Było w tem wszystkim trochę niebezpieczeństwa. Zwierz, przyprowadzony do ostateczności, mógł się zwrócić nagle i uderzyć na mnie, a powtóre koń mógł upaść, pędziłem bowiem na złamanie karku, nie zważając na krzaki, kamienie, na dziury, porobione przez wiewiórki ziemne, i na inne przeszkody. Szalona ta jazda, tuż, tuż, trwała z jakie dziesięć minut, póki nie wystrzeliłem wszystkich ładunków z rewolweru. Potem poprawdzie nie wiedziałem, co robić. Zwierz biegł ciągle, ja za nim, uzbrojony już teraz tylko w „bowie knife”, który nie mógł się na nic przydać. Gonilem jednak zapamiętale, wiedziałem bowiem, że prędzej później paść musi. Wiatr świszczwał mi w uszach, tchu nie staowało w piersiach, myślałem już, czyby nie wstrzymać konia i nie odetchnąć na chwilkę, gdy, nagle, znalazłem się przed bawołem. Zawróciwszy konia półkolem, spostrzegłem, że zwierz upadł na jedno kolano, i z drugą nogą, wyciągniętą naprzód, a z nozdrzami, zanurzo-

nemi w trawę, pozostawał nieruchomy. Gdy się zbliżył, zerwał się jeszcze z oczyma zakrwawionemi, pełnemi przerażenia i obłąkania, ale zachwiał się natychmiast i padł. Poczem zaczął drgać kurczowo, co oznaczało konanie. Chciałem go dobić pchnięciem noża między głowę i kark, ale nie umiałem tego; wsiałem więc znów na koń i spojrzałem po ściepie. O jakie pół mili widać było dwóch jeźdźców, pędzących w taki sam sposób, jak ja, za bawołami. W jednym z jeźdźców poznałem Thomsona, po szarem ubraniu, — drugiego nie mogłem rozpoznać. Thomson, położywszy się prawie na koniu, strzelał raz po raz, co miarkowałem z jego ruchów: nie mogłem bowiem dojrzeć ani dymu, ani huk rewolweru. Słyszałem tylko strzały karabinowe, dochodzące mnie z różnych stron, co dowodziło, że inni towarzysze jeszcze nie zaprzestali gonitwy. Wkrótce jednak wszystko ucichło. Towarzysze jeden po drugim poczęli się ukazywać. Gonitwa nie odbyła się jednak bez wypadku. Na Benneta rzuciła się krowa bawola w obrocie cielecia, a ponieważ dojeżdżał ją zbyt blisko, przewróciła go razem z koniem. Konia zabiła, a jeździec zemknął w zarośla; skąd, mimo iż zwichnął jedną rękę, strzelał jeszcze z rewolweru, dopóki bawolica, pastwiąca się nad koniem, a już poprzednio ranna, nie padła. Stary Mańkut naprawiał natychmiast rękę Benneta sposobem arcy-barbarzyńskim (bo kopnięciem

go w staw), ale zato skutecznym. Bennet ranny był także w czoło, z którego sączyła się krew, nie było to jednak nic znacznego. Wytrwały „yankee” nie dał się nawet opatrzyć, ale, włożywszy swoją futrzaną czapkę, utrzymywał, że jest: „all right!” Gdyśmy następnie obrachowali naszą zwierzynę, pokazało się, że ubiliśmy sztuk jedenaście, nie licząc dwóch cieląt i tych, które, mniej więcej ranne, musiały paść prędzej później. Z pomocą mułów pościągaliśmy je wszystkie w jedno miejsce. Zdjęcie skór i wybranie najprzedniejszych części zajęło tyle czasu, iż musieliśmy nocować na polu gonitwy. Olbrzymią masę mięsa musieliśmy jednak pozostawić. Żał było patrzeć na te stosy smacznego pożywienia, które miało stać się łupem dzikich zwierząt. Gdyby Indianie dali nam byli, wedle obietnicy, uczynionej Mac-Clellowi, eskortę—byliby, zapewne, umieli spożytkować te zapasy, ale Indian ani było nawet widać. Mieliśmy spotkać się z nimi przy ujściu Medicina Bow. Creek do Północnych Widel, tymczasem drugi dzień już upływał, jak przebyliśmy Medicina Creek, nie spotkawszy żywego ducha. Woothrup poczynął się nawet tem niepokoić, przypuszczając, nie bez przyczyny, że musiało coś zająść, w czasie naszej nieobecności, co zmieniło stosunki Mac-Clella z Indianami. Postanowiliśmy nawet z tego powodu zatrzymać się dwa dni, aby dać czas eskortcie odnalezienia nas. Ten

dłuższy wypoczynek był zresztą potrzebny i nam, i mulom, podróż nasza bowiem trwała już dwa tygodnie. Co do mnie, rad byłem z tego niewymownie. Prawdę powiedziawszy, od kilku dni czułem się niezdrów, a zaraz nazajutrz, po owej szalonej gonitwie za bawołami, było mi tak słabo, że musiałem zsiąść z konia i położyć się na wozie. Ward przez cały czas, albo gotował mi herbatę, albo siedział przy mnie, gawędząc, poprawiając na mnie skóry bawole i troszcząc się o mnie, jak najlepszy przyjaciel. Po południu przyszedł także Woothrup i począł ze mną długą rozmowę. Z rozmowy tej dowiedziałem się, że rzetelną jego myślą było ciągnąć tą drogą aż do Czarnych Gór, w których on i kilku z jego towarzyszków miało rozpatrzyć pewien „business”, a gdyby się okazało, że był dobry, wejść w spółkę, wypuścić akcye i prowadzić sprawę na wielką skalę. Nie chciałem się o ten „business” wypytować, bo mało mnie to obchodziło; poznałem jednak, że nasza wyprawa nie miała charakteru czysto sportsmeńskiego. Praktyczni Amerykanie umieli pogodzić jedno z drugim. Niepojawienie się jednak Indyan wprawilo Woothrupa w kłopot niemały. Jeżeli, jak przypuszczał, dobre stosunki Indyan z komisarzem uległy jakiegokolwiek zmianie, dalsza podróż stawała się niebezpieczną i arcy trudną, trzeba bowiem było iść dzikim krajem wśród nieprzyjaciela, aż do północnej, bardzo jeszcze odle-

glej grupy Czarnych Gór, a następnie przecinać je w poprzek, chcąc się dostać do osad górniczych. Otóż Woothrup lękał się brać na swoją odpowiedzialność losów tylu ludzi, z których wielu żaden interes w stronę Czarnych Gór nie popychał, Woothrup mógł do Czarnych Gór zawsze jechać przez Council Bluffs i Sioux City, drogą już utartą. Tymczasem wahał się, czy nie wrócić, tembardziej, że wyprawa myśliwska mogła być uważana za skończoną. Powiedziałem mu, żeby robił, co mu się podoba, i istotnie, tak byłem słaby, że było mi to wszystko jedno. Wieczorem gorzej mi się jeszcze zrobiło. Palila mnie gorączka, czułem zawrót głowy i ból we wszystkich kościach. Obawiałem się, że utracę przytomność. Zauważyłem także, że Thompson poszedł spać do innego wozu, niby dlatego, żeby mnie było wygodniej, ale, w gruncie rzeczy, obawiał się, czy nie jestem chory na zaraźliwą febrę, lub tyfus. Woothrup i Ward jednak pozostali przy mnie nietylko pierwszej nocy, ale i później.

Drugiego dnia jednak zrobiło mi się nadszpodziejanie lepiej. Mogłem się przechadzać po majdanie, a nawet po „lunchu” siadłem na konia i pojechałem na rzekę. Wieczorem tegoż dnia zaszedł ważny w obozie wypadek. Przyjechał od Mac-Clella metys z listem do Woothrupa. Człowiek ten przebył w pięć dni drogę, którą my wlekliśmy się już dwa tygodnie. Przywiózł

niedobre wiadomości. Przewidywania Woothrupa sprawdziły się. Indyanie Utes, narzekając na głód w swoich rezerwacyach, zażądali wydania im ze składów rządowych (storow) zapasów żywności. Mac-Clell odmówił stanowczo; wówczas to wojownicy Utów, siadłszy na koń, posunęli się pod wodzą niejakiego Duglassa ku linii kolei żelaznych i, przestawszy prosić, poczęli grozić. Mac-Clell zawiadomił o tych ruchach natychmiast fort Laramie, prosił na wszelki wypadek o siłę zbrojną, a tymczasem rozpoczął układy. Obawiano się jednak, że wojna stanie się nieuchronną—tembardziej, że w roku tym szczególny jakiś ruch ogarnął indyjskie pokolenia. Po wojnie ze Siouxami, poczęła się wojna z Przeklutemi nosami w Ajdacho (Idaho), dalej zajęcia z Ponkasami, a nakoniec z Utami. Być może, że przyczyną wszystkich tych ruchów była emigracya białych na północ, która, wypychając jedne pokolenia, wypychała je na drugie. Mac-Clell spodziewał się jeszcze załatwić sprawę spokojnie, ale mimo to wzywał nas, abyśmy wracali jak najprędzej, póki układy się toczą i powstrzymują Czerwonoskórych od porywania się zbrojną ręką na podróżników. Na naradzie, jaką złożyliśmy wieczorem, Ward proponował, aby, zamiast do Percy, na stację kolei, ciągnąć do fortu Laramie, gdzie bylibyśmy bezpieczni. Powstała z tego powodu sprzeczka, bo inni poczęli naśmiewać się z War-

da, pytając go, gdzie się uczył geografii. Istotnie, rada jego nie miała najmniejszego sensu; do fortu Laramie, leżącego nad „Nort Fortk of Platte R.”, już niedaleko Nebraska, było przynajmniej cztery razy dalej, niż do stacyi Percy. Przytem droga szła środkiem rozmaitych rezerwacyi, byłoby to więc włożyć nieprzyjacielowi w paszczę. Z drugiej strony jednak sądziłem, że trzydziestu ludzi doskonale uzbrojonych, mających zapasy żywności i wozy, z poza których łatwo się bronić, nie bardzo potrzebuje się lękać Utów, czy kogokolwiek.

Bądź co bądź, postanowiliśmy wracać i wracać tą samą drogą. Odwrót ten rozpoczął się zaraz nażajutrz. Była to najtrudniejsza część podróży. Pominąwszy, że zapal myśliwski, który dodawał nam sił, gdyśmy szli naprzód, nie nie istniał już, pominąwszy zmęczenie, które ogarniało coraz bardziej wszystkich, trzeba było istotnie zachowywać teraz nadzwyczajnie ostrożność. Nocami połowa ludzi musiała zawsze czuwać nad mułami i obozem. Strażom surowo było zakazane drzemać na postojach. Nie wolno było także oddalać się, nawet w dzień, więcej niż na pół mili od karawany i to tylko w miejscach otwartych. Z tem wszystkiem, wlekliśmy się jak żółwie. Na szczęście lub na nieszczęście dla mnie, nie brałem żadnego udziału w trudach, leżałem bowiem cały czas na wozie, chwilami przytomny, a chwilami nawet w malignie.

Czwartego dnia odwrotnej podróży przewodnicy spostrzegli znaczny oddział Indyan i ostrzegli dość wcześnie karawanę, aby miała czas się uszykować. Wozy natychmiast stanęły w jednej linii, a ludzie w pogotowiu. Indianie widocznie nie mieli zbyt przyjacielskich zamiarów, ponieważ, zbliżywszy się na trzecią część mili, podnieśli wycie i wypuścili cwałem konie. Ale widok trzydziestu strzelb wymierzonych i spokojny, pewny głos Woothrupa, rozlegający się jako komenda, wstrzymały ich w przyzwolitej odległości. Było ich około stu wojowników. Wieczorem przysłali do nas poselstwo. Chciałem wtedy koniecznie wstać, aby, zasiadłszy u ogniska rady, palić z Indianami i przypatrywać im się, ale nie mogłem. Gdym wyszedł z wozu, nogi zachwiały się pode mną i o mało nie utracilem przytomności. Położono mnie na-
zad na wóz, musiałem więc poprzestać na przypatrywaniu się nowym gościom, przez uchylone płótno wozu. Zresztą, ponieważ wozy stały blisko, widziałem ich więc dosyć dobrze. Siedzieli przy ognisku w kuczki, paląc w milczeniu i wlepiając jakgdyby zamysłone oczy w ogień. Fajka ubrana była w pióra, krążyła z rąk do rąk. Rysów ich nie mogłem jednak dobrze widzieć, ponieważ silne światło i cienie, rzucane przez ognisko, zacierały je, czyniąc jednych podobnymi zupełnie do drugich. Jeden z posłów miał włosy, spadające prosto po obu stronach

głowy, i futrzaną czapkę, dwaj drudzy oberwane kapelusze, wyrobu białych, z ponatykanemi piórami za tasiemkę, a nawet i dziury powstałe ze starości. Na sobie mieli rodzaj derek ciemnych i rozmaite skóry; na nogach spodnie z frenzlą w bocznych szwach—i nakoniec moka-siny. Twarze ich miały dość przyplaszczony nos, wystające policzki, zwążyły się zaś ostro w kierunku brody. Prócz tego, silne zmarszczki, idące od skrzydeł nosa po obu stronach ust, nadawały im wyraz starości. Jest to podobno wspólna cecha w rysach Indyan. Gdy który z nich mówił, nie patrzył na Woothrupa, do którego wszystkie mowy były zwrócone, ale wprost przed siebie, jakgdyby mówił do siebie, lub z natchnienia ducha świętego. Stary strzelec służył za tłumacza. Języka ich nie mogłem dosłyszeć, albowiem mówili za cicho, aby głos mógł dojść do wozu, powtóre psy, napróżno odpędzane i bite przez mulników, rwały się do ogniska, czyniąc straszny harmider, a w końcu wyjąc przeraźliwie. Po naradzie, zaproszono posłów do wieczerzy, przy której zjadali zupełnie nieprawdopodobne ilości bawolego mięsa, popijając o tyle wodą ognistą, o ile im jej dostarczano. Później stary strzelec powiedział im, bez długiej ceremonii, aby sobie poszli, co też i uczynili. Umowa, jak się później dowiedziałem, nie wypadła wcale po myśli naszych gości. Woothrup darował im kilka kul i powiedział, że

to jedyny podarunek, jakiego mogą się spodziewać oni i ich bracia, jeśli będą nas napastować zbrojnie. Uczyniło to podobno niemale wrażenie na Indyan, którym, jak wszystkim dzikim, imponuje przedewszystkiem zimna krew i pewność siebie. Jednakże Woothrup oświadczył im zarazem, że i on i my wszyscy jesteśmy przyjaciółmi czerwonoskórych, że nie pragniemy im zrobić nic złego, i że gotowiśmy dać im znaczne i kosztowne podarunki, ale wtedy dopiero, gdy nam się podoba. Na drugi dzień przyszło nowe poselstwo z zapytaniem, kiedy czerwonoskórzy mogą spodziewać się darów? Nowa odpowiedź Woothrupa więcej ich zadowoliła. Żądał on, aby główny oddział odjechał natychmiast, zostawiwszy przy nas pięciu tylko wojowników, którzy po kilku dniach podróży otrzymają znakomite dary i będą je mogli odwieźć swoim braciom. Żądanie Woothrupa, aby pięciu wojowników pojechało z nami, było bardzo zręczne; ci bowiem stanowiliby dla nas niejako paszport i straż bezpieczeństwa, która we własnym interesie starałaby się ochronić nas przed innymi oddziałami. Oznaczając termin, przez jaki mieli nam towarzyszyć, nie wyrażnie, ale na dni kilka, mogliśmy ich zatrzymać z tydzień i puścić dopiero niedaleko Percy. Ale Indyanie, także chytrzy do najwyższego stopnia, odgadli te plany i powiedzieli Woothrupowi, że je odgadują. Nie zaprzeczał. Po-

wiedział im, że istotnie takie miał cele, a teraz, albo niech się zgodzą na jego żądania, albo niech się biją. Takie oświadczenie i ujęło ich i zaimponowało zarazem. Zrozumieli, że język naczelnika białych nie jest „dwoisty“, i że można ufać jego słowom; zrozumieli także, że jesteśmy czemś odmiennem od zwykłych awanturników, z jakimi spotykali się w stepach i, koniec końcem, zgodzili się na wszystkie żądania Woothrupa. Dzięki więc jego stanowczości, uniknęliśmy niebezpieczeństwa, na jakie mogło narazić nas starcie. Pięciu Indyan, przeznaczonych do towarzyszenia nam, nie spieszyło także z odjazdem. Mogli jeść i pić sto razy lepiej, niż zwykle w domu, a przytem spodziewali się jeszcze wyłącznych dla siebie podarunków. Traktowano ich dobrze, z wyjątkiem naszych psów, które ujadły na nich dniem i nocą. Ward tylko, jak z początku poświęcał im wszystkie godziny, które zbywały mu od pilnowania mnie, aby się niby uczyć ich języka, tak potem unikał ich, utrzymując, że nie może znieść przykrego zapachu, jaki wydają. Co do mnie, nie widziałem ich prawie wcale, cały ten czas bowiem przeleżałem, jak martwy, na wozie. Nakoniec, na dwa dni przed przybyciem do Percy, odprawiono posłów, obdarzywszy ich hojniej, niż się sami spodziewali.

Tak skończyła się nasza wyprawa, która trwała przeszło miesiąc. Za przybyciem do Per-

cy, Woothrup i niektórzy z towarzyszków naszych, związanych z nim interesami, pojechali dalej na Wschód do Omaha i Connecil Bluffs, a stamtąd przez Sioux-City do Czarnych Gór, reszta zaś, wraz ze mną, do San Francisco.

Do San Francisco przyjechałem mocno cierpiący, a dolegliwości moje nie opuściły mnie aż dotąd. Znalazłem tu Polaków, posmutniałych z powodu odjazdu pani Modrzejewskiej do New-Yorku. Wielka artystka nie tylko wzbudziła ich podziw swoim talentem, ale zaletami serca i umysłu umiała zyskać sobie wszystkie serca. Towarzystwo polskie w Kalifornii wysłało też do niej komitet z adresem, zawierającym słowa podziękowania i wyrażenie uczuć niesłamanego smutku, jakim jej odjazd wszystkich przepelniał. Następnie, nie już komitet, ale wszyscy, wraz wielbicielami jej gry, przeprowadzili ją do Oakland, gdzie na drogę ofiarowano jej braterskie uściśnienie ręki i kwiaty.

Co do mnie, słabość, rozwijająca się początkowo coraz silniej, wstrzymała i opóźniła znacznie mój wyjazd do Europy. Wstrzymuje mnie ona i dotychczas ale zato pozwala mi pisać tak długie listy, jak ten obecny w którym pozwoliłem sobie nudzić czytelników.

Przeróbka Ody Horacyusza.

Jakiż to chłopiec wonnościami zlany,
Wpółśród zieleni u stóp ciemnej groty,
Bawi się z tobą senny—rozkochany —

Ty mu swe złote rozpuszczasz uploty
Na skromną odzież...

Heu! nieszczęśliwy!

Ileż on razy łzami się zaleje
Na zdradę twoją, wówczas, gdy burzliwy
Auster się w ciemnych głębiach rozsialeje.

.
Kto, dziś konając z szczęścia na twem łożu,
Zawsze cię wierną ujrzeć się spodziewa,
Nie wie co cisza na burzliwym morzu,
Kiedy śpią żagle i wiatr nie powiewa.

Jam już spokojny! Mnie ślubna tablica
I odzież zmokła w burzach życia broni,
Nie oczarują mnie twe cudne lica,
Pierś twa nie znęci i uśmiech nie zgoni! —

Listy Litwosa z Wystawy Paryskiej.

Środa, 2 maja r. 1878.

Otwarcie Wystawy. Widok Paryża. Ruch uliczny-Trocadero. Dziedziniec. Gmachy główne. Roboty i ich pośpiech. Wystawa otwarta, ale nieskończona. Uroczystość otwarcia. Pogoda. Deputacye. Marszałek i goście zagraniczni. Mowy. Okrzyki. Illuminacya w mieście. Republikanie i monarchiści. St. Germain. Dzienniki. Radość ogólna. Komplementa. Gniewy.

Wystawa powszechna została dziś otwartą. „Wielka uroczystość pracy i pokoju”, jak ją nazywają dzienniki republikańskie, rozpoczęła się o dziesiątej rano. Cały Paryż wystroił się istotnie, jak na zaślubiny. W chwili, gdy to piszę, setki tysięcy chorągwi francuskich i zagranicznych powiewa na wszystkich ulicach i bulwarach, a miasto mieni się, jak stubarwna tęcza. Miliony lamp płoną świetną illuminacyą. Ruch ogromny: powozy, omnibusy, tramwaje ciągną jedną karawaną bez końca. Konie rżą, woźnice wołają. Tłumy, przybrane świątecznie, roją się na chodnikach i placach, wykrzykując: „vive la France! vive la République! vive la

paix!" Radość ogólna, wrzawa, zamęt, tysiące narodowości, tysiące języków, tysiące kostiumów ze wszystkich części świata, — słowem istna maskarada; ponad tem wszystkiem zaś, ponad tem rojowiskiem ludzkim i ponad miastem, czerwieni się niebo, jakby od łuny pożarnej,—gwiazdy patrzą z zarumienionego tła, a chmury wiosenne wydają się, jakby oświecone różowo żagle nad okrętem, żeglującym wśród nocy.

Tak wygląda Paryż w tej chwili. Od rana jednak wrzało i kipiało w nim wszystko. Cała ludność od dziewiątej ciągnęła przez pola Elizejskie, na Avenue du Trocadero. O dorożce lub omnibusie nie było co i myśleć; idąc zaś piechotą, zaledwie można się było przecisnąć przez wszystkie aleje, wiodące na pole Marso-we. Wystawa istotnie wspaniały przedstawia widok. Głową jej jest pałac Trocadero, zatoczony półkolem, którego strona wklęsła zwraca się ku Sekwanie. Pałac ten jest jeszcze nieskończony, składa się z wielkiego, środkowego budynku, opatrzonego w dwie wieże, i z dwóch skrzydeł bocznych, stanowiących długie kolumnady. Całość, w stylu nieokreślonym, a raczej będącym mieszaniną wszystkich stylów, jakie kiedykolwiek istniały na świecie, krytykowana jest dość ostro przez tutejszych architektów, urządzenia jednak zadowalają najwybredniejsze gusta. Od strony wklęsłej

pałacu, zwróconej ku polu Marsowemu, ciągnie się aż do Sekwany obszerny wirydarz, pochyłający się zlekka ku rzece, pełen fontann, sadzawek, posągów, czarodziejskich grot, mostów i kiosków. Wiszące ogrody Babilonu zbladłyby zapewne wobec tego jednego dziedzińca. Przed miesiącem było to puste pole, zawalone kupami cegły i gruzu; dziś, pod wszechmocną ręką pracy, wyrosły na nim drzewa, zakwitły bzy, zazieleniła się trawa, szumią jeziora, wodospady i wodotryski. W urządzeniu gier wodnych nikt nie może współzawodniczyć z Francuzami, a urządzenia na Trocadero są tego najlepszym dowodem. Główna masa wody, zasilającej środkowe jezioro dziedzińca, wypływa wprost z pałacu. Na kilkadziesiąt stóp nad ziemią widzisz na froncie pałacu urządzony ogromny balkon, a raczej trybunę, pokrytą czerwonym aksamitem, z muru zaś, wprost z pod balkonu, z pod aksamitów i draperyi, rzuca się na dół srebrny wodospad, tak szeroki, jak szeroka jest sama trybuna. W chwilach pogodnych słońce oblewa olśniewającym światłem tę przezroczystą firankę, a promienie jego załamują się tęczą w kropelkach i pyłe wodnym. Wodospad rzuca się na obszerne kamienne schody i, płynąc dalej, szemrząc i dźwięcząc, spadając ze stopnia na stopień, ginie w jeziorku, którego środek zajmuje wodotrysk, rzucający słupy wodne do góry. Naokoło jeziorka zie-

lenią się obszerne trawniki; dalej, po prawej ręce, widać pawilony: japońskie, perskie, marokańskie, chińskie i rozmaite inne; po lewej: algierski i specjalne, poświęcone leśnictwu, meteorologii i t. p.

Granicą między tą częścią, stanowiącą Trocadero, a głównym korpusem wystawy, jest Sekwana. Od Trocadero do głównego szklanego gmachu, zabudowanego w olbrzymi kwadrat, przechodzi się przez most Jena, umyślnie na czas wystawy rozszerzony. Za rzeką znowu ciągnie się ogromny podwórzec, pełen drzew, kwiatów, jezior i pawilonów, a dalej niezmierny gmach szklany, pokrywający niemal całe pole Marsowe, podzielony na galerye, poprzecinane ulicami i stanowiący właściwy kadłub tej całości, której Trocadero jest głową.

Jeżeli Trocadero ze swoim stylem, jak tu mówią przez kpiny: rococococo! porusza żółć architektów i lubowników prostoty i piękności, wszyscy jednak oddają jednomyślne pochwały głównemu korpusowi. I istotnie, trudno powiedzieć, z jakim wdziękiem, lekkością i śmiałością rysuje się ta niezmierna mieszanina szkła i żelaza, co do ogromu stanowiąca jakgdyby miasto całe. Na rogach jej wznoszą się wyniosłe kopuły, całość zaś, przecięta główną ulicą, dzieli się na dwie części. Wchodząc od Trocadero, część po prawej stronie, a raczej prawa poło-

wa, poświęcona jest zagranicy, lewa wyłącznie Francyi. Wewnętrzna środkowa ulica tak jest szeroka, że mieszczą się na niej ogromne pawilony, przeznaczone na sztuki piękne. Będąc raz wewnątrz, oryentować się bardzo łatwo, każdy bowiem dział zagraniczny zwrócony jest ku głównej ulicy frontem, noszącym cechy narodowego stylu. Galerya więc chińska z frontu wygląda, jak dom chiński, japońska, jak japoński, hiszpańska nosi wybitne piętno stylu maurytańskiego, szwajcarska jest szwajcarskim szaletem, angielska czerwonym zwykłym angielskim domem, rosyjska czemś podobnym do rosyjskiej karezny, zbudowanej z okrągłaków i przyozdobionej w sposób bizantyjski; włoska część nosi cechy klasyczne, i t. d. Zewnątrz wszystko prawie jest już ukończzone, ale wewnątrz pozostaje dużo do zrobienia; mnóstwo okazów stoi jeszcze w paczkach; mnóstwo szaf i wystaw pustych. Część francuska najbardziej jest zacofana, a gotowe zupełnie tylko chińska i japońska. Trudno jednak zrozumieć, jakich cudów pracy i pośpiechu dokonano w ostatnich już chwilach. Gdym trzy dni temu zwiedzał roboty, nietylko wewnętrzne urządzenia nie były jeszcze wykonane, ale nawet galerye i gmachy; wieżom i kopułom brakowało dachówek, koło ścian stały rusztowania, z fasad zwieszały się liny i bloki, wnętrze ulic zawałone było gruzem, cegłą, pyłem

wapiennym, stosami pak drewnianych, heblowin, pakuł, desek i t. d. Ale też roboty szły z szalonym pośpiechem. Dziesięć tysięcy robotników pracowało w dzień przy świetle słonecznem, w nocy przy elektrycznem. Świst lokomotyw, zgrzyt pił, huk młotów, nie pozwalał prawie słowa przemówić. W trzy dni owe stosy i kupy znikły, galerye zostały wykończone, ulice wysypane żwirem lub wylane asfaltem; pozostaje tylko dokończyć urządzenia wewnętrzne, pozapelniać te szafy, które są jeszcze puste, okazami—i powiedzieć sobie: *a cti labores jucundi*.

Dziś, jak jest, wystawa została otwartą, ale nieukończoną. Otwarcie to odbyło się jak najuroczyściej wśród furkania chorągwi, odgłosów trąb, okrzyków i huku armat. Udział w tej uroczystości mieli tylko zaproszeni, t. j. znakomici goście cudzoziemscy wraz z ich świtami, wojskowi wyższych stopni, urzędnicy wystawy, deputowani, senatorowie, ciała naukowe, wystawcy i korespondenci pism zagranicznych. Jako waszemu korespondentowi, nadesłano zaproszenie i mnie, byłem więc świadkiem całej tej uroczystości. Publice pozwolono wejść dopiero po godzinie trzeciej, ale i tak tłumy uczestniczyły przy otwarciu, zaproszeń rozesłano około trzydzieści tysięcy. Pogoda była czysto wiosenna, jak najgorsza. Od samego rana chwilami świeciło słońce, to znowu za-

cinał deszcz rzęsimy. O pierwszej deszcz przeszedł w ulewę i burzę. Potoki wody, spływające ze szklanych domów, zmieniły ulice w prawdziwe strumienie. Grzmot wstrząsał szklanemi szybami gmachu, które dźwięczały, jakgdyby z przerażenia. Thumy ludzi kryły się po galeryach, pawilonach, kioskach. Niektórzy poczynali wątpić, czy marszałek wraz z książętami zagranicznymi nadejdzie. Ale po chwili zaświeciło znów słońce, a z niem razem powrócił i dobry humor. Thumy wylegały na place przed głównym gmachem i przed Trocadero. Damy w przepysznych strojach, pędzone ciekawością, śmiało brnęły po przemoczonym żwirze, podnosząc w górę atlasy, aksamity, koronki, a nawet i batysty, może nawet nieco wyżej, niż tego wymagała wilgoć i woda.

O kwadrans na drugą przybył trzydziesty z rzędu pociąg kolei żelaznej; przyjechali w nim senatorowie i deputowani. Jedna część z nich udała się natychmiast do Trocadero, druga miała oczekiwać książąt i marszałka, z drugiej strony mostu Jena, na wielkim wirydarzu, na polu Marsowem, przed głównym gmachem. Obok nich ustawiły się niezliczone deputacje: sądownicze, administracyjne, naukowe, duchowne, dyrektorowie banków, poselstwa i t. d. Tłum ten, ubrany w mundury galowe, błyszczał złotem, srebrem, mienił się wszystkimi kolorami na świetle. Zaczawszy od trój-

kolorowych szarf senatorstwa, zielonych akademickich, widziałeś szarfy i kostiumy wszystkich narodów, świetne mundury wszystkich wojsk, począwszy od czerwonych angielskich, skończywszy na mundurach siamskich i chińskich. Istotnie, nie brakło niczego: wszelkiego rodzaju pióra, orderzy, gwiazdy, krzyże, łańcuchy. Dygnitarze: kamerjunkrowie rosyjscy, generałowie angielscy, mandarynowie państwa niebieskiego i wszyscy inni, co w mniej więcej ucywilizowany lub nieucywilizowany, głupi lub mądry sposób rządzą światem, stali obok siebie w zgodzie i spokoju, uczestnicząc w „uroczystości pokoju” i z nawpół otwartymi ustami gapiąc się, jak zwyczajni śmiertelnicy na trybunę, na której miał się ukazać marszałek wraz z zagranicznymi książętami. Wszystko to było przejęte i uroczystością i swoją rolą w uroczystości. Czasem tylko przelotna chmura, zawaliwszy ciemności cielskiem słońce, snuła jakby złowrogi cień na to promienne święto pokoju — i może wówczas wydawało się tłumom, że ten cień padał od Wschodu, od tej burzy i od tych chmur, które, skłębiwszy się nad Konstantynopolem, grzmia już groźnie a głucho i grożą co chwila rozpętanem się w straszną burzę narodów.

Korzystając z przywileju korespondenta, który wścibić musi swoje trzy grosze wszędzie i wścibia je tam nawet, gdzie nie ma prawa,

podszedłem bliżej Trocadero, aby słyszeć i widzieć jak najwięcej. Z tego wyniosłego wirydarza oczy moje obejmowały całą wystawę: główny gmach po tamtej stronie mostu tak wielki, że patrząc z jednego końca, widzi się drugi już jakby w cieniach mglistych i błękitnych, dalej szopy, ciągnące się obok gmachu, nieskończony labirynt zielonych alei, a dalej gmachy, domy, kopuły i wieże Paryża. Między głównym gmachem a mostem poruszała się fala głów ludzkich. Dwa lata przeszło, jak wiecie, spędziłem po większej części w milezących i samotnych lasach Ameryki; nie umiem więc wam wypowiedzieć, jak dziwne wrażenie czyniło teraz na mnie to rojowisko ludzkie, ten zebrany blask i przepych wykwintnej i wyrafinowanej cywilizacyi, te mundury, gwiazdy, pióra i orderzy. Ale nim wrażenie zmieniło się w myśl, świadomą sobie, nim mogłem sobie powiedzieć, czy to wszystko, co widzę, jest szych i polor cywilizacyi, czy też cywilizacya sama, czy prawda, czy „humbug”, jak mówią bracia moi yankesi, nim przyszło mi na myśl, że, mimo tych świetnych powozów, postęp socyalny tak daleko został za technicznym, i że tak mało, naprawdę, jest szczęścia, a tak wiele nędzy w życiu ludzkości, nim, powtarzam, zawiało z mojej głowy na te tłumy Schopenhauera i Hartmanna—z fortu Mont-Valérien huknął strzał armatni, jeden, drugi, trzeci, inne for-

ty odpowiedziały salwami; tłumy zachwiały się, słowa „monsieur le maréchal” przeleciały z ust do ust, i „monsieur le maréchal”, ubrany w świetny mundur, z trójkolorową chorągiewką i buławą złocistą w rękę, otoczony książętami zagranicznymi, ukazał się na trybunie.

Po jednej stronie marszałka stanął książę Walii, typ angielskiego gentlemana, o wypukłej piersi, szerokich ramionach, z twarzą, na której kwitnie zdrowie i wesołość. Postać to bardzo popularna w Paryżu, gatunek królewskiego lamparta, nie robiącego sobie nic z niczego, niecierpiącego etykiety, kochającego polowanie na tygrysy, Anglię i własną żonę, dzieci i baletniczki, a przytem umiejącego to wszystko — godzić ze sobą.

Po drugiej stronie zasiadła figurka mała, nikiemna, z twarzyczką pomarszczoną jak cytryna, z przymrużonemi oczkami i złotą laseczką w rękę. Na jej widok, stojący obok mnie reporter „Figara” począł śpiewać pod nosem: „Jam jest małżonek Heleny, żonek Heleny, żonek Heleny, jam Spartanów, tanów król”. Był to też istotnie offenbachowski Menelaus: Franciszek z Assyżu, mąż eks-królowej Izabelli hiszpańskiej, a ojciec, przynajmniej jak sam zapewnia, panującego dziś króla Alfonsa, typ starego arystokracika safandudy, któremu, kto żył, przyprawiał wiecznie rogi, a który synowi swemu nie może powiedzieć nawet tak, jak w

Szekspirze przez usta Falstafa przemawia Henryk IV Bolinbroke do swego następcy: „że jesteś moim synem, przekonują zapewnienia twojej matki, a mianowicie uspokaja mnie pod tym względem szelmoski wyraz twych oczu i głupowata obwisłość twojej dolnej wargi”. Z tem wszystkiem, Franciszek z Assyżu to wcielenie etykiety i pozorów. Pełnomocnik jego długo klócił się o to, że nie księciu Walii, ale jego panu należy się miejsce po prawej stronie marszałka, co marszałka wprowadziłoby w niemały kłopot, gdyby Anglik, książę Walii, nie był dobrowolnie ustąpił, oświadczywszy, że wszystko jest „right!” i że jemu wszystko jedno, gdzie go postawią.

Z innych ukoronowanych gości, na których tłumy francuskie wytrzeszczały swe republikańskie oczy, byli obecni: książę Aosty, książę Henryk holenderski, następca duński, i książę leuchtenberski. Gdy to wszystko raczyło umieścić swe osoby we wskazanych miejscach, z Mont Valérien znowu zahuczały działa, po nich zaś nastąpiła cisza, którą przerywał tylko szelest wody, spadającej z pod trybuny. Wówczas minister handlu przemówił do marszałka. Stojąc niedaleko, widziałem dokładnie twarz tego republikanina o rysach ostrych i inteligentnych, mowę jednak dosłyszałem za ledwie częściowo, bo szmer wodospadu głuszył słowa. Minister oświadczył, że uroczystość wy-

stawy nietylko jest świętem pokoju, ale zarazem świadectwem odrodzenia się Francyi pod rządem republiki i świadectwem pracy, której świetny rozwój przedewszystkiem istniejąca republikańska i demokratyczna forma rządu zapewnia. Gdy minister skończył, marszałek wysunął się z kolei naprzód z trybuny. Tysiące oczu i lornetek skierowało się na tego starego człowieka, z głową białą jak u gołębia i z mózgiem także niewiele większym jak u gołębia. Cisza zrobiła się jeszcze większa i stara pozytywka, nastrojona na nutę republikańską, zaczęła grać, co następuje: „Łączę się z całego serca (mówił marszałek) do uczuć, któreś pan wypowiedział, i mam nadzieję, również jak pan, panie ministrze, że wystawę naszą uwieńczy świetne a całkiem zasłużone powodzenie. Podziwiając wspaniały owoc pańskich usiłowań, składam publiczne dzięki i panu i pańskim pomocnikom, oddając wam zasłużone świadectwo w całej rozciągłości.

Powinniśmy również podziękować wszystkim tym narodom, które tak chętnie i wspaniale odpowiedziały na wezwanie Francyi.

W imieniu Rzeczypospolitej oświadczam, że wystawa jest otwartą”.

Po ostatnich słowach tłumy gości zaproszonych odpowiedziały jednym okrzykiem: „vive la France! vive la République!”; ozwały się znowu działa i orkiestry wojskowe; marszałek

zaś wraz z gośćmi, wyszedłszy z Trocadero, udał się przez most Jena na pole Marsowe, do głównego, szklanego gmachu wystawy. Po drodze witały go jeszcze rozmaite deputacye; w środku zaś gmachu, na ulicach, przed frontami narodowych pawilonów, oczekiwały nań komisye zagraniczne. Jednocześnie otworzono wszystkie bramy i publiczność, której wstęp dotychczas, z wyjątkiem zaproszonych, nie był dozwolony, zaczęła jak fala morska zalewać całą wystawę. W mgnieniu oka sto tysięcy ludzi zapelnilo galerye szklanego gmachu i wewnętrzne ulice. Na twarzach wszystkich malowała się istotna radość, a okrzyki: „vive la France! vive la République!” powtarzały się co chwila. Wykrzykiwano także wiwaty na cześć gości zagranicznych, mianowicie księcia Walii, a nawet i na cześć Mac-Mahoma. Stary ten człowiek, od czasu upadku ministeryum Broglie, stał się dość popularny we Francyi. Nawet najskrajniejsze dzienniki odzywały się o nim umyślnie z szacunkiem. Francuzi mówią: „wiemy, że jest safandulą, ale safandulą nieszkodliwym, szanujemy zaś w nim prezydenta Rzeczypospolitej”. I istotnie wbili już tak dobrze w głowę staremu, że jest republikaninem, że w końcu sam w to uwierzył, jak ów molirowski literat, który nie wiedział, że robi „prozę”, i uradował się, gdy mu powiedziano, że nią pisze. Mac-Mahon uwierzył nawet obe-

enie w to, że to on właściwie uratował Rzeczpospolitą, że poznał się na intrygach Broglie'go, i istotnie też znienawidził go do tego stopnia, że obecnie nie chce go widzieć na oczy. Zresztą, wmawiają mu to codziennie. Gdyby nie ta taktyka, gdyby nie to wmawianie w tę dość słabą z natury głowę lojalności, prawości i t. p., kto wie, co by się było stało, osobiste bowiem instynkta i upodobania ciągnęły tego starego żołnierza raczej w antyrepublikańską stronę. Ale obecnie wziął swoją rolę na seryo; Francuzi zaś, śmiejąc się na boku w kułak, starają się go w niej utwierdzić. Swoją drogą Paryż pełen jest anegdotek o żołnierskiej naiwności prezydenta. Pewnego razu np., gdy Dumas syn został akademikiem, minister oświecenia przychodzi do marszałka i mówi mu, że musi przyjąć Dumasa. „Niema potrzeby” — odpowiada prezydent. „Owszem, to zwyczaj” — mówi minister. — „Jeśli to zwyczaj, to go przyjmę, służba jest służbą”. — „Ale trzeba mu powiedzieć kilka komplementów (ciągnie minister), to jest komedyopisarz”. — „Powie mu kilka komplementów” — odpowiada, jak pozytywka, marszałek. Minister tedy objaśnia dalej, kto jest Dumas, że napisał „Dame Kameliową” i „Demi-monde”, że ojciec jego był także pisarz bardzo sławny, jako autor „Trzech muszkieterów” i t. d. Poczem wprowadzają Dumasa, marszałek podaje mu rękę i mówi: „Uszczęśliwiony, że wi-

dzę pana! Znałem jakiegoś Dumasa porucznika w moim pułku, gdym był w Afryce, czy to nie krewny pana?"—„Nie“.—„Nie? tem gorzej dla niego. Pan jesteś pisarz, wiem to doskonale. Lubie, gdy syn robi to samo, co ojciec: ja żołnierz, mój syn żołnierz; stary Dumas pisarz, młody Dumas pisarz, wybornie! Pan napisał „Un demi tour du monde” (Dumas przygryza wargi). Widziałem to: muzyka prześliczna, kostiumy zachwycające. Ojciec pański napisał „Trzech muszkieterów”; mógł napisać więcej, ale to dosyć. Uszczęśliwiony, że pana widzę! Panie ministrze, musimy jeszcze raz widzieć „Un demi tour du monde!”

Si non è vero, è ben trovato! Dość jednak spojrzeć na tę twarz typowo żołnierską, żeby zrozumieć, że człowiek ten, doskonały generał dywizyi, zbiegiem okoliczności wyniesiony został na stanowisko, o wiele przewyższające jego siły. To też ministrowie robią za niego wszystko, a z nim co chcą. Wśród labiryntu stosunków politycznych wewnętrznych kieruje go tylko pewien instynkt uczciwości, który nakazuje mu szanować wolę kraju i słuchać jej. Na mocy tego niepodobna go było skłonić do zamachu stanu. Pod wpływem Broglie'go robił wszystko dla monarchistów; ale, gdy mu kazano podnieść rękę na kraj, przeraził się własnych postępków i wszedł na inną drogę róż-

wnie szczerze, jak dawniej postępował poprzednią.

Ale mniejsza o to. Wracam do opisu otwarcia. Uroczystość urzędowa skończyła się o czwartej, publiczność jednak do szóstej napelniała gmachy i ulice. Od szóstej do ósmej mają jeszcze prawo pozostawać urzędnicy, wystawcy i korespondenci gazet. Szczegółowy opis gmachów, pawilonów, okazów, mianowicie też okazów, nadesłanych z kraju naszego, prześlę wam w następnych listach. Czasu mamy dosyć, zresztą opisywać wystawę, otwartą już wprawdzie, ale jeszcze nieukończoną, byłoby przedwcześnie; w tym liście, na zakończenie, wolę wam dać opis uroczystości wieczornej.

O godzinie siódmej cały Paryż, z wyjątkiem kilku ulic, zapłonął jednym morzem świateł. Na gmachach publicznych gorzała iluminacja gazowa; w oknach domów prywatnych błyszczały świece i latarnie chińskie. Nietylko główne bulwary, ale i wszystkie place przepełnione były tak ludźmi, że trudno się było przecisnąć. Tłumy wykrzykiwały wiwaty na cześć Francyi i rzeczypospolitej. Na przedmieściach i nawet w środku miasta śpiewano Marsylianke, czemu policya nie przeszkadzała. Widno było na ulicach, jak w dzień. Prawdopodobnie nigdy jeszcze Paryż nie widział tylu cudzoziemców; po bulwarach roili się Anglicy, Hiszpanie, Yankesi, Turcy, Grecy, południo-

wi Amerykanie, Japończycy, ubrani po europejsku, i Chińczycy, jeszcze w swoich kostiumach i z warkoczami. Widziałem Indyan z Indyi Wschodnich, Murzynów, a nawet i Malajów. Nad Sekwaną palono ognie bengalskie, puszczano race, fajerwerki. Wśród tych światła białych, czerwonych, niebieskich i żółtych powiewały chorągwie wszystkich narodów; wysoko, pod niebem rozsypywały się i gasły złote i ogniste warkocze rac. Święto było istotnie wielkie, uroczyste i narodowe. Dla Francyi otwarcie wystawy, ten udział tak chętny, jaki wzięły w niem wszystkie narody, z wyjątkiem Prus, ten świetny zjazd i świetne zapewnione już powodzenie przedsięwzięcia jest aktem nie tylko przemysłowo-handlowego, ale i politycznego znaczenia. Monarchiści, wojując z Rzeczpospolitą, przeprowadali zawsze głosem Kassandry, że Rzeczpospolita przyprowadzi kraj do ruiny i upadku, że upadnie handel, przemysł, rolnictwo, kraj zniszczeje i zbankrutuje. Tymczasem wystawa nie słowami ale faktami odpowiada na to: kłamstwo! Oto Rzeczpospolita zapłaciła miliardy Niemcom, wytrzymała drugą, równie straszną wojnę domową; upadła, pobita, okrwawioną Francję podniosła i postawiła na nogi, a teraz w wystawie składa dowody swej pracy, swego handlu, swego przemysłu i doskonałych, polepszonych jeszcze i utwierdzonych stosunków z innymi narodami.

Wystawa dowodzi, że Rzeczpospolita to pokój, inna zaś forma rządu we Francyi prowadzi jedynie do wojen i zniszczenia. Krótko mówiąc, wystawa jest ostatniem, potężnem uderzeniem kopią, które przeciwnika wysadziło raz na zawsze z siodła. Partye, uważane dotąd za konserwatywne, czują to doskonale. Monarchiści przeszkadzali wystawie, ile mogli; dzienniki zaś ich, nie mogąc obecnie zaprzeczyć faktom, szukają przyczepki, choćby najnędrniejszych. Oto np. ludzie tłoczyli się przed Trocadero, jak zwykle ludzie tłoczą się, gdzie jest coś ciekawego; z tego więc wychodząc, jakiś pan Cassagnac, lub inny jemu podobny wisielec, bluzga błotem na naród francuski, wykrzykując na nieporządki, które toleruje Rzeczpospolita. Ale to już jest złość bezsilna. Dziś, w obecnym stanie rzeczy, partye monarchiczne rozklejają się. Wszyscy ci, którzy należeli do nich istotnie z miłości do kraju, wszyscy uczciwi, którzy sądzili że Rzeczpospolita będzie istotnie równoznaczną z anarchią, przekonawszy się, że tak nie jest, przechodzą do obozu republikańskiego. O co chodziło uczciwym monarchistom? O kraj? Widzą teraz, że Rzeczpospolita zapewnia mu pomyślność, więc czegoż więcej potrzeba. Ta garstka ludzi, która dziś jeszcze trzyma się partyi Rzeczypospolitej przeciwnych, składa się albo z fiksatów politycznych, którym ta a ta osoba zasłania wszyst-

kie obowiązki na świecie i cały kraj, albo z arystokracji, która niezachwianie wierzy, że Pan Bóg stworzył Francję wyłącznie dla przedmieścia St. Germain; albo, наконец, z wichrzycieli, radych łowić ryby w mętnej wodzie. Z pierwszymi dwoma kategorjami Rzeczypospolita nie potrzebuje się liczyć. W każdym narodzie znajdują się ludzie, mający politycznego bzika. Dla trzeciej kategorji, dla wichrzycieli, dla rzezimieszków politycznych istnieje kodeks karny i kratka sądowa.

W chwili wielkiej uroczystości narodowej niższe masy narodu francuskiego dały przykład umiarkowania, jakiego nie spodziewałem się nawet po nich, a jakie godnemby było nawet Amerykanów. Pamiętam, jak w Ameryce głupiec jakiś wykrzyknął raz na wyborach: „Hura, for Hell!” (Niech żyje piekło!). Imi z niezachwianą amerykańską tolerancją odpowiedzieli mu: „All right! evrybody for his country!” (Bardzo dobrze! każdy dla swojej ojczyzny!) i zabili go śmiesznością. Coś podobnego miało i tu miejsce. Bulwar St. Germain, Rue St. Honoré nie oświeciły swoich okien. Dzienniki monarchiczne umyślnie podsuwały na myśl ludowi, niby to wyrażając obawę, wybijanie szyb w ciemnych oknach. Jednakże ani jedna szyba nie została wybita. Nie dopuszczono się żadnego gwałtu. Thumy śmiały się, patrząc w ciemne okna pałaców i na tem się skoń-

czyło. Dowód to pewnej dojrzałości i taktu, tem-
bardziej zasługującego na uznanie, że umiano
go zachować w chwilach uniesienia.

Co do mnie, o Rzeczypospolitej francu-
skiej, a zwłaszcza o demokracji francuskiej, du-
żo miałbym powiedzieć. Daleko jeszcze jednej
i drugiej do amerykańskiej. Tu jeszcze o tych
rzeczach deklamują, tam niemi żyją. Tu demo-
kracya więcej jeszcze siedzi w głowach, tam
w obyczajach. Tam obywatele i rząd to prawie
wszystko jedno; tu jest centralizacya, tam de-
centralizacya w najrozsądliwszym znaczeniu,
tu istnieje biurokracya, urzędnicy starsi i młód-
si, tam niema biurokracyi, niema urzędników
starszych i młodszych, niema hierarchii. Po-
wiem nawet więcej: być może, że urządzenia
decentralizacyjne amerykańskie, wprowadzone
nagle do Francyi, wywołałyby pewien zamęt.

Gazeta Polska, № 103, 104, 105 z dnia 6, 7 i 8 maja 1878 r.

Listy Litwosa z Wystawy Paryskiej.

Paryż, 12 maja r. 1878.

Pogłoski o wystawie w Berlinie. Niemcy w Filadelfii. Wszyscy oprócz Niemców. Istotne powody. Moralna klęska. Francuzi wobec przyszłej wystawy. Francuzi i Anglicy. Romans przez kanał. Grzeczność francuska. Nowy Babilon. Bulwary wieczorem. Noce paryskie. Pozostałości. Gdzie szukać demokracji i rzeczypospolitej. Nowe posiewy. Ceny idą w górę. Miejszkania i restauracye. Fiakry. Teatry. Hermani i Sarah Bernhardt. Fotografie. Wystawa. Daleko do końca. Oddziały: chiński i japoński. Oddziały kolonii angielskich. Skarby księcia Walii. Liryzm dzienników. Malowniczość pawilonów. Odlew gipsowy doktora Levitoux. Zadość przyzwoitości. Koldra. Goście z Królestwa. Dzienniki o wystawie.

Mówią, że przyszła, najbliższa wystawa będzie w Berlinie. Francuzi już naprzód dworują sobie z niej, wspominając o żabie, która na widok, że konia kuja, wyciągnęła także nogę, i pytają, jak i co Niemcy mogą wystawić? Była przecież wystawa w Filadelfii; cóż więc na nią posłali? Oto geniusz narodu Niemieckiego stręścił się w Kruppie i pośród dzieł

pokoju, przemysłu, nauki i sztuki figurował w postaci dział Kruppa, granatów, lawet, iglicówek. Inne narody chwaliły się pomysłami, mającymi na celu polepszenie życia — Niemcy pomysłami, mającymi na celu śmierć i zabijanie ludzi hurtownie. Tak było istotnie — Krupp przedstawiał niemiecki przemysł — obrazy bitew, rzezi, portrety Moltków i Bismarków niemiecką sztukę. Yankesi powiedzieli im za to: „goddam!” Dość było czytać ówczesne amerykańskie dzienniki. „Nie boimy się was i głośno pogardzamy wami” — oto co im pisało. Na teraźniejszej wystawie paryskiej Niemcy „blyszczą swoją nieobecnością”. Dziwne to robi wrażenie. W wielkiem świecie narodów jeden tylko nie bierze udziału; na polu Marsowem powiewają chorągwie wszelkie, prócz niemieckiej; wszyscy się cieszą, weselą, mówią o cywilizacyi, postępie, braterstwie, o błogosławionej epoce pokoju, która ma kiedyś nadejść, jedni tylko Niemcy wyłączeni, z poczuciem odosobnienia w duszy, ze szczytów swoich skał nadreńskich spoglądają chmurno i posepnie na całą uroczystość, i wstyd im i gniew ich bierze zarazem. Kolby u ich nóg, bagnety nad ich głowami—tak przedstawiają się ludom, które ze zdziwieniem pytają, czy te groźne, zbrojne masy są narodem, czy obozem?

Francuzi tryumfują. Tryumfują pocichu, bo się Niemców boją, ale w duszach jakże konten-

ci! Wystawa, pomimo Niemców, świetna i udana, dowiodła, że tam, gdzie chodzi nie o wojnę, ale o sprawy cywilizacyi pokojowej, tam o Niemcach nie warto wspominać. Dzienniki też tutejsze nie wspominają nawet o nich, nie wyrzucają im nic, nie skarżą się na nich o to, że nie chcieli wziąć udziału, poprostu zapoznają ich, a gdy mówisz prywatnie z Francuzem, rusza ramionami i odpowiada: „Ach, ci biedni Niemcy! niema ich? to bardzo naturalnie, cóż oni mogą przysłać?”

Jakoż leży w tem prawda. Spartanie w dawnych czasach, wytworzywszy żołdecki obóz w Grecyi, w niczem nie przyczynili się do jej cywilizacyi. „Kto sieje wiatr, zbiera burzę”, mówi przysłowie.

Naród, który zmienia się w żołnierzy, tem samem bezświadomie może, ale na mocy konieczności dziejowej, zasadą i główną potrzebą bytu swego robi wojnę, zatem rozbój, łupież i pożogę. Gdzież miejsce wobec tego na słodkie owoce cywilizacyi? Minister, który pochnąwszy wszystkie siły, wszystkie fale życia narodowego w stronę uzbrojeń i wojny, mówi o pokoju, albo kłamie, albo łudzi się. Gdy jeden naród uzbroi się od stóp do głów, muszą uzbroić się inne, a wtedy nie łatwiejszego, jak o bijatykę między obozami. Na bramie, prowadzącej w kraj żołnierzy, słusznym jest napis: „Tu robią wojnę”. Muzy na widok takich bram i napi-

sów zakrywają głowy i cofają się przerażone. Mars zbyt wielkim jest gburem dla tych białych panien. Stara to prawda, ale sprawdzona i sprawdzająca się zawsze. Niemcy na święto pokoju do Filadelfii posłali Kruppa, a gdy im powiedziano, że na takie rzeczy niema miejsca, na święto pokoju do Paryża nie posłali nic, bo nie mieli co posłać.

Ta jest istotna przyczyna nieobecności Niemców na wystawie. Naród ten wszystkie swoje świetne zdolności, cały geniusz, wszystkie siły skierował w stronę wojny; najlepsze jego głowy zgłębiają strategię i taktykę, więc zaniedbał się w innych kierunkach, pozostał w tyle, zubożał; upadły wynalazki, przemysł, handel, a na przyszłość pozostała groźba, że gdy chleba zbraknie, głodni żołnierze zaczną rozbijać na gościńcu narodów. Względy polityczne, niemiecki szowinizm i niemiecki patryotyzm, dla których niby nie wzięto udziału w wystawie, były tylko pozorem. Rzeczywisty powód leży w tem, że dzisiejsza produkcya niemiecka, porównana z produkcją innych narodów, wstydby Niemcom przyniosła. Sądono przytem, że gdy się Niemcy usuną, usuną się i inni, i wystawa nie przyjdzie do skutku. Zarozumiałość została jednak ukarana. Wzięli udział wszyscy, i wystawa stała się moralną przegraną dla Niemiec wobec sądu cywilizacyi.

Rozumieją to Niemcy sami, dlatego też ich

prasa, nadrabiając miną, poczęła mówić o przyszłej wystawie w Berlinie. Życzymy powodzenia — odpowiadają z przekąsem Francuzi — bądźcie pewni, że nie usuniemy się od niej, ale wprost przeciwnie, weźmiemy w niej taki udział, że was, Niemców, w samych Niemczech i w samym Berlinie pobijemy. Obliczcie się więc z siłami, obliczcie się dobrze, żeby was nowy wstyd nie spotkał.

Tymczasem różnica między przyszłą niemiecką a obecną paryską leży w tem, że niemiecka dopiero będzie, paryska jest, — niemiecka może się udać, paryska się udała. Zjazd na nią z każdym dniem się powiększa. Napływ Anglików szczególniej przybiera kolosalne rozmiary. Przyczyną tego jest nietylko blizkie sąsiedztwo, taniość przejazdu, ale i stosunki dwóch narodów, tak przyjazne, jak od najdawniejszych czasów nie były. Pełno tego dowodów na wszystkie strony Książę Walii na bankiecie oświadcza publicznie swoją miłość dla Francyi, za co lają go już w gazetach Niemcy, i komplementuje Rzeczpospolitą; Rzeczpospolita w dziennikach wywdzięcza się również Anglii w ogólności, a dynastji w szczególe. Oba kraje wyciągają do siebie ręce i spierają się prawie o to, kto kogo lepiej kocha; „Times” zachwycą się wystawą i bogactwem Francyi; „République Française”, organ pana Gambetty, oświadcza, że można skolowacieć z

zachwytu na widok wystawy angielskiej; słowem: między narodami, rządami i dziennikami odbywa się prawdziwy romans przez kanał.

Wobec tego Anglicy są prawdziwie „personae gratae” w Paryżu. Pełno też ich wszędzie po muzeach, kościołach, teatrach, hotelach, restauracjach i kawiarniach. Każą im wprowadzić płacić słono za wszystko, i flegmatyczni synowie Albionu płacą. Jakże tu nie płacić, skoro ich tak kochają! Gorzej na tem wychodzą cudzoziemcy, których kieszenie stoją raczej w odwrotnym stosunku do francuskiej pożądlivości. A pożądlivość ta na najmniejsze nawet zyski, na centymy i susy dochodzi do wysokiego stopnia.

Francuska grzeczność nie jest bynajmniej bezinteresowną. Wszystko to jest obrachowane na zysk. Gdy wchodzisz do sklepu kupić coś za dwa franki, pachnący i ufryzowany kupczyk poczyną skakać przed tobą, jak pudel, wdzięczy się, łasi, kręciłby ogonem, jak pudel, gdyby ogon posiadał; nie pozwala ci powiedzieć, czego chcesz, sam zgaduje naprzód; pokazuje rzeczy, o które nie pytałeś, przewraca do góry nogami połowę sklepu, ujinuje cię swoją grzecznością, zawstydzają, zobowiązuje, przewraca ci w głowie, i dopiero, wyszedłszy ze sklepu, zmiarkujesz, żeś przyszedł po rękawiczki za dwa franki, a kupiłeś laskę, kapelusza i tam jeszcze co, za dwadzieścia. Wszędzie spot-

kasz to samo. Golibroda, który gościa za nos trzyma, przy goleniu zachwyca się pięknnością puklów, w jakie układają się gościa włosy, i błaga go w imię wszystkich piękności, aby o tych puklach miał staranie, i pót y błaga, pót y zaklina, tak się troszczy natrętnie o te włosy, aż wreszcie wklepie ogłupiałemu butelkę jakiegoś olejku za pięć franków, który niby ma tę cudowną czuprynę zachować, na większą chwałę ludzkości, na długie lata. Człowiekowi, który przywykł do prawdziwej równości i demokracji, wstyd czasem za tych demokratów, służących na dwóch łapkach i wyczekujących „pourboire”. Czasem, przywykłem zwłaszcza do amerykańskiej prostoty podróżnikowi, ta drobiazgowość, ten brak godności w stosunku z cudzoziemcami, ta grzeczność, bliska natręctwa, wszystko to wydaje się obyczajem zniewiesiałym, przeżytym, przerafinowanym, wdzięczeniem się i kokieteryą, skierowaną ku kieszeni, a budzącą pogardliwe uczucia. Zadużo tu często form, wskutek tego, kto wyprowadza wnioski zbyt pośpiesznie, ten gotówby przypuścić, że pod tą plewą niema ziarna, ale ziarno jest, bo jest już dążność do zrównoważenia treści z formą, jest praca prawdziwa, jest trzeźwość, i chęć dojścia do świadomości własnych wad i cnót, do reform, gdzie potrzeba. To, co zostało jeszcze, i co razi oczy, jest zabytkiem dawnych, innych czasów, w których zamiast zdro-

wego powiewu, jaki wieje dziś i jaki odwieje plewę z ziarna, wiał inny, rzucający unyślnie plewę w oczy.

Zresztą mowa tu tylko o Paryżu. To, co w nim pracuje poważnie, działa i patrzy w przyszłość, to się rzuca przedewszystkiem w oczy. Cudzoziemcowi, przybywającemu z dalekich stron, rzucają się w oczy najpierwej i najłatwiej babilońskie strony miasta. Dziesięć loretek i dziesięciu kankanistów narobią więcej hałasu, niż sto uczciwych kobiet i stu uczonych, to nikogo dziwić nie powinno. Paryż jest jak morze, w głębinach spokojne, poważnie, na wierzchu poruszane lada wiatrem i lada wiatrem spieniane. Kto więc jeździ po wierzchu, widzi pianę, i nic więcej, tylko pianę.

Rzym za cesarów był bardzo zepsuty; dla Paryża te czasy niedawno się skończyły i może jeszcze wiele z nich pozostało, dlatego często wygląda, jak uróżowana bachantka. Zresztą pomysły, że przyjeżdża tu sto tysięcy cudzoziemców, aby się wykapać w hulatyce po uszy. Bawią się więc, krzyczą, wrzeszczą i weselą.

Może kiedyś jaki poeta opíše stylem Bocaccia „Noce paryskie”, bo też bez przesady mówię wam, że dziwne to noce. Otwarte sklepy i kawiarnie leją potoki światła na chodniki; w oknach sklepów atlasy, aksamity, bisiory,

brylanty ; teatry grają, śpiewają ; ogrody brzmią muzyką ; na bulwarach tłumy świetne, modne i pyszne ; damy kameliowe, prawdziwe komety błędne o jasnych warkoczach, z oczami jak gwiazdy. A potem wszystko, jeśli chcecie : słychać szelest jedwabów, powietrze pełne zapachów, upajające, twarze śliczne i młode, omdlałe spojrzenia, rozchylone usta, szepoty, gorące oddechy, bicia podnieconych pulsów, upojenie, szal. Dla uzupełnienia obrazu potrzebaby tylko, aby jeszcze wśród tych tłumów, światła, ulic i kolumn pojawił się półpijany Nero na wozie, ciągniętym przez tygrysy, i aby te tłumy powitały go okrzykiem : „ave, caesar dive !

Wobec tego wszystkiego, wobec owych „Nocy paryskich”, jakiś zabłąkany myśliciel, sługa idei, miałby prawo pochylić surową, bladą twarz na piersi i pytać się siebie : jestże to rzeczpospolita ? jestże to demokracja ? Ale to ani rzeczpospolita, ani demokracja. To niedokończona uczta z czasów ostatniego Nerona. Po długiej cezaryańskiej nocy koguty pieją już na brzask dzienny. Pójdźcie na krańce Paryża, tam miasto ciche i ciemne śpi spokojnie, tam śpi przyszła rzeczpospolita, aby nazajutrz ze świeżymi siłami rozpocząć pracę odrodzenia ; pójdźcie na pole Marsa, a zamiast odgłosów orgii, usłyszycie dniem i nocą dźwięcze-

nie młotów, turkot wozów, świst lokomotyw: tam pracuje demokracja francuska. Równie mylnemby było sądzić Paryż z bulwarów, jak całą Francję z Paryża.

Krótko mówiąc, jeśli jest jaka nadzieja dla Francji i na przyszłość—jak się teraz zdaje, że jest—to leży ona naprawdę w demokracji, w tych klasach, które do życia politycznego nie były jeszcze powołane. Inne klasy są stare, zepsute, przeżyte i sceptyczne. Nie służą ideom, ale osobom. Swoją drogą, złowróżbny to znak ten brak równowagi między klasami narodu i wobec niego zupełne odrodzenie dalekie jest, a legiony pruskie bliższe. Ale, jak wspomniałem, po cezaryńskiej nocy koguty już pieją, a co będzie, to się pokaże, gdy w słońcu i w świetle wszystkie mętne jeszcze kształty wychylą się i zarysują wyraźniej.

Darujcie mi te ustępy; nie chcę pisać rozprawy politycznej, ale jako eks-felietoniście wolno mi skakać z przedmiotu na przedmiot. Nie chcę rozprawiać o polityce choćby dlatego, że cóżby robił wasz stały korespondent polityczny z Paryża? Jego przecież prawie co dzień jakiś król lub pierwszy minister bierze pod rękę i mówi: „Przyjacielu! co mi radzisz w tej a w tej kwestyi?” Wobec takich stosunków łatwiej mu o informację. Przytem jeszcze co: opisując zle strony i zepsucie paryskie, radbym namówić czytelników, aby siedzieli w do-

mu i na wystawę nie przyjeżdżali; tymczasem przychodzi mi myśl, że gdy będę zbyt malowniczym, właśnie zachęcę ich do przyjazdu. Wolę więc powiedzieć, że Paryż, pomimo wszystkich ponęt, jest czezy i nudny, że kurs monety naszej coraz gorszy, a ceny tu ciągle się podnoszą. Podnoszą się jak morze; powoli, stopniowo, ale nieublaganie. Pokoik mój na Rue de Montyon, podobny do pudelka od cygar, za który płaciłem 35 franków, idzie na przyszły miesiąc 60. Najał go już jakiś Arab czy Marokańczyk w czerwonym fezie, w binoklach i glansowanych rękawiczkach, jakiś złoty młodzieniec, rodzaj franta z pod Sahary, którego próżno zaklinałem na brodę proroka, aby sobie pojechał do Afryki z powrotem i nie podkupywał mnie swoimi cekinami. W restauracjach podróżowało także wszystko; na drzwiach każdej ujrzysz napis, że gospodarz „ku wielkiemu swemu umartwieniu” musi podnieść cenę o pół franka. Jest nadzieja, że za tydzień, ku większemu jeszcze umartwieniu, podniesie o franka; w miarę zaś, jak goście będą przyjeżdżali, będzie martwił się coraz bardziej i podnosił ceny coraz wyżej. Cudzoziemcy zresztą sami licytują się wzajemnie i podbijają ceny do tego stopnia, że na przykład dorożki za zwykłą cenę dostać już niepodobna. Gdy zawołasz na fiakra, woźnica mierzy badawczo twój kapelusz, twój surdut, buty i jeśli nie wydajesz mu się

lordem, lub „un prince russe”, uśmiecha się pogardliwie i odpowiada, że zajęty. Omnibusem za trzy susy dostać się można wprawdzie aż do Trocadero, ale na każdy omnibus czeka czasem po sto lub więcej osób, niema więc innej rady, jak brać na stacyi numer i czekać, aż przyjdzie kolej za godzinę lub półtorej.

Rozmaite przytem formalności, jakich nie powstydziliby się Chińczycy, i mieszanie się we wszystko policyi, przywyklej jeszcze z czasów cesarstwa traktować publiczność jak małoletnią, nie przyczyniają się bynajmniej do uprzyjemnienia pobytu. Napływ ludzi i tłok dokucza i przeszkadza w muzeach, galeryach i wszystkich miejscach szlachtetnych lub mniej szlachtetnych zabaw. Ogród Bulier i Mabil, gdzie pieniądze barbarzyńcy uczą się wierzgać nogami w prawdziwie ucywilizowany sposób, robią świetne interesa. Dostać bilet do teatru jest zadaniem, nad którem czasem pół dnia trzeba pracować, robiąc „queue” przed kasą, pocąc się, jeśli słońce świeci, moknąc, jeśli deszcz pada i przestępując z nogi na nogę. Byłem jednak na „Fourchambault”, komedyi Augiera, która tyle ściągnęła pochwał, a która mi się nie podobała, i na „Hernanim”. W „Hernanim” widziałem Sarę Bernhardt, tę pierwszą dziś artystkę. Jest to nie tylko dramatyczna gwiazda, którą chlubi się Francya cała, ale zarazem najekscentryczniejsza z kobiet. Maluje,

rzeźbi, gra, pisuje poezye, sypia w pokoju, obitym czarnym kirem, za łożę jej służy trumna, czeka śmierci, umiera i, czekając na śmierć, kocha się. Dziwaczka, trochę chora, zmęczona i zwichnięta, ale niepospolita dusza. Jako Donna Sol, utkwila mi na długo w pamięci. Postać to wysmukła, powiewna, o drobnej twarzy, rozmarzonych oczach i złotych włosach. Jej Donna Sol jest to czysta dziewica, ofiarna, przebacząca, poprostu gołąbka, która zakochała się w orle. Z tem wszystkiem talent Sarry Bernhardt nie dochodzi tych wyżyn, na jakich stoją takie postacie, jak: Rachel, Ristori i Modrzejewska. Głos jej w chwilach boleści, uniesienia, przestracu zmienia się w krzyk i traci czyste tony, wybuchy jej są wybuchami nerwów, nie porywem natchnienia. Jest tylko gołębiem, nie gołębiem i archaniołem zarazem, jest wreszcie zawsze trochę Sarą Bernhardt, nie zupełną wskrzeszoną postacią, którą przedstawia.

Z tem wszystkiem w Olimpie paryskim jest to zawsze jedno z bóstw. Portrety jej wiszą we wszystkich oknach, w galeryach i na wystawie; stary wieszcz, Wiktor Hugo, schyla przed nią białą głowę i całuje ze czcią jej ręce, gazety podnoszą jej sławę, jako sławę narodową; cudzoziemcy zaś chodzą do teatru, płacą, otwierają z podziwu usta i kupują tysiącami fotografie gwiazdy na pamiątkę pobytu w Pa-

ryżu. „Hernani”, grany już od czasu wznowienia przynajmniej po raz setny, nie przestaje ściągać tłumów, pragnących podziwiać artystkę i sztukę, która w swoim czasie uczyniła przewrót w literaturze francuskiej.

Jak widzicie, o wystawie nie piszę wam wiele, ale nie może być inaczej. Wierzajcie mi, że gazety francuskie, angielskie i amerykańskie, które mam pod ręką, piszą jeszcze mniej. Przyczyną tego jest, że wystawa nie została dotąd ukończoną i, nim ją ukończą, upłynie z miesiąc. Połowa okazów stoi w pakach. Robotników w galeryach tylu się prawie kręci, ilu i gości, a czasem przez deski i przez nawpół poodbijane paki przecisnąć się niepodobna. Katalogów jeszcze niema, a gdy wejdiesz bez przewodnika, między pojedyncze wystawy, między szafy, szafeczki nieponumerowane, nieopatrzone jeszcze w znacznej części w nazwy wystawców, a zawierające miliony przedmiotów, gubisz się w chaosie i nie wiesz od czego zacząć.

W przeszłym liście wspomniałem, zdaje się, że najbliższe ukończenia były oddziały: angielski, amerykański i rosyjski; dziś nadeszły nowe paki, i znowu słychać na wszystkie strony pukanie młotkami. Zupełnie wykończony jest tylko oddział chiński i japoński. Oba świetne. Okazy ceramiki przewyższają w nich niezaprzeczenie wszystko, co Europa wystawiła w

tym rodzaju. W Japończykach już widać pewne chylenie się do smaku europejskiego, co wychodzi może na korzyść prostoty, ale szkodzi oryginalności. Pawilon ich jednak, zwłaszcza z zewnątrz, zachowuje jeszcze pierwotny charakter japoński. Ten dom z frontem w kształcie litery T, z wystającym żółto lakierowanym dachem i z olbrzymim porcelanowym lotusem przed drzwiami, z którego spływa w cysternę źródło, przenosi widza odrazu jakby do jakiej willi w Jeddo. Ale bardziej jeszcze typowe wrażenie robi wystawa chińska. Powiew europejski nie obwiał dotąd weale kosookich synów Kwiecistego państwa. W oddziale ich przedmiotem, najbardziej rzucającym się w oczy, jest smok. Na chorągwi domu smok, na stołach, stolkach, łóżkach, krzesłach barwionych misternie czerwoną laką— smoki; na przepysznych porcelanach smoki; smoki, zjadające słońca, smoki, pożerające księżyc, słowem — wszędzie smoki. Tylko czekać, jak pojawią się tłumy o długich warkoczach i wrzawą, okrzykami, i dźwiękiem tam-tamów będą się starały przyjsć w pomoc zagrożonym światłom niebieskim. Smoki te jednak, księżyc, fantastyczne zwierzęta, ptaki, kwiaty, te kształty, powyginane w nagle a niespodziewane łuki, ta mieszanina barw, niezlewających się w jednolite odcienie, wszystko to, razem wzięte, jest swego rodzaju mistrzostwem, ostatniem słowem i do-

skonałością. Dziwna to sztuka; zastanawiając się nad nią, można tylko powiedzieć, że z innych pierwiastkowych względów jest zrodzona, z innego źródła bijąca, na innych pojęciach oparta i zupełnie od naszej odrębna, ale czy niższa?—to kwestya. Czasem wydaje się nam ona naksztalt wniosku, na błędnych wprowadzie przepisach opartego, ale wyprowadzonego aż do ostatnich konsekwencyi z nieubłaganą logicznością. Zgodziwszy się na błędność zasady, musimy się zgodzić na mistrzostwo wykonania. Czy jednak zasada jest błędną? Pojęciem estetycznym Chińczyków ich zasada czyżni tak samo zadosyć, jak nam nasza. Gdzież więc kryterjum i kto ma być sędzią zwierzchniczym, bezstronnym? A przecież ci Chińczycy, poubierani w błękitny jedwab, spoglądają z głębi swych pawilonów jakby z ironią na europejskie wystawy, na prostolinijne kształty przedmiotów i myślą sobie może: „my tylko tak umiemy powyginać linię, że sam dyabeł nie dojdzie jej początku, ni końca — ci barbarzyńcy nie umieją”. Na wystawie mogą Chińczycy jeszcze i z tego względu wierzyć w swą wyższość, że wszystko prawie, co wystawili, zostało już zakupione przez barbarzyńskich „Ingli”, którzy mają dużo pieniędzy, ale którzy widocznie nie umieją robić tak doskonałych rzeczy u siebie.

W angielskim oddziale zwraca na siebie szczególną uwagę pawilon (pawilon d'honneur),

w którym wystawiono dary, ofiarowane księciu Walii przez wodzów indyjskich w czasie jego podróży po Indyach Wschodnich. Są to starożytne rzędy końskie, rzędy na słoniu, szyszaki, puklerze, tarcze, łuki, puhary, miecze i krysze. Widz na widok tych skarbów zostaje przeniesiony jakby w czasy walk Kurawów i Pandawów, które opiewa Mahabarata, i w których Krysna walczył przy muzyce, ułożonej z ryków słoni i dźwięków „perłowych muszel kręconych”. Cudny poemat nasuwa się sam wyobraźni i pamięci; przeszłość epicka patrzy na ciebie wielkimi oczyma z brylantów, które mienia się błękitnie, różowo i biało, jak gwiazda wieczorna. Te płonące rubiny, dyamenty, szmaragdy, szafiry, są poprostu muzyką światła. Doprawdy, zwykle fantazya jest niby szkłem powiększajacem, przez które poeci patrzą na rzeczywistość; na widok zaś tych skarbów, mimowoli chce się powiedzieć własnej wyobraźni: „podskocz-że dobrze, żeby się rzeczywistość nie przesadziła!” Jeden francuski dziennik, podniósłszy oczy w górę, mówi patetycznie, że jeżeli te skarby są prawdą, to może trzeba wierzyć poetom, że i inne skarby: miłość, naiwność, poświęcenie bywają także rzeczywistością. O, bracie! — odpowiada mu lirycznie drugi — jeśli takie skarby istnieją, to nie są oprawne w złoto i nie są wystawione na podziw ludzki.

— Ach!... Alter Witz! jak mówią Niemcy.

Wystawy kolonialne angielskie są już prawie ukończone. Z Australii, na przykład, trudno było wysyłać paczkę po paczce, każde następną pocztą; wysłano więc wszystko, co miano wysłać, odrazu i urządzono odrazu. Przytem oddziały kolonialne mają jeszcze tę wyższość, że mniej są podobne do bazarów, w których kupcy zakładają sklepy i sklepiki. Zwiedzający nie ginie tu w chaosie towarów. Pierwszy ogólny rzut oka daje mu już pojęcie nie tylko o handlu i przemyśle, ale zarazem o faunie, florze i produktach mineralnych kraju. Szczególniej pod tym względem celuje wystawa australijska. Znajdziesz tu wełnę, złoto, zwierzęta, ryby, okazy roślinne; domyślisz się odrazu jakie jest przeważne gospodarstwo kraju, co stanowi główne zajęcie mieszkańców; znajdziesz nawet figury Papuan, ich dziuryty, bumerangi, łuki—słowem odbędziesz jakby krótką a pouczającą podróż po Australii. Mniej tu kupieckiej reklamy, a więcej nauki.

Toż samo da się powiedzieć o oddziale indyjskim, kanadyjskim i osad angielskich w Afryce.

Wystawy europejskie, póty zwłaszcza, póki katalogi, ułatwiające jaką taką syntezę, nie będą uporządkowane, pozostaną szeregiem sklepów, w których kupcy idą o lepszą. Zresztą, za-

czekajmy póty przynajmniej, póki wszystko nie będzie ukończone. Patrząc w oddziale machin angielskich na jakiś żelazny potwór, który zgrzyta, macha z wściekłością olbrzymimi ramionami, kręci zębatymi kołami, ryczy i gwiżdże, mimowoli pytasz, czego to apokaliptyczne bydlę tak się rzuca? co robi? do czego służy? i bez katalogu nie znajdujesz na te pytania odpowiedzi. Do dziś wystawę można opisywać tylko, jak wygląda po wierzchu, a trzeba przyznać, że wygląda bardzo ładnie. Pawilony wszystkich narodów obok siebie: hacyendy południowo-amerykańskie, domy chińskie, japońskie, pasiasty pałacyk marokański, dalej dom Peryklesa grecki, to znów karczma rosyjska, a niedaleko Alhambra, lub klasyczna budowla włoska—wszystko to robi wrażenie czarodziejskiego miasta. Nie brak w tem mieście i ludzi wszystkich narodów i muzyki wszystkich narodów, począwszy od czardasza węgierskiego, granego przez cyganów, a skończywszy na „Yankee Doodle”. Pan Każyński obiecuje, że będzie można usłyszeć i mazury, a zapewne, mimo nizkiego kursu pieniędzy, będzie komu ich słuchać. Dziś już od czasu do czasu można usłyszeć mowę polską, głównie w oddziale rosyjskim, w którym są pomieszczeni wystawcy z Królestwa.

Jak już wspomniałem, na wystawców tych zwróć szczególną uwagę; dziś na zakończenie

listu pozwolę sobie tylko wspomnieć o jednym okazy. Słyszeliście może o dziewczynie, z gipsu odlanej w całości z żywego modelu. Nadesłał ją doktor Levitoux z Warszawy. Dziewczyna ta budzi ogólny podziw.

Dotychczas nie umiano odlewać gipsów całkowitych z żywych postaci ludzkich, i uważano to za rzecz niemożliwą. Próby bywały, ale albo model wyskoczył co prędzej, jeżeli mógł, z kąpieli gipsowej, albo narobił krzyku, że się dusi. Tymczasem doktor Levitoux przezwyciężył swobodę i lekkość we wszystkich zgięciach i całej postaci. Twarz jej uśmiecha się, znać więc, że nie cierpiała w czasie kąpieli. Całość jest nie tylko nowym, pełnym znaczenia wynalazkiem, ale i dziełem, prawdziwie artystycznym. Rzeźbiarze francuscy, którym Godebski pokazywał ten posąg, zachwycają się miękkością kształtów, naturalnością układu i zarazem śmieją się... Z odlewu? Bynajmniej. Cóż się jednak stało? Oto gwoździem przyzwoitości, okryto posąg watową kolderką. Posąg jest nagi, prawda, ale i Wenus Milo w Luwrze jest naga, na wystawie zaś znajduje się tysiące posągów nagich nie tylko nagością akademicką, ale i nowożytną. Żeby nie ta nieszczęśliwa kolderka, ktoby przyszedł, spojrzalby na posąg, jak się patrzy na posąg, powiedziałby sobie: śliczny odlew! i nikomu nie przyszlaby do głowy żadna inna myśl. Gdyby goście z War-

szawy składkowym sposobem zaopatrzyli biedne dziewczę w pończoszki i odpowiednią bieliznę, byłby to i uczynek miłosierny i nowożytnej przyzwoitości stałoby się jeszcze dokładniej zadosyć.

Ale mniejsza o to. Mówiąc o gościach z Królestwa, kto ich chce łatwo znaleźć na wystawie, niech pójdzie do oddziału austriackiego i stanie przed obrazem Matejki. Makart i Matejko ściągają zawsze największą liczbę ciekawych. Makart nadesłał ogromne płótno, przedstawiające wjazd Karola V do Antwerpii, Matejko—Unię Lubelską. Bitwa pod Grunwaldem nie nadeszła jeszcze i zapewne już nie nadejdzie, z wielką zresztą szkodą dla naszej sławy. Unia, zarówno jak i zaciąganie dzwonu Zygmunta, są to już rzeczy znane, a o Bitwie Grunwaldzkiej mówiłyby wszystkie dzienniki.

W następnym liście rozpiszę się szerzej o polskim malarstwie i o krzywdzie, jaką naszym artystom czynią obecne dzienniki, poczytując ich za Niemców, Węgrów i Bóg wie za kogo, byle nie za to, czem są.

Wogóle o wystawie dzienniki paryskie mówią tak niewiele i tak niedokładnie, że doprawdy, z warszawskich można o niej więcej wy czytać. Gdzie tu się podziały te osławione talenta dziennikarskie, gdzie czasy sławnych felietonistów! Bez przesady i bez warszawskiego szowinizmu mówię wam, że pierwszy lepszy

felieton Prusa w *Kuryerze Warszawskim*, pod względem bogactwa treści i artyzmu, wart jest sto razy więcej, niż tutejsze paryskie otręby, w których ani smaku ani zapachu. Ale też te otręby smakują teraz tylko u nas.

O dziennikarstwie paryskim może mi także przyjdzie z kolei napisać, a tymczasem Good bye! aż do przyszłego tygodnia.

Gazeta Polska. № 114, 116, 117 z dnia 21, 23 i 24
maja 1878 r.

Listy z Paryża.

I.

Mylne wiadomości. Trocadero. Historya Trocadero i pana Davioud. Circus maximus. Gwałt o gmach. Plany urzeczywistnione. Główna budowla. Kolumnady. Styl. Wszysey zadowoleni. Cel dopięty. Wodospad w pałacu. Marszałek i koronowani goście. Mowa ministra handlu. Rzeczpospolita tryumfuje. Dzienniki monarchiczne. Odpowiedź marszałka. Wystawa. Gmach główny. Pawilony. Wystawa otwarta, ale nieskończona. Uroczystość w Paryżu. Chorągwie i iluminacya. Niezadowolenie monarchistów. Pomysłne wróżby.

Mylne mieliście wiadomości co do Trocadero i co do tego, jakoby marszałek miał otwierać wystawę pod gołem niebem. Wystawa nie jest jeszcze urządzona, ale w chwili otwarcia gmachy były gotowe. W Trocadero wieże tylko, a raczej minarety nie są jeszcze ukończone, zresztą wszystko w porządku. Gmach ten krytykowany nadzwyczaj ostro, a nawet wyśmiewany przez budowniczych i dzienniki, jest pomysłu pana Davioud. Pierwiastkowo miał to być teatr ludowy, mogący pomieścić dziesięć tysięcy ludzi, coś w rodzaju circus maximus.

Plany były przedstawione miastu, miasto odeślało je do komisji specjalistów, komisja specjalistów popatrzyła na nie, pokiwała głowami... i poradziła panu Davioud, aby pomysłami swymi uszczęśliwiał inne narody, albowiem „*nemo propheta in patria sua*”.

Plan więc na lat kilka powrócił do teki, pan Davioud zaś mimowoli począł odgrywać rolę zapoznanego geniusza. Tymczasem nadeszła wystawa, wszczął się gwałt o gmach; gmachu potrzeba, gmachu niema, planów niema, aż tu przychodzi pan Davioud i mówi: mam wszystko gotowe. Oczywiście, jeśli masz, to dawaj! Pan Davioud dał, resztę robiły znajomości, stosunki, stosuneczki i Trocadero stanęło. Gmach ten składa się z wielkiej budowli środkowej, okrągłej, wyglądającej jak kocioł parowy, i dwóch skrzydeł bocznych w kształcie kolumnad. Całość, zatoczona półkolem, zwraca się wklęsłą stroną łuku ku polu Marsowemu, drugą zaś ku Avenue du Trocadero. Kolumnady są greckie, środkowa budowla od pola Marsowego jest mieszaniną renesansu, rococo, baroco i wszystkie koko, jakie kiedykolwiek istniały, z dodaniem figur greckich, odwróconych ku polu Marsowemu najplastyczniejszymi częściami ciała, w sposób nader pogardliwy. Trochę złożonych słoniów, nosorożców z pozadzieraniami konwulsyjnie trąbami, ogonami i nogami dopełnia całości, dowodzącej, że apoka-

lipsa nie była bez pewnego wpływu na architekturę w ogólności, a umysł pana Davioud w szczególności. Od Avenue Trocadero, czyli ze strony wypukłej, środkowa budowla ma płaski cokół, z którego wznosi się również płaska fasada, jak utrzymują „assyryjska”, ktoby jednak życzył sobie nazwać ją babilońską, nie naraziłby się w żadnym razie na przykre zajęcie z panem Davioud, który, przeciwnie, miałby wielką przyjemność w tem, że każdy zwolennik każdego stylu zawsze znajdzie w jego budowli coś, co mu przypadnie do smaku. Koło tej fasady stoją dwie przystawy z kopułami okrągłemi, koło tych dwóch jeszcze dwie, ale za to już z kopułami szpiczastemi, nakoniec z dachu wyskakują dwa minarety, na których brak tylko mueżinów, którzyby wołali o zmroku, że Allah i pan Davioud są wielcy.

Zresztą „po co sobie klócić obie!” Wystawa jest powszechna, więc i Trocadero jest powszechne. Mogłoby być dworcem kolei żelaznej, restauracją, kościołem, składem maszyn, teatrem, lub czem kto chce. Celowi swemu odpowiada, bo ma dach i sufit, zatem gdy deszcz pada, ludziom głowy nie mokną, zatem i marszałek nie potrzebował otwierać wystawy, stojąc pod gołem niebem, zatem marszałkowska jego głowa nie zmokła. Potoki wodne płynęły wprawdzie, ale z pod nóg marszałka. Wytlómaczę wam to zaraz. Od strony pola Marsowego

główna środkowa budowla Trocadero opatrzoną jest w ogromny balkon, zdobny w draperye z purpurowego aksamitu i gronostajów. Wprost z pod balkonu, wzniesionego na kilkadziesiąt stóp wysoko, rzuca się wodospad, spadający na ogromne schody, po których spływa wdzięcznie do basenu, zajmującego środek dziedzińca przed Trocadero. Wyznać należy, że ta woda, jakby rzeka, wypływająca z pod balkonu, wprost ze ściany pałacu i tworząca wodospad wzdłuż muru, jest pomysłem wysoce sztucznym i pięknym. Wodospad więc ów wypływał z pod nóg marszałka, szumiał, szeleścił i głużył jego słowa, co, jak utrzymują złe języki, było dla wymowy marszałkowskiej okolicznością nader korzystną. Obok marszałka ubranego w złocisty mundur, wstęgi, gwiazdy, order, byli na trybunie zgromadzeni znakomici goście: Franciszek z Assyżu, rodzaj suszonej gruszki arystokratycznej, mały człowieczek z wielkimi rogami, mąż Izabelli hiszpańskiej, dalej książę Walii, następca duński, Henryk holenderski, książę Aosty, książę Leuchtenberski. Tu chciałbym powiedzieć: błyszczały zbroje, powiewały pióra na szyszakach, ale, chcąc być ściśle historycznym, muszę powiedzieć: błyszczały binokle, pachniała pomada, zresztą trębacze trąbili, muzyka grała. Wtedy uroczystość rozpoczął minister handlu obszerną przemową do marszałka, w której oświadczył, że

wystawa jest aktem i dowodem odrodzenia się Francyi pod rządem republikańskim; że jest dziełem i zapewnieniem pokoju przez republikę, która miłuje spokój i pracę, mające na celu szczęście i pomyślność ludu. I republikański minister miał słuszną. Rzeczpospolita wychodzi i promieniuje bezpośrednio z narodu, rzeczpospolita jest jego wolnością, jego dobrem, więc nie potrzebuje się wdzięczyc do niego sztucznie, nie potrzebuje schlebiać jego złym instynktom, nie potrzebuje dla podtrzymania popularności rzucać się w wojnę i awantury zagraniczne, nie ma interesów dynastycznych, nie poświęci nigdy interesów kraju dla osoby jakiegoś Lulu czy Frulu, ale z dumą pokazuje światu na wystawie: oto moje dzieło, to dzieło pokoju; te maszyny, te wyroby przemysłu, handlu, te utwory sztuki, to moja i moich dzieci praca. Przeciwnicy moi, co chcieli dać wam? oto zamach stanu, wojnę domową, barykady uliczne, krzyki żołnierskie, huk armat i jęki konających — ja, rzeczpospolita, jako dobra i wielka macierz, wyciągam potężne ręce ponad dziećmi, tulącemi się do mnie, i mówię: błogosławię was, błogosławię tym, którzy pracują, błogosławię pokój czyniących. Minister handlu i z tego względu miał jeszcze rację, że monarchiści nie przyłożyli ręki do wystawy. Do tej pory dziennikom ich solą ona w oku, felietoniści ich wyteżają zeschnięte

mózgi na przyczepki i przycinki temu narodowemu dziełu, bo czują, że jest ono nowem utwierdzeniem dla rzeczypospolitej — nowym, może ostatnim ciosem dla warcholów.

Po ministrze handlu, marszałek powstał, aby mu odpowiedzieć. Trzydzieści tysięcy zaproszonych gości, stojących na wirydarzu przed Trocadero, nastawiło uszu i wytrzeszczyło oczy na tego starego żołnierza, który, gdy nie mówi, wygląda wcale szanownie. Jakoż mówił niedługo. Dziękuję panu, panie ministrze, bardzo jestem rad, szczęśliwy, bardzo się cieszę, bardzo i bardzo, a nakoniec w imieniu rzeczypospolitej oświadczam, że wystawa jest otwarta... W tem miejscu dziwnym, a może nieco złośliwym trafem muzyka zagrała aryę: „Rozyno, na Boga zaklinam cię, nie mów nic więcej!” ale i aryę i orkiestrę zagłuszyły okrzyki: „niech żyje Francya! niech żyje rzeczpospolita!” Wśród tych okrzyków marszałek powiewał czas jakiś trójkolorową chorągwią, potem wraz z ukoronowanymi gośćmi zszedł z trybuny i przez wirydarz, następnie przez rozszerzony most Jéna, udał się z Trocadero na pole Marsowe, gdzie się wznosi właściwy gmach wystawy. Wszyscy szli piechotą.. Po jednej stronie marszałka szedł książę Walii, po drugiej podrygiwał komiczny Franciszek z Assyżu ze złotą laseczką w rękę i ze złotemi szkiełkami na oczach. Przed frontami oddziałów zagranicz-

nych witali się komisarze zagraniczni, ubrani w narodowe mundury — w oddziale francuskim komisarze francuscy i rozmaite deputacje ciał uczonych. O czwartej marszałek z gośćmi wrócił do domu, gdzie wszyscy zasiedli do obiadu, ale co jedli i czy mieli dobry apetyt, tego już nie wiem, bo, co prawda, nic mnie to nie obchodzi i was nie powinno obchodzić, — a zresztą nie wiem, bo nie mogę skończyć, jak się kończą bajki ludowe: „i ja tam byłem, jadłem, piłem” etc.

Ja tedy zostałem jeszcze na wystawie. Zaraz po skończonej ceremonii otworzono bramy i dla publiki zaproszonej, w mgnieniu więc oka przeszło sto tysięcy osób napelniło galerye. A teraz chcecie wiedzieć, jak wygląda wystawa? Więc tak: naprzód Trocadero, które już opisywałem, a następnie przed Trocadero przepyszny pochyły wirydarz, pełen wodotrysków, klombów, kwiatów, grot, złożonych słoniów, nosorożców i rozmaitych czarodziejstw, — następnie Sekwana, przez którą most Jéna prowadzi na pole Marsowe. Na polu Marsowem wznosi się główny gmach wystawy, zauważcie więc, że nie jest nim Trocadero. Ten główny gmach, zbudowany ze szkła i żelaza, obejmuje przestrzeń tak wielką, jak np. Saski plac. Środek idzie ulica szeroka, dzieląca go na dwie połowy, z których lewa pozostawiona jest wystawcom francuskim, prawa zagranicznym. Ka-

żdy dział wychodzi na ulicę środkową osobnym frontem, idąc więc nią, widzi się jakby niezmierny szereg pawilonów, stojących tuż obok siebie i połączonych bokami. Pawilony francuskie, po lewej stronie, są w stylu francuskim, a raczej fantastycznym, pawilony zaś cudzoziemskie dla charakterystyki zachowują styl narodowy. Widzicie więc, np. „cottage” angielski, dalej domek szwajcarski, dalej klasyczną budowę włoską, dalej domy japońskie, chińskie, dalej karczmę rosyjską i t. d. Wskutek tego oryentować się bardzo łatwo i dość jest być dwa lub trzy razy na wystawie, żeby wiedzieć, gdzie iść, jak się ruszać i nie gubić się w chaosie. Główna ulica, o której wspomniałem, tak jest szeroka, że na środku jej mieszczą się osobne budynki, obszerne i okazałe, przeznaczone na sztuki piękne. Francya ma osobne pawilony, zagranica także osobne. Budynki są już wykończone. Gdzieniegdzie może jeszcze brak kilku uderzeń młotkiem, ale tego się nawet nie widzi, za to wnętrza tak głównego gmachu, jak i pawilonów, nie są jeszcze ukończone i zapewne nie prędko będą. Anglia tylko, Stany Zjednoczone, Chiny i Japonia posunęły dość znacznie swoje roboty, Rosyi także nie wiele brak. Nadesłane okazy z Królestwa, dobrze poustawiane, dobrze się przedstawiają. Będę wam o nich pisał najobszerniej, ponieważ i mnie i zapewne was najwięcej to obchodzi. Ale pra-

cę tę, jako szczegółową, odkładałam do następnych listów. Nie mogłem też jeszcze i widzieć wszystkiego szczegółowo, zwłaszcza że deszcz ciągle pada, skutkiem czego niepodobna chodzić środkową ulicą, na której łatwo odróżniać działały po frontach pawilonów. Chodzi się wewnątrz galeryami, od strony których w oddziałach, zwłaszcza że jeszcze nie ukończonych, trudno się połapać. Do rosyjskiego np. przyprowadził mnie pierwszego dnia tylko zapach skór. Ale nie wszędzie można trafić z pomocą nosa. Wreszcie w wielu galeryach jeszcze wznoszą się całe góry pak i paczek; niektóre posągi poowijane są w papier i t. p. Wszystko to wygląda dość chaotycznie, ale jest niezem w porównaniu do chaosu, jaki panował na całej wystawie jeszcze na dwa dni przed otwarciem. Gdym wtedy patrzył na te góry wapna, piasku, żwiru, pak. desek, rusztowań, na niepokojące dachy i galerye, w głowie nie mogło mi się pomieścić, jakim sposobem gmachy mogą być na 1-go skończone, a wystawa otwartą. Jednak gmachy zostały pokończone, a wystawa otwarta, uroczystość zaś była naprawdę wspaniałą i, jak dla Francyi przynajmniej, wielkiego znaczenia politycznego. Był to, jak wspomniałem, tryumf rzeczypospolitej. To też w dzień ten całe miasto, jak jedna wielka tęcza, zaćmiło się setkami tysięcy chorągwi, wieczorem zaś zapłonęło luną światła. Te tłumy

różnobarwne, wesole, szczęśliwe i śpiewające, ów gwar i wrzawa ludzka, kostiumy wszystkich narodów, światła, fajerwerki, sypiące złotem skrami, race gasnące na wysokościach w powietrzu, ognie bengalskie, korony ogniste na wieżach, wszystko to tworzyło naprawdę tak cudny i uroczy widok, że i opisać go trudno. Spokojna Sekwana odbijała te światła, jak lustro. Tylko inne części miasta, zamieszkane przez bonapartystów lub legitymistów, pozostały ciemne i ciche. Naród weselił się, bo się poczuł odrodzonym i szczęśliwym, ale monarchistom francuskim—co im tam szczęście i odrodzenie się narodu! Przy tych czerwonych światłach widoki urzędów, korzystnych posad, wysokich miejsc, zamiast się rozjaśniać, bladły, wołały się więc usunąć w ciemność i i ciszę. I pozostaną też w ciemności i martwocie. Nawet dzienniki tych partyi czują się jakby zawstydzone. Nie śmieją uderzać już na samą rzeczpospolitą lub na wystawę, korzystają z tego, że ot tłum zaśpiewał gdzieś marsylianekę i z za płota rzucają błotem i piaskiem na własny naród, rozdymając małe, zwykłe i naturalne rzeczy do olbrzymich rozmiarów. Ale są to już ostatnie strzały armii nietylko pobi-tej, ale zmykającej haniebnie. Mimo jej wrzasków, wystawa stanęła i udała się, ściągnęła sąsiadów, ściągnęła setki tysięcy cudzoziemców, a między nimi nawet i Niemców, którzy

sami już poczynają się wstydzić, że figurują w całym Paryżu, we wszystkich kawiarniach i zakładach publicznych, słowem wszędzie, z wyjątkiem w katalogu wystawy.

Miasto nie traci wcale cechy uroczystej, jaką przybrało w dniu otwarcia. Chorągwie tak, jak pierwszego dnia, powiewają na wszystkich bulwarach i ulicach. Cudzoziemców napływa coraz więcej, ale ceny nie podskakują zbyt przerażająco w górę. Jeden pokój urządzony można dostać za cenę 40 franków miesięcznie. Może później będzie gorzej, gdy wystawa już się urządzi. Roboty na niej nie ustają na chwilę. W następnych listach będę wam jej postępy opisywał szczegółowo. List ten jest może nieco spóźniony, ale ponieważ otwarcie nastąpiło w środę, opis wrzucony na pocztę w czwartek i tak nie mógł was dojść przed niedzielą. Gdy się zmienicie na pismo codzienne, wówczas będzie warto się śpieszyć.

Nowiny. 1878 r. № 22.

II.

Kłopoty korespondenta. Korespondent „Chicago Times“. Komedia z pomyłek. Wystawa. Miasto śródkowe. Wrażenie fantazyi. Pawilony sztuk pięknych. Nasi malarze. Rozrzuceni. Przed Matejką. Niemcy. Wyznania księcia Hohenlohe. Prawdziwe przyczyny. Bankiety. Uroczystość Voltaire'a. Dzienniki monarchiczne i republikańskie. Artykuły jenerała Türr. Klerykałizm we Francyi. Niedoszłe przymierza. Rzeczpospolita i jej rzecznicy. Za wiele gadaniny. Dalszy ciąg „Burzy“. Kaliban w pojęciu Renana. Kto jest Renan.

Obowiązek pisania sprawozdań z wystawy mógłby doprawdy służyć za przedmiot do jakiej nowelli pod tytułem: „Kłopoty korespondenta“. Wystawa została otwarta, codzień tysiące ludzi ją zwiedzają, więc jest niby o czem pisać, a z drugiej strony nie została skończona, niē została uporządkowana, katalogów niema, więc niema o czem pisać. Zresztą korespondent „Chicago Times“ dał przykład, jak czasem źle się wychodzi na zbytniej gorliwości. Ale wprzód czy wiecie, co to jest amerykański reporter? „Jako dewotka, gdy grzech jaki stary przypomni sobie przed samą spowiedzią, albo

podzare litewskie ogary, gdy nagle wpadną na łapę niedźwiedzią *), tak amerykański reporter, gdy ma przed sobą pole faktów, falcików, wiadomostek, zmienia się na prawdziwego myśliciela i zacierzwia się do tego stopnia, że o bożym świecie zapomina. Z kapeluszem nasuniętym na tył głowy, z książeczką i ołówkiem w ręku, ujrzenie amerykańskiego reportera, zadyszanego z pośpiechu, latającego wszędzie, zaglądnącego we wszystko i polującego na wszelkie objawy życia. Niema dla niego przeszkód, niema miejsc, do których wejść nie wolno. Wyrzucają go jednemi drzwiami, on wchodzi drugimi. Lata po wystawie, robi wizyty panującym i znakomitościom. Mac-Mahon odpowiada mu, iż nie słyszał o nim i nie może go przyjąć, on odpowiada Mac-Mahonowi, że to nie nie szkodzi i że musi być przyjęty; jednego dnia jest u księcia Walii, u księcia Aosty, rozmawiając z nimi, notuje jednocześnie ich słowa, aby później zapełniać niemi szpalty swego dziennika, zatrudnia po całych dniach linie telegraficzne, słowem jest istotą wszędobylską, duchem pojawiającym się nagle a niespodziewanie, jak śmierci potęga, z którą trzeba się liczyć, bo dotrze wszędzie, dowie się o wszystkim i wszystko opisze.

Otóż korespondent „Chicago Times” był

*) Słowacki.

właśnie na tropie i latał po wystawie z notatką i ołówkiem, gdy nagle w głębi jakiegoś pawilonu, jeszcze nie urządzonego, dostrzegł pewnego jegomościa, którego poczytał za pana Teisserenc de Bort. Dla reportera rozmawiać z ministrem jest to odkryć kopalnię. Reporter nie wie wprawdzie, że gdy ministra złapie i zacznie od „dzień dobry, panie ministrze!”, minister wytrzeszczy na niego zdziwione oczy, ponieważ go nigdy w życiu nie widział,—ale to właśnie już jeden fakt do opisania. Następnie minister powie: „Nie mam przyjemności”, a reporter: „Co pan myślisz o wystawie?” Minister: „Z kim mam honor?” Reporter: „Właśnie pragnąłem spytać pana o informacye!” i t. d. Potem co będzie, to będzie, ale opis rozmowy z ministrem pójdzie do dziennika i będzie „all right!” Korrespondent więc „Timesa”, ujrzawszy, jak mu się zdawało, pana Teisseranc de Bort, rzuca się naprzód, nie patrzy, co leży na drodze; policyant woła: „nie wolno” — on nie pyta — przewraca się przez pakę, wstaje, przewraca się drugi raz przez sznur, który zagradał wejście, rozbija nos, przykłada chustkę, zbliża się do ministeryalnej osoby i zaczyna bez wahania następującą pośpieszną rozmowę:

— Ekscellencyo! szczęśliwy to dzień, w którym mogę z panem pomówić! Dzień ten zostanie epoką w mojem życiu. Jestem ten a ten, pisuję do takiego a takiego dziennika.

Grzeczny Francuz skłania się i odpowiada:
— Miło mi poznać tak dystyngowanego cudzoziemca—i boleję nad wypadkiem, który spotkał pana, a raczej pański nos.

— Mój nos? A prawda. Ale to nic. Wyszuję ekscellencyi jej mowy, mianej na otwarciu wystawy. Przesłałem ją telegraficznie w całości.

— Mojej mowy?

— Tak jest. Zwrot ku rzeczypospolitej i demokracji był przepyszny. Wystawa jest wielką uroczystością. Ameryka bierze w niej udział nie tyle przez okazy, ile przez serce. Pan w swojej mowie...

— W jakiej mowie?

— Przy otwarciu...

— Nie miałem żadnej mowy!

— Ekscellencyo...

— Nie jestem ekscellencyą...

— Panie ministrze...

— Nie jestem ministrem.

— Któż pan jesteś?

— Ja, panie? Ja jestem fabrykant pończoch, Maurice z Lyonu...

— Ach! — mruczy reporter.—Bardzo mi miło!.. Do widzenia. Mój nos istotnie mi dolega...

A teraz, czy chcecie się założyć, że pierwsza depesza bohaterskiego mego reportera będzie się zaczynała od słów: „Wczoraj minister Teisserenc de Bort zwiedzał incognito oddział

fabryczny francuski. Mówiłem z nim osobiście. Minister oświadczył mi etc.”...

I istotnie jest to metoda, przy której użyciu można zawsze mieć o czem pisać, wszędzie dać sobie radę i wszędzie zdobywać materyał. Ale kto się jej nie trzyma, ten zgodzić się musi, że o wystawie, póki jaki taki porządek katalogowy nie zostanie wprowadzony i ogłoszony, pisać jest tak trudno, jakby było np. trudno opisywać wszystkie sklepy w Paryżu. Obecnie też wystawa nie jest niczem innem, jak nieskończonym szeregiem sklepów, ustawionych według narodowości. Dlatego też dzienniki, np. miejscowe francuskie, a nawet i angielskie, mówią o niej bardzo mało, kto wie, czy nie mniej, niż warszawskie. Codziennie znajdują się o niej wiadomości i wiadomości, ale brak zupełny dokładnych opisów. Nie myślcie jednak, aby na samej wystawie nie pracowano nad jej ukończeniem gorliwie. Uczyniono już tyle, że na pierwszy rzut oka niepodobna dostrzedz bezładu. To, co nadesłano, już ustawione, lub rozmieszczone starannie i z wdziękiem poza szklanemi szybami, łączy oko harmonią lub porządkiem. Nadchodzą jednak codziennie nowe paki do wszystkich sekcji. Zewnątrz pawilony ukończone są już zupełnie od dni kilku. Patrząc z głównej środkowej ulicy, niepodobna nie zachwycać się widokiem domów zagranicznych. Wystawa przedstawia się jakby kosmopolityczne miasto,

jakby jakaś fantazya powieściowa, sięgająca o tysiące lat naprzód, w te przyszłe czasy, w których nie będzie wojen i w których słowa: cywilizacya i ludzkość będą regulowały wszystkie stosunki. Czytałem kiedyś taką fantastyczną powiastkę, opisującą, jak będzie wyglądała ludzkość za lat tysiąc. Otóż czasem zdaje mi się, że w tem wewnętrznem mieście na wystawie widzę jej ilustracyę. Nie widać tu wprawdzie wszechpotężnego przyszłego wpływu cyrkla, który ma wszystko zrównać pod linję i miarę, ale widać pawilony francuskie, angielskie, tureckie, amerykańskie, greckie, chińskie, włoskie, japońskie, rosyjskie, maurytańskie, stojące tuż obok siebie, nad domami widać flagi pływające w powietrzu, a przed domami narodowości wszystkich pięciu części świata, wrogie często między sobą, gdy każda jest u siebie, a tu przyjazne, zbliżone i powiązane ze sobą wielkiem światem cywilizacyi. Patrząc na to wszystko, patrząc na to przekonanie głębokie o wyższości zgody, o słodyczy owoców pokoju i cywilizacyi, o wielkiem znaczeniu ludzkości, patrząc na to przejęcie się swą cywilizacyjną rolą, jakie zdaje się wiać od tych tłumów, na chwilę prawie przychodzi zwątpić, czy wobec takiego rozwoju pojęć ogólnie ludzkich wojna, rzezie, hurtowne zabijanie się, pożogi miast i wiosek jeszcze są możliwe w dzisiejszych czasach.

Złudzenie to, któremu oprzeć się niepodobna, stanowi największy urok tego miasta narodów, najprzyjemniejsze i najoryginalniejsze wrażenie, jakie czyni wystawa. Chociaż czujesz nieraz, że to jest fantazya, że to tylko chwilowy i niejasny obraz owej przyszłej złotej epoki, jednakże lubujesz się nim, snujesz dalej tęczową nitkę marzeń i budzisz się jakby ze snu rozkosznego, gdy pierwsza lepsza depesza ze Wschodu, w pierwszym lepszym dzienniku, rozwieje te złudzenia, jak wiatr rozwiewa uroczne obrazy fata-morgana.

Pawilony sztuk pięknych, otwarte wcześniej od innych, zapełnione są już obrazami i gośćmi. Jednakże tylko Anglicy wpadli na praktyczny pomysł podpisania pod każdym obrazem, co znaczy i kto go malował. W innych działach francuskich i zagranicznych niema podobnych objaśnień, trzeba więc czekać, jak we wszystkim, na katalogi, a tymczasem widz błądzi okiem z obrazu na obraz, widzi malowane postacie ze wszystkich wieków: jakieś sceny historyczne greckie, rzymskie, średniowieczne i nowożytne: postacie walczące, figury z rękami powznoszonymi w niebo—mnóstwo wzruszających sytuacji — i gniewa się, nie znajdując odpowiedzi, kogo i co to wszystko przedstawia. Ten nadmiar patosu, którego znaczenia nikt nie rozumie, śmieszny nawet. Niewiadomo, kto malował,—jakże tu dawać sprawozdanie.

Malarze polscy zajmują niezaprzeczenie je-

dno z pierwszych miejsc na wystawie. Dość wam zacytować takie nazwiska, jak Matejko, Siemiradzki, Brandt, Maksymilian Gierymski i t. d., abyście zrozumieli, że jest się czem chwalić i że w walce o lepszą z cudzoziemcami jest nadzieja wygranej. Cudzoziemcowi jednak nie tylko niepodobna zdać sobie sprawy z malarstwa polskiego, ale nawet niepodobna mu dojść do przekonania, że jakiegokolwiek malarstwo polskie jako takie istnieje, a to z tej prostej przyczyny, że obrazy wspomnianych mistrzów nie stoją obok siebie — i nie przedstawiają całości samej w sobie. Matejko figuruje w oddziale austriackim, Siemiradzki w rosyjskim, Maksymilian Gierymski w pruskim, Brandt w monachijskim. Cudzoziemiec więc nie umie nie tylko wyrobić sobie ogólnego pojęcia o tem malarstwie, jako o polskim, ale poprostu obrazy zalicza do odpowiednich sztuk, a artystów do narodowości, w których oddziałach figurują. Z tego to powodu p. Ruskin np., słynny krytyk angielski, cytuje Gierymskiego i Brandta między malarzami niemieckimi; Matejkę uważa za genialnego monachijszczyka, i nawet do głowy nie przychodzi mu wspominać o jakimkolwiek polskim malarstwie.

Smutna to rzecz. Ludzie o nas nie bardzo wiedzą, my zaś nie bardzo im się przypominamy. A jednak... Oto jesteśmy w pawilonie: widać tłumy ludzi, chodzących wolnym kro-

kiem, spoglądających po drodze na obrazy, zatrzymujących się na chwilę i idących dalej.

W środkowym jednak pawilonie, nad którego drzwiami napisano: Austria, widzimy gromadę ludzi, stojących i rozprawiających półgłosem. Widocznie coś tu bardziej nęci i zatrzymuje. Zobaczmy co?—Unia Matejki.—Słuchać przed nią rozmawiających Anglików, Francuzów, Niemców, Włochów i Hiszpanów. Co za przypuszczenia, co za objaśnienia — bożki zrywać można ze śmiechu. Przed obrazem stoi okrągła kanapa. Pozują na niej jasnowłose Angielki i Polki, zachwycają się niby obrazem, a pragną, żeby zachwycano się nimi: „O that splendid! isn't?”—słuchać z jednej strony.—„Ach, mamó! jakież to cudne!”—mówi sentymentalny głosik z drugiej, w tej nadziei, że może jaki zabłąkany warszawianin usłyszy głos, spojrzy pod kapelusz i... „niech czuły słuchacz w swej duszy dośpiewa!” Ach! biedne panny! Może już były na wielu wystawach i zawsze... „hors concours”.

Ale nie o tem mowa. Stoją tedy gromadki ludzi przed Matejką, zbierają się przed Gieryskim, Brandtem, Siemiradzkim... Malarzom stąd chwała a społeczeństwu, które ich wydało, nie...

Ale idźmy dalej. Czy wiecie, że Niemcy wzięły częściowy udział w wystawie? Wzięły

je mianowicie w wystawie sztuk pięknych. Przy otwarciu niemieckiego pawilonu księżę Hohenlohe, po wzajemnej wymianie komplementów z panem Teisserenc de Bort i po złożeniu powinszowań Francyi z powodu świetnego powodzenia wystawy, powiedział rzecz ważną, mianowicie: że Niemcy nie z jakiegokolwiek bądź przyczyn politycznych, ale poprostu z ekonomicznych nie wzięły w niej udziału. Była to rejterada... bez chwały. Niemcy istotnie nie wzięły udziału w wystawie, bo upadek przemysłu, handlu, bogactwa krajowego, słowem wszystkiego, z czem się chwalić można, zamknął im wrota do świątyni pracy. Ale wstyd było im się do tego przyznać. Zaslonili się więc uczuciem patryotyzmu. „Nie pošlemy nic na wystawę francuską, a gdy my nie pošlemy, nikt nie pošle”. Tymczasem stało się przeciwnie—wystawa przeszła oczekiwania samych nawet Francuzów. Obce narody nie tylko wzięły w niej udział, ale wzięły serdeczny i sympatyczny. Wobec tego nowego wstydu, wobec tej nowej klęski moralnej, Niemcy wybrali mniejsze zło i, uderzywszy się w piersi, w osobie księcia Hohenlohe, odrzekli: „Jeśli chcecie prawdy, to istotnie nie mieliśmy co posłać”.

Dzienniki paryskie więcej, niż nieuporządkowaną dotąd wystawą, zajmują się ukoronowanymi gośćmi, którzy na nią przybyli. Po bankiecie, danym przez księcia Walii, który

przy tej sposobności wcale otwarcie zaznaczył wspólność przyszłych widoków francuskich i angielskich, nastąpił bankiet księcia Aosty w pawilonie włoskim. I znowu jedna koronowana, a przynajmniej eks-koronowana głowa wysadzała się na wyrażenie uczuć przyjaznych dla rzeczypospolitej, na wyrażenie radości, że rzeczpospolita pokonała grożące jej widma, a teraz utrwała się, rozwija, ubezpiecza... „Dziwne rzeczy dzieją się w państwie Duńskiem”, jak mówi Hamlet.

Paryż rozświećtował się na dobre. Pragnie bawić się sam i bawić swoich gości. Przed otwarciem, w czasie i po otwarciu wystawy, nie mówiono o niczem innem, jak o wystawie. Gdy jednakże okazało się, że otwarcie a ukończenie są to dwie rzeczy różne, rozmaite sprawy, które ten wielki fakt zagłuszył, odzyskały swe prawo bytu i rozgłosu. Mówią teraz znowu dużo o teatrach, polityce i nowych zamierzonych uroczystościach. Trzydziestego maja ma być uroczyście obchodzona stuletnia rocznica śmierci Voltaire'a. Rady municypalne w Paryżu i wszystkich prawie miastach francuskich uchwały już sumy na ten obchód. Paryż illuminuje się znowu i obwiesi chorągwiami. Dzienniki reakcyjne dziś już nie szczedzą ciętych słów i przycinków temu nowemu republikańskiemu świętu. Voltaire jest jednym z ojców waszego kościoła — mówią republika-

nom — powiedzcie więc sami, o demokratyczne robaczki! czy nie popełnicie nonsensu, obchodząc rocznicę jego śmierci radosnem świętem? Z czego się więc radować będziecie? Z tego, że umarł? Brawo! Ale jest i druga racya: obchodzić dziś uroczyscie pamiątkę pana Voltaire'a, eks-szambelana króla pruskiego i poety, który radosnym wierszem uczcił klęskę, jaką Francuzom zadali Prusacy pod Rosbach, jest może bardzo po republikańsku, ale nie bardzo po francusku...

Dosyć to zgrabne! Ale Voltaire pozostanie chwałą Francyi, mimo swego ex-szambelaństwa pruskiego, mimo wiersza na bitwę pod Rosbach i mimo wszelkich dowcipów, jakie na jego karb spłodzili i spłodzą wszysej redaktorowie i felietoniści monarchicznych dzienników. Mówiąc nawiasem, jakieś dziś żyjące gryziپیórko dziennikarskie, jakieś gogątko konserwatywno-legitymistyczno-figarowskie, które w całości zaufaniem w swój dowcip uderza na Voltaire'a, jest sobie poprostu paradne i sam Voltaire nie wymyśliłby nic bardziej doskonałego. Dzienniki republikańskie, mimo wszelkich przyceinków, popierają projekt uroczystości, widząc w nim antyklerykalną manifestację, do której pragną jak największe tłumy pociągnąć.

Klerykalizm poniósł znów nową klęskę polityczną we Francyi. Słyszeliście zapewne, jakie wrażenie zrobiły listy księcia Napoleona, o-

głoszone swego czasu w „Revue des deux mondes”, traktujące o sprawach politycznych i o polityce gabinetu francuskiego przed wojną pruską. Na artykuł ten odpowiadał książę de Grammont, usprawiedliwiając swoją rolę. Dziś list generała Türr rzucił znów nowe światło na tę sprawę. W całym Paryżu nie mówią w tej chwili o niczem innem, jak o tym liście. Ostatnie cezarykańskie roboty, głupota i niedołęstwo ministrów, występują jawnie na widownię. Ze wszystkiego pokazuje się, już nie na przypuszczeniach, ale na dokumentach, że Francya za cenę Rzymu mogła mieć przymierze Włoch, a przez Włochy i Austryę. Na mocy jakiego prawa broniła Rzymu? Na mocy żadnego. Na mocy jakiego Włosi chcieli go posiadać — na mocy wszelkich praw, jakie ma naród włoski do swej własności. Pretoryanie francuscy stali w Rzymie.—Cofnąć ich — było to kupić sobie Włochy, było to zyskać pół miliona żołnierza na wojnę pruską. Gabinet florencki przejęty sympatjami dla Francyi, sam napierał się z tą myślą. „Il dépend de la France de faire marcher l'Italie, et l'Italie fera marcher l'Autriche“ — pisano z Włoch. Na to cesarzowa wznosiła z oburzeniem podczernione oczy ku górze, i czy wiecie co gabinet francuski odpowiedział?

Oto: „Il nous est impossible de faire la moindre chose pour Rome. Si l'Italie ne veut pas marcher, qu'elle reste!” Tak więc dla oca-

lenia władzy doczesnej papieskiej zrzucono się pomocy dwóch potężnych armii w wojnie pruskiej. Papieża nie uratowano: Włochy doszły do swej prawowitej własności—Rzymu, ale za to stracono dwie prowincye... pogrążono kraj w przepaść, bo... cesarzowej chodziło, aby dusza jej była napewno zbawiona. Wobec tego wszystkiego, wobec tej zguby, na jaką klerykalizm wydał Francję, projekt obchodzenia uroczystości Voltaire'a ma swój sens, chociaż Voltaire był szambelanem Fryderyka i chociaż pisał wiersze o bitwie pod Rosbach.

Zresztą republikanie robią dziś, co chcą, bo Rzeczpospolita tryumfuje. Ciągłe dezereye z obozu bonapartystowskiego zwłaszcza przyprowadzają do rozpaczyny wierne resztki napoleońskie. Rzeczpospolita tryumfuje i ustala się. Możeby się godziło nawet mniej robić manifestacyi, bo manifestacye dowodzą właśnie, że w niektórych umysłach republika nie przestała być jeszcze doktryną. Za dużo tu o niej mówią, a nie oduezyli się przemawiać językiem partyi.

W żadnym kraju nie rozprawiają tak mało o wolności, tolerancyi, rzeczypospolitej i tym podobnych rzeczach, jak w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki. A dlaczego? Z bardzo prostej przyczyny: bo tam to chleb powszedni, naturalny stan rzeczy, o którym nie ma co rozprawiać. We Francyi niema tego je-

szcze. Nie umiano otrząsnąć się dotychczas z przywar partyi i doktrynerstwa. Co nawet zauważyłem, że masy zasadę: „republika to naród nie partya”, rozumiały lepiej, niż ich rzecznicy i dzienniki. Rzecznicy i dzienniki wrzeszczą jeszcze czasem, jak demagogowie — masy zaś, wybierając spokojnie republikańskich deputowanych, zdają się mówić: — Dajcie pokój! nie potrzebujemy krzyczeć, skoro mamy dość sił, aby działać.

Na rzecznictwo demokratyczne spadły w ostatnich czasach dwa uderzenia dość niespodziewane: jedno z ręki Taine’a, drugie z ręki Ernesta Renana. Taine, zagłębiwszy się w dokumentach z czasów wielkiej rewolucyi i patrząc w nie raczej okiem estetyka, niż historyografa, przeląkł się krwi, okrucieństw, nadużyć i zbrodni, spełnionych w epoce burzy — całą więc epokę burzy, cały wielki przewrót dziejowy obrzucił błotem. Taine’owi jednak mniej można się dziwić. Umysł to bystry, wnikający w głębiny zwykłym okiem niedojrzane, ale umysł przedewszystkiem estetyka — wykwintna głowa grecka i pozytywna po grecku, wrażliwa na rzeczy smaku i biorąca nawet historję bardziej ze stanowiska piękna i brzydoty, niż ze stanowiska, które w logice nazywa się: principium rationis sufficientis! Rewolucya i demokracya, widziana okiem przywykłym szukać i odkrywać we wszystkim har-

monię, wydała się czemś potwornem, zatem: anatema na nią i na wszystko, co z niej płynie.

Pan Renan walczy nieco inną, mniej naukową bronią z demokracją. Słyszeliście może, że wziął się do pisania dalszego ciągu „Burzy” Szekspira. Gdy to gruchnęło po Paryżu, ludzie mówili sobie: jaka szkoda, że nawet i tacy pisarze, jak Renan, miewają czasem bzikowate pomysły. Pisać dalszy ciąg „Burzy”—tego cudnego lirycznego poematu, w którym wszystkie żywioły zdają się śpiewać — pisać dalszy ciąg, nie będąc poetą — jest to zawsze wydać sobie świadectwo braku piątej kleпки w mądrej skądinąd głowie. Tymczasem dalszy ciąg pojawił się i okazał, że właściwie nie chodziło o „Burzę”. Z „Burzy” wzięto tylko temat do poetycznego, ale ciętego paszkwilu. U Arystofanesa demokracja występuje jako Demos, głupi, lakomy, podejrzliwy i obżarty, ale naiwny Demos, którego ten panem. kto mu więcej kielbaszka do ust. U Renana demokracja to coś gorszego jeszcze. Pamiętacie Kalibana, tę potworną postać o łbie kudłatym, pół nieźwiedzia, pół ryby, pół człowieka z pletwami u rąk — to „martwe ciele z księżycy”, tę mieszaninę złości i głupoty, tę plugawą gębę, otwierającą się tylko dla przekleństw: „Wszelka zaraza” albo: „Oby wiatr zawiał z północy, zachodu i ponabawiał was licznego

wrzodu". Ten tedy Kaliban, ten syn dyabła i czarownicy — to demokracja. Czysty, mądry Prosper, śliczna biała, jak śnieg, owa gołąbka Miranda—to uosobienie arystokracji i jej przymiotów. Prosper, jak wiecie, rządzi Kalibanem, zsyla duchy, które według słów potwora:

„Czasem jak małpy straszą mnie grymasem,
„Kłują, mordują i kásają czasem“...

Karze go; nawiedza jego kości „kurczem nocną porą"—i to takim kurczem, że aż zwierzęta drżą na jego męki — zsyla jeże, które, kłując ciało potwora, zmieniają je „jakby na plaster miodu", ale to wszystko istotnie jest słuszne, rozumne. Kaliban nie budzi litości. Dlaczego? Bo to potwór nie tylko gruntownie głupi, ale gruntownie zły i gruntownie bestialny — to najobrzydliwsza, najsprośniejsza i najgorsza małpa, jaka kiedykolwiek istniała. Słuchajcie więc dobrze!.. Ta małpa to demokracja. Tak mówi Renan.

Na tem zakończę dzisiejszą moją kronikę. O obydwóch tych pracach: Taine'a i Renan'a pomówię później obszerniej. Może i poświęcę im specjalne sprawozdanie wówczas, gdy „Nowiny" staną się pismem codziennem, gdy będziecie mieli więcej miejsca,—a tymczasem życzę wam, aby się to stało jak najprędzej.

Listy Litwosa z Paryża. Salon z r. 1878.

I.

Salon obok wystawy jest drugą międzynarodową uroczystością, ściągającą tłumy ze wszystkich stron miasta. Jest to rodzaj bezkrwawego turnieju geniuszów, coś naksztalt dawnych turniejów kwiatowych, dla których miejscem jest obecnie stolica Francyi, a widzami cała Europa. W takich warunkach warto też iść o lepsze. Dla Francyi coroczny „Salon” ma również swoje ogromne znaczenie, dowodzi bowiem, że bez względu na to, gdzie leży przewaga polityczna, przewaga bagnetów i dział, Francya nie przestała i przestanie być ogniskiem twórczości myśli i idei, środkiem punktem, z którego promieniują i do którego ciągną geniusze wszystkich narodów. Żadne zwycięstwa pruskie, żadne niesnaski wewnętrzne nie zdołały jej odebrać tego znaczenia. Gdy chodzi o sprawy wojny, o miecz i ogień, uwaga ludzka zwraca się gdzieindziej, ale, gdy chodzi o nowe idee, o żywe objawy myśli, o sztuki piękne, oczy i ciekawość ludzka kierują się ku Fran-

cyi i Paryżowi. Czyby, naprzykład, do głowy przyszło komukolwiek, żeby taki „Salon” mógł się odbywać w Berlinie, lub gdzieindziej? Czyby znalazł się choć jeden człowiek, któryby nie nazwał podobnych żądań dzikimi i nieuzasadnionymi zakusami, na które ramionami tylko wzruszyć warto? Ustalono niejednokrotnie fakt, że wszystko, co się we Francyi dzieje, interesuje daleko więcej ludzkość, niż sprawy, równej nawet teoretycznie wagi, odbywające się gdzieindziej. Dlaczego tak jest, odpowiadano na to często; częściej jednak czyniono z tego zarzut i Francyi i ludzkości, posadzając pierwszą o błyszczące tylko pozory, pokrywające nicość rzeczywistą, drugą o głupotę i naśladownictwo. Tłómaczenie to jednak niegodne jest myślącego człowieka; z zasadniczego bowiem pytania wysnuwa się wiele następnych, na które zarzuty o pozorach i szychu francuskim w szczególności, a głupocie ludzi wogóle, nie są odpowiedzią. Dlaczego np. sprawa uroczystości Voltaire’a, listy biskupa Dupanloup do Wiktora Hugo, lub odpowiedź tegoż podnoszone są nietylko we Francyi, ale i wszędzie do znaczenia pierwszorzędnych faktów? Dlaczego prasa całego świata i ludzie myślący wszystkich narodów biorą w tych sprawach nietylko udział, ale kładą w nie swe osobiste namiętności? Czy dlatego, że są głupcami? Nie! muszą być inne przyczyny. Goethe jest

większym pisarzem od Voltaire'a, Hegel lub inny jaki Niemiec większym filozofem; niechże minister Falk, Paweł Lindau, lub sam nawet zmarły Heine zaczną polemikę o tych olbrzymów ze wszystkimi biskupami katolickimi Niemiec, kto o niej będzie wiedział? Kółko literatów, kółko uczonych,—a zresztą fakt przejdzie zaledwo dostrzeżony przez oczy świata, nigdy nie stanie się popularnym, nigdy nie rozbudzi namietności. Znowu dlaczego? Jest więc jakiś urok w tej Francyi, jest coś takiego w jej cywilizacyi, co czyni ową cywilizacyę blizką serca każdego narodu, co czyni ją dobrem, cennionem i uroczem, a wspólnem dla wszystkich. Cóż to jest takiego? — oto inicjatywa w idei, w czynie, a przedewszystkiem ogólnoludzka typowość każdego objawu społecznego.

Gdy zastanawiam się nad historią np. Prus, raz wraz spotykam się z następną zasadą: Prusy pragną się powiększyć, pragną zabrać taką a taką prowincyę sąsiedniego państwa, więc czyhają na nią, a gdy się zdarzy sposobna pora, to ją łapią. We Francyi przeciwnie: przeważa jakaś idea, ogólnie ludzka, nawet w wojnach. Franciszek I-szy broni się powszechnej monarchii; Ludwik XIV walczy w imię tej samej zasady, przeciw której występował Franciszek, i rozwija do najwyższego stopnia ideę królewskości; przychodzi rewolucya i bierze w ręce sprawę swobody i reformy nietylko we Fran-

cyi; po niej cezaryanizm wyrasta z demokracji i wnet pragnie zostać także zasadą — słowem, nigdy tu prawie nie chodzi o to, żeby coś capnąć i na tem poprzestać. Tu każdy fakt zewnętrzny ma swoją wewnętrzną ludzką duszę i nie tylko pruską, jak np. w Prusach, nie tylko francuską, ale ogólnie ludzką, a przytem każdy jest zapowiedzią, lub nawet często wcieleniem jakiegoś zwrotu w umysłach i dążeniach całego świata. Idea staje się tu także najpierwej czynem. Choćbym się zgodził na tę rzecz wątpliwą, że filozofowie niemieccy są głębsi, a poeci niemieccy więksi od francuskich, to wszyscy, razem wzięci, są w takim stosunku do ostatnich, w jakim teoria jest do praktyki. Voltaire nie był wielkim poetą, ani jednym z najgłębszych filozofów, ale jest czynem, jest praktyką, jest wszczepieniem w życie pewnych kierunków myśli, jest reformatorem i działaczem. Podobną cechę nosi cała działalność umysłowa francuska. Poeci Francyi, uczeni i literaci nie są to gryzi-książki, gabinetowe móle, transcendentalni mędrcy, sami się tylko między sobą rozumiejący, ale agitatorowie, ale ludzie życia, walki i czynu. Tem się tłómaczy i ogólnie ludzki charakter cywilizacyi francuskiej. Czyn jest czemś dotykalnem. Gdy chodzi o uosobienie idei, szukamy naturalnie jej ciała w historii i typową postać znajdujemy najłatwiej we Francyi. Królewskość — typ Ludwika XIV; walka

nauki z wiarą — typ Voltaire'a; rewolucya — typy: Robespierre, Marat, Danton; cezaryanizm — typy: Napoleonidzi; republikański radykalizm — Gambetta, Wiktor Hugo; ultramontanizm — Veuillot i Dupanloup.

Proszę mi pokazać takie upostaciowania kierunków, w typowych faktach lub osobach, gdzieindziej, a przyznam, że nie rozumiem, dlaczego cały świat zajmuje się tak Francją i Paryżem. Tymczasem widzę, że wszelkie idee, wszelkie dążenia, najrozmaitsze objawy myśli i życia, wszystko, co jest i drzemie nieświadome, rozproszone i niesamowiedne w innych społeczeństwach, znajduje swój dotykalny i typowy wyraz we Francyi. Ludzkość więc patrzy na nią z tem samem zajęciem, jak patrzymy na dramat, w którym przedstawione namiętności są także, jakie i w nas leżą w zarodzie, ale w dramacie spotęgowane i do znaczenia ogólnych typów podniesione.

Oto tajemnica uroku i znaczenia Francyi. Tego znaczenia i tego ogólnie ludzkiego charakteru jej cywilizacyi, nie odebrały jej i nie odbiorą ani zwycięstwa pruskie, ani nieszcześcia polityczne, ani jej urok wojskowy zgasły. Jak igła magnesowa ku gwiazdzie polarnej, tak zwracały się ku niej umysły dawnych pokoleń, zwracają się dzisiejszych i będą zwracać przyszłych, nie dlatego, aby ludzie mieli być owca-

mi, ale dlatego, że taka jest natura rzeczy, i że słusznie jest tak, jak jest.

Widzieć złe i szpetne strony Francyi—nie łatwiejszego; twierdzić, że im się bliżej jest, tem te strony bardziej leżą w oczy — nie słuszniejszego; ale wywodzić stąd pogląd ogólny — nie błędniejszego. Raz w Luwrze długą godzinę spędziłem przed Wenus Milo. Przeczysty biały posąg dał mi prawdziwie błogą chwilę zapomnienia i zachwytu. Tylko piękność w najwyższem swem pojęciu i formach może tak działać, że człowiek, jakby Grek starożytny, wobec takiego posągu radby mirtem otoczyć jego boskie nogi i pochylić z prawdziwą wiarą przed nim głowę. Owóz, porwany przez urok bijący od tej promiennej postaci, chciałem ją widzieć jeszcze lepiej, niż widziałem, przysunąłem się więc najbliżej, jak mogłem i... urok zniknął. Ten marmur, który zdaleka wydawał się tak niepokalany, pokrywały skazy i rysy; znać na nim było starość, długie leżenie w ziemi i niszczącą rękę czasu; na piersi bóstwa szarzały plamy pleśni i wilgoci, na boskich nogach widniała żółtość. Patrząc z bliska i za blisko, nie ogarniałem całości, widziałem tylko plamy, skazy i brzydotę, ale gdy odszedłem dalej, śliczna postać, jako całość, znów przemówiła do mnie: „jam jest piękna i wieczna, ja nie skłamię, nie zawiodę nigdy, bo piękność jest zarazem we mnie prawdą i naturą”. Toż samo dzieje się i z

cywilizacją francuską. Kto patrzy, jak blisko-
widz lub przez mikroskop, na to wielkie dzieło,
ten traci pojęcie całości; widzi tylko plamy i
skazy na marmurze i błędne wyprowadza wnio-
ski; kto jednak umie spojrzeć z tak trafnie obra-
nej odległości, aby mu szczegóły nie przesłoni-
ły ogółu, ten do wszystkich przymiotów tej cy-
wilizacji musi dodać jeszcze jeden — jej
piękność, uzmysłowioną w rozwoju sztuk piękn-
nych, zwłaszcza plastycznych.

Salon coroczny jest bijącym w oczy i doty-
kalnym dowodem tego rozwoju, i stąd wy-
pływa jego znaczenie. Prócz francuskich, bio-
rą w Salonie udział artyści całego świata, uzna-
jąc tem samem mimowolnie Paryż za stolicę i
ognisko sztuki, smak zaś francuski za najwyż-
szego sędziego. Jakoż trudno w tych rzeczach
być innego zdania. Malarstwo francuskie rozwi-
nęło się później od włoskiego i flamandzkiego;
ale temu właśnie zawdzięcza ów wysoki sto-
pień, na jakim stoi obecnie. Artyści miejscowi
skorzystali z doświadczenia wieków, przejmując
przymioty i unikając wad, wytwarzanych
przez szkoły. Przechodzili i oni przez okres na-
śladownictwa, konwencyonalizmu, szkolarstwa,
zbytniej akademiczności, ale w ogólnym ruchu
artystycznym szli ciągle naprzód, w czem smak,
wiodzony całemu narodowi francuskiemu, był
im doskonałym przewodnikiem. Dzięki temu
smakowi i poczuciu prawdy, malarstwo oparło

się na naturze, na której to podstawie wspiera się i dotąd. Niemiecka sztuka dała przewagę idei nad formą, duszy nad kształtem zewnętrznym; włoska, w epoce odrodzenia, ukochała przedewszystkiem pyszną plastykę; flamandzka znów obrała sobie za cel głównie powszednią prawdę stosunków ludzkich i rzeczowych, zlekka zaledwie idealizowaną sposobem przedstawienia, kolorytem, rozkładem światła i cieni. Francuzi nowocześni połączyli te trzy kierunki, co więcej, zdołali zachować między nimi prawdziwie estetyczną równowagę. Leżało to poniekąd w ich krwi, złożonej z pierwiastków rzymskich i germańskich, skutkiem czego poczucie ich artystyczne starało się pogodzić dwa odrębne te kierunki na zasadzie łączenia piękności formy z wyrazistością idei oraz na zasadzie prawdy, odnajdywanej w naturze.

Stąd wytworzyła się rodzajowość, polegająca na pochwyceniu pewnej idei życiowej ze strony szczególnie wyrazistej i poetycznej i na oddaniu jej w sposób równie naturalny, jak piękny. Przez to chwytnie życie za strony podnioslejsze, za idee i myśli poetyczne, uniknięto bez naruszenia prawdy powszedniości flamandzkiej. Francuz pragnął malować rzeczy i osoby równie dokładnie i równie charakterystycznie, jak Flamandczyk, jednakże nie poprzestawał na tem. Układ oryginalny światła i cieniów, oczy patrzące z pod szerokiej kani kapelusza,

odbicie promienia na metalu lub wodzie, przeprzeświecania zagieć atłasu czy aksamitu, oddanie ludzace akcesoryów nie zadowalały go całkowicie. Francuzowi chodziło o to, aby te rzeczy i osoby, malowane najdokładniej, były same w sobie nietylko charakterystyczne, ale aby wyrażały jeszcze jakąś myśl trafną, jakąś prawdę piękną, schwytaną na gorącym uczynku, jakiś fakt wdzięczny lub szczególnie mówiący, lub wreszcie stan duszy, promieniejący prawdziwą życiową poezją. Wytwarzana stąd rodzajowość, jako niezmiernie w znaczeniu swem obszerna, mogła pomieścić w sobie wszystkie prawie kierunki malarskie, a jednakże położyć na wszystkich, nie wyłączając historycznego, pewne właściwe sobie cechy.

Gdyby chodziło o nadanie jej nazwy, nazwałbym rodzajowość tę rodzajowością wyższą i upatrywałbym w niej główną charakterystykę malarstwa francuskiego. Zdrowy ten i dzielny kierunek potrzebował być poparty tylko biegłością techniczną i temperamentem prawdziwie malarskim, aby wytworzyć malarstwo znakomite, będące ideałem w swoim rodzaju. Otóż przymiotów tych Francuzom nie tylko nie zbrakło, ale przewyższyli nimi wszystkich zagranicznych malarzów. Gallicka wrodzona zdolność do uczenia się i -chwytania w lot wszystkiego, jak zwykle taki w tym wypadku nie zawiodła; to też Francuzi pod względem tech-

niki niezaprzeczenie są mistrzami. Samego procesu malowania, zręczności, umiejętności we władaniu środkami, nikt nie doprowadził do tak wysokiego stopnia, jak oni. Rzeczy można, że dary te od urodzenia na świat przynoszą, bo przecież nie uczą się ich na żadnej ławie. Paryż nie wytworzył żadnej nazwanej i uznanej szkoły, żadnej akademii, w którejby uczono malować kompozycji i techniki, wedle przepisów i prawidełek, a kosztem indywidualności. Artysty dają tu w rękę pędzel i mówią: „Patrz w naturę, patrz w jej piękność, czuj jej prawdę, patrz w serce własne i maluj. Maluj na mocy tej wewnętrznej potrzeby, na mocy której ptak śpiewa; studyuj, pracuj, ale bądź zawsze sobą, bo inaczej będziesz rzemieślnikiem, nie artystą i będziesz kłamał, zamiast być szczerym”. Taki jest nastrój ogólny, zdrowy, podniosły i pojętny, a nawskroś artystyczny i właśnie dzięki temu nastrojowi Paryż, w którym niema szkoły, jest najlepszą szkołą malarską, jaka istnieje na świecie i skupia artystów całego świata, którzy, w imię sztuki, z zapalem w sercu, ciągną tu, jak cygańczuki bosc, często o suchym chlebie, za sławą i nieśmiertelnością.

Przejęcie się przedmiotem, zamiłowanie sztuki, наконец skupianie się artystów o najrozmaitszych usposobieniach, bogatych i biednych, a zbratanych zawsze jednakim celem—wszystko to wpłynęło jeszcze na wyrobienie

się prawdziwego, nawskroś artystycznego życia, przepysznej bohemii, wyłączającej pedanterię, a podtrzymującej wysoki polot ducha i poczucie artystycznego kapłaństwa. Nie potrzebuję przytem dodawać, że owo życie, tak rozwinięte, znalazło tu dla siebie grunt odpowiedni i bujny. Wzajemne oddziaływanie na siebie publiczności i artystów trwa tu ciągle i coraz staje się w skutkach widoczniejszem. Z jednej strony poczucie smaku i wrodzone zamiłowanie sztuki tutejszej publiczności podtrzymuje i zagrzewa artystów,—z drugiej strony artyści rozdmuchują coraz potężniej ową skłonność i wytwarzają smak coraz doskonalszy. Powtarza się tu poniekąd, choć na mniejszą może skalę, to, co miało miejsce w dawniejszych czasach w Atenach, a w czasie epoki odrodzenia we Włoszech. Sztuka staje się zamiłowaniem narodowem, nie wykwinnym przysmakiem, cenionym tylko przez lakotnisiów, ale koniecznym i popularnym pokarmem ogółu. Jeżeli dziś nie jest jeszcze tak zupełnie, to przynajmniej idzie ku temu, a spokój wewnętrzny i republikańska forma rządu, zapewniająca rozwój indywidualności, są jednym więcej dla takich dążeń warunkiem pomyślnym. Dziś już jednak, np. otwarcie rocznego Salonu, jest nie tylko uroczystością artystyczną, ale niejako świętem publicznem, rodzajem igrzysk, w których ogół bierze żywy, bezpośredni i prawie

namiętny udział. Oto otwarta jest wystawa powszechna, oto zabawy i przyjemności uroczego Paryża nęcą, jak syreny, tutejszych mieszkańców; a jednak na polach Elizejskich roją się tłumy ciekawych, tłumy napelniają i wewnątrz, oglądają, podziwiają, i w towarzystwach, w kołach nawet prostych, usłyszysz rozmowę o Salonie; gazety poświęcają mu ogromne swe łamy—słowem, Salon jest to fakt nie tylko artystyczny, ale i społeczny, wielkiej wagi, którym zajmuje się cały Paryż, a za nim, jak zwykle, Francya i Europa.

Tegorocznemu Salonowi nie wrócono powodzenia. Obawiano się dla niego konkurencyi wystawy, obejmującej, jak wiadomo, również mnóstwo pawilonów, poświęconych sztukom pięknym,—ale obawiano się bezzasadnie. Najznakomitsze obrazy, przesłane na wystawę, były już wystawione w rozmaitych galeryach od jakich dziesięciu lat, zatem dobrze znane publiczności; tymczasem Salon nęci nowością; pod względem zaś ilościowym, przedmiotów sztuk, chyba wystawa właśnie mogłaby się obawiać jego współzawodnictwa. Sprawozdawcę, choćby nie wiem jak rozmiłowanego w swej roli, dreszcz przejmuje na widok katalogu, obejmującego blisko 5000 numerów (4958) przedmiotów, między którymi samych obrazów większych znajduje się około półtrzecia tysiąca (2330); rysunków, szkiców, kartonów około

półtora tysiąca i przeszło 1000 rzeźb. Wobec takiej liczby wystawa błędnie, sprawozdania zaś muszą się ograniczyć do wyróżnienia kilku tylko znakomitszych dzieł sztuki i wreszcie do spisania wrażeń ogólnych.

Z tych ostatnich wywiązałem się już poniekąd, a przynajmniej starałem się wywiązać, obecnie więc nie pozostaje mi nic innego, jak wziąć za rękę czytelnika i zwrócić jego uwagę na obrazy, najbardziej rzucające się w oczy. Używam umyślnie tego wyrażenia: „rzucające się w oczy”, bo, na które padną nagrody, komu na tem igrzysku przysądzą gałązkę oliwną, trudno przewidzieć, a niebezpiecznie byłoby zgadywać. W pierwszej więc zaraz sali zatrzymujemy się przed ogromnem płótnem, podpisanem Carolus Duran. Jest to malarz może najznakomitszy we Francyi; zwa go jednak najwięcej znanym. Obraz jego jest wielkiem malowidłem pulapowem (plafond), przeznaczonem do jednej z sal muzeum w Luksemburgu. Treścią jego: apoteoza Maryi Medicis.—„Gloria Mariae Medicis”, jak mówi tytuł. Dziwny zaiste wybór przedmiotu, dziwna „gloria” tej Włoszki, którą historia sadza na ławie oskarżonych o występki i zbrodnie, a na którą żaden sąd przysięgłych historyków nie może wydać innego werdyktu, jak „winna”. Ale pędzel również, jak poetyczne pióro, ma swoje „licencye”. Na pierwszy rzut oka jednak owa „gloria” prze-

raża prawie widza, który mimowoli pyta się, czy to czasem nie jaka straszliwa kara Boża, czy to nie zatracenie jakiejś Sodomy lub Gomory. Na obrazie wszystko się wali: wali się świątynia, walą się ludzie, których postacie, powyginane w konwulsyjne skruty, wyglądają, jakby na próżno, przez straszliwe wysilenia mięśni, pragnęły uchwycić równowagę.

Owe walenia się dostarczyły już materiału do żartów. Nazwano obraz katastrofą z ulicy Be-ranger, trzęsieniem ziemi, wybuchem miny prochowej, słowem, zawsze katastrofą; obraz zaś jest poprostu tylko pułapem. Rysunek postaci, przeznaczonych na ozdobę pułapu, musi być inny niż zwyczajny i inaczej wyrachowany, gdyby bowiem rysowano je tak, jak się rysuje na zwykłym obrazie, wówczas ludzie, domy, drzewa wyglądałyby z pułapu, jak leżące na bokach. Tymczasem muszą one tam stać prostopadle do ziemi, muszą podstawę mieć niżej, a głowę iść w górę — i na obrazie C. Durana pójdą, gdy tylko obraz zostanie umieszczony nad głowami widzów, nie zaś na bocznej ścianie.

Wyobrazivszy sobie raz obraz nad głową, można już w nim rozpatrzeć się spokojnie. Marya de Medicis zajmuje środek kompozycji, siedząc na wspaniałym tronie w cieniu świątyni greckiej. Sprawiedliwość i Religia, które — jak mówi „Figaro” — widocznie nie miały

w tym dniu nie lepszego do roboty, wieńczą skronie królowej. Prawda — naga, jak zawsze powinna być prawda — trzyma przed nią zwierciadło. Nieco niżej patrzą na królowę starcy, wojownicy, piękne kobiety, młodzieńcy, przepyszne i malownicze grupy, od których bije ta powaga, ta piękność, — młoda, bogata życiem, pełna zachwytu. Ręce podniesione ku górze, nawpół otwarte usta, deszcz kwiatów; przysięgłbyś, że te tłumy oczyma powznoszonymi do góry śpiewają w upojeniu: „chwała! chwała tobie!”

Tego upojenia jednak jest tyle, powietrze tak gorące, kwiatów taka obfitość, ruchy tak gwałtowne, że chwila jeszcze, a upojenie zmieni się w szal; chwila jeszcze, a dziewczęta rzucają się w objęcia młodzieńców, pocałunkami wpiją się w ich usta, oplotą ich ramionami; świat im się w oczach zaćmi, apoteoza przejdzie w jakieś święto Bachusa — w orgię. To wada obrazu. Co uczynią wówczas Religia i Sprawiedliwość? Przecie nie wypada im puścić się w taniec z bachantkami. Czy naga Prawda nie zawstydzi się wówczas swej nagości — i co się stanie z apoteozą? Artysta chybił tu celu, bo postaci jego, jak na apoteozę, nadto są krwiste i nadto wyteżone. Energia ich może jest zaletą malarza, ale wada obrazu.

Co do mnie, nie lubię takich przedmiotów,

jak wszelkie apoteozy. Artyście, gdy maluje rzeczy sprzeczne z siłą ciężenia, łamiące prawa natury, trudno być szczerym, trudno je czuć naprawdę i wypowiadać z serca. Ale, skoro ma być apoteoza, niechże będzie apoteoza, niech anieli unoszą nawpół cielesne postaci ludzkie ku niebu, niech grają sfery niebieskie, niech będzie zresztą co chce, byle nie to, byle nie był ostatni akt baletu, w którym pozują pięknie rozwinięte łędwie i piersi.

A jednak zebrało się Francuzom na apoteozy, bo obok Maryi Medicis stoi zaraz druga, mało co w rozmiarach mniejsza — apoteoza Thiersa. Autorem jej jest Georges Vilbert, artysta równej sławy i kwitnący. Thiers w trumnie, przy nim niewiasta w żałobie, nad trumną anioł chwały; za trumną straszna, ze szklanemi oczyma i otwartemi usty leży martwa druga niewiasta zamordowana widocznie, bo krew skrzepnięta wytworzyła ohydny kałużę koło jej kredowej, pełnej nienawiści, twarzy. Martwa jej ręka trzyma pochodnię, która jeszcze się pali. Czerwony jej ubiór w łachmanach. Zgadujecie, że pierwsza z tych kobiet, ubrana w elegancką żałobę, jest Francya, druga, z krwią okrzeplą na sinych wargach, Komuna. Pierwsza: to dama, druga: nędzarka. Ten, który leży w trumnie, zabił nędzarkę, by uratować damę — i stąd jego chwała. Co za dziwna apoteoza! Nad trumną jakieś regiony mistyczne powietrz-

ne, a w nich rozruch między duchami; pełno postaci we mgle i promieniach. To najlepsza strona obrazu, ale ta krew na pierwszym planie, tak nędzna, a jednakże francuska, jako podstawa chwały Francuza. „Les hommes d'esprit se trompent quelquefois” — powiedział o Vilbercie jeden z krytyków; i ja podzielałam to zdanie. Zresztą, są fizyognomie takie jakieś małomieszczańskie, takie „bourgeois”, że żadną miarą nie nadają się do apoteozy. Wolę więc nie zatrzymywać się dłużej nad tym przedmiotem, a przejść do malarstwa religijnego, którego Betsellère i Doré są głównymi przedstawicielami.

Betsellère to jeszcze pacholę prawie, ale spodziewają się, że z tego pacholęcia wyrośnie olbrzym. W malarstwo religijne dziś mało kto wierzy — on jest malarzem religijnym. Odwaga niepospolita. Być dziś prawdziwym malarzem religijnym, trzeba być wewnątrz innym od większości świata; być innym — jest to narażenie się na niebezpieczeństwo, że świat artysty nie zrozumie. A jednak Betsellère dał obraz Jezusa, uciszającego burzę na jeziorze Genezareth. Obraz to znakomity. W powietrzu burza prawdziwa, woda zmieszana z powietrzem, szarpanina wichru, fal, ciemności, rozpętania się żywiołów i chaosu. Wśród tego łódź. „Ci leżą nawpół martwi, ów załamał dłonie”, jak mówi Mickiewicz. Apostołowie jedni ucieka-

ją, jeszcze inni już tylko się modlą. Twarze, wyrazy uczuć, natura—wszystko głęboko cdczute i pojęte. Obraz się podoba i nie brak takich, którzy mu nagrodę, a artyście świetną przyszłość przepowiadają.

Doré dał na Salon tegoroczny aż dwa obrazy: „Ecce homo” i „Mojżesz przed Faraonem”. Na pierwszy rzut oka można w nim odgadnąć rękę ilustratora Biblii. Dziwna jednak rzecz: Doré w rysunkach swych ma wszystkie zalety kolorysty. Nikt nie umie tak, jak on, z efektów światła i cienia, z białego tła papieru i czarnego ołówka wydobywać kolorytu. Jego poranek ma lekkie, świeże i wilgotne tony poranku, jego pustynia tchnie gorącem, jego każdy krajobraz ma właściwą sobie barwę. Otóż ten wielki kolorysta ołówka jest małym, a raczej żadnym kolorystą, gdy ma do czynienia z farbami. Obrazy jego olejne są szare, jednostajne i zimne. Rysownik nie zna się na rzemiośle malarskiem, a przytem, przyzwyczajony rysować z głowy, nie używa modeli. „Farby i płótna — powiedział o nim dowcipny sprawozdawca — kosztowały setki franków, modele może z pięć sous”. Skutkiem tego niedokładności, jakie w rysunkach o małym formacie nikną, występują na jaw w wielkich obrazach. Artysta przytem produkuje tyle i z takim pośpiechem, że „wymalowałby w sześć miesięcy Paryż ze wszystkimi fortyfikacyami”. Anglicy

zakupują hurtownie jego obrazy, ale krytyka odzywa się o nim coraz chłodniej, a nawet zgoliła uszczypliwie.

Wyższa rodzajowość, o której wspomniałem na początku listu, zdaje się być jednak nie tyle kierunkiem najogólniejszym między francuskimi malarzami, ale zarazem najbardziej odpowiadającym naturze ich talentów. Nalepsze obrazy w Salonie są tego niezbitym dowodem. Od niektórych z nich trudno istotnie oczy oderwać. Oto, na przykład, Manon Lescaut p. Dagnan Bouveret. Thumy zbierają się przed niektórymi ogromnemi malowidłami, rozmawiają, robią uwagi, chwalą lub gania i przechodzą: przed tym małym obrazkiem ludzie stają i milczą, lub zamyślają się głęboko, a odchodzą z westchnieniem. Jest to perła Salonu — arcydzieło księdza Prévost może istotnie natężyć malarza. Prosta ta i żalobna kronika miłości przemawia do każdej wyższej duszy szczęśliwej i nieszczęśliwej, wzrusza każde serce szlachetne, pragnące wierzyć, że ponad tym światem płaskim, zwietrzałym, nudnym, kłamliwym jest jeszcze coś świętego, coś wyższego, coś nieśmiertelnego, dla czego żyć warto, a jest to miłość prawdziwa. Tyle też szczęścia jest na świecie, ile promyków padnie z tego słońca na duszę ludzką. Kto potrafi napisać książkę, w której dwoje ludzi kocha się poprostu a ogromnie, i mówi z serca, ten zawsze napisze

arcydzieło. Takie arcydzieło, takie dwa typy młode, śliczne i zakochane w sobie na śmierć stworzył Abbé Prévost. Miłość bije od tej książki, i prawda żywa, jak krew i serce ludzkie, bije z niej także. Tam wszystkie piękności, wszystkie efekta nie są obliczone naprawdę, ani wymyślone, tam płyną z tego źródła, z którego nic innego, jak piękność i poezya, płynąć nie może. Ani Chevalier de Grioux, ani Manon Lescaut nie wiedzą, jak są piękni: on — jako mężczyzna, jako typ najwyższy męskiego fanatyzmu i wytrwania w miłości; ona — jako uosobienie kobiety i kobiecych uczuć. W nim nie ma prócz miłości — ogień ten święty przepalił i wypalił wszystko inne, wszystkie dążenia, porywy, nałogi,—pochłonał go i ogarnął całego raz na zawsze, uczynił go fanatykiem, owym typem nazareńskim, jak podobne charakterzy nazywa Heine, oddanym jednej tylko zasadzie, żyjącym w niej wyłącznie i przez nią; ona — to typ heleński, świetny, przepyszny, a swawolny i nawet płochy, pragnący miłości, umiejący kochać, ale pragnący od życia także wszystkiego, co jest rozkoszą, pięknem, różnorodnością szczęścia, zachwytem i przyjemnością.

Gdy mężczyzna kocha tak wiernie, po męsku, a kobieta tak wiernie po kobiecemu, gdy oboje są młodzi bardzo, piękni i pełni prostoty, stosunek ich do świata jest tego rodzaju, że

musi się wyciągnąć z niego jakiś rozdzierający serce dramat. Dla dwojga dzieci miłość i szczęście w niej jest najwyższem prawem i jedyną moralnością; ale społeczeństwo trzyma się innych zasad i prawideł — stąd więc kolizya. I dzieci giną najczęściej w tej kolizyi. Burza porywa je, jak dwa listki róży, i niesie na Gólgotę, a następstwem tych stacyi krzyżowych — zwycięstwo przemocy nad słabością, czegoś wielkiego nad małym, burzy nad kwiatkiem. Czyż jest jedno serce ludzkie, któreby nie uderzyło dla dzieci, dla dwojga biedactw, dla dwojga gołąbków, nad którymi ciąży i mści się straszna i wszechpotężna siła całego świata? Więc ofiara się spełnia, ale jest sfera wyższej jakiejś, niż pospolita, moralności, w której sympatya dusz wybranych bierze owe dwoje dzieciątek w opiekę, wieńczy ich groby, jak Romea i Julii w Weronie, przebacza ich grzechy, i nie tylko przebacza, ale grzesznemu de Grieux będzie zawsze najczystszym płomieniem przed ołtarzem miłości, a na twoich nogach, płocha i śliczna Manon, usta ludzkie powinny składać pocałunek czei i uwielbienia.

Ta sfera moralna, to niebo, w którym świętymi są Romeo, Julia, de Grieux i Manon Lescaut, zowie się sztuką. Sztuka nie wspomni o tysiącach porządných i poczciwych filistrów, którym życie płynęło wedle przepisów prawnych i policyjnych, a wyciągnie ręce do ta-

kich gwiazdek błędnych. Romeo i Julia znaleźli swego Szekspira, de Grioux i Manon swego Prévosta — i swego Dagnana-Bouvereta. Artysta wybrał tę chwilę, w której de Grioux grzebie grób dla ukochanej Manon. Manon skazaną została, jak wiadomo, na wypędzenie do Ameryki. De Grioux pojechał za nią. Szczęście poczęło im się już uśmiechać, gdy nagle zagroziło im znowu rozłączenie. Postanowili uciec. Gdzie? — gdzie oczy poniosą, w pustynię, na bory, stepy i lasy. Przecie niepodobna, aby na świecie całym nie było spokojnego schronienia dla dwojga serc zbolałych i zakochanych. Ale Manon zmarła w drodze. Na pustyni został sam de Grioux, a przy nim martwa Manon, jego wszystko, jego skarb największy i jedyny. Dalej mówię już jego słowami własnymi, bo mnie nie stać na podobnie tragiczną prostotę: „Postanowiłem ja pogrzebac (mówi de Grioux) i oczekiwać śmierci na jej mogile. Nie było mi trudno w miejscu, w którym się znajdowałem, otworzyć ziemię; było to pole piaszczyste. Złamałem swą szpadę, aby się nią posługiwać przy kopaniu, ale mniej miałem z niej pożytku, niż z własnych rąk...”

Obraz Dagnana Bouvereta przedstawia tę chwilę: De Grioux kłęczy przed dołem, nawpół już palcami wygrzebanym; ale, zmęczony, przerwał robotę. Zakrwawione ręce wsparł na kolanach, pokrytych piaskiem, i oczy utkwil w

trupa leżącej obok Manon. Ona śliczna zawsze, ale już cicha, blada,—trzeba ją będzie ułożyć w ten dół, zasypać piaskiem — zakopać Manon, powiedzieć sobie potem, że to już naprawdę, że to już nazawsze, że Manon niema. De Grioux ostatni raz patrzy na nią i nie potrzebuje wam opisywać, co widać w tych oczach, ostatni raz patrzących na umarłą, ukochaną nad wszystko istotę. Książka mogłaby nie istnieć, a każdy, na widok tego obrazu, stworzyłby takiż sam poemat we własnem sercu. To najwyższa pochwała tego obrazu. W dali pustynia piaszczysta, sucha, nielitościwa, lekki wiatr zaledwie porusza włos na czole de Grioux; nad nim niebo obojętne, pogodne, milezenie naokoło, świeżo poruszony piasek, oczy, wpatrzone ostatni raz - - i... nieszczęście, jako dusza wszystkiego, jako ogólna idea obrazu, oddana z takim uczuciem i mocą, że ludzie, stojący przed obrazem, zamiast mówić, szepcą i oddalają się z ciężkiem sercem.

O zaletach technicznych obrazu mówić nawet byłoby zbyt. zbytecznem.

Gdy cesarz Józef rzekł do Mozarta po wysłuchaniu Don Juana: „Za dużo nut, mój Mozarcie!” -- odpowiedział spokojnie: „Ani jednej więcej nie potrzeba, N. Panie”. Toż samo mógłby odpowiedzieć Dagnan Bouveret. Tak malował, jak czuł, że jest dobrze i właśnie dlatego jest dobrze. Nawet zbytnia wykwintność ubioru de

Griex i Manon nie jest wadą, bo charakteryzuje wiek. W rzeczywistości mogło być inaczej, ale wolna wola w tem artysty. Zresztą wspominałem, że w sztuce malowania Francuzi są mistrzami, a już też musi być nim i Dagnan Bouveret, skoro umiał wyrazić z taką siłą i takim uczuciem to, co wyraził.

Na tym obrazie zakończę pierwszy mój list o „Salonie”. W następnym powiem o kilku jeszcze znakomitych obrazach, a przedewszystkiem o obrazach malarzy polskich, którzy wystąpili nietylko bardzo licznie, ale i bardzo wybitnie.

Gazeta Polska. № 136, 137, 139 i 140 z dnia 18, 19, 22
i 24 czerwca 1878 r.

Listy Litwosa z Paryża.

II.

Sto tysięcy franków nagrody.

Jeśli wyścigi w naszej skromnej Warszawie są uroczystością wielkiego świata, łatwo możecie zrozumieć, jaką rolę grają w Paryżu, a zwłaszcza, jaką odegrały w tym roku, w którym wystawa zgromadziła setki tysięcy cudzoziemców ze wszystkich stron świata.

Trudno więc sobie wyobrazić publiczność więcej kosmopolityczną, niż ta, która dnia 16 czerwca zalała od samego rana lasek Buloński. Była to prawdziwa wystawa antropologiczna, wobec której zbladła skromna, poświęcona antropologii, wystawa przy Trocadero. Komu by goście wyścigowi pozwolili badać swoje czaszki, ten znalazłby tu egzemplarze, o jakich nie śniło się może w najbardziej uroczym śnie żadnemu badaczowi. Antropolog odkryłby tu okragłogłowe, długogłowe, płaskogłowe, należące do wszelkich ras, pokryte skórą wszelkich odcieni i włosami wszelkich przecięć; moralista, nie przesądzając ras i narodowości, od-

różniłby może kategorie ciasnogłowych, pustogłowych lub półgłowych; każdy, natomiast, mógłby zapomnieć, że się znajduje w Paryżu, a pomyśleć, że jakaś siła nieznana zamieszala nagle w mrowisku ludzkim, jak w garnku, lub że lassek Bułoński i Longchamps to dolina Józefata, na której narody ziemi wyprawiły sobie, w wigilię sądu ostatecznego, majówkę.

Wszystko też było strojne, świąteczne i wesole. Wybrałem się wcześniej, bo zaraz po dwunastej, aby przyjrzeć się nie tylko koniom, ale i ludziom; wybrałem się zaś w towarzystwie reportera „L'Événement“, z którym przed paru dniami zrobiłem znajomość, a który, jako znający dobrze Paryż, tuż paryskie i znakomitszych gości, przybyłych z powodu wystawy, mógł być doskonałym przewodnikiem.

Zresztą, jeśli nawet kogoś nie znał, to kłamał o nim z taką niezachwianą ufnością w to, że mu wierzę, że aż miło było słuchać. Ale mniejsza o to. Pogoda zdawała się sprzyjać uroczystości. Chmury piętrzyły się miejscami na widnokręgu, jednakże przestrzenie czyste przeważały; przytem na Mont-Valérien mieniła się czas jakiś tęcza, jakby na znak, że najwyższa administracya nie ma nic przeciw wyścigom; grupy zaś drzew w lasku, dalekie budynki, wieże i szczyty wzgórz przesłaniały się tym ciemno-błękitnym odcieniem, coraz ciem-

niejszym i coraz błękitniejszym, w miarę oddalenia, przezroczystości powietrza i ustalającej się pogody.

Lasek wydawał się prześlicznie. Kto go zna, niech sobie przypomni te malownicze partye drzew, te wzgórza, pokryte sośniną i woniejące żywicą, aleje, ocienione liściem grabiny, ciłą głębię gąszczów, pełność zielonawych światłocieni spokoju jeziora, jak lustro, i nakoniec otwartą daleką perspektywę w miejscach, nieprzysłoniętych drzewami.

W dniu uroczystym tłumy, napelniające wszystkie ulice, dodawały jeszcze tej miejscowości ożywienia, malownicze zaś kostiumy sprawiały wrażenie jakby wielkiej jakiejś maskarady pod gołym niebem. Tu, z pod białych turbanów, widać było płomienne oczy i śniadą cerę Arabów; tam znów synowie państwa niebieskiego o długich warkoczach, błękitno odziani, tworzyli ruchliwą i wielomówną grupę; tam po „sombrierach” poznawaleś Brazylijczyków lub Meksykańów, po fezach — Turków i Greków, po długich paletotach — Anglików; słychać było wszystkie języki, można było przypatrzeć się wszelkim typom, zrodzonym nad Sekwaną, Wisłą, Rio-Grande, Amazonką, Nilem, Bramaputram, Sprewą i Tamizą. Tłumy roily się tak gęsto, że całe aleje wydawały się, jak pstre, poruszające się węże; ogromne nawet trawniki również były pokryte; głównymi zaś

drogami ciągnęły rzędy zwykłych powozów, lub pysznych charakterystycznych ekwipaży, przypominających różne narodowości, lub różne stulecia.

Wszystko to biegło bawić się, patrzeć, zakładać, wygrywać, przegrywać i krzyczeć. Wielu ciągnął interes, wielu chęć zobaczenia znakomitości paryskich i zagranicznych: głów koronowanych, ministrów, książąt i t. p. Niektórzy przyszli widzieć pojazdy, inni kobiety, w nich siedzące, inni stroje. Wyścigi paryskie są dla Paryża, a raczej dla Paryżanek, i z tego jeszcze względu ważne, że rozstrzygają kwestyę mody na sezon letni. Setki tysięcy kobiet idą zobaczyć, jak wystąpi modny świat, jak te a te panie będą ubrane? jakie kolory zwyciężą? w jaki materyał i jakim krojem ubierze się ambasadorowa A., księżna B., hrabina C., kokota D.? jakim piórom, jakim kapeluszom, jakim kwiatom dadzą przewagę? Od ich wyroku zależą wydatki damskie i kieszenie mężowskie, to też kobiety drżą z niecierpliwości, a mężowie zanoszą pocichu modły, aby zeszłoroczna moda utrzymała się przez rok jeszcze; wszyscy zaś gapią się na pojazdy, z których królowe mody wydają nieodwołalne edykta.

W południe aleje i drogi są już tak napełnione, że niepodobna się przecisnąć. Niebo posepnieje cokolwiek, ale to nie zraża nikogo. Kupcy tylko, sprzedający chłodzące napoje,

badają niespokojnie oczyma horyzont, bo, jeśli deszcz lunie, nikt nie pić nie będzie.

Przewodnik mój zna wszystkich i rozprawia za czterech. Oto ciągnie jakiś powóz, zaprzęgnięty czterema końmi, a w nim Chińczycy. To Tiu-Tuu-Ling, wielki ambasador kwiecistego państwa, ze świtą. W następnym, pan Maeda, pełnomocnik japoński ze swymi sekretarzami, poubieranymi już po europejsku, w cylindrach, z różyczkami w dziurkach od surdutów. Chińczycy, na widok dobiegających na wyścigach koni, krzyczą jeszcze: „O-hi! Jam-jam! O-hi!”—Japończycy już po europejsku: „Hurrah!” I jedni i drudzy wyjechali bardzo wcześnie, aby pokazać, jak dalece wszystko, co jest ucywilizowane, ich obchodzi — trzymają przytem grube zakłady, co także jest dowodem rozwiniętej *par excellence* cywilizacyi.

Charakterystyczne lub nadzwyczaj piękne pojazdy coraz częściej ciągną jedno za drugim. Siedzące w nich osobistości dowodzą, lub przeczą prawdziwemu przysłowiu: „Wart Pac pałaca”. Ten np. dżentelman w towarzystwie dwóch innych, podstarzały mocno, a pragnący widocznie uchodzić za młodszego, niż jest, to, ni mniej ni więcej, tylko książe de Broglie, ów przyjaciel „porządku moralnego”, który dla tego porządku pragnął wymieść ulice Paryża... kartaczami. Wymiatanie jest przecie koniecznym

warunkiem porządku, na nieszczęście jednak dla pana Broglie, przy republikańskich pojęciach o porządku, on sam stał się czemś kwalifikującym się do wymiecenia. Pozostaje mu teraz przepowiadać wraz z ojcem Dupanloup'em koniec świata, i dziwić się, jakim sposobem Francuzi bez niego nie spalili jeszcze Paryża i nie pozjadali się wzajemnie, a. na koniec, nadrabiać miną. Ale to ostatnie niezbyt mu się udaje; cera też starego intryganta pożółkła, faworyty zbielały, a z twarzy znikły ślady owej dawnej energii, pychy i zaciętości, pomieszaney z chytrą inteligencyą. Starzec ów, którego widziałem śpieszącego na wyścigi, wozi swój własny grób w sobie. Jako polityk, umarł już — i co więcej: ziemia mu cięży, i pamięć ludzka cięży. Tak przechodzi chwała świata. Wypomadował się, wyróżzował, wyszczotkował: jedzie oto na Longchamps. Złożył się przytem za francuskim koniem przeciw angielskiemu; niechże mu nie mówią, że nie patryota.

Za powozem Broglie toczy się zwolna „wiktorya” Rotszylda. Ciągną ją koniki, zakupione od lorda Westminster, za skromną sumę czterdziestu tysięcy franków. Pani Rotszyldowa ubrana cała szaro ze srebrem. „Tę suknię już znamy! w tej samej sukni drugi raz, i kto? Rotszyldowa!” — wołają oburzone kobiety. „To grzech nie do darowania! Czyżby na koniec damy wielkiego świata postanowiły być skrom-

niejsze od kobiet półświata?" Nikt nie chce w to uwierzyć, mężowie jednak oddychają lżej, bo oto w następnym pojeździe księżna Medina Sidonia ma znowu jakąś mantylę hiszpańską, widzianą już tam raz gdzieś, na jakiejś uroczystości. Na szczęście piękna Judic zawstydzą obie poprzedzające. Rozkoszne jej kształty, nawpół leżące w powozie, obciśnięte są w suknię, robioną krojem z czasów Dyrektoryatu. Jest to poprostu futerał, który, pokrywając, uwydatnia, ale co za krój! co za materyał! co za koronki! Oczy kobiece lgną do tyłu rozkoszy, męskie lgną także na swój sposób. Na głowie hurysy piętrzy się nie wieniec, nie bukiet, ale poprostu kosz róż. Konni cziczisbeje przy powozie, otaczający piękną panią, zdają się napawać wonią tyłu róż, z pod których padają na nich płomienne spojrzenia. „Comme elle est belle!" — szepta zęicha kobiety, ale tymczasem przed oczyma ich przesuwają się coraz nowe pojazdy. Reporter zna naprawdę wszystkich, a gdy cytuje kolejno nazwiska, zdaje mi się, że czytam jakąś kronikę, wymieniającą imiona rycerzy z pierwszej wyprawy krzyżowej. Hrabia Bourgoing, margrabia d'Arcicollar, margrabia Rajmund de Ganay, Aguado, lord Falmouth, książę Fitz-James, książę Saint-Albous, Abercorne, Baiano, d'Hinnisdal, d'Hautpoul, książę de Nemours, książę d'Aumale — od nazwisk biją średnie

wieki; sądzisz, że to żelazne jakieś feodały, śpieszą pod wodzą Godfryda do Palestyny,—ale złudzenie krótko trwa. Ci nowożytni Rajmundowie, Bohemondy, Tankredy, nie wyglądają zbyt groźnie. Na głowach ich, zamiast hełmów, błyszczące cylindry, na piersiach nie pancerze, ale róże w butonierkach, binokle na oczach, czasem jakieś niewinne szlify i wstęgi, czasem parasole, pod niemi nie twarde kulbaki, ale miękkie poduszki; obok nie giermkowie, ale damy w koronkach, atłasach i jedwabiach—celem nie Palestyna, ale Longchamps, hasłem: „Insulaire”, rumak pana Lagrange, odezwe: „trzy przeciw jednemu”—zasadą bytu?.. Dalibóg, nie wiem co! Rotszyld od nich bogatszy, pierwszy lepszy dziennikarz mądrzejszy, lud liczniejszy. Ale mniejsza o to! Złudzenie wieków średnich i tak rozpraszają plebejskie nazwiska i plebejskie powozy, pomieszane z patrycyuszowskimi. To znowu innego rodzaju arystokracja. „Spojrzyj pan na tę twarz” — mówi reporter, ukazując na człowieka, wygolonego starannie, jak ksiądz, lub aktor, o długich włosach i inteligentnych, choć cokolwiek ostrych rysach. „Kto to taki?” — „To Witkoryn Sardou, a ta dama w bieli i kwiatach jaśminu to pani Sardou”.—Komedyopisarz, literat, i w takim powozie? Reporter, ze swego francuskiego stanowiska, znajduje to naturalnem, mnie przychodzi na myśl, że u nas nawet wydawcy

takich pojazdów nie mają. Łatwiej umiem sobie wytłómaczyć, że w następnej, pysznej „landau” jedzie mister James Gordon Bennet, bo to nie literat, ale właściciel i wydawca *Heralda*, najbogatszej na świecie gazety. Król dziennikarski ma zapewne na Longchamps swego umyślnego korespondenta, a *Herald*, wychodzący za Oceanem, nie dalej, jak jutro, poda szczegółowy opis wyścigów, przesłany w całości podziemnym telegrafem. Publiczność jednak rozczarowywa się; sądziła bowiem, że, obok Benneta, zobaczy i Henryka Stanleya, ale sławnego reportera niema w powozie, choć wiadomo, że jest w Paryżu, i że założył się już za koniem angielskim przeciw francuskiemu.

Rozezarowanych pociesza jednak widok Sary Bernhardt. Osłaniona dziewczę ubrana białem i spoczywająca na białych poduszkach powozu, wśród koronek tiulowych mgieł i gazy, wygląda, jakby jechała na chmurze.—Biały kolor zwycięża! biały będzie modny!—szepcą kobiety. Inne twierdzą, że to tylko „genre” Sary Bernhardt. Wielka artystka rzuci tymczasem omdlałe spojrzenia, jakgdyby miała umrzeć. Ale to także „genre” tylko, nie więcej.

O pierwszej defiladzie powozów staje się tak gęsta, że na każdą znakomitość zaledwie raz okiem rzucić można. Pokazują mi jednak pana de Marcère, ministra spraw wewnętrznych; dalej białą brodę Wiktora Hugo; potem następują je-

szcze powozy artystokratyczne, w których tualety księżnej Czartoryskiej i pani Branickiej zwracają ogólną uwagę, zaledwie osłabioną przez moskiewską trójkę Orłowa. Za niemi ciągną ambasady rozmaitych narodów białych, ciemnych lub żółtych; to znowu jakiś minister, to jakaś dama, słynna z bogactw, piękności, albo talentu: boska Théo z Bouffes, jenerał Cissej, panna Reszke, margrabia Gallifet, za nim opasły Gambetta, słowem: możnaby powiedzieć, jak ów sowietnik w Dziadach: „jak się tu pomieszały czyny!” ale to nic dziwnego, bo wobec najwyższego majestatu i największej znakomitości wszystkie inne gasną i stają się równe, taką zaś największą znakomitością jest Insulaire, koń hrabiego Lagrange’a, prawdziwy król dnia dzisiejszego, na którego kopytach spoczywają miliony zakładów i ciężkie zadanie pobicia angielskiego rywala.

Nakoniec, o drugiej pojawia się orszak urzędowych powozów. W pierwszym z nich siedzi marszałek z szachem perskim; lud krzyczy wiwaty, król królów zaś w dowód wdzięczności kiwa uprzejmie głową i sążnistymi wąsami i migoce brylantami, pokrywającymi mu całe piersi. Marszałek wraz z szachem, po przybyciu na miejsce, zajmują pryncypalną trybunę. Obok nich mieści się królowa Izabella hiszpańska, koło której napróżno szukam pana Breslauera z Warszawy; pani marszałkowa, której

„robi kure” książę Aosty, dalej arcyks. Wiktor austriacki, książę koburski, księżna Klementyna, minister Teisserenc de Bort, Orłów, de Wimpfen i dwie świty, jedna marszałkowska w stosowanych kapeluszach, druga wąsata, czarniawa, w baranich czapkach—świta szacha.

Pod spodem tłum głów, kapeluszy i parasolek, jak ocean. W środku majdanu rżą konie, nawołują woźnice, krzyczą policyanci, przepychają się ciekawi, a nad tem mrowiskiem ludzkim powiewają chorągwie francuskie i angielskie, na znak, że walka między Francją a Anglią ma się rozpocząć.

Miedzy tłumami widać czasem konnych członków Dżokej-klubu: fizyonomie jednocześnie poważne i zaperzone; przysięgłbyś, że ci ludzie za chwilę rozstrzygnąć mają losy świata i czują całą odpowiedzialność, jaka na nich ciąży. Rozmowy ich szybkie, ale jak ważne. Oto Insulaire ziewnął, Klementyna podniosła trochę ogona! Dlaczego? Co to znaczy i co o tem myśleć? Tymczasem zakłady idą coraz goręcej; bookmakerowie wrzeszczą w niebogłosy: „trzy przeciw jednemu! cztery przeciw pięciu na Insulaira! trzydzieści przeciw Thuriowi. Przy budkach ścisk, słychać brzęk pieniędzy. Modne damy, na równi ze sportsmenami, zapisują w książeczkach zakłady, a gra nabiera coraz większej wagi, bo istotnie poczyną chodzić nie-

tylko o miłość własną narodową, ale o miliony. Raptem jednak gorączkę zakładową przerywa okrzyk:

— Vive Stanley !

— Vive Stanley ! — powtarzają tłumy, otaczając jakiegoś jegomościa o ciemnej maurytańskiej cerze, ubranego w biały angielski hełm z żaglowego płótna. Vive Stanley ! Na ręce go ! w górę ! I po chwili, na setkach rąk podniesionych widać człowieka podrzucanego, jak piłkę, który widocznie nie wie, czego od niego chcą, wierzga nogami, wali pięściami i klnie na czem świat stoi po... holendersku. Policya przychodzi wreszcie na ratunek nieznanemu Stanley'owi, ale dopiero pierwszy dzwonek na trybunie uśmierza zamieszanie.

O główną nagrodę stu tysięcy franków ma się ubiegać tylko siedem koni. Insulaire pana Lagrange, na którym wszystkie nadzieje francuskie się wspierają ; Clocher, zawodnik dzielny i sławny, którego centaurowska budowa jedna mu także partyzantów ; Juval, również ze stajni Lagrange'a, piękna Klementyna, w której kochają się członkowie Jokej-Klubu ; dalej mniej groźni przeciwnicy : Boulouf, Géant, Stathuder i na koniec Thurio, jedyny koń angielski, zrodzony i wychowany za kanałem, a będący własnością Sołtykowa.

Francuzi z góry cieszą się ze zwycięstwa nad Anglikiem, albowiem Thurio jest osobisto-

ścią wcale nieznana. Jeździ wprawdzie na nim jeden z najslawniejszych dżokejów na świecie, Cannon, ale rumak wcale nie wiele obiecujący. Zwycięstwo będzie łatwe, a Lagrange podtrzyma francuską sławę. Jego Insulaire był wprawdzie pobity na Derby przez Seftona, ale tylko o pół głowy. Jeżeli kto może być dla Insulaire'a niebezpieczny, to chyba Clocher lub Juval, ale to także konie francuskie. Z samych zakładów jednak widać, do jakiego stopnia Insulaire jest faworytem publiczności. Dają za niego $\frac{4}{6}$; za innych $\frac{4}{1}$; Thurio tak jest mało znany, że niektórzy stawiają przeciw niemu trzydzieści na jeden. Zakładają się za nim tylko Anglicy, przez miłość własną narodową. Zakłady ogólne dochodzą jednak do milionów. Właściciel konia, który wygra, mógł być wczoraj bankrutem, dziś, jeśli los posłuży, będzie milionerem. Ale zresztą niema wątpliwości, że Insulaire wygra, wiadomo bowiem, że: „ce que femme veut, Dieu le veut”, a wszystkie damy biorą w szczególną opiekę Insulaire'a, M-lle Croizette, z Comédie Française, stawia za nim 1500 franków; Théo 100 ludwików; pani Sanz 300 franków; panna Reszke 500. Jedną tylko panną Berta Legrand, przez czysty kaprys, lub może ukrytą sympatię do jakiego Anglika, stawia za Thuriem 3000 franków. „Jeżeli wygra Thu-ri-o, powiem ci, że: „tu ris haut!”—mówi do niej Croizette.

Nadchodzi wreszcie godzina wpół do czwartej. Czas jest ciągle piękny, chociaż niebo poczyną się przesłaniać mgłą lekką i przezroczystą, jak gaza w welonie Sary Bernardt, a nad Valérien zbierają się chmury. Nagle dzwonek na trybunie uderza, a między tłumami nastaje cisza tak głęboka, jakby w teatrze w czasie jakiego dramatu. Słyszę obok siebie bijące serca widzów, którzy może postavili połowę majątku na końskie kopyta. Tymczasem tęcza kurtek dżokejskich zamigotała już na drodze. Cisza jeszcze większa! Pyszne bieguny poczynają cwałować lekko przed biegiem, niektóre wspinają się, inne, wstrzymywane całą siłą rąk jeźdźców, rwą się w zawód. Wszystkie ciemnej maści,—Insulaire, Thurio i Clocher kare. Sierść na nich, jak jedwab', pod skórą znać węzły żył i potężną płataninę mięśni, oczy pełne błyskawic, wypukłe, jakby przelekłe,—chrapy czerwone, kopyta ledwie tykają ziemi, moc i ogień biją z każdego ruchu. Kto wygra?—„Allah wielki”—mówi, jak zapewniają dzienniki, do Mac-Mahona szach perski: „Allah jeden wie!” Tymczasem rumaki stanęły w rzędzie.

Chorągiewka na trybunie spada; konie poczynają biedz. Cisza taka, że słyhać uderzenia kopyt o ziemię coraz szybsze i gwałtowniejsze. Nikt jeszcze nikogo nie wyprzedza, a kurty dżokejskie stanowią jedną barwną linię w poprzek drogi. Linia ta zamigotała nagle przede mną i

poleciała w dal, jak burza, jak grom, ale już na pierwszym skřęćie zmienia się w pas tęczywy wydłużony. Morze głów chwieje się, jakby kołysane wiatrem; ogromny szmer zrywa się od czasu do czasu i cichnie. Słowa przelatują z jednego końca majdanu na drugi, jakby po nici elektrycznej. „Na przodzie Géant! Klementyna go mija! Nie! nie! Clocher Hura Clocher!” Szmer zmienia się w okrzyki. Drugi skřęt. Lagrange’a konie poczynają zwyciężać, czerwone z niebieskiem kurty migotają na przodzie. Trzeci skřęt: Insulaire prowadzi!!! wszyscy już za nim. „Insulaire! vive Insulaire” Za nim Juval—, „vive Juval!”—wołają głosy męskie i kobiece, a okrzyki zlewają się w jedną burzę głosów i oklasków. Już tylko między trzema końmi toczy się walka. Insulaire biegnie naprzód, za nim Juval, za nim zapoznany dotąd Thurio. Ale cóż to? Thurio dogania Juvala, równa się, —równa, wyprzedza go, mija... Insulaire, naprzód!— krzyczą zachęcając tłuny, tymczasem faworyt słyszy już za sobą gorączkowy oddech i chrapanie piekielnego Anglika, więc wyteża wszystkie muskuły, radby wyskoczyć pod naciskiem ostróg sam z siebie; znowu na przodzie! nie! łeb Anglika znowu sięga jego ogona, boku. Nowy okrzyk: kurta zasuwą się za kurte —bieguny idą razem, razem, czy i dojdą razem? Nie! Czerwone chrapy Thuria wysunęły się już naprzód; chwila jeszcze ... mkną, błysnęli: tuż, tuż try-

buna! Naprzód, Insulaire! słyhać ostatni raz. Napróžno! Chorągiew francuska spada, angielska idzie w górę i rozwija się wspaniale: Thurio wygrał.

— Allach wielki! — pociesza Nasr-Eddin Mac-Mahona.

Tymczasem chmury zasunęły cały widnokrąg i poczynają mżyć deszczem. Wyścigi wprawdzie jeszcze nie skończone, ale miliony już stracone, i przytem mokro. Pobita Francya wraca do miasta. Jutro trzeba będzie za te pół głowy Thuria zapłacić — i grubo zapłacić. W powozach twarze powyciągane. Niejeden może się zrujnować raz na zawsze, niejeden może z rozpaczey pyta: skąd wziąć pieniędzy na jutro, jak uniknąć hańby bankructwa?

Tak kończą się wyścigi.—We Francyi i Anglii zmieniły się one w loteryę, rujnującą czasem ogromne fortuny, jak było np. z fortuną młodego lorda Hastings. Gdyby jednak nie ten spekulacyjny ich charakter, bogatym tym krajom przynosiłyby więcej pożytku, niż szkody. Piorunujący na tę kosztowną zabawę nie wiedzą, że do wyścigów wybiera się pod „trenowanie” jednego lub dwa konie z całego stada,— reszta zaś stada dostarcza dzielnych koni nie do zabawy, ale do wszelkich użytków. Bądź co bądź, dzięki wyścigom, tylko Anglicy dochowali się swych potężnych hunterów, swych

znakomitych koni pociagowych; całą zaś rasę poprawili do tego stopnia, że takich chmyzów, jakie łatwo znaleźć w innych krajach, u nich doczekaćby się niepodobna.

Gazeta Polska. № 143, 144, z dnia 27 i 28 czerwca 1878 r.

Kongres międzynarodowy literacki w Paryżu.

Z siedemnastu zaproszonych na kongres Polaków trzech tylko wzięło w nim udział, t. j. Szymanowski, redaktor „Kuryera Warszawskiego”, Sygurd Wiśniowski i niżej podpisany autor tego listu. Innych rozmaite wstrzymywały względy, czasem osobiste, a czasem przekonaniowe, wobec których np. jakiemuś profesorowi nie wydawało się rzeczą stosowną uczestniczyć w zgromadzeniu, obradującym pod przewodnictwem tak mało popularnych w Krakowie osobistości, jak Wiktor Hugo. Jednakże Wiktor Hugo mimo owego milczącego „veto” prawomyślności krakowskiej został obranym prezydującym, i kongres rozpoczął swoje obrady. Wzięli w nich udział przedstawiciele wszystkich literatur żyjących, począwszy od mniej więcej lodowatych i śnieżnych, a skończywszy na tak egzotycznych, jak brazylijska. Pierwsze stosunkowo najciekawsze posiedzenia poświęcone były sprawozdaniom ze stanu piśmiennic-

stwa i piszących w rozmaitych krajach europejskich i amerykańskich: każdy z delegowanych odczytywał sprawozdanie we właściwej komisji, następnie zaś z tych pojedynczych przeglądów pan Alfons Gonzales, deputowany a zarazem i znakomity pisarz hiszpański, ułożył sprawozdanie ogólne, które odczytanem zostało na walnem zgromadzeniu.

Niepodobna mi dawać wam przekładu całego sprawozdania; ograniczę się więc na przytoczeniu z niego tych tylko ustępów, które bliżej obchodzić was mogą. Przeszedłszy od literatury rosyjskiej do naszej, pan Gonzales mówił, co następuje:

„Literatura polska została również uwzględnioną w tem sprawozdaniu. Delegowany p. Szymanowski, opowiada nam w wybornej francuszczyźnie, że jak wszędzie, tak i tam „le journal a effacé le livre, que les littérateurs préfèrent en égard à leurs dépenses s'attacher à la presse”; dalej, że nie licząc prasy prowincjonalnej, w samej stolicy wychodzi około 60 pism peryodycznych w języku polskim, z których jedno podniosło liczbę swych przedplacicieli od 13 do 15 tysięcy. Literatura polska przedstawia znaczną liczbę pisarzy wielce utalentowanych: poetów, romansopisarzy, autorów dramatycznych; ale mówiąc wogóle produkcyja miernych talentów uciska pracę tych autorów, którzy

przedewszystkiem patrzą na wewnętrzną wartość swych dzieł.

Praca literacka płaci się od 5 do 20 centimów za wiersz, co, biorąc na uwagę mierny stan finansowy kraju, jest wynagrodzeniem dosyć dobrem (*assez lucratif*).

Poeci dramatyczni nie otrzymują tantiemy; płacą im od 800 do 1500 franków za sztukę, wypełniającą całe widowisko, ale dzięki powstawaniu coraz nowych teatrów, położenie dramaturgów idzie ku lepszemu.

Dziennikarstwo pochłania głównie pisarzy i zyski, mimo tego jednak przez zajęcie, jakim publiczność otacza literaturę, znajdują się edycje dzieł uznanej wartości, które rozchodzą się w dziesięciu aż do dwunastu tysięcy egzemplarzy. Co więcej: w myśl uczczenia jubileuszem 50-letniej działalności Kraszewskiego, zebrano już setki tysięcy franków i wyborowe dzieła tego wielkiego pisarza rozeszły się już przeszło w 10,000 egzemplarzach, a jest możliwe, że cyfra ta jeszcze się potroi. Wogóle o literaturze polskiej można powiedzieć, że spoutężniała i że kwitnie dzięki swym własnym usiłowaniom, nie uciekając się i nie pragnąc znaleźć podpory na zewnątrz siebie samej”.

Prócz tego pan Alfons Gonzales wspomniał jeszcze, że w tej chwili czynią się starania w Petersburgu o uzyskanie pozwolenia na założenie towarzystwa wzajemnej pomocy literackiej,

a nakoniec jeszcze i o tem, że pan Szymanowski podał kongresowi projekt ustanowienia komitetów, których obowiązkiem byłoby przekładać i rozpowszechniać arcydzieła wszystkich literatur świata.

W szczegółowym sprawozdaniu pana Borysa Thiviler z literatury rosyjskiej uderzył ogólnego sprawozdawcę, pana Gonzalesa, wyjątkowo pomyślny stan, w jakim znajduje się literatura i piszący w Rosyi. Mówi o nim, co następuje:

„Delegowany rosyjski M. Boris Thiviler, mówił bardzo niewiele. Literaci rosyjscy żadną miarą nie mogą się skarżyć. Publiczność czytająca jest tam bardzo liczna i pełna entuzjazmu; kobiety rosyjskie czytają więcej niż Francuzki, a daleko więcej niż Hiszpanki i Włoszki. Prawdziwy talent jest tam pewny, że przebije sobie drogę, znajdzie wydawców a z czasem i fortunę. Jeżeli wreszcie są biedni literaci, to dlatego, że są wszędzie”.

Ze sprawozdań o pracy literatów w Niemczech, Francyi, Anglii i t. p. można się było przekonać, że praca i wogóle warunki, w jakich żyją piszący w powyższych krajach, nie są tak pomyślne, jak to sobie zwykle wyobrażamy. Prawdziwie utalentowani literaci i dziennikarze płatni są wprawdzie znakomicie i często-kroć dochodzą do majątków, ale też talenta wybitne wszędzie są wyjątkami. Zwykli pracowni-

cy nie wiele lepiej mają się, niż u nas; różnica zaś między nami a Zachodem polega na tem, że gdy na Zachodzie zarabia ten, kto najlepiej pisze, u nas ten, kto najwięcej pisze. U nich popłaca talent, u nas liczba wierszy; zwykle bowiem zapłata za wiersz wynosi w dziennikarstwie naszym od 6 do 10 groszy, nie zaś, jak to było podane w sprawozdaniu, od 5 do 20 centimów. Wypada z tego, że reporter, umieszczający o wypadkach ulicznych pięćdziesiąt wierszy dziennie, zarabia więcej niż felietonista, dający artystycznej roboty 500 wierszy tygodniowo.

Mówiąc wogóle o warunkach, w jakich znajdują się piszący i literaci w całym świecie, znakomity sprawozdawca tak zakończył swoją pracę:

„Zbliżam się do rozwiązania nowego ciężkiego zadania. Streszczając ową podróż naokoło świata, jaką odbyliśmy na kilku stronicach, przychodzimy do uwag zarówno ciekawych, jak zajmujących. Wszędzie zyskuje się więcej powieścią niż poezją, więcej teatrem niż powieścią, więcej dziennikiem niż teatrem.

Wszędzie widać, że dziennikarstwo jest jedynym zawodem stałym i pewnym dla ludzi pióra, i że kto w piórze chce szukać rzemiosła, ten ma przed sobą prasę i nic więcej. Wobec tego, ilekroć widzę dziennik i książkę, mi-

mowoli chce mi się powiedzieć: „Ceci tuera cela”. Po kilku zaś chwilach mówi dalej:

„Widać jeszcze, i miło nam to powiedzieć, że wogóle ludzie pióra zdobyli sobie zaszczytne miejsce w społeczeństwie; że niema już więcej ani trubadurów błędnych, ani poetów płatnych, ani żebraków, ani niewolników. Pisarze stali się tak dalece czwartą potęgą świata, że są arystokracją jak szlachta, siłą jak wojownicy i religią jak duchowieństwo.

„I nie uroku geniuszu braknie im dziś, ale raczej czasem i gdzieniegdzie uroku pieniędzy. Nie idzie więc dziś o budowę gmachu ich sławy, ale o budowę banku z ich kasą.

„Niemasz dziś nic potężniejszego nad pióro. Pióro, które od niejakiego czasu stało się stalowem, podobne jest do miecza. Oto dlaczego czasem rani, a nawet zabija. Powinno więc służyć jako miecz do obrony sprawiedliwości, do niszczenia zła i każdy pisarz powinien przyjąć jako własną, ową starożytną dewizę, wypisywaną na cienkich klingach toledańskich: „Nie dobawaj mnie bez racyi, nie chowaj bez czei”.

Na tem kończy sprawozdanie swe pan Alfons Gonzales. Warunki pieniężne, o których musiał mówić, mówiąc o stanie piszących w najrozmaitszych krajach świata, łączyły się bezpośrednio z prawem własności autorskiej, dlatego następne posiedzenia kongresu były tej ważnej kwestyi poświęcone. Z bardzo małymi

wyjątkami, prawa te nie są nigdzie zabezpieczone. Autora angielskiego, francuskiego, niemieckiego lub polskiego, wolno jest przerabiać, tłumaczyć a nawet i przedrukowywać wszędzie, gdzie się podoba. Stany Zjednoczone np. lupią najbezkarniej przedrukami literaturę angielską, a okładają za pomocą tłumaczeń i przeróbek francuską. Dochodzi to w pomienionym kraju do tego stopnia, że wydawcy lub przedsiębiorcy teatralni, biorąc powieści lub dramaty z języków obcych, nie zadają sobie nawet trudu zacytować ich autorów. Widziałem np. „Dane Kameliową” Dumasa (syna), grywaną w New-Yorku i Bostonie pod zmienionym tytułem: „Kamilla”, „Dalilę“ Feuilleta pod tytułem „Syrena”, bez najmniejszej wzmianki, kto i gdzie sztuki te pisał. Wiadomo również dobrze, że teatr nasz żyje przeważnie repertuarem francuskim, nie pytając nikogo o pozwolenie; wiadomo, że wydawcy nasi zarzucają rynek księgarski lub zapychają szpalty dzienników powieściami francuskimi, nie nikomu za to nie płacąc. Słowem: nigdzie autor poza granicami swego kraju nie może być pewny, czy go nie zrabują, nie przetłumaczą, lub nawet wprost nie przedrukują.

Na pozór wydaje się, że takie kraje, jak np. nasz, które bądź co bądź muszą posiłkować się plodami obcych literatur, dobrze wychodzą na tej wolności, ale w gruncie rzeczy tak nie

jest. Dobrze finansowo wychodzą tylko wydawcy, którzy płacąc po dwa grosze od wiersza za haniebne tłumaczenia, nie literatom, ale rozmaitym babom, sprzedają czytelnikom za dobre pieniądze to, co kupili za nic. Delegowany wiedeński powiedział na kongresie: „Widziałem wasze francuskie sztuki, grane w Wiedniu, tłumaczone w ten sposób, że nie były już pisane po francusku, ale nie były także po niemiecku”. I dowcipny delegat miał słuszość. Tłumaczenia francuskich utworów, jakimi wydawcy zasypują w niesłychanej obfitości rynki księgarskie, kalamaję język narodowy, przekrzywiają i psują go, wreszcie wstrzymują rozwój literatur narodowych, ponieważ, jak łatwo zrozumieć, plody oryginalne nie mogą wytrzymywać konkurencyi z przekładami.

Spółeczeństwo nie nie traci na zatamowaniu korsarstwa literackiego i dziennikarskiego: literaci narodowi wprost zyskują, bo będą płaceni lepiej i poszukiwani usilniej: zyskuje także każda poszczególna literatura. Dokonywa się wprawdzie wiele przekładów dzieł naukowych i literatur obcych i utrudnienie takich tłumaczeń byłoby szkoda, należy pamiętać jednak, że te ostatnie nigdy nie dokonywają się w celach handlowej spekulacyi, i że uczonym z uczonymi zawsze będzie łatwo się porozumiewać, bądź o najmniejszą cenę za przekład, bądź nawet o dokonanie go bez zapłaty.

Uchwałę, wzbraniającą przekładów darmo, popierali szczególniej Francuzi z mniej zresztą szlachetnych pobudek, chodziło im bowiem głównie o franki, z których, jak im się zdaje, cały świat ograbia ich bezkarnie. Chciwość owa na susy i franki objawiła się nawet niejednokrotnie w walkach nieparlamentarnych i w niedopuszczeniu opozycyi do głosu. Opozycja jednak była słaba. Delegacye zagraniczne miały swoje wspomniane wyżej powody, które nakazywały im zgadzać się z ustawą.—Turgeniew oświadczył mniej w celu oponowania, niż w celu objaśnienia wewnętrznych stosunków literackich rosyjskich, że w Rosyi wyjątkowo zastęp tłumaczy składa się nie ze zwykłych rabusiów literackich, ale raczej z ludzi młodych pracujących, po największej części studentów uniwersytetu, którzy w przekładach znajdują często sposób do życia, zatem wyjątkowo, jako ubodzy i nie mogący płacić za prawo tłumaczenia, zasługują na uwzględnienie. Odpowiedział na to delegat wiedeński, że klasa ta niezaprzeczenie „fort intéressante” będzie miała otwarte zawsze pole do prywatnego porozumienia się z autorami, którzy położenie potrafią uwzględnić. Po tem objaśnieniu delegaci zagraniczni kolejno przystępowali do wypowiedzenia swego zdania w tej materyi. Polacy, po przemówieniu Wiśniowskiego, zgodzili się bezwzględnie z uchwałą, za nimi poszły delega-

cye: rosyjska, angielska, amerykańska, rumuńska, w końcu brazylijska i prawie wszystkie inne z wyjątkiem hiszpańskiej, która próbowała przez usta pana Elviro, bezskutecznie zresztą, wprowadzić kilka zastrzeżeń.

Jednocześnie z kwestyą własności autora roztrząsano i kwestyę własności jego spadkobierców. W pewnej części zgromadzonych objawiła się dążność do porównania własności spadkowej literackiej z wszelką inną własnością, t. j. do przyznania spadkobiercom wszelkich praw, jakimi zagwarantowane jest posiadanie spadkowe. Według tego, dziedziczący mogliby nawet zabronić publikowania nowych edycji dzieł odziedziczonych, niszczyć je, lub zmieniać. Pogląd ten jednak, któremu sprzeciwili się prawnicy fachowi, jakich niemało liczył w swem gronie kongres, nie zdołał uzyskać większości. „Cobyście rzekli — zapytał zgromadzonych Edmund About — gdyby biskup Dupanloup był spadkobiercą Voltaire'a, i gdyby chciał skorzystać ze swych praw w sposób, w jaki by niezawodnie skorzystał, gdyby mógł?”

Na podobne pytanie stronnicy własności bezwzględnej nie umieli na razie odpowiedzieć. I istotnie: możnaby być bardzo niepewnym o los np. Słowackiego, gdyby jego spadkobiercą był prof. Tarnowski. W tej sprawie praw spadkowych zabrał wreszcie głos sam Wiktor Hugo, prezes między-narodowego kongresu, „no-

tre illustre maitre", jak go tu nazywają literaci. Wiktor Hugo zauważył, że własność literacka nie może być uważana na równi z każdą inną. Książkę pisze wprawdzie autor, ale wartość rozpada się między autorów i publiczność. Spadkobiercy zatem, dziedzicząc po autorze, nie mają prawa zabierać tego, co jest własnością publiki, całego wreszcie narodu. Należą im się odsetki, nie zaś książka; mogą dziedziczyć zyski, ale nie myśli autora, które stały się własnością ogółu.

Słuchano go uważnie, bo ilekroć głos zabiera ten starzec z głową białą, szlachetną i z pogodnem, utkwionem spojrzeniem, tyle razy można usłyszeć przelatującą muchę. Wiktor Hugo skończył jak następuje: „Je crois que votre décision sera bonne. Je suis sûr, que l'avenir appartient à la solution que je vous ai proposé”.

„Si vous ne l'acceptez pas, l'avenir est patient, il a le temps, il attendra”.

Jakoż istotnie propozycja starego mistrza jeżeli zostanie przyjęta, to dopiero w przyszłości, kongres bowiem, oklaskawszy jego mowę i postanowiwszy ją wydrukować, przyjął jednak rezulucję przychylniejszą o wiele dla spraw spadkobierców, a raczej wprowadzającą w te prawa pewne zastrzeżenia, które wymienię, wyliczając wszystkie postanowienia kongresu.

Na kilka końcowych posiedzeń Wiktor Hugo nie przyszedł, wybrano więc zastępcę jego Turgeniewa. Ostatnie posiedzenie odbyło się na ulicy Cadet w sali Wielkiego Oryentu. Krzesło prezydujące zajął Turgeniew, koło niego zasiedli prezesi sekcji narodowych.

Na tem zakończył się kongres literacki międzynarodowy w Paryżu. Na przyszły rok ma się on zebrać w Londynie, co będzie ze wszech miar rzeczą korzystną, strachliwi bowiem gryzipiórkowie francuscy nie będą mogli przybyć nań tak licznie, a więc prócz większej swobody rozpraw, będzie na nim można roztrząsać sprawy w sposób więcej międzynarodowy, a mniej wyłącznie francuski. Obecny, paryski kongres, gdyby nie ostatnie posiedzenie shanbione wtargnięciem gryzipiórków nie powstrzymywanych obecnością Wiktora Hugo, mógłby się uważać za dzieło wielkie i chwalebne, przeprowadził bowiem kilka uchwał pożytecznych i dał początek organicznym usiłowaniom, mającym na celu porozumiewanie się wzajemne literatów całego świata i pomoc wzajemną. Główne uchwały jego, wypowiedziane w formie postulatów, są następujące:

1) Prawo autora do napisanego przezeń dzieła nie jest ustępstwem ze strony ustaw, lecz jedną z form własności, którą prawodawca winien zapewnić.

2) Prawo autora, jego spadkobierców lub uwierzytelnionych jest wieczne.

3) Jednakże spadkobierca może być wyzuty z swego prawa, jeśli przez lat 20 nie drukuje dzieła, którego jest właścicielem.

1) Kongres żąda, aby każde dzieło literackie naukowe, artystyczne i dramatyczne było traktowane w obcych krajach wedle praw, przysługujących literatom miejscowym.

2) Dla zapewnienia tej opieki wystarczy, by autor spełnił formalności obowiązujące miejscowych autorów.

3) Co do tłumaczeń i przeróbek, kongres literacki międzynarodowy zapewnił autorom wyłączne prawo upoważniania tłumaczy i przerabiających.

Kongres mniema, że:

1) Poprawa losu moralnego i materialnego literatów wiąże się ściśle z rozwojem ogólnym społeczeństw, polega zaś na utworzeniu kas zaliczkowych i emerytalnych, przysługujących autorom.

2) Kongres życzy sobie, by kwestya kredytu literackiego weszła w program najbliższego kongresu międzynarodowego literackiego.

3) Kongres uważa, że projekt utworzenia

związku międzynarodowego literackiego, którego zadaniem byłoby urządzenie stałych stosunków między literatami różnych narodów, wytworzenie komitetów, mających ułatwiać stosunki i założenie pisma, mającego obejmować przekłady klejnotów wszelkich literatur, zasługuje na szczegółowe zbadanie i obrady.

4) Kwestye literackie winny być traktowane odrębnie od kwestyi handlowych.

Nakoniec wniosek odrzucony obejmował trzy punkta, brzmiące jak następuje:

1) Kongres literacki oświadcza się za swobodą myśli w znaczeniu najrozszerzalszym.

2) Kongres mniema, że autor, wprowadzając i rozpowszechniając utwory swoje, działa na swoją osobistą odpowiedzialność.

3) Kongres oświadcza, że wykroczenia prasowe winny być sądzone wedle prawa ogólnego.

Oczywiście wszystkie te wnioski, przez kongres uchwalone i przyjęte, nie mają znaczenia praw obowiązujących. Kongres nie składa się z prawodawców, mających moc zmieniania uchwał z rozporządzenia zastrzeżone karami, nie może również rozmaitym rządów postanowień nowych narzucać. Natomiast może i obowiązuje swych członków, aby za pośrednictwem prasy wywierali wpływ tak na opinię publiczną, jak na ciała prawodawcze i dyplomacyę w kierunku zuchwałami kongresu zgo-

dnym. Jest to droga legalna a pewna, kto bowiem zna wpływ prasy, ten łatwo zrozumie, że gdy raz uwaga umysłów zostanie przez nią na prawa własności autorskiej zwrócona, wpływ ten nie omieszka odbić się i w prawodawstwie.

Rozumie się, że bieglejsi od literatów fachowi ustawodawcy mogą wnioski kongresu do pewnego stopnia ograniczyć, zmienić lub ująć w inne prawnicze określenia, nie pozostawiające pola do wikłaniny i nieporozumień. Kongres jednak, występując w obronie własności literackiej, dał zapewne początek całemu cyklowi nowych ustaw, których wprowadzenia jak najmocniej życzyć sobie należy.

Ale również należy życzyć sobie jak najmocniej, żeby przyszedł kongres składający się wyłącznie z ludzi kochających idee więcej niż pieniądze i nie cofających się wobec lichych i marnych względów, życzyć sobie należy, żeby w skład jego weszły umysły męskie, uczciwe i śmiałe, zdolne nawet do szlachetnych egzaltacji i do bezwzględного polotu ku celom, które raz uznane zostały za wyższe i ogólnoludzkie.

Z wystawy antropologicznej w Paryżu.

I.

Po lewej stronie od Trocadero i poza ob-
rębem jego olbrzymiego dziedzińca wznosi się
wielka szopa drewniana prostej budowy, ozdo-
biona tylko dwoma sfinksami przy wejściu.
Ludzi tu zawsze mało: jeden policyant, przy
nim na ławce spahis w białym turbanie, kil-
kunastu mężczyzn i jedna lub dwie kobiety—o-
to cała publiczność, którą najczęściej tu zastać
można. W samej szopie milczenie przerywane
bywa tylko odgłosem kroków w pustej sali,
która na pierwszy rzut oka wygląda jak kost-
nica, albowiem z poza szklanych szyb szaf
poustawianych pod ścianami, setki czaszek
ludzkich poglądają na widza pustemi oczodo-
łami. Jest to wystawa antropologiczna, o któ-
rej gazety wiele piszą, a ludzie mało wiedzą;
każdemu jednak, kto przybywa z naszych stron,
radzę porzucić na chwilę świetne sale Troca-
dero i wyzłocone bramy pola Marsowego, a

przyjść tu, gdzie nauka wybrała sobie skromne i samotne siedlisko.

Na lewo, zaraz przy wejściu, znajduje się sekcya Towarzystwa antropologicznego, które przy urządzaniu jej posilkowało się, prócz własnych okazów, okazami nadesłanymi z całego kraju. Częścią, najbardziej bijącą w oczy, są tu ubiory ludowe, umieszczone na wzniesieniu, tak, aby je dokładnie obejrzeć można. Znajdują się między niemi świtki krakowskie, siermięgi rusińskie; z Galicyi: gunie góralskie i huculskie, oraz sukmany mazurskie, a raczej zupełne ubiory, poczynawszy od czapek czerwonych z pawimi piórami, wysokich bermyc baranich, siwych i szarych, kapturów obszywanych lisim futrem; czapek wykrojonych z hubki, a skończywszy na butach i góralskich kapciach. Obok strojów męskich są i niewieście, przy których nie pominięto wszelkiego rodzaju ozdób, jakoto paciorków i pasków, noszonych przez nasze wieśniaczki. Niektóre z tych rzeczy są domowej roboty, np. płótna, burki, rańtuchy, kilimki, wyrabiane wprost w chatach na własny wyłącznie użytek; inne pochodzą z wieśniaczych rękodzielni, zajmujących częstokroć całe osady. Można powziąć z nich dokładne wyobrażenie o przemyśle miejscowym, o zręczności robotnika i o stopniu rozwoju, do jakiego przemysł wiejski dojść może. Wszystkie te wyroby uderzają oryginalnością, rozmaitością cha-

rakterów, silnie rozwiniętem poczuciem estetycznem, a częstokroć i bogactwem. Nadesłała je głównie Galicya. Królestwo i inne okoliczne prowincye mniejszy na wystawie tej wzięły udział. Równie obszerny jak Galicya mogło wziąć Poznańskie, ale nie wzięło prawie żadnego.

Wogóle jednak wystawa ubiorów wygląda bardzo świetnie, ustawiona jest doskonale i dlatego każdemu najpierwej wpada w oczy. Dopelnienie jej stanowi prócz tego jedna z szaf, zawierająca ubiory przeważnie z Królestwa nadesłane. Szkoda nawet, że niektóre okazy z niej nie zostały umieszczone sposobem manekinowym na wzniesieniu, albowiem np. stroje kujawskie, odznaczające się doskonałością sukien i płócien, smakiem i bogactwem, lepszeby dały wyobrażenie od galicyjskich o zamożności ludu. W tejże szafie znajdują się także małe maszyny w kształcie lalek, przedstawiające Żydów naszych.

Wszystko to jednak dotyczy się etnografii, nie antropologii. Również do okazów etnograficznych zaliczyć wypada album panny Rakowskiej, przedstawiające typy i ubiory ludowe. Inne rysunki, rozłożone na oknach, mniej może są doskonale niż charakterystyczne. Między obrazami znajduje się „Jan Kochanowski nad trumną Urszuli” Matejki. Obecność tego dzieła sztuki na wystawie etnograficznej objaśnia się tem, że Kochanowski ma przedstawiać typ i

strój szlachcica z XVI wieku. Toż samo zadanie spełniają rysunki Matejki strojów historycznych z rozmaitych stuleci i na koniec album rodu Potockich, zawierające fotografowane kopie portretów naczelników tej rodziny, aż od XVIII wieku.

Najpiękniejszym jednak okazem tej części wystawy jest ceramika Godebskiego, przedstawiająca w płaskorzeźbie typy i ubiory wszystkich narodów świata. Zwróciła ona na siebie głównie uwagę prasy francuskiej. Na tle złotem widać tu blisko sto postaci tak charakterystycznych, że na pierwszy rzut oka można odróżnić ich pochodzenie. Grupa ta zajmuje środek obrazy, od którego to środka w prawą stronę idą narody zachodnie, w lewą wschodnie, rozciągające się ku góróm Uralskim i dalej w Azji.

Prócz wartości etnograficznej, jest to prawdziwe dzieło sztuki, któremu zachowanie typowych charakterystycznych rysów twarzy w postaciach stosunkowo małych i misterność wykonczenia nadaje wysoką wartość. To też prasa francuska nazywa bez wahania ową ceramikę najwspanialszym obrazem w części etnograficznej naszej wystawy. Sprawozdawcy podnoszą poetyczność układu i świeżość kolorytu. Ten ostatni szczególnie ich zachwyca, ponieważ zachowanie go przy wypalaniu w piecach obrazów przedstawia niezmiernie trudności, któ-

re Francuzi tylko, jako mistrze w sztuce ceramicznej i miłośnicy jej, dokładnie zrozumieć i ocenić umieją.

Na bliższą również uwagę zasługują mapy pp. Franciszka Duchńskiego i Alfreda Ciszkiwicza, sekretarza szkoły architektury w Paryżu. Mapa etnograficzna Ciszkiwicza daje dokładny opis plemion zamieszkujących nasze strony i może służyć za wskazówkę przy rozstrzyganiu kwestyi spornych naukowych. Uzdolnienie i sumienność jej autora zasługują na wszelkie uznanie.

Najważniejszych okazów antropologicznych dostarczyło muzeum toruńskie. Zajmują one szereg szaf stojących przy ścianie po lewej stronie od wejścia. Są to przeważnie wykopaliska niezmiernie starożytne. Część ich sięga okresu kamieni niewierconych, jako to: młoty krzemienne bez otworu do osadzenia trzonka, ostrza włóczni, strzał, dłota i t. p. Inne przedstawiają kamienie już osadzone na rękojeściach, czego dowodem są otwory w obuchach. Kształty ich przytem są doskonalsze, a wyrób o wiele dokładniejszy. Poznajdowano te wszystkie przedmioty bądź to w miejscach dawnych horodyszcz i tyńców, bądź na cmentarzyskach, bądź nakoniec w dolmanach i tumulusach, które nieznanie w większej części ziem słowiańskich, trafiają się jednak czasem w Czechach, na Morawie i w W. K. Poznań-

skiem. Większość jednakże okazów stanowią wykopaliska pomorskie, które też i znajdują się w ziemiach oplukiwanych Bałtykiem najwięcej, świadcząc, że ziemie te miały w swych czasach ludność najgęstsza i kulturę najwyżej posuniętą, na co nie brak i dowodów historycznych.

Z okazów bronzowych nadesłano pierścienie, naszyjniki, bransolety, paciorki i naramienniki, odznaczające się misternością wyrobu. Starożytnicy znajdują takie rzeczy w urnach, w pojedynczych mogiłach, lub w owych szczególnych grobowcach, ułożonych potrójnie jeden na drugim w ten sposób, iż w najgłębszym znajduje się kościec otoczony narzędziami kamiennymi, w środkowym bronzowymi, w wierzchnim zaś żelaznymi. Ułożenie takie grobów nie tyle zdaje się być dziełem przypadku, ile zwyczajem grzebania ciał w miejscach, raz na zawsze na to poświęconych.

Przy niektórych kościotrupach znajdowano także bronzowe sierpy; były to zapewne sierpy ofiarne, które wkładano może do mogił kapłanów. Wszędzie przytem, przy szczątkach ludzkich odkopują garnuszki, misy, dzbany, oraz małe czerpaczki, ukazujące na zwyczaj stawiania jadła przy zmarłym, który to zwyczaj utrzymał się dotychczas w niektórych ziemiach słowiańskich, lub zamieszkanych przez ludność słowiańską nieznaną.

Nakoniec liczny zbiór urn, nadesłanych bądź przez muzeum toruńskie, bądź z Raperswillu, stanowi niemniej cenną część naszej wystawy. Niektóre z tych urn, tak zwane obliczowe, zwracają na się szczególniejszą uwagę archeologów. Nie mogę twierdzić, czy wyrabianie urn obliczowych było wyłącznym zwyczajem w ziemiach słowiańskich, w innych jednakże zbiorach nie widziałem podobnych. Okoliczność ich polega na zarysowaniu na wypukłej stronie naczynia oczu i na wydłużeniu nosa. Czasem te zarysy twarzy bywają bardzo wyraźne, co następuje zwłaszcza wówczas, gdy oczy są kolorowo emaliowane, czasem zaledwie dostrzegalne, a nawet tak zatarte, że istotnie trzeba pewnej dobrej woli archeologicznej, ażeby je odróżnić. Niektóre popielnice, zamiast twarzy, przedstawiają inne części ciała męskiego lub kobiecego; większość z nich zaś pokryta jest napisami runicznymi.

Znajdowane całkowite kościce a przytem urny z popiołami wskazują na podwójny zwyczaj grzebania lub palenia ciał, co dało powód do rozmaitych naukowych przypuszczeń. Twierdzenie, że zwyczaj palenia lub grzebania ciał nie był jednoczesnym, ale mógł następować po sobie w rozmaitych okresach, zostało zbite na-przód tem, że tak przy kościotrupach, jak i w popiołach znajdowano jednakowe narzędzia i ozdoby, a powtóre jeszcze i tem, że częstokroć

popielnice bywały odkopywane obok kośćców w jednych i tych samych grobach. Ta wspólność grobów stanowi także dowód przeciw mniemaniu Lelewela, który w grzebaniu lub paleniu chciał widzieć odrębny obrządek dwóch sekt religijnych. Niemieccy archeologowie objaśniali ową dwoistość istnieniem dwóch oddzielnych ludów; a i to przypuszczenie, wobec częstej wspólności grobów i tożsamości znajdujących narzędzi, okazuje się pozbawionem wszelkiej zasady. Najprawdopodobniejszem jest, że panował i taki i taki zwyczaj, lub że niektóre tylko klasy (może np. klasa kapłanów) miały przywilej wyłączny grzebania się lub palenia.

Wracając do wystawy, wykopaliska stanowią część jej najciekawszą. Mniejszej już wagi są przedmioty historyczne, jakoto: pasy słu-ckie i karabele, które właściwsze mogłyby znaleźć miejsce w wystawie historycznej, w Trocadero. Obecność niektórych okazów, jak np. strzelby Stanisława Poniatowskiego, zgoła nie umiem sobie wytłumaczyć, bo jakkolwiek robota okazu tego jest istotnie przepyszna (prawdopodobnie zagraniczna), nie stoi on w żadnym związku ani z etnografią, ani z antropologią, a służy chyba do ozdoby. Miejsce jednak jedynie mu odpowiednie byłoby w zbiorach Czartoryskich.

Największym i krzyczącym niedostatkiem w dziale naszym jest brak kośćców i czaszek.

Towarzystwo antropologiczne czyniło wprawdzie liczne starania, aby dostać jak największą ich liczbę, ale starania te z wielką szkodą dla nauki okazały się płonne. Jednakże jakże łatwo było np. lekarzom naszym lub też dziekanom wydziałów medycznych nadesłać żadaną liczbę okazów. Wprawdzie jeszcze łatwiej było nie nadesłać, obrano więc tę ostatnią drogę. Skutkiem tego czaszki prawdziwe musiały być zastąpione rysunkami lub też fotografiami, na których badania naukowe są niemożliwe.

Ostatecznie wystawa nasza, jakkolwiek obok hiszpańskiej głównie zwróciła na się uwagę ministra Teisserenc de Bort, więcej jednak jest etnograficzną, niż antropologiczną, w przeciwieństwie do zagranicznych, mianowicie do angielskiej i wspomnianej hiszpańskiej, które posiadają setki czaszek, częstokroć zasuszonych ze skórą i kośćciami.

Panowie Santos i de Quintona, przewodniczący w sekcji hiszpańskiej, nadesłali istotnie niezmiernie zajmujące okazy kośćców i czaszek, pochodzących nie tylko z półwyspu Iberyjskiego, ale z Peru, Boliwii, Meksyku i innych ziem środkowo lub południowo amerykańskich, podwładnych niegdyś Hiszpanii. Obok czaszek indyjskich, plemion myśliwskich, jeszcze żyjących, albo niedawno wygasłych, są tu koście i głowy poznajdywane w grobowcach ludów wysoce ucywilizowanych, jakoto ludu

Nahuatl'ów zamieszkałego niegdyś w Meksyku, ludów Yuków z Peru. Między mumiami peruwiańskimi można widzieć niektóre w postawie siedzącej z łokciami wspartymi na kolanach, zachowane tak wybornie, że pomimo braku oczu, na twarzach dotychczas pozostał wyraz. Wiele głów ma jeszcze włosy, co jest okolicznością nader pomyślną, wiadomo bowiem, jak ważną ogrywają w nauce rolę ich kształt, przecięcia a nawet i barwa. Włosy te są czarne, grube, proste, na przecięciu okrągłe, co wraz z pomiarami czaszek, dającemi przewagę wskaźnikowi szerokości, stwierdza nanowo powszechnie prawie przyjętą teorię, że wszystkie pierwotne ludy Ameryki należą do plemienia mongolskiego. Wzory dawnych budowli i piramid peruwiańskich uzupełniają tę ze wszelkich miar interesującą sekcję.

Anglicy mniej przysłali okazów etnograficznych, niżby może mogli, za to liczba czaszek w ich oddziale przewyższa wszystkie inne. Są między niemi angielskie, szkockie, irlandzkie, walijskie, wschodnio-indyjskie, wszystkich plemion, począwszy od typowo aryjskich, aż do czaszek ludu drawidów, dalej: murzyńskie z Afryki pobrzeżnej, hotentockie i buszmańskie z południowej; malajskie z Borneo, pozdejmowane z owych girland czaszek, jakimi dayakowie i inne narody z wysp Sundzkich zdobią swoje mieszkania, papuańskie z Nowej Gwi-

nei, polinezyjskie z wysp oceanu Spokojnego; australskie, tasmańskie i znów malajskie, ludu Maori z Nowej Zelandyi. Władztwo nad niezliczonemi ziemiami, położonemi pod wszelką szerokością i na wszystkich morzach, po których badanie nowe przynieść może antropologii plony. Między temi czaszkami zwracają na siebie nieliczne, ale doskonałe okazy owych białych kruków antropologicznych, czaszek krzyżowych, których krzyż powstaje z przecięcia się niezarośniętego szwu czołowego z wieńcowym. Niektórzy uczeni chcieli w owem niezarośnięciu szwu czołowego widzieć najszlachetniejszą cechę, oznaczającą niezwykłą potęgę rozwoju mózgu, a chcieli przynajmniej dopóty, dopóki nie okazało się, że krzyżowość trafia się u idiotów. Cechą jednak najwybitniej rzucającą się w oczy, na widok owego szeregu głów z pod rozmaitej szerokości, jest różnica kąta twarzowego u wielorakich plemion ludzkich. Podczas gdy w szlachetnych typach anglo-saskich i wschodnio-indyjskich wyższych kast kąt twarzy zbliża się mocno do 90 stopni, to przeciwnie, u australskich, tasmańskich i niektórych murzyńskich skośnoszczekowość (prognatyzm) staje się poprostu przerażająca. Na widok tego spłaszczonego czoła, uciekającego w tył, a wysuniętych naprzód zębów w kształcie pyska psiego lub małpiego, prawie się nie chce wierzyć, aby to były czaszki ludz-

kie. Wogóle wymiar kąta twarzowego, nie mający znaczenia, o ile chodzi o ocenienie zdolności osób pojedynczych, albo należących do tegoż samego szczepu, może być ważną wskazówką w ocenianiu różnic plemiennych. W niektórych szafach na wystawie angielskiej czaszki ułożone są umyślnie wedle tej cechy, tak, że spojrzawszy z boku, widzi się szczęki coraz silniej wystające. W rasie białej, obejmującej szczepy aryjski i semicki, prognatyzm zdarza się tylko wypadkowo częściej w malajskiej, a u murzynów afrykańskich, z jednym wyjątkiem Jolotów, u Papuan, Polinezyjczyków i Australczyków występuje już jako cecha stała, od której uchylanie się jest rzeczą wyjątkową.

Nowiny, 1878 r. № 42.

II.

W antropologii za wskazówkę wyróżniającą służą także i wymiary głowy. Kto za biletem korespondenta przyjdzie na wystawę w godzinach, w których dla publiczności jest zamknięta, ten często może zastać tam uczonych z cyrklem w ręku, pochylonych nad czaszkami i mierzących gorliwie ich długość i szerokość. Jak się wymiary ustalają i gdzie należy opierać końce cyrkla przy mierzeniu, uważam za zbyteczne objaśniać, tembardziej, że bez szczegółowej znajomości anatomii czytelnik nie umiałby zdać sobie dokładnie z tego sprawy. Z mojej strony, bez wszelkiej pretensyi do specjalności, nadmienię tylko z tego, com czytał lub czegom się dowiedział, że i sami uczeni nie bardzo się zgadzają na miejsca wymiarów i że panuje jeszcze pod tym względem wielka dowolność. Podstawę do owych wymiarów dał Retzius, najogólniej zaś przyjęte metody są Bernarda Davisa i Welckera. Otóż wedle tych pomiarów, podzielona została cała ludzkość na długogłową, średniogłową i krótkogłową (okrą-

głogłową) w ten sposób, że jeżeli czaszki, których szerokość chwieje się między 74 a 78, przyjęte zostały za średnie, to wszystkie dające cyfrę mniejszą szerokości, zatem więcej z boków ściśnione, za długie, zaś dające cyfrę większą, za krótkie mają być uważane.

Przyjawszy tę podstawę, zauważono np., że rasa mongolska należy do krótkogłowych (okrągłogłowych), ponieważ wskaźnik przeciętny szerokości czaszek wynosi 80 i więcej; malajska jest długogłowa, między czaszkami bowiem maorskimi znaleziono wskaźnik 73. Europejczycy mają wogóle głowy średnie, daleko więcej ściśnięte z boków i wydłużone od Mongołów (75—79). Wymiary czaszek murzyńskich zbliżają się do europejskich i t. p. Wszystko to miało służyć za wskazówkę w odróżnianiu plemion, oraz w rozstrzygnięciu tej kwestyi, czy rasy ludzkie są odrębnymi gatunkami, czy też stanowią tylko odmiany jednego gatunku. Jednakże wskaźnik szerokości i długości chwieje się sobie w najlepsze w jednym nawet i tem samym plemieniu. Długogłowości lub krótkogłowości nie można równie przyjąć za podstawę w ocenianiu uzdolnienia ani ras ani narodów. Byli wprawdzie niemieccy uczeni, którzy czaszki średniogłowe, chylące się ku długim, chcieli uważać za najlepsze, może dlatego, że Niemcy do średniogłowych się liczą, ale pokazało się, że w ten sposób trzebaby było u-

szlachcié Hotentotów i Buszmanów, których szerokość średnia czaszki nie przenosi niemieckiej. Z ludów europejskich najbardziej zbliżeni do długogłowych są Niemcy (75—9). Słowianie odznaczają się głowami nieco szerszemi a krótkimi, mianowicie: Polacy 79 z ułamkiem, Małorusini 79 z ułamkiem, Rosyanie 80. Kroaci aż 82 i t. p. Francuzi dają wskaźnik 79. Włosi, najzdolniejszy zapewne naród na świecie, należą przeważnie do szerokogłowych, co jest okolicznością nader szczęśliwą, inaczej bowiem Niemcy mogliby uznać stanowczo swój wskaźnik 75 za niedościgniony dla innych szczepów ideał i dowód wyjątkowego uzdolnienia.

Objemność jednak czaszek wypada na korzyść Niemców, czyli, mówiąc innemi słowy: w czaszkę przeciętnego Niemca więcej można kaszy jaglanej nasypać, niż w czaszkę przeciętnego Słowianina lub Francuza. Zato w obszernej czaszce niemieckiej mieści się mózg mniej ważący niż słowiański, z czego Peschel, z którego te cyfry czerpię, wyprowadza zaraz dość naiwny wniosek, że widocznie objemność czaszki jest dla nauki o ludach ważniejszą od wagi mózgowia. W tymże Peschlu znajduję ciekawszą wzmiankę o ważeniu mózgów rozmaitych uczonych ludzi. Najcięższą była zawartość głowy Cudiera, ważyła bowiem aż 1861 grm.; Byrona mózg wynosił 1807 grm.; jednym z najlżej-

szych okazał się, nie przynawiając nikomu, mózg filologa Hermana, którego tylko mineralog Hausmann pod tym względem przewyższył. Ale zresztą podobne obliczenia różnic, stosowane do pojedynczych osób, nie prowadzą prawdopodobnie do żadnego rezultatu.

Ktoby teraz chciał spytać, co z tych wszystkich marzeń i ważeń, stosowanych już nie do osób, ale nawet do całych plemion, wypadło? trzeba mu odpowiedzieć szczerze, że jeszcze bardzo niewiele, ale może kiedyś więcej wypadnie. Im większą będzie nagromadzona liczba wszelkiego rodzaju danych, tem jakieś przyszłemu myślicielowi łatwiej będzie wyprowadzić z nich ściśle naukowe ogólne wnioski. Za to tylko można zaręczyć, że gdyby nie gromadzono w pocie czoła zasobów naukowych, nicby nigdy nie wypadło z pewnością. Etnologia, antropologia i enografia są to nauki młode, niedawno stworzone; zrodziły się one z rozważania rozmaitych cech umysłowych i fizycznych ludzkości, że zaś nie wypowiedziały dotąd ostatecznego słowa, to nikogo dziwić nie powinno. W każdym razie rozmyśl i głębokie zastanowienie się prowadzi do lepszych wyników niż bezmyślność. Nie można zaś powiedzieć, aby powyższe nauki do żadnych wyników nie doszły. Wziąwszy pod uwagę choćby jeden taki fakt, jak objemność czaszek, dochodzimy do wyniku, że jakkolwiek nie może

służyć ona do orzeczenia, że Francuzi np. są zdolniejsi lub mniej zdolni od Holendrów, to jednak może służyć, gdy chodzi o odróżnienie Europejczyków, Azyatów, Afrykańczyków i Australczyków, z cyfr bowiem łatwo się przekonać, że objemność czaszki u ludów niżej stojących stopniowo się zmniejsza. tak, że gdy u Europejczyków 92 cale kubiczne ang. wynosi, u Australczyków tylko 81.

Jest już coś. Zresztą na to są urządzone muzea, wystawy antropologiczne, aby ludzie mogli się jednym spojrzeniem ogarnąć i przypatrzeć się sobie w rozmaitych stanach morficznych, a uczeni rozważyć, w jakim stosunku stany owe stoją do wszystkich okoliczności zewnętrznych. Wykazanie łańcucha przyczynowości jest tu, jak i we wszystkich naukach, najważniejszym celem, do którego umysł ludzki coraz potężniej dąży. Przez tę dążność, przez to wspinanie się od skutków widomych do coraz ogólniejszych przyczyn ukrytych, spełnia się ustawicznie i wytrwale owo wykradanie bogom ognia niebieskiego, które Grecy w micie o Prometeuszu uosobili. Ale dziś chodzi o płomień i światło wiedzy. Nie bez pewnego uczucia też dumy możemy powiedzieć, że jednak ten łańcuch, którym nowożytnego Prometeusza niewiadomość do ziemi przykuwa, przedłuża się coraz bardziej. Każde pokolenie przydaje do niego nowe ogniwo, i gdy myśl zawiśnie

czasem nad owymi zastępami uczonych, szukających ziarn nauki w pustyniach, w lasach, na stepach, wśród podzwrotnikowych znojów i wiecznych mrozów, wśród dzikich pokoleń i tysiącznych niebezpieczeństw, niepodobna przyznać, że to prawdziwie wielka armia i w wyjątkowo błogi sposób zdobywca. Widząc ją, można doprawdy odzyskać ową wiarę w ludzkość, którą przy rozważaniu wielu innych objawów tak łatwo utracić.

Wracając do wystawy, ma ona przedewszystkiem tę dobrą stronę, że zbliża do siebie uczonych różnych narodów i ułatwia wymianę mniemań, obznajmia wszystkich z ostatecznymi wynikami nauki, z najświeższymi odkryciami, strzeże od przedsiębrania prac gdzieindziej już dokonanych, a nareszcie podnieca i ożywia zajęcie się nauką. Wszelkie kwestye wychodzące poza obręb naukowych badań, jako to polityczne i religijne, są jej zupełnie obce, dlatego niepotrzebnie upatrywano w tem pewną „tendencję”, że w dziale francuskim, obok okazów ludzkich, zostały umieszczone embryony, szkielety, a w reszcie i skóry wypchane małp, mianowicie: orangutangów, szympansov i gorylów. Nauka ścisła nie ma żadnych „tendencji”, prócz jednej tendencji wykrycia prawdy, a gdy poczyną służyć jakimś ubocznym, prozelitycznym celom, staje się lafiryndą. Pod-

nosi ona i rozprzestrzenia chwałę narodu, który ją uprawia i posuwa—i to jest jednym ze świetnych jej przywilejów, ale nie celów. Celem jest tylko zbadanie łańcucha przyczynowości; dlatego też nie powinna się cofać i nie cofa się przed rozstrzygnięciem jakiejkolwiek kwestyi. Wolno jej zatem dla anatomicznych porównywań i badań, dla właściwszych sobie zapytań, zestawiać kości ludzkie z jakimi jej się podoba. Ani H. Martin, ani Quatrefages, ani doktor Broca nie mają z pewnością z góry powziętego zamiaru propagowania tej myśli, niby wiary społecznej, że człowiek pochodzi od małpy i że zatem wolno mu jest wyprawiać skoki właściwe pawianom—ale byłiby dziećmi, a nie uczonymi, gdyby na teorię Darwina o pochodzeniu gatunków patrzeli ze stanowiska np. wiejskich proboszczów francuskich. Zresztą, jak wiadomo, i Darwin nie doradził nikomu, aby wlaższy na drzewo, przewracał koziołki, albo też gryzł żołędzie i mrugał przytem w małpi sposób oczami, jak również nie twierdził, że człowiek pochodzi od orangutanga, szympansa lub goryla. Zrobił tylko przypuszczenie, że przodkowie człowieka oderwali się jako odrębny szczep od zaginionych gatunków małp wąskonosych, jeszcze w pierwszym okresie formacyi geologicznej trzeciorzędowej, a nauka w przyszłości owo przypuszczenie sprawdzi lub obali.

W tymże dziale francuskim znajdują się niezmiernie ciekawe okazy włosów, należących do wszystkich plemion ludzkich. Barwa włosa, a więcej jeszcze jego grubość, kształt przecięcia, sposób zarastania, wehniistość lub sztywność dostarczyły ważnych wskazówek przy rozstrzyganiu pytań, do jakiej rasy zaliczyć pewne pojedyncze pokolenia lub narody. Gołem okiem można odróżnić tylko barwę i większy lub mniejszy stopień skręcania włosa, inne zaś różnice nie przedstawiają się widomie, a tymczasem są ogromne. Na tablicach, zamieszczonych w dziale francuskim, przedstawiającym w sposób powiększony wyniki badań drobnowidzowych nad włosami, każdy może zobaczyć, że przecięcia włosów dają rozmaite kształty od zupełnie prawie kolistego, aż do jajkowatego (eliptycznego) z mocnem bardzo przyplaszczaniem. Jedne włosy podobne są do cieniuchnych walców, drugie do tasiemek o trochę tylko wypukłych powierzchniach. Grubość ich u rozmaitych plemion także jest wielce niejednakowa, od niej zaś zależy stan skręcania, łatwo bowiem zrozumieć, że im włos cieńszy, tem łatwiej się zwija. Najcieńsze zatem włosy mają ludzie, opatrzeni wehniastą czupryną, mianowicie Papuanie i Australczycy, a zwłaszcza pierwsi, u których przytem włos jest tak płaski, że gdy jego średnicę oznaczymy przez 100, mniejsza będzie wynosić tylko 34. Najgrubszym i naj-

proszym włosiem, podobnym do włosienia w końskiej grzywie, odznacza się rasa mongolska, a stąd i stosunek dwóch średnic wynosi u niej 100:95. Europejski włos znacznie więcej jest przyplaszczony i cieńszy od mongolskiego, dlatego też często zwija się lekko w piękne skręty, a choć czasem wydaje się prosty, nigdy jednakże nie posiada sztywności np. włosów Indian amerykańskich. Wogóle można powiedzieć, że badania nad włosami dostarczyły pewniejszych wskazówek, niż pomiary czaszek. Ponieważ u pewnych ras pewne cechy włosienia powtarzają się stale, posiadając zatem czupryny kilkunastu osobników, należących do danego narodu, można mniej więcej dość trafnie oznaczyć, do jakiej rasy należy zaliczyć ów naród. Sam miałem sposobność sprawdzić, jak dalece włosy Indian północno-amerykańskich podobne są do włosów Chińczyków, których widziałem w Kalifornii. Wiadomo też, że większość uczonych zalicza wszystkich mieszkańców Ameryki do plemienia mongolskiego. Stosunkowo badania owe nad włosami okazują się najmniej dokładne w zastosowaniu do szczepu semickiego, u którego krętość czupryny bardzo często się zdarza, a dalej do Buszmanów i Hotentotów, których uwłosienie wiele jest do papuańskiego podobne.

Piękny zbiór zapłodków (embryonów), czaszek i kośćców stanowi również jedną z nie-

poślednich zalet antropologicznej wystawy francuskiej. Nie brak w niej także wykopalisk z rozmaitych okresów, poczynawszy od jaskiniowego. Wszystko to zajęło osobny pawilon, położony po lewej stronie budynku. Okazy etnograficzne zostały umieszczone w szafach tuż koło polskich, w sali głównej; nie dorównywają jednak polskim ani pod względem ilości, ani pod względem jakości.

Drugi pawilon, po przeciwnej stronie budynku, zajęły wystawy austriacka i rosyjska. W austriacką weszła część zbiorów etnograficznych Dzieduszyckiego, nie mogąca znaleźć pomieszczenia w sali głównej. Znajdują się w niej wyroby domowe płócien i kilimków, stroje, rozmaite narzędzia, wyrabiane i używane przez lud, a nakoniec znakomite albumy ze zbiorami fotograficznymi lub akwarelowymi typów galicyjskich. Cała zresztą sekcja austriacka uwzględnia przeważnie etnografię. W rosyjskich zwracają na siebie uwagę manekiny, przedstawiające Cygana, grającego na bandurce, Samojeda we właściwym ubiorze futrzanym etc. Na bocznej ścianie wisi szereg głów, wyrobionych zapewne z masy papierowej; są to twarze Mordwińców, Czumaków i innych plemion, zaliczanych przez pewnych etnologów do osobnej grupy narodów turecko-altyjskich, które jednak ze względu na skośne osadzenie oczu zbliżają się do typu mongolskiego.

W szafach za szkłem. widać preparata anatomiczne, istotnie bardzo starowne, nadesłane, o ile pamiętam, z Moskwy. i zbiory czaszek. Najciekawszym jednak okazem z całej tej sekcji jest całkowity grobowiec, obejmujący kościotrup z ozdobami bronzowymi na piszczelach rąk i szyi.

Na tem zamykam przegląd rozmaitych sekcji, w którym zapewne wiele rzeczy zostało pominiętych, ale zarówno brak katalogów jak i brak miejsca w piśmie waszem, nie pozwala na obszerniejsze sprawozdanie. Na zakończenie niechaj mi będzie wolno wrócić jeszcze raz do sekcji, urządzonej staraniem Tow. antropologicznego pol. w Paryżu. Powtarzam, że ze względu na szczupłe środki, jakimi Tow. rozporządza, wspomniana sekcya przedstawia się jako owoc wytrwałej pracy i nie zrażających się trudnościami usiłowań; bezwzględnie zaś na porównaniu z innemi sekcjami nietylko nie traci, ale, jak wspomniałem, przy otwarciu jedna z pierwszych ściagnęła na siebie uwagę ministra Teisserenc de Bort, a następnie i pochwały całej prasy tutejszej. Ten udział na równi z innemi w pracy na polu naukowem, to zaznaczenie swej naukowej żywotności jest dzielną wskazówką i czynem prawdziwie obywatelskim, daleko wymowniejszym niż wszelkie deklamacye, które dymią, nie dając światła i ciepła. Dlatego też komisji, złożonej z panów

Franciszka D., dr. Landowskiego, Zaborowskiego i Goldsteina, doprowadzenie tego dzieła do skutku uważać się winno za prawdziwą zasługę i zjednać im tak w całej prasie naszej jak i między czytelnikami jak najszczerze uznanie.

Nowiny. 1878 r. № 44.

Z Paryża.

W chwili największej gorączki wystawowej, kiedy cała Francya żyła tylko wystawą, a opinia podnosiła ją do wysokości pierwszorzędnego wypadku politycznego, niejeden z cudzoziemców zadawał sobie pytanie: jak też będzie wyglądał Paryż, skoro to międzynarodowe święto minie, a zaczną się powszednie dni pracy. Zdawało się, że będzie wyglądał, jak jaka sala balowa po całorocznej uciece, gdy promienie świtu, wdzierające się przez szyby, poczną wydobywać z półcieniów i półgasnących blasków lamp bladawe zarysy stołów w nieladzie, niedojedzonych resztek jedzenia, niedopitych kieliszków wina i potarganych wieńców, powiędłych kwiatów. Zdawało się, że tenże sam biały ranek powszedniego dnia odkryje pod bielidłem i różem twarze blade, senne, a na nich przesyt i zmęczenie; słowem, że po tłustym wtorku nastąpi środa popielcowa, a z nią smutne: „pamiętaj” i smutne rozmyślania nad tem, że wszystko mija i wszystko marność...

Oczekiwanie zawiodły. Wystawa była uro-

czystością, nie orgią. Dzisiejszy bóg-postęp nie upija się jak Bachus, a jego święta są raczej refleksją i rachunkiem sumienia, który, jeśli pomyślnie wypadnie, rodzi zamiast przesytu i zmęczenia ufność większą i nową, uzasadnioną ochotę do pracy. Przytem pokazało się, że w tym bitym przez Niemców, a dobijanym przez wojnę domową Paryżu tyle jest życia, że to nie goście, nie cudzoziemcy je przynieśli, ale raczej ono porwało ich w swoje potężne kolisko, owionęło swym żywotnym duchem i kazało się kręcić w jednym wielkim korowodzie. Dziś goście rozjechali się; na wystawie słyhać tylko stukanie młotków, zabijających ostatnie paki z towarami, a życie w tem świetnem mieście takim samym promieniem się zatacza, i chyba bardzo bystre oko dostrzeże, że trochę mniej ruchu, chyba bardzo bystre ucho dosłysz, że trochę mniej wrzawy, trochę więcej powagi i medytacyi, jako przystoi; zresztą puls grodu może wolniejszy, lecz niemniej silny.

Wystawa była wielkim głosem Francyi, który zawołał: „jestem! żyję!” a głos ten powrócił ze wszystkich stron świata echem: „żyje!” a czasem życzliwszem jeszcze: „niech żyje!” Po chwilach entuzjyzmu i tych odgłosów wyrzucanych sercem przyszła kolej na rozum, który, jakby wtrącane zawsze trzy grosze, postawił swoje wieczne: dlaczego? jakie były przyczyny tego odrodzenia, czy to czasem nie

Republika, czy nie wyjście z dynastycznych awantur, czy nie otwarcie dróg i swobodnych ujść narodowym zdolnościom, czy nie wstąpienie na szeroki gościniec pracy organicznej wydały tak błogie skutki? Więc oto pole do rozmyślań, wywodów, zaprzeczeń i potwierdzeń otwarte, i te to rozprawy stanowią pokarm chwili obecnej, one podtrzymują ruch myśli i stanowią ogniwo. wiążące wystawowe wczoraj z dniem dzisiejszym.

Pełno też owych rachunków, zwłaszcza po dziennikach republikańskich, które oczywiście z pomyślnych wyników robią wodę na młyny Rzeczypospolitej, a zarazem dostarczają panem ciekawości publicznej, niezaspakajanej, jak było dotąd, walkami wewnętrznymi stronnictw, zmianami w gabinecie, w rządzie i wahaniem się szali między obecną formą państwową a monarchią. Dziś te czasy minęły. Rzeczpospolita z każdym dniem staje się faktem, coraz bardziej spełnionym, coraz mniej potrzebuje zużywać sił na walkę o byt, a natomiast coraz oszczędniej może je skupiać na spokojne przeprowadzanie reform duchowi nowemu odpowiednich. Z biegiem czasu ona stała się ciszą, monarchia burzą, Gambetta konserwatystą, Broglic spiskowcem, głosy lewicy opinią narodu, wycieczki monarchistów krakaniem kruków na wieżach nowego kościoła i bezładnem wichrzeniem się stada, nie wiedzącego, gdzie lecieć!

Kraczą też te kruki jezuickie, orleańskie i bonapartystowskie, czasem bardzo jeszcze głośno, ale coraz mniej sztucznie. Niezgodnym samym ze sobą cel główny usuwa się coraz bardziej z oczu. Niedawno jeszcze zadanie ich było, bądź co bądź, dodatnie i pozytywne. bo pracowali dla monarchii, dziś stracili nadzieję, więc cel ich już tylko ujemny : szkoderstwo Rzeczypospolitej. Jest to raczej zemsta, niż polityka. Przegrawszy wielką wojnę, rzucili się do podjazdowej. Nie uderzają już prawie w zasadę, lecz przyczepiają się do faktów pojedynczych, do małych rzeczy, do pojedynczych kroków, i przesadzając ich znaczenie, biją w bęben tem głośniejszy, że wewnątrz próżny.

Lada co staje się dla nich dobrym powodem. Weźmy pierwszy lepszy przykład, ot loteryę narodową. Fundusze, z niej zebrane, były użyte w części na zapłacenie robotnikom, przybyłym z prowincyi, kosztów drogi i pobytu w Paryżu, w czasie wystawy. Uważano za słuszne i pożyteczne, aby jak najwięcej ludzi, oddanych rękodzielnictwu, mogło przyjechać i własnemi oczyma przypatrzeć się ostatnim rezultatom pracy i przemysłu. Cel, jak widzimy, wcale nie piekielny. Druga część funduszu została przeznaczona na założenie muzeum sztuki ornamentacyjnej, trzecia na zakupienie losów, co było rzeczą również dogodną, nastroczało bowiem wystawcom możliwość sprzedania pew-

nych okazów, zatem wrócenia sobie kosztów przesyłki. Wszystko razem mogło być zręczne lub niezręczne, pożyteczne lub niepożyteczne, jak kto chce widzieć; dla monarchistów jednak miało swoją nie do przebaczenia złą i czarną stronę: oto było dziełem republikanów. Dzienniki więc, jak „L'Univers”, „Le Pays” i „Figaro”, podniosły krzyk w niebogłosy. Opierano się na prawie, zabraniającem loteryi, widziano w niej okropny w skutkach krok niemoralności republikańskiej, grożono wyuzdaniem się namiętności, przewidywano, że naród, zaślepiony żądzą łatwych zysków, porzuci pracę, a będzie tylko trzymał na loteryi, przepowiadał chaos, rozprzężenie się stosunków społecznych, upadek Francyi, o mało że nie powstawanie umarłych z grobów i ewentualny koniec świata—słowem, szekspirowskie: „Wiele hałasu o nic” rozegrało się ze zmianą miejsca, osób i czasu na wielką skalę. Prawo istotnie zabrania loteryi, jak w Ameryce, w Anglii i w wielu innych krajach; a jednak w tej samej Anglii, w czasie głodów irlandzkich, urządzano loteryę, w tej samej Ameryce, zakłady takie, jak: biblioteki, muzea, powstają częstokroć z funduszków, zbieranych przez loteryę, i pomimo tego narody te istnieją dotąd.

Trudno nawet zrozumieć taki rozbrat ze zdrowym rozsądkiem, taką utratę wszelkiej miary w sądzie o rzeczach, jakiej dowody da-

ły wspomniane partye, przepowiadając z powodu jednej loteryi fantowej zgubę narodu. Ale nienawiść, tak jak i miłość, jest ślepa. Gdyby chodziło o samą loteryę, rzecz byłaby śmieszna, ale loterya grała tu najmniejszą rolę. Rozdymano tę sprawę jakby balon umyślnie do jak największych rozmiarów, by przyczepić się do czegokolwiek, by osłabić wiarę i zaufanie w narodzię, by go straszyć i zwrócić z drogi, na którą wszedł spokojnie. Wobec tego fakt jest smutnym, bo dowodzi, do jakiego stopnia dojść może stronnicza zaciekłość rozbitych partyi, smutny, bo dowodzi, że przy sposobności szczątki takie byłyby zdolne zwrócić się nawet do nieprzyjaciół zewnętrznych i w danym razie zgubić Francję, byle zgubić i Rzeczpospolitą. Historya podaje podobne przykłady.

Na szczęście jednak, ponieważ układ zewnętrznych politycznych stosunków nie przedstawia dziś żadnych dla Francyi niebezpieczeństw, zaciekłość podobna jest do skorpiona, który się własnym jadem zabija, a jej odgłosy są próżnym hałasem, zwracającym się wyłącznie przeciw wrzeszczącym, i nieszkodliwym nietylko Rzeczypospolitej, ale nawet i loteryi.

Oni sobie, loterya sobie. Idzie spokojnie. Wszystkie sklepy na bulwarach i bocznych ulicach nie mogą nastarczyć biletów kupującym. Płacono je po franku, obecnie, jakby jakie papiery giełdowe, podskoczyły w górę o trzecią

część ceny; sprzedają je na całym świecie, spekulują na nich w Londynie, New-Yorku, a zapewne i u nas w Warszawie. Ludzie bawią się tym epilogiem wystawowym, a co najzabawniejsza: rozmaite żaby, widząc, że konia kuja, wystawiają także bezkopytne łapki.

Taką żabią łapkę wyciągnął obecnie ku Paryżowi Hamburg. On także chciałby mieć swoją loteryę. „Wrona! nawet i ona!” mówi bajka. Republikanie (tak!) hamburscy wzywają tedy republikanów francuskich, aby im pomogli. Widziałem nadesłany tu szumny projekt. Po wstępie, pełnym uniesień nad Paryżem, nad tą „stolicą stolic i światów”, po takim wstępie, mówię, pełnym pochlebstw, a dziwnie przypominającym kręcenie ogonkiem pieska, który spodziewa się dostać kawalek cukru, prospekt tak się kończy: „My, Hamburżanie, republikanie niemieccy, szanujemy aż strach pokojowe usiłowania republikańskiego francuskiego rządu, i bylibyśmy sześliwi, gdyby znikły nawsze rozterki, jakie dotychczas przeszkadzały dwom ludom iść razem na drodze postępu i zapewnić przez to pokój wieczny.

„Również bylibyśmy zachwyceni, widząc lud francuski, biorący tak żywy udział w loteryi fantowej, którą rząd uorganizował w celu ułatwienia całemu światu korzystania z cudów wystawy”.

To przejście od owej wszechświatowo-repu-

blikańskiej inwokacyi do loteryi fantowej samo wprowadziłoby Francuzów w dobry humor, na jaki tydzień przynajmniej; domyślicie się więc łatwo, jak musiał podzielać na nich pierwszy warunek przyszłej międzynarodowej ery pokoju, brzmiały jak następuje:

„Zatem czujemy się szczęśliwi, mogąc do nieść ludowi francuskiemu, że my także urządzamy naszą niemiecką loteryę, i mamy nadzieję, że będziecie kupowali masę biletów”.

To znaczy: „kupcie tak za jakie piętnaście milionów, bo to nam się ogromnie przyda, a za to będziemy republikanami, Niemcami, Francuzami, Turkami nawet, jeśli chcecie!” Odpowiadać na to w duchu „Timeo Danaos”, jak to uczyniły niektóre dzienniki, jest zbyt poważnie. Rzecz śmiechu tylko warta. „Ach! puście na loteryę Alzacyę i Lotaryngię, a weźmiemy wszystkie bilety, ile ich będzie — odpowiedziała „Revue politique et littéraire” — to jedyna loterya, mająca pewność powodzenia, i jedyna godna waszej jeszcze niewyśnionej republiki”.

Wypadek ten zabarwił jednak pewną wesołością poważny nastrój zimowego sezonu w Paryżu. Mówię: poważny, bo obok tego Paryża, który się bawi, świeci, jak waż stubarwny, szumi, hałasuje i łaknie rozkoszy, jest drugi, który się uczy i myśli. Zamierający w czasie upałów letnich ruch umysłowy ożywia się za

nadejściem chłodów i jesiennej niepogody. Akademie rozpoczynają swoje posiedzenia i prace, wystawy księgarskie zdobią się coraz nowemi książkami, kolegia ściągają rozproszonych słuchaczy. Pracowite mrówki naukowe znoszą ze wszystkich stron żdźbła wiedzy i składają je do wspólnego mrowiska; zawiązują się naukowe spory i rozprawy, i w ten sposób życiem wewnętrznem, życiem ducha i idei, dopełnia się zewnętrzne, goniące tylko za użyciem, za bogactwem, za zabawą i zbytkiem - słowem, wyłącznie za chlebem i igrzyskiem.

W owym to zimowym okresie panowania muz uwaga publiczna nastraja się także poważniej i zajmuje się nie tylko dniową polityką, nie tylko hossa i bessa giełdową albo anegdotami o publicznych ludziach, ale interesuje się również żywo tem, co się dzieje w łonie towarzystw naukowych, co nowego odkryto, powiedziano, gdzie jaki profesor wyklada i jak swój przedmiot traktuje. Jest to może charakterystyczna cecha Francyi i Paryża, że tu uczeni nie stanowili nigdy, nakształt średniowiecznych Różokrzyżowców, bractw zamkniętych. Mszę przy ołtarzu nauki odprawiają wprawdzie tylko kapłani, ale słucha owej mszy cała publiczność. Z ostatecznych przyczyn i zasad ogół nie umie sobie zapewne zdać sprawy, tak jak większość ludzi, chodzących po Avenue de l'Opéra, nie rozumie, dlaczego lampy elektryczne

palą się i rzucają blask tak jasny. Nie przeszkadza to jednak, że wszyscy korzystają z ich światła. Takie popularyzowanie nauki, takie dopuszczanie z pomocą Sorbony, Collège de France i innych zakładów szerszej publiczności do udziału w ruchu naukowym, a nawet i sądu o nim, sprawia, że nauka i płynące z niej nowe idee niesą tu niczem pergaminowem, zżółkłym, zwiędłym, jakąś wyłącznąarendą uczonych profesorów, ale czemś żywym, wchodzącym natychmiast w krew i cały organizm ogółu.

Temu to może przypisać należy, że lud ten, nie składający się przecież z jednostek bezwarunkowo najbystrzejszych i najwięcej umysłowo uzdolnionych, wie dzie jednak poniekąd rej cywilizacyjny i daje początkowanie wszelkim nowym ideom. Nie twierdzę, że powód to wyłączny, ale zapewne jeden z wielu. Nowe idee wytwarzane bywają przez uczonych lub przez społeczne warunki, ale odczuwa je i daje im popęd lud; lud zaś może je tem łatwiej i potężniej odczuwać, im szerszą drogą go dochodzą.

Obecnie jednym z faktów, najwięcej zwracających na siebie uwagę myślącego ogółu, jest otwarcie w Collège de France wykładów literatury francuskiej nowożytnej. Rozpoczął je profesor Paweł Albert wobec ogromnego natłoku rozciekawionej do wysokiego stopnia publiczności. Z biegiem wykładów profesorowi przy-
.

dzie zapewne mówić i o czasach najnowszych, i o ludziach, żyjących jeszcze, o dzisiejszych kierunkach, dzisiejszych walkach i drogach, po których kroczy obecnie twórczość francuska. Stąd ten żywy interes i gorączkowa ciekawość publiczności, która przychodzi tam po sprawdzenie własnych przekonań, po utwierdzenie się w sądach i estetycznych instynktach. Czy istnieje, a jeśli istnieje, to zdrowyż li kierunek obecny? dokąd idziemy? gdzie i jaka jest synteza dzisiejszych objawów twórczości, tak rozmaitych i rozstrzelonych, że zwykle oko widzi na nich raczej chaos i rozprzeżenie? Co usłyszymy i co nam powiedzą? czy pozwolą cześć dotychczasowe bóstwa, czy może zapadnie wyrok, jaki kiedyś Klodwig usłyszał: „Sigambrie, pal, coś czeił, a czej, coś palil”? Oto pytania, które sobie każdy zadaje, a na które czeka odpowiedzi od nowopowolanego profesora.

Katedra literatury w Collège de France była po wszystkie czasy bardzo ważną, była bowiem niejako pośrednikiem między obozem ścisłe literackim z jednej, publicznością z drugiej strony, a więc rodzajem sternika sądu ogółu. Rolę tę wypadalo jej szczególnie grać koło roku 1820, w czasie walki klasyków z romantykami, podczas której cały Paryż rozdzielił się na dwa obozy.

Nigdzie może nie prowadzono walki tak zacietej i na tak szeroką skalę o sprawę, nikogo

bezpośrednio nie tyczącą. Koleje walki i stanowisko względem niej katedr kreśli P. Albert w pierwszym swoim wykładzie. Między dwoma tymi wojującymi kościołami wahała się masa, raz chętna nowościom, to znów przerażona zuchwalstwem apostołów, a mająca jednak przechyleniem swoim zapewnić zwycięstwo. Oczy tysięcy zwracały się wówczas na katedrę, i tysiączne głowy zdawały się pytać: „gdzie iść, mistrzu?” Ówczesny mistrz Andrieux nie dawał wprost odpowiedzi, pomimo iż w gruncie rzeczy duszą i ciałem należał do „peruk”. Sam poeta, w walce zatem interesowany, z natury słodki, łagodny, ceniący formę spokojną i w karby ujętą, bał się tej nowej romantycznej burzy, więc romantykiem być nie chciał i nie mógł. Też same jednak przymioty nie usposabiały go i do walki. Prowadził wprawdzie wojnę z nową szkołą, ale sobie taką miała wojenkę z aluzyi, ostrożnych epigramatów, które zachwycały niektórych, klasycznie wykwalifikowanych słuchaczy, ale nie zaspokajały ogółu. Publiczność spodziewała się czegoś innego. Wołano wówczas o sąd, o wyrok potężny, jak grom, stanowczy, jak papieska encyklika. W takich czasach przewrotu, gdy idzie o przeciągnięcie mas, o śmierć lub życie, gdy każdy, kto się do solidarności poczuwa, macha piórem, jak cepem, takie stanowisko ostrożne, takie wojowanie ołowianą szabelką docinków, nie

wystarcza. Trzeba wówczas przycisnąć przeciwnika do muru i wsadzić mu kulę w ucho, inaczej, on to zrobi. Andrieux nie był do tego stworzony, skończyło się więc, że publiczność czuła tylko zawód, a przeciwnik, biorąc szturmem pozycję po pozycji, odpowiadał uczonemu i jego obozowi krwawemi słowy:

„Vieillard va-t'en donner mesures au fossoyeur...”

„Vieillard stupide!...”

(Hernani).

Wreszcie przeciwnik zdobył i katedrę w osobie M. Ampère, który był już zdecydowanym romantykiem. Przypadło to na najgorętsze czasy walki, zawiści i nietolerancji, posuniętej do najwyższego stopnia. W Niemczech, Anglii, we Włoszech i w Polsce mury były już rozbite, przeszkody zdruzgotane: nowe arcydzieła, jakby nowe słońca, ukazywały się codziennie; nowy świat jakiś przewiewał umysły z jednego końca Europy na drugi, Francya jedna tylko nie chciała jeszcze wiedzieć nic o sąsiadach, nie znała ich prac, wygwizdywała Szekspira; ciągnięta za włosy i uszy, nie chciała jednak wyjść ze swego XVII wieku, wypierając się własnych dawniejszych tradycji i otaczając jakby murem chińskim odosobnienia. Ampère uderzył w ten mur. Tradycye średniowieczne, z których rodził się romantyzm, wiązały Francję z Niemcami, Włochami i Hiszpanią,—Ampère jest więc tam wszędzie, bada no-

wy kierunek na wszystkich zapoznawanych dotąd polach, szuka słowa zagadki wszędzie, choćby mu w Skandynawii i Meksyku szukać przyszło, i wreszcie pierwszy kładzie naukową pieczęć pod nowem wyznaniem poetycznej wiary, pierwszy mówi z katedry tym wszystkim, którzy aż dotąd nieśmiało tylko wierzyli: możecie wierzyć otwarcie, albowiem rozum i nauka są po waszej stronie.

Po Loménie, znakomitym krytyku, i po krótkotrwałych wykładach p. Feugère, wyjątkowo poświęconych wiekowi XVII, Paul Albert jest czwartym z kolei profesorem, który o romantyzmie mówić będzie. Dziwnym zbiegiem okoliczności, jakkolwiek walka z klasykami, jak wszędzie, tak i we Francyi, została raz na zawsze ukończoną i o zawrocie do czasów pseudo-klasycznych mowy nawet być nie może, przecie sprawa racyi samego romantyzmu mniej została rozstrzygnięta, zatem więcej do dziś interesującą.

U nas romantyzm, oprócz średniowiecznych tradycji, wchłonawszy w siebie utwory wyobraźni ludowej, wsparł się na bardzo szerokiej podstawie, a przytem, przez swój zwrot potężny ku całemu ogółowi, zmienił do wysokiego stopnia swój charakter, uprawnił się niejako, związał z życiem, stał się istotną i prawdziwą poezją ogółu.

Niema wątpliwości, że miał i u nas wiele

złych stron. Bez wątpienia, rozluźnił do wysokiego stopnia formę artystyczną i wprowadził pewną swawolę językową, zadowolając się przewagą mnóstwa słów nad treścią. Również kazał się często zapalać na zimno do rozmaitych gminnych, do niebywałych istot i bohaterów, do bogów, dawnych bożków litewskich lub pomorskich, w czem nie było żadnej szczerości, bo inna sprawa, jeśli poeta takie rzeczy od ludu w imię ludu maluje, a inna, gdy udaje, że sam w nie wierzy, i czytelnikom każe wierzyć. Wprowadzało to pewną modę, pozbawioną wszelkiego rozsądku i prawdy. Z drugiej strony, w najwspanialszym nawet swym zwrocie, w tym właśnie, który go związał z życiem i prawdą uczuć całego ogółu, nowy kierunek, gdy jako *Gustavus Obiit*, a jako *Conradus natus est*, popadł w mistycyzm, nastroił chorobliwie uczucia i wyobraźnię, uchrystusował i ubóstwił wszystko; zdjął z ogółu wszelką odpowiedzialność, zatem zamknął oczy na potrzebę rachowania się i odradzania z win. To wszystko było także winą, ale ze stanowiska społecznego, na którem zatrzymywać się dłużej nie chcę. Swoją drogą zwrot był dokonany; z Gustawa zrodził się Konrad, a przezeń jedna więcej zdrowa, życiowa i prawdziwa zasada została zapewniona. Nic podobnego w znaczeniu ogólnem nie stało się we Francyi. Warunki tu były inne. Romantyzm francuski nie mógł być

czemś tak z wnętrzości narodu francuskiego płynącym i nigdy nie stał się bezpośrednio pa-tryotycznym. Z drugiej strony nie oparł się także na podstawie ludowej, z tej prostej przy-czyny, że podstawy tej brakło w samym ludzie. Fantazyja ludów słowiańskich to prawdziwie przezroczysta powierzchnia jeziora, w której odbija się wszystko; ziemia, pola, lasy, stepy, słońce i gwiazdy. Co więcej, odbicie to nie jest tylko biernem. Z połączeń owych różnych pier-wiastków przyrody, z owego popędu do-patrywania w nich żyjącej duszy, z pewnej, wrodzonej tym ludom skłonności do mistycy-zmu, powstają tysiące nowych postaci; wil, dziwożon, rusalek, świtezianek, upiorów. Wo-bec nich, porównanie fantazyi do toni jeziora już nie wystarcza. Jest ona raczej zwiercia-dłem czarnoksiężkiem, w którym odbija się nie-tylko krajobraz, ale jego dusza, odgadnięta i w tysiącu kształtów upostaciowana, w którym zmartwychwstaje przeszłość, a nawet przy-szłość zarysowuje się w mglistych obrazach.

Weźmy klechdy i bajki polskie, dumy ru-skie, epiczne pieśni arabskie lub niedawno wy-nalezione bułgarskie! Czyż nie przesuną one przed naszemi oczyma kraju, historii, hufców, zbrojnych rycerzy ze skrzydłami, kozaków, pła-wiących się w trawach po pachy, junaków serbskich, Turków, Tatarów, jakichś postaci królewskich, napół w przeszłości i bajce roz-

płyniętych, a przez wyższe siły wspomaga-
nych? Są to poprostu całe światy wskrzeszone,
odgadnięte lub wyśnione. A kto i kiedy te pieśni
tworzył? Gdzie są ich autorowie? Doprawdy,
mimowoli nasuwa się porównanie. Że, jako na
piaskach drogowych w czasie ciszy i letniego
upału zaczyna się czasem ni stąd ni zowąd
kręcić i powstawać ku górze zwichrzony słup
pyłu, tak i nad równiną głów ludzkich na Sło-
wiańszczyźnie zrywa się nagle i wystrzela ku
niebu pieśń gminna, ta „arka przymierza mię-
dzy dawnemi i nowemi laty”.

Bez wszelkiej, z góry powziętej chełpliwo-
ści powiedzieć można, że mało szczepów odzna-
cza się taką szczególną i twórczą zdolnością
poetyczną, a przedewszystkiem nie odznacza
się nią lud francuski. Jedni tylko Bretończycy
coś tworzą, ale to i język, i tradycja, i na-
strój duchowy bardzo odrębny. Prowançya, o-
wa „Ruś francuska”, jak ją niektórzy nazy-
wają, ma swoją wspaniałą pierwotną literatu-
rę, któraby mogła posłużyć jako dowód prze-
ciwny, gdyby nie to, że, po uważniejszym rzu-
cie oka, łatwo przekonać się można, że literatura
ta nigdy nie była gminną. Z wyjątkiem pieśni
o Rolandzie, na której mozaikę lud może kamy-
ki składał, wszystkie inne utwory są dzieła-
mi literackimi, czego sama ich forma i sztucz-
ne układanie rymów w asonacye dowodzi. Śpie-
wali pieśni te trubadurowie, chodząc od zam-

ku do zamku, za przedmiot cnót biorąc piękne kasztelanowe, za przedmiot pieśni—uczucia. Życia gminnego, jego doli, jego prostoty i wierceń niema w nich zupełnie. Pytałem o charakter tej literatury ludzi, wyłącznie się jej poświęcających, i przekonałem się, że żaden z nich nie przyznawał jej charakteru ludowego. O reszcie Francyi mniej jeszcze można powiedzieć. U nas fantazya i poezya ludowa zasiła książkową, tu odwrotnie: książkowa ludową. Na dowód mógłbym przytoczyć pieśni, które sam słyszałem w Normandyi, a których znakomita większość literackiego jest pochodzenia. W święta i uroczystości dziewczyny, tworzące korowód, śpiewają tam utwory Ronsarda, nie rozumiejąc częstokroć ich znaczenia.

Romantyzmowi francuskiemu brakło więc tej drugiej podstawy żywotnej, jaką zdobył sobie u nas. Pieśni obrzędowe, łączące bezpośrednio poezję z życiem, wyobrażenia poetyczne gminne nie podsycały go tu pierwiastkami prawdy realnej. U nas nadużywano niewątpliwie całego tego aparatu gminnego, mimo tego jednak nie przestał on być ogniwem, wiążącym lud z poezją, zatem życiową cechą tej ostatniej. We Francyi nowy kierunek nie zwrócił się wcale do ludu. Cóż mu więc pozostało? Oto średniowieczna tradycja, jej zamki, klasztory, rycerze jej, wybujały indywidualizm, uosobiony w postaciach, istotnie romantycznych aż

do zdziczenia, a następnie tworzenie wedle tych wzorów nowszych już postaci, równie zdziczałych, równie wyjątkowo przeciwstawiających się społeczeństwu, niby dla niego za wielkich, a w gruncie rzeczy chorych na potworny rozrost własnego „ja”, wspaniałych, gdy się je bierze z dobrą wiarą, śmiesznych, gdy wionie na nie wiatr sceptycyzmu.

Jeśli teraz zgodzimy się, że poezya szczera i prawdziwa ma przyłożyć ucho do piersi narodowej, podслуchać bicia serca ludu, podechwycić jego uczucia, porywy i tęsknotę ku temu, co na tym świecie lichym, płaskim, powszednim jest lepszem, jeślić zadaniem jej jest dosięgnąć to, co nie jest dośpiewane, i zrozproszonych w całym narodzie pajęczych nici marzeń i myśli utkać wielką a śliczną tkaninę poezyi, to trudno zaprzeczyć, że romantyzm francuski nie spełnił tego zadania. Był on niewątpliwie postępem, bo wywalczył swobodę dla ducha, rozkuł poezję z kajdan przepisów i wreszcie wprowadził do niej treść nową, o tyle wyższą od dawnej, że ta średniowieczna tradycja była, bądź co bądź, francuską, nie zaś grecką albo rzymską. Ale, z drugiej strony, rewolucya wykopała przepaść między tymi czasami a dzisiejszym wiekiem. Zmieniły się pojęcia, wyobrażenia, zmienił się duch narodu do tego stopnia, że te postacie mnichów i rycerzy, pobudki ich uczuć, powody postępków stały

się poprostu niezrozumiałymi. Rycerz średnio-wieczny, ze swoją naiwną wiarą w świętych i czarowników, ze swoim ślepym zapalem do życia, ze swojemi pojęciami o honorze, zemście, miłości i nienawiści i t. p., jest dziś postacią równie obcą, jak każdy klasyczny bohater.

Hernani jest anachronizmem. Dziś trzeba się do takich istot sztucznie nastrajać. Próba zatem tłumaczenia dzisiejszych uczuć i popędów poetycznych za pomocą tradycyi średnio-wiecznej nie udała się zupełnie. Jednocześnie wybuchały egotyzm tak zwanych dusz dzikich, jak również zapoznanych i zbolących, niewiadomo dlaczego, bohaterów, których romantyzm tysiącami na tle nowego już życia napłodził, nie mógł ostać się wobec ogólnego sceptycyzmu. Wszystko to, razem wzięte, sprawiło, że romantyzm francuski nie uczynił zadosyć poetycznym potrzebom wieku i narodu. Był i pozostał tylko kierunkiem, i dalej nie jakąś pieśnią, z dwóch niewyczerpanych źródeł: serca i prawdy płynącą, ale przedmiotową sztuką, mającą swe przepisy i ograniczenia. Za wskazówkę, że tak jest, może posłużyć i to, że gdy nasz romantyzm, na szerszych, jak wspomniałem, podstawach oparty i bardziej przena-rodowiony, chwycił przeważnie za formę liryczną, jako najbardziej popluarną, francuski brał szturmem głównie teatr. Po zaciętej walce zwy-

ciężył, ale nie zapanował i obecnie coraz silniejszą budzi reakcję.

Jest nią naturalizm, czyli zwrot do zwyczajnego codziennego życia, do realnych charakterów i do rzeczywistych stosunków. Zauważono, że życie, takie jak jest, podpatrzone tylko nieco głębiej, dość ma w sobie zagadnień i swoich: „być albo nie być!” aby nad niemi warto się było zastanawiać. Sądżono, że sztuka, jeśli zwróci się w tę stronę, nie utraci ani jednego ze swoich efektownych środków działania, a uzyska nową, nieodpartą: prawdę. Powstała więc nowa szkoła, która w literaturze jest poniekąd tem, czem była flamandzka w malarstwie. Fantazya poszła w niej już nietylko pod straż prawdopodobieństwa i prawdy, ale, poprostu, rzeczywistości. Autorom chodziło i chodzi o to, aby przedewszystkiem malować wierne, by łapać życie na gorącym niejako uczynku, a zadanie to wydało się tak pierwszorzędnem, że wobec niego pomysł, to jest zestawienie faktów i osób, czyli tak zwana bajka, wraz ze swoim sensem moralnym, musiała ustąpić pierwszemu poła wykonaniu. Nie stawiano wprawdzie tego, jako warunku, ale w rzeczywistości w rozwoju dalszym tak wypadło. Zwrot ten uwydatnił się szczególnie w powieściopisarstwie, w którym też, począwszy od Balzaka i Stendala, a skończywszy na Zoli i Daudecie, potężnych liczy przedstawicieli. Czy jednak

klucz do Sezamu został przez to wynaleziony, a nowy, wspaniały widnokrąg dla literatury odkryty? Trudno powiedzieć: tak! również jak trudno byłoby twierdzić, że poza powszedniem życiem niema już prawdy. Dla powieści naturalizm był w zasadzie znakomitym, niezbędnym i może jedynym krokiem naprzód. Ale sama treść, nadająca się do jednej formy, nie nadaje się do drugiej. Co jest odpowiedniem dla powieści, może nie być odpowiedniem dla poezyi. Jakóż niepodobna zaprzeczyć, że istnieje pewien rozbrat między treścią realnego życia a formą poezyi, pewien dyssonans, dający się objaśnić tem, że sama forma poezyi, wiersz, rytm, rym, jest już czemś wyżej nastrojonem, niezwykłym i w stosunku do codziennego życia egzaltowanem. Ludzie w zwykłych życiowych warunkach nie mówią rytmicznie, chcieć więc mieć ich rzeczywistymi, a zarazem mówiącymi wierszem, jest takąż samą sprzecznością formy z treścią, jaką widzimy w operze, gdy np. spiskowcy, zamiast szeptać, śpiewają. Dla poezyi więc nowy zwrot musiał być w najlepszym razie wskazówką, zasiłkiem, nigdy odrodzeniem i wstąpieniem na nową drogę. „Ty, łabędzie, lataj pod niebem!” mówił kiedyś do Pindara i o Pindarze Horacy. Jest przytem w masach ludzkich pewna suma dążeń i pragnień oderwania się od rzeczywistego życia, zapomnienia o niem. Doprawdy, pesymiści bardzo

zbrzydzili ten świat, a rzeczywistość dopomaga codzien ich filozofii. Ta straszna rozterka między pragnieniem na gwałt szczęścia a konieczną niedolą, między wysileniami życia a nieuchronną śmiercią, rodzi ogólny nastrój, w którymby człowiek, zmęczony aż nadto życiem, rad, niechby na chwilę, o niem zapomnieć i choć w poezyi znaleźć jakieś pierwiastki wieczne, a błogie i kojące. Tym to wołaniami dusz umęczonych, tym dążeniami i potrzebom bardzo przecie naturalnym, bo wrodzonym, naturalizm literacki nie czyni zadość. Co więcej, nie wiem dlaczego tak jest, ale tak jest: raz stanąwszy na gruncie rzeczywistości, stacza się łatwo, jakby po równi pochyłej, aż tam, gdzie rzeczywistość staje się płaskością, zaczyna wstydzic się każdego uniesienia i każdego porywu. Młodość, jej egzaltowane słowo, jej rumieniec zapалу, bijący na twarz, jej skryty w oku, wydają mu się przesadą. Doprowadzony do krańców, a doprowadzony bywa wszędzie przez jakąś fatalną konieczność, staje się bardziej powszednim, niż życie samo. Zatraca się wówczas stopniowo trafny rzut oka na to, co jest prawdą piękną, a co obrzydliwą, i ogólny poziom literatury spada coraz niżej.

Tak stało się we Francyi. Romantyzm jej był zbyt jednostronnym, a naturalizm, o który dziś „Figaro” wydrapuje oczy panu Zoli, przebrał miarę estetyczną, zacieśnił dobrowol-

nie swoje granice i obniżył własne znaczenie. Weźmy powieść dzisiejszą francuską. Co za brak w niej rzeczywiście wyższych idei, podnioslejszych myśli, szerszych pragnień — słowem, wszystkiego, z czego się składa poważne i rozwinięte życie. Wojna, miecz, ogień sroży się nad krajem, a w powieści przyjaciel żonę mężowi bałamuci. Wieczny temat! wiecznie toż samo nędzne tuzinkowe życie! wiecznie ciż sami bohaterowie, z których każdy taki sobie pierwszy lepszy frant, dziesięć razy mniej wart nawet od swego autora, i wiarołomna żona i rogaty mąż. O ile wyborna i pewna siebie faktura, o tyle uderzające ubóstwo myśli. Miłość to odwieczne prawo, to siła życiowa, to dobroczynny geniusz naszego globu, zgoda! Przez nią chaos stał się porządkiem, przez nią kwitną kwiaty, zielenią się drzewa, utrzymują gatunki, rozwija ludzkość, promieniają sztuki piękne, rozegrywa się życie, ani słowa. To najsilniejsze i najstarsze z praw natury może złamać wszystkie inne, może nie uważać na żadne: „ja biorę ciebie”. Nic nie pomogą wszystkie sztuczne więzy i przeszkody. Można przeciw tej sile mówić, ale oprzeć się jej niepodobna — ona usprawiedliwia i okupuje wszystko, ale to tylko wielka i dogrobowa, niezłamana miłość. Tak ją uważać i uświęcać sztuka i literatura ma prawo. Ale w literaturze francuskiej jej nie ma. Istnieje tylko romans. Bohaterowi powie-

ściowemu do głowy nawet nie przychodzi powiedzieć uwiedzionej kobiecie: jeśli mnie kochasz, to bądź moją nazawsze, zerwij z mężem, ze światem, ze wszystkim i pójdz za mną! Jeśli się komu zdarzy szczęście rozkochać kobietę, a nieszczęście, że ta kobieta jest cudzą żoną, uczciwiej zapewne robi i prawdziwiej kocha, gdy, zajrzawszy mężowi w białka oczu, powiada mu: kocham pańską żonę, zatem nie mogę być pańskim przyjacielem! Miłość idzie wtedy na cenę życia, zatem jest uczuciem prawdziwie drogiem, silnem, jak burza, zatem usprawiedliwiającem. Mniejsza, jak się dramat skończy, ale dramat dramatem. Że jednak w życiu tak się nie dzieje, że wygodniej jest kochać się w sekrecie, potem się sobie sprzykrzyć i pójść „każde w swoją drogę” bez hałaśliwych zająć z mężem, że to się częściej zdarza, a przeciwne postępowanie byłoby egzaltacją, więc powieść francuska realna przyjmuje tylko romans, pisuje i wysławia tylko romans.

Jakże niesłychanie mało jest wyjątków od tego ogólnego prawidła, jakże mało kto wychodzi z tego lichego i płaskiego kółka stosunków towarzyskich i konwencyonalnych, w których rozegrywa się głównie wiarołomstwo. Do niko go z równą słusnością, jak do większości autorów francuskich, nie możnaby przystosować słów:

„Jego myślą, jego mowa
„Nie odetchnie pierś szeroka;
„Nie pomyśli jego głowa,
„Skier nie weźmie z jego oka”.

Mówią o owem wiarołomstwie i jego marnem tle, że jest to umyślne kładzenie palca na ranę społeczną. Nieprawda! Jest to lubowanie się w kwestyi. Cóż u licha! czy niema już o czem lepszem do mówienia? W społeczeństwie więcej jest ran ważniejszych, o których się nie wspomina, a o tej mówi każda powieść, bo ten jałowy grunt dostarcza pola do opisów, do uderzających realizmem opowiadań, do łapania trafnych charakterów i temperamentów. Odrodzone dziś do pewnego stopnia stronnictwo republikańskie lepsze jest pod tym względem od swej literatury, bo w niem są przecieź prócz uwiedzionych lub uwieść się mających mężatek, jeszcze i inne kobiety, a przedewszystkiem jeszcze i inne idee. Jest oto zaraz głuche przekonanie, że poezya i powieść muszą się zmienić: pierwsza stać się pieśnią narodu, druga wyleżeć raz przecie z pod małżeńskiego łóżka; jest jakieś instynktowne poczucie potrzeby, aby cała literatura piękna, zatem cała literatura twórcza, weszła na inne drogi, wzięła rozbrat ze zdziczałym egotyzmem, z romansem, a wsiąknęła w siebie nowe myśli i nowe idee, wielkie a godne odradzającego się narodu. Tyle prze-

cie nowych pojęć politycznych i filozoficznych krąży w powietrzu. Pojmuje je rozum i stąd rodzi się nauka, ale odczuwa serce i z tych uczuć może wykwitnąć odrodzona literatura. Jak się to stanie i kiedy, trudno powiedzieć. Czują jednak ludzie, że to, co jest, nie wystarcza. Jedni sądzą, że tę reformę zbawienia przeprowadzi właśnie powrócony na szlachetne drogi naturalizm, i w Zoli, który więcej od innych zwrócił się do społecznych zagadnień, widzą, jeśli nie odkupiciela, to przynajmniej poprzednika, prostującego drogi pańskie. Inni nie wiedzą; wszyscy czekają czegoś, a tymczasem biegną, gdzie można słowo nowe usłyszeć. oblegają katedrę filozoficzną p. Caro i literacką Alberta, zajmują się sprawami literackimi, spierają się sami, wolają o światło!

Wśród tego zamętu nieskrystalizowanych pojęć, wśród tych zapytań: gdzie iść? i tego gwaru gonitwy za nieoznaczonym jeszcze ideałem, białowłose ojciec romantyzmu, osiwiwały bard z Guernessey, kładzie od czasu do czasu krzepnące palce na harfę. Słuchają go! Palce stare i harfa może za stara, ale on jeden przynajmniej nie bał się nigdy wielkich idei.

*

*

*

Oto rys jeden dzisiejszego życia umysłowego Francyi. List ten, poczęty, jako kroni-

ka paryska, miał być kroniką, a zmienił się jakby w pobieżny list literacki. Sporą wiązkę zdarzeń, spraw i bieżących wypadków przyjdzie mi odłożyć na później. Tymczasem nadeszły święta: teatry dają nowe sztuki, wystawy księgarskie upstrzyły się nowemi książkami; kilka z nich leży na moim stole; byłoby o czym pisać, ale że dzień dzisiejszy i list dzisiejszy zapewne nie ostatni, zatem: do następnych dni i listów!

Gazeta Polska. № 14, 15, 16, i 17 z dnia 20, 21, 22 i 23 stycznia 1879 r.

List w kwestyi emigracyi Polaków do Ameryki.

Głody, powodzie i namowy agentów powodują coraz liczniejsze emigracye.... do Ameryki,—losy **zaś** emigrantów polskich tam przybyłych przechodzą wszystko, co sobie najgorszego można wyobrazić. Chłopi nasi stają się ofiarami od chwili, gdy siadą na statek przewozowy. Wieści, które nas o tem dochodzą, są prawdziwą a przerażającą ilustracyą do noweli „Za chlebem”, którą drukuję obecnie. Sygurd Wiśniowski donosi „Gazecie lwowskiej” o przybyciu do New-Yorku w dniu 24 kwietnia niemieckiego statku Ohio, na którym znajdowało się 1342 osób, a w tej liczbie 250 dzieci.

Emigranci przybyli wycieńczeni chorobami i wynędzniali, po przybyciu zaś wnieśli natychmiast skargę na kapitana. Ze słów skargi pokazało się, że skutkiem złego obchodzenia się tegoż kapitana z pasażerami umarło 13 dzieci.

Komitet emigracyjny niemiecki skargę poparł —wyniknął więc proces. Po bliższem zbadaniu sprawy wyszło na jaw, że pięciuset pasażerów było pochodzenia polskiego z Poznań-

skiego i Galicyi. Kapitan tłumaczył się nawet, że chorowały i umierały tylko dzieci polskie, „gdyż wogóle owi emigranci byli chorowitymi i niechlujnymi, a matki nie chciały dawać dzieciom przepisanych lekarstw, lecz wołały klepać nad nimi pacierze i odczarowywać chorobę”.

Polacy składali pod przysięgą zeznania, że majtkowie pastwili się nad nimi, że kazano im sypiać na zalanej wodą podłodze, że morzono ich głodem lub dawano żywność niezdatną na pokarm. Proces sprawił ogromne wrażenie i oburzył opinię amerykańską. Komitet emigracyjny niemiecki jednak, dowiedziawszy się, iż tu chodzi o Polaków, przestał zaraz skargę popierać, a ponieważ skarżący się, jako ludzie biedni, muszą rozproszyć się w poszukiwaniu za zarobkiem, być więc może, że dla braku świadków proces upadnie... i „rzeź Herodowa”, jak ją zowią Amerykanie, ujdzie bezkarnie.

Nie koniec na tem. W kilka dni później przybył do Baltimore inny statek, także niemiecki, na którym uduszono ośmioro dzieci polskich. Rzeczy te nie chcą się prawie w głowie mieścić. Wiele może wydawało się, że odczyty moje „Za chlebem” były utworem fantazyi, tymczasem według słów naocznego świadka Wiśniowskiego nędza i cierpienia polskich wychodźców nie dają się opisać. Przyczyniają oni niemało kłopotu rządowi, który przychodzi im z pomocą, ale nie może przychodzić z pomocą

dostateczną. Wpadają oni jakby w koło błędne, zarobek bowiem mogą tylko znaleźć dalej na zachodzie (np., jak pisze Wiśniowski, na zachodniej granicy Pensylwanii w tamtejszych lasach i kopalniach węgla), a nie mają pieniędzy, by się udać albo tam, albo na dalszy jeszcze zachód, albo nakoniec do osad polskich, rozrzuconych po stepach bliższych wielkich jezior. Rząd wysyła ich tam częściowo i trochę na oślep, bo bliżej tem się zająć nie ma kto. Wielu także chłopów zebrze po ulicach miast nadatlantyckich, większość ginie z głodu, chłodu i chorób. A jednak prąd emigracyjny z Galicyi, Poznańskiego, a częściowo z miast i wsi Królestwa, bliższych granicy pruskiej, trwa ciągle i niepodobna go wstrzymać. W Poznańskiem, o ile sądzić można, na nie nie przydały się usiłowania proboszczów, odczyty, broszury, agitacye ludzi dobrej woli: prąd ciągle trwa. Wśród tych, co się przesiedlają, muszą się znaleźć tacy, choć bardzo nieliczni, którym powodzenie uśmiechnie się zaraz na początku. Otóż tacy są mimowolnie może najdzielniejszymi propagatorami emigracyi.

Piszą oni listy do domów i ponieważ im się powodzi, przedstawiają wszystko w różowem świetle, a co więcej, przysyłają pieniądze, jako niezbite dowody, że tam lepiej, niż tu. Do pisania takich listów nakłaniają i także czasem podstępnie agenci.

Trudno uwierzyć, ale jeden taki list lub

jedna dwudziestodolarowa sztuka złota silniejsze są od wszelkich kazań, odmawiań, broszur i odczytów. Taki list lub przesyłka pieniężna porusza całe wsie i miasteczka, a w ten sposób prąd emigracyjny, zamiast gasnąć, roznieca się.

Wypada z tego, że stoimy wobec następującego niezbitego faktu: oto prąd emigracyjny istnieje i nie jesteśmy w stanie go pohamować.

Pewna ilość ludzi musi rocznie opuścić kraj.

Z tą smutną i pełną złych następstw myślą trzeba się pogodzić.

Można co najwięcej kosztem wielkich wysiłen zmniejszyć liczbę wychodźców, ale i to jest niepewne.

Cóż tedy robić?

Pozostaje jedno. Zmienić kierunek prądu i uczynić go mniej niebezpiecznym.

Ze wschodnich gubernii Królestwa istnieje także rodzaj, niewielkiej wprawdzie emigracji w stronę przeciwną.

Oto chłopci z Lubelskiego np. wychodzą na Wołyn.

Widziano niedawno na stacyi w Puławach kilkadziesiąt ludzi, udających się w stronę Równego.

Jechali wprawdzie nieopatrzenie, bo na mocy gołych obietnic jakiegoś agenta, że dostaną grunta i drzewo na chałupy.

Ale choćby ich spotkał zawód, łatwiej im

podać rękę z pomocą, bo co Wołyń, to nie Stany Zjednoczone.

Z drugiej strony wiadomo, że na Wołyń wychodzą dość licznie Czesi i Niemcy, i że osadom ich nieźle się stosunkowo powodzi. Znaczne przestrzenie ziemi mogą tam być nabyte, albowiem parcelacya wcale tam nie jest słowem nieznanem. Przeciwnie: wielu jej pożąda, i dla wielu rozparcelowanie jej jest jedynym środkiem wyjścia z kłopotów finansowych.

Z drugiej strony robotnik jest tam, o ile wiemy, i potrzebny i pożądanym.

Otóż rzucam następującą myśl: Jeśli emigracya jest rzeczą bezwarunkowo konieczną i nieuniknioną, czyby nie było lepiej, dla wychodźców bezpieczniej, a z wielu względów pożyteczniej skierować ją w tamtą stronę.

Jak należałoby to zrobić i jakich środków użyć, dziś rozprawiać o tem byłoby przedwczesnie. Dodaję tylko nawiasem, że dla tamtych stron byłaby w tem ta korzyść niezaprzeczona, że zyskałyby robotnika, którego im brak. Przedewszystkiem jednak kładę nacisk na to, że w razie niepowodzeń i klęsk łatwiej jest przyjść z pomocą o mil kilkadziesiąt niż o tysiące.

Zresztą myśl rzuconą od ręki poddaję wszelkiej dyskusyi.

WYKAZ ARTYKUŁÓW

DO TOMU 80 DZIEŁ SIENKIEWICZA.

	<i>Str.</i>
1878. Osady polskie w Stanach Zjednoczonych. . .	5
— Szkice amerykańskie. I	37
„ II	52
„ III	90
— Przeróbka Ody Horacyusza	119
— Listy Litwosa z Wystawy Paryskiej	120
— Listy Litwosa z Wystawy Paryskiej	140
— Listy z Paryża I.	162
„ II	173
— Listy Litwosa z Paryża. Salon z r. 1878.	190
— Listy Litwosa z Paryża. Sto tysięcy franków nagrody	214
— Kongres międzynarodowy literacki w Paryżu	231
— Z wystawy antropologicznej w Paryżu	246
1879. Z Paryża	270
1880. List w kwestyi emigracyi Polaków do Ameryki	298

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM LXXXI.

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM LXXXI



PISMA ULOTNE

WARSZAWA
NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY).

1906

Szkice literackie.

I.

Zarys literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu przez Doktora Piotra Chmielowskiego. Wydawnictwo E. Orzeszkowej i S-ki. Wilno. Drukiem Blumowicza, 1881.

Od czasu pojawienia się „Dziejów Polski” Bobrzyńskiego, żadna praca z zakresu naukowego nie obudziła tyle zajęcia, ile ów literacki rachunek z lat szesnastu, który mamy obecnie przed sobą. Czytaliśmy bezwzględne pochwały i nagany, jak również nasłuchaliśmy się ożywionych rozpraw za i przeciw. Zajęciu temu nie dziwinymy się zupełnie. Niemal każdy wykształcony człowiek bierze udział w ruchu literatury wprost albo ubocznie, każdy wiąże się z nim swemi sympatjami dla jednych kierunków, antypatjami dla drugich; każdego więc książka, usiłująca dać syntetyczny obraz najnowszego ruchu, bezpośrednio obchodzi. Dziś, gdy pierwsze wrażenie minęło, gdy zatem łatwiej sądzić zarówno chłodno jak bezstronnie, postaramy się pomódz czytelnikom naszym w

wydaniu takiego chłodnego i bezstronnego sądu.

Dzieli się książka Chmielowskiego na dwie części. Pierwszą zatytułował autor: „Przekonania i Dążności”, drugą „Osoby i dzieła”. Przeciw takiemu systemowi byłoby wiele do nadmienienia; ponieważ bowiem w pierwszej części autor zaznaczył istnienie dwóch kierunków a zatem i dwóch odnośnych obozów literackich, należałoby „osoby i dzieła” grupować w drugiej części stosownie do tychże obozów. Tymczasem tego podziału niema, a o piszących i ich książkach mówi Chmielowski w drugiej części w takiej kolei, w jakiej w ciągu ostatnich lat szesnastu występowali na widownię literacką. Z drugiej strony, mówić naprzód o przekonaniach, a potem o osobach, jest to wpadać w konieczność powtarzania w drugiej części tego, co się powiedziało w pierwszej, nakoniec oddzielać pisarzy od kierunków jest to postępować wbrew rzeczywistości naturalnej i tworzyć sztuczny podział czysto książkowy.

Prowadzi to za sobą i inne szkopyły, o których później przyjdzie nam mówić szerzej. Chmielowski rozumiał zapewne doskonale wady i niedogodności podobnego systemu, a jednak go zastosował. Pytanie: dlaczego? Odpowiedź dokładną możnaby dać dopiero po również dokładnem streszczeniu i ocenie całej książki; w początkach więc oceny należy poprzestać na o-

gólnej. Oto w ostatniem szesnastoleciu Chmielowski widzi przełom w literaturze i wielką walkę, podobną cokolwiek do niedawnej ogromnej walki romantyków z klasykami, a jeszcze podobniejszą do prądu reformatorskiego w dziewiętnastym wieku. Dopatrzywszy się owej walki, Chmielowski sądził, że aby uczynić ją dla swych czytelników zrozumiałą, należy przede wszystkim wyjaśnić o co poszło, jakie były przyczyny, jaki stan umysłowości, jakie nowe poglądy wdzierały się z zagranicy do kraju, i z jakiego mianowicie powodu wybuch nastąpił. Uczyniwszy to wszystko, opisawszy i sam plac boju, dopiero mógł wedle własnego rozumienia przystąpić do opowiadania, kto walczył i ile męstwa okazał. Ostatecznie zyskałaby może i sama epopeja iścisłość, gdyby przebieg walki odmalowany był w akcji, powtarzamy bowiem jeszcze raz, że opisywać naprzód bitwę a potem wojska, które się biły, jest rzeczą przeciwną naturalnemu porządkowi rzeczy. Ale stało się. Wskazawszy przyczyny i motywy autora, przystąpimy do pierwszej części jego książki. Po 63-m roku zapanowała w kraju martwota, zniechęcenie się do życia i opuszczenie rąk we wszelkich kierunkach, zatem i w naukowo-literackim. Ciężka nauka r. 63-go rozczarowała przede wszystkim do dawnych dróg, któremi urzeczywistnić chciano ideały. Ale gdy nowe drogi nie były jeszcze wskazane, więc i

sam ideał zdawał się odsuwać w nieskończoną przyszłość i przedstawiać się nakształt błędnego ognika, który i ucieka przed goniącymi i z odległości błędnie. Stąd apatya w goniących. Ale żywotność społeczna przetrwała i tę próbę. Apatya nie zmieniła się w śmierć. Podniesiono znane już, ale przedtem tylko w teorii powtarzane hasło pracy organicznej, wejrzano głębiej i poważniej, bo boleśniej, w myśl, czy te nowe drogi nie prowadzą lepiej do celu niż dawne; wreszcie uwierzono w nie, odetchnięto i praca się rozpoczęła.

Mówiąc to wszystko, idziemy za Chmielowskim. Owe dążności, wywołane praktyką życiową, musiały się odbić i w wytworach umysłowych. Literatura musi odbijać życie społeczne i, im więcej krzątanimy i energii na polach praktycznych, tem więcej ich na polu umysłowym. Burza 63-go roku oderwała uczonych od książek, poetów od ich natchnień i skierowała umysły ku innym sprawom. Gdy burza przeszła, po chwilowej przerwie opuszczone prace na nowo zostały podjęte. Jest to kolej rzeczy naturalna, są to zjawiska powtarzające się prawidłowo po wszelkich wstrząśnieniach, jeśli tylko owe wstrząśnienia nie przynoszą ze sobą ostatecznej zaguby. Istnienie i działalność szkoły głównej spotęgowały jeszcze bardziej ów ruch umysłowy, który począł się wraz z życiem budzić po wojnie. Wzrastało zajęcie się nauką

i jej bieżącemi kwestyami. Pozakładano nowe pisma, mające za zadanie popularyzować najnowsze zdobycze wiedzy: słowem, po odrętwieniu, po obojętności na to wszystko, co leży poza polityką, nastąpiło przebudzenie się umysłów.

W tem przebudzeniu brali znaczny udział młodszy wychowañcy szkoły głównej. Inaczej być nie mogło. Wszędzie starsze siły bywają posilkowane i z biegiem czasu zastępowane przez młodsze. Są to rzeczy tak zwykłe, że niema ich co powtarzać. Te pierwsze generacye, które wyszły ze szkoły głównej i wzięły udział w ruchu umysłowym, albo nawet objęły ster nad nim, nie stworzyły wprawdzie ani w zakresie nauki, ani literatury pięknej wielkich dzieł, na nowych zasadach opartych, przyczyniły się jednakowoż do rozszerzenia ruchu i wytworzenia pewnej umysłowej atmosfery, jakiej nie było dotąd. Zgodnie z hasłem pracy organicznej poczęto poruszać mnóstwo kwestyi wewnętrznych, które do 64 leżały odlogiem. Wejrzano w siebie, poczęto oceniać się trzeźwiej, poczęto patrzeć krytycznie na wady przeszłości i na dotychczasowe środki, z pomocą których chciało urzeczywistniać ideały społeczne. To wszystko stanowi niezaprzeczoną zasługę ostatniego szesnastolecia i nowych jego pracowników.

Dotąd też dobrze. Fakt ten rozbudzonej na nowo żywotności umysłowej mógł zaobserwo-

wać każdy ze współczesnych, i Chmielowski nie mógł o nim nie wspomnieć. Chodzi tylko o to, w jaki sposób przedstawia się autorowi ze strony literackiej ów fakt rozbudzonego życia umysłowego, w czem Chmielowski jako historyk literatury widzi najwybitniejszy jego objaw i wyraz. Owóż autor literatury widzi go w walce dwóch partyi: młodych i starych.

Posłuchajmy jej kolei tak, jak opowiada je Chmielowski. Naturalnie musimy się streszczać; ale tam, gdzie nie będziemy mogli przytaczać własnych słów autora, będziemy starali się oddać wiernie jego myśl. Młodzież tedy dowiedziała się z wykładów Struwego o burzy materyalizmu, huczącej zagranicą, o Meleschoteie, Vogteie i Büchnerze; z innych prelekcji doszła jej wiadomość o Buckle'u i Darwinię, poczęto czytać Baine'a, Spencera, Sturta Milla, H. Taine'a i Renana. Były to czynniki, które rozbudziły jej „myśl krytyczną”. Dzięki owemu duchowi krytyki rzucono się naprzód na współczesnych poetów i zdarto wieńce uznania z ich głów. Potem zwrócono się przeciw szanowanym dotychczas powagom naukowym i literackim, i również starano się podkopać i osłabić ich wpływ. Nowe siły znalazły przytułek w „Przeglądzie Tygodniowym”, w dawnej, wielce odmiennej od dzisiejszej, „Niwie”, w „Opiekunie Domowym”, który dziś jest „Tygodnikiem Powszechnym”; i w ten sposób

(kończy Chmielowski) rozpoczęła się walka młodych ze starymi.

Cała pierwsza część książki, zatytułowana: Przekonania i dążności, poświęcona jest tej walce, której autor przypisuje niezmiernie doniosłe dla naszej literatury znaczenie. Bierzymy tedy tę rzecz naprzód ze stanowiska czysto literackiego i pytamy: w imię jakich nowych literackich i poetycznych ideałów wystąpili młodzi przeciw starym?... Odpowiedzi w książce Chmielowskiego niema. I nie może być, bo ideałów nowych nie przeciwstawiono starym. Krytyka jest krytyką nie twórczością, nie otwarciem nowych widnokręgów, nie tworzeniem nowych światów. Rozumiemy walkę romantyków z klasykami. Chodziło o nową treść i formę nową, o to, dla czego serca mają bić, do czego wyciągać się ręce, czem żywić umysły. Była walka, była burza, pioruny i huk kruszących się ruin i wielkie zwycięstwo i zatknięcie nowego sztandaru na pokruszonych dawnych basztach i wieżach. A dziś co? O co chodziło? Gdzie są sztandary przeciwne i zwycięstwo? Czyż o wą lichą partyzantkę dziennikarską, którą pamiętamy wszyscy i w której prawie wszyscy braliśmy udział, można porównywać z tymi czasami, w których grzmiał Mochnacki i Mickiewicz? Czy istotnie zasługuje ona na to, by człowiek poważny i badacz sumienny, jakim jest Chmielowski, zapisywał ją w książce jako

fakt pierwszorzędnego znaczenia w literaturze? A jeśli już taka ochota widzieć w niej przełom, to gdzie jest nowa literatura? Pokażcie ją czytelnikom i powiedzcie: oto są dzieła, oto są owoce, oto są czyny zaklęte w książki, które wypłynęły wprost z polemiki Przeglądu Tygodniowego z Kurjerem Warszawskim, Niwy z Kroniką Rodziną i Opiekuna Domowego — dajmy na to—z Kłosami. Znowu cisza. Znowu niema odpowiedzi. Bo też my wszyscy, którzy dziś trzymamy pióro w ręku i piszemy, co kto umie i może, jesteśmy, pod względem ideałów literackich w znaczeniu estetycznem, kontynuacją czasów dawniejszych. Wmawiać w nas, że stworzymy jakiś przełom, jakąś nową epokę literacką, jest to, po pierwsze: pochlebiać nam, powtórę: mylić się. Nie tworzyliśmy ani form nowych, ani treści nowej. Ideał główny pozostał ten sam i pozostanie. Być może, iż powie kto, że stanęliśmy, idąc za najnowszym ruchem zagranicznym, po stronie realizmu przeciw idealizmowi, po stronie tendencyjności, przeciw teorii: sztuka dla sztuki. I to nie. Kraszewski, Kaczkowski, Korzeniowski, Jeż, Zacharyasiewicz pisali powieści metodą realną, nie tylko zanim nazwa „młodzi” była wynaleziona, ale zanim wielu młodych żyło na świecie, tak jak Stendhal i Balzac i Flaubert pisywali przed Zolą, Alexisem, Maupassant'em i innymi. W najlepszym więc razie przyłączyliśmy się tylko do

istniejącego kierunku. Przeciwnie teorii: sztuka dla sztuki, występował już Tyszyński. Belcikowski przed założeniem Przeglądu pisał do Tyg. Il. dość ekscentryczną rozprawę o przyszłej poezji rozumu. Co do poezji, walka młodych ze starymi nie miała swego Tyrteusza. Przystosowywano różne wiersze w sposób sztuczny, ale Jowisz, patrzący na tę walkę z wysokości Olimpu, widocznie „ręka na rękę założył — odpoczywał po pracy — nikogo nie stworzył”. Inaczej mówiąc: walka młodych ze starymi była, ale nie chodziło w niej o żadne estetyczne ideały, o żadne nowe drogi. Gdyby owa polemika wcale nie miała miejsca, każdy z piszących robiłby toż samo i pisałby toż samo co dziś, o tyle tylko lepiej, o ile nie zmarnowałby więcej sił i talentu na spory, klótnie, przycinki i napaści, które sam Chmielowski, wbrew przypisywanemu im ogólnie znaczeniu, wbrew sobie samemu i ścisłej konsekwencji, nazywa w innem miejscu „bezowocną polemiką”.

Historyk literatury ma za zadanie i obowiązek notować objawy prawdziwe i przyczyn szukać tam, gdzie one istnieją, nie zaś tworzyć ze szkoda przedmiotowej prawdy jakieś nowe epoki i przełomy tam, gdzie ich niema i nie było. Przedewszystkiem jednakże nie powinien rozdymać sztucznie nikłych, przemijających objawów i przypisywać im pierwszorzędnego znaczenia; inaczej może się narazić

na słuszny zarzut, że ten szczupły horyzont, który widzi przez okno swego pokoju, bierze za cały **widnokrąg** narodowego życia i ruchu.

Poza Warszawą jest cały kraj, jak poza sprawami dziennikarskimi jest obszerny ruch umysłów, który częstokroć niewiele z niemi ma wspólności. Mówić tedy, że polemika dziennikarska jest literaturą, jest to nie umieć się wzbić wysoko i spojrzeć na szersze horyzonty.

To raz. Nie było zatem przełomu w twórczości estetycznej, nie stworzono nowych ideałów, nie otwarto nowych dróg; a przedewszystkiem z walki młodych ze starymi nie urodziło się nic; to zaś, co się urodziło, leżało poza nią.

Na polu politycznem do takiej walki. pominąwszy możność, nie było powodów i racyi. Niech autor pokaże choć jednego człowieka z pomiędzy piszących, których głosu ogół słucha, choć jedno pismo, któreby się nie zgodziło na pogląd, że trzeba porzucić drogi, któremiśmy szli do chwili ostatnich klęsk, że trzeba oddać się wytrwalej pracy organicznej, pracować, uczyć się i korzystać z doświadczenia wieków. Niech autor, powtarzam, przytoczy jedno takie pismo, któreby stawiało program wprost powyższemu przeciwny, a przyznamy, że jego walka starych z młodymi miała owe kapitalne znaczenie, które usiłuje jej w swej książce nadać. Ale na taki główny program była zgoda, różniono się tylko co do środków. O-

wóz różnice w poglądzie na środki, wobec zgody na główny cel, mogą wywołać spory, ale przedewszystkiem spory takie streszczają się wszędzie do drugorzędnej walki moderantów z radykalnymi, i jako takie, wogóle niewiele mają związku z literaturą; bezwarunkowo zaś nie mogą stanowić ani przełomu, ani epoki, nie tylko już w literaturze, ale nawet w rozwoju umysłowości.

Toż samo mniej więcej można powiedzieć o wszystkich innych kwestyach, podnoszonych przez młodą prasę. Polemika, czy też walka, jak ją nazywa Chmielowski, była po większej części wypływem nieporozumienia się, z którego z kolei rzeczy zrodził się brak wzajemnej ufności, podejrzliwość, posadzania się wzajemne i zaciekłość... bez prawdziwego gruntu pod nogami. Młoda prasa np. stanęła po stronie bez pracy i głównych celów—słowem, po stronie pracy u podstaw, podnoszenia dobrobytu materialnego, po stronie udziału kobiet w pracy społecznej, po stronie równości wszystkich wobec pracy i głównych celów—słowem, po stronie wszystkich najpiękniejszych i najszlachetniejszych idei. Walczyć za takie przekonania byłoby i chluba i zasługa, gdyby ktoś stawiał im zawadę i przeciwko nim powstawał. Ale, na serwo, kto powstawał? Czy choć jeden człowiek lub jedno pismo przeczyło, że należy rozszerzać oświatę między niższymi warstwami społeczeń-

stwa, że trzeba podnosić dobrobyt materyalny? Czy istotnie był ktoś, coby się absolutnie nie godził na żaden udział kobiet w pracy społecznej? I to nie. W nieporozumieniach w tym względzie chodziło, co najwięcej, o zakres owej pracy. a to już jest kwestya drugiego rzędu. Czy na-
koniec przyszło choćby na chwilę komukolwiek do głowy. wzdychać publicznie w pismach. należących do starej prasy, za czasami pańszczyzny lub twierdzić, że ten, kto się urodził szlachcicem, powinien mieć przywileje, wyróżniające go od gorzej urodzonych? Przeciwnie. Cała prasa u nas była i jest demokratyczną i gdyby ktoś wyśpowiadał jakiegokolwiek z pism warszawskich, uchodzących za najbardziej konserwatywne, dowiedziałby się co najwięcej, iż ono pragnie, by ludzie, noszący historyczne nazwiska, przez swój gorliwy udział w pracy społecznej, starali się zapewnić i nadal szacunek tym nazwiskom, otoczonym urokiem wieków. Jest to zapewne pogląd poniekąd konserwatywny, wymaga on bowiem uznawania historycznych nazwisk, ale nie tyle konserwatywny, by żądał jakiegoś przywileju, by odpychał kogokolwiek od pracy społecznej. Od biedy mogłyby się zgodzić na niego i Przegląd i Nowiny. Właściwie mówiąc, słusznie już zauważono, że kwestya arystokr. i demokr. jest kwestyą przebrzmiałą, mającą swoje znaczenie raczej towarzyskie niż społeczne. Kruszyć kopie ota-

kie sprawy, jest to walczyć z wiatrakami. Tu niema powodu do walki, bo ona dawno i wszędzie została rozstrzygnięta. Dziś istnieje, zamiast demokratycznej, kwestya socyalna, kwestya pracy i kapitału; a ktoby się arystokracjami lub demokracjami jeszcze zajmował, tenby złożył tylko dowód, że jego zegar umysłowy spóźnia się nie o godziny, ale o całe dziesiątki lat. Nie było więc i niema powodu u nas do walki z tej przyczyny między starą a młodą prasą.

Cóż więc pozostaje? Oto kwestya klerykalizmu i anti-klerykalizmu. Rzecz ta zasługuje na bliższą uwagę. Takie dwie partye zarysowały się u nas, lubo w sposób nader umiarkowany i pośredni. Jedna z nich, uznając zresztą ogólny program, tyczący spraw wewnętrznych, pragnęła, by ów program przeprowadzać zgodnie z duchem katolicyzmu, — druga, nie uderzając wprost na dogmaty, szanując wiarę, stanęła jednak po stronie absolutnej wolności myśli i dyskusyi. Niektóre organa opowiedziały się mniej więcej po jednej lub po drugiej stronie, ale tylko mniej więcej, gdyż położyć wyraźnie karty na stół było niebezpiecznie ze względu na opinię, a bardziej jeszcze nie było potemu możliwości wobec warunków, w jakich wychodziły pisma. Chmury częstokroć musiały zostawiać pioruny... wiadomo gdzie. Mniej-

sza jednak o to. Partya klerykalna, jak wszędzie tak i u nas, pociągnęła ku sobie pokrewne elementy, zatem konserwatystów wszelkich odcieni—i w ten sposób uformował się obóz idący w imię wiadomych i ściśle określonych haseł. Drugi obóz szukał, jak twierdzi Chmielowski, dość długo swego hasła i znalazł je w pozytywizmie. Wszystkie siły młode, z małym przynajmniej wyjątkiem, wszystkie żywsze i gorętsze uniosły ze starszych zgrupowały się pod chorągwią pozytywizmu—i walka rozpoczęła się. Była to jednak walka prowadzona z powodu licznych zewnętrznych, a zupełnie niezależnych okoliczności, nie wprost, ale ubocznie. Nie uderzano bezpośrednio na zasady, natomiast dyskutowano à propos. Każda najmniejsza kwestya, czy to naukowa, czy społeczna, nieraz i taka, na którą, gdyby była rozważana sama w sobie, obie strony mogłyby się zgodzić; dostarczała teraz powodu do wzajemnych przeciw sobie wycieczek. Ta pośredniość i uboczność walki odebrała jej wszelki donioślejszy charakter, a zwłaszcza wszelką wagę i wartość literacką, i zmieniła ją na czysto dziennikarskie bezowocne spory. Znaczna też część dzienników nie brała w niej nawet udziału—i wkrótce na placu boju zostali tylko najzwawsi. Rezultatem tej walki było tylko znużenie i zmarnowanie sił. Wogóle, wobec położenia, w jakim znajdowało się społeczeństwo,

była to kwestya pełna szkopułów, bardzo drażliwa, nawet niebezpieczna. Sytuacya była taka, że sami postępowcy czuli nieraz niesmak i obawę, by czasem mimowoli nie zagrać na jakąś fałszywą i obcą nutę. Bo należy wiedzieć, że nie biorąc w rachubę osobistych niechęci, które zapędzały niejednokrotnie dyskutujących za daleko, obie strony odznaczały się najlepszą wiarą—i twierdzenie przeciwne jest wprost fałszem. Pomimo tego walka, na ogół biorąc, była nadzwyczaj marną i nie przyniosła żadnych prawie rezultatów, któreby mógł i powinien zanotować historyk literatury. Używanie wszelkich kwestyi, jako powodów do dyskusyi, było także wielce szkodliwem, bo naprzód utrudniało traktowanie przedmiotowe tychże kwestyi, powtórę wyrosła z tego wzajemna nieufność, a po trzecie: zamęt. Opinia publiczna została wprowadzona poprostu w błąd i nauczyła się wydawać ryczałtowe sądy. Niech ktoś wspomniał z uznaniem o Auguście Comte, Millu, Bainie, Spencerze, natychmiast ogół, a po części i drobniejsze dziennikarstwo zaliczało go od razu z głową i z nogami do nieprzyjaciół kościoła. Działo się to odwrotnie. Niech ktoś nie zgodził się na jakikolwiek artykuł, ogłoszony w któremkolwiek z pism, należących do młodej prasy, niech krytykował śmiało utwór którego z jej koryfeuszów, niech zaprzeczył mu talentu lub rzucił doktrynerstwem, ogłaszano go hur-

townie wstecznikiem, obskurantem, zaciekłym konserwatystą, klerykałem i tym podobnie. W sprawach ogólnych, choćby podejmowanych z najlepszą wiarą, krzyżuje się zawsze mnóstwo nici spraw osobistych; tam zaś, gdzie walka nie ma realnego gruntu pod sobą, prędzej-później rozdrażnienie i zaciekłość walczących zwraca się przeciw osobom. W ten sposób wytwarzają się przyjaciele i nieprzyjaciele, w ten sposób plenią się kółka wzajemnych adoracyi, które przyznają wszystko sobie,—nie tym, którzy stoją na zewnątrz. Stąd krzewi się nietolerancya w takich właśnie organach, które z zasady i natury rzeczy powinny stać po jej stronie, stąd nakoniec ciasnota pojęć, gdy nikt nie wznosi się do obiektywnego poglądu ani na utwory literackie, ani na sprawy społeczne, ale każdy patrzy od środka ku brzegom, ze stanowiska własnej, nie partyi nawet, ale kliki. Owoce owej walki pożywamy poniekąd po dziś dzień. Kto nie chce jechać omnibusem, lecz jedzie własną, choćby jednokonną bidą, na tego wyrok z góry gotowy. W ludziach sceptycznych do wysokiego stopnia względem dogmatów i zasad przez wieki uznanych i uznawanych wyrodziła się wiara dogmatyczna względem... swego własnego umysłu. Wątpić we wszystko, tylko nie we własny umysł — jest to lichy objaw wątpienia i lichy objaw wiary. A jednak objawy te obecnie nader są częste.

Być pionkiem w danej ultrakonserwatywnej lub ultraradykalnej klice jest może bardzo wygodne, bo się ma gotowe przekonania i społeczne i filozoficzne, i estetyczne—i wszelkie inne. Ma się swoje dogmaty i wedle nich się sądzi. Co się z niemi zgadza, jest dobre i piękne, co nie—nie. Zapewne. Ale, z drugiej strony, jest to nowego rodzaju obskurantyzm, jest to nowa niewola umysłowa, jest to uwolnić się z pod jarzma wielkich dogmatów dlatego tylko, by poddać się pod jarzmo małych, jest to porzucić idee a pójść w służbę do doktryn, jest to nakoniec, sit venia verbo—mieć ciasną głowę. Swobodna i miłująca swoją wolność myśl potrafi wzbić się ponad to wszystko i patrzeć z zewnątrz na podobne walki bez rezultatów i bez zwycięstwa. Dziwna rzecz, że Chmielowski mógł ową walkę czysto dziennikarską przyjąć za podstawę do kreślenia swego „Zarysu literatury”. Choćby u nas owe partye wystąpiły przeciw sobie z dziesięć razy większą siłą, pytamy, jakie ten fakt ma znaczenie dla literatury? jeśli momenty walki nie zaznaczyły się dziełami, choćby tylko polemicznemi, ale wielkiej powagi i znaczenia? We wszystkich krajach europejskich istnieje dziennikarstwo ultrakonserwatywne i ultrapostępowe, ale zapewne nikomu nie przyszło na myśl, na podstawie ich polemiki, pisać zarysu literatury. Że takie partye istnieją u nas, objaw ten nie jest

żadnem poszczególnem znamieniem wyłącznie naszej umysłowości i literatury. Gdyby jaki profesor z Collège de France lub Sorbony napisał „Zarys literatury francuskiej” i patrzył na jej objawy ze stanowiska polemiki „Figara” z „Rappelem”, lub „l’Univers’a z „Intransigeant’em”, sam Chmielowski odmówiłby takiej książce powagi, autorowi zaś wyższego poglądu na sprawy literackie. Powtarzamy, że dziwimy się Chmielowskiemu, a dziwimy się dlatego, iż, opisując koleje walki, sam z sobą staje nieraz w sprzeczności. Oto np. kreśli powstanie walki, pierwsze strzały i kończy rozdział z pewną uoczystością w słowach: „Tym sposobem rozpoczęła się walka między starymi a młodymi. Okres przygotowawczy skończył się, rozpoczęła się walka o zasady”.

O jakie? Tu spodziewamy się wielkich rzeczy. Z tego, co wyżej powiedzieliśmy, pokazuje się, że na wielu polach nie było różnicy zasadniczej: nie mogło być więc i walki; tam zaś, gdzie się toczyła, jakie wydała owoce? Wydawnictwo „Przeglądu Tygodniowego” sam Chmielowski nazywa „makulaturą”, choć były tam i przekłady niezupełnie złe. „Niwa” wydała dwa tomy. To są całe owoce, o których mówi historyk literatury. Jakie drzewo, taki klin, jakie owoce, taka i walka. Ale w takim razie czemuż ją było brać za podstawę do kreślenia literatury? Jakim sposobem mógł czło-

wiek poważnie myślący, jak Chmielowski, zapowiadać tak szumnie połóg góry, skoro sam wyznaje, że urodziła się mysz? Czytelnik najbardziej nieuprzedzony musi sobie powiedzieć: do licha z taką walką i taką literaturą. Oto po szumnej zapowiedzi rozpoczętej wreszcie walki o zasady, Chmielowski wyznaje, że częstokroć przebierano miarę, częstokroć drażniono się umyślnie, że walczący pod sztandarem Comte'a nie czytali go, że „brakło znajomości języków, geografii” i wogóle znajomości tego, o czym się rozprawiało. Doprawdy, jest w tych słowach obrona dla nielubionej przez autora starej prasy; boć ci tam, którzy wówczas kruszyli pióra z męstwem, godnem lepszej sprawy, mogliby odpowiedzieć: „nie walczyliśmy ani przeciw Comte'owi, ani przeciw Baine'owi, ani Mill'owi, ani Spencer'owi, ani Taine'owi, ani Darwinowi, ani przeciw żadnej osobistości, która z takich jest, jeno przeciw nieznajomości języków, geografii i przeciw nieznajomości tych autorów sławnych, znakomitych i przez nas szanowanych”. Następnie, przychodząc do konkluzji tej walki, Chmielowski mówi: „Zaznaczył się tu wszakże fakt nader smutny i bolesny: polemika, która od czasu do czasu przerywa drzemkę dzienników, ma już nie tyle charakter walk o zasady i przekonania, ile obronę lub potępienie pojedynczych autorów, lub pojedynczych organów prasy. Zdaje się, że na star-

cie ściśle naukowe, ze spokojem prowadzone, nie przyszła u nas jeszcze pora, nie zdobyliśmy bowiem tego stopnia ukształcenia, na którym, zamiast argumentów ad hominem, posługiwanoby się dowodami przedmiotowymi zdobytymi długowiekową pracą nauki". Dodawszy do tego, co autor mówi w innem miejscu, że polemika była bezowocną i że wielu zmarnowało w niej siły i talenta, pozostaje chyba... szaty rozedrzeć nad książką. A jednak rozpatrywaliśmy rzecz bez uprzedzenia, raczej z uznaniem dla poprzednich prac i całkowitej działalności autora. Gdyby ta epopeja nie stanowiła podstawowej części książki, tego co stanowi poniekąd jej filozofię, zrozumielibyśmy jeszcze, że Chmielowski nie pominął i tego objawu, kreśląc ruch umysłowy ostatniego szesnastolecia, tak jak on objawił się w dziennikarstwie. Radzibyśmy w siebie i w czytelników wmówić, że tak jest, — ale niepodobna! Oto książka leży przed nami, a w niej cała pogłądowa część, zatytułowana: „Przekonania i dążności”, nie mówi o niczem więcej, jak tylko o owej walce. Jest to oś, na której obraca się całe koło, jest to latarnia, która oświeca dalszą wędrówkę autora po ruchliwych falach twórczości lat ostatnich, jest to k a n o n, którego autor trzyma się w całej pracy i wedle którego wydaje wyroki. Zaiste, na ulotny artykuł, drukowany w jakim z ulotnych pism, taki punkt

wyjścia byłby wystarczający, ale dla dziejów literatury—to trochę za mało. Tu już potrzeba nie miary krawca, lecz Fidyasza. Czemu nie znalazł jej Chmielowski, czemu nie umiał spojrzeć z góry i obiektywnie na całą ową ruchawkę dziennikarską—odpowiedź łatwa. Oto on sam brał w niej czynny udział, włożył w nią swoją sympatyę, solidaryzował się z jednymi przeciw drugim. Poważany ogólnie za swoją pracowitość i erudycję, stanowił jednakże dla ciężkiego kalibru w jednym obozie przeciw drugiemu, kręcił się w owym wirze, który się z nim kręcił i ciągnął go ku środkowi. Do wypłynięcia sił nie znalazł. Gdy pisywał studia takie jak o Rzewuskim, t. j. z przeszłości, to jest ze sfery, do której nie można było stosować uprzedzeń stronnictwa, tworzył rzeczy poważne, godne historyka literatury, krytyka i przyszłego profesora. Ale pisząc o czasach najnowszych, nadto był związany; może obawiał się stanąć sam z sobą w sprzeczności i stworzył tylko dzieło pisane z obozu do obozu; nie umiał i może nie mógł wznieść się ponad stanowisko warszawskiego dziennikarza, któremu rogatki zamykają widnokrąg i który zapomina, że tam dalej jest kraj cały, który w „walce udziału nie brał, a i tworzył i pracował na inny zgola ład”. Stąd powstały idee literatury i wyroki o piszących, kreślone ze stanowiska walki ech w Przeglądzie, kilku artykułów dawnej

„Niwy” i dawnego „Opiekuna” z jednej—a odpowiedzi od redakcyi „Kuryera Warszawskiego” z drugiej strony. Szkoda! Ucierpiały na tem zarówno obie części książki. Niemasz w niej obiektywności, bezstronności i prawdziwie głębszej krytyki. Gdyby Chmielowski nie wyszedł ze stanowiska walki starych z młodymi, gdyby, skonstatowawszy ją, wydzielił jej w rzędzie objawów należne miejsce, wówczas nawet zasługi jego stronnictwa przedstawilyby mu się jaśniej. Niewątpliwie bowiem, przedewszystkiem „Przegląd Tyg.” a potem „Niwa” i „Opiekun” mają swoje zasługi. Ale mają nie w polemice, bo ów sztuczny rozbrat i napaści w felietonach, echach lub ulotnych artykułkach były poprostu niepotrzebne, zbyteczne, szkodliwe i wypłynęły po największej części nie z zasadniczych różnych przekonań, ale z walki o byt między młodymi, którzy chcieli pisać, a starymi, którzy niechętnie patrzyli na konkurentów. Wina leży tu po obu stronach—zasługa zaś pism wyżej wspomnianych polega nie na ujemnem ich działaniu, ale na dodatniej żywotności, na poruszaniu kwestyi istotnie ważnych: pracy u podstaw, oświaty, zachęcania do przemysłu, do handlu, na przestrzeganiu przed naciskiem germanizmu, na budzeniu odrętwiałego po katastrofie ogółu słowy: obudź się i pracuj. Ale cała ta, najważniejsza, działalność nie była polemiką; o ile zaś polemika przyłączyła się do

niej, o tyle osłabiła jej wpływ, znaczenie i społeczny pożytek. Bądź co bądź, jednak działalność ta jeśli nie wydała większych, albo prawie żadnych owoców w znaczeniu ściśle literackim, to wydała społeczne—i gdyby Chmielowski z tego stanowiska, nie ze stanowiska walki, na nią patrzył, podniósłby: 1-o istotnie zasługi swoich, 2-o nie potrzebowałby zamykać epopei słowami, że w końcu nastąpiło zniechęcenie, drzemka i t. p. Nastąpiło poprostu znużenie bezowocną polemiką; przyszła chwila szczęśliwa, w której wzajem wymyślających sobie zaboląły języki i szczęki—ale zapal do dodatnich prac społecznych trwa.

Biorąc to wszystko na uwagę, cośmy powiedzieli dotąd, dochodzimy do przekonania, że zarys literatury z ostatnich lat szesnastu nie tylko nie odpowiada wymaganiom, jakie krytyka ma prawo bezwzględnie stawiać, ale nie stoi również na wysokości dotychczasowej działalności Chmielowskiego. Prócz ostrych i zjadliwych krytyk doczekała się ona także i bezwzględnego uznania, ale uznanie to wyrazili albo niepowołani, albo, co prawdopodobniej, było ono echem stronnictwa, albo nakoniec owocem zbytniego pośpiechu w pisaniu recenzji, który nie pozwolił piszącemu zdać sobie dobrze sprawy z rzeczy, o której pisał. Stanowisko, jakie zajął Chmielowski, wpłynęło ujemnie i na drugą część książki, zatytułowaną: Osoby

i dzieła. Krytyk w wydawaniu wyroków na osoby i dzieła, w ocenie poetów i powieściopisarzy kieruje się względem, o ile w pisarzu wybitnie wyrażnie tendencya społeczna i o ile tendencya ta zgodna jest z jego przekonaniami. Wedle tego wypadają pochwały i nagany, które częstokroć zdziwienie tylko w czytelniku wzbudzić mogą. Trudno bowiem uwierzyć, aby estetyk z powołania, który tyle już nieraz złożył dowodów trzeźwości, brał taką miarę do oceny talentu i twórczości estetycznej, — trudno przypuścić, aby zapominał, że w dziele pięknem nie tendencya sama, ale „sposób artystyczny”, w jaki ona się swemu twórcy przedstawia i wiele, stanowi o wartości dzieła artystycznego. Można przecie, nie mając ani za grosz talentu, stawiać sobie tezy niezmiernie żywotne, ultra postępowe, lub jakie autor chce; chodzi więc głównie o to, w jaki sposób umie ktoś tezę swoją zaklaść w artystyczne ciało, tak aby dusza z owym ciałem stanowiła nierozwalną jedność. W tem jest właściwość i istotna siła talentu. O tej prostej prawdzie zapomina Chmielowski, nie mogąc wzbić się i uwolnić od ustawicznie go trapiącej idei walki starych z młodymi i od rozdawania wieńców, w miarę jak ktoś stawał po stronie drugich. A jednak sam zaraz w początku pisze: „Nie zużytkowano dotychczas (w powieści) tego nowego prądu, jaki się w umysłach objawił i po-

stawił przeciw sobie dwa pokolenia: starsze i młodsze”. Nowy to dowód, że z owej „walki na niwie estetycznej nie wyrosło nic, i zaiste tu by można przytoczyć praparafrazę Osińskiego z Mickiewicza: „Cicho wszędzie, głucho wszędzie, nic nie było, nic nie będzie!” Jednak wedle tego „niczego” idzie dalej autor, mierząc jednych surowiej, drugich sympatyczniej, łagodniej. Kraszewski został oceniony nader ostro. Zarzuca mu autor zazwyczaj brak całości, brak skoncentrowania efektów, obmyślenia sytuacji i artystycznego ich (efektów) ugrupowania.

Z przykrością widzimy, że podobne ogólnikowe zdania powtarzają się w ocenach wielu pisarzy, i nie rozumiemy prawdziwie, jak człowiek tak ścisły, jak Chmielowski, może posługiwać się podobnymi szablonami, przez które malując krytycznym pędzlem, można umalować na czarno każdego pisarza. Kraszewskiemu zarzuca także autor zbytnią wrażliwość, zapominając, że w większej części tą wrażliwością tłumaczy się tak płodna działalność tego pisarza. Nie możemy się zwłaszcza zgodzić na zdanie, że zakres kreacji Kraszewskiego jest szczupły. Wprost przeciwnie. Nikt nie stworzył tylu ludzi z różnych epok i sfer, umysłowych i towarzyskich. Powieści te to wielka galeryja, w której dokładniej lub bardziej szkicowo wy-

stępują ludzie dawni, barbarzyńscy, nowsi, poeci, filozofowie, prostacy, chłopci i arystokracja. szlachta ze wszystkich wieków; słowem, krócejby było wymienić kogo tam niema. Łatwość, z jaką autor je tworzy, bierze krytyk za brak badania faktów życiowych. Zresztą Chmielowski jest szczerem w tem, co pisze. Nie chce on uwłaczać zasłudze wielkiego pisarza; jeśli zaś jest za surowym, to mimowolnie. Na niektóre jego zarzuty możnaby się zgodzić, gdyby miara była dla wszystkich jednaka. Tak jednak nie jest i stanowi to nie małą ujemną stronę książki; gdyby bowiem czytał ją człowiek, któryby z niej dopiero chciał wyrabiać sobie sąd o rzeczy, mógłby sądzić, że są o wiele więksi pisarze od Kraszewskiego, i że jeśli autor postawił go na czele, to tylko ze względu na czas i wiek. Tę odmienną miarę widzi się zaraz w ocenie Jeża; przedewszystkiem występuje ona jednak w tem, co autor pisze o Elizie Orzeszkowej. Tu Chmielowski dał się już zupełnie porwać sympatyom stronnictwa; z czego wynikło, że jest to nie ocena, ale od początku do końca przecenianie. Pisze on o Kraszewskim, że postacie jego „nie upamiętniają się na zawsze i nie towarzyszą nam w życiu”. Pytamy: któraż to postać pani Orzeszkowej upamiętniła się Chmielowskiemu na zawsze i towarzyszy mu w życiu? Pamiętamy natomiast, że sam Chmielowski pisywał ongi dość ostre oceny utworów tejże sa-

mej autorki. Nie ulega kwestyi, że pani Orzeszkowa ma wielką łatwość tworzenia i odczuwa, jeśli nie do głębi, to przynajmniej nader żywo, prądy współczesne. Począwszy od pana Graby, napisała ona kilka niepoślednich powieści, ale talentowi temu brak właśnie wszelkiej plastyki. Wypowiedzieliśmy gdzieindziej, a tu uważamy za właściwe powtórzyć, że jeśli panią Orzeszkową będą czytać za lat sto, to ci przyszli czytelnicy dowiedzą się dokładniej, jakie prądy umysłowe przebiegały nasze czasy, niż jacy ludzie w nich żyli. Ludzie E. Orzeszkowej są istotnie dobrani do tendencji, idei, przekonań. Postacie te chodzą, rozprawiają, kłócą się, żenią, umierają w miarę jak im autorka każe, ale cech życia indywidualnego brak im najczęściej,—autorce proces właściwego wcielenia przychodzi z wielką trudnością; jeśli zaś udało jej się to lepiej w „Panu Grabie”, „Elim Makowerze” i „Meirze Ezefowiczu“, to bynajmniej nie udało jej to w szkicach, zatytułowanych: „Z różnych sfer”. Tu już zaiste trudno pojąć, jak człowiek obdarzony smakiem, jak Chmielowski, i z powołania estetyk mógł podnieść te właśnie utwory nad inne, i te właśnie nazwać znakomitymi pod względem treści i wykonania. Bezwarunkowo rzecz się ma przeciwnie. „Pan Graba”, „Eli Makower” i „Meir Ezefowicz” są to powieści dobre i znać w nich postęp, a „Z różnych sfer” całkowicie mierne. O dwóch osta-

tnich utworach autor mówi: „Najświeższe jej opowiadania: „Sylwek Cmentarnik” i „Widma”, w których zawarła „doskonale zaobserwowane, a świetnie pod względem artystycznym przedstawione” dzieje powstawania dążeń socyalistycznych, świadczy wymownie, że autorka z rokiem każdym rozszerza zakres twórczości swojej i t. d.” Zwłaszcza co się tyczy „Sylwka Cmentarnika” zmienilibyśmy chętnie wyrażenie autora na następne: „doskonale zaobserwowane a wcale nie świetnie pod względem artystycznym przedstawione dzieje i t. d.” „Sylwek Cmentarnik” jest poprostu nudny. Tarnowski w odczytach swych o najnowszym powieściopisarstwie polskiem wyznaczył Elizie Orzeszkowej wcale podrzędne miejsce: że zaś nie same przekonania autorki wpłynęły na ten jego wyrok, dowodem tego, że skrajniejszego jeszcze Świętochowskiego postawił jednak wyżej. Chmielowski miał wszelkie prawo nie ukrywać swych sympatyj dla kierunku Orzeszkowej, ale powinien był ocenić ją przedmiotowo jako artystkę, inaczej może się narazić na zarzut, że to, co o niej pisze, jest panegirykiem dla osoby swego stronnictwa. Wygląda to tak zwłaszcza przy ocenie Bolesława Prusa, który wprost został pokrzywdzony. Autor krytykuje młodociane próby tego pisarza, jak np. „Listy ze starego obozu”, lub „Kłopoty babuni”, które są tylko pierwszymi krokami na niwie bele-

trystycznej. a opuszcza najlepsze jego utwory. jak „Lokatora z poddasza”, „Sen Jakóba” i mnóstwo innych. Gdyby Chmielowski nie był zapomniiał o pierwszej tej pracy, nie byłby z pewnością napisał, że Prus nie ma talentu do przedstawiania ludzi rzeczywistych; że figury jego są to „karykatury, podobniejsze pod względem zachowania się do pawianów niż do rodu człowieczego”. Podawać taki wywód, jako ogólnie charakteryzujący pisarza. dlatego, że ten jako jeszcze student napisał kilka fars, a zapominać o dalszej jego działalności, nadwyzczaj dodatniej zawsze pod względem społecznym a nieraz wybornej pod względem artystycznym, jest to zaiste iść zbyt daleko na drodze antypatyi. Tak nie wolno! Należy pamiętać, że prócz krytyka, krytykowanego i ich wzajemnych sympatyj lub antypatyj jest jeszcze ktoś, komu z obowiązku trzeba mówić prawdę, to jest ogół czytelników. Oto leży przed nami pierwszy tom utworów Prusa. Obejmuje on „Przygodę Stasia”, „Antka”, „Powracającą falę”, „Michałka” i „Sieroce dole”. O tych wszystkich powieściach niema ani słowa w Zarzysie literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu. Co to znaczy? Jak sobie tłumaczyć podobne przemilczenia? Biorąc na uwagę sumienność Chmielowskiego i usuwając na bok wszelkie podejrzenia, że owo milczenie jest umyślnem, niepodobna jednak nie dojść do wniosku,

że książka jest do wysokiego stopnia stronna i do wysokiego stopnia niedokładna. Takie dwie wady wystarczają, by odmówić jej wyższej wartości. Dowiadujemy się o Prusie, że jego „rysunek charakterów daleki jest nie tylko od mistrzostwa, lecz nawet od poprawności; kompozycja zaś całości bardzo luźna”. Ośmielimy się wbrew tej opinii twierdzić, że Prus w „Lokatorze z poddasza” i w „Powracającej fali” dochodzi do wysokiego stopnia biegłości w kreśleniu charakterów. Twierdzimy wprost, wbrew Chmielowskiemu, że ludzie Prusa tacy, jak stary Jakób, jak młynarz Stawiński, kowal Szarak, jak Niemiec Gotlieb Adler, są to przewyborne typy, obserwowane świetnie i oddane z dickensowską plastyką. Gdy stary Adler rozpacza po stracie syna, zdaje się czytelnikowi, że tę elementarną duszę ludzką trzyma wprost za puls i odezuwa wszystkie jej bolesne drgania. Chmielowski jednak widocznie nie czytał „Powracającej fali”. Ale w takim razie któż ma czytać, jeśli nie ten, kto pisze literaturę? Co do nas, żadna z postaci E. Orzeszkowej, ani nawet w noweli lepszego od niej Okońskiego, nie upamiętniła nam się w życiu i nie towarzyszy na zawsze; natomiast pamiętać będziemy długo biednego Jakóba i tragicznego w swym rozdartym egoizmie Adlera. Zestawiamy te najlepsze utwory Prusa z nowelami Okońskiego i zdajemy się na sąd każdego bezstronnego czytelnika.

ka, czy owe drugie nie ustępują pierwszym pod względem plastyki, charakterów i tej czyśto literackiej zdolności tworzenia ludzi żywych? A jednak Karol Krug, Damian Capencko i Klemens Boruta znalazły łaskę u Chmielowskiego—o Prusie przemilczał. Z tego, co napisał, czytelnik może sądzić, że, o ile Okoński jest znakomitym nowelistą, o tyle Prus mierzalnym—i tak sądząc, czytelnik będzie się mylił; opinia, prowadzona w ten sposób, jednym nad zasługę się pokłoni, drugim nie odda tego, co im się należy. Zawsze i wszędzie te błędy, ten brak wyższego polotu w sądach o utworach beletrystycznych, przypisać należy fałszywemu zasadniczemu stanowisku Chmielowskiego. Stanowisko to nie jest dość wysokie, nie dość obiektywne, pogląd niewyrobiony, młodzieńczy i zaciasny do pisania literatury, bo formowany z punktu widzenia dziennikarza należącego do partii. Odbija się to ciągle i fatalnie w ustawicznych kontrydykeyach. Mówiąc o Świętochowskim, autor pisze: „Przenośnie jego i porównania oryginalne, świeże, a zwykle nader trafne, nie mają nic wspólnego z figurami retorycznymi; polegają one przeważnie na przywracaniu znaczenia konkretnego”. Pisząc to, Chmielowski sprzeciwia się sam sobie; bo jakże nazwać taki sposób pisania, jeśli nie właśnie retorycznym? Świętochowskiemu mniej chodzi o to, by osoby jego dramatów zarysowały się

w dyalogach ze strony swych charakterów, jak o to, by parowały jedne cięcia i pchnięcia językowe drugiemu. Taki sposób pisania wywołał dalszą uwagę Chmielowskiego, że „bogactwo i różnorodność natury ludzkiej sprowadzone zostały w dramatach Okońskiego do minimum”. Ale znowu jest to sprzeczne z tem, co mówi autor o świetnościach stylu rzeczonoego pisarza. bo jeśli styl ten polega w znacznej części na nadawaniu wyrazom abstrakcyjnym znaczenia konkretnego, tedy częstokroć musi być zawiłym, wysiłonym i wysoce sztucznym. Jest to metoda zapożyczona od Szekspira, ale w Szekspirze odbija ona sposoby mówienia współczesnego, współczesną modę. Postacie żyjące za czasów szekspirowskich, lordowie i baronowie z dworu Elżbiety, istotnie tak a nie inaczej mówili. Szekspir, kładąc im w usta retorykę, sztuczne igranie ze słowami, lub każąc szermować językiem, czyni to umyślnie, a nieraz i w sposób satyryczny. Dramaturg, który tworzy przeważnie tylko dyalektyków, nie zaś żywych ludzi, mija się z dramatycznym założeniem. Między pracami Okońskiego są bardzo dobre, jak: *Antea*, *Helvia*, *Na targu*, ale i słabe, wymęczone i sztuczne, jak: *Ojciec Makary* lub *Blazen*. Autor przestaje być w nich oryginalnym. Naśladuje język Szekspira w tem, co za czasów szekspirowskich było przymiotem a dziś i w dzisiejszem pisaniu jest wadą—

nie umie zaś pójść za Szekspirem w odtwarzaniu całego bogactwa i różnorodności natury ludzkiej. Świętochowski posiada umysł bystry i styl wyrobiony: jest niepowszednim publicystą, ale pisarzem średniej miary, którego główną wadą jest, że częstokroć w tworzeniu wysila się i przesadza. To, co o nim pisze Chmielowski, pisze ze stanowiska partji. Jest to wieniec za waleczność w walce młodych ze starymi. Z tegoż stanowiska stara się Chmielowski wytłumaczyć Narzymskiego, że w swej komedyi „Pozytywni” nie myślał zapewne o pozytywizmie Comte’a. Naszem zdaniem, gdyby nawet miał na myśli wykazanie zgubnych owoców tejże filozofii, stosowanej bezwzględnie w życiu praktycznem, to nie ubliżałoby jego artystycznej zasłudze, gdyby tylko sama komedya nie była gorszą niż jest. Nieprzyjemnie także razi w książce Chmielowskiego ustawiczne powtarzanie komunalnego zarzutu w luźności kompozycji. Zarzut ten stosowany jest do Kraszewskiego, do Prusa, do Łozińskiego. Zdaje się nieraz, jakoby Chmielowski mówił to dlatego tylko, że mu wypada postawić jakiś zarzut. Czasem spotykamy tak dziwne kontradykcyje, że znowu nie chce się wierzyć czytając. Oto np. o Sabowskim mówi Chmielowski: „Posiada on równą (Bałuckiemu) a może i większą żywość stylu, iskrzący się dowcip, dader trafnej obserwacyi i tę „umiejętność za-

ciekawiania", która każe odczytywać utwory jego do końca, choć czasami czytanie to nie jest wolne od nieprzyjemnego tu i owdzie ziewnięcia". Jedno z dwojga: albo się nad Wołodym Skibą nie ziewa, albo Wołody Skiba nie posiada daru zaciekawiania: jeśli zaś się ziewa, to dar ten jest małym. Przedewszystkiem jednak co kogo nauczy taki sąd o pisarzu?

O całej literaturze naukowej, zatem historycznej, filozoficznej i naukach przyrodniczych, niewiele nas poucza „Zarys literatury". Tam, gdzie nie było można przygotować ogólnego punktu widzenia, tam gdzie spokojna, ściśle naukowa praca nie dawała się zamknąć w ramy dziennikarskiej walki młodych i starych, autor traci poniekąd filozoficzny grunt pod nogami, i zamiast dać syntezę ruchu naukowego, podaje tylko szczegóły. I tu zbyt mała szerokość ram jest przyczyną owego braku syntezy. Rozdziały też końcowe są tylko mniej więcej dokładnym katalogiem dzieł i autorów. Nie związane w jedną organiczną całość z poprzedniami, a zwłaszcza z pierwszą częścią książki, wyglądają one jak luźny dodatek, przyczepiony gwozi konieczności uzupełnienia dzieła. W drugiej zresztą jego części znajdzie się nieco i trafnych uwag, ale przeważające wady, w połączeniu z fałszywym punktem wyjścia, brakiem obiektywności i ciasnym stronnictwym poglądem, jakim odznaczają się „Prze-

konania i dążności”, sprawiają, że całe dzieło uważać musimy za bezwarunkowo chybione. Jako kryterium do tego sądu o Chmielowskim użyliśmy samego Chmielowskiego, i z porównania takich prac jego, jak studyów o Kaczkowskim, Rzewuskim, z „Zarysem” doszliśmy do przekonania, że „Zarys” nie stoi na wysokości dotychczasowych prac autora. Od Chmielowskiego można było i oczekiwać i żądać więcej. W tych ostatnich słowach leży może potępienie dla książki, ale uznanie dla autora. Pisaliliśmy sine ira et studio. Dla Chmielowskiego „Zarys” może być wskazówką na przyszłość, jak niebezpiecznie jest zamykać sobie do browo linie horyzont, występując z sądami o całości literackiej w barwie dziennikarskiej partyi. Książka jego nie jest dowodem, jak trudno jest pisać dzieje współczesne, ale jak trudno jest pisać dzieje współczesnemu, który nie umie na sobie przemódz, by nie występował jako rzecznik jednych przeciw drugim. Rozumiemy, że historyk literatury musi mieć swoje przekonania, i tam, gdzie walka toczy się o zasady pierwszorzędne w literaturze znaczenia, gdzie idzie o takie: być albo nie być, jak szło między klasycyzmem a romantyzmem, tam musi opowiedzieć się pod tą lub ową chorągwią. Ale gdzie ideały są jednokie, a rozdział sztuczny, a walka blaha i bezcelowa, tam trzeba umieć patrzeć z góry, tam rzecznictwo za je-

dnymi przeciw drugim błahe tylko może wydać owoce. Do takich owoców cierpkich a przedwczesnie z drzewa spadłych musimy z przykrością zaliczyć „Zarys literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu”.

Mówimy: z przykrością, gdyż w Chmielowskim jest materyał na to, by w przyszłości zajął podnioslejsze stanowisko. Sam on w końcu wyraża życzenie, by nie posądzali się i nie szkalowali wzajemnie. Mówi dalej, że potrzeba u nas poglądów spokojnych i beznamiętnych. „bo spotwarzanie się wzajemne jest dowodem gorącego usposobienia, ale niewielkiej nauki”. Kończy wreszcie na zdaniu, że tam, gdzie cel jest wspólny, tam należy i zrobić wiele ustępstw. Złote słowa! Ale gdy się wierzy w cel wspólny, gdy się wzywa do pokoju, po cóż było apoteozować walkę prowadzoną nie tylko nie o cele, ale nawet nie o środki? Po co było ostatniemi słowami książki przeczyć? pierwszym?

Gazeta Polska, r. 1881 № 211, 212, 213.

Szkice Literackie.

II.

Pisma Bolesława Prusa. Przygoda Stasia. Powracająca fala. Michałko. Sieroca dola. T. I. Warszawa 1881.

W młodszej generacji pisarzy Bolesław Prus zajął jedno z wybitniejszych stanowisk. Jest to talent, zbyt mało może dotąd podnoszony przez krytykę, ale lubiony przez czytelników i wpływowy. Ci nawet, którzy znajdują go zbyt szorstkim, chętnie biorą w rękę jego utwory; literaci, ludzie fachowi, umiejący ocenić robotę artystyczną i lubować się nią, mimo usterków całości doznają prawdziwie przyjemnego uczucia, wczytując się w te prace pełne humoru, prawdy, wybornej charakterystyki i samorodności talentu, który tworzy łatwo, naturalnie i nadzwyczaj szczerze. Nakoniec, mimo iż w utworach Prusa akcja oparta jest częstokroć na dość zawitych procesach psychologicznych, czytają go jednak z zajęciem i ludzie prości. Tworzy on sobie czytelników w sfe-

rach, w których nikt z piszących nie umiał ich dotąd utworzyć—i to jest wielka Prusa zasługa. Fakt ten tłumaczy się tem, iż owi czytelnicy, stojący na niższych szczeblach oświaty i rozwoju duchowego, znajdują w utworach Prusa samych siebie. Wielu spraw i obrazów nie rozumieją zapewne jasno, ale w całości uderza ich, mimowolnie może, trafna prawda, dająca się zastosować w życiu praktycznem do nich samych, do ich sąsiadów i znajomych. Życie samo daje im klucze i kryterjum do tych powieści. Ale Prus nie tylko wytworzył sobie czytelników w klasach, które dotąd nie czytały—wprowadził on i do literatury beletrystycznej żywioł dotychczas prawie wcale przez nią nie uwzględniany. Kto wyjedzie na przedmieścia stolicy, ten ujrzy domy przydrożne coraz mniejsze, nędzniejsze, coraz bardziej środkujące między miejskimi budowlami a chatami wiejskimi, wreszcie dojedzie do miejsca, w którem niewiadomo co ma przed oczyma: wieś czy miasto. Domki bywają czasem jeszcze piętrowe, ale już drewniane; za domami ciągną się ogrody i wyczołki pól uprawnych, przed mieszkaniem stoją kałuże wody, w której rozkoszują się gęsi i kaczkę, ale w domach samych istnieją jeszcze sklepiki, nad nimi szyldy, jak w miastach. Takie podmiejskie okolice zamieszkuje też i ludność, środkująca między miejską kapotą a wiejską siermięgą: klasy wyro-

bnicze, utrzymujące się bądź to z pracy fabrycznej, bądź z dziennego w mieście wyrobku.

Są to pół chłopi, pół mieszczenie. Wobec zmienionych warunków gotowi oni trudnić się i rolą, ale w mieście są jak u siebie; wiedzą gdzie czego szukać i jak się obrócić. Tę klasę ludzi Prus pierwszy wprowadził do literatury, zarówno jak i klasy niższe czysto mieszczańskie, bądź stołeczne, bądź prowincjonalne: niższych rzemieślników, woźniców, robotników rękoźmielniczych, parobków mularskich, brukaarzy, młynarzy, kowali i t. p. Literatura powieściowa szukała przedmiotów w salonach, w dworach szlacheckich, dworach zaściankowych i w chatach wiejskich, ale pomijała zaułki i żyjącą w nich warstwę społeczną, ważną, bo liczną, a mającą tę wyższość nad wieśniactwem, że przejęta jest duchem obywatelskim. Prus obserwował właśnie tego rodzaju ludzi podobno od dzieciństwa, stąd łatwo mu było otworzyć drogę do tego ulicznego świata. Jakoż stworzył on przed nami dusze takich ludzi, odmalował ich byt, dołę i niedolę, ich obyczaje, i pierwszy przemówił w druku ich sposobami myślenia i mówienia. Prus z natury swej jest filantropem, dlatego ta klasa ludzi, po większej części biednych i potrzebujących opieki społecznej, pociągnęła go nadzwyczaj szczerze. Z drugiej strony pociągnęły go ku niej także i zamiłowania artystyczne. Jest on bystrym ob-

serwatorem. Już samo przypatrywanie się objawom wybitnym, to jest objawom takiego życia, które nie wtłoczone w jednostajne i konwencyonalne formy wpływami wychowania, przedstawia się w pierwotnej szczeroci. Stąd kuźnia, w której kowale, kując młotami, mówią, co im tylko do głowy przyjdzie, albo warsztat szewcki więcej mu się uśmiecha, niż salon, w którym każdy się miarkuje i stara się być podobnym do swego sąsiada. Temu autorowi, posiadającemu najwięcej prostoty ze wszystkich piszących, najbardziej przypadają do smaku i ludzie prości. Patrząc na nich, słuchając ich gwary i notując co ujrzy lub usłyszy charakterystycznego, uśmiecha on się uśmiechem najserdeczniejszego w świecie humoru, który rodzi się z porównania tych właśnie ludzi i ich umysłowego rozwinięcia z ludźmi, należącymi do klas wyższych. Humor, wydobyty tak naturalną drogą, musi udzielać się i czytelnikom, którzy także porównywając siebie z bohaterami prusowych powieści, mogą łatwo a z przyjemnością zauważyć swoją obvezajową wyższość, a zarazem ubawić się oryginalnością—opisywanych stosunków. Prus może jeszcze i dlatego zwraca się tak chętnie ku niższym klasom miejskim, że humorystycznego żniwa dostarczają mu one jeszcze obficie od wiejskich, gdyż nie są tak odrębne, nie tworzą świata zupełnie innego, a przytem z prostotą i szczerocią wie-

śniaków łączą pewne frantostwo i wygadanie się czysto miejskie. Nakoniec Prus styka się z nimi codziennie, kocha je i przejmuje się losem równie szczerze jak bezpośrednio. Stąd nadzwyczajna prawda w jego utworach. Z bezpośredniej obserwacyi i z życia czerpiąc — życie daje. Pod względem też obyczajowym powieści jego są pierwszorzędnej wartości. Pisze on je nie dlatego, żeby coś napisać, żeby zjednać sobie sławę literacką, pootwierać szpalty zamożnych dzienników, ale z czystego zamiłowania. Z tego powodu pisze dobrze. Kto mocno czuje, ten tworzy z siłą, a tam prawda mówi sama za siebie, choćby całość nie była należycie w powieściowy sposób zaokrąglona i ściągnięta w literackie zakończenie. Umysł ten, z natury trzeźwy i zachwycający się realnością życia, postanowiwszy sobie raz chwytać jego objawy, gdy ich się nachwyta dostatecznie tak żywych i istotnych, że prawie pałką w głowę bije — mniej dba o resztę. Jest w takiej metodzie pewna brawura, ale jest tu i zapominanie o tem, że same fakta życiowe nie stanowią jeszcze powieści. Prawda, że Prus nie widzi w naturze grupowania się faktów w jakieś organiczne całości, więc może uważa to za zbyteczne i w literaturze. Jest to realista najczystszej wody nawet i pod tym względem. Ale natomiast nie baczy na to, że powieściopisarz powinien właśnie takie wybierać fakta, tak je grupować i

ustawiać, by tworzyły całość, i że takie „organizowanie” jest poniekąd zadaniem powieści. Życie dla autora powieściowego jest tem, czem glina dla rzeźbiarza, która dostarcza mu realnego materyału, ale sama przez się jest bezkształtną. Dopiero pod ręką artysty, zapatrującego się na kształty życiowe, nabierała ona form plastycznych. Ale czerpiąc ogólne wzory w naturze, artysta winien umieć zrobić wybór, winien tehać w nią własnego ducha, zaprowadzić ład artystyczny i wyrazić przez nią swój ideał. Jest to twórczość wyższa nad naśladowanie natury, w której z konieczności mieści się już pojęcie organicznego planu. Nie mówimy, by w utworach Prusa nie było zgoła żadnego planu, by one weale nie tworzyły całości, warunki te jednak uważa Prus za podrzędne, główną wagę przywiązując do stworzenia człowieka, do wykazania jego życia a naje częściej i jego niedoli, w tak niepowiązanych stosunkach, w jakich rozegrywa się życie w naturze. Z tego powodu można powiedzieć, że w utworach Prusa prawda przeważa nad pięknym ładem, z drugiej zaś strony można o nim także powiedzieć i to, co H. Taine mówi o Dickensie, to jest, że ludzkość więcej kocha niż sztukę, czyli że filantrop góruje nad artystą. Weźmy pierwszą jego nowelę ze zbioru ogólnego, zatytułowaną: „Przygoda Stasia”, a wraz ujrzymy, o ile mniej Prusowi chodzi o kompozycję, ni-

żli o typy. Treść tej noweli następująca: Młynarz Stawiński ma córkę Marysię, trochę dziwką, ale hożą jak róża dziewczynę. Od śpiewania brzmiał cały stary młyn, staw, trzciny i zarosła nad stawem. Dziewczyna mimo całej swej realności jest jak „Wiochma” Lenartowicza: śpiewa i roi. Gdy się zabląka w łódce na stawie, i gdy mgły ją otoczą, stary młyn woła na nią niby gniewliwie, a troskliwie: Małgoś! Małgoś! Małgoś! Wreszcie gdy z wiekiem mgliste jej marzenia coraz wyraźniejsze przybierają kształty, znowu młyn przychodzi jej z pomocą. Oto pękła w samym środku. Dla reparacyi przyjeżdża kowal Szarak i... każdy inny pisarz osnułby tu sielankę, któraby się skończyła małżeństwem lub pogrzebem. Dla Prusa to dopiero początek powieści. Myliłby się czytelnik, gdyby przypuszczał, że kowal z młynarzówną wiodą rozmowy nastrojone na ton wysokiej liryki. Oto dwa dni dopiero jak się poznali, robota już skończona, a teraz siedzą pode młynem i Małgosia rozpytuje:

— To pan Józef mieszka o pół mili za miastem, na górze?

— Ale, ale. Na onej, co do łąki idzie, co to jest płot chróściany i trochę drzewin - odparł kowal.

— Jakiby tam sad był! Zarazbym nasadziła buraków, kartofli, fasoli i kwiatów, żeby to moje.

Kował spuścił głowę i milczał.

— I chatę pan Józef ma ładną. To ta, co przy niej studnia z żórawiem?

— Juści ta, ale niema komu dbać o nią.

— Żeby tak na mnie -- mówiła Malgosia — obielilabym ją jak się patrzy, w oknabym dała firanki i doniczki, w izbie zawiesilabym wszystkie te obrazy, co mam... Czemu pan Józef tak nie robi, zarazby mu przecie było weselej.

Kował westchnął.

— Eh! -- rzekl. — Żebyśmy tak bliżej mieszkali, toby mi zaraz Malgosia ochoty dodała i poradziła gdzie co zrobić!...

— Oj! oj! samabym nawet zrobiła, jakby pan Józef poszedł do kuźni!

— Ale na taką dalekość — ciągnął kował, biorąc dziewczynę za palec — toby pewnie Malgosia nie chciała odejść starego?

Teraz młynarzówna umilkła.

— Okrutnie mi się Malgosia spodobała, sprawiedliwie mówię! jak człowiek teraz wróci do domu, to rady sobie nie da. Ale Malgosi nie po tem! Malgosi toby się jaki rzadca patrzył?

— Ja przecież wiem, co pan Józef jest wart! -- ofuknęła go dziewczyna, odwracając głowę.—O żadnych tam rzadcach nie myślę, tylko o tem, żeby...

I znowu umilkła, ale teraz kowal wziął ją już za całą rękę.

— No — spytał — a poszlaby Małgosia za mnie?

.

Ani jednej fałszywej, sentymentalnej nuty w całej rozmowie, a pomimo tego czytelnik czuje, że kowalowi naprawdę „okrutnie” się Małgosia spodobała. Jest to śliczny dyalog, bo naprzód i kowal i młynarzówna rysują się w nim odrazu z całą charakterystyką ludzi swej klasy. Czuje się, że to portrety—i to poczucie trafności podobieństwa, które czytelnik sprawdza, sprawia mu niemałe zadowolenie. Prócz tego mimowoli porównywa całą naiwność Małgosi, która sama prawie wprasza się kowalowi, z wytwornością form używanych w takich wypadkach między klasami wyższemi. Z tego porównania znowu rodzi się komizm najszczerzy w świecie. A jednak rozmowę tę wyjęliśmy na chybi trafi. W całej noweli pełno jest podobnych. Gdy stary Stawiński płaci kowalowi za robotę — Szarak jest markotny.

— A co, synku — pyta młynarz — jeszcze ci krzywda, żeś mi dwadzieścia i trzy ruble z kieszeni wypłoszył?

A kowal na to:

— Za takie wyrychtowanie młyna toby mi się i córka od was należała.

— Co?—krzyknął stary. — może wolisz dziewczuchę niż pieniądze?

— Wolę i to i to.

Stawiński spojrział mu bystro w oczy.

— Ale ja za nią teraz gotówki nie dam, dopiero po mojej śmierci.

— Dłużej mnie niż wam na świecie — odparł Szarak i pocałował go w rękę.

Znowu i prawda, i charakter i komizm. Któżby z czytelników tak naiwnie powiedział teściowi: „dłużej mnie, niż wam na świecie!” i pocałował go przytem w rękę? Ale takie rozmowy nie stanowią wszystkich piękności. W tym realiście, w tym malarzu ze szkoły flamandzkiej, siedzi poeta, który pod wpływem piękności natury rozmarza się, i wtedy czuje mocno i maluje prześlicznie stosunek natury do człowieka żyjącego z nią blisko.

Oto dowód na poparcie tego zdania:

„We święta młyn cichnął. Tylko zardzewiałe chorągiewki na dachu skwierczały żałośnie, a przy stawidłach szemrały cienkie strumienie wody, z płaczem upadając na ślizkie koła. Wówczas, jeśli latem wieczór był ciepły, siadała Małgosia w czółno i płynęła het! na ogromny staw, skąd było tylko widać wierzchy młyna.

„Tu zadumana nad głębią, gdzie jak cie nie mknęły ryby, przysłuchiwała się szelestom tataraku na kępach, krzykom zwolujących się

ptaków wodnych, albo zwiesiwszy głowę na krawędzi czółna, patrzyła jako z dna stawu wypływają gwiazdy jedna za drugą, a na powierzchni fali drży długi snop księżycowego światła. Niekiedy widywała cieńsze od pajęczyny szaty, które dziewice wodne wieszały na kiołkach nocnej rosy... To welon... to płaszcz... a to suknia powłóczysta... Płynęła ku nim, lecz wiatr odrzucał je na łakę, na której wnet tworzyło się jezioro z mgły srebrnobiałej, pełne płasających blasków i cieniów... Kto się tam bawił i dlaczego jej nie dopuszczano?

„Tymczasem nadchodziła północ. Łódka poczyniała drżeć, między kępami rozlegały się ciche pluskania, poza łazciną rozpalały się światła tajemnicze i blade, zdradziecka mgła zasnuwała drogę Małgosi i słychać było, jakby ktoś szeptał po kępach: „Hej! hej! nie wyjdzie stąd dziewczyna!”

„Ale nad samotną czuwał młyn, wierny przyjaciel. Nagle drobnoszybne oczy jego w opone mgły rzuciły płomienie, czarne wielonożne cielsko poczęło dygotać i w tej samej chwili doleciał uszu otumanionej dziewczyny znany jej hukliwy głos, który wołał z gorączkowym pośpiechem:

— Małgoś! Małgoś! — Małgoś! Małgoś?

„Teraz dziewczucha spokojnie odkładała wiosło, bo porwany w ogromną paszczę mlyna

prąd wody sam ku stawidłom niósł czółno. Kładła się na dnie łódki, jak senne dziecko w łagodnie bujanej kołysce, z uśmiechem patrzyła na blade płomyki, skaczące z gniewu nad bagnem, i na chłodne, wilgotne sieci dziewic wodnych, które ją omotać chciały. A stary młyn coraz mocniej gniewał się i krzyczał: Małgoś! Małgoś! Małgoś! niespokojny o swoją dziewczynę...”

Przytoczyliśmy cały ten ustęp, gdyż jest on poezją najczystszej wody, nie naśladowanej znikąd, ale płynącej z głębokiego poczucia natury, z przejęcia się jej pięknościami i z umiejętnej obserwacyi. Młyn w tym opisie jest istotą żyjącą, która kocha, gniewa się i troszczy. Ze wszystkich piszących Prus posiada największą zdolność obserwowania rzeczy martwych lub istot bezrozumnych. Ta właściwość zbliża go także do Dickensa. Jest to wyobraźnia rzeczy, miejsc i szczegółów, z której autor umie wykrzesać i sytuacje liryczne i szczególniejszy komizm. W dalszym ciągu powieści pełno na to dowodów. Małgoś wychodzi za mąż za Szaraka, dotrzymuje zapewne wszystkich obietnic co do wybielenia chaty i zasadzenia ogrodu, a nadto po roku przynosi mu małego Stasia. Odtąd ów Staś i jego czworonożny przyjaciel Kurta stają się bohaterami opowiadania. Właściwie o nich to rzecz idzie, a raczej o małego Stasia, którego w końcu spotyka niezbyt dramatyczna

przygoda. Oto matka, wybrawszy się do dziadka Stawińskiego, przywiązała wózek Stasia do wolanta sędziego Łaskiego. Pod górę było dobrze, ale gdy nagle sędzia zjechał z góry, Staś zniknął z oczu matce. Nie pomogły krzyki i wołania. Pan sędzia tymczasem przyjechał do domu, nic nie wiedząc, jaki ciągnie za sobą dodatek. Goście się śmieli, szafarka utrzymywała, że malec do pana podobny, a pani sędzina, piękna bezdzietna blondyna, oświadczyła ze łzami mężowi, „że mu to przebacza”. Wreszcie właściwa matka odnajduje zgubę i... koniec.

Musielibyśmy chyba całe ustępy cytować, chcąc dać dokładne wyobrażenie czytelnikowi, ile i jak wybornej autor zużył obserwacyi na odmalowanie małego Stasia i pierwszych jego wrażeń. Jest to poprostu znakomite studyum psychologiczne, pisane z powieściopisarską werwą i niezrównanym humorem. Kurta odmalowany z równą miłością jak Staś. Tu autor czuł się na właściwym gruncie, bo też sen Kurty, w chwili gdy pilnuje śpiącego w ogrodzie malca, mógłby nawet hypokondryka rozweselić.

Wszystkie te miejsca są pierwszorzędnej wartości; ale rzućmy teraz okiem na całość. Oto naprzód „Przygoda Stasia”, a z nią i powieść, mogłaby się śmiało zaczynać od przyścia na świat samego Stasia. Młynarz Stawiński, młyn, Małgosia jako dziewczyna, Szarak jako

majster wezwany do naprawy młyna. —słowem, cały początek powieści jest prześlicznym dodatkiem, ale zgola luźnym i nie stojącym w bezpośrednim związku z samą przygodą. Czytelnik z początku spodziewa się, że utwór jest nowelą, której treść polega na miłości kowala do młynarzówny; potem spostrzega, że jest to epizod stanowiący sam w sobie odrębną całość, a że głównie chodzi o Stasia. Doczytawszy wreszcie do końca, trudno nie zadać sobie i autorowi pytania: czy warto było nagromadzić tyle typów, tyle podpatrzonych tak bystro objawów życiowych i tyle piękności, by skończyć na przyczepieniu wózka z małcem do wolanta i na sytuaeyi, w której główną rolę gra zaambarasowanie się sędziego i Stasiowej matki? Treść nader blaha! brak porządku w grupowaniu epizodów i prawie żadnego planu. Wszystko razem wygląda jak bardzo piękny haft na kanwie, nie tylko parciej, ale podziurawionej. Dla piękności haftu można wszystko darować; ale krytyka, podnosząc wysokie zalety autora i wszystkie, charakteryzujące go właściwości, winna ukazać i na niedostatki, tak ze względu na czytelników, jak i na samego autora.

O noweli „Antek” można powiedzieć mniej więcej to samo, a nawet i dodać, że brak jej tej swobody i naturalności, jaką odznacza się „Przygoda Stasia”. „Antek”, zapoznany geniusz wioskowy z nadzwyczajną zdolnością do me-

chaniki, nie wychodzi wprawdzie z granic możliwości, ale nie jest typem, tylko wyjątkiem. Czytelnik nie ma go z kim i z czem porównywać, nie umie go sprawdzić, a musi przyjmować go na wiarę autora. Pozbawia nas to tej przyjemności, jaką znajdujemy w odkrywaniu, że to, co autor pisze, jest prawdziwem i podpatrzonem trafnie. Wreszcie Antek mniej dotrzymuje niż autor zapowiada, bo to, że struże wiatraki, umie okuć konia, lub wystrugać z drzewa krzyżyk, nie stanowi nic wielkiego i nie wynagradza tego, że Antek nie ma cech typowych. Widzimy malca zabląkanego jakoby wypadkiem w świat wiejski i poniekąd mu obcego, który zatem wydaje się jakąś sztuczną roślinką, a nie ma dość w sobie danych, by nas szczerze zająć i wzruszyć. Poza swoją zdolnością do mechaniki, jest to jakiś bajronista wioskowy i trochę próżniak. Do chaty matusinej zajrzała wreszcie bieda, więc Antek ruszył w świat, do miasta. Co dalej będzie—niech czuły słuchacz w swej duszy dośpiewa. Powieść się kończy na wezwaniu autora do czytelników, by, jeśli spotkają biednego chłopaka, szukającego pracy i schronienia, nie odpychali go nieczule. Ze stanowiska filantropii zgoda na takie zakończenie, ale pod względem artystycznym „Antek” jest nowelką, która jak bohater poszła w świat... i nie dalej. Brak jest końca. Wygląda ona jak pierwszy rozdział jakiegś

powieści. Środek zaś szwankuje tem, że autor trochę przemocą ciągnie nasze współczucie dla bohatera, zapewniając nas, że to jest dziecko wyjątkowe. Takie wyjątkowe dzieci dostarczyły już bohaterów do niejednej noweli; ale by takie nowele zjednały sobie wyjątkową łaskę i krytyki i czytelników, potrzeba, by w nich artyzm doszedł do maksimum, by względ estetyczny przeważał wszystkie inne i by czarodziejstwo stylu i uroki obrazów pokryły zczubem wszelkie niedobory tematu. W „Antku” niema tego. Względy społeczne i filantropijne przeważały w umyśle autora nad artystycznymi i z tego powodu nie wyszedł zwyczajsko z trudności. Czytelnik nie zdaje sobie sprawy, czego autor chce i czego od niego żądają. Czy żeby wyszukiwał po wsiach zapoznanych geniuszów? Zapewne nie! Gdyby autor chciał tylko zachwycić pięknosciami obrazka — kwestya stałaby jasno. Od Antka samego lepsze jest jego otoczenie, bo rysując je robił to, co najlepiej umie robić, to jest kreślił ludzi prostych, **naturalnych**, słowem: typy. Dzięki temu otoczeniu, nowela daleką jest od mierności. Wady jej leżą raczej w jej rodzaju, polegającym na roztkliwianiu czytelnika losem istot małych i bezbronnych. Powtarzamy, że tylko nadzwyczajny artyzm może zbawić ten rodzaj, **który od pewnego czasu wszedł w modę**, a z którym wypadłoby prędko skończyć, bo inaczej przejdzie w ekliwą ma-

niere. Nie wątpimy na mocy „Przygody Stasia”, „Lokatora z poddasza“ i innych prac Prusa, że może on się zdobyć na ów konieczny stopień artyzmu, ale w „Antku” nie chciało mu się nań wstąpić, w tem przynajmniej, co się tyczy głównego bohatera. Na tle całości są perełki, ale przyszywane grubym ścięgiem, który przyćmiewa ich blaski.

Do podobnie pobieżnych robót należą: „Michalko” i „Sieroca dola“. Ta ostatnia powieść nie powinna była nawet znaleźć miejsca w ogólnym zbiorze pism, który powinien być zarazem wyborem. Jest to utwór trzymany w nastroju tak popularnym, że właściwymby był w wydawnictwach ludowych. „Michalko” ten należy także do kategorii zapoznanych i bezbronnych. Ludzie i bieda grają sobie nim w piłkę. Potem ucieka w świat, zupełnie jak Antek, i nie wiadomo co się z nim dzieje. Rażąca jednostajność w zakończeniach. „Sieroca dola” wreszcie również kończy się wyjazdem Jasia. Jest więc trzech takich, którzyby mogli zaświadczyć, że autorowi brak albo pomysłowości, albo cierpliwości, żeby jak należy kończyć swoje utwory. Trzech świadków—liczba wystarczająca! Obie te powieści wyglądają jak materyał in crudo, któryby należało dopiero wlać w jakieś określone estetyczne powieściowe formy. Jest to luźny szereg obrazów ludzi, rzeczy i miejscowości. Jako materyał takie to bogate, że obserwacyą,

zużyta do zebrania go, mogłoby się śmiało obdzielić kilku powieściopisarzy. Jest to kolekcya szkiców niewykończonych, ale kreślonych z wielką wprawą i oryginalnością. Jako całość przedstawiają się chaotycznie, przez co ogólny obraz szwankuje. Nieznawca przejdzie obok niego obojętnie, znawcę zastanowi robota pojedynczych części, samorodność talentu autora i jego oryginalność. Prus ma właściwy sobie sposób patrzenia na ludzi. Jest to, jak wspomnieliśmy, filantrop. Na biedę, niedolę, ciemnotę patrzy on z miłością—ale temperament posiada czysto powieściopisarski. Dzięki owemu temperamentowi, uderzają go przedewszystkiem ekscentryczne strony biedy, niedoli i ciemności,—takie, w których rysuje się ona najwybitniej w swym odrębnym charakterze. Te formy miaują czasem i cechy komiczne; wówczas powieściopisarz bierze górę i Prus staje się humorystą, choć na dnie tej czary humoru tak jowialnego i szczerego leżą lzy. Znowu mimowoli nasuwa się porównanie z Dickensem. Prus go nie naśladuje bynajmniej. Czerpie on wszystko z siebie i swego otoczenia, ale jest do niego podobny. Anglik jednak przewyższa Polaka dokładnością spostrzeżeń i zakresem ich; Dickens bowiem obejmuje w swych powieściach wszystkie niemal klasy towarzyskie, gdy tymczasem Prus ogranicza się prawie wyłącznie do niższych miejskich. Na wsi nie czuje

się on już równie swobodnym, chyba także między rzemieślnikami. Zresztą obaj są nadzwyczaj litościwi. Kochają nie ludzkość jako ideę — ale wprost ludzi, zwłaszcza biednych. Pod tym względem Prus nawet jest nieco jednostronnym. Gotówby on powiedzieć każdemu fra-kowi i surdutowi: „help yourself! ja mam swoich biednych!” Maluje on też swoje uprzywilejowane klasy najczęściej same w sobie, nie zaś w zetknięciu się z wyższymi i bardziej oświeconymi, co także jest jednostronnością. Otwiera ona przez to alkierz robotnika lub rzemieślnika i pokazuje nam jego życie wewnętrzne, ale nie wyjaśnia stosunku życiowego tych ludzi do klas wyższych, pozbawiając tym sposobem swoje utwory znaczenia, jakieby im nadało wyjaśnienie stosunku i ukazanie na jego strony ujemne.

Ze wzmianek wszelako, jakie tu i owdzie się trafiają, łatwo odgadnąć, że Prus patrzy na ów stosunek pesymistycznie. Klasy niższe nie mają dostatecznej opieki i dlatego są bledne, ciemne, nieszczęśliwe. Mają one ogromną cierpliwość, ale jako żywioł, gdyby ów żywioł się rozpełtał, mogłyby być niebezpieczne. Zresztą Prus nie jest pesymistą i nie umiemy sobie wytłumaczyć, dlaczego częstokroć biorą go za pesymistę. Między jego ludźmi mało jest złych z natury, lub z zamięłowania do złego, a ujemne postęпки niektórych tłumaczą się nieświa-

domością, głupotą, zabobonami lub są skutkiem nalogów. Filantropia wyłącza pesymizm — obserwacya zaś uczy, że prawie każda duchowa rola mogłaby wydać dobre owoce, gdyby rzucono w nią dobre ziarno. Że na odlegach rosną chwasty, to znowu nie dziwnego. Od kreślenia czarnych melodramatycznych charakterów wstrzymuje Prusa i smak artysty. Również i dobrzy jego ludzie nie moralizują, nie są nigdy postulatami, utworami książkowymi, ale istotami posiadającemi krew i kości, żywemi i żyjącemi. Talent tej miary nie może tworzyć inaczej. Prus, mimo swego oryginalnego na świat poglądu, w tworzeniu powieściowem jest wielce obiektywnym. Przedstawia on ludzi tak, jak oni się sami przedstawiają. Są pisarze, którzy patrzą na ludzi przez szkła swoich własnych idei filozoficznych lub nawet doktryn, do których starają się dostosować postacie wprowadzone do powieści. Prus postępuje inaczej. Jego figury nie są tylko ilustracyami przekonań autora, ale ludźmi samodzielnymi. Prus pisze tendeneyjnie, wszelako tendeneya jego jest aposterorycznym wynikiem rozważania stosunków ludzkich, nie zaś aprioryczną ideą autora. Tendeneya jego wspiera się na filantropii, na głębokiem i szczerem zamiłowaniu sprawiedliwości, na miłości dla kraju i na chęci czynienia dobrze krajowi i ludziom. Jednem słowem, ideały jego są ogólne. To też

nie przeprowadza on żadnych ściśle określonych tez filozoficznych, jak np. walki o byt, determinizmu i t. p. Jeśli na przykład objawy walki o byt można stwierdzić jego utworami, to nie dlatego, by autor kładł sobie za zadanie illustrować je, ale dlatego, że istnieją one zewnętrznie, niezależnie od autora w życiu samem. Prus jest demokratą, ale z uczucia. Demokracja przedstawia mu się nie jako odczuwana teoria filozoficzno-społeczna, ale jako najprostszy układ życiowy, który winien się praktykować na mocy sprawiedliwości i miłości ludzi do ludzi. Dzięki takim ogólnym ideałom, które zarazem są wspólnymi wszystkim, nie zajął on miejsca w żadnem stronnictwie, jako bojownik przeciw drugiemu stronnictwu. Inni taką neutralność i niezależność zawdzięczają służeniu przedewszystkiem artyzmowi. Prus zawdzięcza je służeniu przedewszystkiem enym i ogólnym ideom, na które wszędzie jest zgoda. Widzieliśmy poprzednio, że filantrop bierze w nim górę nad artystą, obecnie widzimy, że filantrop i patryota zwycięża w nim doktrynera i człowieka partyi. Co w pierwszym razie Prus traci, w drugim odzyskuje nawet jako artysta, bo dzięki brakowi doktrynerstwa tworzy postacie prawdziwie żywe, a nadzwyczaj ciepło odczute. I w zawodzie publicystycznym i powieściopisarskim jest to entuzyasta, zatem jeden z najszczerzych pisarzy. Utwory jego, mi-

mo braku równowagi artystycznej, mimo braku ładu, podobają się tak, jak na przykład obrazy starego Volgemutha przez swój wyraz, naiwność i dobrą wiarę autora. Zresztą podobieństwo to nie idzie dalej i jest to raczej porównanie niż podobieństwo. Prus nie jest pisarzem wykwinnym. Język jego barwny, charakterystyczny i pełen obrazowości jest szorstki, ale taki być powinien ze względu na sfery, w których autor się obraca. Tą sferą tłumaczy się i to, że nie maluje on nigdy wydelikacowanych uczuć, ani zawiłych procesów psychicznych. Inaczej mówiąc, uczucia są delikatne, a ruchy dusz głębokie, ale tylko względnie do sfery. Zamiłowanie artystyczne ciągnie go w stronę dusz elementarnych, w czem poszedł za prądem, który w najnowszej literaturze stał się ogólnym. Ale w malowaniu takich istot, nie dość jeszcze uduchowionych, w których uczucie i myśl z trudnością przebija się przez grube tkanki mózgowe i sercowe, jest czasami nieporównanym. Dowodem tego najbardziej wykończona i najlepiej obmyślana powieść: „Powracająca fala”. Jest to epizod z „Drang nach Osten”. Tendencya prześwieca w utworze tym przez każde słowo, cała powieść kipi nią poprostu, ale na najwyższą autora pochwałę należy zaznaczyć, iż wykazuje się ona sama przez się, że wynika niemal, niezależnie od autora, z życia i opisywanych stosunków, a przez to

tak silnie przemawia jak prawda, jak życie, jak fakta, które mają to do siebie, iż są niezbitte. Oto treść: olbrzymi, pełen zmysłowych instynktów, ale sprytny robotnik niemiecki, Adler, przychodzi do Polski i zakłada fabrykę tkacką. Fabryka wyrasta wkrótce na ogromne zakłady, a Adler na milionera. Ale dzieje się to z krzywdą ludzką. Adler wyzyskuje robotników, zniża ich płacę, powiększa godziny pracy. W fabryce niema ani doktora, ani felczera, ani kas pożyczkowych, ani nic, coby miało na celu ulgę robotników. Demoniczny Niemiec uważa żywioł miejscowy za glinę, którą urabia niemiłosiernie swemi olbrzymiemi rękoma we wszystkie kształty, jakie mu są dogodne. Postać ta wspaniała w swej grozie, wysoce charakterystyczna i jedna z najlepszych, jakie autor stworzył. Instynkty Adlera są brutalne; niepożyte jego siły zwierzęce ciągnęły go zamłodu w stronę hulatyki i rozpusty do szaleństwa — potem cały ów zapęd swych mięśni i siłę sprytu włożył w robienie pieniędzy. Robił je tedy jak machina i robił. Ideałem jego pozostało użycie, ale sam już się zestarzał — więc używać mógł tylko syn. To go czyniło Adlerowi tak drogim, jak urzeczywistnienie wszystkich marzeń i spełnienie wszelkich życzeń. Synowi dał, co mógł dać, to jest żelazną organizację fizyczną i miliony. Syn wywiązał się z zadania: hulał za dwóch. Gdy narobił długów zagranicą, ojciec zaprowadzał t. zw.

oszczędności w fabryce, to jest zniżał płacę. Napróżno uczciwy pastor Böhme upominał nie-miłosiernego starca.

Ludzie pracowali do północks. Najzdolniejszy robotnik, dusza całej fabryki, Gosławski. z wysilenia przy pracy padł ofiarą strasznego wypadku. Maszyna urwała mu rękę, wskutek czego umarł. Obrazowość autora przy opisanii podobnych zdarzeń dochodzi do maksimum. Oto północ już wybiła, w wielkiej sali fabrycznej płoną okna. Fabryka grzmi, buczy, zgizyta, wszystkie maszyny rozpedzone wyglądają przy blasku gazu jak jakie potwory piekielne. Największą tokarnię obsługuje Gosławski; miał on tyle dziś zajęcia, że jest zmęczony, senny, osłabły. Trapi go gorączka. strugi potu oblewają mu ciało.

„Chwilami, skutkiem zmęczenia, doświadczam sennych halucynacyi i zdaje mi się, że jest gdzieindziej, niż w warsztacie. Wnet jednak otrząsa się, zasmolonemi rękoma przeciera oczy i z trwogą spogląda, czy nóż nie za wiele zebrał z walca.

— Oto spać się chce! — rzekł do niego sąsiad.

— Prawda — odparł Gosławski, siadając na stołku.

— Chyba tak z gorąca — zauważył sąsiad. Maszyna ogromnie rozpalona, kowale robią przy obu ogniskach. Zresztą już późno.

— Która u pana godzina?

— Trzy kwadranse na dwunastą. Skończysz pan dziś robotę?

— Zdaje się, że skończę — odparł Gosławski. — Jeszcze trzeba na jaki włos zebrać, a tu mi się tak dwoi w oczach.

— Z gorąca, z gorąca! — mówił sąsiad.

Gosławski zmierzył średnicę toczonego walca, posunął nóż, ścisnął go śrubą i znów puścił w ruch maszynę. Po chwilowym wysiłku uwagi, nastąpiła reakcja i począł drzemać, stojąc z oczyma utkwionemi w błyszczącą powierzchnię walca, na którą upadały krople wody.

— Czy pan do mnie mówił? — zapytał nagle sąsiada. Ale sąsiad nie słyszał pytania.

Teraz wydało się Gosławskiemu, że jest u siebie w domu. Żona i dzieci śpią, na komodzie pali się przykryta lampa, jego łóżko już rozebrane. Oto stół... przy nim krzesło... Znużony chciał usiąść na krześle, więc — oparł rękę na krawędzi stołu.

W tej chwili tokarnia dziwnie zgrzytnęła. Coś w niej pękło, zaczęło się łamać i straszny jęk ludzki rozległ się po warsztacie...

Autor nic nie mówi od siebie o wyzyskiwaniu robotników, o nadmiarze narzucanej im pracy, ale ta scena męczeńska, żywcem z życia fabrycznego wyjęta, nie mówi, ale krzyczy. Przytem, obok największej prostoty, co za pra-

wda i plastyka wstrząsająca nerwami. Widzi się fabrykę i salę, światła i ludzi, słyszy się ich rozmowy, prowadzone wśród grzmotu maszyn, odczuwa się ich osłabienie i senność. Obraz tu następuje za obrazem. Gosławskiego odnoszą do domu. Noc jest widna, księżycowa, a wśród bladego światła rysuje się czarny korowód, niosący rannego. Psy, zwietrzywszy krew, wyją, nocny stróż zdejmując czapkę i patrzy wybladły na orszak. Nagle słychać turkot. To młody Adler wraca pijany z miasteczka. Z drogi! wołają na woźnicę.

— Co to?—pyta rozespany młodzieniec.

— Gosławskiemu urwało rękę—odpowiadają przytłumione głosy z ciemności.

— To trzeba posłać po doktora.

— Może wielmożny pan każe z miejsca zawrócić.

Ale konie pana Ferdynanda są zmęczone. Pośle inne, a tymczasem krew z rannego ucieka. Odnoszą go do domu. W ciemnościach rozlega się pytanie:

— Kto tam?

— Niech pani Gosławska otworzy.

Doktora nie znaleziono w miasteczku. Przyjechał dopiero na trzeci dzień. Ranny umarł. Przepracował się i umarł jak męczennik pracy i ofiara wyzyskiwania. Prędką pomoc, gdyby znajdowała się na miejscu, mogła go ocalić. Teraz żona i dzieci pozostaną bez chleba. Robo-

tnicy poczynają szemrać. Niezadowolenie wzrasta. Ale Adler niczego się nie lęka. Przechodzi on środkiem szemrzących, olbrzymi, spokojny — jeno szyja mu przybladła, a oczy trzyma zamknięte. W parę dni jest już cicho w fabryce. Tylko poczciwy pastor Böhme, pijąc reńskie ze starym Adlerem w ogrodowej altanie, zamyśla się jakoś dziwnie, a potem rzuca na czystą powierzchnię sadzawki to kawałki drzewa, to korki.

— Czego ty ale, Marcinie, rzucasz śmiecie na wodę? — pyta Adler.

— Widzisz, Gotlieb — rzecze pastor — te fale? Widzisz, jak one rosną i płyną coraz dalej?

— Tak się zawsze robi.

— Masz rację, tak się zawsze robi; na wodzie i w naszym życiu. Kiedy złe, czy dobre upadnie na świat, powstają koło niego fale coraz większe i idą dalej, a dalej.

— Nie rozumiem.

— Zaraz ci to wytłumaczę. Ty źle wychowałeś syna i rzuciłeś go w świat, jak ten patyk na wodę. On narobił długów — i to jest pierwsza fala. Ty zniżyłeś płacę robotnikom i oddaliłeś lekarza, a to jest druga fala. Śmierć Gosławskiego — to trzecia. Nieporządki w fabryce i opisy w gazetach — to czwarta. Wypędzanie robotników i procesy — to piąta fala. A jaka będzie szósta i dziesiąta?...

— Nic mnie to nie obchodzi! — rzekł Adler. — Niech sobie twoje fale idą w świat i trapią głupich, mnie nie do tego.

Pastor rzucił korek przy brzegu sadzawki i znowu wskazał go tkaczowi.

— Patrz, Gottlieb! Niekiedy dziewiąta fala odbija się od brzegu i wraca... tam, skąd wyszła.

Złowróźbne słowa sprawdziły się. Ferdynand zginął w pojedynku i fala złego wróciła, skąd wyszła. Staremu Adlerowi ziemia usunęła się z pod nóg w sposób straszny. Toż on dla tego syna żył, pracował, zniżał płace, krzywdził ludzi, kupował bawełnę, fabrykował perkal i miliony. Straciwszy go, stracił wszystko. To też czuje się prawdę w jego słowach, gdy pokazując pastorowi trupa syna, mówi:

— Patrz, Marcinie, to ja jestem, to mój trup — to leży moja fabryka, mój majątek, moja nadzieja... Fala krzywdy wróciła.

Demoniczny starzec szaleje jak demon. Nic świetniejszego pod względem literackim, jak opis tej wielkiej, strasznej a prostackiej rozpacz. Jedno niewłaściwe słowo mogłoby tu popsuć efekt, ale takiego słowa niema. Twardy metal, z którego został odlany olbrzym, kruszy się pod młotem nieszczęścia, ale okruschy sięją jeszcze zniszczenie. Starca porywa obłęd — i wieczorem na kilkanaście mil wokoło rozblęła luna fabryki, którą sam właściciel pod-

palił. — Opis pożaru i owego olbrzymiego cienia ludzkiego, który chodzi spokojnie po wszystkich piętrach i podpala — jest wspaniały. Język Prusa wznosi się do wielkiej siły i niepomiernej obrazowości. Powtarzamy, że jest to najlepiej skomponowana powieść, pod względem artystycznym, ze wszystkich, objętych w tomie pierwszym. Wszystko się w niej schodzi, łączy, wiąże w jedną harmonijną całość. Powieść tę pisał niepospolity artysta, ale zarazem i rozumny człowiek. Jest głęboka i oryginalna filozofia w tem, co mówi pastor Böhme o falach złego i dobrego, i o powracaniu ich tam, skąd wyszły. Teza moralna wyborna i wybornie prowadzona, a przykład jej realny, owo objaśnienie, dawane przez Böhme na falach wodnych, zarówno plastyczne jak świeże. Z drugiej strony leży w tej powieści jakiś posępny moral społeczny; łatwo bowiem wyciągnąć z niej wniosek, że takie olbrzymie Adlery koniec końcem wycisną i zduszą to społeczeństwo ludzi miękkich, dobrych ale anemicznych, wśród których robią miliony. Fala wprawdzie wraca, ale nim wróci, iluż to Gosławskich zginie? Pod tym względem nie ukazał autor punktu wyjścia. Utwór jego nie zachęca, ale raczej zniechęca. Nie będąc wogóle pesymistą, w zapatrywaniu się na naturę ludzką, rozumiejąc przewagę dobrego nad złem, tym razem dobrał umyslnie najczarniejszych barw, jakie paleta je-

go posiada. Ten nadmiar cieniów w stosunku do światła sprawia nietylko pogłębiające wrażenie w sensie społecznym, ale szkodzi i artystycznej stronie utworu. Powieść nie zajmuje tak, jakby, ze względu na wyborną fakturę i swą wagę, zająć powinna. Przeciętny czytelnik interesuje się powieścią wówczas, gdy może z nią i z osobami, wchodzącymi do niej, związać nietylko swoje antypatye, ale i sympatye. Jest to psychologiczną potrzebą, tak jak różnaitość jest znowu estetyczną. Brak różnaitości wywołuje znużenie, a wówczas nie baczymy, że autor umyślnie chciał nas pogłębić, ale przypisujemy to niedoskonaleści jego utworu. Adlerów nie równoważy w „Powracającej fali”, a czytelnik od początku do końca pływa także w fali krzywd, wyzyskiwań, zwierzęcych brutalnych instynktów, chciwości i t. p.—to też zamyka książkę znużony. Jasna postać Gosławskiego to tylko sylwetka, to tylko mucha, zagniecioną stopą olbrzyma bez walki i oporu. Miłość, która zwykle w powieściach pozłaca łagodnem światłem posępniejsze obrazy, która rozciekawia i otacza urokiem poczyi powszednie ludzkie stosunki, nie ma wcale miejsca w „Powracającej fali”. Do oryginalności Prusa należy, że nie uwzględnia on niemal zupełnie w swoich utworach tego pierwiastku. Biorąc rzeczą ze stanowiska estetycznego, wynikają stąd tylko szkody, bo naprzód jest to ważny

czynnik w życiu ludzkim, pod wpływ którego popada człowiek właśnie wówczas, gdy jest młody, czynny, zatem najbardziej interesujący, powtóre, jest to pierwiastek par excellence estetyczny. Jest on wyborną osnową, osią bajki, naokoło której można namotać do woli wszelkich stosunków życiowych, i jest wybornym pozorem, pod którym można naprowadzać, ile kto chce, typów, temperamentów, charakterów. Przytem miłość ma swój początek, rozwój i zakończenie w grobie lub przed ołtarzem, stąd i powieść na niej osnuta musi być pewną całością, musi mieć swój skończony organizm, to jest to, czego właśnie brak większości powieści Prusa. Miłość wreszcie, przedstawiana banalnie, jest czemś nad wyraz nudnem i clikwem, ale gdy pod piórem biją żywe serca ludzkie, to zawsze jest to wieczysta poczya, światło, tęcze... Tych blasków i tęcz Prus się zrzeka dla analizowania stosunków życiowych, które same w sobie wyglądają jak dzień bez słońca. Zamierzylśmy mówić tylko o pierwszym tomie, a mówimy wogóle o pisarzu. Zbierając w jedno, cośmy w całości przeglądu o nim powiedzieli, dochodzimy do przekonania, że jest to dusza kochająca ludzi do entuzjazmu, umysł obserwatora oryginalny, rozum i pierwszorzędnny talent, któremu brak tylko form architektonicznych. Materiał w jego budowach to nie gruz i piasek, ale kamień, marmur, a często

i złoto. Jenó, że budowle same mają styl dziwaczny i nie trzymają się — z wyjątkiem „Powracającej fali” — krzepko. Podwaliny nie wiązane ze ścianami — ściany z dachem. Są to wreszcie raczej magazyny z materiałem, niż wykończone budowle. Prus nie stworzy póty nie prawdziwie znakomitego, póki się nie nauczy architektury. Ale jeśli się nie nauczy, to będzie dla piśmiennictwa naszego prawdziwa szkoda.

Gazeta Polska, rok 1881, № 216, 217, 218, 219

Kronika tygodniowa.

I.

Koniec starego roku. Złe czasy. Otucha. Działalność publiczna. Dawny przykład. Skutki zaburzeń. Projekt Prusa. Srodki ratunku, miłosierdzie i kredyt. Pomyślniejsze wróżby. Pogłoski, legendy ludowe. Nie-wytlumaczone powody. Co najprawdopodobniej wywo-
łało ruch ostatni. Szara Bera i wieści o zemście. Po-
trzeba zapobieżenia wieściom. Gazeta świąteczna. Ostatnia klęska. Pożar. Zbieg okoliczności. Życzenia.

Stary rok zakończył życie, jak dobijany, dziki zwierz, szarpiąc ludzi kłami i pazurami. Zaburzenia, pożary i hekatomby ludzkie—oto o czym muszą być zapisane ostatnie stronnice kroniki rocznej. Wśród tych ciemnych wspomnień jedynem światłem jest gwiazda miłosierdzia, ku której wyciągają ręce nieszczęśliwi, między nami jest ich najwięcej, dlatego też i to błogosławione światło świeci najsilniej. Tę gotowość w kraju i w mieście do niesienia pomocy wszystkim bez względu na wyznanie i narodowość, to poczucie obowiązku niesienia pomocy i tę hojność w datkach, zapisać możemy

w rachunkach naszych jako „credit” społeczne. Jest to zarazem odpowiedź niechętnym, którzyby chcieli oskarżać nas, iż nie jesteśmy lepsi od innych i że napróżno tem chwaliliśmy się do niedawna. Napewno nie jesteśmy gorsi, bo nigdzie nadużycia nie wywołały tak jednomyślnego protestu i nigdzie szkód nie starano się tak skwapliwie naprawić. Możnaby nawet powiedzieć, że czas na smutek jeszcze nie nastąpił, bo poświęcono go na ratunek. Rozpamiętywania na potem. Owóż w ten sposób postępują tylko takie społeczeństwa, w których żywotność jeszcze nie zamarła i zle instynkty nie wzięły góry. Nie uczyniliśmy dotąd wszystkiego, wiele jeszcze zrobić należy — ale też nikt rąk nie opuszcza. Składki płyną, komitety działają, opinia piętnuje warcholów. Pewien stary kronikarz niemiecki, pisząc o oblężeniu jednego ze znaczniejszych miast polskich, tak mówi: „nie mogliśmy zdobyć na nich onego miasta, bo gdy uczyniono wylom w murach, zaraz oni zasłaniaли go ciałami swemi, a gdy jedni polegli, drudzy z największą skwapliwością na ich miejsce spieszyli, dając odpór tak silny, iż ze wstydem musieliśmy ustąpić”. Oby tak ze wstydem ustąpiły wszystkie biedy i klęski alarmujące od niejakiego czasu do naszego miasta, ustąpią zaś z pewnością, jeśli będziemy dawać odpór tak silny, jak dawni nasi rycerze, i jeżeli wytrwamy. O to najtrudniej, bo nie wszystkie biedy

dadzą się naprzód wyrachować i nie wiemy dokładnie, co nas czeka.

W każdym razie nie na różach spać będziemy. Klęska wywołuje drugą klęskę i złe fale rozchodzą się coraz szerzej.

Moralnie może nie ponieśliśmy tak wielkiej porażki, jak się naprzód zdawało, a mianowicie dlatego, że na tle nagannych i haniebnych objawów zarysowała się większość spokojna, pełna ludzkości i zamiłowania do porządku. Ale ekonomicznie rzecz inna. Zaburzenia zrujnowały kilkaset rodzin, zachwiały zaufanie, brak zaufania odbije się w drożyźnie i w braku roboty. Niechby burzę zbierali ci tylko, co siali wiatr, ale na nieszczęście odbije się ona przede wszystkim na ludności robotniczej i rzemieślniczej, to jest na ludności pracowitej, która w warcholstwach udziału nie brała. Bolesław Prus w „Kuryerze Warszawskim”, przewidując ciężkie czasy dla robotników, a nawet zaznaczając, iż już nadeszły, wzywa właścicieli domów, by tymczasem ludziom bez roboty dali miejsce drugich stróżów. Dobrzeby to było, gdyby nie to, że w domach, w których pilniejsza straż szczególnie jest potrzebną, sami właściciele ponieśli znaczne straty. Jedni muszą naprawiać schody, drudzy nie doliczą się zwykłych dochodów, bo lokatorowie ich są Żydzi, albo zrujnowani, albo zachwiani przez ruinę współbraci, albo nakoniec właśnie robotnicy, którzy cza-

sowo nie mogą znaleźć roboty. Jest w tem coś z błędnego koła. Za projektem Prusa mogliby pójść tylko zamożniejsi właściciele domów przy głównych ulicach, tym zaś niebezpieczeństwo wydaje się usunięte i w przyszłości nie groźne. Wedle naszego zdania ratunek powinien być dwojaki: natychmiastowy w formie wsparć dla pozbawionych chleba i ratunek kredytu. Pieńiądze płyną i będą płynąć obficie. Składaliśmy na Ślązaków, na Zagrzebian. na kasy pożyczkowe, złożmy jeszcze i teraz tyle, ile będzie trzeba.

W chwili, gdy to piszemy, w samym tylko „Kuryerze Warszawskim” składki dochodzą do kilkunastu tysięcy rubli, nie licząc innych pism, których szpalty są przepelnione nazwiskami ofiarodawców, i nie licząc ofiar bezpośrednich. Być może, iż następnie ów potok będzie płynął słabiej, ale będzie płynął jeszcze długo. Dotychczas prowincya mały tylko w ofiarach mogła wziąć udział, należy się zaś spodziewać, że nie da w tem szlachetnem współzawodnictwie uprzedzić się miastu. Owóż po zaspokojeniu najpierwszych potrzeb, część a może i znaczna część zebranych funduszków może być rozdzieloną w formie pożyczek długoterminowych uboższym rzemieślnikom i robotnikom, co załoni ich przed lichwą i pozwoli przetrwać pierwsze najcięższe chwile stagnacyi.

Ze wszystkiego wnosić można, że niepokoje

nie powtórzą się więcej. Ci, którzy je wzniecali z umysłu, policzyli się, że ich zbyt mało, aby mogli zginać w tłumie,—ci, którzy brali w nich udział z chwilowego popędu, przez zemstę lub ciemnotę... ochłonęli. Ogólny głos potępienia zrobił swoje. Doskonale także wrażenie wywarła na ludność odezwa oberpolicmajstra, który w najniższych nawet warstwach cieszy się i powagą i popularnością. Natomiast legendy rosną między ludem jak grzyby. Dziś jest faktem zupełnie niemal pewnym, że już w chwili samego wybuchu krążyły natychmiast między ludem niestworzone historye, jedne potworniejsze od drugich, obecnie zaś miasto trzęsie się od przypuszczeń i domysłów. Następnie popłoch u św. Krzyża dotychczas jeszcze nie jest wyjaśniony. Mówiono, że wzniecili go złodzieje, tymczasem nie jest to stwierdzone dotychczas. Potem, kto pierwszy na placu wyrzekł słowo: Żyd? Kto rozszerzył tę, jak się pokazało, fałszywą wieść między ludem? Jest w tem wszystkim coś niewytłumaczonego i tajemniczego. Gdyby bowiem rzecz była ukartowaną poprzednio i przygotowaną z planem, trudno przypuścić, aby aż do niedzieli ukryła się w absolutnej tajemnicy. Nie planowali jej w żadnym razie ludzie inteligentni, umiejący zachowywać środki ostrożności, byłaby więc krążyła między ludem i dostała się w formie ostrzeżeń lub głuchych

pogłosek do uszu policyi albo do samych Żydów, albo do prasy. Tymczasem wszystko wybuchnęło nadzwyczaj niespodzianie. Z drugiej strony można w tym ruchu dopatrzeć objawy wyprężonych i niebezpiecznych stosunków, ale niepodobna go przypisywać istniejącej nie u nas partyi socyalnej. Mogą u nas istnieć umysły skłaniające się teoretycznie ku socyalizmowi, tak jak w każdym społeczeństwie istnieją wyznawcy wszelkich teoryi społecznych, ale zorganizowanej partyi socyalnej nie było i niema. Inteligentna ludność nasza zbyt wiele ma miłości do kraju, aby miała podawać ucha doktrynom z natury swej kosmopolitycznym, wszelkie zaś organizacye tylko w inteligeneyi mogą powstawać. Być może, że mamy socyalistów importowanych, ale ci, nie znając ani ducha, ani języka mas, nie mogą mieć między niemi posłuchu. Na ruch ostatni u nas prawdopodobnie dwa głównie składały się żywioły, a mianowicie: pewna garstka pseudo-inteligentnych, albo zgola ciemnych żydofobów i straszna katastrofa świętokrzyska. Zetknięcie się ich bezmyślnych podszezuwań z katastrofą kościelną wywołało iskrę. Co do prochów, tych szukać trzeba głębiej, bo w stosunku ludności żydowskiej do chrześcijańskiej, który to stosunek wola o reformę i którego uregulowaniem winna się zająć najbliższa przyszłość.

Tymczasem jedną ze spraw również pil-

nych jest zatamowanie i wyjaśnienie krążących między ludem pogłosek. Są między niemi i ekscentryczne, jak na przykład urodzona przed paru dniami bajka o czarownicy, która nazywa się: „Szara Bera”. Kumowie i kumoszki szepcą sobie do ucha, że gdzie tylko „Szara Bera” się pojawi, lub gdzie tylko zamierzy przybyć, tam rodzą się klęski. Była — mówią — w Wiedniu, i zaraz parę tysięcy osób się spaliło, przybyła do Rosyi i także „złe” przyleciało natychmiast, ma przybyć do nas, i już zdarzyło się nieszczęście. Czytelnicy łatwo odgadną, że owa złowroga wiedźma, owa „Szara Bera”, nie jest kto inny, jak Sara Bernhardt, która w przyszłą sobotę ma przybyć do Warszawy. Nowonarodzona o niej legenda byłaby śmieszną, gdyby nie to, że powtarza się zbyt uparcie i że może dać powód do jakich nieprzyjaznych demonstracyi ulicznych, brzydkich i dla spokojności miasta niebezpiecznych.

Trzebaby koniecznie wytłumaczyć ciemniejszej ludności cały bezsens podobnych pogłosek, przedewszystkiem bowiem jątrzą one i utrudniają powrót normalnych stosunków.

Zadanie to spełniłaby mogła najlepiej „Gazeta Świąteczna”. O dobrej woli zacnej Redakcyi nie wątpimy, środków zaś powinien dostarczyć jej inteligentny ogół. Możliaby poświęcić jeden cały numer wykazaniu naprzód strat bez-

pośrednich, jakie wskutek zaburzeń już poniosła i jeszcze poniesie właśnie chrześcijańska ludność robocza i rzemieślnicza, a powtóre sprostowaniu pogłosek i absurdów, jakie między ludem krążą. Numer taki, w którym należałoby prócz tego pomieścić odezwy duchowieństwa i oberpolicmajstra, powinien być w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy rozdany stróżom domów a następnie w fabrykach i zakładach rękodzielniczych. Chodzi tylko o fundusz potrzebny na nakład. Owóż we wszystkich pismach, prócz składek z celem oznaczonym, wpływają także składki do uznania redakcyi. Sądzymy, że byłoby rzeczą nader pożyteczną, gdyby redakcyje uznały, iż takie użycie pewnych funduszków byłoby bardzo pożyteczne.

Ostatnie wypadki zajęły nam całą kronikę, ale w dzisiejszych czasach niepodobna prawie o niezem innem pisać. Ów rok nieszczęść, rok 1881, jeszcze w ostatniej chwili swego istnienia pragnął się upamiętnić klęską. Z soboty na niedzielę, około godziny 10-ej ogromna luna zaświeciła nad miastem od strony Wisły. Na pierwszy rzut oka, po olbrzymich czerwonych kłębach, przewalających się gwałtownie i wybuchających w górę, można było poznać, że pożar jest wielki. Ludzie na ulicach stawali w małych gromadkach, a na ich twarzach, oświeconych złowróżbnym odblaskiem, malował się nie-

pokój, troska i trwoga. „Czy to jeszcze co takiego?” pytali jedni. — „Kara boża!” — szeptały gdzieindziej wystraszone głosy robotników i kobiet z ludu. Tymczasem wybiła jedenasta i dwunasta,—pożar nie ustawał, paliła się fabryka Raua, od niedawna już po raz drugi. Fabryka ta przed pierwszym pożarem zajmowała tysiąc kilkuset robotników, później tylko siedmuset, obecnie zapewne jeszcze liczbę ich zmniejszy. W innych czasach łatwiejby temu zaradzić, ale obecnie, gdy najbardziej chodzi o to, by jak najmniej ludzi było bez roboty, co za złośliwość i ironia losu, co za zbieg nieprzyjaznych okoliczności ze wszystkich stron! Albo nie byłóż i to złośliwością, że wybuch przeciw Żydom, rabunki i kradzieże wypadły w dniu narodzenia Chrystusa, który głosił przebaczenie nawet dla wrogów i nieprzyjaciół? Zaprawdę Nowy rok bierze po starym ciężką puściźnę—ale też winien zaopatrzyć się w słowa: „i odpuść nam nasze winy!” Przebaczenia, wyrozumiałości i miłosierdzia potrzeba nam teraz tyleż, ile energii. Może też zawita wreszcie czas lepszy: czas zdrowia społecznego, cichej pracy, sprawiedliwości dla wszystkich. Musi w to wierzyć każdy, kto wierzy w słowa poety: „że ludy płyną w postęp jak łańcuch żórawi”. Bez takiego ideału i takiej wiary, byłoby nam bardzo ciemno, chyba luty pożarne rozświecałyby ciemności. Spokoju i zdrowia życzymy

przy Nowym roku naszym czytelnikom, a także i wytrwania w pracy, bo wedle słów dawnej piosenki: „niewolno nam marszczyć czoła, niewolno się smucić”.

Słowo. 1882 roku. № 1.

Kronika Warszawska.

I.

Zamierzona wyprawa. Najbliższe potrzeby. Racya pro i conta. Parę słów bez żartu. Pan Stefan Rogoziński. Trochę o geografii i środkowej Afryce. Cel podróży. Uczestnicy. Literaci warszawscy. Przyjazd Sary Bernhardt. Zapowiedź i podziękowanie. Prolog i akt pierwszy pobytu. Wieczór przed teatrem i po teatrze. Diva. Piorun w redakcyi. Obrona. Dziwne czasy. Robert i Bertram. Porównania kosztów. Przyszłe odczyty. Uspokojenie.

Że wśród naszych bied, utrapień i smutków organizujemy jeszcze wyprawę naukową do środka Afryki, to doprawdy dowodzi, że jakkolwiek na nasze pochyłe drzewo społeczne od niejakiego czasu kozy skaczą, puszcza ono jednakże zielone pędy i ma jeszcze w sobie coś życiowych soków. — Znajdzie się zapewne nie mało tak zwanych esprits chagrins, albo mówiąc inaczej: panów: „tem ci gorzej“, którzy będą twierdzić, że mamy wiele ważniejszych spraw do załatwienia, że w kraju bieda, że widoki na przyszłość niepomyśl-

ne i t. d. Wywody „contra“ zawsze są łatwiejsze do zebrania, niż wywody „pro“. Każdy się na nie zdobędzie i co gorsza zawsze jest w nich nieco, lub nawet wiele słuszności. Swoją drogą jednak, gdybyśmy chcieli ułożyć listę spraw do załatwienia najpilniejszych, zaczęlibyśmy tak rozprawiać, tak się spierać i kłócić, że przez ten cały czas nie załatwilibyśmy żadnej sprawy. Niechże więc je załatwia siła faktów. Pan Buchman był człowiekiem roztropnym; gdy wystąpił z radą, to chciał wszystko robić po kolei i ułożyć wedle kategorii.

„Krótkość jednakże czasu stała na zawadzie,
„Że się nie stało zadość buchmanowej radzie.

Nie mamy więc czasu słuchać pp. Buchmanów, ale za to my wszyscy, którzy kochemy naukę, którzy jesteśmy wolni, którzy mamy prawo śpiewać: „wiwat, kawalerski stan“, których dusza siedzi nie na ramieniu, ale w miejscu zwykłego i stałego zamieszkania, którym na koniec nie zależy tak bardzo na tem, by głowa trzymała się karku,—jedziemy do Afryki. Co do pieniędzy, jest trochę krucho, ale alboż to nie jesteśmy do tego przyzwyczajeni? Było zawsze i we wszystkim krucho, jest krucho i będzie krucho. Prawda, że wydaliśmy sporo pieniędzy na najrozmaitsze cele, począwszy od Ślązaków, a skończywszy na składce bieżącej, ale alboż nie wydajemy jeszcze co-

dzień na sprawy, które z trudnością tylko mogłyby się zaliczyć do najpilniejszych? Alboż nie płacimy po piętnaście rubli za bilet do krzeseł na powiewną Sare, alboż nie będziemy dawać balów i rautów w karnawale, alboż nasze panie przestały spuszczać oczy i wzdychać na wspomnienie Hersego, alboż wyrzekliśmy się bezika, bakarata, śrubby, opery włoskiej? Alboż nie będziemy mieli wyścigów konnych? Alboż nasze matrony, gdy sezon wód będzie otwarty, nie poprowadzą do Saskiego ogrodu swych córek w najświeższych tualetach? Utworzywszy z tego wszystkiego rubrykę i podsumowawszy prawdopodobne koszta, dojdziemy do przekonania, że przy średnich oszczędnościach zdolalibyśmy załatwić za nie nietylko kilka spraw „najpilniejszych“, ale ze względów na przyzwoitość zakupić czerwone fraki dla wszystkich nagich królów murzyńskich i wachlarze dla wszystkich królowych, z którymi się naszej wyprawie zetknąć przyjdzie.

Teraz kilka słów bez żartów. Utylitaryzm, dopatrujący krótkim wzrokiem we wszystkich sprawach bezpośredniego pożytku, nie jest przymiotem wielkiej wagi i cechą żywotnych społeczeństw. Chińczycy, na przykład, są narodem wielce rozsądnym; przedewszystkiem pytają o pożytek, ale ten właśnie materyalizm

praktyczny, ten brak zapалу, ta niezdolność do poświęcenia się w sprawach więcej idealnej natury wyrodziły w nich gnuśność, a w całym społeczeństwie zastój. Są to starcy bez wyobraźni, sądzący trzeźwo i praktycznie, niezdolni jednak iść naprzód, zaślepieni i skostniali. Tem się tłumaczy, dlaczego cywilizacya chińska od tysiąca lat nie posuwa się naprzód. Żywotne narody europejskie stwierdzają właśnie swą żywotność tym niepokojem i zapalem ducha, który, nie szukając nawet bezpośredniego pożytku, chce zbadać wszystko, odkryć, zwiedzić — sięgnąć — jak młodość w mickiewiczowskiej — tam, gdzie myśl nie sięga, który dla spraw wiedzy nie szczędzi ofiar, ani krwi, ani złota. Im w trudniejszych warunkach znajduje się jakie społeczeństwo, tem lepsze daje świadectwo swym siłom wewnętrznym, swej zdolności do życia, jeśli ogólnoludzkie sprawy postępu obchodzą je jak najsilniej, jeśli zawsze gotowe jest wziąć w nich udział i zaznaczyć swoją obecność.

Cywilizacya jest to wielki gmach, którego ściany wznosi cała ludzkość. Gdy zdarza się sposobność ponieść cegłę -- nie trzeba się nigdy wahać.

Dlatego też nie trzeba lekceważyć zamierzonej wyprawy choćby do bieguna północnego lub Afryki. Zachodnie społeczeństwa są wprawdzie zasobniejsze, ale też mają także

mnóstwo swoich „najpilniejszych“ potrzeb, a jednak nie szczędzą milionów na dalekie ekspedycje, mające na celu postęp wiedzy. U nas zaś bynajmniej nie chodzi o miliony, ale gdyby chodziło o jakieś kilka tysięcy rubli,—to doprawdy, choćbyśmy mieli na cygarach oszczędzić—damy.

Wyprawa już się organizuje. Czytelnicy słyszeli zapewne, że na czele jej staje p. Stefan Szolc-Rogoziński. Gdybym pisał tę kronikę wyłącznie dla kobiet, nie pominąłbym szczegółu, że jest to młody i nadzwyczaj przystojny oficer marynarki, ponieważ jednak piszę dla szerszej publiczności, powiem tylko, że pan Sz. Rogoziński jest członkiem towarzystwa geograficznego paryskiego, członkiem klubu afrykańskiego w Neapolu i specjalistą, znającym Afrykę i historję jej badaczyw—jak to mówią—na palcach. Odbił on już kilka podróży w Afryce i posiada doświadczenie potrzebne przewodcy wyprawy do tych mistycznych krain. Niejednemu z czytelników wydaje się może, iż opowiadam ustęp z powieści Verne'a, tymczasem mogę zaręczyć, że wszystko, o czem mówię, jest najistotniejszą rzeczywistością. By jednak zrozumieć dokładnie cel wyprawy, należy spojrzeć na mapę Afryki, w okolicach równika. Owóz, w pobliżu jego, ale wyżej, zatem między równikiem a ujściem Nigru, leży na półwyspie mała wysepka Fernando Po. Mniej

więcej naprzeciw wyspy zatacza się amfiteatrem zatoka Kameruńska, otoczona jak gdyby murem, łańcuchem gór Kameruńskich. Na półbrzeżu leżą faktorye różnych narodów, zamieszkują kupcy handlujący olejem palmowym, a dalej, na wschód, poza górami Kameruńskimi i na górnym biegu rzeki Kalabar, leżącej nieco na północ od nich, mianowicie między tą rzeką a drugą zwaną Binue, która wpada do Nigru, świat zabity deskami... niewiadomo co... tajemniczy południowy Sudan, który na mapach świeci białą—dlatego właśnie, że biały człowiek jeszcze nie przeniknął w te strony i nie zapisał geograficznej karty nazwami. Zapisać ją postanowił nasz rodak. Przypuszczając, że rzeka Kalabar bierze początek w systemie nieznanych jezior, stanowiących olbrzymi zbiornik wód zachodnich, odpowiadający temu, który na wschodzie tworzą jeziora Wiktorya Nyanza.

Czy jednak te jeziora istnieją, gdzie leżą? — geografia stawia znak zapytania, zamierzona zaś wyprawa postanawia go usunąć. Gdyby się to stało, Afryka odniosłaby światu resztę swoich tajemnic. Livingstone podróżował ze wschodu od strony Zanzibaru, Stanley szukał go z zachodu od strony rzeki Kongo, i te, bardziej na południe położone okolice są już mniej więcej znane. Tylko górnego biegu Kalabaru i jej początku nikt dotąd nie zbadał. Chwała odkryć wisi jeszcze w powietrzu i nie wiadomo,

na czyje skronie spadnie jej wieniec. Wyprawa pana Szolca-Rogozińskiego ma jednak pewne dane, że jej się powiedzie. Naprzód klimat, przy ujściu Nigru tak zabójczy, koło gór Kameruńskich, skutkiem wysokiego położenia pobrzeży, jest zdrowy. Dalej, ludność murzyńska pierwotna, ta, która mało jeszcze stykała się z białymi, lub prowadziła tylko z nimi handel na wybrzeżu, nie jest okrutną. Podobno ci murzyni wogóle nie są tak czarni, jak ich malują. Królikowie chętnie wchodzą w stosunki handlowe i cieszą się ze sposobności nabycia za kość słoniową czerwonych fraków i stosowanych kapeluszy. Najokrutniejsze są te pokolenia (przeważnie wschodnie), które oddawna były pod wpływem islamizmu. Nakoniec kraj, jak wogóle cały Sudan, jest nadzwyczaj żyzny, wyprawie więc nie grozi niebezpieczeństwo śmierci głodowej, jak w Saharze. Tarasy, w które układa się grunt środkowej Afryki, pokryte są albo dziewiczymi lasami, albo są to stepy, po których bujają stada antylop, zebra i bawołów. Ludność jest, sądząc z zaludnienia brzegowego, dość gęsta, przeważnie rolnicza. Za szkiełka, lusterka i stare mundury łatwo dostać bananów i manijoku.

Pan Rogoziński opowiada nam, że już w szwalniach brukselskich zamówił cały zapas najjaskrawszych mundurów i galonów, bo jakkolwiek wyprawa nie ma celów handlowych,

jednakże musi być zaopatrzona w towar zamien-
ny. Dotychczas zapisało się do niej pięciu na-
szych ziomków. Przedewszystkiem sam Rogo-
ziński, następnie geolog, Klemens Tomczak,
Stanisław Kiernicki, malarz, Leopold Janikow-
ski, meteorolog i Jan Budziłowski. Eskortę bę-
dą stanowić murzyni Kru, używani zwykle do
podobnych obowiązków. Część wyprawy pozo-
stanie na brzegu, jako rezerwa, inni zaś przez
pustynie, góry i lasy pójda dalej. Czem jest to
dalej?... — niech czytelnik w swej duszy do-
śpiewa... Murzyni, słonie, gorylle... gwiaździste
noce z orkiestrą głębokich basów lwieh, ro-
mans Verne'a, Tysiące nocy i jedna... a cel po-
ważny i naukowy!... Zaprawdę, niejedna gło-
wa się zapali i niejednen kandydat jeszcze się
zapisze. O ile wiemy, między tymi kandydata-
mi niema dotąd żadnego z warszawskich lite-
ratów. Jest to klasa ludzi niezmiernie czuła na
powaby białogłowskie. Niektórzy z nich należą
do niestálych mieszkańców miast, ale wszyscy
do stálych wielbicieli pleci słabej a zdradliwej.
Stąd żenią się wcześnie i z wyprawami o tyle
tylko wchodzą w stosunki, o ile każda młoda
żona wnosi do domu wyprawę. Przytem narażać
swoje literackie ciało na lwie zęby, lub ludo-
żercze żołądki!... Nie śmiem przypuszczać, ra-
zem ze Słowackim, aby jaki dziki zwierz, po zje-
dzeniu którego z nas, uczuł „czczość dziwną“.
Przypuszczam nawet przeciwnie, że łatwiejby

mu przyszło zjeść którego z nas, niż strawić, ale robię tylko skromną uwagę, że odszukać zaginionego w ten sposób byłoby trudniej jeszcze, niż odszukać Livingstona.

Zresztą nie mamy czasu jechać do Afryki, bo musimy pisać sprawozdania o Sarze Bernhardt! Przyjechała na koniec! Jeszcze w Wiedniu miała podobno powiedzieć, że winna to jest społeczeństwu, którego synowie przelewali niegdyś krew za Francję... Oto, co się nazywa płacić dług z czubem. Przygnieceni jesteśmy, o pani! taką nagrodą — i pozwól, abyśmy ci złożyli dzięki w imieniu... Portugalii. Autorem tego portugalskiego podziękowania jest Henryk Rzewuski, ale teraz da się ono przystosować. Pani Sarah widocznie nie źle trzyma o sobie. Ale potem o tem. Obecnie z jednego końca miasta na drugi przebiega słowo „przyjechała!“ Tak jest. Posłuchajmy, jak było. Prolog: owinięta w białą chustkę przemknęła się jak widmo z wagonu przez peron i salę. Podobno ziemi nie tykała — błysnęła, znikła — i zapewne zjadła kolacyjkę. Akt 1-szy: wystąpienie. Noc! pochodnie strażaków rzucają jaskrawe światło na błoto ul. Wierzbowej. Szczęściem Sarah jest już w teatrze, inaczey mogłaby wykrzyknąć: „ach ten Apfelbaum!“ I pan antreprenier od wywożenia błota więcejby się zasmucił, niż smuci się z kar, jakie na niego nakłada magistrat. Ale mniej-

sza o to. Sarah tedy jest w teatrze. Za kulisami ruch, fraki, białe krawaty, miny uroczyście. Co za przyjęcie, to będzie kontenta! Nagle z za kulis słyhać głos Sary w tonie c wysokie: „Jeśli tu wszyscy będą chodzić, to ja nie będę grała! nie gram, jadę, nie gram! nie gram!“ (forte). Diva jest rozdrażniona. Krzyczy, że zimno, że piece dymią, w czasie tego ubiera się. Dzwonią, publika zatrzymuje dech w piersiach — Sarah na scenie. Aa!... Uwagi, spojrzenia, refleksye... Jest powiewna, jest bardzo szczupła, jest b. szczupła, jest tak szczupła, że jeden z obecnych doktorów robi dwuznaczną uwagę, że na płuca może być chora, ale na piersi nigdy. Czemże jest Sarah? uosobioną chwałą, a chwałą? — cieniem — powiada Szekspir. Jak wszyscy Francuzi, taki Sarah zapewne nie lubi Szekspira.

Jednak ten cień ma piękne gięsta i dobywa nad poziom mocnego głosu. Ale to już należy do niej i do naszego recenzenta. Nam tylko nakoniec wypadnie ją wziąć w obronę przed ukośnym piorunem, który jest do obejrzenia w naszej redakcyi za wrzuceniem do puszki na biednych „co laska“, a który za pośrednictwem naszego pisma pragnął rzucić na nią sędziwy nasz poeta A. E. O. Bo posłuchajmy tylko, co mówi:

Gdy aktor uosabiał wieszczę ideały,
Postacie bohaterów, albo bohaterek,

Słuszna, że z poetami dzielił wieńce chwały —

Lecz gdy uosabianie łotrów lub heterek —
Byle trafne—ma budzić również uwielbie-

[nie:

To już nam, prostym ludziom, zda się nie-

[pojętem —

Bo mogeż się zachwycać, czy cieszyć na
[scenie

Tem, przed czem na ulicy uciekam ze
[wstrętem?

Ze wstrętem, czyli: cum abominatione! Naturalnie, że ucieczka jest najlepszym sposobem obrony, odkrytym jeszcze przez Józefa, ale czyż wszyscy uciekają? Co do nas, bierzemy stanowczo w obronę biednych aktorów. Czyż oni to winni, że autorowie piszą takie sztuki, a nie inne, i czyż oni winni, że publiczność woli takie sztuki od innych? Takie to czasy przyszły. Na muzy, bogów i boginie nie chcemy patrzeć, chyba że... tańczą kan-kana na nutę Offenbacha. O tempora, o mores! Co się i z samą Grecją stało! Kto ciekawy, niech przeczyta dzisiejszą korespondencyę „Słowa“ z Grecyi. Na Olimpie tessalskim obrali sobie mieszkanie rzezimieszki. Gdy ich stamtąd wypędzą, powstanie zapewne hotel i restauracya. Aktorowie są to języki, którymi smak publiczny liże to, co mu smakuje,—ale nie oni winni.

Skoro wspomniałem o rzezimieszkach, wypada podać jeszcze fakt autentyczny. Gdy karetka Sary zajechała pod teatr, przypada dwóch jakichś panów we frakach, białych krawatach i podają ręce artystce. Idą na scenę, ale rzecz dziwna, im więcej policyi spotykają na drodze, tem uprzejmi panowie słabiej podpierają powiewną postać, nakoniec nikną. Okazało się, że byli to Robert i Bertrand, czyli dwaj złodzieje, którzy w ten sposób postanowili obrać artystkę z klejnotów, jakie mogła mieć przy sobie, lub na sobie. Między publicznością nie wiedziano w pierwszej chwili, czy chcieli artystkę wykraść, czy okraść. Ostatnie mniej straszne. Za klejnoty zapłaciłaby publiczność. Mój Boże! Zamierzona wyprawa afrykańska potrzebuje tylko dziesięciu tysięcy rubli. Bez nich może się nie udać. Ciekawym, czy też Sarah mniej wywiezie z Warszawy? A może i znacznie więcej, może dwa razy tyle. Ale trudno! Musimy załatwić sprawy „najpilniejsze”. Ciekawym także, czy na odczyty p. Szolca-Rogozińskiego, które podobno wkrótce będą mieć miejsce, będziemy się tak tłoczyli i tak przeplacali bilety, jak na występy divy.

Ale zresztą, kto się interesuje losem wyprawy, może być o nią spokojny. P. Rogoziński ma zaofiarowane subsydia od różnych to-

warzystw geograficznych. Tylko, jeśli je przyjmie, wyprawa będzie się oczywiście nazywać włoską lub francuską, według tego, kto da pieniędzy.

Słowo. Rok 1882. № 5.

Kronika tygodniowa.

III.

Treść. Sara Bernhardt. Odlot żórawi. Inteligentna publiczność. Pamiętnik. Ton francuski. Francuzechyzna. Przerobiona piosenka. Le roi est mort i t. d. Przyjazd Modrzejewskiej. Meiningenńczycy. Brak zabaw. Ciężkie czasy. Głosy do komitetu. Ofiarność. Dar dla Macierzy. Doświadczenie. Obietnica. Rozczarowanie. Zyski śniegowe. Zarządy i akcyonariusze.

Splata długu, zaciągniętego pod Somosier-ra, Arcis sur Aube i w wielu innych miejscowościach, zbliża się ku końcowi. Ostatnie raty spłacone będą jeszcze dziś, jutro, pojutrze, a potem francuska Goplana na czele łańcucha francuskich żórawi odlatuje do cieplejszych krajów. Nie wiemy, jak będzie wspominać „okropną krainę, gdzie sosny i śniegi sine“, to tylko pewna, że oboje z panem Jarret doszli do przekonania, że tutejsza publiczność jest niezmiernie inteligentna. Nie wiemy wprawdzie, czy się to stało po pierwszej „burzy“ oklasków, czy po obliczeniu dochodów netto,

ale w gruncie rzeczy jest to wszystko jedno. Sara winszuje Warszawie, że tu wszyscy umieją po francusku, że śmieją się, gdy trzeba, i kłaszczą, gdy trzeba, a sobie, że nikt nie wybił jej okien w karecie, nie rzucił się na jej klejnoty, żeśmy nie ukręcili głowy panu Jarret, ani panu Daria—słowem: jest zachwycona. Mówią, że diva pisze pamiętniki, w których to wszystko będzie przekazane potomności. Cieszymy się więc. Mówić, że od złego dłużnika bierz i łyka, byłoby nie stosownie. Ktoś wprowadził powiedział, że jeśli Sara chciała spłacić dług, niechby była grała darmo. Niech Pociąg Macieja ma za dobrodzieja. Tamto darowujemy—bo taka nasza fantazya, a za to zapłaciliśmy i... pozostaniemy dobrymi przyjaciółmi.

W ten sposób i pamiętnik będzie miał sens, który przyszłe gwiazdy francuskie zrozumieją, jak następuje: „jedźcie do Warszawy, bo tam płacą i nie wybijają zębów, a oprócz tego wszyscy umieją po francusku, a ci nawet, którzy nie umieją, udają, że umieją“. Na piątkowym przedstawieniu Sfinksa w całym teatrze mówiono ze sobą po francusku —zapewne na cześć artystki, a i grasejowano tak po parysku, jak w Café anglais o godzinie dwunastej w nocy. W powietrzu unosiły się perfumy paryskie, a ktoś nawet zapytany przez woźnego o bilet, nie dosłyszawszy, o co idzie,

jakkolwiek nigdy przedtem nie mówił po francusku, spytał „kua?” głosem tak gromkim, że biedny woźny przestraszył się.

Tak! pod względem francuszczyzny jesteście konserwatywni. W Krakowie mówią po polsku—a u nas nie! przecie większe miasto, większy szyk! Teraz import guwernantek z językiem i z muzyką jeszcze wzrośnie, a po odjeździe Sary, *chevalier* Zielonogłowski nie będzie rok rozmawiał inaczej z panną Dziurdziulewicz, jak po francusku, dodając tylko czasem dla równowagi: „*comment ça s'appelle en polonais?... chose!... machine! ps! pst!...*” Istny książę de Morny!

Chciałbym przerobić znany i niegdyś popularny wiersz w ten sposób: „Parlujeie, Polki! teraz czas parlować!” Aleby się to na nic nie przydało. Pan Ohnet, czy jak się tam nazywa?—napisał sztukę, której bohater — na imię i nazwisko Sergiusz Panin — jest sobie lapserdakiem pierwszej wody. Otóż autor objaśnia nas, że jest to książę polski. W ostatnich sztukach francuskich bardzo często rolę drapieżników odgrywają Polacy, ale to nie dziwnego. Mamy przecież tyle sympatyj do Francyi—a między przyjaciółmi takie szlachetne żarty uchodzą. Przytem to bezpieczniej niż na przykład wprowadzać na scenę Prusaków, po których guzy i sińce nie zagoiły się jeszcze.

Krzesło na występy Sary Bernhardt kosztowało piętnaście rubli, aleśmy się tem nie zrażili. Porobimy oszczędności w czem innem. Ktoś zauważył wprawdzie, że są to za grube ceny na tak cienką artystkę. Cienka ona jest rzeczywiście. Jakiś zdrowy Grabiec miałby wszelkie prawo powiedzieć o niej: „A cóż to za panna? Ma nos, nogi, żołądek, a coś niby szklanna“. Nie jest jednak szklana, bo gdyby tak było, byłaby się niedawno stłukła. Tymczasem odjeżdża zdrowa.

Le roi est mort — vive le roi! Zagraniczna kometa znika, a tymczasem na horyzont sztuki dramatycznej wchodzi nasza rodzima gwiazda. Modrzejewska przyjechała — bilety oddawna są już rozkupione. Zapewne polski język, płynący z takich ust, nie porani rozdelikacych po Sarze uszów.

Po występach naszej artystki zapowiadają Meiningerów. Mielśmy więc operę włoską, komedję francuską, a będziemy mieli dramat niemiecki. Istna wieża Babel — istne wędrówki narodów. Zresztą Meiningerzy godni są widzenia. Jest to trupa najlepiej wyszkolona ze wszystkich i służąca poważnej sztuce.

Widowiskom teatralnym nie stają tej zimy na przeszkodzie zabawy prywatne. Bałów dotąd niema, o rautach nie słyhać. Nikt nie chce pierwszy wydać balu. Jeśli tak pójdzie dalej, rękawicznicy i fryzyerowie zbankrutują.

Będziemy zbierać i na nich składki; ale nie tracą jeszcze nadziei. Po jakimś pierwszym balu dobroczynnym ruszą się zabawy, nogi i pieniądze.

W każdym jednak razie nie będzie to wszystko tak świetne, jak zeszłego karnawału, bo czasy są ciężkie. Składki idą za składkami, a dawać nie tylko wypada, ale i trzeba. Podniosły się już wprawdzie różne głosy dowodzące, że składki są zbyteczne, że już ich jest dosyć, że na koniec wynagrodzenie wszystkich strat materialnych nie jest zadaniem komitetu,—ale głosy te pozostaną bez echa. Przedewszystkiem jest zadaniem komitetu wynagrodzić straty o ile możności i przywrócić zachwianą przez nie równowagę ekonomiczną. Pieniądze, których się na to używa, płyną ze składek dobrowolnych; każdy daje tyle, ile może ze swych groszy zapasowych, bez ujmy i uszczerbku dla siebie, słuszną zatem, by grosz zapasowy wypełnił luki po ostatnim rabunku. Powtórę nie można ograniczać ofiarodawców. Ten, kto spieszy z pomocą chętnie i skwapliwie, ten znajdzie zawsze jakiś grosz i dla brata-ślazaka w razie głodu i na pomnik Mickiewicza, gdy chodzi o honor narodowy. Jakoż składki na Mickiewicza płyną jeszcze i niema powodu wątpić, że dojdą do potrzebnej sumy. Co do komitetu, oczywista rzecz, że potrzeba, by działał rozważnie,—ale też wszystko

za tem przemawia, iż będzie działał rozważnie—i że nie zapomni o potrzebujących ratunku robotnikach i rzemieślnikach. I oni są także ofiarami ostatnich oplakanych wypadków. Czasy rzeczywiście są dość ciężkie. Dwie fabryki zgorzały. W innych jest mniej roboty, niż zwykle. Starano się wprawdzie nie oddalać robotników, ale zmniejszono godziny pracy, skutkiem czego zmniejszył się i zarobek. Nędma może dotknąć niejedną rodzinę. Raz zawiązany komitet powinien nie rozwiązywać się, póki nie przejdą chwile najcięższe. Ze składek, zebranych na ofiary katastrofy świętokrzyskiej, pozostaną prawdopodobnie znaczne fundusze — i te użyte być mogą i powinny tak na zasilenia kas pożyczkowych, jak na wsparcia dla robotników — i tenże sam komitet powinien tem się zająć. By jednak mógł zająć skutecznie, nietylko nie trzeba wstrzymywać ofiarności, ale ją zachęcać. Zdaje się, że to dość jasne. Nie można także mówić komuś: „nie dawaj na Izraelitów“—jeśli taka jest jego wola i jeśli mu miłosierdzia i grosza starczy.

Słyszeliśmy o znakomitym darze, jaki otrzymała „Macierz Polska“. Podobno aż dwadzieścia trzy tysiące rubli! Wszystkie gazety już o tem doniosły, jako o fakcie spełnionym. Radość nasza byłaby wielka, gdyby—gdyby nie doświadczenie. Z równą pewnością donoszono w swoim czasie o szlachetnej ofierze 15,000

rb. na tenże cel. Sumę tę miał ofiarować pan X. (nazwiska udajemy, że nie pamiętamy). Potem zrobiono tron z obywatelskich uczuć, tylną poręcz z miłości dla dobra publicznego, boczne z poświęcenia; na tym tronie posadzono pana X., a opinia publiczna powtarzała w głos: oto jest Maciek nad Maćkami! oto jest obywatel nad obywatele! On to da 15,000 rb., on utuczy Macierz.

Tymczasem Macierz była chuda, jak Sara Bernhardt, a że nie umiała się przytem reklamować, więc mogła schudnąć na śmierć. Opinia zyskała, nauczyła się bowiem 1-o, że przysłówie: „obiecanka cacanka“ nie jest tak głupiem, jak ci, co mu nie wierzą, a 2-o, że dając na kredyt sławę i popularność, trzeba przynajmniej wziąć rewers na piśmie. Teraz nie ma rewersu i nie ma pieniędzy. Jeśli będą, to lepiej, ale póki nie ma, to po polknięciu samej obietnicy, jest nam dziwnie czezo. Oby owe dwadzieścia trzy tysiące rubli płatne były w czem innem, nie w dobrych chęciach! Wkrótce się o tem dowiemy, —gdyby jednak i tym razem wieść się nie sprawdziła, poczęłyby się pojawiać setki ofiarodawców na grubsze jeszcze... obiecywane.

W tych ciężkich czasach śnieg stał się naszym dobroczyńcą. Nie obiecywał nie padać, przeciwnie nawet—kalendarze przewidywały z zupełną pewnością, że będzie padał, a nie pa-

dał. Jak donosi Kuryer Poranny, Zarząd kolei żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiej i Warszawsko-Bydgoskiej zyskał na niezamiataniu śniegu na czysto 100,000 rb. Jeżeli nie będzie go do końca zimy, zysk zapewne jeszcze się podwoi. Dodawszy do tego, co zyskają inne koleje—żałujemy trochę, że te zyski pójdą na akcyonaryuszów nie na zamiataaczy,—ale z drugiej strony przecież zarządy i akcyonaryusze wiedzą, że teraz właśnie pilne są składki na ofiary wypadków, na kasy pożyczkowe, na pomnik Mickiewicza etc. etc. etc. Skarbonki brzęczą, śnieg nie pada, nie trzeba jednak skąpstwem wywoływać klątwy: bodaj was śniegi zasypały.

Słowo. Rok 1882. № 10.

Kronika tygodniowa.

IV.

Treść: Powódz korepetycyi. Polityka kuropatwia. Crispinus. Consilium facultatis. Współczucie i uznanie. Kasa imienia Mianowskiego. Członkowie. Nadzieja. Komitet. Poeta z pod Rypina. Nauka i kuropatwa. Nowa rubryka. Zaległość i inne towarzystwa. Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych. Rzeźba. Taine. Brodzki i Weloński. Gładyator. Wspomnienia rzymskie. Pracownia. Stankiewicz. Salon wystawy. Piwnicki. Horowitz. P. Bilińska i malarz wędrowni. W. Kotarbiński. Gondola. Libelle. Dziwne wrażenia. Opowiadanie Suchenwirda. Szczególna maniera. Owidzki „Przed dworkiem“.

J'ai lu Agésilas hélas! Wiadomo powszechnie, że piżmo w małej ilości jest materią nader wonną, natomiast w nadmiarze dusi. Od niejakiego czasu tyle mamy „listów otwartych“, „słów prawdy“, „uwag“ i tym podobnych rozpraw we wszystkich kwestyach społecznych, że nam w tej atmosferze już trochę duszno, tembardziej, że niema nadziei, aby owa produkcya zmniejszyła się w najbliż-

szej przyszłości. Po korepetycyi p. Eryka Jachowicza, danej komitetowi, mamy nowo wynalezioną „politykę kuropatwią“, zapewne w przeciwstawieniu do jeleniej — i... ecce iterum Crispinus!... Różni doktorowie składają nieustające „consilium facultatis“ nad ranami społecznymi, radzą środki wstrzymujące, ochładzające, niewstrzymujące, a przestrzegane, ratowane i zbawiane na gwałt społeczeństwo ledwo już dyszy. Co do mnie, gdyby to było rzeczą możliwą, uniósłbym „zadziwione sluchy aż do równika“ w towarzystwie pana Rogozińskiego, którego wyprawę wziął, o ile wiemy, ogół tak do serca, że potrzebnych do urządzenia wyprawy funduszów będzie pono musiał młody marynarz szukać gdzieindziej. Nie pomogła i „Kasa imienia Mianowskiego“. Zadaniem jej wprawdzie jest popierać przedsięwzięcia naukowe, ale na nieszczęście, w braku pieniędzy, mogła tylko ofiarować panu Rogozińskiemu dobre chęci, które podróżnik przyjmie zapewne, bo w najgorszym razie nie zacieżą mu w pakunku.

Tak więc na przyszlą wyprawę p. Rogoziński ofiaruje swój majątek, król belgijski fregatę, Włochy współczucie, a my współczucie. Szkoda wprawdzie, że tego współczucia nie można zjeść, ani wypić, ani nawet zrobić sobie z niego parasola, ale zaprawdę nie mogliśmy nic więcej ofiarować, bo istotnie nie mamy

pieniędzy. My—to znaczy: „Kasa imienia Miąnowskiego“. Mówiono o tej Kasie dużo. Społeczeństwo przyznało, że może to być jedna z najbardziej pożytecznych w kraju instytucji, ale po pewnym czasie poprzestało na przyznaniu, Kasa zaś zupełnie tak samo daleko może zajechać na przyznaniu, jak p. Rogoziński na współczuciu.

Gdy się jednak wspomni, ilu to wychowanców b. Szkoły Głównej zajmuje dziś poważne i wybitne stanowiska w kraju, dziwić się można, że instytucya, która bądź co bądź jest jej pamiątką, napróżno usiłuje przygarnąć tych wychowanców i że wśród szerokich kół publiczności platoniczne tylko wzbudza uczucia. Może ludzie zbyt jeszcze mało o niej i o jej celach wiedzą. Otóż objaśniamy, że celem Kasy jest popieranie ludzi, pracujących na polu naukowem, czyli nauki samej. Zadanie instytucji jest poniekąd podobne do zadań istniejących gdzieindziej towarzystw przyjaciół nauk: członkowie jej honorowi płacą 100 rb. jednorazowego wkładu, członkowie rzeczywiście po 5 rb., członkowie in spe nie nie płacą i Kasa ma honor oświadczyć, że tych ostatnich ma dotąd między b. wychowancami b. Szkoły Głównej najwięcej i że liczba ich codziennie wzrasta.

Wobec takiego stanu rzeczy niewiele można zrobić. Koła smarowane tylko nadzieją mu-

sza skrzypiec. Oto na każdym prawie posiedzeniu członkowie Komitetu dowiadują się, że wypadłoby to lub owo uczynić. Oto ktoś napisał dzieło naukowe i pragnie zaciągnąć pożyczkę na wydawnictwo. Kto inny znowu chciałby po ukończeniu uniwersytetu wyjechać za granicę, aby się kształcić specjalnie, kto inny marzy o ekspedycji wewnątrz kraju — słowem: próśb i żądań jest niemało. Komitet rozpatruje je, członkowie dyktują, zapalają się do pięknych myśli, sami podnoszą projekta, gdy nagle w chwili zapadnięcia uchwały, daje się słyszeć grobowy głos kasyera: „Panowie! miejmy nadzieję, że się to da zrobić, ale dotychczas nie mamy pieniędzy. Z byłych wychowanców zaledwie dziesiąta część zapisała się dotąd na członków!”

Komitet tedy ma nadzieję. Bóg widzi, że ma jej więcej, niż pieniędzy. Jest nią tak wyдутy, jak balon, i mógłby latać pod niebiosami; jest tylko obawa, że, gdyby sobie pozwolił unosić się zbyt wysoko, mógłby łatwo kark skrzywić. Zresztą właśnie dlatego jest tak lekki, że „eks-wychowawcy“ są tak ciężcy. Nauka, która spodziewała się znaleźć w nich synów, z zadziwieniem spostrzegła, że traktują ją, jak macochę. Przysłowie: jak Kuba Bogu, widocznie jest kłamstwem, a natomiast prawdą poczyną być wiersz najślawniejszego kiedyś w okolicach Rypina poety:

Że wdzięczność nie jest rzecz bardzo łatwa,
Wie to zwierz każdy, ptak i kuropatwa.

Ta kuropatwa miała widocznie szczęście do literatury, skoro raz przysłała w pomoc poecie, gdy chodziło o rym, obecnie zaś udzieliła swej nazwy świeżo inaugurowanej polityce. Ponieważ zaś nie zapomniano i o tem, że kuropatwa ma zwyczaj chować głowę w śnieg, gdy niebezpieczeństwo krąży, niechże mi będzie wolno użyć jeszcze raz porównania. Nauka krąży, jak orzeł pod niebem — wychowawcy zaś jej pokryli głowy, jak kuropatwy — cóż więc dziwnego, że nauka, nie widząc głów, widzi tylko... pustki w „Kasie imienia Mianowskiego“.

Mamy wszelako nadzieję — (zawsze tylko nadzieję), że gdy nasza publiczność dowie się jeszcze raz, jak pożyteczną jest ta instytucja, a zwłaszcza, gdy dowie się, że jej członkowie rzeczywiście placą tylko po pięć rubli rocznie — wówczas podniesie głowy.

Otworzymy wówczas czwartą rubrykę: członków nie-honorowych, to jest takich, którzy nie wnoszą składek regularnie. Zawszeć to będzie tytuł, a wiadomo, że lubimy tytuły. Na tę nieregularność członków skarżą się po staremu wszystkie inne nasze instytucje. Na „Dobroczyńności“ tynk poodpadał z murów, budynek wygląda, jak dziad, a napis: „res sacra miser“, jak reklama dla własnej świę-

tości; Towarzystwo osad rolnych cierpi od dawna na chroniczne zaległości i napróżno obiecuje publicznie wygwizdywać swych opóźniających się członków, wychodząc z zasady, że „bis dat qui cito dat” znaczy po polsku: gwizdaj, by ci kto dał. Nie pomagają prośby, ani groźby. Nakoniec Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych od lat już wielu doszło do przekonania, że: „był młody, który życie wstrzemięźliwie pędził;—był stary, który nigdy nie łajał, nie zrzedził”, —ale nie było członka, któryby nie zalegał.

Nie pochodzi to ani z biedy, ani ze złych chęci, ale z safandulstwa, które jest tak dobrze chorobą społeczną, jak i lekkomyślność. Ale mniejsza-to. Gdybym miał na nią lekarstwo—ogłaszałbym je jak Guyot swoje kapsułki. Tymczasem miło mi, żem się zatrzymał przy Towarzystwie Sztuk Pięknych, bo zamierzam wprowadzić tam czytelnika. Na świecie smutno i bieda; w mieście panują błonice i zapalenia, pisują się „listy otwarte”, odbywają się juden-hece, słowem — spadają na nas tysiączne biedy, a tam zawsze cicho i spokojnie. Wejdźmy. Oto pokój z rzeźbą. Tam jeszcze niewiele pociechy. Prócz „Madonny” Rygiera, niema nic godniejszego uwagi. „Wenus Medycejska”, dalej „Niewinność” z zupełnie słusznym napisem: „uprasza się nie dotykać palcami”—w kącie zapomniana i jakby gniewna muza Go-

debskiego, której nie wiadomo dlaczego nie postawiono na grobie Moniuszki; dalej kilka portretów, kilka główek rodzajowych — i oto wszystko, a w tem wszyskiem brak ducha twórczego, niema samodzielności i polotu. H. Taine mówi, że wogóle rzeźba w nowożytnych czasach straciła dawną podstawę, jaką jej dawała mitologia, zamiłowanie plastyki i życie dawnego greckiego miasta, że nie może być samodzielną, bo musi iść za wzorami, bo naprężona łydka popychającego wóz parobka nie wprawia nas już w zachwyt, bo wreszcie miast chwalić się muskulami, nosimy ubranie. Ostatni argument pozwala nam spodziewać się, że ze względu na wielką ilość świętych tureckich, rzeźba właśnie u nas kwitnąćby mogła. Jednakże nie kwitnie. W malarstwie nie zapędziliśmy wprawdzie jeszcze w „kozi róg“ Europy, jak to twierdzą niektórzy sprawozdawcy, jednakże posunęliśmy się znacznie naprzód nietylko od czasów, gdy malarz za portrety jegomości i jejmości brał 50 złotych i wikt przy drugim stole, ale i od czasów, gdy za największego malarza historycznego uchodził zasłużony skądinąd Lesser. W rzeźbie poczynamy dopiero! W salonie naszym ostatecznie niema nic — zagranicą. Komu nie wmówiono wielkości Brodzkiego, który nie zdołał jeszcze zapędzić w „kozi róg“ Delaplanchów, Mercierów, takich Dubois, Carpeau, Chapu etc., ten wie, że

jedno nazwisko istotnie nie reklamą, ale siłą talentu poczyną wybijać się na wierzch, to jest nazwisko Piusa Welońskiego. Podziwiają teraz w Krakowie jego „Gladyatora“, którego i my prawdopodobnie wkrótce podziwiać będziemy w Warszawie, a którego niżej podpisany miał sposobność widzieć trzy lata temu w pracowni artysty w Rzymie. „Gladyator“, obecnie odlany w bronzie, rodził się dopiero wówczas z gliny, ale już potężny tors i głowa były zupełnie wykończzone, a dłoń wznosiła się ku Cezarowi na potwierdzenie posępnych słów: „morituri te salutant!“ W tejże pracowni widzieliśmy niepospolitej piękności popiersie Henryka Siemiradzkiego, przyjaciela artysty, i sędziwego malarza Stankiewicza.

Te rzymskie wspomnienia długo zostaną mi w pamięci. Marmury, posągi, ruiny, dzieła sztuki, wycieczki za miasto do katakumb lub pobliskich willi, błękitne krajobrazy Kampanii poprzecinane twardemi liniami akweduktów—wszystko to, gdy raz odbije się w mózgu — utrwała się w nim na zawsze. A przytem z takiej wycieczki unosi się wspomnienia całkowitego oderwania się od rzeczywistego świata, od prozy życia i wspomnienia rozmów, w których jakoby w owych słynnych „Causeries Florentines“ rozprawia się wyłącznie o sztuce i jej mistrzach. Sędziwy Stankiewicz pamięta pobyt Mickiewicza w Rzymie i opowiada szcze-

góły, które innym wyszły już z pamięci. Należy on do ludzi, którzy o wielkim pocie mówią: „pan Adam“, bo znali go osobiście i tak mówili do niego. Pius Weloński jest znowu znawcą i tak zapalonym miłośnikiem Rzymu, iż gotów każdego, kto chce, oprowadzać po całych dniach—i tłumaczyć każdemu dzieła sztuki i zabytki. Jest to jeszcze młody zupełnie człowiek, pelen zapалу i prostoty; artysta nawskroś, trochę marzyciel, a przytem, co rzadko z marzycielstwem chodzi w parze: człowiek żelaznej pracy.

Ale są to wspomnienia osobiste. — Wróćmy na wystawę. W następnych kronikach zajmujemy się Krywultem i Ungrem, dziś poprzestać trzeba na sali Towarzystwa Zachęty. W przedsionku duży obraz Piwnickiego, przedstawiający bitwę cecorską, uderza zamętem walczących ludzi, koni, a zarazem zamętem rysunku, jego niedokładnościami i wadami. — Jest tam podwójna walka: Polaków z Turkami i artysty z tematem. Turcy i temat odnoszą świetne zwycięstwa. W głównej sali zwraca na się uwagę portret Horowitza. Artysta jest to mistrz w zakresie portretów, którego, gdyby trochę miał jeszcze śmiałości, możnaby postawić obok Rodakowskiego. Horowicz w wykonaniu, pod względem techniki jest po prostu doskonałym. Nie można w nim znaleźć wad. Rodakowski jednak przewyższał go fantazją. Wo-

la łon stroić swe modele w ubiór bodaj cokolwiek do kostyumu zbliżony, lubił draperyę, chciał mieć jakiś pas, czapkę, płaszcz — kołnier, byle portret przenieść w dziedzinę sztuki i odebrać mu charakter konwencyonalny. Horowitz tego nie ma. Portretuje on z równą dokładnością dzisiejszy konwencyonalny ubiór, jak i twarz. Ta wierność stanowi wadę. Portret na wystawie przedstawia mężczyznę w późniejszym wieku, z twarzą energiczną a cokolwiek choleryczną. Twarz jako studyum doskonała, ale w zbiorze jest coś nadto sztywnego, jak w fotografii. Podobizna zbyt tu przeważa fantazyę, której widocznie nie brak p. Bilińskiej. Jej malarz wędrowny jest wcale nieźle malowany, ale przypomina więcej wędrownego kominiarza. Dlaczego artystka unikała tak starannie wszelkich plam barwnych, mogących rozerwać oko — trudno pojąć. Obraz jest szary, czarny, brudny; trafnie pojęta, typowa twarz budzić ma humor oryginalnością typu — a wrażenie to zepsute jest przez posepność barw, których gra rozpromienia obrazy p. W. Kotarbińskiego. Artysta ten nadesłał obrazy: „Gondola“ i „Libelle“. W obydwóch, sam może nie zdając sobie sprawy, jest pod wpływem Siemiradzkiego z różnicą kolorytu. Jest coś oryginalnego w tym kolorycie p. W. Kotarbińskiego, coś, co niektórzy poczytują mu za przymiot, ale co dla widzów obdarzonych mniejszą dozą do-

brej woli, przedstawia się, jak wada. Oto wszystkie figury i rzeczy na jego obrazach wyglądają tak, jakby je deszcz, nie zdolawszy ich popsuć zupełnie, rozmiękczył jednakże wodą lub wilgocią. Co dziwniej: linie konturowe obwiedzione są dość silnie, a jednak w rzeczach i osobach istnieje pewna nieokreśloność. na mocy której jakoś łączą się i zlewają z tłem. Artysta bardzo mało modeluje, ale inni jeszcze mniej modelują, a jednak z najbardziej szkicowych figur nie otrzymuje się tego wrażenia plamistości i nieokreśloności.

W „Gondoli“ da się jeszcze ono wytłumaczyć, rzecz bowiem dzieje się wśród mgły. Miętkość, niejasność, są tu na swoim miejscu, a nawet sprawiają efekt dobrego odczucia natury, jej ciszy i jakby sennieści we mgle. Wśród tych oparów wodnych, lekkich, wilgotnych, cicho przesuwają się gondola; barwnie poubierane kobiety leżą w niej niedbale i także sennie; siedzący ku tyłowi młodzieniec gra na harfie, w dali widać zarysy Wenecyi — zapewne Dziudeki, ale zresztą Bóg raczy wiedzieć, bo te kształty są nie tylko niewyraźne, ale i krzywe, którego to efektu nawet największa mgła nie sprawia. We wszystkim jednak jest harmonia i pewna poezja spokoju.

„Libelle“ przypominają „On i ona“ Siemiradzkiego. Plamistość ich mniej da się usprawiedliwić. Słońca brak. Pan W. Kotarbiński

posiada talent, ale robi jeszcze jedno dziwne wrażenie, którego również za przymiot poczytać nie możemy. Oto znać w nim jakby jakieś wyczerpanie się twórczości. Wydaje się, że jest to artysta sceptyk, który nie wierzy we własną sztukę i maluje z jakimś zniechęceniem. Czy płynie to z braku zapалу wrodzonego, czy jest gorzkim owocem zawodów — qui lo sa?

Jest jeszcze na wystawie „Opowiadanie Suchenwirda na dworze Wilhelma Rakuskiego o Jadwidze i Jagielle“. Słuchacze, którym Suchenwird opowiada, mają oczy tak wylupiate, jak karasie, ale za to Suchenwird ma jeszcze wylupiastsze. Są to oczy, jak kartofle! Co za szczególna maniera! bo takie wycieńczone postacie i wytrzeszczone oczy w twarzach zawsze do siebie podobnych widzieliśmy już w innych obrazach pana Moniuszki. Co za szczególna chęć psucia podobnemi ekscentrycznościami swoich robót w człowieku, który jest na początku swego zawodu i który zresztą ma istotny talent.

Potrzeba mu tylko tego umiarkowania i prostoty, jaką posiada Owidzki. Jego obrazek „Przed dworkiem“, mimo pewnych wad wykonania i mimo, iż trawnik jest tak zielony, jak szpinak, sprawia nadzwyczaj miłe wrażenie. Przed dworkiem siedzi grupa ludzi: mężczyzn i kobiet, toczących jakąś pełną zajęcia rozmowę. Jest cichy wieczór letni. W takich

chwilach dobrze się gawędzi wśród ogólnego spokoju natury. Ten spokój doskonale uchwycony i odczuty. W sielance „siedzi dusza” i prawda poetyczna, której trafnością uderzony widz nie myśli o niczem innem, jak tylko, że:

„Już miesiąc zaszedł,
„Psy się uśpiły...

Słowo. R. 1882. № 16.

Kronika tygodniowa.

V.

Szkice Klina. Wiele hałasu o nic. Odczyt pana Szolca-Rogozińskiego. Jasnowidzenie. Pomoce. Obecna moda. Przyszłość. Prawdopodobne spory. Początek roku. Zapowiedzi. Nowy objaw umiłowania literatury. Zamiłowanie i nienawiść. Dramata. Oktawiusz Feuillet. Historya jednej Paryżanki. Odgrzewania. Karnawał. Cisza. Maskarady. Korespondencya maskaradowa. Powaga myśli. Środek na biedy. Terminatorowie. Blau-montag. Wystawa p. Krywulta. Koniuszko. Krzesz Matejko.

Szkice Klina! część druga, zeszyt pierwszy! Mea culpa! nie znam części pierwszej i jej wszystkich zeszytów. Autor przytacza wprawdzie wyciąg z recenzji, umieszczonych w różnych pismach, ale istotnie dowiaduję się z nich: I-o że Klin ma talent, II-o że Klin nie ma talentu, III-o że włada wybornie językiem, IV-o że nie jest oryginalny. Razem: nie dowiaduję się niczego. Autor nie dodał ani słowa objaśnienia do tych sprawozdań, w nadziei za-

pewne, że czytelnik będzie wiedział, co o nich myśleć. Pewien filozof, wpadłszy w przepaści sty dół, wykrzyknął: „Boże, jakżem ja głęboki! Tymczasem nie on był głęboki, ale dół. Klin nie popełnia tej omyłki, daje tylko do zrozumienia, że ponieważ recenzje były płytkie, a zatem!... Tu autor rumieni się, spuszcza oczy i mówi: dokończcie! Niechaj to anioł harmonii w niebiosach i czuły słuchacz w swej duszy dośpiewa.

A zatem zaczynamy:

„Dla braku miejsca i czasu
„W krótkości tylko opowiem,
„Ale w sens zgodnie z przysłowiem:
„Za dużo o nic hałas.

Czyli „Trop de bruit pour une omelette!“ Ludzie za dużo mają klinów w głowie, żeby sobie pozwolili jeszcze nowy zabijać. Jeśli zaś nowy „Klin“ nie będzie kontent z powyższej piosenki, gotowiśmy ją umotywować właśnie drugą częścią Szkieców, których pierwszy zeszyt nosi tytuł: „U drogoscazu“. Stoją rzesze, a przed niemi Klin: rzesze nie wiedzą, gdzie iść, nowy prorok pokaże im drogę i w tym celu tak mówić poczyną:

— Drodzy moi, jesteście osły! Przede wszystkim tedy skończcie po pierwsze z mniemanem, że jesteście ludźmi, że wiecie, co jest samowiedza, filozofia, ostateczna przyczyna, po-

zytywizm, gospodarstwo społeczne, kacerstwo, snycerstwo i inne tym podobne idee, a powtóre...

— A powtóre? —przerywają zdrętwiałe rzesze...

— Powtóre, jesteście osły. Czy myślicie, że macie jakich uczonych? Jest tam niby jakiś Kopernik,—w literaturze jakiś Mickiewicz, ale i ten nieszczególny. Słowackiemu czasem się może coś udało —ale zresztą sałata. Głowy polskie, jak i cały kraj: płaskie. Przed każdą kwestyą cofacie się, jak rak. Jesteście ciemni, jak tabaka w rogu, a zresztą wszystko głupstwo i to jest właśnie, co miałem powtóre powiedzieć!

— A po trzecie?

— Po trzecie także jesteście osły.

— No, ależ gdzież mamy iść do tego drogokazu?

— A cóż to ja jestem pastuchem? Może jaka Tytania w was się zakocha, ale cóż mnie to może obchodzić? W drugim zeszycie dowiodę wam z równą jasnością, żeście osły... a teraz bądźcie zdrowi.

Cóż dziwnego, że wobec takich wywodów zdania recenzentów są sprzeczne, bo gdy ludzie pokorniejszego ducha odrazu zgodzą się na trafność rozumowania Klina, inni śmielsi pomyślą, zgoła co innego. Co do mnie, więcej dziwię się różnicy zdań o języku Klina, przy-

pomina on bowiem stanowczo bruk na ulicy Kruczej. Wiadomo, że ten bruk, tworząc naturalne góry i przepaście, czyni miasto nasze niezdobym, twierdzą nawet, że magistrat dla tego właśnie go nie naprawia, aby łącznie z cytadelą i Wisłą osłaniał gród od wszelkich przypuszczalnych inwazyi zagranicznych. Owóż język Klina najeżony jest również trudnościami. Przeprawa przez „Szkice” nie łatwa, dojazd jeszcze trudniejszy, a odkrycie myśli autora redukuje do wysokiego stopnia te przeszkody, na jakie natrafić może zamierzona wyprawa afrykańska. Zresztą wyluszczenie należyte tych myśli pozostawiam do rubryki krytycznej.

Ale „trop de bruit!” Co za szkoda, że kronikę na sobotę pisze się co piątek, inaczej zdalbym sprawę z dzisiejszego odczytu Rogozińskiego. Gdyby np. zamiast autora pojawił się wypadkiem na katedrze kto inny i gdyby z tego powodu słuchaczki okazały jakie niezadowolenie, miałbym temat przynajmniej na dwie kroniki. Byłoby to bowiem dowodem, że czułym słuchaczkom więcej chodzi o Afrykanina niż o Afrykę. A nuż ten, który się nie lęka skwarnych promieni słońca Sudanu, nie zechce się narażać na palące promienie oczu Warszawianek? Mam co do tego jakieś jasnowidzenie. Będzie to jednak zawód. Jak miło jest popatrzeć na czło-

wieka, którego za kilka miesięcy może zjedzą. Murzynki mogą mieć także apetyt! — a to taki przystojny człowiek. Faktem jest, że odebrał już kilkanaście listów, których autorki pytają, czyby nie mogły wziąć udziału w wyprawie. Widocznie kobiety bardziej są przedsiębiorcze od mężczyzn — i nie lękają się dróg równie niepewnych, jak niebezpiecznych.

Nie mówiąc jednak o takich amatorkach, były i inne, które postanowiły przyjść z istotną pomocą przyszłej wyprawie. Słyszeliśmy, że pewna liczba dam wzięła na siebie sprzedaż map i planów przyszłej wyprawy, — projekt ten jednak nie mógł przyjść do skutku. Może w przyszłości znajdzie się inny sposób pomocy. Wyprawa zdołała już zainteresować ludzi, — nie do tego wprowadzie stopnia, by aż ktokolwiek ofiarował się z zasiłkiem, ale stała się już „question du jour“. Jest obecnie moda w Warszawie nie mówić o niczem innem, napomykać w gronie dam o przypuszczalnych okropnościach, jakie mogą przytrafić się wyprawie i dawać do poznania, że dla nas, mężczyzn, te okropności są niczem — i że gdyby nie pewne okoliczności lub pewne obowiązki, nicby nas od uczestnictwa nie wstrzymało.

Prawdziwe jednak zajęcie zacznie się dopiero, gdy wyprawa pogrąży się już w głębinach sudańskich lasów. Jeżeli przytem odkryje nadobitkę jeziora Liba, wówczas napewno doj-

dziemy z czasem do przekonania, żeśmy dali potrzebne fundusze, będziemy się kłócić na prawo i na lewo, że p. Rogoziński jest naszym ziomkiem — słowem przypomni się wiersz Słowackiego:

„A but twój prawy powieszą w Sybilli,

„A o znikniony lewy będą skargi...

Nim jednak to nastąpi, należy przyjść do porządku dziennego. W Warszawie na porządku dziennym same smutne sprawy i rzeczy. Nie można powiedzieć z Hamletem, że świat spocziwiiał. Próżnośmy pochlebiali na najrozmaitsze sposoby Nowemu rokowi. Okazał on się miększym o tyle, o ile mamy ciąglą odwilż i błoto i zapachy uliczne, które bez skutku straszymy Lindleyem i kanalizacją. Do zanotowania mamy tylko jeden miły fakt. Oto zamilowanie do literatury wzrasta widocznie, nawet w najniższych warstwach społecznych, przed paru bowiem dniami okradziono kiosk Ungra ze szczętem. W drugim, zapewne także przez miłość do literatury, wybito szyby.

Trudno wytłumaczyć, wskutek jakiego zamilowania ukradziono w Łodzi całą ciężką i ogromną bramę domu. Ale być może, że to znowu z nienawiści do wszelkich bram, kluczów i zamków. I taka nienawiść wzrasta widocznie. Jest coś zbutwiałego w państwie Duńskiem, mówi Hamlet. Istotnie — dziwne czasy. Ludzie czubią się tak często, jak nigdy,

strzelają się tak często, jak nigdy, a w ostatnim tygodniu miały miejsce aż dwa samobójstwa. Ostatnie popełniła kobieta. Dotychczas zupełna tajemnica okrywa ten dramat i tylko plotkarstwo ludzkie haftuje na tej kanwie romantyczne wieści. Gdybyśmy mieli między sobą Oktawiusza Feuillet'a, napisałby zaraz sensacyjny romans. Ten autor, który się już uprzykrzył we Francyi, cieszy się u nas niezmiernem powodzeniem. Świeżo wyszedł przekład jego „Histoire d'une parisienne“, co przetłumaczono na polskie: *Historja jednej Paryżanki*.—Przypomina nam to słynny w swoim czasie dosłowny przekład „Przez niebieskie! — krzyknął wice-hrabia i wychylił kieliszek świętego Juliana“.—Zresztą ta historia jednej Paryżanki jest stara i nudna nie tylko dlatego, że „w księdzu Kiefalińskim znika Szekspir“, ale dlatego, że wszystkie te powieściowe Paryżanki kończą tak samo: mąż, żona i kochanek, zemsta — i wiecznie to samo. We Francyi już się tem ludzkie przesycili — my ciągle jeszcze odgrzewamy, a to takie niestrawne!...

Karnawał się nie klei, „Judenheca“ popsuła humory, składki wypróżniły kieszenie. Nawet maskarady, na których dawniej było równie mało dowcipu, jak wiele gorąca i równie ciasno, jak nudno, obecnie są mniej liczne. Ludzie nudzą się przestronno. Dawniej można

było tylko ziewać, teraz można się i przeciągnąć. Korespondencya maskaradowa również mało ożywiona. Zaledwie kilka wezwań: „Będę na następnej” lub: „napróżno cię szukałem”, — a ani razu nie czytaliśmy energicznej prośby: „przyjdź koniecznie!”

Terpsychora widocznie także okulała, bo zabaw i tańców niema. Rozmyślamy o sprawach poważnych, bo jeśli nie możemy nic na biedy poradzić, to rozmyślać wolno nam ad libitum. Czy przyszłość zrealizuje owe pobożne tęsknoty, nie wiem. Są rzeczy, które się udają, jak np. samowary uliczne. Zwyciężony barszcz nie śmie ani piśnąć. Herbata za to już się sprzedaje. Czy zapobiegnie ona pijaństwu? Jest jeden środek na pijaństwo, na próżniactwo, na judenhece, na zwiększającą się niemoralność — słowem, na wszystkie biedy społeczne, środkiem tym oświata. Gdyby ów dzielny zastęp, który burzył szynki, wiedział, że, wybijając szyby, krzywdzi właścicieli domów, a rozbijając beczki i wódkę — dystrylatorów. — nie mielibyśmy judenhecy. Gdyby całe setki terminatorów rzemieślniczych nie rosły w błogim stanie niewiedomości złego i dobrego, pan Unger miałby całe szyby w swoich kioskach, a więzienia więcej lokalów wolnych. Jak Francuzi wypisują, gdzie mogą: *égalité, fraternité etc.*, tak mądrzejsi od nich Amerykanie, *knowledge is power*—

wiedza to siła. My zaczynamy dochodzić do przekonania, że i ciemnota to siła, ale takiego rodzaju, że łatwo od niej w kark dostać.

Parę dni temu widzieliśmy obraz, zresztą bardzo piękny p. Koniuszki, zatytułowany „Blaumontag“. Siedzi pan majster i czyta gazetę —widocznie politykuje zawzięcie, przez ramię zaś jego zagląda do gazety mały terminator, który czasu nie traci, bo zarazem ma pełne usta jedzenia. Gdyby pan Koniuszko był Warszawianinem, inaczej pojąłby swój obraz. Możeby ani pan majster nie czytał, ani terminator. Między majstrami jest niechybnie tyłu ludzi porządnych, którzy niekoniecznie krzyczą w poniedziałek: „werda, panie Szarucki!“ ale terminatorom brak opieki, brak bodźca innego do pracy, jak pociągiciel, brak oświaty, brak moralności, bo gdyby te przymioty mieli, musieliby je czerpać chyba z powietrza, a wiadomo, że warszawskie powietrze zgoła z innych składa się elementów.

Zawadziwszy o pana Koniuszkę, czujemy się w obowiązku powiedzieć kilka słów o wystawie Krywulta, zwłaszcza, żeśmy to w zeszłej kronice przyrzekli. Przedewszystkiem tedy sam p. Koniuszko zasługuje na bliższą uwagę. Jest to malarz zdolny i płodny. Miłuje on się w ciemnych barwach, mrokach, światelkach, polyskujących wśród ciemności i wo-

góle w głębokich cieniach. W swoim „Blau-montag“ okazał także wysoki dar obserwacyjny. Majster i chłopiec są to doskonale i skończone typy. Akcja uchwycona wybornie. Znać, z jakim zajęciem majster czyta, co „jenteligeny“ piszą, i że po chwili sam będzie o tem rozprawiał, choćby z własnym terminatorem. Obraz ten też znalazł już podobno amatora. Słyszeliśmy nawet, że zamówiono i drugi zmniejszony egzemplarz. Koniuszko jest, o ile wiemy, bardzo młodym człowiekiem i należy do tych, którzy nie wyrosli ani z soli, ani z roli, ale z własnej pracy i talentu. Mniej zalet ma obraz Krzesza. Powrót Kozaków z wyprawy na Turków. Na pierwszym planie łódź-czajka, a w niej ataman, obok zdobytej branki, na przodzie i z tyłu inne łodzie, wyteżone muskuly wiosłujących, poplątany las wiosel it.d. Wszystko to jest efektowne, ale sztuczne. Koloryt porcelanowy, brak realnej prawdy. Widz ma przed sobą jakby scenę z opery, jakby ilustracyę do rozbujalego poematu. A przytem w łodziach obok Kozaków i obok branek jada błędy rysunkowe i te są najrealniejsze. Obraz ogólnie podoba się, ale to sprawy nie przesądza.

Ze „Chrztem Władysława Warnieńczyka“ Matejki i liczne sprawozdania obznajmiły już publiczność. Jest to wspaniała i poważna karta,

trzymana w stylu niemal surowym. Wkrótce ma nadejść Rzeczpospolita Babińska, o której Kraków cuda nam prawił. Obecnie ten obraz jest we Lwowie.

Słowo. Rok 1882. № 22.

Kronika tygodniowa.

VI.

Treść: Odkrycia. „Trzecia część“. Malkontenci. Dobre strony każdej sprawy i rzeczy. Na tysiąc jeden. O czem statystyka milczy. „Dla edukacyi dzieci“. Zадania obywatelskie. Historia pewnego tatusia, jego synów i córeczek. Pan Lojko. Głos wołającego na puszczy. Kawalerowie. Morawski. Edukacya i duka-cya. Kilka słów o dawnych tradycyach i potrzebach dziejowych. Pretensye. Koniec historyi. Strachy na Lachy. Doktor i pacjent. Gielda karnawałowa. Stare sposoby. Wujaszkwowie. Testament br. Kiekiego. Zapowiedziana książka. Tow. osad rolnych. Odludek filantrop. Pobożne życzenie.

Mam się podzielić z czytelnikami nadzwyczaj radosną wiadomością. Oto odkrycia pójdą u nas tak śpiesznym krokiem, że wyprzedzimy wkrótce na sto mil całą Europę. Nie jest to żadna bajka, ani jedna z tych dziennikarskich kaczek, z których jajka wykluwa się wąż morski. Istnieje bowiem nowe prawidło na poczeie, na mocy którego urzędnik, który odkryje w liście pieniądze, przesyłane bez opła-

ty, staje się właścicielem trzeciej części tychże pieniędzy. Naturalna tedy rzecz, że odkryć mnoży się bez końca. Są wieczni malkontenci, którzy narzekają na to prawidło i twierdzą, że publiczność na niem straci, odkrycia bowiem wymagają uprzednich poszukiwań, a uprzednie poszukiwania uprzednich rozpieczętowań. Prawda. Ile jednak tracą jedni, tyle zyskają drudzy, i w ten sposób równowaga tak konieczna w stosunkach społecznych będzie zachowana. Co więcej: moralny obywatel nie lęka się, by odczytywano jego listy, a jeśli pewnoś, że każdy list będzie odczytany, położy tamę 1-o listom miłosnym, częstokroć godzącym na słabość niewieścią, 2-o listom z prośbą o pożyczenie pieniędzy, 3-o listom wymysłającym — to nie bez racyi będzie można twierdzić, że w życiu nie będzie nic sekretnego, że wszystko musi być jawnem, znanem i że zyska na tem nawet cała ludzkość. Poczta mogłaby to poprzeć następnym przykładem: Pan X. uchodzi za bogatego i ma córki na wydaniu. Oczywiście o córki te starają się młodzi ludzie, których hipoteki są tak ciemne, jak „Szkice” Klina i starają się w nadziei właśnie rozproszenia hipotecznych ciemności. Czekają więc ich zawód. Tymczasem ktoś szukający „trzeciej części” otwiera list pisany do p. X. i znajduje stereotypowe słowa: „Dżywuję się bardzo, że pan żadnej raty obiecannej na weksel nie nade-

ślał etc...” Wówczas odrazu robi się jasno i „komedia z pomyłek” jest niemożliwą, bo przecie poczta od tego jest pocztą, iżby trąbiła. Wobec takich korzyści dla opinii, o której pan Ehrenfeucht wypowiedział w dniu onegdajszym swoją opinię—deklamacye o tajemnicach życia prywatnego są niewłaściwe: nie będzie więc tajemnic, ale za to będzie spowiednik bez obowiązku dotrzymywania sekretu.

W ostatnich czasach zrobiono także inne odkrycie, o którym donosiliśmy już w „Słowie”. Oto statystyka wykryła, że w ciągu roku na tysiąc mieszkańców Warszawy jeden musi być rozjechany przez dorożki, karety lub omnibusy. Powstały z tego powodu niemałe krzyki na nieostrożną jazdę: krzyki według nas również przesadzone, albowiem nie należy mniemać, żeby rozjechanie pociągało za sobą natychmiastową śmierć. W większości wypadków kończy się na polamaniu rąk, nóg lub na stłuczeniu głowy. Owóż ma to wszystko swoje strony dobre i moralne, albowiem: 1-o kto się lubi włóczyć po ulicach, ten w razie złamania nogi włóczyć się przestanie, a przez czas kuracyi może wejrzeć w siebie i poważniej spojrzeć na świat. 2-o kto nie robi, ten niewiele stracił na złamaniu ręki; a 3-o ten, komu stłuką głowę, zdola przekonać ludzi w sposób stanowczy, że ją posiada, wiadomo zaś, że ludzi z głową nie mamy wielu.

Statystyka mileczy, czy te wypadki złamania i stłuczenia spotykają najczęściej b. obywateli wiejskich, którzy przenoszą się stale do miasta dla t. zw. „edukacyi dzieci“ —to tylko pewna, że kategoria wyżej wymienionych, przybyłych do Warszawy, jest coraz liczniejsza. Komu Pan Bóg dał na wsi więcej dzieci, niż rozumu i więcej chęci do wista w resursie kupieckiej, niż do pracy około roli, ten sprzedaje ojcowiznę w całości lub z pomocą parcelacyi, a sam osiada na stałe w mieście — „dla edukacyi dzieci“. Wprawdzie Jasio i Kazio, chodząc do gimnazyum wprost z rodzicielskiego domu, pozostają takimiż samymi osłami, jakimi byli poprzednio, ale za to tatuś „procul negotiis“ — spędza czas wesoło i dobrze. Zrana odwiedza eukiernie i w gronie bliższych znajomych uprawia wielką politykę, wieczorem tnie wiści-ka do godziny drugiej w nocy — i w ten sposób toczy się mu życie, czas, pieniądze.

W samej Warszawie mnóstwo zadań oczekuje jeszcze rąk obywatelskich. Można w ostatnim razie być bodaj członkiem Dobroczynności, opiekować się ochronami lub czytelniami ludowemi, można przecie dalibóg! znaleźć jakie prywatne lub publiczne zajęcie, ale nasz tatuś nie ma na nic czasu, albowiem bawi on w Warszawie — dla edukacyi dzieci.

Dzieci więc rosną... Kizia i Mizia mają nauczycielkę z językami i uczą się fałszować

Szopena, skutkiem czego Szopen przewraca się w grobie, ale nikt zresztą krzywdy nie ponosi. chyba pan Łojko, który napróżno zakłada i jeszcze będzie zakładał rękodzielnicze instytucje dla kobiet, lub szkoły kucharstwa. Posłuchajmy go, jak się skarży. „Szkoła nauki kucharstwa — woła głosem wołającego na puszczy pan Łojko — powstała z inicjatywy założyciela zakładu rękodzielniczego, w dniu 15 października 1876. Przypuszczał on, że nowa instytucja zgromadzi znaczną liczbę uczennic, chcących korzystać ze sposobności praktycznego poznania sztuki kuchennej. Zawiódł się jednak, ogół bowiem naszych kobiet obojętnie przyjął i nie poparł nowootworzonego zakładu, pomimo możliwie dogodnych warunków nauki“.

„Nasze idealne panie widocznie nie chcą mieć nic wspólnego z taką prozą życia, jaką jest przysposabianie pokarmów“.

I w ten sam sposób płacze i dalej pan Łojko. — Zaiste zawiódł się on. Nasze idealne panie nie chciały słyszeć zupełnie o szkole kucharskiej, a niewiele o całym zakładzie. Pan Łojko nie mówi całej prawdy. Tak jest: cały zakład nie cieszy się wielkiem uznaniem naszych pań, mimo wykładu w języku krajowym „w celu praktycznego kształcenia kobiet“.

Głos jego długo jeszcze pozostanie głosem wołającego na puszczy. Ale czego też pan

chcesz, panie Lojko? Czy żeby na pańskie nawoływania odpowiedziały Kizia i Mizia, obie panny tak dystygowane, córki eks-obywatela ziemskiego, który dla „edukacyi dzieci“ przeniósł się wprawdzie do Warszawy, ale który, wierny tradycyi rodzinnej Osłowskich, nie splamił się nigdy niczem, chyba kredką w resursie kupieckiej? Siebie mógł on poświęcić, i właśnie dlatego przeniósł się dla edukacyi dzieci, ale nazwiska swego ustrzegł. Nie wymieniano go też po gazetach, jako jakiegoś członka jakiegoś komitetu i nie obwijano potem w jego nazwisko pieprzu w sklepikach.

A Jasio i Kazio?

W gimnazyum nazywano ich wprawdzie osłami, raz dla ich nazwiska, a powtóre, że z nauką wchodzili o tyle w stosunki, o ile odwracali się od niej tyłem i wierzyli w nią zacięcie. Wobec tak silnej woli wszelkie napaści na nich geografii, historyi, literatury okazały się bezsilne. Galilejczycy zwyciężyli.—Zahartowani w tej walce wyrosli zdrowi, jak rydze, czerwoni, jak buraki—i nie zapomnieli nigdy kim są. Nieraz w przerwach między lekcjami opowiadali kolegom o przodkach swoich:

„...Jak w sławę, znaczenie rosły,

„Co to były za figury,

„Co to były za osły!!

Slusznie więc: i „Lis” z bajki Morawskiego mógł im odpowiedzieć:

„...jakżeś nierozsądny!
„Ciagle swoich chwalisz przodków,
„I ty nie jesteś z wyrodków,
„I z ciebie osił porządny“.

Gdy wreszcie zupełnie wyrosli, każdy z nich kazal sobie zrobić bilety z napisem: „Chevalier de Osłowo-Osłowski” i szukają obecnie żon w czasie karnawału. Do „Nieobecnych” nie należą. Gdy korki raz po raz strzelają u Stepkowskiego — to oni. Gdy po maskaradzie lueczy gdzie jaka rajska kolacyjka — to oni. O! dzieci rodziców przybyłych „dla edukacyi” do Warszawy! nie potrzebuje was szukać tam, gdzie sam nie bywam, bo gdy widzę pędzące dorożki pierwszej klasy i rozjeżdżające na tysiące mieszkańców Warszawy jednego — to wy jesteście. — Gdy spotykam młodzieńca, który całe życie szuka majątku do nabycia, a jakoś nigdy znaleźć nie może — poznaję jednego z was.

A co się staje z tatusiem przyjeżdżającym dla edukacyi dzieci.

Życie się przetoczyło, pieniądze także. Dzieci, chowane pod osobistym dozorem, tracić pomogły — i tato na starość ma obcaszki nieco wykrzywione. Stal się także wielkim pesymistą. Nie wierzy w poświęcenie. Oto ja — mó-

wi — poświęciłem się dla dzieci, sprzedałem majątek, przeniósłem się do miasta, nie robiłem nic innego — i jakżem wyszedł?

Gdy spotkacie ludzi starych, znużonych, rozczarowanych, skwaśniałych, z pretensją do całego świata i osłaniających pretensjami pustki w głowie i w kieszeni, mówiących ciągle o dawnych swoich majątkach ziemskich, to wiedźcie, że są to ojcowie, którzy w swoim czasie przenieśli się do Warszawy dla edukacyi dzieci i „nie robili nic innego“.

Wszystko złe wypłynęło właśnie z tej przyczyny, że nie robili nic innego. W edukacyi dzieci ważną jest rzeczą dozór, ważną wpływ rodzicielski, ważną bezpośrednie czuwanie, — ale z edukacyi dzieci jeszcze ważniejszą rzeczą jest, by rodzice przekazali im tradycję pracy. Wy, co krzyczycie na brak poszanowania tradycyi, chcecie wreszcie zrozumieć tych, co ją kochają szczerze, ale w jej jasnych i szacownych stronach. Tradycja może być złą i dobrą. Świętą jest tradycja miłości do kraju i tradycja pracy i tradycja zasługi, ale tradycja samowoli, bezkarności, tężyzny, zbytku i próżniactwa jest złą i należy ją wypędzić, należy wyświecić z miasta i kraju.

Dzieciom waszym trzeba przekazać tradycję pracy. Trzeba koniecznie! Inaczej nie pomoże przyjeżdżać do Warszawy „dla edu-

cyi“. Są zapewne między nami ludzie, którzy przyjeżdżają zmuszeni okolicznościami—i przybywszy raz, pojmują poważnie swe zadanie, ale kto przyjeżdża „dla edukacyi dzieci“, a następnie edukuje je własnym przykładem na próżniaków, ten gubi przyszłość swoją i swojej rodziny.

Ludzie tacy, pomnąc o swoim eks-obywatelstwie, o swoich eks-majątkach i o swem pochodzeniu, zostawiają dzieciom tylko pretensye, to jest gubią je z góry, bo z góry stawiają je w niezgodzie ze światem, który owych pretensyi do eks, eks... uznać nie może, bo nie mają one żadnej realnej wartości. Musimy mówić prawdę i nie ukrywać światła pod korcem. Zasługi przodków, jeżeli nie odnawiają ich zasługi potomków, bledną, jak bledną karmazyn i purpura na starych kontuszach. Dawne korony rdzewieją, pokrywają się pleśnią, a rdzę i pleśń z nich może zetrzeć tylko praca i jeszcze praca, stała, ciągła, niezmordowana, a czysta, jak lza i przede wszystkim bonum publicum mająca na celu. Poeta ludowy, demokrata z krwi i kości powiedział w jednym ze swoich utworów:

„Wy będziecie na świecie potrzebni na
[nowo,
„Nie z szablą i pancierzem, lecz z piórem
[i głową...

Pretensyi świat uznać nie może i nie ma

słuszności! Te czasy, w których czczono je-
miołę, minęły dawno i bezpowrotnie. Światu-
szanowałby pochodzenie dopiero wówczas, gdy-
by ci, którzy się niem szczycą, zrozumieli, że
pochodzenie—to obowiązek i ciężki obowiązek
dawania przykładu, przechowywania tylko za-
cnej i wysokiej tradycyi — i przodowania gor-
liwością w pracy społecznej.

Czy są to tylko pia desideria? Czy z per-
gaminów korzystać będą tylko myszy? czy po-
siadacze ich nie wyciągną z nich nauki o
obowiązku? Być może, że się ma ku lepszemu.
Nie należymy do niepokieszonych pesymistów.
Na polu pracy spotyka się coraz większy zastęp
rodzimych nazwisk. Słysząc o nich i w prze-
myśle i w handlu. Może też ten drugi zastęp
przybyłych „dla edukacyi“ pracowitych pró-
żniaków nie będzie się zasilał nowymi przypły-
wami — i mniej głośno rzucał w oczy swoje
eks, eks... Bo powtarzamy raz jeszcze, że tra-
dycya rodowa jako ostroga do pracy ma swoją
racyę bytu, jako pretensya do kogoś lub cze-
goś, będzie karmić tylko próżność, ale w dzi-
siejszych czasach nawet próżności nie nasy-
ci...

Podobno też straszą nas trochę i niepotrze-
bnie doniesieniami o różnych epidemiach w

Warszawie. W braku kanalizacyi i z powodu niezdrowej wody choroby panują wprawdzie, ale, jak zapewniali nas lekarze dobrze ze sprawą obeznani, zatrważającego charakteru epidemicznego nie przybierają. Najczęstsze są wypadki dyfterytis. Pewien warszawski obywatel, który zapadł na tę straszną chorobę, wezwał natychmiast swego sąsiada doktora i rzekł:

— Wszak mam dyfterytis?

— Tak jest.

— A więc nie pozostaje mi, jak zrobić testament?

— Wcale nie. Będiesz pan zdrow z pewnością. Na stu chorych na dyfterytis jeden wychodzi, a ponieważ dziewięćdziesięciu dziewięciu moich paacyentów już umarło, zatem pan musisz wyzdrowieć.

Chory pocieszony w ten sposób nie wahał się dłużej i począł pisać testament.

Pociechy podobnej moglibyśmy udzielić tym, których przestraszyła wiadomość, że na tysiąc mieszkańców tysięczny pierwszy musi być z powodu nieostrożnej jazdy rozjechany. Należy się tylko wystrzegać, by nie być tysięcznym pierwszym.

Zresztą teraz nie pora się przerażać. Teraz jest czas zabaw, oświadczyń, małżeństw i tym podobnych uroczystości. Na giełdzie karnewalowej ruch poczyną się ożywiać, a ten-

dencya do stanu małżeńskiego wzmacnia się. Swoją drogą z końcem karnawału wiele nadziei i wyrachowań spotka krach nieunikniony. Spotka on przedewszystkiem tych młodych ludzi, którzy, jak wspomniałem wyżej, niby to szukają ciągle majątku do nabycia, a znaleźć go jakoś nie mogą. Na tak stare sposoby ryby się już nie łapia, również jak na amerykańskie spadki i na testamenta żyjących jeszcze wujaszków. Od czasu, jak wynaleziono filantropię i zapisy na cele publiczne, bezdzietni wujaszkwowie zgola nie zasługują na przywią-zanie i ufność siostrzeńców, którym czasem wcale niemiłe robią niespodzianki. A testa-menta podobne mnożą się. O jednym z nich chcielibyśmy pomówić z czytelnikami.

Wkrótce ukaże się bowiem książka o zapi-sie hr. Kajetana Kickiego, należy więc poprze-dzić ją kilkoma słowami objaśnienia, o co i-dzie. Kajetan Kicki zmarł w 1878 roku i zo-stawił ogromny majątek na rzecz Osad rolnych. Był to człowiek bardzo dziwny. Odludek, mi-zantrop i oszczędny do najwyższego stopnia, zbierał i podtrzymywał odziedziczone majątki z jakąś ponurą wytrwałością. Bóg wie, od jak dawna przed śmiercią przeznaczył je na ce-le publiczne i tą myślą tylko żył. Nad testa-mentem pracował podobno od trzydziestu kilku lat.—Gdy wreszcie testament został otworzo-ny, pokazało się, że cała fortuna zapisana zo-

stała na rzecz Osad rolnych.—Fortuna zaś była znakomita, filantrop bowiem posiadał co następuje:

- 1) Dobra Orlów w Lubelskiem.
- 2) Dom w Warszawie na Królewskiej.
- 3) Dom na Pradze.
- 4) Dwie kolonie pod Jabłonną.
- 5) Szamocin i Blizocin w Siedleckiem.
- 6) Rzyczki w Galicyi.
- 7) Kapitały w Banku Polskim.

Wdowie swej zostawił ś. p. Kicki tylko dożywocie na Nr. 2, 4, 5 i 7. Resztę odziedziczyły Osady rolne nie tylko dla siebie, ale i z obowiązkiem urządzenia wzorowych majątków ziemskich pod względem rolniczym i administracyjnym, szeregu dobroczynnych instytucyi dla miejscowej ludności, jako to: szkół, szkoły agronomicznej dla niższych oficyalistów, ochron, warsztatów przemysłowych i t. p.

Dopiero po spełnieniu tych zadań, mają być założone nowe osady rolne. Plan jest ogromny, testament obmyślany drobiazgowo. Towarzystwo zapis przyjęło. Rząd już go potwierdził. Tak dzięki ofiarodawcy powstanie mnóstwo wieczystych instytucyi nadzwyczaj potrzebnych i pożytecznych. Powoli też zapis zaczyna się wykonywać. Pod administracją Tow. Osad rolnych znajduje się już Orlów, Rzyczki i dom na Pradze, to jest te dobra, na których niema dożywocia. Dobra były wielce zrujnowane, bu-

dynki w nich podupadle, ziemia zapuszczona. Nowa administracya ma się zająć przyprowadzeniem ich do stanu świetności. Tymczasem, by oświecić publiczność, pisze się książka o tem, jaki jest istotny stan rzeczy. Rada administracyjna wezwała Andriollego, by odrysował wszelkie budowle i ruiny, by potem ogół przez porównanie mógł ocenić działalność rady administracyjnej, do której weszli ludzie fachowi.

Rzecz jest podobno na zupełnie dobrej drodze—i można być pewnym, że pójdzie zupełnie pomyślnie, choć praca jest ogromna i trudna. Pierwszy to wielki zapis, który nie zmarnieje, jak inne, jak np. staszycowski, ale tymczasem trzeba było toczyć układy prawne, starać się o potwierdzenie, objąć administracyę, poprawiać, wznosić, fundować, słowem pracować nie żartem. Książka, która ukaże się w końcu marca, będzie nosić tytuł: „Objęcie zapisu hr. Kickiego w posiadanie przez Tow. Osad rolnych“,—dołączone będą do niej dokumenta o stanie rzeczy obecnym, inwentarze, plany działania, wyświetlenie kwestyi prawnej i wreszcie dwanaście rycin Andriollego. Towarzystwo widocznie poważnie pojmuje swoje zadanie. Dziś śmiało już liczyć można, że za parę lat ponure ruiny starego zamczyska, nad którymi unosi się jakaś legendowa groza, jakieś wieści o tragicznych losach, które jakoby

tam się miały rozegrywać, zabrzmia odgłosem
wesolej pracy ludzkiej. Puste, zabite deskami
okna nieskończonego pałacu zapłoną ogniami
warsztatów, a w miejscowym kościele zasze-
mrze modlitwa za duszę tego posępnego odlud-
ka, który, jak się pokazało po jego śmierci,
kochał jednak ludzkość mocniej i rozumniej,
niż niejeden, co gotów jej służyć, ale pod wa-
runkiem, żeby mu dawała „wikt” i liberyę.

Takich odludków, jak ś. p. Kicki, racz nam
dać, Panie!

Słowo. R. 1882. № 28.

Kronika miejscowa i prowincjonalna.

VII.

Teatr. Posąg, dramat w trzech odsłonach przez Wacława Szymanowskiego. Wystąpienie p. Modrzejewskiej.

W czasie, kiedy przedmioty do dramatu czerpano wyłącznie w historyi, kiedy lubowano się pięknym potoczystym wierszem, kiedy ceniono poprawność wyrażenia, a sztuka była rzeczą znawców i lubowników,—przedstawienie takiego Posągu byłoby uroczystością sceniczną. Przymioty bowiem, które zachwycaly dawniej miłośników sceny, „Posąg“ posiada w wysokim stopniu. Przedmiot, zaczerpnięty z czasów renesansowych we Włoszech, odczuty jest zgodnie z duchem owych dziejów, postaciom nie brak kolorytu epoki. Są tam mnisi, artyści, „brawi“, kondotierzy i wesóło hulająca szlachta — wszyscy zaś posiadają barwistość i indywidualność zgodną z barwą owych czasów. Miłość artysty-rzeźbiarza do zdradliwej kobiety, przebieg tej nieszczęśliwej

miłości, obłąd męża po ucieczce żony — i krwawe rozwiązanie, gdy mąż-waryat rozbija w chwili szalu swą posagową żonę młotem,—słowem perypecye sztuki posiadają w sobie dość żywiołu dramatycznego. Nakoniec forma jest tak potoczysta i poprawna, że nie można jej zrobić żadnego niemal zarzutu. A jednak publiczność — pozostaje chłodna. Dzieje się to z dwóch powodów :raz, że sztuka pisana jest po akademicku. Autor zbyt panuje sam nad sobą, zbyt wiele ma świadomości własnych środków, a za mało oddaje się porywom natchnienia. Inaczej mówiąc: jest to dzieło sztuki, pisane przez miłośnika pięknej formy, który nie pozwala się unieść dramatowi zawartemu w treści i ten spokój akademicki udziela się i widzom, którzy również mogą podziwiać formę, ale nie oddają się całkowicie bezpośredniemu wrażeniu, jakie sprawia akcja. Powtóre, czasy takie nadeszły, iż publiczność lubi na scenie życie dzisiejsze i że utwory z przeszłości mało nęcą i mało zajmują.

Czy jest to dobrze, czy źle, nie tu pora rozstrzygać, dość, że tak jest, każdy z widzów ma w sobie kryterium dla odczucia i rozumienia człowieka zwyczajnego. Do motywów zaś i sprężyn działalności ludzi dawniejszych trzeba się dostrajać, trzeba się z pewnym trudem stawiać w ich świecie, ich sferze umysłowej, ich położeniu. Tego trudu, który zresztą wy-

maga przygotowania historycznego, publiczność nie lubi ani u nas, ani gdzieindziej. Darzy ona autorów „zaszczytnem uznaniem“ i rozchodzi się do domów obojętna. Tak stało się i z „Posągiem“. Pewne iskry zapалу wykrzesać może chyba w takich sztukach popisowa, efektowna rola, jeśli się ją powierza wielkiemu artyście lub artyście. Wczoraj widzieliśmy wprawdzie wielką artystkę, ale popisowej, efektownej roli niema w „Posągu“. Gra ma w nim polegać na dykeyi, na akademickich pozach i na doskonałej całości. P. Modrzejewska wywiązała się z zadania właśnie w sposób, który tylko można nazwać doskonałym. Gra jej, mówiąc jednym słowem, była klasyczną, a postać posagową. Inni artyści dostrajali się do jej wysokiej skali, jak mogli. W grze p. Wolskiego znaleźliśmy dużo postępu. Dykeya jego nabiera szlachetności. Pan Ładnowski grał inteligentnie i w końcowych aktach porwał publiczność swym zapalem. Innym moglibyśmy tylko powiedzieć, że przydałoby się więcej sprawności w grze. Sztukę należy grać żywiej. W chwilach, w których nie było na scenie Modrzejewskiej i Ładnowskiego, przedstawienie wlokło się. Pani Modrzejewskiej należy się na koniec wysokie uznanie, że zrzeka się ról efektowniejszych, wywołujących pewny oklask, byle grać w sztukach polskich.

Słowo. R. 1882. № 33.

Kronika tygodniowa.

VIII.

Treść: Przykry sen i miłe przebudzenie. Letnie mieszkania. Spis jednodniowy. Delegaci. Jacy lepsi. Kto jest osobą. Rozumowanie staruszki. Żydożerey. Praktyczne sposoby. Pamiętaj, abyś dzień święty święcił. Tańcząca filantropia. Bal na studentów. Przytulisko. Dom dla szwaczek. Kasy pożyczkowe. 150.000 rs. Dodatnie rubryki. Nogi i głowa. Post. Książki i odczyty. „Biblioteka Warszawska“. Pośmiertny poemat Gustawa Zielińskiego. Dawne echa. Dawna i dzisiejsza poezya. „Książę Bismark jako mówca“ przez F. K. Kilka słów pro domo sua. Zrozumie, kto zechce.

Raz w wagonie miałem przykry sen, po którym jednak nastąpiło miłe przebudzenie, wracałem właśnie do kraju, ale śniło mi się, żem się od niego oddalał na długo. Marzyłem więc na temat: „Bywaj mi zdrowy, kraju kochany, już w mglistej nikt nieś pomroce“ i mówiłem sobie w duchu: już cię nie ujrzę więcej, Warszawo, ani twych urzędzeń; już nie będę odbierał więcej uprzejmych wezwań o zgubioną

książeczkę legitymacyjną i „powiastek“ o nie-
dopełnione meldunki. już nie będę więcej może
nigdy w życiu widział judenhecy, już nie będę
więcej oddychał świeżem powietrzem (we śnie
się wszystko przeinacza) twoich ulic. Bądź
zdrowa! Żal mi ścisnął serce! Już nie będę
wskutek przesłanej mi przez kogoś tam prenu-
meraty chodził 1-o po świadectwo do rządcy
domu, że ja jestem ja, 2-o do cyrkułu po świa-
dectwo, że rządcą jest rządcą, 3-o na pocztę,
gdzie mimo dowodów, że ja jestem ja, rządcą
jest rządcą, a komisarz jest komisarz, pa-
tarzano na mnie tak, jakby się namyślano, czy
zamiast oddać mi prenumeratę nie lepiej bę-
dzie krzyknąć odrazu: łapaj! trzymaj!.. Inni
nazwaliby to kłopotami, niedogodnościami... ja,
wieczny optymista, przyzwyczaiłem się już do
tego wszystkiego. Bądź co bądź to takie swoj-
skie! Niech tam gdzieindziej wymyślają sobie
jakieś udogodnienia, my, Słowianie, lubimy sta-
re zwyczaje; my mamy usposobienia sielan-
kowe. Mamy wprowadzić jednocześnie trochę
zawiele koniokradów, wypuszczanych dla bra-
ku świadków; mamy trochę od niejakiego cza-
su napadów nocnych, ale nie mamy za to szkół
gminnych; małoletni Słowianie nasi, zamiast
się dręczyć nad elementarzem, żyją sobie na
łonie natury bez troski i bez spo... bez spo-
żywania niezdrowych owoców pseudocywiliza-
cyi.

Gdzieindziej każdy czuwa chciwie, aby to, co jest jego, było naprawdę jego, a my mamy serwituty; u nas bliźni ma prawo pasać bydelko i owieczki na pastwisku drugiego bliźniego, słowem: „u nas inaczej, inaczej, inaczej!” Gdym tedy we śnie pomyślał, że tego wszystkiego już nie ujrzę, ogarnął mnie żal i rozczulenie. Nagle pociąg się zatrzymał... otwieram oczy... gdzie jestem? do jakiego to kraju przyjechałem? Aha! otwierają się drzwi wagonu, pokazuje się jakaś twarz z wąsami i faworytami w półkole, a niski, basowy głos mówi:

— Pasport!...

Sen pierzechnął i począłem szukać paszportu z pośpiechem tak żywym, że radość moją mógłby ktoś obey za strach poczytać.

Bądź co bądź jesteśmy jeszcze społeczeństwem idealnem. Gdy bowiem na zmateryalizowanym zachodzie do podróży wystarczają pieniądze, u nas potrzebne jest idealne czyste świadectwo moralności, lojalności i tożsamości. Ma ono przytem jeszcze te dobre strony, że się wymienia w nim stan i zajęcie podróżnika. Koniokradów, złodziei namnożyło się w ostatnich czasach tylu, że o ile, dla braku świadków lub dowodów nie siedzą w kozie, o tyle trudno odgadnąć, kto jest twym sąsiadem w wagonie. Jedynym sposobem przekonania się jest paszport. Gdy w nim wyczytasz: zaję-

cie: koniokrad! wtedy odrazu wiesz z kim masz do czynienia, choćby to był ktoś wypuszczony po raz dziesiąty dla braku dowodów.

Muszę też donieść czytelnikom, że obecnie i ci, którzy na lato wyjeżdżają na tak zwane letnie mieszkania, zobowiązani są zaopatrywać się w paszporty. Przedewszystkiem zmniejszy to liczbę wyjeżdżających, niejeden więc oszczędzi to, co byłby na letnie mieszkania wydał, powtóre zmniejszą się przesady, jakoby w Warszawie latem było takie powietrze, że oddychać niem nie można, po trzecie powiększy się zapotrzebowanie na papier, wiadomo zaś, że im gorzej stoi jakieś społeczeństwo, tem więcej spotrzebowywa papieru.

Inni twierdzą, że miarą cywilizacyi jest ilość spotrzebowanego mydła. Fałsz największy! Mydlić lada kto potrafi, ale pisać nie każdy, u nas zaś pisze się więcej, niż gdziekolwiek na świecie. Albowiem posłuchajcie. W Płockiem wiatr wywrócił dwa słupy graniczne, jeden od strony pruskiej, drugi od naszej. W Prusach postawiono następnego dnia inny i skończyło się. Z tej strony wzięto się do rzeczy daleko porządniej: poczęto pisać, pisać i pisać... Pisano przez rok; sprawdzono, że słupa niema, zbadano, że go przewrócił wiatr, zbadano dlaczego wiatr wiał na słup... upłynął rok, zaczął się drugi. Słupa wprowadzie dotąd niema, ale

papieru wyszło tyle, że na ten widok właściciele papierni wykonali z radości taniec dzikich,—ponieważ zaś konsumpcya papieru jest dowodem wyższości społecznej, zatem nieprzyjacielem Słowian mieli jeszcze dowód, żeśmy nie tacy owacy.

Spis jednodniowy nie jest dotąd ogłoszony, ale ukończony. Pisma humorystyczne przepehnione są epizodami z działalności delegatów. Podobno faktem jest, że młodsi i przystojniejsi delegaci zdołali zebrać daleko więcej i daleko dokładniejszych wiadomości. Przyjmowano ich i rozmawiano z nimi chętniej. Przypuszczają wszelako, że informacje, jakich im udzielały mieszkanki Warszawy o swoich latach, są stanowczo błędne. Ale podobno nie było sposobu wydobyć prawdy — i żadne zakłęcia nie pomagały.

Słyszałem także, że w niektórych moich kolegach budziło śmiech politowania następujące zestawienie rubryk: 1-o stan i zajęcie, 2-o czy umie pisać? Kto pod rubryką: zajęcie—napisał: literat—temu drugie pytanie wydawało się nonsensem, a jednak nie jest to tak głupie pytanie, jakby się mogło zdawać; nie chcę wszelako dłużej zatrzymywać się nad tym drażliwym przedmiotem, bo narobiłbym sobie nieprzyjaciół. Jeśli spis nie będzie tak dokładnym, jakby sobie należało życzyć, to z tej przyczyny, że jednak niecoświeconym klasom

ludności i żydkom nie można było wytłumaczyć, że nie idzie tu o podatki. Wiemy, że żydkowie np. ukrywali istnienie swych dzieci. Pewien delegat, przyszedłszy do mieszkania biednego izraelity, zadaje pytanie, ile osób w mieszkaniu? Odpowiadają mu trzy. Nazwiska? Icek, Siora i Ryfka. Niema nikogo więcej z osób? Niema. W tej chwili z drugiej izby daje się słyszeć płacz dziecka. A to co? pyta „delegat“.—To Lejbuś.—A cóżeście powiedzieli, że tylko trzy osoby?—Ny!—odpowiada stary Icek —co on za osobe! Pan rządca to osobe, pan delegat—to osobe, pan rewirowy—to osobe,—a co za osobe Lejbuś?—on ma dwa lata. Napróżno następnie delegowany ofiarował w imieniu społeczeństwa Lejbusiowi tytuł osoby. Ojciec w imieniu syna odmawiał stale przyjęcia tego zaszczytu.

Loika nieoświeconych ludzi jest czasem dziwna. Pewna zgryźliwa staruszka mruczała na widok delegata: „po szpitalach nie przyjmują darmo, a spis to robią?“ Dobra staruszeko! to rzecz inna, a to inna. Ale wprowadźcie i nasi żydożercy rozumują w ten sposób; żydzi są bogaci i liczni —zatem zapędźmy ich do obozu naszych przyjaciół.

Po ostatniej judenhecy dużo mówiono o żydach, o potrzebie reformy chederów, o lichwie, o wyzyskiwaniu, o zagarnięciu przez żydów handlu i przemysłu i o środkach obro-

ny społecznej. Inaczej mówiąc: pisano wiele na wodzie. Środki prawodawcze nie od nas zależą,—wszystkie tedy reformy prawodawcze należą do sfery pobożnych tęsknot. Ale my i w praktyce, w sferze naszej możności nie umiemy się bronić. Oto np. mówią: żydzi zagarnęli handel. Chrześcijanin nie może z nimi współzawodnictwa wytrzymać. A czy przychodzi komu do głowy, że gdyby chrześcijanin dzień święty święcił tak, jak Żyd, to ten Żyd dwa dni w tygodniu musiałby trzymać sklep zamknięty: w sobotę, bo szabas, w niedzielę, bo niedziela. I wówczas chrześcijaninowi łatwiej by z nim było konkurować. Ale my na wsi i w mieście właśnie większość sprawunków robimy w niedzielę, w sklepach żydowskich. Robią zaś to tak samo ci, co rozprawiają o trudnej konkurencyi, jak i inni.

Takich pól praktycznych, na którychby można ograniczyć wyłączność żydowską, znalazłoby się może i więcej i zapewne lepiej by było odnajdywać je, niż czeżemi słowami krzewić i podtrzymywać niechęć i nienawiść jednych przeciw drugim.

Ale to przedmiot, o którym już aż nadto pisano. Teraz na porządku dziennym jest tańcująca filantropia. Miasto nasze tak jest miłosierne, że co karnawał poci się na biednych, na niezamożnych, na wstydzących się żebrać, gotowe nawet tańczyć na wstydzących się

pracować. W dawnych czasach bywały także żywe obrazy na „Przytulisko“. Instytucya ta, o której cały rok było cicho, odmładza się w epoce widowisk, jak stara panna na karnawał, lub jak kwestya wschodnia na wiosnę. W ostatnich czasach przeszła przez rozmaite reformy, które jej wyszły podobno na zdrowie. W dniu, w którym to piszemy, jest wielki bal w resursie kupieckiej na niezamożnych studentów. Tańcząca filantropia umie, jak się pokazuje, być zarazem uczciwą i godną pochwały filantropią. Bal zapowiada się świetnie; gospodyń mnóstwo — macte animo!

Mówią także o mających się dokonać filantropijnych czynach bez pomocy nóg. Do tych należą: założenie domu dla czterystu szwaczek z mieszkaniem darmo i popieranie kas pożyczkowych. Ostatniem tem zadaniem mają się zająć pp. August Potocki, St. Skarżyński. Panowie ci zamierzili sobie doprowadzić kapitał kasy do 150,000 rb. I rzeczywiście, zmieniłyby się one wówczas niejako w banki rzemieślnicze z tanim kredytem i wyrwały raz na zawsze pracującą klasę ludności z rąk lichwiarzy.

To są dodatnie rubryki ostatnich rachunków. Karnawał zapewne ożywi się teraz niezmiernie, bo kto się wytańcował dla biednych, ten zechce potańcować i dla siebie. Ale, jak dawniej mówiono, że gdy Mars zaczyna

grzmieć, milkną muzy, tak dziś możnaby powiedzieć, gdy nogi w ruchu, głowa w spokoju. Post przyniesie zapewne na swych chudych ramionach całe serje odczytów i setki tomów nowych książek, dziś ruch umysłowy niewielki i wiązanka nowości mała. Biblioteka Warszawska wydrukowała w ostatnim numerze pośmiertny utwór Gustawa Zielińskiego, przesłany redakcyi przez syna zmarłego. Jest to fantazya p. t. „Pokusy”.—Jest w tym poemacie jakaś nuta rytmiczna, przypominająca Kirgiza, jakieś tchnienie od stepów, nad którymi lubił się duch zmarły unosić, jak „berkut”. Początek zaraz dźwięczy tą znajomą kirgiską nutą. Brzmi ona, jak następuje:

Pędzi jeździec przez stepy w noc ciemną,
Jakaś żądzą trawiony tajemną:—
Czy ucieka, czy może w pogoni
Za tabunem porwanych mu koni?...
Czy go nuda w świat szeroki żenie?...
Może miłość lub zemsty pragnienie?
Myśl człowieka--to przepaść! Któż zga-
[dnie,
Jaki tam twór porusza się na dnie.

Noc stepową rozdziera światło meteoru.
Przy jego blaskach jeździec spostrzega czterech innych, dążących ku sobie. Są to pokusy. Jedna z nich w postaci szkarłatnego rycerza mówi do jeźdźcy: „pójdź na wschód —

tam w odległym aule czeka cię najpiękniejsza
dziewica wschodu; w jej objęciach zapomnisz
o świecie całym. Drugi, złoty rycerz ofiaruje
jeźdźcowi bogactwa. trzeci srebrny—władzę,
czwarty:

.....ręką wskazał na pożary:

Tam walka—spór to dawny, jak świat
[stary...

A nachylając się do jeźdźca ucha,
Szepnął mu słowo tym jednym wyrazem
Tak rozpromienił młodzieńczego ducha,
Że bez wahania wyrzekł: „jedźmy razem!“

Nie jest to najwyższy z utworów Zielińskiego. Zawiele w nim metafor: zwłaszcza trzy poprzednie postacie jeźdźców za mało zrozumiałe, i wogóle alegorya nie dość jasna. Ale jest w tej fantazyi wysoki polot. Jest to poezya, która wedle horacyuszowskiego wyrażenia lata jeszcze, „jak łabędź pod niebem“. Datuje ona z owych niedawnych jeszcze czasów, kiedy poeci nie wahali się kłaść palców na olbrzymie harfy i wyśpiewywać wielkich uczuć. Dziś się czasy zmieniły. Poezya, idąc w ślad za całą sztuką, zaczyna lubić „genre“. Będzie my może mieć wielkich poetów w tym rodzaju, ale rodzaj pozostanie mały. Dlatego mimo słabszych stron „Pokus“, które tej fantazyi nie po-

zwalają stanąć obok Kirgiza, oddycha się nie mi szeroko, jak oddycha się powietrzem stepowem, słyzy się w nich echo dawnych wielkich czasów,—echo tem cenniejsze, że zagrobowe, i że płynące z piersi, która umilkła na długo przed skonein.

W tymże numerze Biblioteki godny jest uwagi artykuł przez F. K. zatytułowany: „Książę Bismark jako mówca”. —Autor przechodzi szereg walk parlamentowych z czasów kulturkampfu i przytacza większość mów żelaznego człowieka. Gdy się czyta te mowy, zdaje się, tkwi w nich nietylko gniew rozdrażnionego lwa, ale i najgłębsze przekonanie. Czytelnik przysiągłby, jak gotowi byli zapewne przysięgać i ówczesni słuchacze parlamentowi, że żelazny człowiek nie pójdzie do Kanossy. A jednak książę pójdzie, jeśli tego będzie potrzeba i znowu patrząc z pod krzaczastych brwi w oczy parlamentowi, powie:

Jeśli myślicie, że dla doktryny, dla teorii poświęcę praktykę, to jesteście... Tu nie wiadomo, jak zakończy książę, ale wiadomo, że bywa on w parlamencie nie parlamentarny i że teorią jego jest nie mieć teorii. Artykuł jest ciekawy, bo dobrze maluje tego gwałtownego praktyka w polityce. Przytem: takich ludzi można nienawidzić, lecz zastanawiać się nad nimi warto. Artykuł nie jest jeszcze skoń-

czony, czekamy zatem z ciekawością, co Fr. K. powie nam więcej w dalszych numerach.

Zakończylibyśmy na tem wzmiankę o numerze ostatnim, gdyby nie zawarte w nim sprawozdanie o „Słowie“. „Biblioteka“ jest dla nas prawdziwie „rara avis“, wita nas bowiem z przychylnością, zachętą i uznaniem. Inninie-
zbyt nas do tego przyzwyczaili, dlatego zaczę-
liśmy coraz więcej przywiązywać wiary do ła-
cińskiego wyrażenia: „h o m o h o m i n i l u p u s“
i dlatego wdzięczni jesteśmy naprawdę „Bi-
bliotece“ za jej pochwały i przychylność. Pi-
sze jednak „Biblioteka“, że uznanie jej byłoby
jeszcze zupełniejsze, gdyby nie zastrzeżenie w
pierwszym numerze „Słowa“, które brzmi jak
następuje: „Nie będziemy organem żadnej
koteryi, ani nieupoważnionych przez ogół par-
tyi“. Co do tego, nie mamy zamiaru być orga-
nem koteryi—no! tego nam nikt-za złe wziąć
nie może. Co do „nieupoważnionych przez o-
gół partyi“, winniśmy wyjaśnienie. Zgadza-
my się zupełnie z szanownem pismem, że ża-
den o dobro kraju dbały publicysta krępować
się nie może ideą jakiegoś specyjalnego upo-
ważnienia czyli mandatu. Zapewniamy ró-
wnież wszystkich, że gdy przyjdzie zabrać głos
w jakiej sprawie społecznej, zabierzemy go tak,
jak zabraliśmy z powodu ostatnich wypadków,
a zatem bez zwoływania poprzednio plebiscy-

tu i pytania go, czy nam mówić pozwoli. Wyrażenie nasze o nieupoważnionych przez ogół partyach może dlatego wzbudziło nieporozumienie, że nie było dokładnie zredagowane, ale zredagowaniem dokładniej być nie mogło. Są jednakże pewne ideały, na których strażnicy stoi cały ogół, które są naszym zdrowiem, naszym życiem, i które odczuwa każde serce. Są ideały tak proste, a zarazem tak wielkie, że odszczepieństwo względem nich ogół potępiłby z całą siłą i bez chwili wahania. Owóż pragnęliśmy tylko zapewnić, że od tych ideałów w piśmie naszym nie odstępimy i razem z „Biblioteką“ i razem z całą prasą będziemy ich strzegli. Sądziliśmy też, i podobno nie omyliliśmy się, że tak właśnie zrozumiał nas ogół naszych czytelników. Trzeba się koniecznie rozumieć, by nawet w dobrej wierze nie robić sobie niesłusznych zarzutów. Naturalnie, że kto chce działać, kto chce pracować dla dobra publicznego, ten nie potrzebuje od nikogo mandatu, raz dlatego, że każdy ma prawo postępować, jak mu sumienie i obywatelska powinność nakazuje, powtóre, że ogół nie ma prawa upoważniać. Nie należało tedy brać słów naszych o „nieupoważnionych partyach“ literalnie i jesteśmy przekonani, że odtąd „Biblioteka“ tak ich nie weźmie. Ale czy inni nie wezmą—kwestya! Bywają ludzie albo naprawdę głusi, albo

tacy, którzy nie chcą słyszeć, gdy im dogodniej. Na szczęście tylko, że prawda ma własność oliwy i wychodzi na wierzch sama przez się. A wtedy nie widać już infuzoryi, które się na dnie w łyżce wody kręca.

Słowo. R. 1882 №. 34.

Kronika tygodniowa.

IX.

Treść: Prośba do potomności z powodu pp. Głaba i Cyrata. Historya pewnego lekarza, pewnego pacyenta i niezapłaconego honorarium. Nierozsądne pytania. Znikomość. Cnota. Filantrop i samowar. Kronika kradzieży. Wystawa w Amsterdamie i co możemy na nią wysłać, a czego wysłać nie możemy. Hollendrzy i my. Pedagogdzy. Jednomysłność gmin. Co im nie smakuje. Ochrony i moralność ludu. Gazeta Świąteczna, wiersz w G. Świątecznej, p. Kowerska i p. Konopnicka. O poezyi w ogólności a p. Konopnickiej w szczególności.

W ostatnich czasach grano, jak wiadomo, w teatrze „Niewinnych“, a jednocześnie rozgrywał się w sądzie dramat pod tymże samym tytułem, gdyż panów Głaba i Cyrata, parobków księdza Mirowskiego, posadzonych o zabójstwo rzeczonego plebana, uznano również za „Niewinnych“. Od pewnego czasu liczba „niewinnych“ tak się u nas mnoży, że postanowiłem umocować przy swoim łóżku żelaza na wilki i mam do społeczeństwa następującą proś-

bę: jeśli pewnego poranku nie obudzę się dla braku głowy, a złapany pan w żelaza, jaki p. Głęb lub Cyrat, uznany zostanie dla braku dowodów za niewinnego, niechże przynajmniej odpowiada „za nieostrożne obchodzenie się z bronią“ i niech zaświadczy, że nie popełniłem samobójstwa z próżności. Życzylbym sobie także, jeśli można, aby nie obierano go kuratorem pozostałej po mnie „massy“, bo, jakkolwiek nie mam nadziei doczekania się bezpośrednich spadkobierców, wolę, aby stała się raczej własnością ogółu, niż jego. Następnie życzylbym sobie także, aby one-go pana skazano na poniesienie kosztów pogrzebu i doktora, który będzie użyty do opatrywania zwłok moich. Czynię to z tego powodu, że niedawno zdarzył się następujący wypadek. Pewien pacjent, dosyć zresztą zamożny, umarł, jak się to zdarza wielu pacjentom, nie zdążywszy napisać testamentu. Ponieważ zabezpieczono natychmiast jego fundusze, przeto pozostały w nieutulonym żalu lekarz udał się do kogo należy, aby ten ktoś z pozostałych funduszków zapłacił mu honorarium. Ktoś oświadczył, że tego uczynić nie ma prawa, bo obowiązek ten należy do sukcesorów. Zdarzyło się, że sukcesorów nie było. Kto ma tedy zapłacić honorarium? Zapytany o to ktoś, nie wiedział, a doktor nie wie do-
tąd, kto mu zapłaci, pozwala tylko sobie i in-

nym domyślać się, że nikt mu nie zapłaci; jakkolwiek chodził, leczył i dopomagał naturze, a nawet dopomógł jej, gdyż pacjent umarł.

W innych mniej więcej ucywilizowanych społeczeństwach są podobno odnośne przepisy i zwyczaje, że w podobnych wypadkach doktor, aptekarz i t. p. pierwsze mają prawa. U nas, jak widzimy, jest przeciwnie, i synom eskulapa nader podobno często przepadają należności, zwłaszcza zaś wówczas, gdy fundusze w braku sukcesorów bywają ubezpieczone zwykłą w podobnych razach drogą. Widzimy z tego jasno, jak na dłoni, że fundusze bywają u nas najlepiej ubezpieczone, bo tak dobrze, że już nikt do nich dobrać się nie może.

W Warszawie jest mnóstwo ludzi, których całem zajęciem bywa odgadywanie zagadek. Pożytku stąd żadnego, a głowa się napróżno moli. Są np. teraz tacy, którzy łamią sobie głowy, kto zwróci fundusze, zmarnowane przez sędziego Koniego. Wiadomo, że iudex ów stracił dwadzieścia kilka tysięcy z powierzonych mu pieniędzy depozytowych. Kto je tedy wróci? Pytanie to przypomina mi inne. Gdzie się wróble podzieją, jak się stodoła spali?—Cóż to kogo może obchodzić? Rozum zda się według mego zdania na to, by nie odpowiadać na głupie pytania. Właściwie mówiąc, jest to rzecz tych, którzy pieniądze stracili. Powinni oni po-

znać się z owym doktorem, któremu nie zapłacono honorarium, i oddać się rozmyślaniom o znikomościach rzeczy ludzkich.

Wszystko bowiem na świecie jest znikome. Sama tylko niewinność tryumfuje, „czego dowodem są pp. Głęb i Cyrat et comp. i wiele innych niewinności, uwolnionych dla braku świadków i dowodów. Od czasu, jak oszustwa i złodziejstwa spospoliciały, cnota poczyną iść w cenę i wkrótce będzie należała do najpewniejszych interesów. To też coraz więcej spotykamy poświęceń i objawów dbałości o dobro bliźnich. Pewien samowar wydawał z siebie czad, więc wyniesiono go na schody. Przechodzący filantrop zwietrzył czad i obawiając się, by kto nie zaczadził, z dbałości o dobro ludzkie wziął samowar, poszedł i... więcej nie wrócił. Skromność, właściwa wielkim sercom, nakazała mu się ukryć tak dobrze, że nikt dotąd nie zdołał odnaleźć... samowara. Skradziono również około trzech tysięcy rubli jakiejś damie, mieszkającej na Nowym Świecie. Dodawszy do tego operacye prowincjonalne amatorów koni i bydła, dochodzimy do przekonania, że na przyszłą wystawę amsterdamską będziemy mogli wysłać specimeny, jakich cała Europa nie posiada. Właśnie ogłoszenie konsula o tej wystawie czytaliśmy we wczorajszych dziennikach. Odezwa wzywa mieszkańców, by wysłali na wystawę przedstawicieli w liczbie odpowied-

niej bogatym siłom produkcyjnym kraju. Wystawa zaś zawierać będzie:

- 1) produkta kolonialne,
- 2) przedmioty ogólnego wywozu,
- 3) dzieła sztuk i starożytności.

Co do produktów kolonialnych, wiemy, że cukier podrożał, a zresztą widzimy je przez szyby sklepowe: przedmiotem ogólnego wywozu są z naszego miasta zdechłe konie doróżkarskie i błoto, o ile pan Apfelbaum nie czeka, by mu je deszcz splukał z ulic bez pomocy wozów, koni i ludzi, gdyż o furmanki teraz trudno. Czasy ogólnego wywozu miały wprowadzić u nas miejsce przed laty kilkunastu, obecnie jednak większość wywiezionych wróciła. Starożytności nasze mało mają związku ze sztukami pięknymi, posiadamy tylko archeologiczne urządzenia pod względem 1-o komunikacyi, 2-o pod względem urządzeń miejskich, 3-o pod względem zdrowia publicznego. Na drogach naszych są takie wyboje, a w mieście takie bruki, że w Holandyi mogłyby zrobić furorę. Posiadamy mosty, jakich żaden kraj w świecie nie posiada, bo „takie co ich niema”. Posiadamy kanały w mieście, takie, jak i Amsterdam, bo ulice nasze bardzo często stoją pod wodą. Mamy także szpital Dzieciątka Jezus, za którego murem słychać w nocy wrzask waryatek, a z którego we dnie i w

noey wychodzą wyziewy, jakich żaden nos holenderski nigdy nie wachał. Szkoda tylko, że wszystko to nie bardzo daje się wywieźć, bo przekonalibyśmy z pewnością Holendrów, że jeśli nie bawimy się w jakieś ulepszenia, cywilizacye i t. p., to natomiast jesteśmy w prostocie naszej słowiańskiej krajem oryginalnym i cieszącym się pomyślnością. Moglibyśmy także Holendrom posłać takich frantów, że dosyć na którego spojrzeć, żeby się złapać za kieszeń. Wy, Holendrzy, zarazbyście takiego wsadzili do kozy, a widzicie! A u nas chodzi sobie spokojnie dla braku dowodów i dlatego, że my jesteśmy społeczeństwem bardziej od was humanitarnem.

Spółeczeństwo holenderskie jest istotnie mniej od naszego pod wieloma względami rozwinięte. Nie mają oni w miastach tych wszystkich dogodności, o których mówiłem wyżej, po wsiach nie mają serwitutów, pisarzy gminnych, a i takich pedagogów elementarnych, jak nasi. Ich pedagogzy są to ludzie pozytywni, nasi przeważnie spirytualiści, co dowodzi wysoce idealnego nastroju ich dusz.

O tamtych niewiadomo, czy kochają lud, że zaś nasi kochają, dowodem wszystkie Kaśki i Maryśki wiejskie oraz zwiększająca się liczba uczniów, których matki pewniejsze są od ojców. Nakoniec jest dowód, że kochają i oświatę, bo właśnie slyszalem, że świeżo zginę-

ła w jednym domu beczulka oleju, którą znaleziono w szkole...

Zadziwiająca też jest jednomyślność naszych gmin w sprawach, dotyczących oświaty. Kto słyszał, jak gmina, zapytana, czy chce płacić za szkołę, odpowiada bez wahania, bez namysłu: „nie chcewa!“ ten przyzna, że w dziejach parlamentarnych nigdy nie słyszano o tak imponującej zgodzie. Ale bo też jest tak: istnieje potrawa—istnieje i sos, od którego często smak zależy. Istnieje prawo, istnieją komentarze. Gminom właśnie nie smakuje sos.

Bo zresztą nie posądzajcie naszych gmin o niechęć do nauki. Niedawno wspominał nasz korespondent z Podlasia, że niejeden z tych, co najgorliwiej głosują przeciw szkole, szuka z trudem i płaci z wysileniem nauczyciela dla swego dziecka. Dość wreszcie pomyśleć, w jak ogromnych ilościach rozchodzą się elementarze, żeby się przekonać, iż popęd do nauki wzrasta z każdym rokiem. Popęd ten wydałby z pewnością jak najlepsze owoce, gdyby nie sos, to jest gdyby regulowała go szkoła, mająca jedynie oświatę na celu. Ale my nie tylko mosty, lecz i szkoły mamy takie, „co to ich niema“.

Nie mogąc jednak zająć się sprawą oświaty, tembardziej powinniśmy zająć się sprawą moralności ludu. Twierdzą podobno niebezszadnie, że moralność ludu zmniejsza się. Młode

pokolenie nie odbiera żadnego wychowania. Na dwadzieścia tysięcy wsi istnieje 2,000 szkół na papierze, większość dzieci rośnie tedy na łonie natury, wśród nieustających zamachów na cudzy groch, cudze ogrody i cudzą rzepeę. Zapobiedz temu próżniactwu i zdziczeniu mogą tylko ochrony, które jeśli nie dają nauki, czytania i pisania, to przynajmniej czuwać mogą nad moralnością. Dlatego jakkolwiek wiemy, z iloma trudnościami mają do walczenia ochrony, należy je zakładać i popierać wszelkimi siłami i nie zrażać się niczem. Prawda, że domek z kart przewraca się, gdy kto dmuchnie, ale od czego wytrwałość. Ochrony mogą naprawdę jedynie ochronić moralność przyszłych pokoleń, czego sobie i wam życzę.

Życzę także wszystkim prenumerować Gazetę Świąteczną. Nigdy nie zdarzyło mi się pisać komuś pochwały z lepszym sercem, jak temu dzielnemu i uczciwemu piśmu. Kurjer Warszawski w sobotnim numerze przedrukował z tejże Gazety Świątecznej śliczny wiersz p. Konopnickiej p. t. „Nie sprzedam ci ziemi“. Ponieważ nie wszyscy prawdopodobnie czytelnicy nasi trzymają Gazetę Świąteczną, pozwalamy tu sobie powtórzyć kilka ustępów owego wiersza. Brzmiały one, jak następuje:

I.

Chodziły tu Niemce,
Chodziły odmienne:

„Sprzedaj, chłopie, rolę,
Będziesz miał czerwienice“.

Zapłacimy chatę,
Zapłacimy rolę,
Będziesz miał talarów
Na caluśkim stole.

— A mój Niemcze miły
Idźże, kędy raczysz,
Ale mojej roli
Równo nie obaczysz!

Schowaj se czerwienice
I białe talary!
Kto sprzedaje ziemię,
Ten nie naszej wiary.

Bogatyś ty, Niemcze,
I kraj twój chędogi;
Ale na tę ziemię
Jeszcześ za ubogi.

II.

Pójdą twe talary
Za rolę za ploty,
A kto mi zapłaci.
Za miesiącek złoty?

A kto mi zapłaci
Za tę jasność bożą,
Co w moje okienko
Idzie z każdą zorzą.

Za ten dach słomiany,
Co mi głowy strzeże,
Za ten dzwon, co woła
Rankiem na pacierze?

.

A kto mi zapłaci
Za te jasne rosy,

Co się srebrem sypią
Na łąki na wrzosi.

Za cmentarz rozkwitły
W głóg dziki, jak sady
Gdzie leżą w mogiłach
Ojcowie i dziady?

III.

A toćże i mnie tam
Gospody potrzeba,
Gdy Pan Bóg zawoła
„Chodź, chłopie, do nieba“.

A toćby mi dzieci
Po nocach tęskniły,
Nie wiedząc gdzie szukać
Ojcowskiej mogiły i t. d.

A propos gospód — podobno dobrze się one rozwijają tam, gdzie ich nie zwijają. Podobno byłby to jeden z najlepszych środków zapobieżenia pijaństwu. Nie wiemy tylko, czy komisya obradująca nad pijaństwem wzmocniła ich podstawę, w wielu bowiem miejscach zależą od dobrego humoru, który zawsze wtedy bywa złym, kiedy nie jest dobrym. Wróćmy jednak do p. Konopnickiej. Utalentowanej tej autorce powiedziała niedawno verba veritatis pani Kowerska w Gazecie Polskiej — za co znowu pani Kowerskiej uczyniono kilka wymówek w Prawdzie. Według naszego zdania, pani Kowerska miała z wielu względów słuszość. Ko-

konopnicka posiada niepospolity talent poetycki; kiedy pisze o rzeczach wiejskich, umie mówić tak, że często zdaje się, że się słyszy fujarki i ligawki, ale również często fujarki i ligawki te grają na nieprawdziwą nutę. P. Konopnicka gwoli sentymentowi i antytezom poetycznym tworzy sztuczny świat chłopski, pełen nieszcześć, niedoli i ucisku — w przeciwieństwie do dworów. Owóz te czasy minęły, tego niema i być nie może. Dwory mogą co najwięcej grzeszyć obojętnością na sprawy gminne i zamknięciem się w sobie i swojej sferze interesów; ale niczem więcej, a i pod tym względem nastął zwrot ku lepszemu, gdyż większość sędziów i znaczna część wójtów składa się właśnie z przedstawicieli dworów. Że zaś na tych urzędach nie sypia się na różach, o tem wie każdy, kto się tego dotknął, sędzia ma bowiem nad sobą zjazd i prezesa, a wójt—naczelnika powiatu. Poezyi wprowadzie wolno przynajmniej tyle, ile naczelnikom powiatów, a poetkom tyle, ile poezyi, jednakże w interesie artyzmu leży, by, jeśli poezya mówi o stosunkach rzeczywistych, znać było pod słowami prawdę. Dodaje to samym utworom siły i życia, w przeciwnym zaś razie z pod szumu słów przegląda nicość. Zdanie to możemy tem śmielej wypowiedzieć, że uznajemy talent Konopnickiej i uznaliśmy go jedni z pierwszych, za co w

pismach, najgorliwiej dziś stojących w jej o-
bronie, nie szczędzono nam w swoim czasie
wymówek, również jak talentowi p. Konopnic-
kiej przymówek.

Słowo. R. 1882. № 40.

Odczyt na dochód Osad rolnych. Wczoraj prof. Stanisław Tarnowski miał w sali ratuszowej odczyt „O dalszym rozwoju poezji romantycznej polskiej”. Ponieważ obszerniejsze sprawozdanie odkładamy do rubryki „mieszanin artystycznych i literackich”, obecnie zatem poprzestajemy na wzmiance, że profesor krakowski mówił, jak zwykle, w sali, przepelnionej publicznością. Następny odczyt odbędzie się w piątek, to jest jutro, o godzinie piątej po południu.

Słowo. R. 1882. № 43.

Kronika tygodniowa.

X.

List pana Z. G. do prawników. Łamigłówka. Milczenie. Pociecha filozoficzna i sposoby używane prywatnie. Smutne żarty. Tragikomedia w Miechowie. Wójt i sąd. Spór o kancelaryę. Pojedyncze akta tragikomedyi. Uroczyste wystąpienie. Skutki wymowy. Ustąpienie. Posępna karawana. Koniec legendy. Obiad składkowy. Ilość jarmarków. Zagadki. Ptaki przelotne. Modrzejewska. Szolc Rogoziński. Pożegnany odczyt. Wrażenia. Julian Brun. Mój sekretarz. Poblążliwość czytelników. Co było ciekawego w „Niwie“. Dziwne zestawienia p. Kasznicy. „Słowo“ i oportunizm. „Niwa“ i oportunizm. Nasze przekonania. Wyjaśniona sprawa, w czem „Niwa“ czyni krzywdę panie Czaki. Sława Merkucya. Poważniejsze zadania. Ideał dziennika. Zdanie, na które mogą się zgodzić zachowawcy i postępowcy.

Pan Z. G. zamieszcza w jednym z pism tutejszych list następujący:

„Zapytanie do panów prawników. Ponieważ nieraz ostrzegany byłem przez sąd gminny, że podług prawa niewolno jest brać żadnego fantu od szkodnika lub złodzieja, czyli że np. kradnącemu drzewo w lesie nie mo-

żna zafantować jego siekiery, pasącemu bydłę w cudzem zbożu nie można tem samem przytrzymać jego bydłęcia, ładującemu cudze zboże na wóz nie można zafantować tymczasowo wozu,—zapytuję zatem panów prawników, których dobro społeczne i egzystencya rolnictwa obchodzi: Jak postępować w wypadkach najczęściej się zdarzających, gdy leśnik napotka w boru złodzieja, ściągającego drzewo, a nie znanego mu z nazwiska, lub polowy dostrzega nieznanego człowieka, zbierającego w polu skoszoną koniczynę, siano lub zboże. Co winien uczynić rolnik, gdy widzi obcego człowieka, pasącego bydłę w jego pszenicy lub łące, albo zabierającego bez ceremonii żerdzie z płotu? O świadkach mowy być nie może, gdyż rzecz dzieje się zawsze na odosobnieniu, w polach, łąkach, lasach, a nie na wsi czy w mieście, gdzie łatwo o takowych, i mowa tu o rolnikach, których pół miliona w Królestwie nie posiada pilnowaczów i czeladzi, mowa o folwarkach, gdzie zwykle strzeże od szkody jeden polowy i leśnik; zabierać tymczasowo fantu, co doprowadziłoby do wyjawienia nazwiska, nie mają prawa? Kwestya, którą poruszyłem, posiada niepospolitą doniosłość, bo od niej zależy prawie możliwość lub niemożliwość postępu rolniczego i rozwoju kultury, czyli materyalna i duchowa przyszłość kraju. Odwołujemy się przeto do panów pra-

wników z prośbą o radę i odpowiedź: co zrobić ze spotkanym, a nieznanym złodziejem lub szkodnikiem w lesie lub polu? w jaki sposób otrzymać wynagrodzenie zrządzonej przez niego szkody? Wszak w kraju, którego podstawę bytu stanowi rolnictwo, muszą być prawa, zastosowane do rolników“.

Na tem kończy p. Z. G. Zadał on prawnikom łamigłówkę nielada, to też, o ile wiemy, żaden z nich nie dał odpowiedzi. Orzech to twardy do zgryzienia, bo istotnie, co zrobić z nieznanym złodziejem, jeśli nie można zatrzymać jego siekiery, wozu lub bydłęcia? Czy przedstawić mu się, czekając, by z kolei wymienił własne nazwisko? czy prosić go na obiad i między pieczeniem a deserem spytać: kogo mam przyjemność mieć u siebie? czy przemawiać do jego uczuć słowiańskich, czy nakoniec nosić ze sobą przenośny aparat fotograficzny—i fotografować na poczekaniu? Ten ostatni sposób zapełniłby niewątpliwie fizyognomiami pełnemi wyrazu albumy szlacheckie, ale prawdopodobnie okazałby się nie dość skutecznym, jako ochrona lasów, zbóż i pól. Wszystkie zresztą pożywne środki nie mają nic wspólnego ze sferą prawniczą, widocznie zaś osobiste sposoby nie wystarczają, skoro pan Z. G., pukając do podwoi prawa, mówi: „U drzwi twoich stoję, panie—czekam na twe zmiłowanie“. Ciekawiśmy tylko, jak długo będzie

p. Z. G. czekał na odpowiedź i radę skuteczną—i czy zanim ją dostanie, nie porozbie-
rają mu płotów, nie wytną drzewa, nie spasa-
koniczyny. Utinam sim falsus vates! —
bo dotychczas prawnicy milczą, choć wogóle
lubią mówić. Nam się wydaje, że, jak niegdyś
„miasto zostawiono miastu“, tak obecnie gmina
fara da se... Z naszej strony moglibyśmy u-
dzielić i pytającemu i innym poszkodowanym
pociechy tylko filozoficznej, to jest polecić im
rozmyślanie nad znikomością rzeczy docze-
snych. Na szczęście jednak odebraliśmy pe-
wien list z Lubartowskiego, który nam ukazu-
je skuteczne sposoby w świetle właściwem.
Co to jest wójt? Ktoś odpowiedział dawno, że
jest to dodatek do łańcucha i medalu, czyli
istota bierna. A co to jest istota bier-
na? Autor listu odpowiada: jest to isto-
ta, która bierze. Jeżeli złodzieje po cudzych,
mokrych łakach przechodzą suchą nogą, to za-
pewne dlatego, że umieją posmarować wiejską
władzę wykonawczą, a wiejska władza wy-
konawcza smaruje im buty. W ten sposób ręka
rękę myje, noga nogę wspiera. Czy więc nie
nie mogliby z jednej strony szkodnicy, a z
drugiej poszkodowani urządzić małej licytacji
in plus na względy wójtowskie. Ktoby kogo
przelicytował, tenby względów używał. Wów-
czas także niektóre urzędy stałyby się prawdzi-
wie obywatelskie, bo oplacaliby je obywatele.

Mają jednak te żarty smutną stronę, bo zaiste na pytanie p. Z. G. niema odpowiedzi. Między sędziami gminnymi są ludzie oświeceni, pełniący ciężkie obowiązki z wytrwałością godną tak ważnej sprawy, ale pytam, co robi najlepszy i najsprawiedliwszy sędzia, jeśli ktoś, przyszedłszy do niego, powie mu: Sędzio! Oto pewien człowiek kradł mi drzewo w lesie, nie znam go i siekiery mu zabrać nie mogłem, nie wiem także, jak się nazywa,—domyślam się tylko, że musi to być Słowianin, ze wsi, leżącej na prawo, ale może i na lewo, albo może i z miasta! Prawdopodobnie wówczas on sprawiedliwy sędzia odpowie, że skarga taka nie jest z tego świata, gdyż złodziej jest idealny, a poszkodowany pójdzie do domu nietylko bez satysfakcyi, ale jeszcze z sękiem w głowie: jak idealny złodziej mógł kraść realnie... Tak to łączą się ze sobą niepodobieństwa, a w gminach dzieją się rzeczy, o których naprawdę nie śniło się filozofom.

Zresztą i sądy gminne nie śpiają na różach. Za dowód niech posłuży ten sam list z Lubartowskiego. Tragikomedia rozpoczyna się w sposób następujący: „Sąd gminny 2-go okręgu, pow. Lubartowskiego, mając do rozpatrzenia kilkadziesiąt spraw z gmin Chuda Wola, Rudno, Wielkie i innych sąsiednich wsi, nie chcąc dla złej drogi ściągnąć kilkuset ludzi do swej rezydencyi, na mocy służącego mu prawa

postanowił odbyć parę posiedzeń w Michowie, jako mniej więcej środkowym punkcie wspomnianych gmin. Ponieważ jednak na kilkanaście godzin trudno byłoby wynaleźć mieszkania, a w Michowie jest duży dom, będący własnością gminy Chuda Wola, w której mieści się wójtowska kancelarya, sąd więc postanowił odbyć posiedzenia w tym właśnie domu i zawiadomił o tem wójta“. Tak odbył się prolog. W akcie pierwszym oznaczają tedy termin spraw, wzywają strony, skarżących, poszkodowanych, obwinionych, świadków, biegłych, wydają polecenie, by policya dostawiła oskarżonych o kradzież i szkody — słowem: przygotowują wszystko, co jest potrzebne do odbycia posiedzeń w Michowie. Tymczasem cóż się dzieje? Oto wójt zawiadamia, że „pan naczelnik“ nie pozwala mu udzielić kancelaryi na posiedzenie sądu. Zapytany naczelnik odpowiada, że o niczem nie słyszał i że nie ma nic przeciw temu. Sąd tryumfuje. Na tem kończy się akt pierwszy.

Akt II. Przygotowania. W wigilię spraw zjeżdża do Michowa sekretarz sądu, z woźnym, ze stróżem i z „całą bryką utensylii sądowych“, „a więc — pisze autor listu — przywieziono ukaz Piotra W. (zieniecha), ustawy sądowe, kodeksy, akta spraw, druki i t. p., skończywszy na zielonem suknie i dzwonku. Na drugim wozie mieściły się skradzione przed-

mioty, ja' o corpus delicti do spraw; przybyli też i ludzie z dalszych stron i oskarżeni pod konwojem. Widok wspaniały i nauczający. Nazajutrz (28-go lutego) przybywa sąd, zbierają się gromady ludzi, sprawiedliwi się cieszą, niesprawiedliwi drżą—dzwonek się odzywa, posiedzenie rozpoczęte, gdy nagle...

Nagle rozpoczyna się akt III. Drzwi otwierają się narozcież i do sali wkracza wójt na czele ciała prawodawczego Chudej Woli. Kronika milczy, czy w tej chwili za oknem ozwała się posępna fanfara na nutę: „ach, wybiła godzina!“—ale choćby się taka muzyka ozwała, musiałaby zapewne umilknąć, gdyż wójt zaczął do sądu świetną i pełną godności przemowę od słów: „Pocośta się tu przywlekli!“

Następnie w kilkunastu okresach, nie pozostawiających pod względem stylu nic do życzenia, wójt wytłumaczył sądowi, że w Michowie jest jarmark, że zatem kancelarya będzie potrzebna, i zakończył praktyczną uwagą, że wprawdzie nie może odstąpić kancelaryi michowskiej, ale natomiast posiedzenie może pójść... do kaduka.

Wiemy, co to jest prawdziwa wymowa, zwłaszcza przy dodatku i innych argumentów, łatwo zatem zgadniemy, co się stało... Oto tegoż samego dnia widziano na drodze, prowadzącej z Michowa w inne strony Europy, długą karawanę, opuszczającą niewdzięczne miasto. Jeźdź-

cy mieli głowy puszczane... Nie potrzebuje objaśniać, że byli to: sędzia, pisarz, woźny, stróż, oskarżyciele, świadkowie, utensylia etc.

Co się z nimi stało dalej, nie wiem. Staro-słowiańskim obyczajem złożonoby może roki pod cieniem jakiego olbrzymiego dębu, gdyby nie to, że dębów niema, bo je posprzedawali Żydzi, a choćby dęby były, to w zimie nie dają cienia....

W Michowie za to wspaniała radość. Jarmark trwał. Dokonywano poważnych obrotów handlowych, bito się w łapy przy układach, przytem, że użyję stylu handlowego: tendencya zwłaszcza w kierunku okowity była nader mocna. Legenda mówi jeszcze, że oskarżeni, których większość spodziewała się pójść do kozy, a których odjazd sądu uwolnił od kłopotów, wydali sobie obiad składkowy, na którym spełniano liczne toasty na cześć wójta i miejscowego parlamentu.

Koniec. Należy to już nie do bajek, ale do faktów, że Michów ma dwadzieścia sześć jarmarków rocznie. Dlaczego jednak ma dwadzieścia sześć jarmarków, skoro ma pozwolenie na sześć, to znowu jest zagadką, podobną do tej, jaką zadał prawnikom pan Z. G... Ale, zaiste, w naszym pocziwym świecie tyle jest zagadek, tyle rozmaitych: dlaczego? że „ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić“.... Dalej wiecie.

Trzeba nam teraz pozostawić „gminę gminie“ i od tych spraw wiejskich wrócić na grunt warszawski. Chcę mówić o ptakach przelotnych. Najpotężniejszy z tych ptaków—Modrzejewska—bawi jeszcze w Warszawie, ale maluczko, a nie ujrzymy jej. Z pod naszego nieba, które od pewnego czasu dziwnie jest pogodne, ulatuje ten ptak we mgły londyńskie, a potem otrząśnie świetne pióra na pociechę Amerykanów aż za oceanem. Drugi ptak—Szolc-Rogoziński—odleciał już z Warszawy i wkrótce poszybuje do Afryki, szukać jezior i... sławy. Bodaj nie znalazł nic innego... W piątek odbył się jego pożegnalny odczyt, który wkrótce czytelnicy nasi znajdą w Słowie. Odczyt zaczyna się od geografii, przechodzi do wspomnień podróżniczych, a kończy się serdecznem: bądźcie zdrowi i pamiętajcie!... Młodego podróżnika, gdy to mówił, wzruszenie ścisnęło za gardło, głos mu drżał... Może za parę miesięcy, wśród jakiejś bezsennej nocy w lasach afrykańskich przypomni mu się ta sala zalana światłem i te zasłuchane spokojne twarze, które wydadzą mu się kochane bardzo. Żegnano go, wołając: do widzenia! do widzenia!... Trochę go było żal, może gdzie spadła jaka cicha łza, może pod niejednym kapelusikiem przesunęła się myśl, że są inne nie tak odległe kraje, których prelegent nie widział—kraje hymenu, gdzie niema ani lasów, ani lampartów, ale co najwięcej maleńie boba, które nie kasają, bo nie mają ząbków... dziwny

ten jednak człowiek woli widać zęby lamparcie. De gustibus non est disputandum. Przykładem tego p. Julian Brun, który wczoraj miał francuski odczyt o Wiktorze Hugo. Pan Brun nosi grzywkę, jest sekretarzem Mario Ucharda i ładnie deklamuje, twierdzi zaś, że niezbyt podoba się mężczyznom, ale natomiast miewał „sukcesy“ między kobietami. Nie myślimy temu przeczyć, bo przychodzi nam do głowy co innego. Oto czy Mario Uchard jest ślepy, czy też literaci francuscy są tak szczęśliwi, że mogą mieć swoich sekretarzy. Co do mnie, mam wprawdzie sekretarza, którego pseudonim znajdą czytelnicy na końcu niniejszej kroniki, ale tak leniwego, tak opieszałego w spisywaniu tego, co moja literacka głowa obmyśli, że chętniebym go zmienił na innego, gdyby moje środki na to pozwalały. Muszę jednak wyznać, że jestem nader pobłażliwy dla jego lenistwa i że wogóle mam dla niego pewną słabość, której nie radzę dzielić czytelnikom.

Albowiem i czytelnicy są pobłażliwi. Znajdują się, na przykład, ludzie, utrzymujący, że „Niwa“ nie jest nudna. Co do mnie, nie zgodziłbym się nigdy na zdanie tak ryzykowne, gdyby nie to, że w ostatnim jej numerze znalazł coś, co mnie jednak nieco zainteresowało. Oto p. Kasznica unieścił tam artykuł pod tytułem „Nasi oportuniści“, w którym rozbiera broszurę p. t. „Dziennikarstwo warszawskie“, w końcu zaś obrzuca zarzutami oportunizmu i

„Słowo“, twierdząc, że się w niem program autora broszury odbija. Przedewszystkiem broszura jest bezimienna i wyszła w Krakowie, skądże więc domysł o łączności między broszurą i „Słowem“, które według p. Kasznicy ma być „jakoby urzeczywistnieniem ostatniego słowa“ autora broszury. Zaiste przenikliwość dziwna. Na granicy jej rozpoczyna się kraina insynuacyi, ale człowiek tak poważny, jak p. Kasznica, nie powinien tej granicy przekraczać i robić tak dziwnych zestawień. Nasze pismo, tak jak wszystkie inne, podpisują: redaktor i wydawca i są za nie odpowiedzialni; naszym współpracownikom wolno pisywać, gdzie chcą i jak chcą, to pisma naszego nie obchodzi. Wszakże wolno było i panu Kasznicy w różnym czasie pisać i podpisywać różne artykuły i nie-artykuły, co bynajmniej nie obowiązuje „Niwy“ i nie obarcza jej żadną odpowiedzialnością.

Co do nas, w miarę możliwości nie taimy naszych przekonań. Wypowiedzieliśmy je z powodu ostatnich wypadków, z powodu walki kulturalnej w Niemczech i z powodu stanowiska Polaków i centrum, z powodu kwestyi irlandzkiej itd. itd. Zapewniamy przytem p. Kasznicę i „Niwę“, że wypowiadać je będziemy i na przyszłość z równą otwartością, nie powodując się nigdy osobistymi powodami, ani obrażoną miłością własną, ani „szarą pyszką“, na którą narzekał już wielki Skarga.

Zaiste zarzut oportunizmu z „Niwy“ jest trochę za ryzykowny, bo pozwólcie sobie powiedzieć, moi panowie, że jednym z bardziej oportunistycznych dzienników była i jest „Niwa“, a jednym z bardziej oportunistycznych publicystów — p. Kasznica. A przytem... nie zmuszajcie mnie, bym wypowiedział wyraźniej skąd „irae“ do „Słowa“, bo mogłoby się okazać, że są one natury więcej prywatnej, niż publicznej i więcej oportunistycznej, niż się może wydawać osobom trzecim.

Szanowny autor robi nam jeszcze zarzut, że w programie „Słowa“ mieszczą się zdania, które mogłyby być podpisane „przez t. zw. zachowawców i t. zw. postępowców“.

I to ma być zarzut?

Ależ mógłbym sz. autorowi przytoczyć całe dziesiątki takich zdań, na które podpiszą się wszyscy postępowcy i zachowawcy, tacy nawet, którzy jak najmniej podpisywali w swoim życiu.

Czyby np. cała „Niwa“ nie podpisała zdania, że, gdy idzie o sprawę publiczną, należy stłumić niechęci prywatne? Ja pierwszy namawiałbym ją do podpisania...

Jest jeszcze wzmianka w artykule p. Kasznicy „o nieupoważnionych przez ogół partiach“. W swoim czasie sprawę tę poruszała w sposób nadzwyczaj szczerzy i szlachetny „Biblioteka Warszawska“, dodaliśmy też jej równie szczere objaśnienie, po którem kwestya ta sta-

ła się jasną. Teraz, gdy p. Kasznica na nowo ją poruszył, doprawdy moglibyśmy tylko odpowiedzieć jemu i „Niwie“, że naiwne role należy pozostawić pannie Czaki.

Wogóle o zarzutach, którymi nas obarczono, powiemy, że jeśli nie są—według słów Merkucya—tak głębokie, jak studnia, ani tak szerokie, jak drzwi kościoła, to jednakże dowodzą pewnego rozdrażnienia, któremu ze względu na sprawę publiczną radzibyśmy koniec położyć.

Zapewniamy, że potrafimy się bronić i nie oszczędzać napadających, jeśli nas do tego zmuszą, ale sądzimy, że i my i „Niwa“, i każde inne pismo ma przed sobą o wiele podnioślejsze zadania, które winny być syntezą wszelkich różnic, niechęci i niesnasek. Nie walka o prenumeratorów, nie forytowanie miłych na koszt nie-miłych, nie prywatne sympatye lub antypatye mają nam być gwiazdą przewodnią. Ma nią być dobro publiczne. To, co mówię, jest zarówno proste, jak obowiązujące. Jest także dobrze znane, ale na nieszczęście ludzie o tem zapominają. Dla mnie ideałem byłoby pismo, któreby potrafiło zostać, według słów poety: „arką przymierza między dawnymi a nowemilaty“, i spodziewam się, że na taki kierunek zgodziłyby się mogli zachowawcy z p. Kasznicą, jak i postępowcy bez niego.

Kronika tygodniowa.

XI.

Jubileusz profesora Przyborowskiego. Wspomnienia uniwersyteckie. Literatury słowiańskie. Autorowie piśmienni. Katedra literatury polskiej. Lublin i Pińczów. Mały udział społeczeństwa w zmianach muzycznych. Właściwości muzyczne. Prawo. Drogoskaz. Związek między zakładami naukowymi i społeczeństwem. Zdanie filozofa. Eufonia i general v. Stiehle. Moje wspomnienia. Pierwsze kroki na niwie kronikarskiej. Czego chciał mój pierwszy redaktor. Wspólny los. Jestem pomszczony. Bijesz ty moich Żydów. Przeróbka Lama. Jeszcze o oportunistach i o p. Kasznicy. Otwarta przyłbica i nienasunięta czapka. Wzajemność komplementów. Czego wymaga sprawiedliwość. Wyznania i nieporozumienia. Odczyty w Warszawie. Dopelnienia. Na coby się zgodzili pan Z. G. i pan Piskorski. Statystyka. Rozumowanie Zulusa. Podobieństwo. Projektowany konkurs. Teatr. „Nasze nieobiecane“. Oszczędności. Stan rzeczy obecny. Wieża Babel.

Wśród jubileuszów, jakie odbywały się w ostatnich czasach, był jeden, cichszy od innych, obchodzony tylko w gronie najbliższych przyjaciół, jubileusz profesora Józefa Przybo-

rowskiego. Obchodzono prywatnie dwudziestopięcioletnią rocznicę pracy publicznej i publicznej zasługi na polu piśmiennictwa i nauki. Do życzeń, które jubilatowi składano, dołączamy i nasze, spóźnione może, ale serdeczne, by pięćdziesięcioletnia rocznica jego pracy, skoro nadejdzie, zastała go znowu na katedrze, wśród słuchaczy ożywionych takim zapalem i zamiłowaniem do języka polskiego, jakimi dawniejszych swoich umiał natchnąć. Należeliśmy osobście do uczniów prof. Przyborowskiego i przypominamy sobie dokładnie jego działalność. Było to w ostatnich latach Szkoły Głównej. Na wykłady prof. Przyborowskiego chodzono ze zdwojoną gorliwością. Profesor czytał fonologię, morfologię i etymologię języka polskiego. Wykład był jasny, prosty, spokojny, ściśle naukowy, nie zabarwiony stylem, ni żadnemi apofrofami. Pył to wykład uczonego profesora niemieckiego, mający na celu samą naukę—i nic więcej. Ale właśnie ta naukowa podstawa, ta ścisłość, niedopuszczająca żadnych zboczeń, otoczyła wykłady, profesora i katedrę niezwykłą powagą. Czuliśmy, że to, co słyszymy, jest nauką w europejskiem znaczeniu tego wyrazu, że to i na nas, słuchaczów, rzuca pewien odbłysek uczoności, że to jest coś prawdziwie uniwersyteckiego, więc, gdy i sam przedmiot pociągał nas niewymownie, pracowaliśmy z zapalem. Z tej garści filologów, która zapisana

była wówczas do Szkoły Głównej, nie brakło na lekcyi Przyborowskiego nigdy nikogo. Lekcyje odbywały się wieczorem przy świetle gazu—i pamiętam, jak dziś, twarze nielicznych moich kolegów, którzy, schyleni nad zeszytami, notowali skwapliwie—i profesora na katedrze czytającego głosem spokojnym, jednostajnym... W audytorium panowała prawdziwie filologiczna powaga. Korzystaliśmy niezmiernie wiele, dwóch dawnych uczniów Przyborowskiego zajmuje dziś katedry uniwersyteckie, większość zaś to, co wie, ze stanowiska nauki o języku polskim, zawdzięcza wyłącznie profesorowi. Dziwna rzecz: wykład, zwłaszcza etymologii, bywał nieraz dość suchy, a jednak żadne inne prelekeye nie budziły w nas takiego zajęcia. Przychodzili następnie na nie i słuchacze innych fakultetów, a ponieważ profesor wykladał porównawczo, więc nawet i niektórzy świeżo przybyli profesorowie, którzy, zmierzyszy się raz i drugi z trudnościami uniwersyteckich wykładów, poznali, że jednak wypada dopełnić poprzednich studyów. Dziś, jak wiadomo, katedra języka polskiego na uniwersytecie warszawskim nie istnieje. Znany z licznych rozpraw naukowych profesor jest tylko lektorem. Ale właśnie dlatego tem serdeczniej łączymy nasz głos z głosami tych, którzy zaenemu profesorowi składali życzenia w rocznicę jego 25-letniej pracy około języka i literatury polskiej.

W owych czasach Tyszyński i Bełcikowski wykładali literaturę polską, później zastąpiono ją rozmaitemi słowiańskimi. Zaczynało się to od św. Cyrylla i Metodego, kończyło się zaś, a przynajmniej my kończyliśmy na przekonaniu, że niektórzy nasi młodszy bracia mają poezję ludową, którą zresztą mają i Hawajczycy, ale wcale nie posiadają literatury w ścisłym znaczeniu tego wyrazu.

Wobec tego byłoby w interesie literatury słowiańskiej rzeczą dziś pożądaną, by słuchacze uniwersytetów słowiańskich mogli dowiedzieć się, że literatura owa miała także Mickiewiczów, Słowackich, Krasińskich i różnych innych piśmiennych autorów. Na nieszczęście jednak, otwarcie katedry, z którejby i o takich autorach mówiono, jakoś się zwłóczy i zwłóczy. Mówimy o wykładach Chmielowskiego.

W bieżącym roku uniwersyteckim podobno się już one nie zaczną. We Włoszech i Anglii okazano pod tym względem wiele więcej gorliwości, gdy w tamtejszych uniwersytetach wykładają i literaturę i język polski.

Co do zakładów naukowych wogóle, nader pożądanym byłby bliższy związek między nimi a społeczeństwem. Pewien filozof zachodni powiedział, że szkoła ma być emanacją społeczeństwa, czyli bezpośrednim jego wpływem, nie może więc mieć odmiennego charakteru.

Szkoła przytem winna w przyszłości uła-

twiać swym wychowańcom życie, jeśli zaś po jej ukończeniu czują się wśród swego własnego ogółu obcymi, to tracą, zamiast zyskiwać. Prawdy te nie potrzebują dla dowiedzenia swej oczywistości czekać, aż je wypowie jakiś generał v. Stiehle, który — jak wiadomo — w ostatnich czasach znalazł, że język polski jest pięknie brzmiący, że landwera może być złotym mostem i że każdy Niemiec wpada wobec dziejów polskich w stan zachwytu, graniczący z hypnotyzmem...

Jeśli chodzi o eufonię, zwracając komplement za komplement, musimy zauważyć, że to właśnie słowa generała v. Stiehle były piękno-brzmiące.

W swoim czasie pisywałem kroniki dla jednego z redaktorów, który całą swą postacią uosabiał bóstwo zwane w starożytności: Jupiter tonans...

Byłem młodszy znacznie i pisywałem — Bóg widzi — jak umiałem najlepiej... Co sobota przelewałem cały liryzm mej młodej duszy w czterysta wierszy kroniki, w piątek odczytywałem te liryczne kroniki na sesyi, ... i cóż powiecie: oczy mojego redaktora zachodziły krwią, broda rozwiewała się na pół horyzontu, a z głębi tej brody wychodził grzmiący głos:

— Mój panie! — ja nie proszę pana o poezję! — mnie trzeba faktów!...

— Panie — odpowiedziałem — skądże ich wezmę, przecie to nie ode mnie zależy!

— Mnie trzeba faktów! — grzmiał redaktor—ja się nie łapię na pięknobrzmiące frazesy...

Czułem się bardzo nieszczęśliwy, dziś czuję się pomszczony. Pokazuje się, że nietylko ode mnie żądano faktów... Oto zaledwo przebrzmiał śpiew o pięknym języku, pięknych dziejach i złotych mostach, aż tu zewsząd brzmi odpowiedź, przypominająca wiersz Słowackiego:

Dziś mnie już niezabudka nie wywiedzie w
[pole,

Dzisiaj—trzeba mi posag położyć na stole.

Posag—to znaczy: fakta... Stanowczo jestem pomszczony. Znana jest anegdota o dwóch Mazurach, którzy wieźli dwie fury, pełne Żydów. Zawadziwszy wozami, pokłócili się. Jeden porwał za kłonicę i dalejże okładać Żydów, siedzących na wozie przeciwnika; na to drugi Mazur powiada: bijesz ty moich Żydów, to ja będę twoich bił.—Lam w swojej korespondencji do „Nowin“ zauważył, że może i z miłością się tak zdarzyć. *Lobst du deinen Polen, lob ich meinen Polen...* Jest jednak wielka różnica w tem, że Żydzi nie wołali zapewne o fakta... Za pozwoleniem! różnica nie tak wielka. Takich faktów nikt nie pragnie... Gdy chodzi o miłość, to co innego... Wówczas

dziewica lub młodzieniec, słysząc wyznanie, mogą słusznie powiedzieć:

„Dziś mnie już niezabudką nie wywiedzie
[w pole.“

Świat bowiem stał się pozytywny i oportunistyczny, jakkolwiek ludzie tego się wypierają. Dowodem, że się wypierają, jest p. Kasznica, który niedawno podrapał w oportunizm „Słowo“. Gdy mu poradziłem, by tę czynność zwrócił przede wszystkim na siebie samego, dostałem odpowiedź na odpowiedź, oraz kilka rad, na które wdzięczność nakazuje mi również radami odpowiedzieć. Radzę więc panu Kasznicy, aby w najbliższym swoim otoczeniu zapytał się: 1) czy wypada rzucić domysł, że pismo, wychodzące w Warszawie, urzeczywistnia program broszury, wydanej w Krakowie, 2) czy z tego nie może się zrodzić drugi domysł, że ktokolwiek z podpisanych na dzienniku jest autorem niepodpisanej broszury i 3) czy ze względu na to, że broszura ta, wydana w Krakowie, nie ma u nas debitu, nie mogły wyniknąć niezashowane nieprzyjemności dla wydawcy lub redaktora pisma, gdyby rozszerzyło się mniemanie, że który z nich jest autorem broszury. Pan Kasznica wie najlepiej, że tak nie jest, nie powinien był zatem pisać w ten sposób, by zostawiać pole do nieuzasadnionych domysłów. Albowiem człowiek domyslny powinien być zawsze domyslnym—i nie lekkomyślnym, ale

rozważnym i ostrożnym,—pan Kasznica zaś był nieostrożnym. Tę to nieostrożność pragnąłem mu wytknąć. To raz. Powtóre. Kierunek pismu nadaje redaktor, ponieważ zaś p. Kasznica wie dobrze, że nie redaktor „Słowa“ jest autorem broszury o dziennikarstwie, nie powinien był zatem żenić broszury ze „Słowem“, choćby ze względu i na to jeszcze, że jakkolwiek wykłada prawo kanoniczne, nie ma prawa dawania słubów. Jeżeli przypuszczał jakiewpływy, a nie mógł ich po imieniu nazwać, to ponieważ sam oświadczył, że nie lubi bezimienności, powinien był swój domysł zachować dla siebie aż do chwili, w której jego szczerłość nie będzie miała potrzeby rachowania się z warunkami znanymi. Oświadcza dalej sz. p. Kasznica, że występuje z otwartą przyłbicą, ale ponieważ nie nasuwałem także czapki na oczy, dziwię się, że p. Kasznica wyczytał na mojem obliczu gniew, podczas gdy była na niem zupełna pogoda. Bo o oportunizm, mający moją własną osobę na celu, p. Kasznica mógł mnie posądzić doprawdy z mniejszą zasadą, niż ja jego, gdyż on musi się liczyć ze swoją pozycją, ja zaś, wyznając ze smutkiem, innej pozycyi, jak tej, którą daje pióro, nie miałem,—piórem zaś, byle zdrowie służyło, można wszędzie i zawsze prowadzić po papierze. Dziennik, w którym pracuję, nie jest oportunistycznym dlatego właśnie, że jego redaktor nie jest i nie potrzebuje być oportuni-

stą. Ale może nie porozumieliśmy się co do wyrazu, może o innym oportunizmie mówi p. Kasznica. Może on przypuszcza, że „Słowo“ o tyle jest oportunistyczne, o ile gotowe jest podporządkować wszystko dobru społeczeństwu. W takim razie nasza wina—i pozwoli sz. p. Kasznica, że placąc komplementem za komplement, gotów jestem posądzić i jego o podobny oportunizm.

Przypuszczam, że jeśli o to chodzi, to może się jeszcze zdarzyć, że i p. Kasznica zacznie urzeczywistniać program autora inkryminowanej broszury, jeśli z czasem przekona się, że ów autor jest także tego pokroju oportunistą. Ostatecznie przykro mi tylko, że nie zrozumiałem, iż p. Kasznica miał właśnie na celu poparcie „Słowa“, że chciał je zachęcić, utrwalić. A przecie taka rola była najodpowiedniejszą dla człowieka starszego, którego powinna cieszyć praca nowych pokoleń, praca, podjęta dla społeczeństwa. Jeżeli redaktor „Słowa“ zapomniał prosić p. Kasznicy o współpracownictwo, do czego, mówiąc nawiasem, według brzmienia kontraktu, sam jeden miał tylko prawo, to tembardziej w pochwałach dla „Słowa“ okazuje się, jak p. Kasznica umiał być bezinteresownym i podporządkować miłość własną sprawie ogólniejszej. Okazuje się także, że wieści, które z najbliższego otoczenia p. Kasznicy mnie dochodziły, jakoby Sz. profesor czuł się dotkniętym, były nieprawdziwe. Boć prze-

cież, zaiste, pisma nie na to istnieją, byśmy ich szpaltami łatali nasze miłości własne. Wszakże *sapienti sat*.

Od profesora do odczytów niedaleko, mamy ich tedy mnóstwo. Goście lwowscy i krakowscy kolejno występują na katedrze w sali ratuszowej. Odczyty stały się nie objawem mody, ale potrzebą umysłową naszego miasta. Oddają one rzeczywistą usługę nie tylko instytucjom, w imię których są podejmowane, ale umysłowości naszej. Podnoszą one jej poziom, podtrzymują zamięłowanie do nauki, wyrabiają dojrzalszy sąd, wyganiają obskurantyzm. Ponieważ większość słuchaczy stanowią zawsze kobiety, więc owe lekye ratuszowe dopełniają ich wykształcenia, a potrzeba takich dopełnień jest rzeczywista, bo nasze zakłady naukowe żeńskie... O Ryczywole zamilczeć wolę.

Może w przyszłych kronikach wrócimy jeszcze do tego przedmiotu, również jak i do szkół wiejskich. Wogóle, czy to pomimo szkół, czy wobec szkół, wracamy do dawnej starosłowiańskiej prostoty. Statystyka wykazuje, że od lat kilkunastu zmniejsza się znacznie liczba umiejących czytać i pisać. Oczywiście liczba wzrasta w stosunku prostym. Niedawno p. Z. G. pytał, co robić ze szkodnikiem w lesie, na polu,—odpowiadał mu p. Piskorski, na co znowu p. Z. G. dawał replikę. Sądzę jednak, że obaj ci panowie, roztrząsając, co robić ze szkodni-

kiem, zgodziliby się na jedną odpowiedź: uczyc go czyta, dać mu oświatę i rozeznanie tego, co jest dobre, od tego, co jest złe. Pewien Zulus czy Hotentot, proszony przez misyonarza, żeby dał przykład, co jest złe, odpowiedział:

— Złe jest, jak mi kto żonę ukradnie.

— A dobre? — pytał dalej ksiądz, ucieszony pojętnością dzikiego wychowanka.

— Dobre, to jak ja komu ukradnę.

Owóż dotychczas nasi prowincjonalni Słowianie mają pojęcie złego i dobrego nader zbliżone do pojęcia owego Zulusa—i pojęcie to utrzyma się dopóty, dopóki usiłowaniom duchowieństwa i ludzi prywatnych nie przyjdzie w pomoc szkoła.

Inaczej wychowanki natury muszą dziecić, jakkolwiek drogą inicyatywy prywatnej robi się u nas dość wiele. Obecnie jest znowu projekt konkursu na napisanie żywotów świętych, jakich wydał kraj tutejszy.

Mówiąc o tym konkursie, popelniam pewną niedyskrecję, ale to ogólna wada dziennikarzy. Bliższy projekt konkursu ogłosi w przyszłym numerze „Biblioteka Warszawska“, do niej więc odsyłam czytelników. Tymczasem pozwolę sobie tylko zauważyć, że rzecz jest dobra i chwalebna. Celem „Żywotów“ będzie 1-o zbudowanie moralne czytelników i 2-o poznanie i z czasami, w których żyli św. Wojciech, św. Stanisław, św. Kinga, św. Kazi-

mierz i inni.—Ach! żeby tylko ci czytelnicy lepiej umieli czytać!... O ileż to mniej rozegrywałoby się na całej przestrzeni kraju dramatów ludowych...

A propos dramatów: grano w ostatnich czasach „Emigracyę chłopską“ Anczyca. Zresztą w teatrze cisza. Ciszę tę sprowadziły „nasze nieobecne“, z których jedna może w tej chwili wyjeżdża już do Londynu, od drugiej zaś, jak wiadomo, dyrekcyja w swoim czasie poczęła robić oszczędności... Pomysł był nader szczęśliwy, zaoszczędzono bowiem publiczności wiele pieniędzy, które inaczej byłyby przeszły do kasy teatralnej... Mamy natomiast operę włoską, podobno bardzo niezłą, mniej mówią o projektowaniu przebyciu manheimskiej trupy niemieckiej, ale za to w niektórych salonach grywają komedijki francuskie.—Allright! — dodajemy po angielsku.

Słowo. R. 1882. № 65.

Ballady prozą

przez

Alfonsa Daudet'a.

Śmierć Delfina.

Mały Delfin jest chory, mały Delfin umiera. We wszystkich kościołach królestwa Najświętszy Sakrament dzień i noc stoi wystawiony i wielkie świece płoną za wyzdrowienie królewskiego dziecka. Ulice obok starej rezydencji smutne są i milezające, dzwony nie dzwonią, powozy idą noga za nogą. Przed dziedzińcem pałacowym ciekawi mieszczanie patrzą przez kraty na szwajcarów w złocistych kamizelach, którzy rozmawiają w dziedzińcu, a twarze mają poważne.

Cały zamek w ruchu. Szambelanowie, majordomowie biegają w górę i na dół po marmurowych schodach. Galerye pełne są panów i dworzan w jedwabnej odzieży; ci chodzą od gromadki do gromadki, by jaką uchwycić no-

winę. Na tarasach zapłakane damy honorowe ocierają sobie oczy haftowanemi chustkami.

W oranżeryi zebrali się doktorzy w togach. Widać przez szyby, jak poruszają się ich długie, czarne rękawy, a głowy w perukach kiwają się poważnie. Guwerner i koniuszy małego Delfina przechadzają się przed bramą, czekając, co powie konsylium. Pan koniuszy klnie, jak poganin, guwerner recytuje wiersze Horacyusza. Tymczasem ze stajni dochodzi rżenie żalosne: to bułanek Delfina, o którym zapomnieli dziś masztalerze i który się odzywa przed swoim pustym żłobem.

A król? Gdzie jest król jegomość? Król zamknął się w swoim pokoju, na krańcu zamku. Monarchowie nie lubią, by ich widziano płaczących. Co do królowej, rzecz inna. Siedzi ona u wezgłowia małego Delfina z piękną twarzą, zalaną łzami i szłocha, jak prosta mieszcanka.

Na swem posłaniu z koronek mały Delfin, bielszy od poduszek, na których się wspiera, spoczywa z zamkniętymi oczyma. Myślałby kto, że śpi, lecz nie. Mały Delfin nie śpi. Zwraca się on ku matce i, widząc, że płacze, tak do niej mówi. Czego płacze wasza wysokość? Czy myślisz, matko, że ja tak sobie umrę, jak inni? Królowa chce odpowiedzieć. Łzy przeszkadzają jej mówić.

— Niech nie płacze wasza wysokość, nie

placz, namo. Pamiętaj, że jestem Delfinem, a Delfin nie może tak umrzeć... Królowa szlocha jeszcze głośniejsze — i mały Delfin przestraszać się zaczyna. „Hola! — mówi — nie chcę, by śmierć przyszła mnie zabrać, i będę się umiał jej bronić. Niech tu zaraz przyjdzie czterdziestu drabantów, niech trzymają straż około naszego łóżka. Niech sto armat — lonty zapalone! — czuwa pod naszymi oknami. I biada śmierci, jeśli się ośmieli zbliżyć do nas!”

By się nie sprzeciwiać królewskiemu dziecku, królowa znać daje: natychmiast słychać hurkot stu wielkich armat w dziedzińcu i czterdziestu drabantów, z rohatynami w ręku, zaciąga wartę w pokój. Stare to wiarusy z siwymi włosami. Mały Delfin klaszcze w ręce, mały Delfin ich zna i umie nazwać po imieniu. Poznaje jednego i woła: „Loren! Loren!” Wiarus się zbliża do łóżka: „Mój stary Loren, jak ja cię kocham! Pokaż no swoje szablisko! Jeśli śmierć zechce mnie zabrać, ty śmierć zabijesz, nie prawda? — „Według rozkazu, wasza wysokość!” — odpowiada Loren i dwie ciężkie łzy spływają mu po zwiędłej twarzy. W tej chwili ojciec — jałmużnik zbliża się do małego Delfina i cichym głosem mówi mu coś długo i pokazuje krucyfiks. Mały Delfin słucha z twarzą zdziwioną i nagle przerywa: „Rozumiem dobrze — powiada — co mówisz, ojczy, ale czyby mój mały przyjaciel Beppo

nie mógł umrzeć za mnie, gdyby mu dać dużo pieniędzy? Jąłmużnik znowu zaczyna mówić cichym głosem, a mały Delfin dziwi się coraz bardziej.

A gdy jąłmużnik skończył, mały Delfin tak mówi z ciężkiem westchnieniem: „Oj, smutne to, ojcze, co mówisz, i to mnie tylko pociesza, że tam wysoko, w raju, między gwiazdami, zawsze będę Delfinem. Wiem, że Bozia mój kuzyn i że mnie przyjmie według godności mojej“. A potem mały Delfin zwraca się do matki i rzecze: „Niech tu przyniosą moje najpiękniejsze odzienie, mój płaszcz z gronostajów i aksamitne trzewiki. Chcę ładnie wyglądać między aniołkami i wejść do raju w ubiorze Delfina“.

Po raz trzeci jąłmużnik schyla się nad małym Delfinem i coś długo mu prawi cichym głosem. Aż w środku dziecko królewskie przerywa mu nagle z gniewem: „Więc być Delfinem — woła — to nic nie znaczy?“—I nie chcąc już więcej słyszeć o niczem, mały Delfin odwraca się do ściany i płacze gorzko.

Słowo. R. 1832. № 21.

Mieszaniny artystyczne i literackie.

I.

Treść: „Rzeczpospolita Babińska“ Jana Matejki. Antologia polska. „Z różnych sfer“ Elizy Orzeszkowej. „Woły robocze“ Wileczyńskiego.

Od paru dni Warszawa podziwia już w salonie artystycznym Krywulła obraz Matejki „Rzeczpospolita Babińska“. Jest to jedno z najznakomitszych dzieł krakowskiego mistrza. W surowym trzymanym stylu „Chrzest Warnieńczyka“, znajdujący się w tymże salonie, jakkolwiek wspaniały i poważny, wygląda niemal urzędowo wobec tego nowego malowidła, kipiącego życiem, humorem, swobodą. Do podobnych wrażeń, jakich doznajemy, patrząc na Rzeczpospolitą Babińską, nie przyzwyczaił nas dotąd Matejko. Z poprzednich jego płócien biła jakaś ogromna powaga i majestat dziejów, a często przemawiała ich tragedia. Odchodziło się od nich z pochyłą głową, jak się wychodzi z wysokich, a posępnych naw gotyc-

kich, w których ogrom, pomroka i tajemniczość światel barwnych przejmują duszę uroczystością. Przytem w dzisiejszych piersiach skarłatych i nieżyjących ani życiem takim, ani podobnem do dawnego, nie było prawie miary do mierzenia tych postaci tak wielkich, tak lapidarnych. To byli inni ludzie, równie jak innymi są homeryczni równie jak innymi są rzeźbieni dłotem Michała Anioła — za wielcy, za surowi, tembardziej, że widziani z jednej dziejowej tylko strony swego żywota. Teraz mistrz postanowił ukazać to życie i z innej strony — nie na koturnach dziejowych, ale w swobodzie prywatnej — i widz odchodzi od obrazu z pogodnym uśmiechem, z tąż samą prawie próżną wszelkiej troski wesołością, jaką kipi cały obraz i wszystkie jego postacie. Rzeczpospolita Babińska! Któż nie wie, co to jest? Kto nie słyszał o wesołym panu Pszonce i jego państwie, w którym tchórz bywał hetmanem, niedowiarek kapłanem, pijak piwnicznym, jakała mówcą, a królem?...

Pytał o to ciekawie i Zygmunt August, kto będzie królem w takiej Rzeczypospolitej, na co mu pan Pszonka odpowiedział:

— Boże uchwaj, byśmy za życia twego, miłościwy panie, mieli obierać innego króla. Panujesz nad Polską, panujże i w Babinie.

Król się śmiał, a za nim dwie Rzeczypospolite.

Któżby nie należał do tego Babińskiego państwa! Wszelkie znakomitości i wszyscy dygnitarze składali u granic jego urzędową powagę, by wśród jabłoni, w sadach pana Pszonki wypocząć, pożartować i spędzić czas w najwykwintniejszym towarzystwie, któremu równego dostarczyć mogły chyba Włochy same.

Oto na obrazie prymas Dzierzgowski siedzi na środku w fioletach i purpurze, koło niego kupi się działalność większej części osób. Pan Pszonka niesie księciu kościoła dyplom na obywatela Rzeczypospolitej i śmieje się sam tak szczerze, tak wesoło, że aż miło na niego patrzeć. Obok niego Trzeciecki, dalej doktor Montana, Firlej i Myszkowski. Za Modrzewskim pan Kaszowski, sędzia lubelski, znany z humoru i dowcipu, patrzy z pod okularów na prymasa. Wszyscy się śmieją i widocznie baczą, jak też arcybiskup przyjmie dyplom. Może w nim będzie jaka przymówka, że prymas nie dość gorliwy był w wierze, że trochę kręcił w swoim czasie z Boną, że chciał sejm zwolywać wbrew woli Zygmunta Augusta, że był przeciw Barbarze, a później ją koronował. Podobno w życiu prymasa było wiele rzeczy, do których możnaby się przyczepić, ale książę kościoła zna się widocznie na żartach, głowę w tył przegiął, ręce rozłożył, jakby klaskać zamierzał. Zresztą widocznie jest w dobrym

humorze. Bo też i miejsce i czas wyborne. Lato, niebo błękitne, pogoda przepyszna! Naokoło sad pełen jabłoni, złoty owoc błyszczy wśród liści. Sama natura usposabia do wesołości, a przytem i pułkary krążą. Oto Mikołaj Rej musiał już nie jeden wychylić, bo rozsiał się godnie, nogę założył na nogę, rękoma ułapił się za kolano i jowialną tłustą twarz zwrócił z trochę złośliwym uśmiechem w stronę, gdzie siedzi ksiądz Orzechowski z żoną. Orzechowski patrzy, jak w tęczę, w prymasa, ale może chce tylko kłopot pokryć, bo Rej robi jakieś przymówki do jego sukni i żony, a wyżej między gałęziami, nad Orzechowskimi, kołysze się na huśtawce błazen Gąska. Nogi zadarł do góry, głowę zaś zwraca na dół i podaje pani Orzechowskiej jabłko, jakby chciał mówić: Ewa skusiła niem Adama, a tyś jeszcze lepsza, boś skusiła księdza... Za tą przepyszna grupą Oleśnicki, Lupa Podlódowski i inni wychylają kielichy, śmieją się i krzyczą.

Po drugiej stronie obrazu za prymasem—pani Pszonkowa i kilka innych kobiet, niżej Patrycy, Bekwark z lutnią w ręku, Bartosz Paprocki, nakoniec Kochanowski i Marcin Bielski leżą na ziemi i grają w szachy.

Co jest znakomitszego w całej Rzeczypospolitej polskiej, to zebrało się w ogrodach pana Pszonki i tatyści, poeci, historycy, najwy-

kształceńsi ludzie nietylko kraju, ale niemal czasu swego. Zabawa nie zakrawa bynajmniej na orgię. Jest to wybryk wesołego humoru przepysznych renesansowych czasów — wysokiej cywilizacyi, która poczyną już być wykwintną, ale jest jeszcze młodą, pełną życia, sił, barwy i zapału. Jest ona zarazem swobodną i pełną tolerancyi. Oto tam bawią się i weselą ludzie najróżnorodniejszych wiar. Będą oni na katedrach wiedli z sobą dysputy, będą się zwalczać pismem, ale w sadzie jablonkowym pana Pszonki podają sobie ręce z wyrozumiałością. Ludzie tych czasów będą także nie później, przybywszy w poselstwie do Paryża, zawstydzają nieuctwo francuskich panów... Rządy łagodne, sumienie swobodne, stąd ta werwa, ten humor, ta swoboda, którą tak po mistrzowsku odczuł i oddał Matejko. Widz odechodzi od tego obrazu z pogodnym uśmiechem, ale i z pewnem zadowoleniem, pokrewnem dumie. Bo jakie to jednak świetne dzieje cała tamta epoka! Pomyśleć tylko, co w tych samych czasach, gdy w Krakowie, na akademii słuchacze liczyli się na tysiące, a szkoły w całym kraju na dziesiątki tysięcy, co w tych samych czasach działo się gdzieindziej. A choćby i ta zabawa w pszonkowych sadach, co za przepyszny odbłask włoskiego renesansu! Wrażenie pogody, jakie otrzymuje się na widok tego obrazu, trudno prawie opisać; zwłaszcza, że z obrazów Ma-

tejki otrzymujemy je tak rzadko. Jest to jakiś nowy ton w tonach mistrza, niespodziewany uśmiech przeszłości, która właśnie dlatego, że nie przedstawia się nam ze strony wielkiej, przemawia nadzwyczaj silnie, nadzwyczaj zrozumiale, jakby po dzisiejszemu.

Oczywiście wspiera to wszystko mistrzowska technika, mistrzowskie wykonanie obrazu. Dość spojrzeć raz jeden na przepyszną linię głów, żeby się przekonać, że i pod względem wykonania jest to jedno z najwyższych dzieł Matejki. Indywidualność pojedynczych twarzy równie tu wybitna, jak w innych obrazach mistrza, a ileż w każdej charakteru, choć wszystkich ogarnia jedna wesołość. Ciała rzucone nie dbale, jak być powinno. Znać, że tych ludzi nie krępuje etykieta, ani jakieś poważne zadanie, że odpoczywają, że bawią się, że wszystko oddycha swobodą. Perspektywy, przestrzeni i powietrza więcej tu, niż w jakimkolwiek obrazie Matejki. Niema żadnego stłoczenia. Swoboda musiała się w tem wyrazić. Koloryt odpowiada harmonijnie całości: jest żywy, bardzo żywy, a jednak oczu widza nic nie uderza, ani jedna jaskrawa barwa. Nad wesołością ziemi, nad ludźmi i sadem jabłoni zwiesza się, jak wspomniałem, błękitne, może nawet za błękitne niebo lata, które zbliża się ku zbożnej, owocnej jesieni...

*

*

*

W ostatnim tygodniu wyszła w przepysznym wydaniu Gebethnera i Wolffa „Antologia polska”—wybór najcenniejszych utworów poetów polskich. Wydanie to zdobią ilustracye Andriollego, Brandta, Gersona, Kossaka, Lessera, Pilatego i Żmurki. Książka zasługuje na to, by o niej pomówić obszerniej, dlatego sprawozdanie nasze odkładamy do przyszłych „Mieszanin”.—W dzisiejszych natomiast musimy pomówić jeszcze o nowej seryi nowel p. Elizy Orzeszkowej, które wyszły pod ogólnym tytułem: „Z różnych sfer”. Gdyby wolne było wielkie rzeczy porównywać z małemi, powiedzielibyśmy, że z obrazu Matejki mówiła do nas przeszłość, z drobnych utworów p. Orzeszkowej przemawia zdrobniała, wstrętna teraźniejszość. Ale jakże inaczej przemawia. Posłuchajmy. Brudne uliczki miasta, kramy, kramik, dalej rogatka, błonie, jar, zapadła chata w jarze, a na tem tle ogólnem występuje dwoje dzieci. Występują w chwili, gdy on kradnie gołębie, a ona z bijącym sercem śledzi, czy mu się uda. Autorka prosi jednak, byśmy nie odbierali im odrazu naszej sympatyi. Oboje są mali, biedni, ciemni, opuszczeni, a przytem jest w nich coś, co zasługuje na współczucie: oto kochają się bardzo, a raczej ona jego kocha serdecznie. Są to niby Paweł i Wirginia na bruku miejskim. Autorka pragnie odmalować z prawdą i realizmem, jak też to rozwijają się

uczucia i myśli w takich istotach zapomnianych i zarzuconych wśród zgiełku ludzkiego, które za jedyne go przewodnika mają instynkt. Ten instynkt uczy go kraść, ją zebrać. W tych warunkach rosną. Czy może być z nich co dobrego? Nie. Autorka jest wielką pesymistką. Dzikie pola rodzą tylko chwasty. Dusza bez uprawy rodzi również chwasty. Oni oboje żyli bez uprawy, bo jego opiekunka była lichwiarą, jej matka — pijaczką. To były najbliższe przykłady. Innych nie mieli. W mieście rzucał im się w oczy zbytek, widzieli, jak inni używają, bawią się. Działo to szczególnie na niego. Nieraz marszczył brwi i w rozmowach, jakie prowadził z towarzyszką, pytał: dlaczego ja jestem taki biedny, dlaczego ja nie mam tego lub owego? Między nim a nią była ta różnica, że ona mówiła my, on zawsze ja, bo tylko siebie miał na względzie. Budził się w nim bezwiedny socyalista. Ludzie bogaci, miasto, sklepy, zbytek — wszystko wywoływało w nim apetyt — i nie więcej. Czy nie mówił mu nikt, że do użycia i posiadania można dojść pracą. Owszem: miał wuja cukiernika, który go przygarnął i przyuczył do pracy, ale on nie chciał pracować, tylko używać. I czy wiecie, jaki koniec historyi? — on został złodziejem, ona rozpiła się. Co to jest? co to ma znaczyć? czego chce autorka? — pyta czytelnik. I ma prawo pytać dlaczego usiłowano go szarpać, dlaczego opowiadano mu tę wstrętną historię?

dłaczego zostawiono go pod wrażeniem niesmaku, zwątpienia i braku wszelkiej otuchy? Na te jednak pytania niema odpowiedzi. Cała historia życia tych dwojga dzieci pojęta została nadzwyczaj jednostronnie. Miasto, życie, otoczenie, mogło oddziaływać na dzieci źle, ale musiało, choć w setnej części, choć w tysięcznej i dobrze. Czemu tej tysięcznej nie uchwyciła autorka? czemu cały obraz malowany umyślnie i ze szkodą prawdy? A przecie dzieci w domu nie miały przykładów — prawda, ale w mieście, po którym się błąkały, jak koty po dachach, widziały przedewszystkiem pracę. To raz. Dlaczego temu chłopakowi, któremu dość zawikłane i trudne socjalistyczne myśli przychodziły do głowy, nie przyszło i to: pracuj, obiboku, a będziesz jadł. Widziały te dzieci przecież i miłosierdzie, bo żebrały i dawano im jałmużnę.

Jeśli choć przez ciekawość weszły do kościoła, słyszały może z ambony, że kraść, próżnować, pożądać i t. p. jest źle. Pytamy tedy, czemu te dodatnie wpływy nie oddziaływały zgola na chłopaka. Złe mogły przeważać — zgoda! mogły być dziesięć, sto, tysiąc razy silniejsze, ale jednak były i dobre. Czemu nam ich nie przedstawiono, a natomiast przedstawiono rzecz całą z taką umyślną i złośliwą jednostronnością? Jeżeli zaś chłopak był takim potworem z natury, że żadne wpływy nie mogły nic pomódz, to powieść jest bez

znaczenia —to nie warto było jej pisać. Co więcej, chłopak był w domu porządnych ludzi, wziął go dobry krewny, a jednak bez żadnej walki wewnętrznej, bez wahania puścił się na złą drogę. Ta jednostronność obrazu sprawia, że powiastka jest całkowicie chybiona. Autorka, która, jak się zdaje, pragnie społeczeństwo uczynić w znacznej części odpowiedzialnem za los istot tak przepadłych, jak te dzieci, rozmija się z zadaniem —jej chłopak bowiem jest chyba wyjątkową naturą patologiczną. Pisząc zaś jednostronnie, z uprzednim pesymizmem, autorka rozmija się z prawdą życiową, bo w życiu wszelkie indywiduum podległe jest najróżnorodniejszym wpływom, które muszą w niem ścierać się i walczyć. W całej tej powiastce zamiast prawdy i realizmu widzimy tylko ciągle usiłowania prawdy i realizmu ze strony autorki. Robi ona wszystko, co może, by te dzieci mówiły, ruszały się i działały tak, jak by to czyniły w życiu, a jednak dźwięczy w tem wszystkim jakaś fałszywa nuta. Autorka jest dokładną: opisuje wszystko bardzo szczegółowo, a jednak nie widzimy dobrze tych dzieci, nie uplastyczniamy ich sobie, nie odczuwamy.

A dzieje się to właśnie dlatego, że życie zastępuje autorka teorią, z góry przygotowaną, do której życie przykrawa. Są to zarazem braki artyzmu, których nie wynagradza ani łatwość języka, ani śmiałość myśli. Ma to być

karta z dziejów nędzy ludzkiej, musi być więc wstrętna —wynagrodzić jej plugawość może tylko prawda tak wybitna, że aż krzycząca i rzucająca się w oczy—i żelazna konsekwencya. Jeśli tego brak, to zostaje tylko niesmak, bo nareszcie czego od nas chcą? Jeśli ten chłopak był pod dobrym wpływem, widział dobre przykłady, jeśli ten wujaszek pracował nad nim bez skutku, jeśli tedy społeczeństwo nie zostało ostatecznie tego dziecka bez opieki i dodatkich wpływów, to właściwie... po co mu psuć humor taką niesmaczną powiastką. Trudno zgadnąć.

Powiastka „Daj kwiatek” ma zbyt bląhą treść, a treści tej artyzm nie wynagradza. Znowu jest tu więcej usiłowania artyzmu, niż jego obecności. Wspomnienia starej Żydówki, zapracowanej na chleb powszedni i pogrążonej po uszy w rzeczywistości, autorka maluje w ten sposób:

„Czasem uśmiecha się i głową wstrząsa z rodzajem żartobliwej pogroźki. Przed wzrokiem jej przeplłynęły ze srebrnem dzwonieniem fale strumienia i zamigotały czarnemi oczami wpatrzonej w nie dziewczyny“.

Jest to ozdobne, ładne, jeśli kto chce, ale wątpimy, by taka prosta dusza, zapracowana, w której mogły mieć miejsce tylko nader pozytywne żądania i potrzeby, by, jednym słowem, taka Chaita z małego miasta mogła rozkoszo-

wać się podobnemi wspomnieniami, jak srebrne dzwonienie strumienia etc.

Autorka swoje zdolności odczuwania przenosi na postacie, które tworzy bez względu na ich kulturę umysłową i moralną. Dzieje się to w wielu miejscach. Dzieckiem Chaita kołysze się nad srebrnym strumieniem (str. 126), gałęzie głogu szepczą jej jakieś niewyraźne łagodne powieści (str. 124). Brat jej grywa na skrzypcach i miewa łzy w oczach (125). Stara Chaita zachwyca się kwiatami (152) itp.

Jest w tem pewien sentyment, narzucony postaciom sztucznie, którego sztuczność czuje też każdy czytelnik. Niewieleby to szkodziło, gdyby to miał być taki rodzaj powieści, ale autorka pragnie właśnie pisać w zupełnie innym rodzaju, to jest wysoce realnym i skutkiem tego właśnie wszystkie powyżej cytowane ustępy brzmią, jak fałszywe nuty, oddzielają się od całości i odstają od niej, jak wady.

A jednak autorka umie pisać prawdziwie. Ostatnią najobszerniejszą powiastką p. t. „Zefirek“ czytaliśmy już z pewnem uprzedzeniem, tymczasem jest ona najlepsza w całym zbiorze. Autorka zna dobrze kobiety średniej klasy, obserwowała widocznie starannie życie ich w miastach, ich przesady, uprzedzenia, głupotę, pretensye, próżność. Ta radczyni w „Zefirku“, która nie może zapomnieć o swej dawnej piękności, ginie z nędzy, a nie pozwala córce iść za uczciwego człowieka, dlatego, że jest mula-

rzem, ta stara prezydentowa, eks-obywatelka z uprzedzeniami do mieszkańców miast — jakież to żywe i prawdziwe. Są to „moriturae”. Biedactwo to nie jest złe. Egoizm ich jest bezwiedny, również jak wychowanie do niczego. Nie umieją żyć i giną. Oto cała prawda trafnie podpatrzona i pochwyciona. Tu niema nut fałszywych, bo autorka nie ma do czynienia z naturą ludzką pierwotną, której nie zna i nie potrzebuje nadrabiać sztuką. Niema tu także natury w znaczeniu pól, lasów, strumieni etc., których wpływy na człowieka pojmuje autorka zawsze w sposób sentymentalny. Tu jest miasto, jego życie, jego nędza i jego poezya — i wykołejone istoty, których losy na bruku czasem rozdzierają serce. Na tych wszystkich strunach autorka gra biegle, odczuwa to, co pisze bezpośrednio i dlatego w takich utworach posiada pierwszorzędną przymiot: szczerotę.

O „Wolach roboczych” Wilezyńskiego układamy sprawozdanie również do przyszłych „Mieszanin”.

Mieszaniny literacko-artystyczne.

II.

Profesor Tarnowski. „O dalszym ciągu rozwoju poezyi romantycznej w Polsce“.

Pod tak złożonym tytułem prelegent rozbił w trzech odczytach „Nieboską komedję Zygmunta Krasińskiego“. Początek pierwszego odczytu poświęcony był samej osobie poety. Biografia to niezmiernie trudna do kreślenia, zwłaszcza gdy się przemawia z katedry. Prof. Tarnowski mógł zauważyć, że między wszystkimi naszymi poetami życie tego wieszczę było najpełniejsze łez i bólów i cierpien, ale analizować tych cierpień i wyłuszczyć ich przyczyn, ich składników nie mógł. A jednak taka analiza drobiazgowa byłaby niezmiernie ważnym i niemal niezbędnym komentarzem do dzieł poety, taką tylko bowiem drogą moglibyśmy dowiedzieć się i poznać jasno, jak wyrażał się wśród boleści ten umysł tak górny, tak ogarniający świat cały. Prelegent musiał przesunąć się koło wielu pierwszorzędnych szczegółów biograficznych, jak koło żarzących węgli—i dzięki tylko jego talentowi krasomów-

czemu i zręczności pisarskiej, dzięki uniejętności patrzenia w duszę ludzką, życiorys Krasińskiego rzucił tyle światła na dzieła, ile go było trzeba do ich wytłumaczenia i zrozumienia. Krasiński urodził się genialnym myślicielem. Genialnym—to znaczy twórczym, zatem władającym tworzącą siłą fantazyi w równowadze z rozumem. Ten myśliciel kochał tak, jak mało kto ze współczesnych, cierpiał, jak nikt ze współczesnych—i z tych trzech składników: z ogromnego rozumu mędrca, z ogromnej fantazyi i ogromnego bólu—zrodził się wielki poeta, który jest zarazem wieszczem niemal jasnowidzącym. Zarówno w jego myśli, jak w jego poezyi można dopatrzeć się wpływów czy to ówczesnej filozofii, czy poetów, ale prelegent miał słuszną, twierdząc, że samej poezyi nie ma z czem porównać. Poezyna ta stoi samotna, wysoka i odrębna w całej literaturze i polskiej i europejskiej. Pierwszą cechą jej odrębności jest jej charakter społeczny. Na gruncie niezmiernie miłości dla swego narodu poeta stawia wypadki światodziejowe i, skuwając je sercem z losami własnego społeczeństwa, rozpatruje je w związku. Dowodem tego „Nieboska komedya“, jedno z najważniejszych i najgenialniejszych dzieł Krasińskiego. Dwa światy, ścierające się w niej, walczą ze sobą nie tylko u nas, ale i w całym świecie. Poemat pod tym względem ma znaczenie kosmopolityczne. Wszelako naukę z tego poematu, jego głęboki

sens moralny poeta przeznacza dla swoich. Duch wieszcza ogarnia ludzkość, ale unosi się tylko nad swoimi—i ich przedewszystkiem ostrzega przed pożarem, ich przedewszystkiem pragnął ocalić! Przypatrzmy się bliżej temu wspaniałemu lotowi. Oto w ludzkości rozgrywa się „Niebos’ia komedya“. Nowy czas występuje do walki ze starym. Po obu stronach stają ludzie, którym idzie o śmierć i życie. Jest to walka o byt tych, którzy są głodni, z tymi, którzy się już nasycili. Nim wyraz „walka o byt“ był stworzony, poeta go przeczuł i odgadł. W pierwszym obozie staje demokracja, która ocknęła się ze snu wiekowego i poczuła nagle swą siłę, w drugim —wszystko to, co się zwykle skupia pod sztandarami konserwatyzmu. Duch poety nie jest w żadnym z tych obozów, on się unosi nad nimi, patrzy na nie, jakby patrzyła sprawiedliwość dziejowa, i jest zupełnie gdzieindziej. On sędzi obie strony bez litości, a dowodem tego postacie, które wprowadza i które charakteryzuje, idąc za nim, prelegent. Na czele arystokratycznego obozu stoi hrabia Henryk. Kto to jest? Tytan, półbożek. Ma on twarz bohatera, a duszę poety. Kołysały go tradycje. Po nocach wołał go krzyk „rodowego anioła“ do wielkich czynów... Z ogromnej przeszłości szły na niego jakieś tajemne wpływy, jakieś fale. To, co zmarłe, zmartwychpowstawało w jego fantazji i otoczyło go tak silnie, że stał się człowiekiem,

który ciałem żył na ziemi, duszą w grobach. Świat rzeczywisty, świat kupców, rzemieślników i fabrykantów — zbrzydł mu, więc stworzył sobie inny, pelen gotyckich zamków, katedr, światel i uroczych cieni. Jednem słowem, żył fantazyą, która wkrótce zawładnęła jego rozumem i wszystkimi władzami duszy. Chciał widzieć wszystko poezją i samego siebie poetycznym. Bo fantazyja jego zwracała się również i na siebie samą. Dziwny objaw. Prelegent zwraca tu uwagę na pewien stosunek między Hamletem a hrabią Henrykiem. Pierwszy staje się niezdolnym do czynu z powodu nadmiaru refleksyi, drugi z powodu fantazyi. Hamlet tak rozważa, tak rozpatruje z każdej strony fakt życiowy, tak wątpi, czy go już ujrzał w świetle prawdziwem, że tylko rozważa, a tymczasem życie niesie jego bierną łódź, gdzie chce. Hrabia Henryk popada w straszny nałóg szukania przedewszystkiem form poetycznych w tem, co go otacza — i w sobie samym. Ten nałóg tak wyjaławia jego duszę, że w końcu staje się ona niezdolna ani kochać, ani nienawidzić prawdziwie. Czy spada na niego szczęście, czy nieszczęście — on nie oddaje się ani po prostu ani całkowicie wrażeniu, bo fantazyja jego szuka przedewszystkiem formy poetycznej. Analogia między Hamletem a hr. Henrykiem jest świetnem spostrzeżeniem prof. Tarnowskiego. Obaj są ludźmi, jakby z góry skazanymi na to, by zabiła ich rzeczywistość. Ta niezdolność

życiowa Henryka jest jego przekleństwem, bo z niej płyną i jego zbrodnie. Oto w części I-szej poematu czuwa jeszcze nad nim anioł-stróż. Z ust jego płyną słowa:

„...Pokój ludziom dobrej woli. Błogosławiony pośród stworzeń, kto ma serce—on jeszcze zbawion być może. Żono dobra i skromna, zjaw się dla niego —i dziecko niechaj się narodzi w domu waszym“.

Następuje ślub, wesele. Ona jest mu piękna w osłabieniu swoim, w kwiatach, perłach i wstydzie. Ona mu będzie pieśnią. To fantazyja mówi nie serce... Potem, gdy przyjdzie życie codzienne, bez fantastycznych przyborów z pereł, kwiatów i osłabień — on ją porzuci. Żona „dobra“ oddała mu duszę całą, mogła nasycić serce, potrzebę szczęścia, ale nie nasyciła fantazyji —więc oto kona w szpitalu obłąkanych. Wyprosiła tylko przed śmiercią u Boga, by jej syn był poetą, bo ojciec inaczej kochać go nie będzie. Syn jest poetą i właśnie dlatego widomem przekleństwem dla ojca. Dziecię, gdy mówi pacierz, fantazyjuje. Dziecię to żyć nie będzie, bo jest poetą, cieniem, aniołem, ale nie człowiekiem. Ten ojciec pozostanie bezdzietnym—i chyba dramat będzie mógł układać ze śmierci żony i syna. Kara i potępienie zawieszone nad nim. Syn jest karą dla wyjałowionej duszy przez fantazyję. Taki to człowiek stanie się w obozie arystokratycznym wodzem walki na śmierć i życie. Dlaczego on?

Bo on wśród tego świata, któremu imię „mori-turi“, jeszcze najlepszy, najwyższy, najbardziej bohaterski. Poza nim tłum hrabiów, książąt i baronów—to tłum tchórzów, obżartuchów, po-chlebców, tłum dusz tak właśnie małych, jak wielkie są wypadki, wobec których stać trze-ba.

W obozie tym poeta znalazł jednego skale-czalego moralnie bohatera i więcej nie. Ten jeden potrafi umrzeć, jak wielki artysta, ale nie potrafi żyć. I on jeden. Inni—to śledzie, które zginą bez wieści i bez sławy w paszczy rewolu-cyjnego wieloryba. Żaden najskrajniejszych po-jęć pisarz nie obszedłby się tak bez litości z tym obozem, jak obszedł się z nim Krasiński. Uznanie poetyczne Henrykowi, całkowita pogar-da innym—śmierć wszystkim. Gdzie sympa-tya autora? Czy w obozie przeciwnym? Zstąp-my tam. Na czele jego Pankracy. Czy imię to wypadkowe? Czy poeta, jak sam pisze, wybrał je dlatego tylko, że brzydkie? Trudno uwierzyć, gdy w tem imieniu brzmi: panowanie wszyst-kich. Ale mniejsza o to. Pankracy -- to dru-gi tytan, drugi półbożek. Z twarzy jego bije potęga. „Głos jego przeciągły, ostry, wyraźny, każde słowo rozeznasz, zrozumiesz, ruchy je-go powolne, łatwo wtórują słowom, jak mu-zyka pieśni -- czoło wysokie, obnażone -- włosy jednego na czaszce nie masz, wszystkie wypa-dły, strącone myślami -- skóra przyschła do cza-szki, do liców, żółtawo się wcina pomiędzy kości

i muskuły, a od skroni broda czarna wieńcem
twarz opasują —nigdy krwi, ni zmiennej bar-
wy w licach. Oczy niewzruszone, wlepione w
słuchaczy, chwili jednej wzruszenia, pomieszania
nie dojrzyć; a kiedy ramię wzniesie, wycią-
gnie, wyteży ponad nimi, schylają głowy, zda
się, że wnet uklekną przed tem błogosławień-
stwem wielkiego rozumu —nie serca —precz z
sercem, z przesadami etc.“

Tak opisuje go Krasński.

Profesor Taruowski, przekładając język
poety na prozę, widzi w Pankracym uosobie-
nie logiki, która nie ma litości. Zgniecie ona ję-
czących, nie otrze łzy, bo to sfera inna. Logi-
ka może być tylko logiczną, nie zaś miłosierną,
dobrą, cnotliwą, lub kochającą. Logika—to ko-
nieczność, to bieg rzeczy i wypadków. Panowa-
nie siły, zguba słabych —to także logika. Brak
pocieszenia, ratunku, otuchy. — to także logika
—uosobienia w Pankracym. On stoi na czele,
bo tak być musi. Poza nim w tym drugim obo-
zie tłuszcze: przechrzty nieszczerzy, lokaje, pu-
cybuty, nierządnice, mord i orgia. Niema my-
śli, są tylko instynkty; niema pragnień, są
tylko apetyty; niema życia—tylko chęć uży-
cia. W ogromnych i strasznych zarysach przed-
stawia się nam ten drugi obóz...

Noc, orgia! a wśród ciemności, dogasa-
jących ruin słyhać wrzaski ochrypłych gło-
sów. „Bracia moi podli, bracia moi mściwi“ —
woła głos jeden. „Obywatele schyleni nad pra-
widłem w pocie i poniżeniu, glancując buty,

poczuliśmy prawa nasze“—woła drugi. Kobieta krzyczy: „Jestem wolną niewiastą i rozdaje miłość moją“. Podobnie ponurych i posępnych rysów szukać chyba w świecie dantejskim. Jeśli forma Fausta wpłynęła na tę „nieboską komedye“—treść jej przerosła społeczną doniosłością Fausta. Te karty są straszne. Człowiek na nich podobny jest do apokaliptycznego zwierzęcia. Tem to wszystko straszniejsze, że oto przed nami zwycięzcy—i że są to „stare zbrodnie w nowych szatach“. Zarody tego wszystkiego, co ludzkość dusiło, co do jednego tkwią już w tym obozie; zwycięstwo nie przyniesie ulgi, dobra, szczęścia, zmian nawet. Tłum tego nie czuje, ale jest ktoś, co to rozumie. Twarz jego marmurowa zawsze, oblicze nie drgnie, ale pod ową ogromną czaszką wylągl się twór, który się nazywa niepokój. Pankracy rozumie, że czegoś brak w jego budowie—czegoś może bardzo ważnego. Gdzie to coś jest? Czy nie w obozie przeciwników? Tytan demokracji idzie tam szukać. Chce on poznać tego Henryka, który oto zamknął się w zamku św. Trójcy, gdzie wie, że nie zginie, musi zginąć, ale chce zginąć. Dlaczego? Czy on może zagrzebie ze sobą to coś, czego brak Pankracemu? Nie. Z rozmowy między Pankracym i Henrykiem okazuje się, że wszystkie zarzuty, jakie jedna strona czyni drugiej, są słuszne, ale każda pojedynczo nie umie dowieść racji swego bytu. To, co sobie przeciwstawiają, wygląda na jakieś olbrzymie, wiekowe nie-

porozumienie, ale jaka jest synteza tej tezy i antytezy, ani Henryk, ani Pankracy nie wiedzą, nie rozumieją, nie odgadują. Przepaść się tylko powiększa. Walka musi być śmiercią jednych lub drugich. Jakoż na drugi dzień rozpoczyna się zaciekle, jak nigdy. Zamek pada. Orcio poeta ginie, Henryk rzuca się w przepaść, Pankracy zwycięża.

A teraz co? Czy jedno złe ma zastąpić drugie? czy cały ten poemat to tylko wybuch rozpaczy? Mimowoli każdy, kto przeczytał poemat, spyta, gdzie jest poeta, co nam zostawi jako otuchę?

Jeszcze nie koniec. Pankracy stoi jako tryumfator na szczycie zamku, obok niego powiernik Leonard, gdy nagle ukazuje się na niebie straszne widziadło:

„Jak słup śnieżnej jasności, stoi ponad przepaściami, oburącz wsparty na krzyżu, jak na szabli, mściciel. Ze splecionych piorunów korona na skroni jego... Od błyskawicy tego wzroku chyba mrze, kto żyw...

Leonard do Pankracego:

— Coraz to bardziej rumieniec zbiega ci z twarzy. Chodźmy stąd, chodźmy, czy słyszysz mnie?

PANKRACY.

Położ mi dłonie na oczach, zadław mi pięściami źrenice, oddziel mnie od tego spojrzenia, co mnie rozkłada w proch.

LEONARD.

Czy dobrze tak?

PANKRACY.

Nędzne twe ręce, jak u ducha, bez kości i mięsa, jak woda, przejrzyste, jak szkło, przejrzyste, jak powietrze. Widzę wciąż!

LEONARD.

Oprzyj się na mnie.

PANKRACY.

Daj mi choć odrobinę ciemności...

LEONARD.

O mistrzu mój!

PANKRACY.

Ciemności, ciemności!!

LEONARD.

Hej, obywatele, hej! bracia demokracji. na pomoc. Hej! ratunku—pomocy ratunku!

PANKRACY.

Galilee, vicisti...

(Umiera).

Komu fantastyczny nastrój poematu został choć najmniejszą wątpliwość co do jego tendencji, co do myśli, temu prelegent układem całości pomógł do zrozumienia jej w całej pełni. Te dwa światy wależące ze sobą walczyły tylko w imię nienawiści, która nie tworzy. Duch poety wyższy nad stronnictwa i partye unosi się ponad obozami i mówi nam, że nie o to dbać trzeba, by stare zbrodnie w nowe obłóczyć szaty, bo tworzy tylko miłość jedna, której widowym symbolem było zjawisko owo, widziane przez Pankracego. Do wyrównania wiekowych przepaści trzeba do-

brej woli. Poza rachunkiem logicznym, poza walką o byt, poza siłą — jest coś, co się w te kategorie nie mieści, a co wypadki dziejowe chryzmatem prawdziwej ludzkości znaczy, co świat człowieczy od wierzącego różni. Kto przy tej trzeciej sile stoi, ten przetrwa burze — i usłyszysz w przyszłości: pokój ludziom dobrej woli!...

Sala ratuszowa, w której odbywały się lekcye, przedstawiała w końcu trzeciego odczytu niezwykle widok. Jasnowidzenie poety, który tak uprzednio, a tak wyraziście streścił w potężnych, a krótkich zarysach jakoby dzieje lat ostatnich, i nierozwiązane a groźne zagadnienia, na które sami patrzymy, jasnowidzenie to, uprzytomnione wymową prelegenta, wywarło wrażenie czegoś niezwykłego. Sam też prelegent, doszedłszy do konkluzji, do nauki, płynącej z poematu, począł mówić z nie zwykłym zapalem, który z kolei udzielił się słuchaczom. Wzruszenie odbiło się też na wszystkich twarzach — i cały odczyt przybrał charakter prawdziwej biesiady duchowej, z której dajemy tylko niedokładne sprawozdanie, musieliśmy bowiem dla braku miejsca pominąć wiele szczegółów, bądź z charakterystyki artystycznej, dawanej przez prelegenta, bądź z jego wywodów ogólnych.

Słowo. R. 1882. № 46.

Mieszaniny literacko-artystyczne.

Edmunda de Amicis: „Marokko.“ Przekład Maryi z Siemiradzkiej Obrąpalskiej, nakład F. Sulimierskiego. T.
J. Hodi: „Pan Słepy-Paweł“.

Nie rzadszego, jak prawdziwie poczytna księga podróżnicza, podróżnik albowiem bywa albo specjalistą - i wówczas badania i opisy jego dla większości czytelników są niedostępne, albo, co się nader często zdarza, nie umie spostrzeżeń swych wyrażać w sposób artystyczny i wydatny. Człowiekowi, który sam widział pewne kraje i ludzi, każdy opis wystarcza, bo mu widziane przypomina, mało zaś kto potrafi postawić się w położeniu czytelników, którym sam opis musi zastąpić wszystko. Z pomiędzy podróżników, którzy zasłynęli w ostatnich czasach barwnością i jasnością opowiadania jedno z pierwszych miejsce zajmuje Edmund de Amicis. Mamy właśnie przed sobą przekład jego podróży do Marokko, dokonany przez p. z Siemiradzkiej Obrąpalską, a wydany nakładem Filipa Sulimierskiego. De Amicis w pierwszym zaraz rozdziale przenosi czytelnika wraz ze sobą na grunt afrykański. Książ-

ka jest składana z notatek, spisywanych widocznie natychmiast, pełno też w niej gwaru, ruchu, życia i tej żywotności, jaką posiadają tylko pierwsze wrażenia. Źle robi ten, kto podróżę kreśli ze wspomnień. Zwolna bowiem człowiek oswaja się z otoczeniem, choćby najodrębniejszym i z warunkami, choćby najmocniej odmiennymi od tych, w jakich żył dotąd. Oswoivszy się, nie odczuwa tak mocno, traci zdolność mierzenia faktów i ludzi naszą europejską miarą—i nie zapisuje wielu rzeczy, dlatego, że po pewnym czasie wydają mu się one już normalne, choć wedle naszych europejskich pojęć takimi nie są. Ale de Amicis maluje na razie, dlatego jego wrażenia mają ową pierwszą barwę niewypłowiałą przez czas i niepamięć. Przybywa on do Tangeru i to nagłe przejście z Europy do Afryki opisuje w sposób nader malowniczy. Łodzie, z powodu odpływu nie mogły przybić do samego brzegu, podróżnicy więc musieli się przeprawiać na karkach Arabów. Ten tłum ludzi koloru brązu, dzikich, drapieżnych, wrzeszczących, biegł przez wodę, następnie porwał biednych Europejczyków wraz z ich pakunkami na ramiona. Pannie jechały w ten sposób obok panów.—„Ja sam —pisze de Amicis —odbyłem swój wjazd do Afryki konno na starym Mulacie, z brodą, opartą na jego ciemieniu, z końcami nóg w wodzie“.

Następuje opis Tangeru. Świat to już od-

mienny. Opisy de Amicisa przypominają nam obrazy słynnego francuskiego malarza Beniamina Constant. Tanger ma domy odwrócone od ulic. Długie mury, porozciągane w jednostajne linie proste, rażą oczy oślepiającą białością, którą podnosi blask afrykańskiego słońca. Miasto, z powodu braku okien, wychodzących na ulicę, miałoby głuchy pozór, gdyby nie mieszkańcy. Na ulicach rojno i gwarno. Oko Europejczyka, przywykłe do ciemnych ubiorów i ciemnych barw, przeważających w naszych miastach, nie może się nasycić przepyszną grą kolorów, odbijającą od lśniących śnieżnych murów. Wobec Tangeru i jego mieszkańców — nasze miasta wyglądają, jak koszar wojskowe, w których wszystko podciągnięte jest pod linie, wszystko szare i jednostajne. W samych tylko twarzach ileż odmiennego wyrazu: „chód, ruchy, postawy — mówi podróżnik — i sposób patrzenia, wskazują na ustrój zwyczajów i pojęć całkiem od naszego odmienny, na całkiem inne zapatrywanie się na czas i życie. Tych ludzi nie zdają się bynajmniej obchodzić żadne ich sprawy, ani miejsce, w którym się znajdują, ani to, co się dookoła dzieje. Każdy w wyrazie twarzy ma coś niezwykłego i głębokiego, jak człowiek, pochłonięty jedną nieodstępną myślą, lub sięgający pamięcią w czasy i miejsca bardzo odległe.” Przed podróżnikiem przesuwały się twarze czarne, białe, żółte i szpizowe; głowy o gęstych, długich włosach i czaszki nagie, bly-

szczące, jakby z kruszcu odkute; ludzie wyschli, jak mumie... są tam oblicza sułtanów, dzikich bojowników, czarnoksiężników, pustelników, zbójów, ludzi złamanych smutkiem olbrzymim, czy nudą śmiertelną, a pośród nich niewielu, albo raczej nikogo z uśmiechem na ustach... Co za odrębność charakteru, co za brak zewnętrznych warunków podobieństwa do wszelkich europejskich. Z góry leją się potoki słońca na głuche miasto, a w mieście ludność fantastyczna, barwna i jakby przygnieciona jakimś brzemieniem, jakby w rozbracie z życiem. zapatrzona w nieskończoność i stęskniona do ciszy grobowej. Na plecach barwne łachmany, w twarzach powaga zmarłych. Oto pierwsze wrażenia. Mogą być one jednak złudne, bo pod tą maską apatyii i nudy wra namiętności straszne. Nasze są okiełznane wychowaniem, wiedzą, prawem — tantejsze w porównaniu z naszymi są tak jaskrawe, jak arabskie haiki i burnusy w porównaniu do naszych paletotów. Przedewszystkiem tedy, pod ową maską chłodu i obojętności, kryje się głęboka nienawiść do Europejczyków. Arabowie tangerscy są do nich przyzwyczajeni i boją się ich, a jednak nie mogą częstokroć się powstrzymać. Fanatyzm wybucha przy lada okoliczności. De Amicis widział dzieci dziesięcioletnie, ściskające pięści na jego widok i życzące mu, „aby Allah rozkazał upiec cień jego pradziada“. Pewnego razu jakiś święty, czyli człowiek, mający pomie-

szanie zmysłów, napluł w twarz jednemu z konsulów i nie można było wymódl na władzach ukarania fanatyka. Wzburzenia przeciw „giaurom“ manifestują się zawsze, ilekroć odbywa się jakaś uroczystość, ilekroć święci napłyną w większej ilości do miasta. Wówczas ten tłum, zwykle poważny i apatyczny, zmienia się w stado dzikich, rozhukanych zwierząt. Oczywiście im dalej w głąb kraju, tem barbarzyństwo jest widoczniejsze, a życie bardziej pierwotne. Żywot Marokańczyków z wnętrza Marokko nie różni się w niczem, lub mało się różni od żywota dawnych Numidów. De Amicis poznał dokładnie kraj, jeździł bowiem z poselstwem włoskiem aż do Fezu, stolicy Marokko. Po drodze widział wszędzie nienawiść, fanatyzm, apatię, brudy, lenistwo, nędzę, zdzierstwo i zło-dziejstwo urzędników i najstraszniejszy ich despotyzm. Poselstwo przeprowadzała znaczna eskorta żołnierzy, inaczej rozerwanoby je w pierwszej lepszej wiosce. Po drodze kreślił de Amicis szereg obrazów wysokiej piękności, trzeba bowiem wiedzieć, że w kraju tym nawet nędza drapuje się w malownicze lachmany, a gra promieni słonecznych barwi tęczowe nawet brudy. De Amicis ma przytem jeden wysoki przymiot literacki, przymiot bardzo rzadki: oto umie kreślić krajobraz. Widzi się to Marokko, czytając książkę: jego faliste wzgórza i doliny wypalone słońcem, pola, posiane kukurydzą, białe „kuby“ czyli domki świę-

tych i duary czyli wioski. z których tłumy brązowych dzieci wybiegają patrzeć na podróżników i życzyć im wszystkiego złego. Opisy są tak przezroczyście, jak atmosfera tamtejsza, która pozwala widzieć najdalsze przedmioty. Fez, święte miasto, huryssa ziemską, jest, wedle autora, stekiem meczetów, łuków maurytańskich, spiętrzonych domów, malowanych w różnokolorowe pasy i błota. Ludność dzieli się na rządzących i rządzonych, czyli obdzierających i obdzieranych, czyli gnębiących i gnębionych. Za to wszyscy są jednakowo leniwi i niechlujni, a przytem zdradziecy, cheiwi, nienawistni, ambitni i apatyczni. Są to na pozór sprzeczności, które jednakowoż godzą się doskonale w charakterze arabskim. Polityka zewnętrzna tamtejszego rządu polega na tem, by czynić jak najmniej zadość żądaniom państw europejskich, wewnętrzna — na wyciskaniu z poddanych pieniędzy i ścinaniu głów nieposłusznym. We wszystkich tych sprawach rząd doszedł do nadzwyczajnej wprawy. Postępu niema w Marokko. Jest to kraj cywilizacyi obumierającej i zdzieczalej. Mieszkańcy zdolni są do czynów wyjątkowych, w wyjątkowych warunkach, ale stracili zdolności do spokojnego życia w rozwoju. Mają to do siebie owe cywilizacye wschodnie, że, doszedłszy w pierwszym rozmachu nader wysoko, następnie krzepną. Wytwarzają one siłę, strzelają kwiatem umysłowości, ale

nie wytwarzają drogi, po której można iść i rozwijać się normalnie dalej. Państwa, które zrodził duch Wschodu, po wyczerpaniu zasobów fanatyzmu i siły istnieją dalej tylko na mocy inercyi. Ich niespokojna budowa trzyma się tylko ciężarem, który z góry przygniata warstwy dolne. Mieszkańcy Marokko nie posiadają nie tylko zdolności, ale i ochoty do życia. Arabowie, którzy widzieli zapobiegliwość Europejczyków, ich wielkie i wspaniałe miasta, lub którym opowiadano dziwy o kulturze europejskiej, odpowiadali: „urządzacie się tak, jakbyście nie mieli umrzeć”. Pracy dla przyszłych pokoleń nie rozumieją. Gdy Europejczyk przy ciśnie ich rozumowaniem do muru, odpowiadają, że Allah jest wielki. Przeciw temu nie ma już argumentu.

Książka de Amieisa pisana jasno, przeźroczysto i z talentem malarskim, jest jedną z najciekawszych ksiąg podróży, jaką zdarzyło nam się czytać. Specjaliści nie znajdą w niej ścisłych naukowych materyałów, ale czytelnik znajdzie wiernie pochwycony obraz kraju, ludzi i ich ducha i sam się przez to nauczy patrzeć i znajdzie punkt porównania w sądach.

Przekład jest dobry. Małe usterki, na jakie natrafiamy tu i owdzie, mogą być błędem korekty i dadzą się łatwo w drugim wydaniu poprawić.

Mamy przed sobą dziwną powieść, zatytu-

lowaną „Pan Ślepy-Paweł“. Napisał ją Hodi. Autora poznaliśmy w Paryżu. Jest to z rodu Rusin. Człowiek wykształcony bardzo, rozmyślający, ustawicznie zamyślony, pogrążony w sobie, posepny,—napozór zamknięty, a w gruncie rzeczy nad wszelką miarę uczuciowy. Posiada on pierwszorzędną zdolność. Czytająca publiczność nieraz musiała zwracać uwagę na świetne jego korespondencye z Paryża, których mnóstwo pomieszczał w swoim czasie w Kłosach. Potem zmęczył się i przestał pisać. Zwalili się na niego liczne nieszczęścia. Miał chwilę zmierzchu i melancholii, co się odbiło w jego pracach, które stały się zawiklane i ciemne, ale potem przyszedł do równowagi. Pierwszą jego większą beletrystyczną pracą jest „Pan Ślepy-Paweł“. Powieść ta, drukowana w „Gazecie Polskiej“, wyszła teraz w osobnej odbitce w wydaniu gebethnerowskiem. Jak żyję, nie spotkałem powieści, w którejby tyle materiału myślowego zużyto — do dość powszedniego i nader małego obrazka. O cóż bowiem chodzi? Pan Ślepy-Paweł opowiada dzieje swej młodości. Rusin, pochodzący z unickich księży, był wychowany przez dwór miejscowy i razem z synem dziedziców wsi wysłany na naukę. Pan Paweł był zdolniejszy: uczył się lepiej, stąd uzyskał pewną przewagę nad towarzyszem. Zwolna przyzwyczaił się do tej supremacyi i uważał ją jakby przynależną sobie prawo. W tych warunkach obaj młodzi

doszli do uniwersytetu. Ale zmieniło się wszystko, gdy „stary pan“ umarł. Wówczas Dyonizy odziedziczył majątek i zajął wzglętem Pawła *de facto* inne stanowisko. Pan Paweł, a z nim autor robią wszystko, co można, by okazać, że ta zmiana pozycyi nie dotknęła ich miłości własnej i że jeśli stosunki z Dyonizym ochłodły, to była wina Dyonizego, ale im się to nie udaje. Pan Paweł nie jest takim, jakim chce mieć go autor. Jest on drażliwy, opryskliwy, pełen miłości własnej i niewyrozumiały. Siebie ma na względzie zawsze i do siebie wszystko odnosi. Jest przytem bezwzględny, jak każdy człowiek, który własne ja podniósł do wysokości zasady. Te jego przymioty okazują się w rozwoju powieści coraz wyraźniej. Obaj z Dyonizym wracają na wieś. W drodze rozpoczynają się już między nimi kwasy. Paweł burzy się przeciw Dyonizemu i czyha podejrzliwie przez drogę na wszelką sposobność, by dowieść sobie, że Dyonizy inaczej go traktuje. Po powrocie stosunki rozdrażniają się z powodu rachunków i pewnej Mici, księżzowej kuzynki, która jest ładną dziewczyną. Pan Paweł kocha tę dziewczynę w sposób sobie właściwy, to jest w sposób wyłączny, zawistny, urażliwy. Dyonizy umizga się do niej. Oto zawiązanie, z którego ma wyniknąć dramat. Jest to zwykła życiowa historia, z której czytelnik spodziewa się wyniku zwykłych życiowych zda-

rzeń—smutnych lub wesołych, ale nie nadzwyczajnych. Tymczasem dzieje się nadspodziewanie inaczej. Micia odpowiada chętniej umizgom Dyonizego, niż wielkiemu uczuciu Pana Pawła. Jest to parafialna gaska bez polotu, bez wyższej kultury moralnej i umysłowej. Autor chce i usiłuje uczynić ją poetyczną, młodą, ale ta nimfa pozostaje wbrew woli tylko rubensowską pięknoscia, to jest tyle warta, ile warta jej młoda krew i hoże ciało. Ale „Pan Paweł“ ją wybrał—i wnet stała się dla niego tak wielką, jak jego egoizm. Nie stała się jednak ani wielką, ani niezwykłą dla czytelników. Nie umie ona nawet wzbudzić ich sympatii—i dlatego nikt nie odczuwa dlaczego taki straszny dramat leży dla pana Pawła w tem, że ona nie jego kocha. Jest to wielka wada tej powieści. W życiu, w naturze, taki pan Paweł mógł cierpieć z tego powodu, ale w powieści—to nie dość. W powieści i czytelnicy muszą cierpieć z nim razem, muszą odczuwać jego zawody, rozpacz, bo inaczej cóż ich może cała powieść obchodzić. Sprawa przedstawia się po prostu, jako „trop de bruit pour une omelette“. Cóż się bowiem dzieje? Oto Dyonizy umizga się—nimfa parafialna uśmiecha się, a Paweł? Ten do rydwanu swojej rozpacz zaprzęga cały świat: bogów, ludzi, całą naturę, całe otoczenie.

Chodzi po nocach, filozofuje, rozpacza, nie widzi, przepada, waryuje —zabija... Jest tego

wszystkiego za dużo. Użyto olbrzymiego aparatu dla wywołania małych skutków. Autor wepchnął tyle refleksyi, tyle materiału myślowego w tę prostą powszednią sprawę, że niema żadnej proporcyi między ważnością samej sprawy a tą masą środków. Starczyłyby one na dwudziestu Otellów — zwyczajny pan Paweł i zwyczajna Micia giną pod tą masą przyborów tak dalece, że ich nie widać. Psuje to zupełnie harmonię estetyczną opowiadania. Oto góra jęczy i rodzi! Myślicie: urodzi smoka. Weale nie: niewyhrycką mysz. Jest w tem coś śmiesznego. A przytem to, co stanowi typową stronę miłości i tych bólów, które się rodzą, gdy serce sercu nie odpowiada, to, co znaleźć może oddźwięk, jako ogólnie ludzkie w duszy czytelnika, ginie tu zupełnie dlatego właśnie, że autor nadal jakieś nadzwyczajne cechy uczuciu tego pana Pawła. Autor starał się pogłębiać i pogłębiać swoją pracę, aż zstąpił do takich głębokości, w których zaczyna być ciemno. Pan Paweł za wiele filozofuje. Czytelnik chce bezpośrednio odczuć, jak biją serca i pulsa ludzkie w uczuciu, a zamiast tych bezpośrednich wrażeń dostaje analizę — i to ekscentryczną analizę. A często także: frazes, którego prawda nie szuka i którym się nie wypowiada. „Kocham Micię — mówi pan Paweł — jak chłop ruski i jak Michał Anioł!” Mimowoli przychodzi ochota spytać: a szczo heto? Proszę teraz wyrobić sobie ja-

kiekolwiek wyobrażenie o tej miłości. Hryć i Michał Anioł! jaka jest jego synteza? Pan Paweł ma jedną wadę: oto podnosi siebie, swoje ja, swoje uczucia do takiej potęgi, na jaką czytelnik zgodzić się żadną miarą nie może.

Wiemy tylko, że podczas gdy Dionizy wieczorami umizga się—tamten krąży między rzeką, cmentarzem, cerkwią i rzy w ciemnościach. Nie jest on jednak demoniczny. On ma tylko niesmaczny charakter i jest nadzwyczaj wielomówny. Dionizy jest tuzinkowym charakterem, ale ma wiele cierpliwości. W całej powieści widzimy zupełny brak prostoty i jakby jakąś tłumioną niechęć do rodu Dionizych. Ale ponieważ pan Paweł ją ukrywa, nie chcemy i my jej tykać. Jest to dziwny utwór—całe to opowiadanie. Słyszałem, jak ktoś mówił: „co za szkoda, że tak doskonale pisana powieść, jest tak źle napisana”. Niema w tem gry wyrazów, ale zupełna prawda. Pojedyncze rozdziały, brane osobno, mogłyby stanowić ozdobę niejednej powieści,—złożone razem, dają całość przeladowaną, antypatyczną, przestylizowaną, przerafinowaną. Autorowi nic się nie udało. Chciał mieć Ślepego Pawła sympatycznym—Ślepy Paweł jest niesmaczny; chciał mu przyznać słuszność—czytelnik mu jej nie przyznaje. Materiał, prawdopodobnie brany z życia, wydaje się nieprawdopodobnym, może właśnie dlatego, że niemasz w nim nic ogólnego, że przeszedł do

powieści in crudo. Autor wypowiada niejedną głęboką myśl, ale w powieści studyum psychologiczne nie jest głębokie. Pod względem artystycznym opowiadaniu brak plastyki... A jednak nie jest pospolicie pisany ten „Ślepy Paweł“... Szkoda tylko, że Hryć zginął w sukni Michała Anioła, jak mucha w morzu,—bo też kudy Rzym, a kudy Niewyhrycze!

Słowo. R. 1882. № 58.

Hołd pruski.


Obraz Jana Matejki.

Zaledwie rozeszła się wiadomość o wystawieniu „Hołdu pruskiego“, już tłumy mimo najokropniejszej pogody śpieszą, by obejrzeć najnowsze dzieło Matejki. Pod względem ducha przeciwstawia się ono zupełnie Grunwaldowi, chociaż stoi z nim w historycznym związku. Grunwald, to tytaniczna walka ścierających się ze sobą na śmierć i życie potęg olbrzymich.— Hołd to tryumf narodu nad wrogą sobie potęgą, a zarazem wspaniała średniowieczna uroczystość, pełna spokoju i majestatu. — Na wzniesieniu, ustawionem na rynku krakowskim, siedzi król Zygmunt Stary w otoczeniu Tomickich, Firlejów, Górków, Gasztołdów, Tarnowskich, Ostrogskich, Szydłowieckich i Kościeleckich, a unóg króla klęczy Albrecht Brandeburski, składający przysięgę wierności z Prus królowi i Rzeczypospolitej. Nic wspanialszego nad to zebranie, którego powadze i majestatowi ustąpićby musiał nawet senat rzymski. Na błękitnem niebie widać wieże kościołów,—nad wzniesieniem w powiewie wiatru sze-

leszczą chorągwie: niższa, pruska, z czarnym orłem, pochyła się przed tryumfującym karmazynowym sztandarem polskim. Przepych barw i pontyfikalnych strojów oślepią oczy widza. Król w kapie złotej, holdownik w płaszczu książęcym i pełnej błyszczącej zbroi, po której biegają błyskawicą odblaski złota i purpury, panowie w aksamitach, piórach i klejnotach—wszystko wspaniałe, świąteczne, tryumfalne. Odgłos trąb miedzianych, brzęk złota, rzucanego przez podskarbiego między ciżbę ludową, przerywa ciszę, wśród której zdaje ci się, że słyszysz uroczyste słowa przysięgi na ewangelię. Twarze są poważne, przejęte wielkością tego, co się rozgrywa w ich oczach. Zrozumiesz łatwo, że te barwy, pióra, chorągwie, to świetne zgromadzenie, to nie zwykły jakiś obchód, ale że to dzieje spełniają się przed tobą.

Obraz jest wielki, bo natchniony tu artysta odezwał i wielki wypadek dziejowy, i życie ówczesne, i chwałę narodową, a oddał z potęgą i mistrzostwem. Z tego powodu mistrzowski ten obraz z jednej strony zadowala do najwyższego stopnia uczucia artystyczne, z drugiej budzi uniesienie, którego podstawą jest duma z tej wielkiej, wspaniałej przeszłości. Nie masz żadnej wątpliwości, że ci historycy, którzy twierdzą, że ten hold pruski nie był aktem rozumu politycznego, mają słuszość. Zakon był zniszczony i sam się rozkładał, jak ciało umarłe.—Albrecht, przyprowadzony do rozpacz, nie

miał już żadnych środków ratunku, ani widoków pomocy. Było zatem zgodniej z powagą wielkiego państwa, bezpieczniej i patryotyczniej zgnieść drapieżne gniazdo, zdobyte takim nakładem krwi i poświęceń, wcielić zakonne posiadłości całkowicie do Polski, owoładnąć ujściem Niemna zarówno jak Wisły i otworzyć okno krajowi na przestrzeni Bałtyku.

Sekularyzacya Albrechta, utworzenie holdowniczego księstwa, popieranego siłą Brandeburgii, było zarodkiem niebezpieczeństw na przyszłość, które, niestety, aż nadto się spełniły. Tak zresztą rozumiał to i artysta, umieszczając w pobliżu króla Stańczyka, którego bolesna zaduma i smutek przeciwstawiają się widocznie ogólnemu nastrojowi. Ale mimo tego wszystkiego, mimo słuszności, jaką przyznajemy historykom, i zdrowego poglądu autorskiego, niezmienionego przez sam fakt holdu,— w dzisiejszych czasach i w dzisiejszych okolicznościach, ten Brandeburczyk, klęczący na rynku krakowskim, przed majestatem jagiellońskim, i ten mistrzowski obraz holdu jest wskrzeszeniem dawnej chwały i dawnej wielkości. Tak też tylko, a nie inaczej, możemy patrzeć na owo najnowsze arcydzieło. W ten sposób ma ono w sobie dla nas nieprzeparty czarodziejski urok. Żywemu uczuciu miłości daje ono podstawę—i mówi—kochaj, bo to wielkie, wspaniałe, dobre i sprawiedliwe. A cóż słodsze,

jak, kochając nad wszystko, być przekonanym, że się słusznie kocha. Zaiste, dziś niewyczerpane w tem źródło ulgi i otuchy. Lecz to nie koniec. Koło fortuny toczy się w ten sposób, że każde jutro odmienny i zgoła różny od wczoraj przedstawia widok. Może to nie tak bardzo dziwnego, że ówczesni ludzie nie domyślali się, jaki koniec weźmie dzieło grunwaldzkie, skoro i obecnie nawet, gdy kto się zapatrzy w arcydzieło Matejki, takie prawdziwe, takie rzeczywiste, to mu się zdaje, że po tem wczoraj wiekowem, dzisiejsze czasy, dzisiejszy stosunek wasala do dawnego suzenera jest chyba snem tylko.

Pod obrazem jest także podpis: „*si Deus nobiscum qui contra nos*“.

O technicznej stronie tego arcydzieła możemy to tylko powiedzieć, że budzi ono podziw i zdumienie w publiczności i w malarzach. Najsurowsi krytycy nie mogą dopatrzeć plamy na tem artystycznem słońcu. Jakoż nigdy dotąd nie posunął wyżej Matejko sztuki malowania. Wspaniały styl obrazu, potężna charakterystyka figur, siła kolorytu i harmonijność linii idą tu w zawody. Dzieło to można porównać chyba tylko z największymi stylowymi obrazami malarzów włoskich. Zarzucano dawniej niejednokrotnie Matejce brak przestrzeni i powietrza. —Holdowi i tego zarzucić nie można—słowem, krytyka zmuszona jest nie krytykować, ale podziwiać, do jakiego stopnia dojść może sztuka układu postaci, rozma-

tość linii, przepych kolorytu i wykonanie wszystkiego.

Podnoszą się już głosy, zupełnie słuszne, że obraz ten powinien zostać w kraju, a raczej wzbogacić muzeum krakowskie.

Tak jest, dla obcych ma on tylko znaczenie arcydziela pędzla, dla nas podwójne.

Czy zakupno jego ma przyjść do skutku drogą składek, rozstrzygać w tej chwili nie będziemy, przyjdzie nam bowiem poruszyć jeszcze niejednokrotnie tę sprawę.

Słowo. R. 1882. № 110.

Krytyka. Sprawozdania. Bibliografia.

„Z przeszłości Polesia kijowskiego” Opowiadania historyczne Dr. Antoniego J. Wydanie Red. Bibl. Warsz. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1882.

Opowiadanie to dzieli się na dwie części; w pierwszej części obznajmia czytelnika z dziejami szlachty okolicznej w Owruckim powiecie, w drugiej—mówi o Kozakach na Polesiu kijowskiem w końcuXVII w. Po bitwie nad Ipenią w r. 1320 kraj przeszedł we władanie Litwy, później za Rzeczpospolitej powiat Owrucki należał do województwa kijowskiego. Dzieje szlachty szły trochę odmienną koleją w tamtych stronach, przez długi czas bowiem nie była ona tak niezależna, jak w innych ziemiach Rzplitej. Ziemianie tamtejsi pochodzili od bojarów ruskich,—ci zaś, swego czasu, dzierżąc ziemię od księcia, obowiązani byli do powinności względem osoby „hospodarza” i względem zamku. Te prawa gospodarskie przeszły na wojewodów kijowskich, następnie zaś na starostów owruckich. Stąd zrodził się niejasny stosunek. Z jednej strony bojarszczyzna, władająca ziemią, siłą rzeczy zajmowała ogólne stanowisko

szlachty polskiej,—z drugiej starostowie wiecznie rościli pretensye do powinności, jakie się prawnie zamkowi od dzierżących ziemię należały. Dało to początek do nieustających sporów i spraw, o których królowie stawali zwykle po stronie szlachty, choć prawo było za starostami. Spory przetrwały do końca XVII wieku i historia ich jest zarazem historią rodów tamtejszych. Chcąc zrozumieć dość zawiśkany charakter owych sporów, należałoby go sobie tłumaczyć zasadniczem przeciwstawieniem dawnych feudalnych stosunków rusińskich z allodyalnymi polskimi. Bądź co bądź rody bojarskie coraz silniej przyswajały sobie znaczenie i stanowisko szlachty. Autor opowiada ich dzieje nader szczegółowo i nader zajmująco. Zna ona tę, że tak rzec można, nieoficyalną stronę historyi wybornie i włada niewyczerpanym materiałem archiwalnym. Poza sporami ze starostą życie owych rodzin było początkowo dość jednostajne. Wyznawały one niezjednoczony obrządek, w czem nikt im nigdy nie przeszkadzał, i żyły cicho w lasach lub na ostrowach, położonych wśród rzek i bagien. Światło kultury łacińskiej dochodziło tam nader wązkim promykiem. Owi szlachta-bojarrowie nie umieli ni pisać, ni czytać i od chłopów różnili się jedną fantazją, wybujałością i majątkiem. Bliskość szlaków wyrodziła w nich wojowniczy charakter, w czasie napadów chronili żony i dobytek na ostrowy, sami zaś stawali ochotnie na każde wezwanie hetmańskie.

Dopiero wojny Chmielnickiego sprowadziły na ów zapadły kąt szereg niepowetowanych klęsk. Kozacy nie oszczędzali bynajmniej jednowierców, którzy częścią wyginęli, częścią przenieśli się w głąb Rzplitej. Był czas, że w całym Owrukiem nie powstał ani jeden ziemianin. Czasy spokoju nieprędko już wróciły. Dalszy ciąg tych dziejów opowiada autor już w drugiej części, noszącej tytuł: „Kozacy na Polesiu kijowskiem“. Gdy po traktacie Buczackim kozaczyszna się rozdarła, począł ją niejako tworzyć na Polesiu Sobieski. Król chciał wynaleźć nową siłę przeciw Turkom, a prawdopodobnie i założyć fundament nowej wiernej kozaczyszny — i tym celem wydawał tak zwane „listy zapowiednie“, pozwalające tworzyć pojedynczym osobom pułki kozackie. Tym sposobem powstałi Kozacy dymirsey, mający siedzibę w starostwie Dymirskim, tym sposobem w całym Polesiu formowały się ciągle oddziały zbrojne, pod wodzą śmiałych pułkowników. Ale przedsięwzięcie chybiło celu. Żywioł, z którego król chciał tworzyć ochronę przeciw Turkom, zbyt był burzliwy, zbyt rozkolysany i rozwareholony po wojnach Chmielnickiego. Pułki te, korzystając z „borosza“, t. j. z prawa wybierania u ziemian kwaterunkowego i żywności, rabował własny kraj, niegorzej Tatarów. Stąd opór zbrojny ziemian i największy w świecie chaos. Bo, gdy i chorągwie hetmańskie, przysyłane na pomoc ziemianom, wybierały „boroszno“ w podobny

do Kozaków sposób,— wytworzyła się nieustająca wojna wszystkich ze wszystkimi. Tak uchodziły całe lata. Opustoszały wsie i miasteczka. Autor podaje cały szereg owych uwierzytelnionych pułkowników, z których bardzo niewielu pojmowało swe zadanie,—reszta byli to prości rabusie. Jeden z nich, Łączyński, był nawet śmiercią karany. Losy niektórych rodów i osób, nad wyraz burzliwe, są zarazem nader romantyczne. Prace d-ra Antoniego J., same przez się barwne, zawierają nieoceniony materiał dla powieściopisarza historycznego, co zresztą im i naukowej wartości nie odejmuje. Rozpatrując się w życiu prywatnem dawnych ludzi i w szczegółach, które uchodzą oczu innych historyków, autor nasz dochodzi nieraz do ważnych wniosków i wypadki dziejowe ogląda w nieznanem świetle. Oto np. zwraca on uwagę na fakt, że bojarowie owruecy ni rodem, ni wyznaniem nie różnili się od zastępów Chmielnickiego, a jednakże zostali tak dobrze przez owe zastępy starci, jak i wszyscy inni. Fakt ten upoważnia autora do zdania, że cała zawierucha nie była bynajmniej walką narodowości z narodowością, wyznania z wyznaniem, ale straszną walką socyalną nędzy i pożądań z przywilejem i posiadaniem. I jeżeli nie w zupełności, to w znacznej części niezawodnie było tak, jak twierdzi autor.

Sprawozdania powieściowe.

„Na tulactwie“. Obrazy współczesne przez J. I. Kraszewskiego. Trzy tomy w jednym. Warszawa. nakład Gebethnera i Wolffa. „Do nieznanomej.“ Nowelle z rękopismu znalezionego przepisał Leopold Mèyet. T. I. Wydawnictwo E. Orzeszkowej i S-ki. Wilno 1882.

Od pewnego czasu daje się widzieć dziwny objaw w sferze czytelniczej. W pismach, czy to codziennych, czy tygodniowych, czy miesięcznikach, publiczność żąda powieści, szuka powieści, a znalazłszy je, niebardzo w niej smakuje. Jest to jakby rodzaj fałszywego apetytu, który tłumaczyć można w ten sposób, że nałóg jeszcze nie ustal, a przesyt już się rozpoczął. Tyczy się to zwłaszcza większych, kilkutomowych powieści, na których czytanie zdaje się braknąć cierpliwości. Objaw ten zauważono powszechnie u nas i za granicą. Żyjemy prędko, lubimy czytać prędko, a powszedniego życia, które przedstawia powieść obyczajowa, mamy we własnych troskach, zawodach i praktyce tak dalece dosyć, że w literaturze straciło ono dla nas interes.

Nowsza też powieść stara się dać coś wię-

cej czytelnikom, niż samo opowiadanie o losach bohatera i o szczęśliwym połączeniu Numy z Pompiliuszem. Usiłuje ona stać się albo dziełem sztuki, to jest utworem czysto artystycznym, albo analizą prawd życiowych na zasadzie nauki, albo odbiciem historyi i losów całych warstw społecznych, albo nakoniec tem wszystkiem razem. Oczywiście, gdy się ma do czynienia z utworami fantazyi, granice nie mogą być ani ścisłe, ani jasne. Obecnie nie chcemy rozwoździć się nad tem, czy usiłowania dzisiejszych powieściopisarzy są szczęśliwe i wolimy ów przesył powieściowy tłumaczyć z jednej strony nadmiarem produkcji, z drugiej obniżeniem się skali talentów wogóle. Jest ich więcej, ale są mniejsze, a stąd i spowszedniałe ich utwory nie mogą budzić takiego interesu, jaki budziły utwory dawnego pokolenia, na których potężna indywidualność autorska kładła właściwe sobie piętno.

Dziś też, gdy czytelnikowi nadsyłają z księgarni pake utworów beletrystycznych, patrzy on na podpisane pod nimi nazwiska i zaczyna od Kraszewskiego, odkładając mniej znanych na czas, w którym już nic innego nie będzie do czytania. Oczywiście i między powieściami Kraszewskiego bywają wielkie różnice: jedne są wykończone i wyszlifowane, jak drogie kamienie, inne kreślone szkicowo bez wycieniowania konturów. Ale samo nazwisko daje już czytelnikowi gwarancję, że znajdzie utwór nierobiony wedle modły, wzorów, nie konwencyo-

nalną powieść, malowaną przez patrony, ale rzecz bezpośredniego uczucia, bezpośrednio obserwacyi, oryginalnej myśli i jeśli rzecz tak można, herbu swego własnego, to jest taką, na której dusza ludzka odcisnęła swe indywidualne piętno.

Ten subiektywny charakter dopełnia w niepospolity sposób obiektywna strona utworu. Z rysów, rzucanych od niechcienia, z ową łatwością, która Bóg jeden wie, jak dla innych jest trudną, składa się całość uderzająca taką prawdą, iż odbijają się w niej twarze całych warstw społecznych. Oto mamy przed sobą powieść „Na tułactwie”. Rzecz dzieje się w r. 1865, gdy kraj nie był jeszcze zupełnie spokojny. Podstępny szwagier, pan Kosucki, wmawia w brata swej żony, Małdrzyka, że grozi mu niebezpieczeństwo, i usiłuje skłonić go, by opuścił kraj na czas nieograniczony.

Przed wyjazdem jednak Małdrzyk, by zapewnić los jedynaczki córki i uchronić majątek rodzinny, sprzedaje go symulacyjnie p. Kosuckiemu, sam zaś udaje się do Drezna. Czytelnik łatwo zgadnie, że Kosucki skorzysta z łatwowierności Małdrzyka i majątek sobie przywłaszczy, dawny zaś właściciel pozostanie bez środków do życia. Jakoż tak się stało.

Powieść opowiada właśnie o losach Małdrzyka w Dreźnie, w Paryżu i w oplakany

powrocie do kraju przez Poznańskie i Galicyę. Małdrzyk należy do tego gatunku ludzi, o których Słowacki mówi: „dobrzyby z nich byli ludzie w szczęściu“. W nieszczęściu, w ubóstwie, w oderwaniu od rodzinnej gleby, bohater nasz nie ma dość hartu duszy, dość woli, dość energii, dość zasobów życiowych. Szlachcic ten w swoim Lasocinie był uczciwym, zacnym, uczynnym, pogodnym, nie był ni pracowitym, ni próżniakiem. Wedle roli chodził nie jak Niemiec, ale jak prawdziwy szlachcic, który, zrobiwszy, co można, powie sobie: „jakoś to będzie“,—a resztę złoży na Opatrzność! Był on ostatnim z rodu Małdrzyków, herbu Wąż. Ongi bywali oni senatorami Rzplitej, więc pan Floryan, mimo iż był czlekiem oświeconym, czytającym, a może i trochę sceptycznym, nie mógł potłumić w sobie jakiegoś mimowiednego przekonania, żeć samej Opatrzności zależy coś na tem, by ostatniemu Małdrzykowi nie było nadto źle na świecie. Tej niepokonanej wierze o stosunku Małdrzyków do Opatrzności obronić się nie mógł. Zresztą życie w Lasocinie dawało jej fundament. Było p. Floryanowi tak dobrze na ojcowskim zagonie, tak wygodnie, tak zamożnie i tak bez zachodów łatwo, jakby zaiste sama Opatrzność nad nim czuwała. Bóg błogosławił, a ludzie kochali za serce, bo serce było złote. Głowa także niby niezgorsza. Je-no serce i głowa z tak miękkiego metalu, że ów

metal pod uderzeniami nieszczęść nietylko się gwał, ale topniał. Safundulstwo, dobrowolność, brak umiejętności stosowania się do warunków życia i niezaradność sprawiły to, że ten człowiek o złotem sercu wszedł na pewne pochyłości za granicą. Podtrzymywał go energiczny przyjaciel, homo novus,—ale podtrzymać nie mógł. Małdrzyk upadał zwolna—nie, żeby miał podłych czynów się dopuszczać, ale tracił na ambicyi, na fantazyi—i na godności sławnej. Był, jak łódka bez steru, którą wiatr niesie, gdzie chce. Twarde życie obezsilalo go,—za-
miast hartować. Praca wydała mu się karą. Przyzwyczajenia pańskie zostały. Był to zawsze pan na Lasocinie, —choć często miewał krzywe obeasy. To też namęczył się, naznosił upokorzeń, naczynił niepotrzebnych ustępstw własnym wadom i ludziom,—wreszcie wrócił do kraju i straciwszy ukochaną córkę, ożenił się dla spokoju z jakąś podstarzałą dewotką, co uczyniwszy, popadł pod jej pantofel. Oto cała powieść, kreślona pośpiesznie, szkicowo, z mistrzowską wprawą i bez śladu wysilenia. Małdrzyk, jakby bez woli autora, uosabia i losy bardzo wielu emigrantów, i narodowe wady nasze. Ostatnie pokolenie, choć w niem jeszcze podobnych Małdrzyków nie brak, pod wpływem ostatnich warunków, poczyną się już z podobnych wad otrząsać. Dzięki tym różnym warunkom społeczeństwo wydaje coraz więcej ludzi, którzy, wyszedłszy z twardej szkoły,

wzrósłszy wśród przeciwności, stwardnieli, zahartowali się i umieją sobie sami dawać rady. Ale w tem pokoleniu, do którego należał Małdrzyk, iluż podobnych Małdrzyków? Iluż to ludzi zdolnych do ogromnych jednorazowych poświęceń, nadzwyczajnych jednorazowych wysiłek, ale niezdolnych do wytrwałej organicznej pracy. —ludzi, którzy, nie zapomniawszy niczego, niczego się nie nauczyli. Ale, jeśli za to drugie należy ich potępić, pierwsze zbawia ich pamięć. I dlatego zapewne sędziwy autor, wykazując ich wady, wystawiając ich na widok publiczny, jako przestrołę dla społeczeństwa, mówi o nich z miłością raczej, niż z nienawiścią. Może także, kreśląc te postaci, w których tak jaskrawo wszystkie braki nasze społeczne się rysują, ale którym nie brak i stron prawdziwie sympatycznych, ma na celu dać jeszcze inną przestrołę nadchodzącemu odmiennemu pokoleniu—przestrołę, że trzeba koniecznie i dobrze jest wiele się nauczyć.

Niewiadome nazwisko na kopercie, znane tylko autorowi, trochę łez, westchnień, nieco woni zasuszonych w pugilaresie kwiatów, z przymieszką perfum damskich, dobra doza księżycowego światła, przy którym lubią się przechadzać cienie zawiedzionych kochanków—oto „*Novelle do nieznajomej*“. Należy jeszcze dodać, że jest w nich wiele elegancyi, dobrego smaku i nieco talentu, a obraz będzie zupełny.

Jakom żyw, nie czytałem dawno książki

tak sentymentalnej. W dzisiejszych pozytywnych czasach, w wieku fizyologicznych romansów, jest to dziw prawdziwy, aby ktoś, wiawszy harfę w rękę, zapomniał o świecie bożym i zapatrzony w „nieznajomą“ rozpoczął pod dewizą:

„Had we never lov'd sae kindly —

„Had we never lov'd sae blindly—

„Never met—or never parted —

„We had ne'er been broken—hearted.

Ach!... Słysząc naokoło szmery westchnień... i ciche jęki „smutków blahych, wiotkich, kruchych“... Ale że tego w dzisiejszej literaturze niema nadto, że sentymentalizm w małych dozach ma swój smutny wdzięk, więc owe listy można czytać bez ekliwości. pod warunkiem, że drugi tom będzie na inną nutę. Pierwsza nowella jest ilustracją tematu: „On pojechał, on nie wróci“. Wiosna wszędzie roztacza zapachy i uśmiechy. Przed nami park, klomby kwiatowe, rozkwitłe bzy i czeremchy, a wśród tej dekoracyi dwie kobiety.

— Celinko — mówi starsza.

— Słucham, mateczko.

— Pan Adam prosił mnie o twą rękę.

— Pan Adam, o mą rękę?...

Celinka go nie chce; westchnienie podnosi jej stanik.

— Ty myślisz o kim innym, Celinko...

Nowe westchnienie, mdły rumieniec:

— Tak...

On pojechał,—ale wróci.

Odtąd obie będą wybiegać na gościniec i słuchać z biciem serca każdego turkotu powozu. To on! Nie! I tak mijają dnie, miesiące, lata. On nie wrócił. Serce złamane. Koniec!

Na podobny temat zawiedzionych serc i nadziei namotane i inne opowiadania. Biedny guwerner pisał po cichu dramata i kochał siostrę swego ucznia (*alle Geschichte!*), a córkę bogatego bankiera. Dramat zrobił furorę, i gdy wszyscy pytali o imię autora, biedny guwerner odkrył to imię bankierównie, a zarazem odkrył i serce gorejące ku niej zapalem. Bankierówna go wyśmiała. On odszedł ze złamanymi skrzydłami. Znowu koniec. W trzeciej nowelli uczennica wdzięczy się do swego nauczyciela i zmusza go do czytania lekcji o kokieterji. Złudzenie! To ona daje mu lekcję kokieterji, bo gdys erce pedagoga topnieje pod wpływem czarnych jej oczu, ona w chwili maksimum topnienia przedstawia mu swego narzeczonego. On odszedł ze złamanem sercem. W czwartej nowelli młody górnik przywiózł z za oceanu pieniądze i wierne serce. Pieniędźmi ratował majątek ukochanej, serce chciał jej dać w dodatku, ale „ludzie ci rozeszli się bez pożegnania, a czem dla siebie byli i być pragnęli, nie powiedzieli sobie może tak rychło, może nie powiedzieli—sobie już nigdy.“ Jeszcze złamane serce! Nie więcej szczęśliwy był i historyk Zygmunt. Ten kochał Ninie, Ninia zdawała się kochać jego. Ale

gdy zbadawszy własne serce, wrócił po długiej nieobecności upomnieć się o jej rękę, ona, podobnież jak jej poprzedniczka w Lekeyach kokieterii, przedstawiła mu narzeczonego. Serce na dwoje!

Opuściliśmy tylko „pocalunek”, gdzie znowu młody malarz doznaje zawodu, — słowem: naokoło zawody, nieporozumienia, złamane serca i popsute szczęście. Mógłby ktoś zauważyć, iż takie rany goją się, takie zerwane struny nawiązują się na nowo, ale autor jest innego zdania. Trudno się z nim sprzeczać, gdyż smutek jego jest szczery, może się zresztą przez zawód miłosny niejedno potężne życie zmarnować, tylko, że tych potężnych dusz na świecie niewiele, a że przez smutki miłosne przechodzą wszyscy, że każdemu studentowi po zdradzie Nini lub Loli świat wydaje się czarnym, jak sadze w kominie, przeto podobne westchnienia, serdeczne niezgody, smutki i rozpacz naogół bywają istotnie blache, wiotkie, kruche. Są to słomiane ognie, więc i praca nad nimi, więc i pieśń o smętnem ich zgaśnięciu również musi być blachą. Gdy cała książka na ten wyłącznie temat jęczy, gdy w czytelnika wmawia się, że świat się przewraca, ponieważ Ninia zdradziła Musia, to człek ze zdrowym rozsądkiem powie sobie wówczas: co u licha! przecie oprócz tego bombarduję Aleksandryę. Za wiele westchnień i sentymentów, — każda litera wzdycha, wiersz zalamuje ręce, a takie wszystko czule, że aż za czule.

Miłość to wielki temat, ale potrzeba umieć uderzyć w nią z taką siłą, by aż ze wszystkich serc posypały się skry. Potrzeba także być niepospolitym artystą.

Autora niniejszej książki zbawia to, że jest szczery, że sam czuje, że jego sentymenta nie są farbowane. Wierzy on istotnie w nieszczęścia, które opisuje. Książka przytem pisana jest wykwintnie. Daje to opowiadaniu świeżość. Całość nie bez talentu. Naturalnie tej delikatnej tkaniny nie można młócić cepem krytycznym. Trzeba ją ostrożnie brać w rękę, by się nie podarła lub nie uleciała, jak pajęczyna, którą niesie najłżejszy wiatr, nawet westchnienie.

Wadą literacką jest, że autor gra ciągle na jednej strunie—na kwincie—i gra piano, pianissimo...

Słowo. R. 1882. № 155.

O powieści historycznej.

Tym, ktrzyby chcieli mi zarzucić, że występując z odczytem o powieści historycznej, występuję zarazem pro domo mea, odpowiadam z góry, że pośrednio—tak jest. Stanowisko piszącego u nas, jak i wszędzie, jest służbą publiczną. Służymy literaturze, a przez nią społeczeństwu. Gdy więc odzywają się zdania, dowodzące, że droga, którą się obrało, jest błędną i wiedzie na manowce, każdy ma prawo wystąpić w jej obronie.

Wszelako nie idzie tu o rzeczy czysto osobiste. Żaden z piszących nie stanie przed publicznością po to tylko, by jej dowodzić, że pisze dobrze. Ale gdy naokół powieściopisarza rozlegną się głosy, że nowsza krytyka odmawia racyi bytu powieściom historycznym, więc błądzi, kto je pisze,—naówczas powieściopisarz ma nie tylko prawo, ale i obowiązek odpowiedzieć: „tego rodzaju krytyka myli się —a oto moje dowody.

Ponieważ chodzi właśnie o powieść historyczną, zatem należy mi na wstępie stwierdzić, że zdania, odmawiające jej słusznych pod-

staw, odbijają się o uszy niemal codziennie. U nas, w ostatnich czasach, zabrał głos w tej sprawie Brandes i z właściwą sobie zręcznością przytoczył cały szereg argumentów na dowiedzenie, że powieść historyczna w zakresie literatury jest tem samem, czem „prawdziwa kawa figowa” w zakresie handlu. Równie jak kawa figowa, dlatego, że jest figową, nie może być prawdziwą, tak powieść, która z natury rzeczy jest utworem fantazyi, nie może być historyczną.

Zanim wrócimy do tego określenia, któremu zresztą przyznać należy, że jest równie dowcipne, jak zręczne, wysłuchajmy całego aktu oskarżenia, jaki ułożono przeciw powieści historycznej, począwszy od Gervinusa, skończywszy na Tainie, Brandesie i wielu innych.

Sprawa tyle ma związku z walką rozmaitych kierunków w literaturze i sztuce, że przez to samo staje się do wysokiego stopnia zajmującą.

W literaturze i sztuce, każde niemal pokolenie ludzkie wytwarzało odmienny zwrot, odmienny kierunek, który póty był zwykle uważany za nowy, postępowy i słuszny, póki nie przyszedł następny i nie ogłosił swego poprzednika za starca, zacofańca i kłamcę. Jest rzeczą godną uwagi i to, że mimo doświadczenia wieków, mimo detronizacyi tylu kierunków, między przedstawicielami każdego najnowszego znajdowały się zawsze całe zastępy zapalonych,

głoszących z zupełną dobrą wiarą, że ów kierunek ostatni jest zarazem i ostatecznym, i że literatura, a względnie sztuka, pójdą już raz na zawsze po nowo odkrytej drodze.

Wytwarzało się z tego wiele nietolerancji, ale i wiele dobrego, bo powstawały dzieła szczere, zrodzone z zapалу i głębokiego przekonania, więc mające w sobie i siłę i żywotność—naturalnie o tyle, o ile talent piszącego był mocen zadaniu sprostać.

Przychodziło następnie nowe życie, nowe umysłowe objawy, którym dany kierunek nie mógł zadość uczynić i których nie mógł pomieścić; przychodzili niezdolni twórcy, przemycający swój lichy towar pod najpopularniejszą etykietą; poczynano się tworzenie konwencyonalne i panujący kierunek kostniał, i stawał się suchą formułą, estetycznym przepisem bez życia—więc przyrodzoną koleją, życie rozdzierało go na strzępy.

Kto się nad ową koleją rzeczy zastanowi, musi dojść do przekonania, że kierunki, zwroty, słowem wszystko, co w danym razie przedstawia się jako nowy krok naprzód, jest tylko odmiennym objawem twórczości, która szuka sobie odpowiednich dróg, względnie do warunków a potrzeb umysłowego i społecznego życia. Kierunków niema złych i dobrych, są tylko takie, jakie w danym razie być muszą, jakie wytwarza życie. Pogląd ten nie jest bynajmniej równoznaczny z nihilizmem literackim.

Bo jeśli niema kierunków złych lub dobrych, są natomiast dzieła złe lub dobre, szczerze lub konwencyjonalne, wychodzące z bezpośredniego uczucia i przekonania, lub tworzone zimno, wedle formuły, w których niemoc twórcza zasłania się zychem chorągwanym, zapożyczoną barwą, pokrywającą jakby różem i bieli dłem twarz starą i pomarszczoną.

Tem się tłumaczy, dlaczego ze wszystkich czasów i kierunków pozostały dzieła znakomite, które ludzkość pochowała do skrzyń z kosztownościami. Z tegoż również powodu każdy kierunek wiadł i kostniał, gdy pod jego sztandarem stanęły hałaśliwe zastępy nieudolnych, które, poczytawszy formę za treść, posunęły go do ostateczności, uczyniły zeń szkolarstwo bez ducha i więzy dla ducha.

W ten sposób, gdy z romantyzmu uciekła dusza, gdy przestał być szczerym, a stał się przy całej swej fantastyczności szkolarstwem, musiał nastąpić zwrot w stronę prawd rzeczywistych. Nastaly czasy panowania realizmu. Wprawdzie dzieła, tworzone realistycznie, istniały od najdawniejszych wieków we wszystkich gałęziach sztuki, ostatnie jednak dopiero czasy podniosły realizm do stanowiska teorii artystycznej. Ponieważ w znacznej części było to objawem reakcyi, więc, jak zwykle bywa, reakcyja poszła tak daleko, jak tylko iść mogła—i powstał naturalizm, w duchu którego każda prawda płaska i szpetna wydała się pra-

wdziwszą od każdej podnioslejszej i piękniejszej. Również koniecznem następstwem takiego zapędu w stronę rzeczywistości było i to, że kierunek, który postawił prawdę jako najwyższy ideał, począł ją przedstawiać fałszywie, bo pierwiastki dobra i zła, piękna i szpetoty w innej proporcji występują w naturze i w życiu, niż w naturalistycznych książkach. Chcąc stwierdzić w imię prawdy, że każda wieś pachnie nawozem, opisują ją skrajni przedstawiciele naturalizmu, jakby pachniała tylko nawozem, zapominając, że pachnie także skoszonym sianem. Zresztą w tej chwili jest mi to wszystko jedno—i nie myślę rozstrzygać, czy w przyszłości znajdą się podobne utwory w bibliotekach czy kompostach. Chodziło mi tylko o zaznaczenie, że w twórczości czasów dzisiejszych postawiono prawdę jako najwyższy ideał i że w imię tej prawdy wydawano wyroki na przeróżne literackie rodzaje.

Na powieść historyczną padł z wielu ust wyrok potępiający—i inaczej nie mogło być. Czem ona jest?—pytano - jeśli chce być prawdą, to musi pozostać tylko historia; jeżeli zaś fantazja piszącego zerwie historyczne cugle i nakształt rozlukanego konia poniesie go w krajiny nierzeczywiste, to utwór jego będzie historycznym fałszem. Ścisła historia — a zatem nie powieść; powieść — a zatem nie historia!

Miedzy temi dwiema drogami niemasz wy-

boru. Połączenie prawdy dziejowej z fantazją wychodzi tylko na szkodę i prawdy i fantazyi, a z takiego związku mogą się rodzić tylko kalekie dzieci.

Inaczej mówiąc: historyczna powieść—to tylko „*contradictio in adjecto*“. Zamiast historyi, może ona dać tylko surogat historyczny; zamiast złota prawdy —szych zmyślenia. To—kawa figowa, z etykietą tem śmieszniejszą, że czytamy na niej dodatek: „prawdziwa figowa“.

Nawet najgłębsze umysły wygłaszały takie zdania. Że zaś płytkie uczyniły sobie z nich chorągiew, że najgłośniej powtarzają je dziś ci powieściopisarze, którym nie starczyłoby ni wiedzy, ni zdolności do napisania powieści historycznej, to nie wina opinii, z którą liczyć się trzeba i z którą policzymy się w dalszym ciągu tej pracy.

Tymczasem przejdźmy do następnych zarzutów.

Pokolenia ludzkie (mówią przeciwnicy powieści historycznej) zmieniają się tak dalece w ciągu wieków, że w niczem nie są do siebie podobne. Człowiek z czasów przedchrześcijańskich, człowiek z epoki feudalizmu, Włoch z czasów odrodzenia, purytanin angielski z XVII wieku, jakobin z epoki w. rewolucyi francuskiej, i, nakoniec, człowiek dzisiejszy, są to typy pod względem pojęć, wierzeń, wyobrażeń, obyczajów i psychicznego nastroju zupełnie dla się niezrozumiałe. Chcąc poznać i zrozumieć

jakiegokolwiek objawy życia, musimy je obserwować w chwili, gdy się dokonywają.

Człowiek dzisiejszy mógłby w takim tylko razie odtworzyć człowieka z XVII wieku, gdyby mógł go obserwować w jego życiu i działalności. Obserwacja taka jest niemożliwa. Historia nie zostawiła tak szczegółowych materiałów, by one zdołały zastąpić obserwację bezpośrednią, której zresztą nie zastąpić nie może.

Cóż stąd wynika?—Oto, że dzisiejszy pisarz może odtworzyć człowieka lat minionych tylko zewnątrz. Da mu ubiór, zbroję, pióra na helmie, zwroty językowe, właściwe epoce minionej, ale — na tem koniec. W piersi takiego tworu, pod średniowieczną zbroją, będzie bilo nowożytnie serce; w mózgu jego, pod hełmem, będzie myślała nowożytna dusza. A gdybyśmy nawet przypuścili, że będzie to jakiś typ psychiczny, od dzisiejszego odmienny, gdzie jest kryterjum na to, że jest to typ prawdziwy? Powieściopisarz, odtwarzający życie dzisiejsze, może zawsze na swą obronę powiedzieć: dostrzegłem, obserwowałem—i oto synteza, oto treść moich obserwacji. Co więcej, czytelnik we własnej duszy, we własnym sposobie myślenia, we własnych spostrzeżeniach, ma gotowy sprawdzian, czy wnioski autora są prawdą, czy fałszem.

Inaczej rzecz się ma w powieści historycznej. Autor ma tu tylko prawo powiedzieć:

„Na podstawach, które mi dała historia — fantazyowałem“, a czytelnik nie ma w sobie żadnego środka sprawdzenia, o ile fantazya autorska była bliższą lub dalszą od minionej, ukrytej pod kurhanami dawnego życia prawdy. Więc oto zamiast człowieka takiego, jakim był w danej epoce, autor daje nam znów jakiś nowożytny, skrzywiony utwór, nie mający duszy, ani o odrobinę więcej staroświeckiej, niżli aktor, grający rolę pierwszego lepszego bohatera czasów ubiegłych. Ty nie masz danych, by prawdę stworzyć—mówi autorowi krytyka; czytelnik niema danych, by prawdę odczuć, więc znów dostaje kawę figową zamiast prawdziwej—i znów figową sprzedano mu z zapewnieniem, że jest prawdziwą.

Słowem—falsz i bałamuctwo na każdym kroku. Epoce dasz koloryt taki, jaki będziesz chciał, to znaczy nie taki, jaki miała. Pod względem psychicznym, jeśli nie masz taletu, wytworzysz manekiny, dobre do tego, by na nich porozwieszać średniowieczne stroje, a równie martwe i sztuczne, jak owe drewniane głowy, na których kapelusznicy wieszają kapelusze. Jeśli masz talent, stworzysz jakieś pozory życia i jakichś ludzi, których wartości życiowej, względnie do danej epoki, nie sprawdziłeś przez bezpośrednią obserwację, a do których czytelnik także nie ma klucza. Będą to, prawdopodobnie, mniej więcej, tragiczne lub zabarwne dziwolągi, w najlepszym razie współ-

cześni aktorowie i aktorki, poprzebierani za dawnych rycerzy i damy. Być może, że czynisz to wszystko z dobrą wiarą; niemniej jednak twój człowiek z minionych epok jest fałszem, bo—musi być fałszem.

Następnie zamydlasz prawdę historyczną. Możesz nie przekreślać nawet zdarzeń dziejowych, ale jako powieściopisarz, nie unikniesz jednego szkopułu. Oto nadzwyczaj małym przyczynom przypiszesz nadzwyczaj wielkie skutki. Buckingham, w powieści Dumasa ojca, kocha się w Annie austriackiej. Ponieważ po zwycięskiej wojnie mógłby wrócić, jako ambasador, do Paryża i być blisko ukochanej, przeto wypowiedzi wojnę, pomaga Hugonotom, obleżonym w Roszelli, rozbudza dawną narodową nienawiść, gotów wylać potoki krwi, zmienić losy dwóch państw. Owóż, czy wielkie zjawiska dziejowe mogą mieć tak blahe przyczyny? Ale dla powieściopisarza niezem to jest kazać się prywatnie zakochać Napoleonowi I-mu w jakiejś pasterce z Pirenejów i tem wytłumaczyć jego wyprawę hiszpańską. Oto gotowy temat i wzór tworzenia powieści historycznych,—wzór zapewne przesadzony, lecz możnaby przytoczyć mnóstwo przykładów, że większość powieści powstaje wedle podobnej modły. Aramis wydobywa z Bastyli sobowtóra, Ludwika XIV, i gdyby nie instynkt d'Artagnana, niewiadomo, czy król-Słońce nie osiadłby w Bastyli na miej

scu swego rzekomego bliźniaka, a wówczas—co za zmiany! Świat cały inaczejby wyglądał.

Mniejsza o to, że wiemy już, kto był Żelazną maską; ale jakimże przyczynom przypisuje powieściopisarz historyczny, i to jeden ze znakomitszych, tak olbrzymie skutki, w jakie obfitowało panowanie Ludwika XIV? Oto instynktowi kapitana muszkietarów, który prawdopodobnie nigdy nie istniał. A dalej: jakie sposoby ma, zwłaszcza mniej wykształcony czytelnik, odróżnić faktu zmyśłone od rzeczywistych, osoby fantastyczne, a tak nieraz przełożnie wpływowe—od postaci istotnie historycznych. Sponiewieranie prawdy dziejowej i bałamuctwo nie może iść dalej. Że zaś powieść historyczna poczytniejszą jest od historyi, — czemże ona będzie, jeśli nie fantazją, tem szkodliwszą, że nie jest tylko fantazją, ale posiada w sobie domieszkę dziejową? Oto będzie ogromną propagandą bałamuctwa i fałszu.

Niczego nie uczy, bo zaciera różnicę między rzeczywistością a zmyśleniem; podrywa zasady logicznego myślenia, rozszerza błąd. Ten tylko może się na nią zgodzić, ktoby miał odwagę twierdzić, że fałsz nie jest mniej wart od prawdy i że wszystko jedno, czem się duch ludzki karmi.

Powieść historyczna odrywa ludzi od rzeczywistości życia, odwraca umysły i dusze od nowoczesnych ideałów. Upaja ona wyobraźnię obrazami przesadzonego bohaterstwa, dla któ-

rego niemasz miejsca w dzisiejszem życiu. Przedstawia ona przeszłość lepszą i doskonalszą, niż była, więc przedstawia ją nie tylko fałszywie, ale tak jeszcze, że wobec niej teraźniejszość wydaje się szarą, zimną, pozbawioną ciepła i światła. Koniecznem tego następstwem jest zniechęcenie.

W warunkach, jakie wytwarza powszechna walka o byt, w której wszystkie siły umysłu i ciała winny być nateżone, w której czujność na wszystko, co się dzieje, nie powinna nigdy, pod grozą upadku, zamykać oczu, powieść historyczna wytwarza półsennych marzycieli, pewnego rodzaju palaczy opium, nie mających ni ochoty, ni energii do walki. Jest przeto powieść nie tylko surogatem prawdy, ale czemś gorszem, bo narkotykiem, który odurza i osłabia.

Oto są mniej więcej zarzuty, jakie czyniono powieści historycznej.

Piętrzą się one w ten sposób, że powieściopisarzowi historycznemu należałoby tylko zlać pióro i pójść rozpocząć pokutę. Szczerściem istnieją i inne poglądy na całą sprawę. Akt oskarżenia przytoczyłem w formie tak mocnej, jak go spisano. Obecnie postaram się kolejno odpowiedzieć na zarzuty.

Przedewszystkiem — powieść nie potrzebuje przekręcać historycznych zdarzeń. Jeśli autor tak czyni, ujma spadać powinna na niego, nie na rodzaj, który uprawia. Przypuściwszy na-

wet, że każda powieść zabarwia wypadki dziejowe pewną tendencją, to możnaby zaraz spytać, czy istnieje jeden historyk lub jedna księga historyczna, tak przedmiotowa i bezstronna, aby ludzi lub zdarzeń nie przedstawiała w pewnem oświeceniu? Zachodzą tak rdzenne różnice w poglądach najznakomitszych historyków na największe postacie i czyny dziejowe, że wedle tych różnic Cezar może być warchołem, tyranem, zabójcą porządku społecznego, albo zbawcą ówczesnego Rzymu; Kato—republikańskim wzorem cnót i rozumu, albo upartym i głupowatym kozłem, który nie rozumiał nowego porządku rzeczy. Mówiąc nawiasem, taką opinię ma o nim Mommsen. Nie widzę zresztą potrzeby przytaczać przykładów, choćby ze względu na zbyt wielką ich liczbę; rozumiem tylko, że skoro owe różnice nie uwłaczają powadze historyi, tembardziej powinien osobisty pogląd powieściopisarza na czyny dziejowe nie może służyć za podstawę do orzeczenia, że powieść historyczna musi być z natury rzeczy fałszem.

Zdarza się zapewne, że powieść historyczna przekręca wypadki lub nawet zmyśla je; zdarza się, że to czyni i historia. Wówczas i pierwsza i druga będą kłamstwem. Ale mówią, że powieść przekręcać i zmyślać musi.—Dlaczego? Bo jeśli tego nie uczyni, to będzie historia; więc—albo historia, albo powieść: jedno wyłącza drugie. Czy nie z większą słu-

sznością można by powiedzieć, na przykład, o dzisiejszej powieści fizyologicznej: albo powieść, albo fizyologia? Powieść fizyologiczna co to jest? Fantazya „ożeniona z nauką tak pożytywną, jak fizyologia,—czy to także nie kawa figowa, najprawdziwsza kawa figowa.

Zastanówmy się nad tem pytaniem. Powieść psychologiczna, równie jak fizyologiczna, bierze bajkę zmyśloną, stwarza ludzi, którzy nie istnieli; chodzi więc o to tylko, by charakterów nie tworzoneo wbrew zasadom psychologii lub temperamentów wbrew zasadom fizyologii. Jeśli powieść tego uniknie, może być prawdą. Równie jak w sylogizmie: „ludzie są śmiertelni, Jan jest człowiekiem —więc jest śmiertelnym“, staje się rzeczą obojętną, czy ów Jan istniał rzeczywiście, tak i w tych powieściach równie jest obojętnem, czy ich Janowie lub Piotrowie żyli na świecie. Chodzi tylko o to, by nakształt owego sylogizmu byli zbudowani logicznie. Właściwy jednak materyał powieściowy leży poza tą kwestyą i wogóle poza rzeczywistością: wytwarza go fantazya na modłę życiowego podobieństwa: tworzy ona ludzi, wypadki, przeciwności i walki. Miejsce na nią jest; ma się ona gdzie podziąć — i wskutek tego nie staje w przeciwieństwie do logiki, psychologii i t. p.; owszem, wlewa swój materyał w ich formy; słowem — nie przestając być sobą, staje się zgodną z głównymi podstawami dawnej nauki.

Ale jeśli się bierze materyał gotowy, to

jest ludzi i wypadki z dziejów, co wówczas ma do roboty fantazyja i gdzie jest na nią miejsce? Albo się prawdę uszanuje i skreśli się historję, albo nie—i stworzy się bałamuctwo.

Jest w tem pozorna słuszność, ale—tylko pozorna. Na fantazyję jest tyleż samo miejsca i pełni ona takąż samą służbę w powieści historycznej, jak w psychologicznej. Przede wszystkim ożywia, przedstawia plastycznie, z przeszłości przenosi w obecność, ukazuje ludzi nie w trumnach, ale w czynach, nie ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma i zamkniętemi oczyma, ale ze światłem w oczach. Historia, odtwarzając wypadki, odtwarza tylko ważniejsze; odtwarzając historycznych ludzi, daje tylko pewne wytyczne z ich życia, między którymi są ustawiczne przerwy. Wypełnić te przerwy jest zadaniem fantazyi. Jest to czynność, równająca się logicznemu odgadywaniu.

Czy jakoweś, stworzone przez fantazyję zdarzenia, czyny, myśli, miały rzeczywiście miejsce lub nie—może być rzeczą równie podrzędną, jak to, czy Consuelo, Jean Valjeau, Giliat, pani Bovary lub Paul Bretigny żyli lub nie żyli na świecie. Chodzi tylko i przede wszystkim o to, by owe zdarzenia prywatne były logicznie zgodne z barwą i nastrojem danej epoki; by zamiast stawać w sprzeczności z wypadkami dziejowymi i wpływać na nie przeważnie, czyniły raczej wrażenie pojedynczych rzeczywistych pasemek, z których była utkana materya owoczesnego życia. Chodzi dalej o to, by przy

wypełnianiu barw między wytycznymi żywota dziejowych postaci wypełnienia owe stały w logicznej zgodzie tak z czynami, jak z ich psychicznem obliczem. Od tych warunków zależy możliwość i prawdopodobieństwo, które w każdej powieści historycznej, czy nie historycznej, jest rzeczą główną, stanowczo ważniejszą, niż autentyczność opisywanych zjawisk.

Widzimy z tego, że proces tworzenia w powieści historycznej i niehistorycznej jest jednaki. Fantazya na tle dziejów znajduje nie tylko pole, ale i dane ogólne autentyczne, na mocy których może odgadywać logicznie i prawdopodobnie zjawiska szczegółowe.

Dodajmy, że powieściopisarz, jeśli nie zawsze jest, to przynajmniej zawsze powinien być obdarzony niepospolitą intuicyą, a może niezaśmiałym wyda się wniosek, że powieść historyczna nie tylko nie potrzebuje być poniewieraniem prawdy dziejowej, ale może być jej objaśnieniem i dopełnieniem. Ona powlecze odpowiednią barwą szare mury, wzniesione przez historię, ona wypełni odpowiednio ich szczeliny, odtworzy na mocy analogii odarte przez czas ornamenta, odgadnie to, co być mogło, wygrzebie, co zostało zapomniane i nie przekreślając zdarzeń dziejowych, może ułatwić ich zrozumienie.

I może, bo odtworzy duszę człowieka lat minionych, jego namietności, sposób myślenia; pokaże nam go, jak rzekłem wyżej, nie w mroku grobowej krypty, ale w świetle słonecznem.

Co jeśli uczynić zdola, będzie w całym znaczeniu wyrazu—i powieścią—i historyczną.

Ale—czy zdola?—Nie!—mówią przeciwnicy —bo prawda jest owocem obserwacji, obserwować zaś nie można ludzi dawno zgasłych. Przypatrzmy się temu bliżej.

Curier powiedział w swoim czasie: „Dajcie mi ząb zaginionego zwierzęcia, a ja potrafię odtworzyć z jego całokształt”. Więc ze szczątków, z podobnych do cieniów odcisków w pokładach kredowych, można odbudować ciało, a z zapisanych na pomnikach myśli i uczuć nie można odtworzyć duszy ludzkiej? Gdzie zaś są takie pokolenia, któreby nie zostawiły po sobie świadectw uczuć i myśli? W jakież zamierzhle czasy trzeba by na to wracać! Istotnie, niewielkiem ustępstwem byłoby darować je przeciwnikom powieści historycznej.

Ale weźmy czasy nawet tak odległe, jak te, w których rozegrywały się losy Wschodu, Grecyi i Rzymu. Co to za morze nieprzebrane świadectw! Idź np. na Akropol, a zobaczysz, że tam duszy greckiej siedzi w tych zrujnowanych kolumnach i przecznicach. Zostały więc pomniki architektury, zostały posągi bóstw i nagrobki prywatnych osób, zostały płaskorzeźby z obrazami politycznych zdarzeń i narodowych obyczajów; zostały księgi historyczne, filozofia, epos, tragedia i pieśni liryczne, w których brzmią wszelkie uczucia, począwszy od religijnych i wojowniczych, skończywszy na

skargach rozkochanego serca na obojętność ukochanej. Jeśli to mało, masz komedję polityczną i mieszczańską. Znajdziesz w Arystofanesie krzykaczów politycznych, tak podobnych do naszych współczesnych, że szpony satyry ranią jeszcze dziś, jak dawniej raniły. Masz w średnio-attyckiej komedyi dawne mieszczaństwo; masz w Rzymie Plauta i Terencyusza, satyrę horacyuszowską i juwenalową, masz, słowem—wszystko, wiesz, jak ci ludzie modlili się, wierzyli, czuli; widzisz zarówno wewnątrz ich dusz, jak wewnątrz ich domów i spiżarni. Niechże ci literacka doktryna powie teraz, że nie potrafisz tych ludzi odtworzyć, lub odtwarzając, musisz klamać. Odpowiesz jej, że w zaślepieniu oszukuje samą siebie.

Zwłaszcza, jeżeli jesteś przytem poetą, jeśli wyobraźnia twoja stawia ci natychmiast przed oczy obrazy, a ty je widzisz tak dobrze, jakby nie w twojej duszy, ale zewnątrz ciebie powstały.

Ta wyobraźnia plastyczna, w połączeniu z Curierowskim darem analogicznego odtwarzania, będzie cię wiodła ze względną pewnością nawet przez takie czasy, które nie zostawiły po sobie tylu świadectw. Annale, które mnich spisywał w celi romańskiego klasztoru, rzucając snop światła w pomrokę wieków średnich. Zdarzenia publiczne, zapisane w nich obok wypadków codziennego życia, nieraz drobniających, odtworzą ci duszę i powszechną i indywidualną. Później przyjdą kroniki, dzieje rozumowa-

ne, pamiętniki, zabytki muzealne—wszystko to, razem wzięte, utworzy podstawę, na której, doprawdy, łatwiej budować i odtwarzać, niż na podstawie Curierowskiego zęba. Należy tylko umieć odtwarzać prawdopodobnie i logicznie.

W tem także leży odpowiedź na zarzut, że czytelnik nie ma w sobie kryterium względnie do powieści historycznej. O czytelnikach, pozbawionych daru logicznego, myślenia lub nie posiadających elementarnych wiadomości, niema co mówić; troska o takich byłaby, ze strony przeciwników powieści historycznej, tylko hipokryzyą. Ale przypuścić musimy, że poza tą kategorią każdy czytelnik posiada pewien stopień wykształcenia, a nadewszystko poczucie logiczności i odpowiedniości. Na mocy tego poczucia kontroluje on wszelkiego autora. Gdy idzie o powieść psychologiczną lub fizyologiczną, czytelnik również na mocy tylko tego poczucia orzeka, czy dany postępek bohatera zgodny jest z jego charakterem, temperamentem i t. p. Przy ocenie powieści historycznej sąd krytyczny wspiera się na tejże samej podstawie. Nawet wykształcenie historyczne czytelnika mniejszą stosunkowo ma tu wagę. Niejednokrotnie dopiero sam autor dostarcza czytelnikowi szczegółowych danych dziejowych, ów zaś, wspierając się na nich, sądzi przez poczucie logiczności i odpowiedniości, czy czyny i ludzie, przedstawieni przez autora, dadzą się logicznie ze stanowiska historyi, epoki,

ówczesnych pojęć i wyobrażeń usprawiedliwić.

Że tak jest, niech mi będzie wolno przytoczyć przykład z osobistego doświadczenia. Oto o pierwszej mojej powieści historycznej, między innymi sprawozdawcami i krytykami, wygłaszał sąd nietylko ustnie, ale i piśmienie, jeden z literatów, z fachu matematyk. Jest więcej, niż prawdopodobnem, a dla mnie zupełnie pewnem przypuszczeniem, że o przebiegu zdarzeń z epoki Chmielnickiego dowiedział się ów piszący nieco dokładniej dopiero z mojej książki. A jednak ogłosił drukiem (mówię to bez żadnej złośliwej myśli) ocenę mego utworu, w której zarzuca mi pewne niedokładności w rozumieniu wypadków, zbyt osobisty pogląd na dzieje, наконец rozmaite niezgodności z duchem epoki.

Na mocy czegoż piszący ów wystąpił z własnym sądem, nacechowanym zresztą zupełną dobrą wiarą i w wielu szczegółach niepozbawionym trafności? Oto 1-o na mocy tych podstaw, które w samej książce znalazł i być może naprędce w podręcznikach stwierdził, a 2-o na mocy poczucia większej lub mniejszej logiczności, prawdopodobieństwa i odpowiedności przedstawionych przeze mnie wypadków i ludzi, względnie do ogólnej prawdy historycznej.

Oczywiście, że od wykształcenia krytyka zależy w znakomitej części waga krytyki. Lecz w tej chwili chodzi mi o co innego, mianowicie o stwierdzenie, że owo poczucie, które ka-

żydy ma, stanowi osobiste kryterium i że nikt nie jest zmuszony do przyjmowania za dobrą monetę liczmanów, które podoba się powieści historycznej wsuwać mu w rękę. Skoro nawet czytelnik, pozbawiony historycznej wiedzy, ma w poczuciu logiczności i odpowiedniości pewien probierz prawdy, skoro nawet taki usiłuje odróżniać nuty fałszywe od prawdziwych, cóż dopiero czytelnik, choć średnio przygotowany?

Lecz wracam do głównego pytania: czy jest rzeczą możliwą odtworzyć wiernie i prawdziwie człowieka lat minionych? Wielkiego znaczenia obserwacyi nie myślę podawać w wątpliwość, twierdzę tylko, że badanie bezpośrednich a dokładnych świadectw, jakie zostawiły po sobie minione wieki, może ją w zupełności zastąpić, a poniekąd przewyższyć. Wróćmy się chwilę w wiek XVII naszej historyi, z którego tyle zostało pamiętników, i weźmy pod uwagę pamiętniki takiego Paska. Twierdzę stanowczo, że większość z nas może, na mocy tej książki, poznać dokładniej istoty pana Paska, niż na mocy naocznych spostrzeżeń głąb istoty np. Bleichroedera lub Rotschilda,—mówiąc inaczej: dokładniej szlachcica XVII w., niż dzisiejszego bankiera.

Oto życie pierwszego leży przed nami spisane z całą szczerością człowieka, który sam dla siebie pisał—oto jest ono skończone—żadne niespodzianki nie mogą w niem mieć miejsca; oto mamy człowieka w wojnie i pokoju, w życiu publicznem i prywatnem, na weselach,

pogrzebach, ucztach, na łowach i przy gospodarce, na tratwach, płynących do Gdańska, w sądzie i gościnie, w kościele i karczmie; znamy jego wierzenia, przesady; wiemy, jakim stylem listy pisał, jakim mu na nie odpowiadano; jak się śmiał, jak się gniewał, jak zajeżdżał w piersi obuszkim nieposłusznych czeladników, słowem—przeglądamy jego życie nawskroś. Porównywając jego zapiski z zapiskami innych współczesnych, odróżnimy łatwo typowe od indywidualnych i doprawdy żadna najbystrzejsza i najumiejętniejsza obserwacja nie może nam dać dokładniejszego obrazu i jaśniejszego pojęcia. Dodajmy do tego, że rozumiemy tę duszę przez pewien rodzaj atawizmu, bośmy ludźmi tej samej krwi i kości—i niech każdy nieuprzedzony sądzi, czy człowiek XVII wieku jest istotnie dla nas nieodgadnioną zagadką?

Twierdzenie, że nie potrafimy odtworzyć człowieka XVII w., jest wobec tego prostym uporem lub prostem zaślepieniem. Próżno będą nam dowodzili, że pod wpływem epoki, otoczenia, współczesnych prądów i t. p. nie potrafimy się oderwać od logiki własnego myślenia. Nasza logika zasadniczo nie różni się od dawnej, równie jak i człowiek dzisiejszy, w podstawach swej natury, nie odszedł tak daleko, jak sądzą, od człowieka lat minionych. Prawa, które ongi rządziły umysłem i sercem ludzkim, rządzą i dziś. Przeinaczywszy słowa Szajloka, możnaby spytać: zali nie kocha-

my, nie nienawidzimy dziś tak samo, jak dawniej; czy nie podlegamy takim samym rozterkom, niepokojom, nie mamy podobnych ambicyi? Zewnętrzne objawy stały się może mniej jaskrawe, lecz dusza ich pozostała jednaka, tak dalece jednaka, że z większą słuszością powiedziećby można: człowiek dzisiejszy i dawniejszy są to istoty różne co do zakresu i jakości pojęć, psychicznie natomiast zbudowane jednakowo i które wskutek tego doskonale się mogą odczuć.

Twierdzą wszelako, że ludzi z lat ubiegłych nie możemy widzieć w ruchu. Krótko odpowiem: albo potomni nasi będą mogli widzieć ludzi, tworzonych przez dzisiejszą realną powieść w ruchu, albo nie — w pierwszym razie i my, czerpiąc w dawnych źródłach, pamiętnikach etc., możemy widzieć ruch — w drugim razie należy wyznać, że literatura wogóle nie może pochwycić ruchu, a zatem i życia. Ale jeśli tak jest, to po co ona istnieje i po co istnieje krytyka, której racya bytu na literaturze twórczej się wspiera?

Lecz wbrew teoryom: Paska się widzi i przypartywać mu się można. Spostrzeżenia nasze, tyjące się współczesnego finansisty, mogą być nawet bez porównania więcej powierzchowne. Kto nie ma tradycyi handlowej (a mówiąc nawiasem, nie ma jej zwykle literat), ten z trudnością może zrozumieć rozmaite czynniki, grające w duszy człowieka, który tę tradycyę odziedziczył, który urodził się i wycho-

wał w atmosferze, przesiąkniętej namiętnością zysków i zdobywania bogactw, choćby ponad możność ich użycia.

Prócz tego, człowiek nowożytny starannie ukrywa wewnątrz swej istoty; przytem nie leży przed nami w całości, przytem cywilizacya i wychowanie nadają mu pewne cechy ogólne, pod któremi dopatrywać dopiero potrzeba szczegółowych. Obserwacya musi go starannie obskubywać z różnych pożyczonych piór, zanim dojrzy, jaką barwę mają jego własne. Nie myślę przeczyć, że bystry obserwator uczynić to może i potrafi. Przeciwniey to właśnie powieści historycznej pragną zacieśnić zakres obserwacyi.

Idąc konsekwentnie drogą ich rozumowania, możnaby w końcu powiedzieć: literat jest istotą całkowicie różną od finansisty, chłopca, rzemieślnika; różne usposobienia, upodobania, odmienny kształt umysłu, a więc literat nie zdoła nigdy dobrać klucza do duszy finansisty, chłopca lub rzemieślnika. Nie tu nie pomoże jednoczesność tych ludzi, bo obserwując ich naocznie, spostrzeżemy tylko stronę zewnętrzną zjawisk.

Czyżby można wysnuć stąd wniosek, że każdy może pisać tylko o klasie tych ludzi, do której sam należy? Przypuszczam, że na to nie zgodzą się najgorętsi wyznawcy doktryny, potępiającej powieść historyczną.

Jak człowiek dawnych wieków może być odczuty, odgadnięty i odtworzony, doskonały

dowód w tem, że niektóre powieści historyczne (ot, np. p. Soplicy) czynią wrażenie pamiętników, a jeszcze lepszy, istotnie nieprzeparty, że niemal wszystkie prawdziwe pamiętniki, ogłaszane po upływie wielu lat, podejrzewano o podrobienie. Podejrzewać, naprzykład, pamiętniki Paska, że są one płodem wyobraźni nowoczesnego pisarza, jest to oddać najwyższy hołd historycznemu powieściopisarstwu i zerzść w proch wszystkie czynione mu zarzuty.

Na tem moglibyśmy poprzestać.

Bo na zarzut, że powieść historyczna musi koniecznie małym, prywatnej natury przyczynom przypisywać wielkie dziejowe skutki — nie warto odpowiadać. Zarzut ten czyniono słusznie Dumasowi. Dlaczego podobalo się indywidualną wadę pisarza, zresztą znakomitego, poczytywać za błąd, nieodłączny od całego rodzaju utworów — trudno wiedzieć, może dlatego, by pomnożyć liczbę zarzutów.

Powieść historyczna nie potrzebuje ubliżać prawdzie, zarówno życiowej, jak i dziejowej. Może ona być tak realną, tętnić takim życiem, jak każda, na dzisiejszych stosunkach, oparta. Nie należy jednak stąd wnosić, żeby sama znajomość dziejów, poczerpnięta z kodeksów dyplomatycznych roczników, kronik, lub pamiętników, również jak znajomość archeologii, były to warunki, wystarczające do stworzenia powieści historycznej, kipiącej życiem i prawdą. Nie wystarczy na to i talent, choćby sam przez się znakomity i równie zna-

komitą wiedzą poparty. Na mocy tych danych możnaby tylko odbić i rozświecić dawne stosunki dziejowe i prywatne, ale trudnoby było je rozgrzać. Jak pojęcia, dostarczane przez wiedzę, wciela i zmienia w kształty dopiero wyobraźnia, tak kształty, już przez nią stworzone, ożywia i napelnia ciepłą krwią uczucie. Może ono być głęboką miłością pisarza do dziejów swego społeczeństwa; może być tylko rozmiłowaniem się autorskiem w pewnym narodzie, w pewnych formach cywilizacji. W pierwszym razie działać ono będzie potężniej, w drugim mniej potężnie, w każdym jednak będzie uczucie grało niezmierną rolę przy tworzeniu. Bywa ono częstokroć pierwszym powodem tworzenia. Ono porusza wyobraźnię, daje jej niezwykłą moc; ono czyni z niej rodzaj soczewki, która ma dar skupiania wszystkich promieni na jeden przedmiot,—z czego znów wypływa jasne artystyczne widzenie rzeczy. Od niego także zależy rozmach tworzenia, dzięki któremu utwór —jeśli się tak można wyrazić— sam się niejako pisze; od niego wreszcie zależy szczerłość, główna podstawa wszystkich dzieł sztuki wogóle i literatury w szczególności.

Im więcej uczucia, tem prędzej różowieje marmur dziejowy. Galatea przestaje być posągim—pierś jej się podnosi—i ona zaczyna kochać, zaczyna płacić wzajemnością artyście...

Oczywiście, każdy najwięcej ma zamiłowania do tego, co własne. Dlaczego zaś autor w dziejach swego społeczeństwa wybiera taką,

a nie inną epokę —dlaczego niekoniecznie najświetniejsza, najbardziej zwycięska, przypada mu do serca —to jest tajemnicą jego organizacji uczuciowej i artystycznej. Rozprawa nad tem byłaby zbyt długą i przechodzącą zakres tego odczytu. Pozwolę sobie tylko nawiasowo wtrącić uwagę, że wobec tego wszelkie rady, udzielane autorom przez krytykę: jakie epoki i jacy ludzie stanowią materiał najwdzięczniejszy —są prostą stratą czasu, bo autor, jeśli chce być szczerym, pójdzie i powinien iść zawsze za swem własnem uczuciem i artystycznym widzeniem rzeczy.

Nakoniec, jest-li czy nie jest powieść historyczna narkotykiem, który upaja, odrywa ludzi od ideałów nowożytnych i przepełnia społeczeństwo niezdolnymi do czynu marzycielami? Ze stanowiska estetycznego możnaby na ten zarzut nie odpowiadać. Sztuka nie ma obowiązku liczyć się i naprawdę nie liczyła się nigdy z kwestyami pożytku, a gdyby jej nawet dowiedziono, że jest dla ludzkości szkodliwą, nie przeto przestałaby istnieć. Lecz nawet wychodząc z tego stanowiska, byłoby po prostu doktrynerstwem twierdzić, że dany rodzaj literatury jednako działa na wszystkie społeczeństwa, bez względu na ich rozwój, warunki społeczne, polityczne, charakter i t. d. Jasną jest rzeczą, że mogą tu zachodzić różnice olbrzymie.

Doktrynerowie jednak istotnie się z tem nie liczą. Przypominają oni doktora Sangrado

z Gil-Blasa i jego teorię leczenia, którą stosował bez względu, czy kto miał febrę, czy tyfus — czy był stary czy młody, — flegmatyk, czy krwisty. Na polu literackiem spotykamy niemniej często takich doktrynerów. Z ich bezwzględnych teorii wypływa wiele śmieszności, ale i wiele zła i bólu. W imię tolerancji, wprowadzają oni nietolerancję: w imię postępu — zacofanie. W doktrynerstwie literackiem spotykamy ciągle jedno zjawisko: oto z jednej strony pozwala ono na wszelkie skrajności, byle z duchem doktryny zgodne; z drugiej wygłasza iście dziecinne skrupuły, zarówno przesadzone, jak śmieszne, obawy. Do takich fałszywych i śmiesznych trosk należy i troska o czytelnika, aby, przeczytawszy powieść historyczną, nie oderwał się od nowoczesnych ideałów. Wolno mu oddychać atmosferą „La terre”, owszem, idzie taka gimnastyka na pożytek jego umysłu i nosa, ale powieść historyczna — to haszysz. Kto go raz spróbuje, musi dać gardło w walce o byt.

Jest w tem naprzód fałsz zasadniczy. Powieść historyczna może być złą lub dobrą, fałszywą lub prawdziwą, zależnie od talentu albo moralnych podstaw autora; ale narkotykiem upajającym nie jest więcej od każdej innej powieści, od poezji, od sztuki wogóle. Ze stanowiska utylitarnego łatwiejby było dowieść licznych pożytków, wypływających z powieści historycznej. Pojedynczemu człowiekowi wychodzi zawsze na korzyść rozważanie swej

przeszłości. Ono wyjaśnia mu liczne zjawiska czasu teraźniejszego; uczy go patrzeć genetycznie na siebie i dostarcza wskazówek na przyszłość; uczy unikać zadań, którym nie sprosta, a podejmować odpowiednie. Jeszcze jaśniejsze światło rzucić może obrachunek z przeszłością, gdy chodzi o całe społeczeństwo.

Powieść historyczna maluje zarówno dodatnie, jak i ujemne strony przeszłości, a tym, którzy bez znajomości dziejów, na wiarę innych powtarzają, że tak nie jest, że autor zawsze otacza nimbem daną epokę, choćby dlatego, że ją wybrał i poczytuje za swoją — można by opowiedzieć historję o Panurgowem stadzie.

Wogóle krytyka, która zamiast mówić o dziełach dokonanych, wydaje recepty: o czem należy, albo nie należy pisać; która stawia rogatki na drogach ducha ludzkiego — wstępuje sama na fałszywą drogę uroszczeń i powinna być przywołaną do porządku. Przecistawiając swoje powody i powodziki w odtwarzaniu przeszłości wogóle, nie pomyśleli chyba oskarżyciele powieści epicznej o jednej rzeczy. Oto większość tych racyi jest tego rodzaju, że wobec nich nie ostałby się ni Homer, ni wielcy tragicy greccy, ni Wergiliusz, ni Ariost, ni Tasso, ni Camoens, ni Szekspir ze swymi Henrykami, ni wielu nowszych, którzy bądź dramatem, bądź powieścią, sięgali w przeszłość i próbowali ją odtworzyć taką, jaką była. Więc co? Dla konsekwencyi trzebaby powiedzieć: Podobne

bałamuctwa mogli ludzie pisać aż do ery Gerwinusa, Taine'a i t. p. Obecnie ogrzewajmy nie mi łaźnie, jak niegdyś ogrzewano je z rozkazu Omara w Egipcie biblioteką aleksandryjską.

Lecz zanim się w tych łazienkach woda na kąpiel dla krytyków zagrzeje, niechże miłośnicy literatury wybierają między takimi dziełami, a taką krytyką!

Jest po prostu śmiesznem uroszczeniem żądać od samorodnej łąki, w którą nasiłna rzuca wiatr boży, by takimi, a nie innymi kwiatami zarastała. W literaturze kierunków i rodzajów nie wprowadzali krytycy — jeno twórcy. „Jam jest pszczołą z Himetu — mówi starożytny poeta — unoszę się nad wonnymi cząbrami gór, siadam, na którym chcę, kwiecie — i zbieram miód mój, skąd chcę“.

Taką pszczołą jest twórczy duch ludzki! Nie da on sobie odjąć swej wolności, zamykać dróg, otoczyć zastrzeżeniami, wtłoczyć się w formułki i przepisy. Sam on sobie zawsze wybierał i drogi i ideały — i przy tych, które pokochał, będzie trwał zawsze.

Słowo. № 98, 99, 100, 101, 103, 104 — 1889 r.

Walka byków.

Wspomnienia z Hiszpanii.

Niedziela!

Wielkie afisze, porozlepiane od kilku dni na rogach Puerta del Sol, Calle Alcala i na wszystkich ruchliwszych ulicach, oznajmiają miastu, że: „si el tiempo lo permite“, w dniu dzisiejszym odbędzie się XVI corrida, w której, jako „espadas“, wezmą udział Cara-Ancha, Lagartijo i przesławny Frascuello.

Otóż, czas pozwala. Zrana padał deszcz, ale już koło dziesiątej wiatr poszarpał chmury, pozbił je w kłęby i przepędził gdzieś hen, w stronę Escorialu. Obecnie ustał i wiatr, niebo, jak okiem sięgnąć, błękitne, a nad Puerta del Sol świeci jasne słońce, takie madryckie słońce, które nie tylko grzeje, nie tylko pali, ale niemal kąsa.

Ruch w mieście zwiększa się, a na twarzach widać zadowolenie.

Godzina druga.

Rynek Puerta del Sol opróżnia się stopniowo, natomiast przez Calle Alcala ciągną w stronę Prado tłumy ludzi. Środkiem płynierzeka dorożek i karet. Cały ten orszak powozów

porusza się bardzo wolno, bo chodniki nie mogą pomieścić pieszych; mnóstwo ich idzie bokami ulicy i tuż koło pojazdów. Żandarmeria na białych koniach, przybrani w okazale mundury i stosowane kapelusze, pilnują porządku.

Znać niedzielę i godzinę popołudniową: ubiory są staranne, nastrój świąteczny; znać także, że tłumy ciągną na jakieś ciekawe widowisko. Na nieszczęście, tłum nie jest wcale różnobarwny. Nie widać tu narodowych strojów, krótkich kaftanów, żółtych à la contrabandista, ze spuszczoneym końcem na plecy, ni krągłych baskijskich kapeluszy, ni pasów, ni katalońskich nożów za pasem.

Można to jeszcze widzieć w okolicach Grenady, Sewilli i Kordowy, ale w Madrycie, zwłaszcza w dniu świąteczne, kosmopolityczny surdut przeważa. Czasem mignie tylko czarna mantyla, upięta na wysokim grzebieniu, a z pod tej osłony czarniejsze jeszcze oczy.

Wogóle twarze są śniade, spojrzenia bystre, rozmowa głośnie, gestykulacja nie tak zapalczywa, jak we Włoszech, gdzie, gdy się człowiek śmieje, to wije się, jak wąż, a gdy się gniewa, to zjada daszek własnej czapki — ale jednak żywa i energiczna. Oblicza mają tu rysy ostre i wyraz stanowczy. Łatwo zrozumieć, że nawet w zabawie lud ten zachowa sobie właściwy, wybitny charakter.

Zresztą dnia powszedniego mają to być ludzie pełni spokoju, graniczącego z lenistwem,

skapi w słowa i skupieni. Ożywia ich niedziela i nadzieja ujrzenia krwawego widowiska.

Przecinamy Prado i wchodzimy w aleję, prowadzącą do cyrku.

Tłum zbija się jeszcze szczelniej. Tu i owdzie podnoszą się okrzyki. To lud wita pojedynczych członków korrydy, którzy w rozproszeniu ciągną do cyrku.

Oto jedzie omnibus, pełen „kapeadorów“, t. j. uczestników walki, mających za całą broń czerwone kapy, któremi będą uwodzili i drażnili byka. Przez szyby widać czarne głowy z harcapami, przybrane w trójkątne kapelusze. Różnobarwne kaftany kapeadorów wyszyte są srebrnemi i złotemi blaszkami. Jada omnibusem, bo skromne wynagrodzenie, jakie pobierają za swą niebezpieczną służbę, nie pozwala im na okazalszy pojazd.

Dalej nieco przeciskają się przez tłum konni pikadorowie. Słońce gra na ich białych szerokolistych kapeluszach. Są to mężczyźni atletycznej budowy, ale przytem chudzi i kościści. Wygolone twarze mają surowy i jakby skupiony wyraz. Siedzą na bardzo wysokich drewnianych siodłach, wskutek czego widać ich doskonale nad tłumem. Każdy z nich dzierży w ręku lancę, zakończoną drewnianą galką, w której osadzone jest żelazne ostrze, nie dłuższe nad pół cala. Bronią taką pikador nie może zabić byka; może go tylko ukłóć lub osadzić przez

chwilę na miejscu; ale w tym ostatnim razie potrzebuje mieć olbrzymią siłę w ramieniu.

Mimowoli, patrząc na nich, przypominam sobie ilustracye Doré'go do „Don-Kichota”. Jakż każdy z tych jeźdźców mógłby służyć za model do rycerza „smutnej postaci”. Ta chuda sylweta, rysująca się twardo w błękicie, wysoko ponad głowami tłumów, ta stercząca do góry lanca—i ów jasnokościsty koń pod jeźdźcem, ten czysto-gotycki zarys żywych istot — wszystko odpowiada zupełnie pojęciu, jakie wytwarzamy sobie o rycerzu z Manszy, czytając nieśmiertelne dzieło Cervantesa.

Lecz oto pikadorowie mijają nas i rozpychając zwolna tłum, wysuwają się znacznie naprzód. Widać już tylko trzy lance, trzy kapełusze i trzy zahaftowane na plecach kaftany. Nadjeżdżają nowi, tak niezmiernie podobni do poprzednich, jak gdyby pikadorów odlewała, według jednakowej formy na całą Hiszpanię jakaś fabryka. Różni się tylko masę koni, które zresztą jednakowo są chude.

Oczy nasze zwracają się teraz na długi szereg powozów. Niektóre zaprzężone są w muly, ale tak rosłe, piękne i błyszczące, że zaprząg, mimo długich uszu rumaków, nie wydaje się śmieszny. Tu i owdzie dostrzedz można także andaluzyjskie konie o silnych grzbietach, wygiętych szyjach i hakowatych głowach. Podobne widzieć można na obrazach batalistów z XVII wieku.

W powozach siedzi kwiat towarzystwa madyckiego. Ubiory czarne, dużo czarnych koronek na parasolkach, wachlarzach. na głowach kobiecych; czarne włosy poprzycinane w grzywki, z pod których spoglądają oczy, jak gdyby z lawy Wezuwiusza. Żałobne barwy, powaga i puder — oto cecha charakterystyczna. tego towarzystwa.

Twarze kobiet starszych i młodszych zarówno są wytarte pudrem, zarówno białe i zinne. Szkoda wielka. Gdyby nie ów szpetny zwyczaj, cera ich miałaby ten przepyszny gorący ton, na który składają się południowa krew i południowe słońce, a który podziwiać można w twarzach, malowanych przez Fortuniego.

Na przednich siedzeniach powozów widać mężczyzn, ubranych z nieco przesadną wykwintnością; wyglądają oni sztywno i zbyt świeżo — inaczej mówiąc, nie umieją nosić wytwornych ubiorów z tą swobodną nie dbałością, jaka cechuje np. wyższe towarzystwo francuskie.

Lecz mury cyrku rysują się coraz wyraźniej przed nami. W architekturze ich nie masz nic szczególnego. Ogromna budowa, obliczona na to, by pomieścić kilkanaście tysięcy widzów — oto wszystko.

Ciekawszy jest ruch, który panuje pod murami. Naokół czarno od dorożek, powozów i głów ludzkich. Ponad tą ciemną masą, tu i

owdzie, jeździec na koniu, żandarm, albo pikador, wystrzela w swoich świetnych barwach ku górze, jak mak rozkwitły.

Tłum kołysze się, rozprasza i skupia, nawołuje; woźnice krzyczą; jeszcze głośniej krzyczą malcy, sprzedający programy; ci wciskają się wszędzie: między pieszych i konnych, na stopnie i między koła powozu, niektórzy wdrapują się na skarpy cyrkowych murów, niektórzy stają na kamiennych słupkach, znaczących drogę dla powozów. Ich kędzierzawe czupryny, błyszczące oczy, wyraziste rysy, smagłe twarze i rozhelstane na piersiach, podarte koszule, przypominają mi nasze cyganięta, a także i chłopców na obrazach Murilla. Niektórzy z nich sprzedają, prócz programów, świstawki. Dalej między tłumami widać przekupniów pomarańcz, „aguadorów“ z miedzianemi beczułkami na plecach; tu sprzedają kwiaty, tam słychać brzęk gitary, na której gra stara, ślepa kobieta, prowadzona przez dziewczynkę.

Ruch, wizawa, śmiechy; wachlarze furkoczą, jakby tysiące skrzydeł ptasich — a na to mowie ludzkie słońce zlewa potokami białe światło z głębokiego, bez jednej plamki, błękitu.

Wtem ze wszystkich stron rozlega się okrzyk: „mira! mira!“ (patrz, patrz!) i po chwili zmienia się w grzmot oklasków, który nadsztalt prawdziwego grzmotu leci z jednego koń-

ca tłumów w drugi — to cichnie, to wznaga się — i roztacza naokół całego cyrku.

Co się stało? Zapewne przyjeżdża królowa z dworem?

Nie! — w pobliżu słyhać: „eviva Frascuelo!“ To najslawniejszy „espada“ przybywa po laury i oklaski.

Wszystkie oczy zwracają się ku niemu, a cały tłum kobiet ciśnie się ku powozowi. W powietrzu poczynają migotać kwiaty, rzucane ich rękoma pod stopy tego ulubieńca, tego bohatera wszystkich snów i marzeń, tej „perły Hiszpanii“. Witają go zaś tem goręcej, że wraca z podróży do Barcelony, gdzie w czasie wystawy wprawia w podziw całą barbarzyńską Europę sztychami swej szpady, a teraz zawitał znów oto do ulubionego Madrytu, jeszcze slawniejszy, jeszcze większy — prawdziwy nowy Cyd el Campeador.

Przeciskamy się przez tłumy, aby obaczyć bohatera. Naprzód, co za powóz i konie! Piękniejszych niemasz w całej Kastylii. Na białych, atlasowych poduszkach siedzi, a raczej leży człowiek, którego wiek trudno odgadnąć, bo twarz ma najstaranniej wygoloną. Ubrany jest w kaftan z blado-liliowego atlasu i także spodnie, sięgające do kolan, obszyte koronkami. Kaftan i boczne szwy spodni lśnią się i mienia od przepysznych haftów, od blaszek złotych i srebrnych, błyszczących w słońcu, jak dyamenty. Piers jego zdobią najdelika-

tniejsze koronki. Nogi, przybrane w jedwabne różowe pończochy, trzyma skrzyżowane nie dbale na przednim siedzeniu, a łydek mógłby mu pozazdrościć najpierwszy gimnastyk paryskiego hipodromu.

Madryt chlubi się temi łydkami i zaiste ma czem.

Wielki człowiek wspiera się jedną ręką na czerwonej klindze swej toledańskiej szpady, drugą wita laskawie wielbicieli i wielbicielki. Czarne jego włosy, zaczesane do góry, łączą się z tyłu głowy w niewielki grzybek, z pod którego wymyka się krótki warkoczyk. To uczesanie i wygolona twarz czynią go podobnym nieco do kobiety. Przypomina także prowincjonalnego aktora; ogólnie biorąc, oblicze jego nie odznacza się inteligencją, która zresztą nie stanowiłaby wprawdzie przeszkody w jego zawodzie, ale także nie byłaby mu na nie potrzebna.

Tłumy wchodzą do cyrku — idziemy z nimi.

Oto jesteśmy we wnętrzu. Różni się ono od innych wnętrz cyrkowych tylko ogromem i tem, że siedzenia są kamienne. Najwyżej idą w krąg łoże, z których jedna, przybrana w aksamity i pozłociste frendzle, jest lożą królewską. W razie, jeżeli nikt z dworu nie przybywa na widowisko, zajmuje ją prezydent miasta. Obok zasiada arystokracja i wysocy urzędnicy: naprzeciw łoża królewskiej umie-

szczona jest po drugiej stronie cyrku orkiestra. Rząd krzeseł z poręczami znajduje się w połowie wysokości cyrku - resztę siedzeń stanowią schody kamienne. W dole, naokoło areny, ciągnie się na wysokość ramion człowieka drewniany parkan. Między tym parkanem, a pierwszym rzędem siedzeń, wzniesionym, gwoździ bezpieczeństwa widzów, znacznie wyżej, biegnie wązki korytarz, do którego chronią się walczący, w razie, jeśli byk zbyt im zagroży.

Połowa cyrku pogrążona jest w cieniu, druga połowa zalana światłem słonecznem. Na każdym bilecie, obok numeru siedzenia, wydrukowane jest: „sombra” lub „sol” (cień lub słońce). Oczywiście bilety „sombra” kosztują znacznie drożej. Trudno sobie wyobrazić, jak ci ludzie, którzy mają bilety „sol”, mogą wytrzymać w takim skwarze przez kilka godzin, siedząc na rozpalonych kamiennych stopniach i mając nad głową takie słońce!

Wszystkie miejsca są jednak zapelnione. Widocznie zamilowanie do krwawego widowiska przewyższa obawę upieczenia się żywcem.

W krajach północnych różnica między światłem a cieniem nie jest tak wielka, jak tutaj; istnieją jakieś pół-cienia, pół-blaski, jakieś tony przejściowe; tu zagranica odrzyna się czarną, twardą linią, bez żadnych przejść. W oświetlonej połowie piasek zdaje się palić, a ludzkie twarze i ubiory płonąć; oczy mrużą

się pod nadmiarem blasku; jest to poprostu świetlista topiel, pełna żaru, w której wszystko skrzy się i błyszczy nadmiernie, każda barwa potęguje się dziesięciokrotnie. Natomiast zacieniona połowa wygląda, jakby była okryta jakąś przezroczystą zasłoną, utkaną z ciemności nocnych. Każdy człowiek, który przechodzi ze światła do cienia, czyni wrażenie zgaszzonej nagle świecy.

W chwili, gdy wchodzimy, arena pełna jest ludzi. Mieszczanin mądrycki lub mieszcanka musi przed widowiskiem dotknąć nogą tego piasku, na którym za chwilę rozegra się krwawy dramat. Wydaje im się, że przez to biorą nie jako bezpośredni udział w walce. Liczne grupy mężczyzn stoją, paląc paquitosy i rozprawiając żywo o zaletach byków z różnych stad. Małe paupry drażnią się i gonią wzajemnie. Oto widzę, jak jeden drugiemu podsuwa pod oczy kawałek czerwonej tkaniny, zupełnie tak, jak „capeador” bykowi. Chłopiec znosi to czas jakiś cierpliwie, na koniec zaczyna przewracać oczyma z gniewu i puszcza się w pogoń za przeciwnikiem. Ów, wykręcając się zręcznie, zwodzi nieprzyjaciela ruchami kapy, znów zupełnie, jak „capeador” byka. Malcy znajdują swoich widzów, którzy podniecają ich okrzykami.

Wedle parkanu przechodzą się zwolna przekupnie pomarańcz, głosząc zalety swego towaru. Handel ten odbywa się drogą powietrz-

na. Przekupień rzuca, na żądanie, z niechybną zręcznością, pomarańczę, choćby do najwyższych rzędów—i tą samą drogą otrzymuje sztukę miedzianą, którą łapie jedną ręką, zanim dotknieła ziemi. Te głośnie rozmowy, śmiechy, nawoływania, gwar, furkotanie wachlarzy, ruch napływających widzów — wszystko to składa się na obraz tak pełen życia, że żadne inne widowisko nie może dać o niem pojęcia.

Nagle orkiestra uderza w trąby i bębny. Na to hasło, ludzie, zajmujący arenę, lecą na swoje miejsca z takim pośpiechem, jakby życiu ich groziło niebezpieczeństwo. Czyni się ścisk. Ale po chwili wszyscy już siedzą. Naokół aż czarno: ramię przy ramieniu, głowa przy głowie! W środku tylko zostaje pusta, zalana słońcem arena.

Teraz, naprzeciw loży królewskiej, otwierają się wrota w parkanie i na arenę wjeżdża dwóch „alguazillów“. Konie ich, białej maści, pyszne, jakby wycięte z obrazów; grzywy i ogony są zaplecione. Sami jeźdźcy, ubrani w czarne aksamitne berety z białymi piórami i w także kaftany, o koronkowych kołnierzach, przywodzą na pamięć niezrównane płótna Velasqueza, które podziwiać można w Museo del Prado. Zdaje nam się, że jesteśmy przeniesieni w dawne rycerskie czasy. Obaj jeźdźcy są piękni, obaj okazałej postaci. Jadąc strzemię w strzemię, objeżdżają zwolna całą arenę dla przekonania się, czy jaki widz nieostrożny nie po-

został na niej, nakoniec zatrzymują się przed lożą królewską i ruchem pełnym gracyi odkrywają z uszanowaniem głowy.

Kto pierwszy raz jest w cyrku, tego napenia podziwieniem ten uroczysty, niemal średniowieczny ceremoniał, te stroje i powaga jeźdźców. Wyglądają ci alguazillowie na dwóch szlachetnych heroldów, którzy przed rozpoczęciem turnieju składają cześć monarsze. Jakoż jest to prośba o pozwolenie rozpoczęcia widowiska, a zarazem o klucz do stajen, w których zamknięte są byki. Klucz spuszcza się po chwili z łoży na złotym sznurku, alguazille kłaniają się raz jeszcze i odjeżdżają. Oczywiście, jest to tylko ceremonia, bo widowisko z góry zostało postanowione, a byki są zamknięte na proste żelazne zasuwę. Ale ceremonia jest piękna i nie zaniechają jej nigdy.

W kilka minut po zniknięciu alguazillów, otwiera się najszersza brama i wchodzi cała „corrida”. Na czele jej jadą ci sami dwaj alguazille, których już widzieliśmy przed lożą królewską; za nimi postępuje szereg „kapeadorów”, za kapeadorami ciągną „banderilleros” — pochód zaś zaczyna „pikadorowie”. Cały ten zastęp gra wszystkimi blaskami tęczy, lśni się od haftów, złota, srebra i różnobarwnych atlasów. Wychodzą z ciemnej niszy na słoneczną arenę, zanurzają się w jaskrawem świetle i rozkwitają, jak kwiaty. Oko nie może się nacieszyć

ta wielobarwnością przepysznych plam na tle złotego piasku.

Doszedłszy do środka, rozpraszają się nagle, jak rój motyli. Pikadorowie ustawiają się naokół pod parkanem i każdy, wyciągnawszy lancę z tulei, chwyta ją silnie w prawicę; piesi tworzą malownicze grupy, w postawach pełnych niedbałości, oczekując na byka.

Jest to może najpiękniejsza chwila widowiska, pełna oryginalności tak czysto hiszpańskiej, że człowiekowi mimowoli żal, iż nie jest malarzem. Ileż barw i ile słońca możnaby przenieść z palety na płótno!

Za chwilę już popłynie krew na arenie. W cyrku robi się cicho, jak makiem zasiał, za ledwie dosłyszeć można szelest wachlarzy, które poruszają się tylko o tyle, o ile trzymające je ręce drżą z niecierpliwości. Wszystkie oczy zwrócone są na drzwi, któremi wypadnie byk. Czas teraz liczy się na sekundy.

Nagle w orkiestrze odzywa się przeraźliwy, a zarazem żalosny głos trąbki,—drzwi od stajni otwierają się z łoskotem i byk wpada, jak piorun, w arenę.

Jest to wspaniałe zwierzę, o wspaniałym potężnym karku, stosunkowo krótkiej głowie i ogromnych, podanych naprzód, rogach. Nasz ciężki stadnik słabe daje o nim wyobrażenie, bo lubo hiszpański byk nie wyrównywa mu może ogromem ciała, przewyższa go natomiast siłą, a zwłaszcza sprężystością. Na pierwszy

rzut oka poznasz, że to jest zwierzę, hodowane dziko, wśród wielkich przestrzeni, które wskutek tego, przy całej swej sile, posiada ruchy tak niemal szybkie, jak jeleni, co właśnie czyni je niesłychanie niebezpiecznem. Nogi jego przednie są nieco wyższe od tylnych, jak zwykle u bydła, pochodzącego z gór. Jakoż cyrkowe byki rekrutują się przeważnie ze stad, hodowanych w Sierra-Morena. Maść ich po większej części czarna, rzadko czerwona lub srokata. Sierść jest krótka, polyskująca, jak atlas; kark tylko obrosły jest nieco dłuższym, kręconym włosem.

Wpadłszy na arenę, byk zwalnia kroku ku środkowi, spogląda krwawemi oczyma w prawo, w lewo — lecz trwa to zaledwie parę sekund — po chwili upatruje grupę kapeadorów, zniżając głowę ku ziemi i rzucąc się na nią naoslep.

Kapeadorowie rozpraszają się zupełnie, jak stado wróbli, do których strzelono śrótem. Kręcąc się teraz po arenie, wlokąc za sobą czerwone kapy z szybkością, od której kręci w głowie: wszędzie ich pełno; migocą w prawo, migocą w lewo, są w środku areny, przy parkanie, przed oczyma byka z przodu, z tyłu. Kapy furkają w powietrzu, jak chorągwie, szarpane wichrem.

Byk błyskawicznymi ruchami rozgania ich na cztery wiatry; goni za jednym, wtem drugi z boku podsuwa mu kapę pod same oczy; byk porzuca pierwszą ofiarę, by gonić za dru-

gą, lecz zanim się zwrócił, podsuwa się ktoś tuzeci. Dalejże w niego! Już przedział coraz mniejszy, już rogi byka zdają się dotykać pleców kapeadora; mgnienie oka jeszcze, a już zostanie przygwożdżony do parkanu — lecz oto człowiek dotyka ręką wierzchu parkanu — i ginie, jakby się w ziemię zapadł.

Co się stało? Oto kapeador przeskoczył na korytarzyk, ciągnący się między parkanem a pierwszym rzędem krzeseł.

Byk upatruje sobie innego, lecz zanim ruszył z kopyta, ów pierwszy kapeador wychylił głowę z za parkanu, jak czerwonoskóry Indianin, zakradający się do fermy białego osadnika — i przeskakuje znów na arenę. Byk ściga coraz zawzięciej tych nieuchwytnych nieprzyjaciół, którzy znikają mu z przed samych rogów; poznaje wreszcie, gdzie się chronią, zbiera się z siłami, gniew dodaje mu rozpędu i naksztalt wyścigowego konia, przeskakuje przez parkan, pewien, że tam wygniecie, jak robactwo, swych nieprzyjaciół.

Lecz oni w tej samej chwili przerzucają się, ze zwinnością szympanów, na arenę i byk biegnie pustym korytarzykiem, nie widząc przed sobą nikogo.

Cały pierwszy rząd widzów przechyla się tym razem przez baryerkę, grzmocąc z góry byka laskami, parasolami, wachlarzami. Publiczność poczyną się rozgrzewać. Byk, który przeskakuje przez parkan, zapowiada się do-

brze, podczas więc, gdy pierwszy rząd grzmoci go, czem może — wyższe klaszczą w ręce, krzycząc: „Bravo el toro! muy buen! bravo el torro!

On tymczasem trafia na otwarte drzwi i wybiega na arenę. Po przeciwnej jej stronie dwaj kapeadorowie siedzą sobie oto na stopniu, idącym wokół podnóża parkanu, i rozmawiają najspokojniej. Byk puszcza się na nich natychmiast: jest już w połowie areny, a ci siedzą, nie przerywając rozmowy: jest na dziesięć kroków, ci siedzą dalej, jakby go nie widzieli; jest na pięć, ci jeszcze rozmawiają. Okrzyki niepokoju odzywają się tu i owdzie w cyrku; dwaj zuchwalecy pierzehają, jeden w prawo, drugi w lewo — z przed samych rogów. Rogi uderzają z głuchym loskotem w parkan, w cyrku zrywa się burza oklasków — i w tej samej chwili ci i inni kapeadorowie otaczają znów byka, wyzywając go kapami.

Wówczas zaciekleść jego przechodzi w furię: miota się, rzuca, obraca się na miejscu; co chwila rogi jego zadają cios, co chwila zdaje się, że żadna siła ludzka nie wyrwie tego lub owego kapeadora od śmierci — tymczasem rogi przeszywają zawsze powietrze, a czerwone kapy migocą ze wszech stron; czasem upadnie która na ziemię — i w tejże sekundzie byk wbija ją niemal w piasek z wściekłości. Ale to mu nie wystarcza, musi on (koniecznie) wyszukać sobie jakąś ofiarę i dosięgnąć jej koniecznie,

Więc z głuchym rykiem i krwawemi oczyma poczyną biedz przed siebie na oślepi i nagle wstrzymuje się: nowy widok uderza jego oczy — jest to „pikador” na koniu.

Pikadorowie stali dotąd na swych chudych rumakach, jak posągi, z lancami do góry. Byk, zajęty wyłącznie nienawistnemi kapami, nie widział ich dotąd, a jeśli i zauważył, to pomijał.

Nie zdarza się prawie nigdy, by byk zaczynał naprzód walkę. Kapy pochłaniają jego uwagę i całą wściekłość. Może resztą pikadorowie są podobni do jego półdzikich pastuchów w Sierra Morena, których czasami zdaleka widywał i przed którymi zwykł był pierzchać wraz z całym stadem.

Lecz teraz dość ma kap; jego furja szuka chciwie jakiegoś ciała, któreby mógł przebość i nasycić swą zemstą.

Dla widzów, nieprzywykłych do tego rodzaju igrzysk, nastaje chwila straszna. Każdy pojmuje, że za chwilę krew musi być rozlana.

Byk zniża głowę i cofa się kilka kroków, jakby dla nabrania rozpędu; pikador zwraca nieznacznie konia w prawą stronę ku napastnikowi, aby rumak, mający prawe oko przewiązane chustką, nie mógł się cofnąć w chwili napadu. Lanca o krótkim ostrzu zniża się w kierunku byka; ów cofa się jeszcze. Zdaje ci się, że się cofnie zupełnie i ściśnięte twe piersi poczynają lżej oddychać.

Nagle byk wali się naprzód naksztalt ska-

ły, toczącej się z góry w przepaść. Przez mgnienie oka widzisz lancę wygiętą, jak pałak, którego ostry koniec tkwi w karku byka — i potem staje się rzecz poprostu ohydna. Potężna głowa i kark rozjuszzonego zwierzęcia giną pod brzuchem końskim, rogi pogrążają się aż po nasadę we wnętrzościach; czasem byk podnosi i jeźdźca i konia w górę, czasem widzisz tylko wzniesiony zad koński, kopiący konwulsyjnie powietrze — zaczem jeździec pada na ziemię, koń wali się na niego i słysząc chrobot siodła; z konia, jeźdźca i siodła tworzy się bezkształtna masa, którą rozszalały byk depce i przygważdża rogami.

Twaiże nieprzywykłych do widowiska bledną. Widziałem w Barcelonie i Madrycie Angielki, których oblicza stawały się białe, jak płótno. Każdy, kto jest pierwszy raz w cyrku, ma wrażenie katastrofy. Gdy się widzi jeźdźca, zwiniętego w kłęb, gnieczonego ciężarem siodła i rumaka, a nad tem wszystkiem rozszalałe zwierzę, maczające z wściekłością rogi w tej kupie mięsa, zdaje się, że dla człowieka nie masz żadnego ratunku i że służba podnie się tylko z piasku krwawego trupa.

Lecz to złudzenie! Wszystko, co się dzieje, leży w programie widowiska.

Jeździec pod irką i haftami, ma zbroję, która go broni od zgniecenia — upadł zaś umyślnie pod konie, aby ów zasłonił go swem ciałem od rogów. Jakoż byk, widząc przed so-

bą mięsistą masę końskiego brzucha, na nim głównie wywiera swą wściekłość. Dodajmy do tego, że czas katastrofy liczy się na sekundy. Kapeadorowie opadli byka ze wszystkich stron, ten zaś, chcąc się od nich opędzić, musi porzucić ofiary. Jakoż porzuca je, goni znów za kapeadorami; dymiące, zmaczane we krwi jego rogi znów zdają się dotykać tuż tuż ich pleców. Oni w ucieczce przeprowadzają go w drugą stronę areny, inni zaś tymczasem wydobywają z pod konia pikadora, który pod ciężarem zbroi ledwie może się ruszać i przerzucają go za parkan.

Koń próbuje się także podnieść, często nawet podnosi się jeszcze na chwilę, lecz wówczas straszny widok uderza oczy widzów. Oto z rozdartego brzucha zwiesza się mu cały wór wnętrzności, wraz z różową śledzioną, sinawą wątrobą i zielonawym żołądkiem. Nieszczęsne zwierzę usiłuje postąpić kilka kroków, lecz drżące nogi płaczą mu się we własne kiszki, więc pada, kopie ziemię kopytami, drga—tymczasem nadbiega służba, zdejmuje siodło i uzdę, męki zaś konia kończy uderzeniem sztyletu tam, gdzie głowa łączy się z szyją.

Na arenie zostaje nieruchomy trup, który teraz, leżąc na boku, wydaje się dziwnie płaski. Wnętrzności prędko wynoszą się w koszu, podobnym do balii, a publiczność bije z zapalem oklaski. Entuzjazm poczyną ją ogarniać: „bravo el toro! bravo pikador! — oczy

się iskrzą, na twarze występują rumieńce — kilka kapeluszów leci na cześć pikadora na arenę.

„El torro“ tymczasem, zaprawiwszy się raz we krwi, zabija kilka innych koni. Jeśli rogi jego pogrążą się nie w brzuch, ale pod łopatkę konia, wówczas strumień czarnej krwi bucha na arenę z nadzwyczajną obfitością, koń wspina się i przewraca wraz z jeźdźcem na wznak. Człowiekowi grozi podwójne niebezpieczeństwo, bo: rogi byka, lub, mimo zbroi, skręcenie karku. Lecz, jak powiedzieliśmy, ciało konia stanowi zasłonę dla jeźdźcy. Każdy też z pikadorów stara się przyjąć walkę na skraju areny, aby w ten sposób być niejako ukrytym między trupem konia, a parkanem. Gdy byk cofa się, pikador postępuje za nim, lecz tylko kilka kroków, tak, że walka nigdy nie odbywa się na środku.

Wszystkie te jednak ostrożności nie przydałyby się na wiele i byk koniec końcem przygwoździłby jeźdźcę, gdyby nie kapeadorowie. Oni to naciskają byka, odrywając jego uwagę, narzucając się z niestłuchanem zuchwalstwem jego wściekłości, ratując co chwila życie komuś z uczestników walki. Widziałem wypadek, że jeden z espadów, cofając się przed rozjuszonem zwierzęciem, potknął się o głowę zabitego konia i padł w znak; zawisła nad nim śmierć nieunikniona; rogi byka już miały przeszyć jego pierś, gdy nagle między tą pier-

się a rogami wionęła czerwona kapa — i byk poleciał za kapą. Można powiedzieć, że gdyby nie to stado szympanсів, powiewających czerwonymi płachtami, rzemiosło pikadorów byłoby niemożliwe i na każdym przedstawieniu ginęłoby ich tyleż samo, ile koni.

Rzadko się zdarza, by pikador zdołał utrzymać byka na ostrzu lancy. Zdarza się to tylko wówczas, gdy albo byk naciera miękko, albo gdy pikador obdarzony jest olbrzymią, przechodzącą zwykłą ludzką miarę, siłą ramienia. Widziałem takie dwa wypadki w Madrycie, po których nastąpił prawdziwy huragan oklasków dla jeźdźcy.

Lecz zwykle byk zabija konie, jak muchy — i straszny jest wówczas, gdy okryty potem, świecący się w słońcu, z zakrwawionym od lanc karkiem i ubarwionymi na czerwono rogami, obiega arenę, jakby w upojeniu zwycięstwa. Głuchy ryk wydobywa się z jego potężnych płuc — czasem rozpędza kapeadorów, czasem zatrzymuje się nagle nad nieruchomym już ciałem konia i mści się nad nim straszliwie; porywa je na rogi, obnosi wokół areny, obrzucając skrzepłemi kroplami krwi widzów pierwszego rzędu; to znów rzuca je na poplamiony piasek i dziurawi na nowo. Widocznie wydaje mu się, że widowisko jest już ukończone i że skończyło się jego tryumfem.

Lecz widowisko zaledwie dobiegło połowy. Pikadorowie, których konie ocalały z pogro-

mu, wyjeżdżają wprawdzie z areny, lecz na ich miejsce wbiegają w podskokach i wśród okrzyków, sprężysci „banderilleros”. Każdy z nich, we wzniesionych do góry rękach, ma dwie strzały, na łokieć długie, przybrane —odpowiednio do kaftana banderillera — w niebieskie, zielone lub czerwone wstążki, a zakończone haczykowatym ostrzem, które raz wbite pod skórę, już z niej nie wypadnie. Ci poczynają krążyć koło byka, trzęsąc strzałami, wyciągając ku niemu ostrza, grożąc i podskakując. Byk toczy krwawymi oczyma, zwraca głowę w prawo, w lewo i spostrzega, że to są nowi jacyś nieprzyjaciele: „Ach! — mówi widocznie do siebie — mało wam było krwi, chcecie więcej — dobrze!” — i wybrawszy człowieka, rusza z kopyta.

Lecz cóż to się dzieje? Pierwszy z brzegu banderillero, zamiast uciekać, pędzi ku bykowi, przebiega mu przed głową, jakby go chciał pominąć, lecz w tej jednej sekundzie zawisło coś tęczą w powietrzu: człowiek z pustymi już rękoma pędzi, ile siły w nogach, do parkanu, a w karku byka zostaje para barwistych strzał.

Po chwili tkwi już druga para, po chwili trzecia —razem sześć, o trzech kolorach. Kark zwierzęcia wygląda teraz, jak gdyby przybrany w pęki kwiatów, lecz te kwiaty mają straszniejsze od wszystkich róż kolce. Za każdym ruchem byka, za każdym rzutem głową, strzały poruszają się, trzęsą, przelatują z jednej strony

karku na drugą, a każde ostrze wierci tem samem w ranie. Oczywiście z bólu zwierzę wpada w obłęd wściekłości, lecz im bardziej się rzuca, tem ból większy. Dotychczas byk czynił krzywdę — teraz poczyną się dziać jemu krzywdy, i to straszna. Chciałby pozbyć się tych bolesnych strzał, lecz nie ma na to rady.

Wścieka się oto tylko z męki i nuży do ostatka. Piana pokrywa jego nozdrza, język wysuwa się z pyska — już nie ryczy, ale w krótkich przerwach, między dzikimi okrzykami, klaskaniem i wrzaskiem widzów, słyhać jego jęk z akcentem niemal ludzkim. Zmęczyli go kapeadorowie, skaleczył go każdy pikador, teraz wiercą mu się w skaleczeniach strzały; dopełniają męki upał i pragnienie.

Szczęście jego jeszcze, że nie dostał innego rodzaju banderilli. Jeśli — co się jednak rzadko zdarza — byk odmawiał ataku na konie nie zabił żadnego, wówczas rozwścieczona publiczność wstaje — i w cyrku poczyną się coś nakształt rewolucyi. Mężczyźni z laskami, kobiety z parasolkami i wachlarzami, zwracają się do łoży królewskiej; dzikie, chrapliwe głosy okrutnych „caballeros“ i przeraźliwe „senorita“ wieszczą jeden tylko wyraz: Fuego! fuego! fuego!“

Przedstawiciele władzy długo nie zgadzają się, więc: „Fuego!“ brzmi coraz głośniejszy, głuszy wszystkie inne głosy; groźba dochodzi do takiego stopnia nateżenia, że lada chwila pu-

bliczność od słów przejdzie do jakichś szalonych uczynków. Upływa pół godziny: „Fuego! fuego!“ Niema rady. Dają znak i oto nieszczęsny byk dostanie banderille, które przy zatknięciu w kark zapalają się jednocześnie.

Ostrze ich rani swoją drogą, a swoją drogą kłęby dymu otoczą głowę zwierzęcia: huk fajerwerków ogłuszy je; wielkie iskry będą mu wpadały do ran, małe race kongrewskie będą pękały mu pod skórą: zapach skwierzącego mięsa i spalonej sierści napelni arenę. Istotnie, okrucieństwo nie może iść dalej, ale też i zachwyt publiczności dochodzi wówczas do zenitu. Kobietom oczy zachodzą mgłą z upojenia, każda pierś dyszy z lubością, głowy podają się w tył, a z rozehylonych wilgotnych warg polyskują białe zęby. Rzekłbyś: męka zwierzęcia odbija się w tych niewieścień nerwach równie nateżonem wrażeniem rozkoszy. Tylko w Hiszpanii można podobne rzeczy widzieć. Jest w tem zapamiętaniu się coś hysterycznego, co przypomina jakieś misterye fenickie, spełniane przed ołtarzem Melitty.

Zręczność i zuchwalstwo banderillerów przechodzi wszelką wiarę. Widziałem jednego z nich, który, usiadłszy na środku areny, na krześle, wyciągnął niedbale przez się swe różowe nogi, skrzyżował je i trzymając nad głową banderille, czekał na byka. Ów rzucił się nań natychmiast i w mig później dostrzegłem tylko banderille, już wpięte w kark **byka**, który

wściekłemi uderzeniami głowy rozbijał na drzazgi stół. Jakiś sposobem banderillero wychynał na zewnątrz między krzesłem i rogami — nie wiem: jest to tajemnica jego zręczności. Drugi banderillero, na temże samem przedstawieniu, chwyciwszy lancę pikadora w chwili ataku, wsparł się i przeskoczył przez całą długość byka, który stanął, jak osłupiały, nie mogąc pojąć, gdzie mu się podziła ofiara.

Takich cudów zuchwalstwa i zręczności widzi się mnóstwo na każdym przedstawieniu.

Jeden byk nie dostaje nigdy więcej, jak trzy pary banderilli. Gdy to zadanie zostanie spełnione, znów w orkiestrze odzywa się długa i żałosną nutą samotna trąbka — i nadchodzi chwila najbardziej wzruszająca, najbardziej tragiczna z całego widowiska. Wszystko, co się działo dotąd, było tylko przygotowaniem dla niej. Teraz rozegra się czwarty akt dramatu.

Oto na arenę wchodzi właściwy matador, to jest „espada“.

Ubrany on jest tak samo, jak inni uczestnicy igrzyska, jeno wytworniej i suciej. Kaftan na nim cały od złota i haftów; pierś zdobią cenne koronki. Odróżnić go można i po tem, że występuje zawsze bez kapelusza. Czarne jego włosy, zaczesane starannie w tył, kończą się na plecach małym warkoczykiem. W lewej ręce trzyma czerwoną sukienną chorągiewkę, w prawej toledańską długą szpadę. Kapeadorowie otaczają go, jak żołnierze wodza, gotowi za-

wsze w chwili niebezpieczeństwa skoczyć na ratunek, a on zbliża się do byka skupiony, chłodny, ale groźny i zwycięski.

W całej widowni serca biją silnie i nastaje chwila ciszy. ●

W Barcelonie i Madrycie widziałem czterech najsłynniejszych w całej Hiszpanii „espados“ i doprawdy przypuszczam, że poza swą zimną krwią, zręcznością i wprawą, mają oni w sobie jakąś siłę hipnotyczną, która działa na zwierzę i napelnia je tajemniczą trwogą. Byk poprostu inaczej zachowuje się względem espady, niż względem poprzednich uczestników igrzyska. Nie idzie zatem, żeby się miał przed nim cofać: przeciwnie, napada go z większą zaciekłością i natarczywością. Ale w poprzednich jego atakach, prócz zaciekłości, była widocznie jeszcze pewna ochoczość. Gonił, rozpraszał i zabijał tak, jakby był przekonany, że całe to widowisko jest dla niego i że chodzi tylko o to, aby on zabijał. Teraz, na widok tego zimnego, strasznego człowieka, ze szpadą w ręce, przekonywa się, że to nad nim jest śmierć, że musi zginąć, że tu, na tym krwawym piasku, spełni się za chwilę ta rzecz okropna.

Owa psychologia zwierzęcia jest tak jasna, że każdy ją odgadnie. Może być nawet, że ona, przez swą tragiczność, stanowi urok widowiska. Ten potężny organizm, kipiący wprost nadmiarem życia, ochoczości, siły — nie chce umierać, nie chce za nic w świecie! A tu śmierć

idzie nieunikniona, nieprzeparta — więc nieopisany żal, nieopisana rozpacz przebija we wszystkich ruchach zwierzęcia. Na kapeadorów, których dawniej ścigał tak zawzięcie, za ledwie teraz zwraca uwagę: atakuje samego „espade“, ale atakuje z zupełnie wyraźną rozpaczą.

Ów zaś nie zabija odrazu, bo wedle prawideł igrzyska nie jest to dozwolone. Zwodzi on byka ruchami chorągiewki, sam usuwa się z pod rogów za pomocą lekkich a nieznaczących obrotów; upatruje chwili, to cofa się, to postępuje naprzód; pragnie widocznie nasycić publiczność — już, już wznosi szpadę — i zniża ją znowu.

Walka przetacza się po całej arenie, rozświeca się w słońcu, przygasa w cieniu. W cyrku zrywają się okrzyki, to powszechne, to pojedyncze, z piersi jakiej seniority, która nie może pohamować swego zapалу. Czasem grznią brawa; czasem, jeśli espada cofnął się niezręcznie lub zadał cios zawodny, gwizdania rozdzierają uszy. Już byk dał kilkadziesiąt uderzeń rogami — zawsze w chorągiewkę, już publiczność ma dosyć, już odzywają się tu i owdzie głosy: „Mata el toro! mata el toro!“ — zabij byka.

I oto następuje błysk tak nagły, że oko uchwycić go nie może — potem grupa walczących rozprasza się — i w karku byka, nad barwnymi banderillami, widać czerwoną ręką-

jeść szpady. Ostrze przeszło przez kark i tkwi pogrążone, w dwóch trzecich, w płucach zwierzęcia.

Espada pozostaje bezbronny; byk atakuje go jeszcze, lecz on uwodzi go po staremu choraągiewką, sam zaś półobrotami chroni się od uderzeń.

Tymczasem zdaje się, że w cyrku ludzie poszaleli. Już nie krzyki, ale ryk i wycie rozlegają się wokół, od góry do dołu. Wszyscy zrywają się z miejsc. Na arenę lecą bukiety, cygarniczki, kapelusze, wachlarze...

Walka ma się ku końcowi.

Bo oto oczy byka zachodzą bielmem, z pyska zwieszają mu się stalaktyty krwawej śliny, jęk jego staje się chrapliwy. Noc obejmuje mu głowę. Niezem mu już blask i żar słoneczny. Atakuje jeszcze, ale jakoby już przez sen. Coraz mu ciemniej i ciemniej. Nakoniec zbiera resztki przytomności — cofa się pod parkan — przez chwilę chwieje się i klęka na przednie nogi, potem na tylne — i poczyną konać.

Espada już na niego nie patrzy; oczy ma zwrócone ku widzom. skąd kapelusze i cygarniczki lecą ciągle, naksztalt gradu; kłania się: kapeadorowie odrzucają widzom kapelusze.

Tymczasem przez parkan przelazi cicho czarno ubrany, tajemniczy człowiek, przykłada bykowi sztylet tam, gdzie kręgi szyi schodzą się z czaszką, zamurza go lekkim ruchem po rękojęść i zawierca.

Jest to cios miłosierdzia, po którym głowa byka opada na bok. .

Wszyscy uczestnicy walki wychodzą. Przez chwilę arena pozostaje pusta —widać na niej tylko trup byka i ostygłe już, wypatroszone trupy czterech lub pięciu koni.

Ale po chwili wpadają z wielkim pędem ludzie z mulami, przybranemi wspaniale w żółte i czerwone kulki; zaprzęgają owe muły do trupów—i zataczają z nimi koła tak, aby publiczność mogła się jeszcze widokiem nacieszyć, poczem równie wielkim pędem wypadają za drzwi areny.

Lecz nie sądźcie, aby widowisko kończyło się na śmierci jednego byka. Po pierwszym następuje drugi, po drugim trzeci i t. d. W Madrycie ginie na przedstawieniu sześć byków. W Barcelonie, w czasie wystawy, bito po ośm.

Nie sądźcie również, aby publiczność nużyła się jednostajnością walki. Naprzód sama walka urozmaica się licznymi epizodami, których przyczyną bywa temperament, większa lub mniejsza zaciekłość byka, większa lub mniejsza znajomość rzemiosła ludzi i t. d. Powtóre publiczność ta nigdy nie nudzi się widokiem krwi i śmierci.

Toreadorowie (naprawdę w Hiszpanii nikt z uczestników walki nie nazywa się toreadorem) dzięki swej zręczności rzadko wprawdzie giną. Ale jeśli się to zdarzy, widowisko uważane jest jako tem wspanialsze—i byk otrzymu-

je także same oklaski, jak „espada”. Że jednak i wypadki z ludźmi trafiają się czasem, dowodem tego jest, że na każdym przedstawieniu, prócz doktora, obecnym jest także ksiądz z sakramentami. Duchowny ów nie znajduje się oczywiście między widzami, ale czeka w osobnej izbie, do której, w razie wypadku, wnoszą rannych.

Czy z czasem, pod wpływem cywilizacyi, walka byków zostanie zaniechana w Hiszpanii, trudno orzec. Zamiłowanie do tych walk leży bardzo głęboko w naturze hiszpańskiego ludu. Rade uczęszczają na nie i wyższe, inteligentne warstwy społeczne. Obrońcy tych igrzysk mówią, że ostatecznie nie są one niczem innem, tylko hazardownem polowaniem, odpowiedniem rycerskiemu charakterowi narodu. Lecz polowanie jest rozrywką, nie zawodem: w polowaniu nie masz widzów, jeno aktorzy: nie masz tłumów kobiet, w polowie omdlewających z rozkoszy na widok męki i śmierci. Na polowaniu wreszcie nie naraża nikt swego życia za pieniądze.

Gdyby mnie zapytano, czy to jest piękne widowisko, odpowiedziałbym: tak. Piękna zwłaszcza jest jego oprawa: to słońce, te cienie tysięcy wachlarzy, na widok których zdaje ci się, że rój motylów obsiadł cyrkowe rzędy: te oczy, te purpurowe wilgotne usta. Piękna jest ta nieprzebrana ilość tonów ciepłych a mocnych, ta masa barw, złota, haftów, ten roz-

palony piasek. od którego technie żar! — wreszcie te dowody zuchwalej odwagi i ta groza, która nad igrzyskiem się zwiesza. Wszystko to jest wiele piękniejsze od strug krwi i porozdzieranych końskich brzuchów.

Kto jednak znał te widowiska tylko z opisów, a później zobaczy je własnymi oczyma, ten mimowoli pomyśli: co to za dziwny lud, dla którego największą zabawą i rozkoszą jest widok rzeczy tak strasznej, bezwzględnej i niepowrotnej, jak śmierć. Skąd to rozmiłowanie? Jest-li to prosty zabytek średniowiecznego okrucieństwa, czy też ów pociąg, jaki budzi się w wielu ludziach na widok np. przepaści. Przyjść jak najbliżej, na sam skraj, dotknąć tej zasłony, poza którą zaczyna się tajemnica i otchłań — jest to dziwna namietność, która w pewnych duszach staje się nieprzepartą.

O Hiszpanach można powiedzieć, że w całym przebiegu swej historyi okazywali ów pociąg do bezwzględności. Mało który lud był tak okrutnym w boju, żaden religii miłości nie zmienił w tak posepny i krwawy kult — żaden wreszcie dziś nie bawi się, igrając ze śmiercią.

Słowo № 151, 152, 153, 154, 155, 156 — 1889 r.

WYKAZ ARTYKUŁÓW

DO TOMU SI DZIEL SIENKIEWICZA.

	<i>Str.</i>
1881. Szkice literackie I	5
" " II.	41
1882. Kronika tygodniowa	73
— Kronika warszawska I.	83
— Kronika tygodniowa III	96
— " " IV	104
— " " V.	117
— " " VI	128
— Kronika miejscowa i prowincjonalna	143
— Kronika tygodniowa VIII.	146
— " " IX.	160
— Odczyt na dochód Osad rolnych	172
— Kronika tygodniowa X.	173
— " " XI	186
— Ballady prozą	198
— Mieszaniny artystyczne i literackie I.	202
— Mieszaniny literacko-artystyczne. II.	215
— " " "	226
— Hołd pruski	239
— Krytyka. Sprawozdania. Bibliografia	244
— Sprawozdania powieściowe	248
1889. O powieści historycznej	258
— Walka byków	267

